WAŁERIJ SZEWCZUK

DOM NA WZGÓRZU

KIK



SZEWCZUK

PIW

DOM NA WZGÓRZU

Pamięci „Prawdzica" — Mścisława Sławomirskiego, zagończyka z 27 Dywizji, sąsiada na pryczy w Diagilewie, gdzie uczył mnie szacunku dla mowy pobratymców

tłumacz

WAŁERIJ SZEWCZUK

DOM NA WZGÓRZU

Przełożył Jerzy Litwiniuk

Państwowy Instytut Wydawniczy 1989

Tytuł oryginału:
«DÍM NA HORI»

Okładkę i strony tytułowe projektowała
MARIA IHNATOWICZ

© Copyright for the Polish Edition by
Państwowy Instytut Wydawniczy Warszawa 1989

ISBN 83-06-01770-6

Część pierwsza

DOM NA WZGÓRZU

ROZDZIAŁ PIERWSZY

SPOKÓJ

Niech się uciszy burza w sercu Pana mego!
Bóg mój, którego nie znam, niech się ułagodzi!

Z modlitw babilońskich

1

Jakiż tu błogi i niezwykły spokój! — pomyślał sobie Włodzimierz. Nie był to taki spokój, jaki znał dotychczas: zacisze domu, pełna napięcia cisza przed natarciem, cisza leśna, wśród której leżał w szpitalu polowym i patrzył, jak nad głową chwieją się i poskrzypują mocarne sosny. Tutaj słychać było ciszę pierwotną, co zgoła nie była głucha; możliwe, iż zdawała się wszechogarniająca, jako że dźwięki rozlegały się w niej mocno przytłumione. Świat rozrósł się nagle i rozprzestrzenił przed Włodzimierzem, jak gdyby się w nim rozświetlił.

Szedł uliczką, na której zachowały się ostatki bruku, niekiedy przecinała mu drogę brunatna kałuża, a na brzegach zgiełkliwie pluskały się wróble; słońce musnęło powierzchnię i kałuża nagle zamigotała i rozpromieniła się w jaskrawomodrych rozbłyskach. Wróble sfrunęły w popłochu, pozostawiając w kurzu mokre leża; z najbliższego domu dobiegł brzęk naczyń, a z przeciwka zagdakała kura i zapiał kogut. Z dymników letnich kuchen ospale snuł się pionowy dym i Włodzimierz aż się obrócił dokoła podziwiając to wszystko.

W przejściu wyrosła nagle młoda kobieta z pustymi wiadrami i nie mógł się nie zapatrzyć również na nią: oczy miała wielkie i ciemne. Włodzimierz ruszył dalej utykając, bo poczuł zawrót głowy, jako że nieznajoma jak gdyby roztoczyła złote fale. Miał wrażenie, że owa ulica to nie jakaś tam sobie droga prowadząca gdziekolwiek, ale że cały przestwór napełnia się tymi złocistymi falami; z powodu rozmigotanych kałuż pośrodku drogi czy też pod wpływem pogody wydało mu się, że droga, którą idzie, stała się dziwnie przejrzysta. Ponadto coś

zamajaczyło przed nim błękitnie — pomiędzy ogrodami i drzewami wiła się wąska i kręta rzeka. Za nią wynurzyły się pagórki które zobaczył tak niespodzianie, że aż się zatrzymał: poczuł zawrót głowy — był to spadek po życiu, które za sobą zostawił.

2

Szkoła ciągnęła się wzdłuż pochyłości, wsparta na podmurówce; na skraju, gdzie znajdowały się drzwi ze zwisającą wielką kłódką, podmurówka ginęła; dziedziniec był wydeptany, trawa okalała go wzdłuż murów i próchniejącego, mocno wyszczerbionego parkanu; tuż za szkołą wznosiła się stroma, kamienista, obficie pokryta żwirem górka, wyżej rosły gęste drzewa, a na prawo, nieco dalej, piętrzyła się zwalista, popękana skała.

Włodzimierz obszedł dziedziniec płosząc siedzącą pod kasztanem kurę, która się rozgdakała i rzuciła do ucieczki; na alarm wszczęty przez nią, a może wprost z nieba — wyrósł przed Włodzimierzem barczysty brodaty starzec. Włodzimierz ujrzał guziczki jego niebieskich oczu, i choć przypatrywały mu się nieufnie, zrobiło mu się raźnie na sercu, jako że ten kolor dziś mu towarzyszył. Dziadek w lewej ręce ściskał kij, zapewne nie po to, by się na nim opierać; Włodzimierz uśmiechnął się do starego wkładając w ten uśmiech wszystką radość, jakiej zaznał na tej ulicy, ale to jeszcze nie rozbroiło zastygłych i wciąż nieufnych oczu, w których zamigotał jedynie okruch błękitu.

— Nie ma tu toalety! — burknął dziad zastępując drogę Włodzimierzowi, choć w kącie dziedzińca sterczała połamana i rozchwiana budka, co do przeznaczenia której trudno się było pomylić.

Włodzimierz nie wytrzymał i roześmiał się prosto w to nastroszone i już przez to samo zabawne oblicze. Wyjaśnił, że przyszedł tu pracować, i że odtąd (tutaj powiódł dłonią) wszystko to jest w zasięgu jego władzy, nawet tenże dziadek. Wówczas starzec jął topnieć w oczach: rozluźniła się dłoń zaciskająca kij, mina złagodniała i zrobiła się dobrodusznie roztargniona, oczy zaś stały się tym, czym być musiały: odblaskiem światła, co dziś rzęsiście spadało na ziemię.

Włodzimierz pokazał staremu swoje dokumenty, by mu zaufał do reszty, a gdy się rozejrzał, dostrzegł, że zza sztachet sąsiedzkiego podwórza wysunęło się pięć główek dziecięcych. U-

śmiechnął się, choć tamtym ani zaświtało, by odpowiedzieć na przywitanie, i aż uniosł głowę — takie go szczęście ogarnęło!

Stary wciąż jeszcze poruszał ustami czytając jego dokumenty i zanim je przeczytał, Włodzimierz zdążył się przyjrzeć również górze ponad skałą. Na skale stał chudy i wysoki chłopak tak nachylony, że przypominał jakiś fantastyczny znak zapytania; nad głową Włodzimierza zaszumiał kasztan, a pod nogi upadło mu kilka kolczastych pocisków. W górze za skałą spostrzegł niemal pochłonięty przez zieleń dom, do którego stromą kamienistą dróżką piął się chłopak. Na dole, w żółtym piaskowym łożysku, drzemała rzeka; po piachu uganiało się dwoje nagich dzieci złocistych jak sam piasek.

3

Ręce Hali tonęły po łokcie w białej pianie i mimochodem pomyślała sobie, że jeszcze przed kilkoma laty prała na modłę pradziadków mocząc bieliznę w roztworze ługu. Tuż przy niej rósł wielki kasztan, a pod nogami poniewierało się kilka zjeżonych kulek. Nad głową rozścielało się niebo, jakie lubiła najbardziej — skłębione chmury o białych dziwacznych głowach, a pomiędzy nimi taka rozległa przestrzeń, że ciało samo z siebie nabierało młodzieńczej rześkości. Ręce jej wprawnie przesuwały się w pianie i tarły o drewnianą tarę; na progu siedziała skulona babka, patrzyła niemal bezmyślnym wzrokiem i mamlała ustami. Dostrzegła wnuczkę na podwórzu i z wolna łagodniało i przytomniało jej spojrzenie. Hala miała na sobie jasnoniebieską sukienkę i gdy zwracała się w stronę staruszki, promieniała w uśmiechu: młoda jej twarz jaśniała.

— Ładny dzień dzisiaj mamy — rzekła stara. — Już dość było tych deszczów!

Hala wyprostowała się przy balii czując, jak po plecach rozchodzi się błogie znużenie, i popatrzyła w stronę rzeki wijącej się w głębokiej dolinie. Wiódł tam wąwóz przetykany rzadkimi drzewami i jak zwykle tkwiło kilka zakochanych par. Przytuleni do siebie patrzyli w dal roztaczającą się nad rzeką; niżej jeszcze zastygł koślawo czołg rozbity za czasów wojny i dzieci łaziły po nim jak mrówki. Nieco dalej rozciągnęła się szkoła ogrodzona dziurawym parkanem, a na jej dziedzińcu stali dwaj mężczyźni.

— Co tam wypatrujesz? — beznamiętnie spytała od progu stara.

— Stepan z kimś stoi pod szkołą.

— Pić mi się chce — rzekła stara. — Może przyniesiesz mi wody, Haluniu?

Hala oderwała spojrzenie od tego codziennego widoku, echem odezwała się w niej jakaś zapomniana melodia czy smutek. Podeszła do starej, która ustąpiła jej z drogi.

— Wydaje mi się — rzekła babka — że to nie było lato...

Piła wodę drobnymi łyczkami, raz po raz przykładając do ust kubek, patrzyła uporczywie w dal, jakby rzeczywiście widziała tam cienie jesieni.

Chłopiec zaskrzypiał furtką i nieśmiało zatrzymał się na ścieżce.

— Mało co nie złapałem jaskółki — powiedział. — Ładna była ta jaskółeczka!

Kubek w ręku starej zadrżał. Hala wróciła do prania i znów po łokcie ukryła ręce w mydlinach.

— Słyszysz, mamo? — zawołał Chłopiec już odważniej. — O mało co nie złapałem jaskółki! Ale była ładna!

Babka odtrąciła blaszankę i kilka kropli spadło jej na bluzkę. Hala zwróciła się w stronę syna i wydała okrzyk zgrozy: chłopiec był od stóp do głów wysmarowany gliną.

— Gdzieżeś się tak umorusał?

— Mówię ci, że łapałem jaskółkę...

— I gdzież ona jest?

— Pofrunęła, mamo. Ale i ja też pofrunąłem...

Stał na ścieżce cały w glinie, rozkładał umazane gliną ręce, a z uglinionej głowy wybłyskiwały jedynie oczy. Wytarł nos glinianym palcem i chciał przygładzić gliniany kosmyk.

Hala prychnęła, bo nie sposób było patrzeć na tego glinianego ludzika. Przysłoniła oczy dłonią okrytą białą pianą i z kolei chłopiec zapatrzył się na nią. Była taka ładna i młoda w tym słońcu! Ucieszył się, że mama jest taka niebywale ładna, a jeszcze bardziej, że uda mu się uniknąć bury. Więc i sam się roześmiał i jeszcze wyraźniej zaświeciły mu oczy w otoczce gliny — zabłysły w nich łzy.

— Śmiej się, śmiej się! — odezwała się babka z ganku. — Jak kark sobie skręci, to nie będziesz się tak śmiała.

4

Włodzimierz stał na progu swojej nowej siedziby. Dziadek sapał mu za plecami i rozglądali się po izbie, jakby Bóg wie jakie cudo ujrzeli.

— Deski stąd pozabieram — rzekł stróż. — Bo tu nauczycielki, jak nie było dyrektora, to urządziły magazyn.

Włodzimierz zagwizdał.

— Nie miał kto pobudować szopy — usprawiedliwiał się tamten. — Te ławki też stąd pozabieram.

— Stół niech zostanie — oznajmił Włodzimierz, przepychając się bokiem do pokoju. W kącie stało stare zardzewiałe łóżko, do którego właśnie starał się dotrzeć. Noga bolała go dotkliwie, usiadł więc, prostując się z ulgą.

Stróż powlókł deskę, wznosząc obłok kurzu.

— Przepraszam, a gdzie są pańskie rzeczy? — zapytał już z deską na ramieniu.

— Tutaj! — Włodzimierz poklepał się po plecaku.

— A co się panu stało w nogę? — zapytał dziad ciągnąc za sobą już drugą deskę.

— Nie mam nogi.

— Więc to proteza? — Stary położył deskę na ramieniu i obejrzał się. — A ma pan przynajmniej kołdrę?

— Kołdrę mam ze sobą — roześmiał się Włodzimierz poklepując rzucony na łóżko szynel.

Wstał, ale zbyt gwałtownie, i poczuł ból. Jedno z okien zasłonięte było czarnym papierem, a drugie było takie brudne, że krajobraz za nim rozpływał się w szarej mgle. Włodzimierz zdjął haczyk i pchnął ramę. Zatrzeszczał spróchniały kit, słychać było, jak gdzieś na dworze dziadek rzuca deskę walącą się z łoskotem. Przez okno wionął zapach ziemi i pobliskiej rzeki. W domu naprzeciw skrzypnęły drzwi, i w otworze zamajaczyła wysoka postać. Kobieta była taka chuda, aż zmrużył oczy.

— Pan sobie odpocznie — mruknął od progu Stepan. — Ja już sobie poradzę. Daleką miał pan podróż?

— Owszem, daleką — odparł Włodzimierz i cofnął się od okna, bo ta wysoka i chuda wpatrzyła się w niego z niewiarygodnym zainteresowaniem. — Powynosimy ławki! — rzekł do starego.

Wytaszczyli ławkę; kobieta tymczasem zdążyła wyjść z zagrody i ruszyła przez ulicę. Wkroczyła przez furtkę i oczy jej zapłonęły gniewem.

— Cóż to za innowacje, Stepanie? — spytała takim głosem, że obaj naraz przystanęli jak spłoszeni chłopcy i niepewnie opuścili ręce.

— No bo, Ołeksandro Panasiwno, to jest... dyrektor — rzekł pokornie Stepan i otarł pot z czoła.

Kobieta utkwiła spojrzenie we Włodzimierzu, który poczuł się

zmuszony popatrzeć na kasztan, bo nie był w stanie wytrzymać tego strumienia blasku.

— Pokazał mi swoje dokumenty, Ołeksandro Panasiwno — rzekł Stepan pośpiesznie. — Chciałem już wstąpić do pani, aleśmy poszli obejrzeć mieszkanie...

— Trzeba było wpierw zajść do mnie! — odparła kobieta. Przeszła obok nich, jakby istotnie byli czemuś winni, i weszła do pokoju dyrektora. Mężczyźni dreptali za nią posłusznie, powodowani bijącą od niej niepojętą mocą.

— Czemu panowie stoicie? — odwróciła się do nich z rozdrażnieniem. — Wynoście prędzej te rupiecie, a ja już tu posprzątam...

5

Wysoki mężczyzna z bujną siwą czupryną szedł sobie pomału brzegiem, podpierając się zmyślną laseczką, będącą jednocześnie składanym krzesełkiem. Przed nim z powagą kroczyło dziesięć kóz. Włodzimierz ze swego okna zauważył rozumną i szlachetną twarz starego, co za swoimi kozami jak gdyby płynął nad urwistym brzegiem. Mężczyzna był zamyślony i wydawało się, że to nie on prowadzi kozy, lecz one jego. Raz po raz pobekiwały, zwracając pyski w stronę gospodarza, a gdy na to nie zważał, szły kołysząc się dalej. Wymiona miały wzdęte od mleka; wielkie, nasycone żółtością słońce zatrzymało się nad najwyższym wzgórzem, ogromniało i nasiąkało czerwienią. Krwawy kolor rozpłynął się po rzece, która nagle zadrżała, jęła się mienić i migotać. Jakaś spłoszona tą przemianą ryba wyrywała się z wody i wyskakiwała na oślep do góry — łykała wspaniałe i upajające wino... Pijana i oszołomiona spadała w dół z powrotem i śmigała, kołowała, wytańcowując swoje rybie pląsy. Kozy szły i szły, a im bliżej podchodziły do swojego domu, tym trudniej i ciężej było im dźwigać nabrzmiałe wymiona, stąd coraz jaśniej rozbłyskiwały gwiazdy w ich rozmarzonych ślepiach. Beczenie ich podówczas stawało się inne, słodkie i błagalne, bo już marzyła im się chwila, gdy dotkną ich łagodne ręce — i wtedy oddadzą nagromadzoną przez dzień białą krew ziół i liści. Ponadto czerwony zachód zapalił w ich ślepiach z wolna gasnące iskry, a kozy szły i szły, jak gdyby prowadząc za sobą zamyślonego siwogłowego ślepca...

Ciemne wrota przy wcinającej się w zbocze zabudowie otwarte były na ścieżaj i tkwiła w nich okrągła, siwa i niezwykle ła-

godna babuleńka. Podpierała się kosturem, a na nogach miała czerwone pantofle. Patrzyła tkliwie i łagodnie, bo ów mężczyzna, pnący się wzwyż kamienistą dróżką w wieczornej poświacie, zdawał się królem z zapomnianych bajek. Kozy beczały mknąc na wyprzódki ku tej ciepłej i tchnącej spokojem postaci — właśnie o niej myślały dopalając w swych ślepiach złote iskry zachodu i właśnie jej rąk się spodziewały, chcąc zbyć się słodkiego ciężaru...

Otoczyły ją dokoła niczym wielkie białe koty i czerwone ich języki migały na przemian z ich czerwonych pysków — zwierzęta łasiły się do niej i radowały. Czekała jednak, aż we wrota wkroczy ów siwy król, co nie nadążał i z trudem pokonywał duszności — siwe włosy opadały mu na ramiona, a berło-stołek posuwało się mozolnie — opierał się na nim całym ciężarem.

— Dobry wieczór! — rzekł wchodząc we wrota. — Wszystko tu w porządku, Marijo?

— W porządku, Iwanie — odpowiedziała staruszka. — A u ciebie?

Zamknął wrótnię, co ze skrzypieniem odgrodziła ich od szerokiego świata. Słońce oparło się już na pobliskim klonie i jak gdyby rozczesywało swoje złote włosy.

— Jakoś, Marijo, coraz częściej łapie mnie zadyszka — łagodnie rzekł siwogłowy i zapatrzył się w dal, na pagórki i na zachodzące słońce.

6

Gdy tak doiła kozy, on siedział na werandzie oplątanej gęsto wijącymi się powojami i coś pisał w wielkiej księdze kasowej. Litery wybiegały spod ołówka fantazyjne i kulfoniaste, zapełniając kartkę od końca do końca; Iwan spozierał na nie przez nałożone na nos okulary i może dlatego, że naokoło pachniały kwiaty, czy też miał takie osobliwe okulary, dość, że dostrzegał wśród tych kulfoniastych znaków zieloną trawę i strumień, słyszał szmer liści i śpiew niewiadomego ptaka. Śledził linie splatane na ziemi grą światłocienia i nie mógł się nadziwić ich ruchliwej zmienności.

Marija tymczasem doiła kozy. Siedziała wśród podwórka zarośniętego rdestem i białe pachnące mleko tryskało do emaliowanego garnka. Pieniło się w nim i chlupało, jak gdyby sok z owych ziół i liści, wyssany w ciągu dnia przez bydlątka, burzył się wciąż jeszcze. Kozy spozierały raz po raz na gospodynię i

czekały swojej kolei, a gdy Marija zwalniała wydojoną, wnet jej miejsce zajmowała następna. Stary spoglądał na nie zza okularów, odrywając się na chwilę od pisania: podwórze z rojowiskiem białych ciał i zielona trawa, aż dziw, że sok z niej nie tryśnie, kochana żona i dźwięczny plusk padającego mleka — wszystko to odbijało się w jego okularach, i może z okazji tego nowego odbicia, które wyraźnie utrwaliło się w ich soczewkach, stary widział już coś innego. Widział ziemię pokrytą zielenią i taką właśnie bielą, która gromadzi w sobie biały sok i przeistacza go w mleko. W myślach wyliczał znajome trawy, drzewa i zielska, one zaś przychodziły do niego. Kilka zabłąkanych pszczół piło miód z powojów, którymi obrosła weranda — widział je w niebywałym powiększeniu i obserwował, jak w ich przejrzystych ciałach pracują ledwie widoczne ssawki. Tętniły i poruszały się jak dźwignie nieznanej maszynerii, dostrzegał, jak miód się w nich gromadzi niczym rodzący się owoc. „Takie to jest ich mleko" — dumał, na środku zaś podwórza wciąż jeszcze obstępowały gospodynię niecierpliwe kozy, wznosiły pyski i błagały, zapalając czerwone płomyki jęzorów. Garnek zapełniał się po wręby — wszystko zalane było wieczorną poświatą o malinowych półtonach; spokojne już kozy polegiwały na środku podwórza i opuszczały znużone łby. Stary na werandzie odczytywał ich znużenie — w ślepiach ich dogasały ostatnie błyski przepysznego zachodu: słońce już rozpuściło się jak pigułka i rozpłynęło po całym niebie wzniecając ogromne zarzewie.

Stary dopisywał ostatnie słowa, jakie się w nim dziś narodziły, opisywał spokój wieczornego nieba i ciszę napełniającą wieczorami ludzkie serca. Wydawało mu się, że sam się pasł przez cały dzień podobnie jak jego kozy i też nagromadził ów sok, jaki zbiera w sobie wszystko stworzenie wokół rozległego ogniska zachodu; stąd może, gdy spoczął na oparciu wiklinowego fotela, przejął go cichy smętek. Smęcił się, że dziecię jego jest takie blade i wątłe, jemu jednemu znane i tylko do niego przemawia. Ołówek wypadł mu ze strudzonych palców. Siedział przy stole pobladły, z przymkniętymi oczyma, podobnie jak jego kozy uwolnione od brzemienia. Marija przystanęła pod werandą niosąc garnek spienionego mleka; ujrzała skrajnie wyczerpanego dziadka, tkwiącego w fotelu z przymkniętymi oczyma i białą niczym to mleko twarzą, na której gasły ostatnie błyski zorzy wieczornej.

— Iwanie! — zawołała stłumionym głosem. — Słyszysz, Iwa-a!...

Gdy otworzył oczy, zrozumiała, za co kocha tego niepojętego

męża: oczy miał całkiem takie, jakie widziała u pierwszoklasistów, gdy po raz pierwszy znalezli się w ławce i po raz pierwszy kierowali spojrzenie w stronę nauczycielki przekraczającej próg klasy.

7

Włodzimierz wciąż jeszcze był oszołomiony huraganem, który gwałtownie wdarł się do jego nowego mieszkania. Huragan wcielił się w wysoką i niebywale chudą kobietę, która jak ptak sfrunęła tu nie wiadomo skąd. Może istotnie był to sam Wicher, co hula po polach i lasach, nabrawszy tchu ziemskiego i niebieskiej mocy. Czasem ma ochotę tak pożartować: przyjść i zbić z tropu kogoś przemieniając się w kobietę lub mężczyznę, a wtedy dziwne rzeczy dzieją się tam, gdzie go przyniesie: jest wtedy ruch i bieganina, rozmach i niepokój.

Na razie Włodzimierz siedzi w swojej niespodziewanie pojaśniałej izdebce, dokoła przędzie się pajęczyna zmierzchu; Wicher przeszedł był ze szczotką i garem pełnym białej gliny, migiem ochlastał poczerniałe ściany i sufit, po czym zmiótł śmiecie i wyszorował podłogę, później zasłał stół wysłużoną ceratą, przetarł łóżko, co w jednej chwili zajaśniało łataną, ale cudownie czystą bielizną. Po paru chwilach szyby w oknach stały się jasne i przejrzyste — Włodzimierz mógł jedynie rozłożyć ręce z podziwu.

— Czym mógłbym się odwdzięczyć? — zapytał.

— A tym, że nie będzie pan siedzieć nam na głowie jako ten dyrektor — wyrąbała może za ostro Ołeksandra Panasiwna i tak trzasnęła drzwiami za sobą, że Włodzimierz uwierzył bez reszty, iż gościł tutaj u niego najprawdziwszy Wicher, czarodziejski wichrzysko-charakternik. Zrobiło mu się ciepło na sercu i rozkoszował się później tym ciepłem jeszcze niejedną godzinę, siedząc w odmienionej nie do poznania izbie na jednym rozklekotanym krzesełku. Przez okno dochodził zapach wieczornych kwiatów; zachód już dogasał, on zaś nie mógł oderwać oczu od lekkiej drżącej poświaty, co nikła w oczach i powlekała się modrą mgiełką. Czerwień w tej mgle przybierała intensywny odcień malinowy, ale i to trwało niedługo: już tylko niewielka smużka bordo ciągnęła się w poprzek nieba, niczym zgubiona przez Wicher czerwona chustka.

Ołeksandra Panasiwna wołała dzieci i Włodzimierz drgnął, bo głos miała ostry, nieco gardłowy. Wywoływała nim jedno, drugie, aż do piątego imienia. Podszedł do okna bezwiednie i w srebrnym zmierzchaniu ujrzał wysoką i chudą postać, do której ze-

wsząd zbiegały się dzieci: jedno, drugie, piąte. Otoczyły matkę, przekrzykiwały się i wymachiwały rękoma. Ołeksandra Panasiwna objęła za ramiona starsze dzieci i zaprowadziła je do domu, reszta podążyła za nią, a najmniejsze, pięcioletnie, przystanęło w drzwiach, obejrzało się w stronę świata, przed którym teraz się kryli, i zatrzasnęło drzwi za sobą.

Spoglądał na ów dom, tak szczodrze zaludniony dziećmi, okna były otwarte, migały w nich główki dziecięce i raz po raz dobiegały ich dźwięczne, wysokie głosiki.

Nie mógł już zwalczyć swojego osamotnienia; wyjął z plecaka kilka puszek konserw, owinął w gazetę i wyszedł na zewnątrz. Musnął go tu lekki wietrzyk, co zmierzwił listowie kasztanów, i jeden, niedojrzały, upadł mu pod nogi. Podobny kasztan upadł pod nogi Hali, która ukończyła już domowe zajęcia i w milczeniu siedziała z babką i synem na ganku.

— Wydaje mi się, że jak umrę — rzekła ze spokojem stara — to będzie tu taki sam wieczór i taka sama cisza dookoła.

— U nas zawsze jest taka cisza! — roześmiała się Hala. — I nie trzeba, babciu, zaprzątać sobie głowy myślami o śmierci...

— Całymi godzinami siedzę tak sama — mówiła stara. — Ile wtedy myśli ciśnie mi się do głowy...

— O czym to tak sobie, babciu, rozmyślasz? — głośno zapytał Chłopiec.

— O wszystkim, dziecino — rzekła stara i ucichła, a spojrzenie jej zgasło. Siedziała szara i pokurczona, jedno jej oko łzawiło, wargi rozchyliły się nieco ukazując pożółkłe pniaki zębów, i Chłopiec nabrał przekonania, że musi ona znać Bóg wie ile tajemnic, bo przecież jest jego prababką.

Dokoła snuła się ulotna i niezmącona cisza, w której ćwierkał jedynie świerszcz. Niespodziewanie przejęło to Halę smutkiem równie czystym jak ten wieczór i błękitnym jak smużka na widnokręgu. Podniosła zieloną kulkę i poczęła wyłupywać z niej kasztanki. Były jasnopłowe, ułożyła je sobie na dłoni i zapatrzyła się w nie.

— Daj mi je! — poprosił Chłopiec.

Oddała mu kasztanki, które podrzucił do góry.

Wówczas odezwało się kilkanaście świerszczy, co jak gdyby czekały jeno na ten sygnał Chłopca — zacykały i zaśpiewały.

— Wydaje mi się niekiedy — rzekła Hala — że świat się kończy na tych wzgórzach...

Chłopiec zagwizdał, przywidziało mu się, że z dala, z drżącego jeszcze przejrzystego zmierzchu, wyłoniła się barczysta postać w stroju podróżnym. Zwróciła się ku niemu i uśmiechnęła, pomachała laseczką i jęła dawać znaki.

Stara milczała. Była zasępiona i ciężka, szara i nieruchoma.

Twarz miała kamienną, oczy zgaszone. Patrzyła posępnie, jak snuje się nad rzeką szary kłąb zmierzchu, i nie widziała chyba ani tego zmierzchu, ani rzeki. Spozierała na ciemne wzgórza zarosłe leszczyną i nie widziała ich. Widziała jedynie mały skrawek ziemi obsypany gęsto kwiatami, rzęsiście opromieniony słońcem i jak gdyby wyjęty z tej przestrzeni. Na tej polance biegała dziewczynka jak malowanie, z białym pieskiem: piesek ją ścigał, a ona uciekała.

Hala rzuciła okiem na starą i mroczny lęk ścisnął jej serce: w oczach jej ujrzała nieprzejrzaną ciemność i poczuła tchnienie czarnej wichury...

Chłopiec zeskoczył z ganku i zaczął szukać porzuconych w trawie kasztanów. Gdy się podniósł, spodnie miał mokre na kolanach, a w rękach trzymał jasne kłębuszki...

Włodzimierz przekroczył próg i przystanął. W izbie dokoła stołu siedziało pięcioro dzieci, a wśród nich wystrzelała wysoka i niepomiernie chuda postać.

— Przepraszam — rzekł. — Zobaczyłem tu te pani dzieci... — Zawahał się i umilkł. — Przepraszam — rzekł raz jeszcze i położył na szafce swoje zawiniątko. — To mały gościniec dla dziatwy...

Spojrzał z obawą na tę chudą i wysoką, bo wydało mu się, że się poderwie i przepędzi go razem z tym niestosownym prezentem. Jednakże znad stołu patrzyła nań całkiem inna kobieta. Wielkie, dobre i życzliwe oczy przywitały go i nagle zdał sobie sprawę, że gdzieś już je widział. Było to bardzo dawno, jeszcze tam, za ognistą granicą, jaką stanowiła dla niego i dla wszystkich ludzi wojna, zobaczył siebie w tym samym mieście, tyle że na innej ulicy — a ta o wiele starsza od niego kobieta była wówczas taka jak on dzisiaj, dźwigała na ręku dziecko, obok zaś maszerował barczysty, czworokątny nieomal mąż, co przy niej, wysokiej i szczupłej, wyglądał jak jędrny borowik. Włodzimierz patrzył wówczas na tę nieco osobliwą parę: Sancho Pansa i Don Kichot — przemknęło mu przez głowę, bowiem kobieta nie była zbyt urodziwa. Tak sobie szli wtedy ulicą, nie zważając zgoła na to, że wypadałoby iść chodnikiem, on zaś stał za płotem i nie mógł oczu od nich oderwać.

— Mieszkaliście może na Rudyńskiej? — zapytał półgłosem. — Coś mi się takiego przypomina...

Skinęła, nie wiadomo — przecząco czy potakująco — i uśmiechnęła się.

— Niech pan zje z nami kolację.

Zaprzeczył ruchem ręki, mimo to usiadł, bo nagle zobaczył na ścianie również tego barczystego i krępego, co stał na wypłowiałym zdjęciu i uśmiechał się od ucha do ucha.

— Czy to pani mąż?

Wówczas w oku jej zaświeciła łza, na tyle niezwykła dla tej wysokiej i chudej kobiety, owego wcielenia Wichru, że znów się zawahał: czy to aby ta sama osoba?

Nałożyła mu ziemniaków i obrała ogórka. Poczuł się całkiem swobodnie w tym otoczeniu — dzieci patrzyły na niego i wytrzeszczały oczy, on zaś poczuł naprawdę głód, jako że od rana nic nie miał w ustach.

— Wie pani — rzekł podnosząc do ust pierwszą łyżkę. — Tam, gdzie ja mieszkałem, nie ma już ani domu, ani rodziców...

...Srebrzystomodry zmierzch słał się za oknem. Ów zmierzch zastał na dworze siwowłosego pasterza kóz i jego żonę. Siedzieli przy wyplatanym stoliku i pili mleko z wieczornego udoju. Milczeli, bo taki mieli zwyczaj, oboje byli strudzeni, on — tym pisaniem na oplecionej powojem werandzie, ona zaś dojeniem. Teraz każde z nich miało przed sobą białą filiżankę i otaczał ich srebrzystomodry zmierzch, co spływał na nich podobnie jak to mleko. Za ich plecami potężnym masywem wyrastał dzień miniony, co też wypasał i wypił swój sok, a jego dopełnieniem był ów wieczór, owo mleko w filiżankach i cisza rosnąca wokół nich jak kwiaty. Nie wiadomo skąd naszła Iwana myśl, że jednak to dziwne: nigdy nie czytał swojego pisania siedzącej naprzeciw kobiecie, z którą dzielił życie — oboje byli nader powściągliwi w słowach. Siedzieli w milczeniu, pili mleko drobnymi łyczkami i byli naprawdę szczęśliwi, że stać ich na ten wieczorny obrządek. Nad ich głowami pięły się rosochate gałęzie, przez które stary nagle dostrzegł drżącą i ledwie widoczną gwiazdkę.

— Wiesz — powiedziała Marija, poruszywszy się nieco. — Zaczynam mieć obawy... Przyjdzie ten nowy dyrektor...

— No to mu powiesz, na co masz ochotę. W twoich latach...

— Z pierwszoklasistami jeszcze dałabym sobie radę.

— No to przydzieli ci pierwszaków.

— A w przyszłym roku?

— Co my się będziemy martwić o przyszły rok?!

Pomyślał nagle, że nie przypadkiem tak mu się powiedziało. Serce rozkurczyło się i zakłuło z lekka; znów spojrzał w stronę tamtej samotnej gwiazdy na niebie i gorycz wykrzywiła mu usta.

— Sama nie wiem, co mnie tak ciągnie do pierwszaków.

— A ja wiem! — odparł i zobaczyła jego spojrzenie, które zawsze ją zaskakiwało.

— Wiesz! — zgodziła się pośpiesznie.

Zamilkli i pogrążyli się w tym wieczorze. Mleko w ich filiżankach przemieniło się w biały lód, przemienili się w lód i oni sami. Niekiedy z gałęzi odrywały się i głucho padały w ciszy

jabłka i zamarzały tam, pośród wilgotnej trawy. Szły w owym półmroku dwa jeże, dotknęły zimnymi ryjkami jabłek, ale już były syte. Świerszcze zebrały swoją orkiestrę symfoniczną na liściu łopianu i nagle ozwały się pierwsze skrzypce. Melodię podchwyciła cała orkiestra i w mroku rozebrzmiał fortepian. „Pierwszy koncert na fortepian z orkiestrą" — pomyślał stary i przypomniał sobie czasy, gdy nawet nie miał pojęcia, że czegoś takiego można się dosłuchać. Uśmiechnął się do swej milczącej małżonki i zadumał się nad jeszcze jednym mimowolnym odkryciem: ludzie mogą całe życie przeżyć obok siebie, całe życie będą patrzeć na siebie nawzajem i dzielić chleb, ale nawet im na myśl nie przyjdzie, jaka przedziwna i niespodziewana muzyka brzmi czasem w ich sercach.

8

Włodzimierz siedział na pościeli, na razie jeszcze pożyczonej, do czasu, aż dorobi się własnej, zrzucił protezę i rozcierał obrzękłą nogę. Zacisnął zęby zmagając się z bólem i mocno przymrużył oczy. Przez czerwoną kurtynę wiszącą przed nim, przez te zaciśnięte powieki ujrzał zieloną, zalaną słońcem ulicę i siebie na tej ulicy, z szynelem przerzuconym przez rękę i z plecakiem na ramionach... Posłyszał, jak łoskocą padające jedna na drugą deski, i chociaż dawno utraciły zapach lasu, poczuł nawet ten ulotny, rzeźwiący zapach. Wynurzało się z mgły brodate oblicze stróża, który przystanął z deską na ramieniu zwracając się w stronę Włodzimierza; ujrzał, jak wyfruwa z błękitnego bezmiaru Wicher, co narodził się wśród pól i sosen, a z początku sam był sosną i źdźbłem. Wielki prostokątny stół mignął przed Włodzimierzem stając dęba — jaśniała dookoła piątka dziecięcych twarzyczek; palce rozcierały i rozcierały nogę, i ból też purpurowiał jak przypomnienie o tamtym, wielkim, przeżywanym w szpitalu. Czarna smuga przewinęła się tuż przed jego zamkniętymi oczyma i w tej smudze szmaragdowo zamigotały kasztanowe jeżyki. Przeżywał pomimo bólu i znużenia ulotny, radosny nastrój — aż cały świat z lekka jął przed nim kołować. Legł na wznak, bo w taki błogostan wprawiało go to kołowanie; zapachniało złocistym drewnem — światło z czerwonego przemieniało się w bladolila, jak owo zmierzchanie, w którym wracał od Ołeksandry Panasiwny. Raptem przypomniał sobie, że widział Ołeksandrę Panasiwnę raz jeszcze, na wieczorku u starszej jego siostry, Soni, gdy czaił się za drzwiami i podsłuchiwał głosy dochodzące z pokoju siostry albo śledził gości przez dziurkę od klucza. I wnet ujrzał tę dziurkę, tyle że wielokrot-

nie większą, i ukazały się z niej twarze ludzi, między którymi rozpoznał Ołeksandrę Panasiwnę i jej przyszłego męża... Znowu odmienił się kolor — ujrzał wielkie piaszczyste pustkowie. I biegł przez to pustkowie jeszcze na zdrowych nogach, po lewej ręce trajkotał wściekle cekaem, tuż obok biegli jego koledzy: Mykoła, Iwan i Szurko. Pierwszy upadł Mykoła, po nim Iwan złapał się za brzuch i zgiął we dwoje niczym podcięty. Biegł dalej z Szurką dopóty, aż w miejscu, w którym był tamten, ukazała się dziwaczna biała czapa. Gruchnęło co sił powietrze, zadudniła ziemia, wzniósł się czarny i czerwony słup...

Widzenie to powracało doń we śnie nie raz i nie dwa, nie raz i nie dwa zrywał się z łóżka i rzucał do biegu. Krzyczał i płakał, aż uspokajały go siostry; teraz już mógł nakrzyczeć się zdrowo, mógł płakać i biec, ile dusza zapragnie — nikt go już nie zatrzyma i nie będzie uspokajał. Krzyczał więc i przeklinał, krzyk jego zamierał w pustym budynku i słuchały go najwyżej szczury, co gromadnie zakrzątnęły się przy pozostawionej na stole połówce bochenka. Stały rządkiem wokół tej połówki chleba i czekały, aż krzyk ucichnie...

Włodzimierz usiadł na łóżku i z trudem oddychał. Noga go rozbolała, więc znów począł ją masować. Zgrzytał zębami i owo zgrzytanie jednak odstraszało szczury. Zeskakiwały ze stołu i uciekały bębniąc łapkami.

Było cicho. Zimny pot oblał Włodzimierza, ale niezdolny był wsłuchiwać się w ciszę panującą dokoła. Była to nie tyle cisza, co spokój: od rzeki dobiegało rechotanie żab, psy szczekały rytmicznie, na parapet okna wdrapał się świerszcz i zaćwierkał skrobiąc szybę chropawym skrzydełkiem. Włodzimierz siedział i serce w piersiach kołatało mu głośno. Rad był, że to tylko sen; wdzięczny był, że mimo wszystko nie zapomniał owej połaci piachu i biegu przez nią, martwił się, że już nigdy nie pobiegnie obok swoich wiernych kompanów. Smutek go trawił, lecz dookoła trwał niezmierzony spokój i splotło się to wszystko, zakołowało i jęło poruszać od nowa, on zaś, leżąc płasko na pożyczonej pościeli, wyliczał, jak gdyby odmawiając modlitwę, tych, co na wieki zostali w tej piaszczystej zamieci, tych, których twarze nieomal zatarły mu się w pamięci, a których poprzysiągł nie zapomnieć nigdy. Nawet szczurom udzieliło się jego napięcie i uniesienie, niecierpliwie drapały pazurami podłogę, lecz nie ruszały pozostawionego chleba. Rzuciły się nań dopiero wtedy, gdy modry ptak snu sfrunął na oczy Włodzimierza i przesłonił je rozłożystymi błękitnymi skrzydłami. Wówczas po raz drugi ujrzał, jak odnawia się niedawno zapyziała i zaśmiecona izba — zatańczył w niej Wicher wymiatając kurz i pajęczyny, i lekko, cu-

downie zapachniało białą gliną. Zapachniało świeżo wyszorowanymi deskami i w nasłonecznionym powietrzu załopotały srebrne skrzydła prześcieradeł. Włodzimierz uśmiechnął się przez sen...

9

Rankiem wydało mu się, że na podwórku naprzeciw szkoły widzi nie jedną Ołeksandrę Panasiwnę, ale co najmniej sześć. Golił się przy otwartym oknie, obficie, aż do oczu mydląc policzki, i zobaczył jedną Ołeksandrę Panasiwnę biegnącą do pompy po wodę, druga w tym czasie przyczesywała dziewczynki i wiązała im kokardy, trzecia czyściła nad wodą rondle, a czwarta prała w ogromnej balii pełnej mydlin. Dwaj starsi chłopcy rąbali drzewo koło letniej kuchni — były to Bóg wie gdzie zdobyte spróchniałe kłody. Włodzimierz zdejmował brzytwą kłąb piany z ciemnym śladem zarostu, pewien, że w domu są jeszcze przynajmniej dwie Ołeksandry Panasiwny: jedna zaścielała łóżka, a druga zajadle szorowała podłogę. Starsza dziewczynka pomagała mamie w praniu, druga trzepała poduszki, a najmłodsza dmuchała w rozwarte drzwiczki letniej kuchni.

Włodzimierz spojrzał tam, gdzie rozpościerało się srebrne rozlewisko rzeki i po piasku już biegały nagie chłopięta. Na wzgórzu, nadal w milczeniu, gubił się w zieloności wysoko nad nią spiętrzony dom, a przy nim ukazała się nagle postać kobieca w jasnoniebieskiej sukni. Białą ścieżką zbiegał stamtąd chłopiec w samych spodenkach; wił się dym ponad domem i Włodzimierz bezwiednie zapatrzył się na tę błękitniejącą postać pod drzewem i na to dumne i samotnie jak twierdza stojące domostwo.

Umył się i zasłał łóżko. Ciurkająca woda rozpryskiwała mu się na dłoniach i pachniała taką świeżością, że serce Włodzimierza rozśpiewało się muzyką poranku tak cudowną jak migotanie różnobarwnej rosy. Gdzieś w oddali pobrzękiwały dzwoneczki, Włodzimierz ujrzał siwogłowego starca, tego co wczoraj podążał brzegiem opierając się o swą laskę-stołeczek. Stary trzymał się prosto niczym żołnierz, a kozy melodyjnie pobrzękiwały dokoła niego dzwoneczkami. Stąpały, równo kiwając łbami, i Włodzimierz nie wiadomo czemu doszedł do wniosku, że znał kiedyś również tego starego i tę jasnoniebieską kobietę nad urwiskiem. Wydało mu się, że właśnie ten ranek przyśnił mu się w jedną z najcięższych nocy, jakie przeżył w szpitalu: właśnie te twarze wyłoniły się z głębi świata i uspokoiły go w przedziwny sposób. „Wszystko to musiało się stać — pomyślał słuchając melodyjnego pobrzękiwania — bo inaczej kto wie, czy warto by było żyć dalej..."

Niekiedy Hala miewała takie napady: chciało jej się wystroić jak najpiękniej, wziąć syna za rękę i wybrać się do kina czy po prostu przejść się ulicami; zamykała drzwi na haczyk i spędzała godziny przed lustrem przyglądając się sobie. Przerzucała sukienki, nawet jeszcze sprzed wojny, po kolei wkładała i przymierzała. Miała ochotę nucić i tańczyć, pragnęła, by okno jaśniało pogodnym błękitem i by słońce wpadało do jej pokoju. Zdarzało się to przeważnie z rana, gdy stara jeszcze spała, wówczas to Hala życzyła sobie, by spała jak najdłużej, by srebrzyste pyłki w smugach słońca lśniły i migotały i by jej oczy przeobrażały się z ciemnych w błękitne. Usta jej podówczas rozkwitały jak pąki róży, ciało zaś nabierało woni porannych kwiatów. Chłopiec o takiej wczesnej godzinie spał również i mogła nacieszyć się sobą do woli: stąpała na palcach i uśmiechała się mrugając do swego odbicia. Przyczerniała brwi i peszył ją lekko zadarty nos. Żywiła obawę, że jest to główny defekt jej urody, przyduszała go zatem i usiłowała sobie wyobrazić, że jest prosty i wąziutki. Ale wtedy twarz jej gasła, przeto wspaniałomyślnie pozwalała noskowi zadzierać się, jak wysoko zechce — wówczas na policzkach ukazywały się dwa prześliczne dołki i musiała się uśmiechnąć. „Taka sobie Hala!" — stwierdzała i cieczyła się, chciała bowiem pozostać taką sobie Halą. W takich momentach wszystko, co ciężkie i ponure, rozpraszało się jak świeżo miniona noc i choć Hala nie miała krótkiej pamięci (chociażby te wspomnienia o Anatolu — niczym ustawiczna ciemna chmurka na niebie), w owe ranki kołysała się z wiatrem i przypominała jasnoniebieski balonik, któremu niewiele brak, by pobujał w roztaczające się niebo. Podobnie też czuła, że ma ciało: czuła, jak ubranie staje się szorstkie, uwiera ją i drażni — wystarczyło, że się potknęła, gdy tak błądziła po domu, by przeszywał ją błogi spazm bólu; zdawało się jej wówczas, że spływa ku niej przez okno powietrzna bogini. Miała błękitne kontury, odziana zaś była w promienie słońca, wnikało w nią poprzez oczy, które wówczas błękitniały; stapiały się w jedno i trwały tak w sobie: bogini i ona — aż jej dech zapierało z powodu takiego zuchwalstwa. Zdawało się jej, że stoi rozebrana, a przez okno uporczywie wpatrują się w nią męskie oczy. Zbierało się jej na krzyk, aż zasłaniała usta dłonią, a drugą dłoń opuszczała do łona — niełatwo jednak było tak długo wytrwać przed lustrem młodej kobiecie z zadartym noskiem, w dodatku takiej, co nosi w sercu boginię i wie o niej.

Hali aż łzy stawały w oczach — tyle niedobrego było w jej zachowaniu, tak okazywała się niewdzięczna i lekkomyślna. Nie

jej sądzone nosić kornet mniszki i przysłaniać twarz maską chłodu. Bogini kołatała w jej sercu, więc musiała go słuchać. Już nie wstydziła się oczu za oknem, choć obce były jej zgoła — po to przecież rozkwita tutaj, przed lustrem, by na nią patrzono.

Porywy takie często kończyły się łzami, bo jak dotąd nikt nawet nie zamierzał piąć się do nich na górę i zapuszczać żurawia w jej stale zamknięte okno, jednakże czuła się wtedy osobliwie przejęta i uwznioślona. Dochodziła do wniosku, że ta jej bogini to nie żaden kaprys, i mogła ze spokojem wychodzić w najładniejszej sukience do miasta, gdzie po drodze przyciągała spojrzenia: męskie, bo była kobietą niepospolitą, i kobiece, bo i te dostrzegały w niej coś niezwykłego.

Spacer taki stanowił dla niej kolejny wybuch nabrzmiałej tęsknoty i ta jej niezwykłość również była dla niej przyłbicą — bo któż by się odważył zaczepić taką wyjątkową i taką dumną dziewczynę. Znów wszystkiemu winna była jej tęsknota, jej nieco zadarty nos i palące spojrzenie modrych oczu, bo większość mężczyzn szuka w kobiecie przeciętności. Stała tak przy oknie i szarzała, jak szarzeje zmierzch w czyimś spojrzeniu, z wolna odpływała z jej oczu bogini, porzucała ją na los szczęścia i odlatywała, a koił ją jedynie ów szary wieczór albo baczne oczy syna. Wpatrywał się w nią jak wędrowiec w gąszcz niezbadany, przeto chcąc nie chcąc przybierała powszednią maskę. Przez to jak gdyby zbliżała się do niego, by wziąć go za rękę i wyprowadzić z gęstwiny, bo cóż innego jej zostawało, gdy owe szare oczy robiły się nagle takie dociekliwe?

Spotykała w tym domu jeszcze jedne oczy, mądre i zamglone, i bała się ich nieco, bo widziały więcej, niż można było po nich poznać.

Stara rzeczywiście widziała boginię w sercu wnuczki i w zakamarkach pamięci ukazywało się jej coś takiego, do czego nawet bała się przyznać — owa wciąż młoda kobieta, kręcąca się jej przed oczyma, była nią samą. Zniekształconymi palcami ściskając laseczkę, na której stale się opierała, i spoglądając na znoszone trepki kryjące jej węzłaste i pokurczone stopy, gderała z nieukontentowaniem, że przez to Hali laufrowanie wszystko w domu jest zapuszczone, że wszędzie wiszą pajęczyny, a podłoga już zaczyna zakwitać. Że obiad nie jest na czas ugotowany i że w komórce nagromadziła się sterta nie upranej bielizny. Podnosiła oczy i z zadowoleniem śledziła, jak z wolna znika z twarzy wnuczki jej uroda, jak szarzeje i blednie, i jak wyfruwa z jej serca olśniewająca błękitna bogini.

Hala rzeczywiście uspokajała się i pogrążała w domowych zajęciach. Gotowała, prała, obsługiwała starą, łatała ubranie synka. Syn wówczas mógł spokojnie przyjść do niej po wieczorny

pocałunek w czoło, a na wargach starej zakwitał wątły cień satysfakcji. Nocą wszyscy troje myśleli o sobie nawzajem i dochodzili do przekonania, że najważniejszą łączącą ich sprawą jest miłość!

11

Miała na sobie jasnoniebieską sukienkę i już wiedziała, że dzisiaj ogarnie ją znów ten poryw; coś niepokoiło ją w nocy, przyśniły się jej dwa sny: jeden o niej samej, a drugi o nieznajomym, który boleśnie pocałował ją w usta. Leżała na lewym boku i bolało ją serce, ale nie mogła oderwać ust od tamtych, które piły ją i wypijały. Sen o niej samej był mniej skomplikowany: przyśniło się jej, że już zaczął się rok szkolny i że stoi w zgiełkliwej niczym ul klasie.

Stara obudziła się dziś przed świtem i ledwie Hala włożyła na siebie jasnoniebieską sukienkę, w głębi domu rozległ się krzyk ostry i gardłowy niczym krakanie wrony. Hala zastygła z otwartymi ustami i suknia sama osunęła się na jej ciele. Cichy żal obudził się w jej sercu, bowiem nawiedziła je już bogini, przeto z poczuciem winy spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Krzyk powtórzył się znowu, lecz Hala wciąż jeszcze nie mogła wyjść ze swego odrętwienia, jako że miała na sobie swoją najpiękniejszą sukienkę, a twarz jej mogła zafascynować każdego.

Bose pięty zadudniły na korytarzu i Halę ogarnął smutek, że musi zaniechać swojego ulubionego tańca przed lustrem i nie popłacze później, gdy zdejmie z siebie sukienkę i tę szczęśliwą maskę z twarzy.

Ktoś zapukał do drzwi i Hala usłyszała zaspany jeszcze głos Chłopca:

— Chodź, bo babcia cię woła!

— Idę już, synku, idę! — odezwała się speszona. — Powiedz, że zaraz będę gotowa...

Przez cały dom znów przebiegło władcze i dobitne wołanie, Hala schwyciła puszek z waty, by przypudrować sobie twarz i zgasić na niej to niecodzienne światło. Jednakże puder nie pomógł, wydawało się, że jaśniejąca uroda pochłania wszystko, co mogłoby świadczyć na jej niekorzyść. Hala potrząsnęła głową, westchnęła i dała za wygraną.

Poszła taka, jaka była, jasnomodra i promienna, na poły zauroczona i uśmiechnięta, bawiąc się błękitną chusteczką trzymaną w ręku. Urokiem swym owionęła Chłopca, który zamarł na progu swego pokoiku i poczuł nagle, jaki w porównaniu z nią jest mały i nijaki. Zapragnął schylić się w pokłonie przed tym niespo-

dziewanym maminym majestatem, unieść błękitny tren i pójść w jej orszaku, dumnie zadzierając brodę do góry. W jego zaspanej głowie zamigotały wszystkie opowieści z tysiąca i jednej nocy, jakie przeczytał w tym domu, buszując w mocno przetrzebionym księgozbiorze dziadka — w tym momencie rzeczywiście wierzył we wszystkie te opowieści, bowiem przywidziało mu się to, czego nie rozumiał. Matka zaś nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem, nieszczęsnego i małego, w koszulinie i spodenkach, tutaj, w tym szarym korytarzu, odezwał się więc do niej półgłosem, ledwie rozchylając usta.

Usłyszała go od razu, bo nagle doznał olśnienia — ta błękitna, promienna postać przybliżyła się doń i przytuliła go w raptownym porywie.

— Wybierasz się gdzieś? — tchnął prosto w owo jedwabne, jasnomodre kolisko, w którym się znalazł.

— Nie — odrzekła. — Nigdzie się nie wybieram.

Wówczas zrozumiał ją nagle. Nie było to zrozumienie dające się wypowiedzieć słowami, lecz zrozumienie jednej duszy, która odbiera sygnały drugiej. Dojrzał chyba modrą boginkę w jej sercu, a tuż obok niej ów czarny obłoczek. Ujrzał jej tęsknotę na podobieństwo obłoku, a może i ptaka, co leci i leci w dal między chmurami. Był obok tej kobiety czymś przypadkowym i przyniesionym z zewnątrz, co odczuł nad wyraz dotkliwie. Zaciął usta i patrzył, jak ona odchodzi: nie miał siły pójść za nią ani krzyknąć za nią raz jeszcze... Hala stała na progu babcinego pokoju w całej swojej krasie. Światło z obu okien skupiło się na niej, jakby zaświeciły dwa reflektory, i stara w swoim ciemnym kątku osłupiała z podziwu. Promieniowanie bijące od tej postaci we drzwiach, od tej jasnomodrej tkanki i niepospolicie pięknej twarzy padło również na nią i rozmroziło jej siwe oczy. Rozprzejrzyściło jakiś dawny skrawek ziemi bujnie porosły trawą — był on okrągły jak czapka dmuchawca i w owej zamglonej kuli rozpoznała na nowo tamtą piękność, co jednak miała na sobie sukienkę nie jasnomodrą, lecz czerwoną. I jej krój też był inny — ciągnęła się do ziemi, a piękność miała jaśniejsze włosy: szła i skrajem spódnicy zmiatała spadochroniki dmuchawców. Zrywała te czapki i dmuchała w nie leciutko, a wokół wszystko się słało, śnieżyło od tych puszków nieprzeliczonych. Kołysała się i płynęła, uśmiechając się melancholijnie, do niej zaś szedł pod górę wysoki przystojny mężczyzna. Na pamięć znała twarz tego człowieka — szedł utykając nieco i oczy mu pałały mrocznym płomieniem...

Stara bez trudu spłoszyła to widzenie, tak jak gdyby zmięła i wyrzuciła stary wycinek z gazety; zamykała się jak muszla perłówki, wsuwała się jak ślimak do swego domku; i znów ro-

biła się mała, czarna, zaskorupiała, przypominająca raczej stary pniak niż człowieka. Już nie widziała ani tego światła promieniującego od wnuczki, ani jej jasnomodrej sukienki. Widziała jedynie ciemną, zapyziałą izbę, meble, które były nowe przed czterdziestoma laty, w oko wpadł jej nie tamten dawny promień, ale pajęczyna, co słała się niczym złotawy drucik i osnuwała cały pokój fantastyczną koronką, w której pająkiem była ona sama. Napięła się i sprężyła wewnętrznie, już nie mogąc znieść tego milczenia, jakie między nimi zaległo, gotowa zsunąć się po złotych strunkach swojej pajęczyny, by strzyknąć w tego modraszka trzepocącego we drzwiach bodajby cieniuteńką strużkę jadu.

— Czego chciałaś, babciu? — zapytała Hala nie umiejąc powstrzymać radosnego uśmiechu.

— Podaj mi nocnik — ochryple zazgrzytała stara.

12

Kozy rozproszyły się, Iwan zaś zadarł starannie ogoloną brodę, zmrużył oczy — wiatr swobodnie mierzwił grzywę jego włosów. Wpatrywał się w ranek, mleczny i ciepły, znad rzeki schodził siwy opar, przez który zewsząd przebijały głazy. W oddali wytrząsał sieci Stary Piskorz, wydawało się, że ktoś podpalił i rzekę, i te głazy, i Starego Piskorza z jego sieciami. Nieco na uboczu przechodziła rzekę w bród kobieta ze wsi, fosforyzowała we mgle jej biała chusta, a koszyk z łyka na plecach sprawiał, że wyglądała na zgarbioną.

Iwan ze swoim stadkiem przechodził pod wierzbami, które się rozrosły nad wodą: z wąskich listeczków spływały krople i głucho padały w puszysty piach. Wsłuchiwał się w ten przedziwny koncert kropel; jedne z nich biły w wodę, a inne żłobiły kamień; nie opadał hałaśliwie ćwierkały wróble, Iwan zaś wiązał to wszystko wyobraźnią — dźwięki, barwy i ruchy żywych stworzeń. Kobiecina z łubianką na plecach mignęła przed nim ciemną, niemal brunatną twarzą, pozostawiając na piasku sznureczek kaczych śladów. Stary Piskorz przestał wytrząsać sieci, ukląkł, a wokół niego jęły błyskać srebrzyście w podskokach piskorze i płotki. Żarzył się w ustach rybaka ognik papierosa, gdy ten łowił rękoma owe srebrne błyski, jak gdyby pochłonięty był jakąś grą.

Kozy żwawo miesiły piach raciczkami, Iwan zaś szedł niemal nie zostawiając śladów za sobą. Nie deptał trawy i nie ugniatał piasku; zdawało się, że płynie nad ziemią, raz po raz odpychając się od niej swoją laską-stołeczkiem. Mgła spowijała mu no-

gi i Marii zdawało się, że nie dotyka on również głazów przeprawiając się przez rzekę. Stała przy otwartej wrótni i tak jak przed czterdziestoma laty dziwiła się, że tak zgodnie i dobrze żyje ze swoim mężem. Pomyślała, że tym dziwniejsze może to być dla kogoś z zewnątrz: przecie już od czternastu lat mąż jej nie robił nic innego, tylko pasał kozy. W ciągu czterdziestu lat nigdy nie obchodziły go dochody i wydatki rodziny. Po prostu jadł, co mu dała, i nie domagał się frykasów. Marija w myśli przemierzyła tę drogę, jaką przebyli razem, i cichy smutek przemieszał się w niej z radością. Obejrzała się i nieomal ujrzała pochyloną nad stołem na werandzie postać męża, posłyszała znajome skrzypienie pióra czy szelest ołówka. Kiedyś, gdy była młodsza, próbowała zajrzeć do tych zeszytów, które zapisywał, ale nie potrafiła sobie z tym poradzić. Czytała jakieś piękne słowa, a jednocześnie dobiegał ją głos męża ochrypły niczym sypiący się piasek.

Zimą Iwan siedział przy piecu, do którego wspólnie łupali narąbane przez niego trzaski, na kolanach miał rozłożoną książkę, treści jej Marija znów nie mogła zrozumieć — były to pisma Skoworody. Wzdychała niekiedy: cóż, niech już zostanie w nim owo niezrozumiałe dla niej pisanie i ten Skoworoda. Skoro mu to potrzebne dla spokoju ducha, chętnie się z tym godziła...

Stary piął się wraz ze swoimi kozami pod górę. Widział kwiaty, grzyby, żabki-rzegotki i słyszał dokoła śpiew ptaków. Słuchał szmeru liści, a niekiedy dostrzegał między trawami żółtouchy łebek węża. Nie rwał kwiatów i nie strącał niejadalnych grzybów, nie płoszył węża ani rzegotek. Czasami brał żabiątko do ręki i przyglądał mu się. Słuchał skowronka, który dołączał swój śpiew do skomplikowanego świata brzmień dookolnych, i sprawiało mu to przyjemność. Kozy się rozproszyły i pasły na swobodzie; jemu zaś się zdawało, że widzi nici związujące wszystko życie na ziemi. Siedział na swoim rozkładanym stołeczku i patrzył pod nogi. Widział kreta ryjącego norę i tysiące korzonków plotących koronkę na ziemskim ziarnku grochu. Piły sok ziemi, on zaś widział wyraźnie, jak ten sok przesącza się z korzeni w łodygi i rozpływa się po listkach. Kozy chwytały te listki, przeżuwały, Iwan zaś pilnie śledził, jak sprawnie chodzą i mielą ich zęby. W takich chwilach oczy jego prześwietlały bydlątka niczym promienie Roentgena: oglądał jelita, żołądki, serca, płuca — wszystko to poruszało się i pracowało. Od strony miasta raz po raz trąbiło auto czy warczał silnik, stary otrząsał się więc i spozierał w tamtą stronę. Ale i to nie zakłócało jego harmonii: maszyny były dla niego żywymi istotami, podobnie jak kozy i drzewa. We wnętrzu maszyn też wszystko poruszało się i tętniło, tyle że kształty ich były kanciaste, a kolory jednostajne...

Marija na wzgórzu naprzeciw już zamknęła wrótnię i weszła na stopnie ganku. Nagle zaparło jej dech i uchwyciła się poręczy: boleśnie zakołatało jej serce w piersi. Stała oblana zimnym potem i łapała oddech. Gdy się uspokoiła, westchnęła z trudem. Nie mogła chorować, dopóki on żyje, i nie miała prawa umrzeć. Piła walerianę i modliła się w myśli, by się jakieś licho nie wywiązało z tego ataku. Usiadła bezwiednie w wiklinowym fotelu i położyła rękę na zamkniętym zeszycie.

13

Domostwo było wysoko, na szczycie wzgórza, prowadziła doń ścieżka stroma i kamienista, więc noga zaczęła go boleć już na początku tej wyprawy. Nieźle byłoby podeprzeć się laską, ale Włodzimierz się zawziął, że się bez niej obejdzie, szedł więc i pot kroplisty rosił mu czoło. Raz po raz spoglądał w górę i mimowolnie spodziewał się, że zabłyśnie tam jasnoniebieska sukienka, co zwabiła go tutaj o świcie, ale domostwo milczało wyniośle w otoczeniu drzew i parkanu. Nad wszystkim górował kasztan i Włodzimierz zmierzał wprost w jego stronę. Niekiedy stawał i robił odsapkę: zresztą ten marsz przypominał mu również ową najcięższą noc w szpitalu: podobna przywidziała mu się góra i kamienista ścieżka. Licho wie, po co wspinał się tutaj, mógł przecież posłać z poleceniem któreś z dzieci Ołeksandry Panasiwny, ale to jego poranne rozmarzenie! Ono go tu sprowadziło. Przystawał, nabierał tchu i patrzył na pagórkowaty krajobraz z rzeką w dolinie — wszystko aż tryskało słońcem: zieleń, piasek, sama rzeka i niebo. Nad głową zadzwonił mu skowronek i Włodzimierz się zdziwił, że ten polny ptaszek przyleciał tutaj, na wzgórze; dokoła czuć było gorycz piołunów, co znów przypomniało mu dzisiejszy poranek. Kamienie zdążyły się już nagrzać i wydzielały ciepło — zapach miodnych ziół z domieszką goryczy. Umykały na boki spłoszone jaszczurki, a on szedł i szedł, coraz ciężej utykając na swojej protezie. Ten kasztan przed nim i owo domostwo, skowronek i piołun, gorzki miodowy zapach i coś, co niezrozumiale ciągnie go do tego domu — wszystko to składało się na nastrój, jakiego doznajemy budząc się w pokoju zalanym słońcem. Tryumf i ból, brak tchu i entuzjazm — wszystko to przepełniało Włodzimierza, ale też na swój sposób obezwładniało. W głowie majaczyła mu nieco obłąkana myśl o królewnie na lodowej górze i o rycerzu, który pnie się do niej desperacko.

Był zmuszony przystanąć i usiąść, bo z tej niewygodnej wspinaczki migało mu w oczach. Obok ćwierkały świerszcze i wy-

bujała kwitnąca kaszka. Pachniała miodem, wyciągnął więc do niej rękę. Przytulił do twarzy miodową kiść i pił jej niezrównany aromat. Serce gotowe było wyskoczyć mu z piersi, spojrzał z nadzieją pod górę: przed sobą miał jeszcze spory kawał drogi do przebycia.

Od strony domu ścieżką szedł Chłopiec z białą blaszanką, schodził bawiąc się nią i wprawnie utrzymując równowagę, i Włodzimierz cicho pozazdrościł mu tej wprawy i zręczności.

— Dzień dobry! — ozwał się do Chłopca. — Jesteś z tego domu?

— Tu jest tylko jeden dom, jak pan widzi! — odparł Chłopiec.

— Ja idę do Haliny Iwaniwny. Może to twoja mama?

— Moja! — z dumą rzekł Chłopiec i uniósł brodę. — A pan kto taki?

— Ja jestem dyrektorem szkoły — wskazał dłonią w dół Włodzimierz. — Do której klasy chodzisz?

— Ja chodzę do miasta — rzekł Chłopiec. — Do czwartej klasy...

— Nie podoba ci się ta szkoła?

— Ano nie — roześmiał się Chłopiec. — Bo tam moja mama uczy.

— A czy mama jest w domu?

— A gdzież ma być?

Włodzimierz wstał z wysiłkiem. Zrobił parę kroków i obejrzał się. Chłopiec patrzył za nim.

— A czemu pan się tak dziwnie wspina pod górę? — zapytał.

Włodzimierz poczuł, że twarz mu się czerwieni.

— Nigdy nie mieszkałem na takich górkach — rzekł pojednawczo.

— A czemu pan nie wezwał mamy do szkoły, skoro pan jest dyrektorem. Góra nie chodzi do Mahometa, ino Mahomet do góry.

— To ty coś wiesz o Mahomecie?

Chłopiec zagwizdał.

— Dlaczego miałbym nie wiedzieć o Mahomecie?! — rzekł z przechwałką.

Ścieżka zaczęła piąć się jeszcze bardziej stromo i Włodzimierz zapomniał o Chłopcu za plecami. Miał ochotę pokuśtykać na jednej nodze dopomagając sobie również rękoma. Był jednak pewien, że tamten wciąż jeszcze stoi, starał się więc jak najmniej utykać. Rzucił okiem za siebie. Chłopiec już był daleko w dole. Gdzieś tam, pomiędzy tą zielenią, pomyślał sobie Włodzimierz, może stać również ta jasnoniebieska postać, co dziś rano tak go

załascynowała; możliwe, że patrzy, jak on się szamoce, i po cichu się z niego śmieje. Znowu zrobiło mu się gorąco, bo musiał uchwycić się łodygi piołunu, by się podciągnąć wzwyż po stromiźnie. „Rycerze zdobywający szklaną górę — pomyślał — spadali, bo nie mogli wdrapywać się na czworakach." Coraz częściej czepiał się rękoma burzanów, a z poczerwieniałej twarzy obficie ściekał mu pot.

Hali, która rzeczywiście obserwowała tę dziwną wspinaczkę, wydawało się, że mężczyzna idzie w rytmie jakiegoś tańca. Jeszcze nie opuścił jej nastrój poranny i nadal w sercu gościła błękitna bogini. Przez cały ranek czuła jakiś dziwny niepokój i podniecenie, a teraz stoi i z zaskoczeniem śledzi owego dziwnego wspinacza. Litowała się nad nim i zdumiewała, a serce drążył niepokój. „To te bajdurzenia babci" — pomyślała i obejrzała się na starą, która siedziała drzemiąc na ganku. Czy to pod wpływem spojrzenia Hali, czy też wiatr powiał mocniej, w każdym razie stara się ocknęła i ujrzała wnuczkę znieruchomiałą przy parkanie. W mózgu jej zaświtało modre jeziorko i ujrzała ten sam co zwykle obraz: oto sama przywarła do parkanu i patrzy, jak wspina się do jej domostwa mężczyzna w jasnym garniturze i z chwackimi wąsikami. Wizja ta ożywiła starą, wyprostowała się i zwróciła w stronę wnuczki:

— Kogo wypatrujesz? — zapytała niespokojnie.

Hala aż wzdrygnęła się na ten głos.

— Jakiś mężczyzna idzie do nas — rzekła. — I tak jakoś dziwnie się porusza.

— Cóż to za mężczyzna? — ostro zapytała stara i aż złożyła ręce.

— Nie wiem, babciu — odrzekła Hala niepewnie. — Widzę go po raz pierwszy...

Znów coś zadrgało w piersiach starej i poczuła duszności.

— A może to ten, Halu?

— Jaki ten?

— No ten, co ma przyjść do ciebie!

— Też ci się ubrdało! — obruszyła się Hala. — Pewnie przyszedł z jakimś interesem...

— Tutaj za interesami mężczyźni nie przychodzą — odezwała się stara z namysłem. — Na ile pamiętam...

— Jak ty zaczniesz coś fantazjować, babciu!...

Ale stara była podniecona już na serio. Sama nie wiedziała, co się z nią dzieje, od bardzo dawna tak się nie denerwowała. Może dlatego stuknęła zajadle laską i zachrypiała z oburzenia.

— Ty mi nie wmawiaj, że kłamię! Jak go nie chcesz przyjąć, to się schowaj, a ja spławię go sama... Powiadam ci: tak było w tym domu i tak będzie!...

Hala obróciła się do niej zdziwiona: stara aż pałała oburzeniem. Widniała tam, na ganku, niczym na scenie, wyciągała w stronę wnuczki laskę i dygotała. Na mgnienie spotkały się oczyma — stara i młoda: młoda jaśniała powabem i spokojem, a stara pozieleniała. Zadrżało serce Hali, na moment uwierzyła w babciną opowiastkę i lęk zakołatał do jej serca.

— Słuchaj, babciu... — zaczęła, ale stara już zwiędła na ganku jak kwiat. Ramiona jej się skuliły, a oczy przygasły. Z trudem łapała oddech, ręce jej obwisły, a laska z łoskotem wypadła z palców. Zielona twarz starej oklapła i tylko na dnie jej oczu zamajaczyło błękitne jeziorko, które odbiło zupełnie odległy obraz: wprasza się do nich z wizytą mężczyzna w odświętnym ubraniu, wyschło mu w gardle i chce się u nich napić wody...

14

Włodzimierz stał biały jak ściana, z czoła spływały mu krople potu, a całe ciało przenikał zdradziecki dreszcz. Oczy miał szeroko otwarte i gdy Hala zwróciła się w jego stronę, wydała lekki okrzyk. Mimo woli rzuciła mu się na pomoc, bo rzeczywiście się zachwiał, usiłował wymacać w pobliżu punkt oparcia, stał jednak na środku pustego podwórza i ręce jego daremnie szukały równowagi. Szare i czerwone kręgi zawirowały mu przed oczyma, trafił jednak na jakieś oparcie — było gorące i miękkie. Pozwoliło mu to utrzymać się na nogach, toteż z wolna przeszedł mu zawrót głowy, koła się rozpłynęły, a raźny, zielony blask zaświecił mu w oczy.

Gdy je otworzył, ujrzał, że siedzi na ławce, w ręku trzyma kubek z wodą, naprzeciw zaś, w jasnomodrej sukience, stoi i uśmiecha się z zakłopotaniem, ukazując cudowne dołki w policzkach, kobieta, jaka może się jedynie przyśnić.

— Źle się pan czuje? — pytała. — Źle się pan czuje?

Włodzimierz spróbował się uśmiechnąć i potrząsnął głową przecząco.

— Zapytaj go, co mu potrzeba? — stara krzyknęła, jakby kruk zakrakał.

— Przypatruję się panu już od dawna — rzekła Hala. — Pan tak jakoś dziwnie podchodził pod górę...

Włodzimierz nie mógł oderwać oczu od tego jasnoniebieskiego zjawiska. Słońce świeciło prosto w twarz Hali i czy to z tego słońca, czy z powodu dopiero co przeżytego omdlenia zdawało mu się, że kobieta cała jest skąpana w błękitnej poświacie. Tam,

na ganku, siedziała jeszcze jedna kobieta, stara jak te drzewa — pochyliła się w ich kierunku i nadsłuchiwała z drżeniem.

— Halu — zawołała — słuchaj, Halu!

Ale Hala jak gdyby zgoła o niej zapomniała: siedzący przed nią bezradnie mężczyzna podobał się jej. Patrzyli i nie mogli oderwać od siebie oczu.

Nie widział w niej zwykłych powabów kobiecych; później, gdy zeszedł już w dolinę, nie umiał powiedzieć, czy miała oczy czarne, czy też niebieskie. Pamiętał tylko błękit i uczucie jakiejś przedziwnej, oszołamiającej piękności, a zarazem lęk, jak gdyby on był ćmą, a ona płomieniem, więc siedząc na górze z kubkiem w ręku i bezmyślnie gapiąc się na nieznajomą kobietę raptem uwierzył, że wszystkie ludzkie bajania to samo życie, podobnie jak i tamto, które na co dzień oglądają nasze oczy. Chciał, by to jego oczarowanie trwało jak najdłużej, niech jak najdłużej pogrąża się w falach takiej oszołamiającej hipnozy — nie był w stanie oderwać wzroku od kobiety, choć i patrzeć też już nie miał siły.

— A w jakiej sprawie? — zapytała już spokojnie stara.

Głos ten otrzeźwił Włodzimierza. Zerwał się i zaczerwienił po same uszy: przecież przyszedł tu z urzędową misją.

— Chciałem mówić z Haliną Iwaniwną — rzekł i przybrał sztywną postawę.

— To ja! — uśmiechnęła się Hala.

Stała z uniesionymi brwiami i śmiała się do rozpuku, co go niemal oślepiło. Musiał przybrać minę serio, przykryć twarz maską, jaką zwykle nakładają zwierzchnicy wobec podwładnych, ale podobnie jak nie powiodło mu się to z Ołeksandrą Panasiwną, tak i tutaj się to nie udało. Tamtej pierwszej kobiecie poddał się już dawno jak matce, a tej drugiej — sam Bóg wie dlaczego. Stąd też głos mu zachrypł i ledwie wyszedł z wyschniętych ust.

— Jestem nowym dyrektorem szkoły, proszę pani. Chodzę teraz, bo chcą się poznać z nauczycielami, i czas by już się zebrać na radę pedagogiczną.

Nie patrzył na nią, nie mógł, by nie oślepnąć do reszty. Chętniej już patrzył na starą, która wysunęła się z obawą w jego stronę i nadsłuchiwała czujnie.

— Czego on chce, Halu? — zapytała wnuczki.

— To jest nowy dyrektor szkoły — uspokoiła ją Hala. — Przyszedł poznać się z nami.

— A dlaczego cię nie wezwał?

— Czemu pan nie przysłał po mnie kogoś? — spytała miękko Hala, tak jak dorośli pytają dzieci. — Taki mamy zwyczaj...

— Widzi pani — Włodzimierz rozłożył ręce — ja jeszcze nigdy nie piastowałem takiej godności...

Roześmiali się oboje naraz, a stara na ganku sposępniała.

— Nie zawracajcie mi głowy — rzekła. — Co to za dyrektor? Dyrektorzy siedzą w swoich gabinetach...

— Niech pan nie zwraca na nią uwagi — szepnęła Hala czerwona jak piwonia. — Moja babcia jest bardzo, bardzo wiekowa...

— Może ja rzeczywiście nie w porę — wymamrotał Włodzimierz. — Posiedzę tylko trochę...

Oddał jej kubek trzymany w ręku i teraz obracała nim nie wiedząc, gdzie go podziać...

— Czemu on siedzi, a ty stoisz? — zapytała stara.

— Zaraz usiądę, zaraz! — spłoszyła się Hala i przysunęła jakiś nader staroświecki fotel z rzeźbionymi główkami na oparciu. Usiadła, wionąwszy jasnomodrą falą jedwabiu, więc znów zmuszony był spotkać się z nią oczyma. Straciła już rumieńce, była blada i spokojna, nieco zmęczona, oczy miała szeroko otwarte — falowało w nich głębokie morze. Tchu mu zabrakło i przełknął ślinę, co też była jak morska woda.

— Halino Iwaniwno! — rzekł cicho i łagodnie.

Dawno już nie słyszała takich intonacji z męskich ust, a w dodatku twarz jego nie wydawała się już nieznajoma, bo spotykała go dawniej, więc cień padł na nią i spoważniała jeszcze bardziej, i choć jej twarz jaśniała równie czarująco, oboje poczuli chłód. Zląkł się tej niespodziewanej obcości, opuścił głowę i natrafił oczyma na swój but oblekający protezę.

— Był pan ranny? — zapytała cicho Hala.

— Proteza niestety — rzekł przez zaciśnięte zęby i wstał.

— Przepraszam, niech pan jeszcze siedzi! — przelękła się Hala. — Przecież nie wiem, kiedy będzie ta narada.

Stara siedziała na ganku niczym zapomniany pieniek. Zmalała, pozieleniała, skurczyła się, palce jej przywarły do laski, oczy zaś przeobraziły się w okrągłe guziki. Znów przed oczyma zamajaczył jej modry obłoczek, w którym odmalowały się zarysy góry i zamku na niej, i na dziedziniec tego zamku wkraczał urodziwy mężczyzna, któremu później sądzone było tu zamieszkać, jako że na wieki zadurzył się w błękitnej piękności, co wyszła podać mu wody. Łzy — jedna za drugą — ciekły starej z oczu, gdy ujrzała córkę przybysza i owej piękności — była kropka w kropkę podobna do matki. Już drugi obłoczek wykwitał w jej pamięci i kolejny mężczyzna wstępował do ich domu z prośbą o danie mu wody. Szła mu na spotkanie piękność w czerwieni i nowy przybysz również musiał się zatrzymać i zadurzyć się w niej...

Stara szeroko rozwarła oczy. Trzecią piękność miała przed sobą i na własne oczy widziała trzeciego przybysza. Zbierał się już do odejścia, ale wiedziała, że nie odejdzie stąd nigdzie. Ten nowy przybysz zaniepokoił ją nieco... ależ nie, on też przypominał niebywale tamtych dwóch, których dane było jej poznać. Wprawdzie ten pierwszy miał junackie, wspaniałe wąsy...

Stara uśmiechnęła się. Topniała na swoim ganku, niknąc coraz bardziej, a gdy tamtych dwoje obejrzało się na nią, to ledwie ją zauważyli, taka była malutka i pokurczona: siedziała i roniła starcze łzy, których pojąć nigdy nie będzie im dane.

15

Była to codzienna marszruta Chłopca: z góry, dalej ścieżką na przełaj wzdłuż skały, złożonej ze spękanych, bezładnie spiętrzonych na sobie głazów. Z boku od skały legła urwista kamienna ściana, po której lubił piąć się Chłopiec — cała porysowana setką jemu jedynie wiadomych ścieżek. Teraz w ręku pobrzękiwała mu pusta blaszanka i zmierzał jak zwykle po mleko do Marii Jakiwny. Kozie mleko lubili wszyscy mieszkańcy domu na wzgórzu, toteż wyprawy do Marii Jakiwny były dla Chłopca przyjemnością. Ciągnęło go też co innego: niekiedy zastawał najpierw pradziadka, co był tak wspaniały i tajemniczy, że Chłopca zaciekawiało samo jego oglądanie. Zawsze mu się zdawało, że zamknięte usta starego kryją niejedną tajemnicę, a tajemnice pociągały Chłopca nade wszystko.

Od czasu do czasu Marija Jakiwna zapraszała Chłopca w odwiedziny, a tutaj wszystko było inne niż u nich: jeden pokój suto obwieszony zazdrostkami z klockowej koronki i zasłonami pociemniałymi ze starości, drugi zaś, w którym najbardziej lubił przebywać pradziadek, był prawie pusty: wąskie łóżko żelazne, dębowy stół nie nakryty serwetą ani ceratą, i wielka, ciemna rzeźbiona skrzynia. Z boku stała etażerka z balaskami przypominającymi wielkie pionki szachowe, stało tam z pół setki książek, przeważnie z wytłaczanymi w skórze grzbietami, ale nad podziw dobrze zachowanych. Zawsze miał chęć poprzeglądać te książki, jak robił to nieraz w domu, lecz jakoś nie nadarzyła mu się okazja. Leżało tam jeszcze kilka grubych, oprawnych w skórę zeszytów, które też stanowiły pokusę dla Chłopca, lecz udało mu się przekartkować tylko jeden, leżący stale na werandzie...

Odwiedzał ich dom, jakby dokonywał jakiegoś uroczystego, dawno wyuczonego obrzędu, i to też sprawiało mu przyjemność. Stawał przy furtce, ujmował kołatkę, będącą też czymś osobliwym, i stukał w pociemniałe, spękane deski. Słuchał, jak śpie-

wają drzwi w głębi domu, po czym rozlegało się niegłośne klapanie kapci Marii Jakiwny. Wyglądała przez furtkę, widząc zaś Chłopca i jego blaszankę, rozkwitała życzliwym uśmiechem. Wchodził przez furtkę z dostojną miną, a Marija Jakiwna niezmiennie pochylała się i całowała go w czoło.

— Jak tam się miewa mama i babcia? — zapytywała go niezmiennie, a on odpowiadał, że dobrze. Gdy zaś która z nich zachorowała, opowiadał o tym powoli i ze spokojem. Marija Jakiwna przytakiwała i skarżyła się, że mama Chłopca dawno już jej nie odwiedzała, ona zaś, czyli Marija Jakiwna, naprawdę się już za nią stęskniła.

— A to już wkrótce lato przeleci — mówiła Marija Jakiwna.

— Wciąż ma mało czasu — odpowiadał Chłopiec.

— Wszyscy nie mamy czasu — filozoficznie odpowiadała Marija Jakiwna i wprowadzała go na werandę. Na stole, co prawda nie na tym, na którym zawsze leżał zeszyt, stała imponująca staroświecka waza napełniona po brzegi jabłkami, gruszkami, śliwkami i morelami.

— Siądź i połasuj sobie! — mówiła Marija Jakiwna biorąc od niego blaszankę.

Z lubością nadgryzał gruszkę, jabłko czy śliwkę i myślał, że nigdzie nie ma takich owoców jak w tym domu. Stara tymczasem zstępowała po schodkach i kierowała się do loszku na podwórzu. Otwierała niskie drzwiczki i znikała w nich, a Chłopiec wiedział, że zostaje sam na całych piętnaście minut. W mig podbiegał do zeszytu na sąsiednim stole i wpatrywał się w wielkie, powykrzywiane i majestatyczne litery, na próżno usiłując wniknąć w zawiłą przeplatankę słów. I choć nie rozumiał nic z tego, co czytał, chciwie i z niecierpliwością wgłębiał się w ów charakter pisma — kartki te bowiem tchnęły jakimś głębokim czarem i spokojem.

Gdy tylko z piwniczki doszły doń wyraźniejsze odgłosy krzątania, w mgnieniu oka podbiegał do stołu z owocami i co prędzej zaczynał je jeść.

Marija Jakiwna szła ku niemu z bańką pełną połyskliwego mleka, on zaś tymczasem zdążył pozostawić wokół wazy niejeden ogryzek i niejedną pestkę śliwki.

— O, widzę, żeś nie próżnował — z zadowoleniem mówiła Marija Jakiwna i wichrzyła mu wybujałą przez lato czuprynę.

— Gruszki pycha! — niezmiennie odpowiadał Chłopiec i za tę pochwałę dostawał ich na drogę tyle, ile tylko zdołał nakłaść za pazuchę.

Jeden z chłopców Ołeksandry Panasiwny poszedł po naftę, nastoi się przed budką z naftą dobre pięć godzin, zanim dotrze ze swoimi blaszankami do drzwi, za którymi na wskroś przesiąknięty naftą mężczyzna odmierzy mu porcję ognistego płynu. Drugi chłopiec poszedł do sklepu — wróci na obiad niosąc pod pachą kilka bochenków w papierowych przepaskach. Za nimi iść będą jeszcze dwie dziewczynki, które przedtem obejdą z wiadrami cały brzeg zbierając trzaski i niedopałki węgla. Najmłodsza dziewczynka będzie wygarniać spod maminej łopaty ziemniaki, dziś bowiem Ołeksandra Panasiwna postanowiła wykopać resztki ziemniaków w ogródku. Sama Ołeksandra Panasiwna za dużo prac nie wykona: pobiegnie na rynek, ugotuje jedzenie, wykopie ziemniaki, upierze stos dziecięcych koszulek, spodenek i sukienek, polepi chatę w miejscach, gdzie wykruszyła się glina, wstąpi z małą do Marii Jakiwny po mleko, wdrapie się na strych, by załatać dziurę w dachu, bo w czasie ostatniego deszczu napadało do chaty, wytrzepie i wywietrzy pościel dziecięcą i pobiegnie do stróża Stepana kupić jajek, bo to dziś imieniny najmłodszej.

Wieczorem zbiorą się razem, otworzą jedną z puszek ofiarowanych przez Włodzimierza, usiądą do stołu i dostaną po skibce chleba posmarowanej duszoną wieprzowiną i po kawałku słodkiego makowca. Dzieciom zaświecą się oczy i będą jeść te skibki i ten makowiec z rozwagą, żeby przedłużyć przyjemność, po czym Ołeksandra Panasiwna nastawi stary jak świat patefon i igła zacznie wyskrobywać z płyty dźwięki z osobliwym pochrypywaniem, a dzieci będą tańczyć przy tej muzyce. Ona też będzie z nimi tańczyć, aż zamigoce w jej oku kryształek łzy — przypomni sobie wówczas niewysokiego, barczystego męża, ogarnie ją niewypowiedziana tęsknota. Oczy z tym kryształkiem obwiodą wszystkie pięć twarzyczek z zapałem podskakujących w domu; wtedy to Ołeksandra Panasiwna wydostanie z kącika samowar, wytrze go i przepłucze. Nawrzuca węgli i przyniesie żaru z letniego pieca. Dzieci przyniosą wówczas but ojcowski, naciągnie go na rurę i zacznie go naciskać niczym jakiś miech. Będą czekali, aż samowar zasapie, zacznie parować i zagotuje dla nich wodę, po czym Ołeksandra Panasiwna wyciągnie herbatę owocową, rozkruszy ją i odpędzi dzieci, które będą chciały zjeść tę herbatę bez zbytnich zachodów. Postawi na samowarze porcelanowy imbryczek, pęknięty z jednej strony, i nakryje go płótnianką. Tak to będą sobie siedzieć wszyscy sześcioro z oczyma błyszczącymi z zachwytu, bowiem każdego czeka jego kawałek cukru: jedno najpierw zje cukier i wtedy

wypije herbatę, drugie schowa go do kieszeni. Posłodzoną herbatę pić będzie jedynie solenizantka, bo go jej natłucze matka, dorzucając i swoją grudkę, przez co dwa różowe rumieńce wykwitną na policzkach solenizantki — dziś będzie szczęśliwa.

I wszyscy poczują się szczęśliwi, bo uprzytomnią sobie swą jedność i to, że kiedyś składali się z dwóch połączonych pierwiastków, a że się tak rozdzielili, to jeno kapryśna gra losu. W domu będzie przytulnie, wszyscy będą nasyceni, a solenizantka zacznie oglądać prezenty: nową koszulkę sportową od mamy, rysunek od najstarszego, trzy jajeczka gołębie od średniego, który je zrabował jeszcze na początku lata, wstążkę od starszej siostry i małą szklaną kulkę od średniej.

Możliwe, że szumieć będzie deszcz za oknem, pluskać i bulgotać; może zrosi rzęsiście szyby i może do jednej z nich przylgnie przejrzysta twarz — cień jakiś stanie za oknem wśród plusku i chlapaniny: niski, przysadzisty, graniasty niemal cień będzie płakać wraz z deszczem, bo przybłąkał się tutaj po przebyciu tysięcy kilometrów. I obróci się na chwilę do tego okna zaniepokojona matka owych dzieci, a wtedy spotkają się oczy obojga i rozpoznają wzajemnie: jakżeby mieli się nie poznać, skoro tak długo byli jednym ciałem, a dzieci ich są owocem ich zespolenia. Cień powoli będzie cofać się coraz dalej w głąb zielonego zmierzchu, deszcz będzie szumiał i pluskał, cień zaś będzie spozierać żałośnie i zielony półmrok dokoła niespodziewanie zajaśnieje, lecz zauważy to tylko jeden człowiek w okolicy — stary, siwy pasterz kóz. Będzie widział stojąc na górze i ów cień, mężczyznę, który odchodzi od okna, by znów przejść tysiąc kilometrów i znów spocząć, i tych pięcioro dzieci zgromadzonych wokół samowara przy ich wysokiej i chudej matce; rozpozna dziwne światło w matczynych oczach i znajdzie dlań nazwę. „Miłość" — pomyśli, i uśmiechu, co rozkwitnie na jego ustach, gdy tak będzie siedział na werandzie, nie dostrzeże w tym zielonym zmierzchu nikt.

17

Siedział na swoim rozkładanym stołku-laseczce i był taki nieruchomy, że z sąsiedniego krzaka spuścił się nieustraszenie po niewidzialnym, Bóg wie kiedy przerzuconym mostku-pajęczynce, niewielki srebrny pajączek. Poszedł, przebierając łapkami, a że nie było widać pajęczyny, wydawało się, że idzie w powietrzu. Iwan uniósł głowę: na krzaku, z którego przywędrował pająk, już zażółciło się kilka listków. Pająk powędrował już w stronę innego krzaka i ledwie wstąpił na pierwszy listek, jak ten

pożółkł od razu. Pająk stoczył się z żółtego listka i zawisł w powietrzu pomiędzy drugim a trzecim krzakiem. I tak wędrował dzisiaj cały dzień i pozapalał na krzakach pierwsze żółte liście. I chociaż dni były jeszcze upalne, choć świerszcze jeszcze krzyczały zapamiętale, choć rozsypując srebro dzwonił skowronek, Iwan poczuł, że ten pajączek utorował sobie drogę i do jego serca. Zadźwięczała gdzieś obok cienka pajęczyna, stary rozejrzał się wokół za kozami, które porozłaziły się na wszystkie strony. Wstał i wsłuchał się w leciutki ból, jaki zakłuł go w piersiach. Patrzył na żółte cętki na krzewach — pajączek wisiał w powietrzu i przebierał łapkami; patrzył na ukośnie podciętą kudłatą chmurę nad wzgórzami, widział pod nogami trawę, co wciąż jeszcze piła z ziemi soki, a tam, niżej, oko jego ujrzało szare i jasnożółte bryły gliny.

Zostawił swoją laskę-stołek i nagle poszedł zboczem pod górę. Szedł i ciężko dyszał, przystanął, by nabrać tchu, ale szedł dalej.

W polu powiało nań gęstym naparem ziół i sierpniowym słońcem. Iwan zobaczył, że samo pole pokryte ścierniskiem jest już nagie i spustoszone. Zobaczył też bociana, który samotnie kroczył polem i klekotał swoją piosenkę. Poznał tę melodię: dopiero co słyszał ją pod sercem. Z dala ciemniała cerkiew na Psyszczu otoczona lasem, w którym tkwiło sporo krzyży. Bocian zatrzymał się na środku pola, pomachał skrzydłami i zastygł w locie, jakby go ktoś zamroził. Ktoś zamroził na ścieżce między ścierniskiem mężczyznę na rowerze i kobietę z kobiałką na plecach. Ktoś zamroził wiatr i drzewa, które pochyliły się w jedną stronę, ale trwały w bezruchu. Iwan podszedł do już zarośniętego okopu: nagle do tego okopu przyleciał i opadł na któryś z kwiatów kosmaty trzmiel. Iwan przysłuchał się melodii, którą buczał trzmiel — była to ta sama pieśń, którą klekotał bociek.

Kozy nie zobaczyły swego pasterza, choć jego laska-stołek tkwiła nadal w miejscu, zabeczały i zbiły się w gromadę. Kilka pająków poprzyczepiało pajęczyny do kozich rogów, i gdy Iwan popatrzył na nie z góry, stwierdził, że i kozy pozamarzały. Ręce mu zadygotały, bo zobaczył również pająki osnuwające srebrną siatką kozy dokoła. Iwan włożył dłoń pod koszulę i przycisnął miejsce, w którym powinno bić serce.

Na cienkiej pajęczynie jesień grała powolną i przepiękną melodię. Jesień była już blisko, szła na ziemię i posyłała przed sobą gońców. Wówczas pierwszy raz w życiu Iwan poczuł strach. Stał pośrodku pola, widział natomiast werandę i gruby zeszyt w skórzanej oprawie, w którym jeszcze nie wszystkie stronice zostały zapisane.

Włodzimierz opuścił owo dworzyszcze na wzgórzu, zostawił jasnomodrą kobietę, ale zabrał ze sobą niemało jej modrości i urody, która tak serdecznie jaśniała dla niego. Szedł nie oglądając się, był bowiem przepełniony po brzegi i jak gdyby pijany.

Hala również nie oglądała się za nim, niech sobie idzie, gdzie chce, ten nieznajomy. Przyprawił ją o niepokój, ale są jedynie kolegami po fachu. Nie wiadomo czemu zapragnęła raptownie zapomnieć o nim, bo to, czemu dała folgę, bądź co bądź burzyło jej dotychczasowy ład. Chciała być zimna i nieosiągalna, choć przeniknięta była bez reszty radosną i przecudowną muzyką.

Nie, jednak się za nią obejrzał, uśmiechnęła się nie wiadomo dlaczego i choć dzieliła ich już spora odległość, Włodzimierz zajaśniał w jej stronę takim samym uśmiechem.

Trwali jakąś chwilę zapominając o bożym świecie. Przestraszyła się swojego zuchwalstwa, a zarazem się ucieszyła — stał przed nią mężczyzna, który się nie cofa przed jej urodą. Dwie różowe podkówki ukazały się na jej policzkach, oczy zaś otwarły się szerzej. Usta rozchyliły się i Włodzimierz doszedł do wniosku, że na tej górze łatwo mógłby stracić głowę. I tak by stąd odszedł — jeździec bez głowy i bez konia, dla którego stepem byłby ten pagórek zarośnięty piołunem.

Hala była już na siebie nieco zła, bądź co bądź wchodziła tu w grę urzędowa osoba. Co by powiedziały o niej Marija Jakiwna i Ołeksandra Panasiwna? Co by powiedziała tutejsza ulica, która się ciągnie od miasta do wzgórz, i ta na razie jeszcze pusta szkoła? Co powie o niej babcia, która dotąd siedzi tam, na ganku?

Odwróciła się od Włodzimierza i mimo woli zerknęła również na ganek. Ale starej tam nie było. Jedynie na schodku siedział wielki czarny motyl, który leciutko trzepotał drżącymi na wietrze skrzydełkami. Hala wpadła w popłoch, stara bowiem nie ruszała się bez jej pomocy. Ogarnięta nagłą skruchą i niepokojem już ostatecznie zapomniała o Włodzimierzu i o tych niciach, które tak niespodziewanie zaczęły ich łączyć. Wbiegła na ganek, płosząc motyla, pchnęła dłonią drzwi i zgorączkowana wbiegła do pokoju. Z okien uderzyły w nią dwie roziskrzone słoneczne smugi i na moment doznała olśnienia.

— Jesteś tu, babciu? — odezwała się półgłosem.

Stara była tutaj. Siedziała w fotelu z ludzkimi główkami wyrzeźbionymi na oparciu i była to już całkiem inna kobieta. Ciepła i siwa, miękka i pogrążona w zadumie. Podniosła oczy na wnuczkę, która się zdumiała, że są takie ładne.

— Babciu! — zawołała znów Hala. — Wstałaś i poszłaś sama?

Stara popatrzyła na nią z lekkim zmrużeniem oczu.

— To nasz nowy dyrektor do mnie przyszedł — Hala uważała za stosowne się wytłumaczyć.

— Do mnie też kiedyś przychodził taki dyrektor — wymówiła stara i nagle zachichotała bez powodu, wtulając brodę w ciemny deseń bluzki.

19

Włodzimierz tymczasem forsował wzgórek. Skręcił na ścieżkę wiodącą na ukos, tak wygodniej było dla jego nogi. Ścieżką tą piął się naprzeciw niemu Chłopiec. Ciągnął bańkę z mlekiem i pogwizdywał składając usta w trąbkę. Włodzimierzowi było tak lekko na sercu, że aż miał ochotę podchwycić tę melodię.

— Zastał pan mamę? — zapytał Chłopiec. — A ja idę od Marii Jakiwny.

— Ja też muszę do Marii Jakiwny — rzekł Włodzimierz.

— Niech pan idzie tą ścieżką. A co to się panu stało w nogę, to na wojnie?

— Na wojnie — **uśmiechnął się** Włodzimierz.

— Był pan może w czołgach?

— Nie, ja byłem w piechocie — odparł Włodzimierz.

— Piechota to nie taka ciekawa — rzekł Chłopiec. — Ja bym poszedł do czołgistów albo do lotnictwa.

— Wszyscy chłopcy chcą iść do czołgów albo do lotnictwa.

— Ja też tak samo jak wszyscy — odparł Chłopiec i zagwizdał składając usta w trąbkę.

— Gdzieżeś nauczył się takiej pieśni? — zapytał Włodzimierz podchwytując motyw.

— To nie pieśń, tylko melodia — rzekł Chłopiec. — I to ja sam ją wymyśliłem...

Uniósł swoje pogwizdywanie w górę, w stronę tego zagadkowego domu, i Włodzimierzowi nie pozostało nic innego, jak samemu zagwizdać i ruszyć w przeciwną stronę. W sercu grzało go świeżo uzyskane ciepło, na ustach zaś trwał uśmiech przejęty od królewny na górze. „Nie popisałem się zbytnio — pomyślał beztrosko — ale chyba nie było to takie ważne!"

Stąd, z góry, widać było ulicę. Włodzimierz zobaczył wracające do domu dzieci Ołeksandry Panasiwny. Na przedzie szedł średni syn niosąc pod pachą bochenki z papierową przepaską, za nim szły dwie dziewczynki i każda z nich też niosła bochenek. Średni odłamywał z bochenka małe kawałeczki i pakował

je do ust, a dziewczynki za nim podśpiewywały sobie chyba kołysząc się w marszu. I choć byli daleko, Włodzimierz rozpoznał melodię, którą snuły tam na ulicy dwa cieniutkie głosiki: była to ta sama pieśń, którą wygwizdywał Chłopiec. Możliwe, że tę pieśń rozniósł po okolicy wiatr, zaaranżował ją w chmurach, spuścił na dół i włożył w ucho starszej córki Ołeksandry Panasiwny. Starsza nauczyła młodszą siostrę i podsłuchało ją jeszcze kilka dziewczyn na ulicy. Włodzimierz wiedział, że od dzisiaj ta pieśń rozpoczęła swój pochód po ziemi — zadziwiające będzie jedynie to, że jutro Chłopiec zejdzie na dół i usłyszy swoją pieśń w cudzych ustach. Może usłyszy ją najpierw z ust starszej córki Ołeksandry Panasiwny, i kto wie, a nuż po raz pierwszy popatrzy na tę córkę kapryśnym chłopięcym spojrzeniem, wyraźnie czymś zaskoczony...

Włodzimierz podszedł do solidnej dębowej furty i zobaczył niezwykłego kształtu kołatkę. Raźnie zakołatał w deskę i usłyszał, jak zaśpiewały drzwi w głębi domu. Tęga siwa kobieta, już prawie babcia, wyszła na ganek i popatrzyła nań, przykładając do czoła dłoń niczym daszek.

— Kogo pan szuka?

— Ja do pani, Marijo Jakiwno! — równie donośnie odparł Włodzimierz nie przestając w myśli nucić melodii Chłopca. — Proszę bardzo, Marijo Jakiwno, niech pani otworzy!

20

Siedzieli w ogródku, a nad nimi łagodnie szemrały liście. Motyle fruwały opadając na kwiaty niczym pszczoły i piły z nich słodki nektar. Migotały skrzydełkami i Włodzimierzowi się zdało — może z powodu tych motyli, a może od cichego szmeru liści, że powietrze dokoła nasycone jest perłowym drganiem.

Siedziała przy nim siwa kobieta i opowiadała mu o szkole, on zaś popijał z wielkiej białej filiżanki kozie mleko i myślał, że przez dwa dni, jakie przeżył w tej okolicy, odnowił się całkowicie. Myślał, że wszystko, co przeżył dotąd, przypomina sen, a teraz wrastał już w inne życie i chłonął spokój, jakim w tej okolicy tchnie każdy krzaczek. Myślał i o swojej wyprawie na górę, i o tamtym nieprawdopodobnym spotkaniu: jak miło było je wspominać w tym ogródku! Patrzył na drzewa i śledził, jak rozbłyskują i gasną światła i cienie pod nogami. (Po niebie płynęły chmury zasłaniając niekiedy słońce). Kobieta, która opowiadała o sprawach z życia tutejszej szkoły, przypominała mu jego pierwszą nauczycielkę i pomyślał, że został podkomendnym jeszcze i tej kobiety. A że go to wprawiało w dobry humor,

więc pozwolił sobie raz jeszcze wspomnieć cud, jaki przydarzył mu się na górze. Przykro byłoby mu teraz obudzić się i uprzytomnić sobie, że wszystko to mu się przyśniło — że wciąż jest jeszcze między sosnami w szpitalu polowym i krzyczy z bólu rozdzierającego mu ciało. Widzi rozgwieżdżone niebo, z którego sączy się migotliwa błękitna poświata. Ta i tamta gwiazda, myśli sobie, to oczy owej piękności z domu na wzgórzu, która zstępuje z niewidocznego o zmierzchu wierzchołka niczym księżyc, gdy mu się już sprzykrzy wisieć na niebie. Włodzimierz nagle pomyślał sobie, że siwowłosy pasterz kóz o szlachetnym obliczu musi mieć jakiś związek z tym obejściem, w którym teraz siedzi, podobnie jak i z domem na wzgórzu. Pomyślał, że chyba nie bez kozery zagroda Marii Jakiwny ma furtkę, jaka może być tylko w bajkach, i nie bez przyczyny panuje tu taki spokój, jaki wyczuwa się również na wzgórzu.

— Mam do pana jedną prośbę — rzekła stara — bo ja tylko wtedy czuję, że żyję, gdy uczę pierwszaków. Starsze dzieci nie mają dla mnie tyle zrozumienia.

— To weźmie sobie pani pierwszą klasę — uśmiechnął się Włodzimierz.

— Chciałabym prosić o pierwszaków i na rok następny — z pewnym zakłopotaniem wypowiedziała Marija Jakiwna.

Włodzimierz się roześmiał. Czuł się jak w domu.

— A koledzy nie będą protestowali?

— Ależ nie, nie będą!

— Ołeksandra Panasiwna prosi o drugą klasę.

— No to Halina Iwaniwna może wziąć trzecią lub czwartą.

— Nasza szkoła jak ten ruczaj w lesie — nie wiadomo czemu powiedziało się Włodzimierzowi...

Umilkli i dopił swoje mleko. Zauważył nagle, że wszystko to mu się nie śni, ale że ten wypity napój jest na swój sposób odurzający. Cały świat stał się dlań ciepły i złotawy, cały świat rozbłękitniał.

Wstał, chcąc się z nią pożegnać, i nagle poczuł w tym gospodarstwie jakiś niezwykły zapach, a może czyjąś szczególną obecność. Rozejrzał się dokoła, ale nie zobaczył nic oprócz łagodnej twarzy Marii Jakiwny.

— A czy to nie pani mąż, Marijo Jakiwno, pasie kozy? — zapytał niespodziewanie dla siebie samego.

— Mój, mój! — przytaknęła radośnie nauczycielka. — A wie pan, co sobie w pierwszej chwili pomyślałam? Myślałam, że pan jest kimś z jego krewnych!

ROZDZIAŁ DRUGI

NIEBIESKA DROGA

Jednym dane są łzy płynące strugą w świetle dnia,
innym dane są łzy utajone w półmroku.
Rabindranath Tagore

1

Z wolna cofał się w głąb zielonego zmierzchu, deszcz szumiał i pluskał, on zaś patrzył smętnie, aż ów zielony zmierzch zajaśniał niespodziewanym światłem — przed nim wytoczyła się przejrzysta kula i miał do niej wejść. Do niej właśnie wiodła ta modra migotliwa droga, którą szedł, a za sobą zostawił dom ze smutną żoną i beztroskimi dziećmi; przez cały czas oglądał się za siebie — stały tam za szklanymi ścianami i były żywe i rozigrane. Przetaczały się cienie, rozpływały się przedmioty i stawały się chwiejne i drżące, pozostała jeno ta niebieska droga, którą podążał, i jego niezmienna tęsknota idąca obok jak towarzyszka podróży. Patrzył na nieogarniony świat kolorowych smużek, co plotły się i rozplatały dokoła, zawiązywały się sieci, rzedły drzewa i gałęzie, wyrastały fioletowe i różowe krzewy i chwiały się niczym w wodzie. Gęsty modry mech obrósł wpółprzejrzyste stromizny i tylko niebieska droga była gładka jak lód. Szedł z trudem i widział w tej gładzi odbite cienie, twarze, wyciągnięte ręce i uniesione czy też skurczone nogi. Widział zamarzłe oczy, otwarte usta i lśniące zęby. Poznawał mimochodem wszystkie te twarze, usta poruszały mu się nieznacznie po kolei wymawiając imiona. Niekiedy powtarzały się te imiona, podobnie jak twarze i oczy. Najczęściej widział twarz Szury — w tej ciżbie wyczuwał ją przede wszystkim. Strzępy czasu leżały tuż obok jego niebieskiej drogi — cała przeszłość, którą mijać musi obecnie, nim dostanie się do wnętrza przejrzystej, obficie napełnionej perłowym światłem kuli. Przyciągała go, jak magnes przyciąga żelazo — unosił się nieważko na swojej drodze, przeczuwając radość zjednoczenia się z ową perlistą jasnością. Pomyślał, że światło jego duszy już pragnie się tam znaleźć, on jednak musi przebyć całą tę drogę i nie

raz jeszcze obejrzy się za siebie. Zwolnił więc kroku i oglądał się; widział dom o przejrzystych ścianach, za którymi obchodzą święto rodzinne istoty, w których pozostawił swoje ciało. Już niemal oddzieliły się od niego, ale nie może patrzeć na nie obojętnie. Szedł i szedł. Oglądał się i tłumił ból. Z nim razem kroczyła bujnowłosa kobieta — jego Tęsknota, a po drugiej stronie — Smętek, jeszcze jeden z jego synów. Tego syna posłała doń z ziemi tamta wysoka i niezmiernie chuda kobieta, na której oku zamarzł jasny kryształek łzy, i może właśnie dlatego oglądał się tak często i bez nadziei.

2

Ołeksandra zajrzała w ciemne okno i spotkała oczyma zblakłego i ulotnego jak dym; zapatrzyli się na siebie tak jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy. Przyszła wówczas do koleżanki, u której zbierali się na wieczorek chłopcy i dziewczęta; wszyscy trzymali kartki „Flirtu salonowego" z wydrukowanymi pytaniami; jeden rzucał pytanie, a drugi odpowiadał; właśnie w tym momencie ujrzała jego oczy. Barczysty chłopak z zaczesanym na bok czubem i z cieniem wąsików pod nosem, pucołowaty i z wydatnymi ustami, patrzył na nią uporczywie, ona zaś dziwiła się, że ma oczy ciemnoniebieskie, a miały być czarne lub zielone. Jednakże były one niebieskie, kwitły jak dwa chabry, więc nie wiadomo czemu ścisnęło się jej serce i zbrakło tchu w piersi.

— Słuchajcie, słuchajcie! — zaklaskała w ręce Sonia, właścicielka mieszkania. — Zacznijmy od ogrodnika! „Ogrodnik ze mnie uparty i gniewam się nie na żarty, obrzydły mi wszystkie kwiaty, jeno mak..."

— Mak jesteś, mak! — zawołały dziewczęta do Ołeksandry i rzeczywiście zrobiła się czerwona jak mak. Musiała wykrzyknąć jak należało: „Oj!" i krzyknęła, z trudem otwierając usta. Na te usta zapatrzył się Mykoła, który również siedział w kącie i obserwował zabawę.

— Co ci jest? — zapytała Sonia.

— Zakochałam się — szepnęła Ołeksandra i zrobiło się jej tak gorąco, że chciała porzucić to rozbawione towarzystwo i wrócić do domu, gdzie tak przyjemnie i mile pachniało świeżą sosną, gdzie stał ojciec w swoim warsztacie i heblował, heblował, heblował, a spod jego rąk wywijały się jaskrawe, pachnące żywicą strużyny.

— W kim? — zagadnęła Sonia i Ołeksandra rzuciła w kąt niepewne spojrzenie. Tamten w kącie nie miał ustalonej nazwy, a może wyleciała jej z głowy; zresztą nie mógł być kwiatem,

czuć go było skórą, i to nawet z daleka. Ołeksandra z czerwonej zrobiła się całkiem biała, dość już miała tej gry, bo czyż można bawić się w coś takiego, gdy na człowieka tak paląco patrzą czyjeś oczy?

— Nie chce mi się w to bawić — rzekła. — Głowa mnie boli...

— Oj! — krzyknęła Sonia łapiąc się ręką za usta. Pewnie domyślała się czegoś, bo obrzuciła spojrzeniem chłopców i dziewczęta i zdumiała się: z kąta jaśniały takie modre i płomienne oczy, że trudno się było pomylić.

— Takie buty! — rzekła znacząco i uśmiechnęła się. — A wiecie co — rozejrzała się jak spiskowiec i potrząsnęła krótko strzyżoną główką. — Coś sobie wymyśliłam...

Pobiegła ku etażerce, na której stały albumy z fotografiami, książka kucharska w języku polskim i porcelanowe laleczki, wyciągnęła złożoną we dwoje karteczkę, na której narysowane było roześmiane oblicze słoneczka. Dokoła we wszystkie strony rozchodziły się promienie, a na nich rozsypane były rzędy cyferek.

— Mam tu wyrocznię — zapowiedziała. — Będziemy wróżyć!

Stłoczyli się przy stole, osiem czy dziesięć głów. Ołeksandra stanęła tak, by nie być za blisko tego dziwnego chłopaka, który gapił się na nią; wyszło jeszcze gorzej, bo znaleźli się twarzą w twarz i znów poczuła, jak ją parzy to chabrowe spojrzenie.

Sonia zakręciła na nosie słońca bączek, który podskoczył i opadł na jeden z numerków. Gdy odczytała wróżbę, śmiech gruchnął w izbie, najgłośniej śmiała się sama Sonia. Po czym wszyscy kręcili po kolei i wszyscy śmieli się tak samo, od losowania wstrzymali się jedynie Ołeksandra i Mykoła, jako że byli zajęci czymś innym. Kapryśne nici snuły się od niego do niej i Ołeksandra czuła, że oplątuje ją tymi nićmi, że staje się całkiem bezwolna i bezwiednie śle ku niemu swoje nici, i że te nici przedziwnie splatają się ze sobą. Nie miała sił oprzeć się tym czarom, podobnie jak on; mimo dzielącego ich stołu czuł niewidzialne ciepło bijące od tej dziewczyny, coś dusznego i gorącego sączyło mu się do serca, podniecało go i paliło; ona zaś nie mogła zostać obojętna na jego wezwanie. Czuć go było skórą i cały był szorstki i mocny, i nici jego były mocne jak dratwa, Ołeksandra już całkiem straciła dlań głowę, niepokoiła się i była zakłopotana, chciała, by już się skończył ten wieczorek i by wreszcie mogła pobiec do domu i ostudzić po drodze policzki, co paliły nie do wytrzymania.

— Szuro, Szuro! — zawołała Sonia. — Co ci jest, Szuro, ogłuchłaś? — Spojrzała na przyjaciółkę i zmieszała się: Sonia niczym spiskowiec uśmiechała się chytrze. — Twoja kolej — rzekła nieubłaganie i wetknęła jej bączek do ręki.

Dokoła stołu zaległa cisza. Taka cisza, że słychać było, jak dziesięcioro ludzi wstrzymuje oddech. Ołeksandra nie patrzyła na nikogo, wysoka i czarniawa, szczupła i zgorączkowana; nagle nabrała odwagi. Oczy wokół niej, z wyjątkiem oczu Mykoły, czekały na nową gratkę, nową okazję do śmiechu. Ołeksandra zmarszczyła brwi i zacięła usta. Wówczas przyszedł jej z pomocą Mykoła:

— To ja spróbuję!

Ale Ołeksandra już zakręciła bączek — podskoczył i nakrył numer.

— Dwadzieścia dwa! — wysapali chłopcy i dziewczęta.

Sonia obróciła kartką i parsknęła.

— Nie! — powiedziała. — Tego wam nie przeczytam.

Dziesięć rąk wyciągnęło się ku niej, by wyrwać kartkę. Jednakże była zręczniejsza, schowała kartkę za sobą i rzekła tonem nie dopuszczającym sprzeciwu:

— Szurka jest moją przyjaciółką i śmiać się z tego, co jej orzekła wyrocznia, nie wolno!

3

Tak się złożyło, że Mykoła Waszczuk, najlepszy krojczy Wytwórni Obuwia Nr 1, utracił spokój: poczuł niepohamowany pociąg do osób płci żeńskiej. Nie potrafił nawet beznamiętnie wziąć miary z eleganckich nóżek, które co dzień ufnie się doń wysuwały. Opasywał te nóżki taśmą wyciętą z gazety, regularnie urywając ją w odpowiednim miejscu, i prąd przez nie wypromieniowywany mimo woli wywoływał prąd również ze strony przeciwnej. Eleganckie nóżki uchodziły w dal, unosząc na sobie ślady jego palców, a im dalej odchodziły, tym dotkliwiej dawały znać o sobie gorące i drżące drobinki na skórze. Wrażenie to nie opuszczało nóżek przez czas dłuższy i same się sobie dziwiły: cóż to za dziwny czar kryje się w tych spękanych szewskich paluchach, jako że dotąd szewc znaczył dla nich tyle samo co pantofle. Zresztą, co tu porównywać: pantofle to coś o wiele cenniejszego. Nóżki gniewały się na to niepojęte uczulenie, stąd też stawały się ustępliwsze wobec awansów. Ale nawet w objęciach godnych uwagi kawalerów czuły ulotny i oszołamiający zapach skóry i ów płomień, co im się udzielił od owego niezwykłego szewca. Gdy zaś przychodziły do przymiarki, to spotykał je wciąż ten sam szewc, a jeżeli inny, to w cichości były nieukontentowane i niejednokrotnie zabiegały przez znajomości, by on jednak przyjął od nich zamówienie. Znów powtarzało się to samo i znów przebiegał je czarodziejski prąd, coś parzyło je w

stopy i szły w dal, jak gdyby stąpały po żarowisku — kołysał im się przed oczyma dziwny, zielony i rozległy świat. Oczy im zachodziły mgłą, a droga, którą szły, błękitniała i przed każdą z nich zakwitały płomienne chabrowe oczy. Zdawało się, że tych chabrowych oczu pełno było na całej ulicy, cały świat przez to chabrowiał — nóżki nerwowo stukały obcasikami po kamiennych płytach chodników, bezwiednie rozpraszając wokół siebie fluid, który tak niespodziewanie nagromadziły.

W takie dni niejedne nóżki zgodziły się wyjść za mąż, a kilka lekkomyślniejszych dało sobie zawrócić głowę ku wielkiej uciesze swoich nie mniej lekkomyślnych kawalerów. Dziewczęta płakały później w nocy i śniło się im coś dziwnego. Trzeźwił je dopiero ranek, jednakże nie raz później będą wspominać te zamroczenia, które tak niespodzianie uczyniły je słabymi i bezwolnymi.

Sam Mykoła doznawał również podobnych nastrojów. Każda z tych nóżek promieniowała ciepłem, które wchłaniał w siebie jak mleko. Myślał wówczas o wszystkich dziewczętach z wytwórni, tych z taśmy i tych szyjących na miarę, setki oczu, uśmiechów, nosów, bródek i policzków przepływały przed jego wzrokiem, ale żadne z nich nie potrafiło mu tak dopiec, jak potrafił dopiec tymże oczom, bródkom i nóżkom on sam. Oszołamiające mleko przepełniało go zwłaszcza w nocy i nie mógł spać — otaczały go setki nóżek w lśniących pantoflach jego własnej roboty: wszystką moc i niepokój wkładał w pracę. I wychodziły z rąk jego pantofle zgoła niepodobne do innych, bił z nich niepojęty czar, jak gdyby fosforyzowały. Wędrowały też na wystawy i niezmiennie zatrzymywały się przy nich tłumy kobiet, zapatrzonych w te cuda, a każda w myśli sama je przymierzała.

Tylko niewielka liczba wybranek rzeczywiście wkładała je na nogi, cały świat wówczas słał im się do stóp i dopóki chodziły w tych zaczarowanych pantofelkach, dopóty przyciągały moc spojrzeń i owiewał je jakiś niebywale podniecający zapach skóry i jeszcze czegoś, co trudno określić: tylko najodważniejsze przyznawały się, że nie opuszcza ich fluid owego niezrównanego mistrza. Zdawało się im, że jest gdzieś obok, idzie i ujmuje dwornie pod rękę, przeto stawały się słodkie i łagodne, i jaśniały uśmiechem, który musiał olśnić tego, dla kogo był przeznaczony.

Sam Mykoła niepokoił się również. Wychodził z pracy, zapominając nawet się pożegnać, i szedł w niewiadomym kierunku. Zapominał o domu i o starej matce, która czekała na niego z obiadem — tracił apetyt. Błąkał się tak do zmierzchu i dłużej, aż do zupełnego otępienia. Płomień, który się z niego wydobywał, zdawał się gasnąć, on zaś szarzał podobnie jak wzgórza i skały, ziemia i niebo — świat cały wówczas szarzał od jego

tęsknoty. W piersiach znajdował siedlisko stwór kosmaty i łapą trącał struny napięte do niemożliwości; zachodził do piwiarni i upijał się, chcąc zaznać spokoju. Wówczas przejaśniało mu się w głowie i znów robił się zwyczajny: chłopak, po którego stroju znać było robotnika, czapka na bakier i sterczący spod niej czub, niepomiernie szeroka pierś i bary — szedł i łuskał pestki. I gdyby w tym momencie ujrzała go którakolwiek z posiadaczek eleganckich nóżek, prychnęłaby z lekceważeniem i zadarła nosek — na zawsze zgasłby w niej ów ogień, z którym przez cały dzień nie mogła dać sobie rady.

I tak to się ciągnęło aż do pamiętnego wieczorku, gdy spotkał Ołeksandrę, ale nim do tego dojdzie, jeszcze wyszlifuje niejeden chodnik i niejedna fala goryczy zaleje mu piersi. Najbardziej w tej historii zdumiewało go to, że sam nie zdawał sobie sprawy, co mu się przydarzyło i jaka to moc obraca nim tak niemiłosiernie i kapryśnie.

4

Tymczasem wybrał się na krąg taneczny, gdzie orkiestra dęta grała na przemian walce, tanga i fokstroty. Na ławkach siedziały dziewczęta, których nie poproszono do tańca, i chłopcy, którzy odpoczywali. W okrążeniu tych ławek kręciła się, zderzała i rozstępowała, dyszała gorączkowo i zamierała roztasowana parami ciżba. Rozgrzewała sobie krew w fokstrocie, rozpędzała ją w walcu i omdlewała, wsłuchując się w tajemne prądy ciał sprzężonych w tangu.

Mykoła przyglądał się tancerzom, twarz owiewało mu powietrze parnego wieczoru; z głębi mroku napływały fale gorąca; gdzieś opodal szczekały psy, może na Putiatynce, ale wszystko przygłuszała grająca miedź, co jak gdyby zaczarowała ten wirujący tłum, rozkołysany w miarowym rytmie. Serce Mykoły przejęła jeszcze sroższa tęsknota: po co przywiodły go na to miejsce nogi i po co nadaremnie tu sterczy? Zapłacił jednak za bilet i wstąpił w krąg: popłynęły nań twarze dziewczyn i chłopaków, błyskały oczy, po których poznawał również te dziewczęta — posiadaczki smukłych nóżek obutych w pantofelki jego roboty. Rozpoznawał również pantofelki, co migały na chwilę w kurzawie i znikały; zielono rozbłyskiwały doń oczy piękności, dla których można by zgorzeć na popiół. Ale i takie błyskawice nie roztapiały lodu piętrzącego mu się w piersi; przecisnął się w kąt, w którym sterczeli chłopcy z jego zakładu. Stali tu rzeczywiście, kołysząc się ochoczo w rytmie muzyki, i jaśnieli nie obowiązującymi uśmiechami, jakby trafili tu zgoła przypadkiem. Co jakiś czas od tej wesołej gromadki odbijał jeden czy drugi i o jedno

dziewczę robiło się mniej na ławkach — wlatywały w ten wirujący kołowrót i jakby przestawały istnieć poza nim.

— Jak tam? — zapytał Mykołę z uśmiechem Wołod'ka Haman. — Przyszło się coś poderwać?

Bez słowa dołączył do swoich chłopaków i po chwili upodobnił się do nich: szczerzył zęby i wypatrywał dziewcząt. Odpowiadał na żarty i wszyscy się z tego śmieli. Wszyscy mieli pewne siebie i zadowolone miny i nonszalancko strzykali śliną pod nogi: po ich kohorcie niepewnie przemykały oczy dziewcząt tańczących i tych, których do tańca nie poproszono.

Zauważył jedne takie oczy i ruszył prosto w ich stronę, płosząc je nieco, ale ciesząc jeszcze bardziej. Skłonił się wyciągając jednocześnie rękę. Dziewczyna podniosła się, samo dotknięcie tej ręki uczyniło ją bezwolną, i wyszła na spotkanie już opętana. Czuć go było skórą, tytoniem, a niekiedy wódką, ale z jego przyciężkiego, niemal kwadratowego ciała płynął niepojęty prąd. Dziewczyna w jego rękach miękła jak wata i brakło jej powietrza, zapierało dech i zaczynała się już potykać; jedynie to, że trzymały ją takie żelazne i parzące dłonie, nie pozwalało jej utracić przytomności. Tymczasem chabrowe oczy ze skupioną uwagą wpatrywały się w twarz wybranki. Nie miała siły wytrzymać tego spojrzenia, więc patrzyła nań tylko po dziewczyńsku — odwracała się w bok, jednakże dostrzegała i chabrowe oczy, i jego tęsknotę. Pod koniec tańca oboje pojęli, że ta spółka jest dla nich zbyt uciążliwa: jemu dziewczyna nie odpowiadała, sama zaś nie miała tyle siły, by się doń dopasować.

Znów stał między chłopcami, palił i patrzył przez niebieski dym na roztańczoną gromadę i na tych, co do niej nie trafili. Żwawo grała muzyka, z wolna opadała na drzewa i na ziemię chłodna noc, prószac wielką i kroplistą rosą. Pod tym ciężarem gięły się liście, kurczyły się płatki kwiatów, a trawa w milczeniu dźwigała na sobie wszystką tę opadłą wodę. Świat zamierał i ucichał, ujadały jeno psy z Putiatynki, raźnie, to znów smętnie pogrzmiewały miedziane trąby z przyssanymi do nich spoconymi ludźmi.

Mignęła przed Mykołą zielona błyskawica — posiadaczka toczonych nóżek i pantofelków wykonanych jego dłońmi; poznała go między tańczącymi chłopakami, osłoniętymi chmurą siwego dymu. Była ubrana szykowniej i bardziej elegancko, i fala dymu wokół Mykoły zgęstniała, bo zaczął palić szybko i nerwowo. Wypatrywał w ciżbie posiadaczkę zielonych oczu, toczonych nóżek i pantofelków wykonanych jego ręką — dojrzewała w nim desperacka myśl. W tym momencie dziewczyna oderwała się od partnera, chudego i wysokiego, z ulizaną czarną fryzurą. Partner usiłował doszlusować do niej, ale wypchnęły go inne pary,

rozchodzące się na swoje miejsca. Dziewczyna stała za pniem drzewa i ocierała pot, i tam, za tym pniem, znalazł ją Mykoła. Skłonił głowę i podał rękę, zawahała się, nim przyjęła zaproszenie, ale jego pantofelki wciąż jeszcze utrzymywały w niej napięcie, skinęła więc kędziorami i podała rękę. Była mile połaskotana prądem, jaki przebiegł od szewca. Popłynęli w ciżbie — ciężki, przysadzisty chłopak z owym fluidem, co tak podniecał, i on sam też się podniecał, i ta smukła, chłodna i zrównoważona piękność. Dość miała siły, by zajrzeć mu w oczy, ale i ją, taką chłodną, przeszły ciarki — opalił ją chabrowy płomień. Jednakże dziewczyna nosiła na ramionach główkę napełnioną lodem: dawała nieść się w tańcu, ale równocześnie pokpiwała sobie w duchu, bo co by powiedział ten czy ów, gdyby oni rzeczywiście zostali parą. „Ach, Boże mój! Tańczyłam z takim, co mi szył pantofle!" — powie do koleżanki i uśmieją się do rozpuku...

Chabrowe oczy tymczasem wpatrywały się w twarz wybranki wciąż z napiętą uwagą, ale im dłużej, tym chłodniej i bez przekonania. Coś ciemnego dostrzegł w tej prześlicznej główce, wyziębłego i mrocznego. Głucha ciemność opływała dokoła niewielki móżdżek, w cudownych piersiach biło małe serduszko, ale było ono z kamienia. Moc Mykoły zaczęła gasnąć, a gdy dotańczyli turę do końca, rozeszli się bez żalu: dziewczynie przypominały go tylko pantofelki, on zaś znów poczuł swoją stałą towarzyszkę — tęsknotę.

5

Ołeksandra lubiła się budzić w izbie zalanej słońcem. W głębi domu śpiewał przy pracy ojciec, potężny brodacz z czarnymi, połyskującymi oczyma. Słuchała, jak szeleszczą wióry wypadające spod hebla; matka szczękała w kuchni naczyniem, przygotowując śniadanie. Śnieżnobiała pościel tchnęła miłym ciepłem, słońce tańczyło po podłodze, mieniąc się cały czas — za oknem rósł potężny dąb. Krążyły w smugach srebrne pyłki, od lustra odskoczył słoneczny zajączek i zadygotał nerwowo na ścianie. „Niedziela — pomyślała dziewczyna — mamy dziś niedzielę!" Coś zaśpiewało i zajaśniało w jej sercu; wstała, nucąc sobie od niechcenia, i ubrała się, a wówczas zdała sobie sprawę, że nuci tę samą piosenkę, którą pomrukuje ojciec w swoim warsztacie. Zdziwiło ją jednak to, że pracuje w niedzielę — dawniej traktował ten dzień z wielkim poszanowaniem. Potem zaskrzypiały drzwi i do izby weszła matka: wysoka, czarna i niezmiernie chuda — taka, jaką za lat piętnaście stanie się sama Ołeksandra. Matka była zafrasowana i w oczach miała łzy rozjaśnione słońcem.

— Co się dzieje, że ojciec pracuje w niedzielę? — spytała Ołeksandra ze zdziwieniem.

— Dostał zamówienie — odparła matka bezbarwnym głosem i usiadła na krześle. W tej chwili ogarnęło ją słońce, znacząc na głowie siwe włosy, co zajarzyły się biało.

— Ale i dawniej tatko miewał pilną robotę...

— To było dawniej — stwierdziła matka. — Wtedy nikt się nie czepiał. Sama wiesz dobrze, że tatko nie może pracować w fabryce.

— Już nie wolno mieć warsztatu?

— Przychodzili ze skarbowości — rzekła matka. — Taki nam wymierzono podatek, córuchno...

W głębi domu nadal śpiewał ojciec. Wysoki, równy głos, czysty, o aksamitnych nutkach, wypełniał również tę izbę, w której siedziały. Zawsze prawie śpiewał przy pracy i ten śpiew zawsze przypomni się Ołeksandrze, gdy będzie jej ciężko na sercu. Skąpana w słońcu mateczka trwała w bezruchu na swoim krzesełku, Ołeksandrze zaś nie wiadomo czemu zrobiło się błogo, że jednak jest i słońce, i ta pieśń ojcowska.

— A mnie — zastukała świeżo włożonym bucikiem — jest całkiem dobrze w fabryce!

— Starzyśmy — rzekła matka, wciąż jeszcze smęcąc się na tym osłonecznionym krzesełku. — Z innego jesteśmy ciasta, niełatwo się nam odmienić...

— A mnie łatwo! — uśmiechnęła się Ołeksandra.

— To i chwała Bogu! — odparła matka. — Wybierasz się dokądś?

— Do Stefy — rzekła Ołeksandra i zaniepokoiła się nagle, choć nigdy jeszcze jej się to nie zdarzało, gdy wybierała się do przyjaciółki. Wydało się jej, że za oknem przeleciał ogromny świetlisty ptak i ten ptak zrzucił jej błękitne pióreczko. „Co się dzisiaj ze mną stanie?" — pomyślała.

Ojciec śpiewał. Pieśń była smutna i przejmująca, a słuchając jej Ołeksandra miała wrażenie, że cały dom przesiąknięty jest tą melodią niczym słońcem. Cały dom przez to robi się wielki, przestronny i ściany jego zaczynają leciutko pachnieć sośniną.

— A ty się nawet nie przejmujesz naszymi kłopotami — rzekła matka. — Chodźże na śniadanie!

Owo pióreczko na dnie jej serca zaczęło rosnąć jak na drożdżach, rozrastało się nie do wiary — zabłękitniało wszystko w jej sercu i ona cała pogrążyła się w tym błękicie. Zaskrzypiały drzwi wejściowe, i gdy do nich podbiegła, zobaczyła korpulentną postać Stefy, obficie skąpaną w słońcu w prześwicie drzwi. Słońce przebijało się wokół głowy i rąk przyjaciółki, która przez to była cała ciemna i nastroszona.

— Pójdziemy dziś do świetlicy w Kroszni — szepnęła jej Stefa wspinając się na palcach, by dosięgnąć do ucha Ołeksandry — a w przyszłą niedzielę Sonia chce nas zebrać u siebie na wieczorek.

— Nie wiem czemu boję się chodzić na te wieczorki — z pewnym zakłopotaniem rzekła Ołeksandra.

— Nie mów! — zamruczała dobrodusznie Stefa i raptem się roześmiała. — Rzeczywiście, takie jak ty to tam czasem ktoś może ukraść!

Śpiew w warsztacie ojcowskim ucichł. Ojciec otwarł gwałtownie drzwi i zasłonił całe przejście swoją potężną postacią.

— Kto przyszedł? — zapytał z niepokojem.

— Nie kto, ino Stefa! — odparła Ołeksandra i obsypała ojca srebrnym dzwonieniem swego śmiechu.

6

Deszcz szumiał i chlupał, Mykoła smętnie spozierał w zielony zmierzch, co się rozjaśnił niespodziewanie — tam przed nim znajdowała się przejrzysta kula, do której wiodła migotliwa droga. Ogromny wszechświat roztaczał się przed jego oczyma, zewsząd wznosiły się wysepki i pagórki; i na tych niezliczonych wysepkach mieściły się ledwie dostrzegalne siedliska i cienie przy nich. Poruszały się, zajęte codziennymi sprawami: jeden jadł śniadanie, drugi obiad, ktoś inny wieczerzał, ktoś tam dziabał motyką chmurę, a jeszcze inny tę chmurę obsiewał. Szewc szył niewidzialne buty, a krawiec niewidzialne ubranie, kierowca jechał wozem bez kół, a kobiety gotowały strawę w niewidzialnych garnkach i prały nie istniejące szmatki. Raz po raz oglądały się na niebieską drogę, którą szedł Mykoła, przykładały do czoła dłonie w kształcie daszku i wpatrywały się w chłopaka. Ale nie widział tu znajomych twarzy — pozostawił je za sobą, w swoim prawdziwym domu, a tu jeszcze były one w tej przejrzystej kuli, do której podążał. Widział, że czeka tam na niego mały chłopiec — brat, i że wyjdzie mu na spotkanie młody ojciec, o ileż młodszy od niego samego. Będzie trzymał pod rękę całkiem starą jego matkę i nie wyda się im dziwna ta wielka różnica wieku pomiędzy nimi.

Z wolna odmierzał krok za krokiem, bez pośpiechu pokonywał swą żmudną drogę i zdawało mu się, że słyszy dokoła zgiełk głosów i pokrzykiwania dziecięce. Na oddalonej wysepce stał kosiarz i klepał kosę niewidzialnym młotkiem, inny kosił krocząc powoli w gęstej pianie chmury, hutnik odlewał stal, a zegarmistrz naprawiał niewidzialne zegarki. Ci, co tylko jedli w ży-

ciu — jedli, a ci, co spali — spali. Owczarz pasł owce i były to niemal prawdziwe owce — kędzierzawe, białe, lśniące kłębki. Bibliofile w okularach sterczących na nosie czytali książki bez liter i dokoła rozlewała się równa, jednostajna poświata. Droga przed Mykołą była pusta, chociaż gdy się przypatrzył staranniej, dostrzegł tam kilka prawie niewidocznych cieni. Obejrzał się, lecz już nie zobaczył nikogo — za plecami wisiała biała mgła. Nikt nie wiedział o jego marszu na tej drodze i nikt go nie widział. Wyglądały wprawdzie po wysepkach spod daszków dłoni zafrasowane matki, obok nich — inne matki, a jeszcze dalej i dalej — długi sznur matek. Również długi sznur ojców — nie kończący się szereg, co nań patrzył, ale nie widział, bo nie jego się tu spodziewano. Postacie tworzyły długie ławice, co były niczym pasemka czy też gałęzie — nieskończone drzewo, rozgałęzione we wsze strony, łączyło się, rozchodziło, nigdzie nie zaczynając się i nie kończąc. Początki bez końca i końce bez początku ujrzał samotny wędrowiec na swoim szlaku, co się ciągnął, drgający i migotliwy, i wpisywały się weń białe i koliste świetliki gwiazd. Stąpał po tych gwiazdach, jak ongi po kamiennych groblach Teterewa, obracał głowę, by przynajmniej wyczuć, jeśli nie może zobaczyć, domek, pod który tak niedawno podchodził — pięcioro dzieci i żona w owej godzinie myśleli o nim. Ucichli na chwilę tam, przy stole, w domu nad Teterewem i raptem przesadnie spoważnieli — wielki wszechświat odwiedził ich serca i obsiał je swoim popiołem. Ołeksandra nie wiadomo czemu miała chęć się pomodlić, choć dawno śmiała się z takich babskich przesądów, jednakże to, co czuła w tym momencie, trudno było wytłumaczyć. Był tu jednak, pod ich oknem, a teraz już pomału odchodzi swoją drogą. Łzy nabiegły jej do oczu, bo świat raptem zawirował przed nią, i aż pochwyciła kant stołu. Na szczęście nie spostrzegło tego żadne z dzieci, a może tak się jej zdało, i Ołeksandra musiała potrząsnąć głową, uśmiechnąć się, zarumienić i zacząć opowiadać dzieciom coś o tym, o czym jeszcze nie opowiadała — była to opowieść o wysokim stolarzu, który przy pracy śpiewał smutne, ale piękne pieśni...

Wyczuwał to jeszcze jeden człowiek spośród niewtajemniczonych. Siwowłosy pasterz kóz Iwan Szewczuk siedział na werandzie i spoglądał w prześwit pomiędzy plątaniną powojów. Przy nim bielała nie dopita filiżanka mleka, słyszał za plecami powszednią krzątaninę żony — zaścielała łóżko, wymachując białymi prześcieradłami i poszwami. Zmieniała też poszewki na poduszkach i owe białe cienie, migocące w oświetlonych wewnątrz pokojach, budziły w duszy Iwana odległe majaki. Zresztą nie był to żaden majak, z czego stary zdał sobie sprawę, gdy tylko spojrzał na niebo. Zobaczył niebieską drogę, po której rozrzucone by-

ły gwiezdne kamienie milowe — wieczna rzeka popłynęła przed jego oczyma. Dojrzał samotny cień na tej rzece-drodze, co wlókł się, ledwie powłócząc nogami, i powtórzył sobie prościutką prawdę wymyśloną przez niego samego albo też wyczytaną w jakiejś książce: „Miłość ten świat uszlachetnia."

7

Mykoła znów stał z kolegami, w ustach jarzył mu się papieros, a noga bezwiednie przytupywała w takt muzyki. I miał wrażenie, że stoi w szczerym polu, a wokół niego jeno kępy krzaków i kłosy, i nie ma żywej duszy... (To samo uczucie mieć będzie znacznie później, po wielu latach, gdy istotnie zdarzy mu się biec przez szczere pole i przeszyje go, przekrawając na poły, seria z cekaemu. Długo wówczas jeszcze stać będzie w miejscu, jego mocny organizm nie będzie chciał się poddać, i zostanie jeno myśl o tym polu, i takie samo uczucie pustki i próżni...) Czuł gorycz w ustach, bo już nie miał po co tkwić tutaj i wyglądać wiatru w polu, mógł się spokojnie wycofać z tej ciżby. Jednak żal mu było okazji — tyle tu w krąg niego wirowało cudownych kolorowych motyli, z których każdy pragnął zostać schwytany! Przeto podszedł do najbardziej niepozornej z dziewczyn, której nikt jeszcze nie poprosił do tańca. Popatrzyła nań z ukosa, ale dłoń podała. Płynął pomiędzy innymi parami i w rękach trzymał prosty pień, a przed jego chabrowymi oczyma podskakiwała z gruba ciosana twarz z pogardliwie wydętą wargą. Nie wiedział już, gdzie ma się z nią podziać, choć walcowała zajadle, jako że chciała mieć wszystko, co daje natura. Zajrzał jej w oczy głęboko, wytrzymała jego spojrzenie i nie zadrżała jak inne: zobaczył płaskie gwiazdki, źródełka do dna ścięte lodem, a na dnie to, czego się obawiał — że ta kobieta zrobi wszystko, czego on zapragnie, narodzi mu dzieci i będzie gotować strawę, ale całe ich życie będzie jej odwetem za to, że po nią sięgnął.

Pozostawił dziewczynę, trochę zdziwioną i nadąsaną, i wyszedł. Po bulwarze przechadzały się pary, chłopcy trzymali pod rękę dziewczęta i statecznie prowadzili konwersację nachylając się ku sobie i szelmowsko błyskając oczyma. Wybuchał i drgał koło nich śmiech niby dzwoneczek, grzechotał śmiechem baryton, połyskiwały w świetle latarni pantofelki, u paru strojniś poznał swoje arcydzieła. Były piękniejsze i wytworniejsze od innych i Mykoła na próżno usiłował przypomnieć sobie, kiedy to trzymał w dłoni owe toczone nóżki.

Był już znużony i miał wszystkiego dosyć. Marzył już nawet o dniu jutrzejszym, gdy znów zasiądzie na swoim stołku. Wtedy

jego dłonie znów sprawią cud nad kilkoma płatkami skóry, kształtując ją tak, że znów zajaśnieje i stanie się magnesem dla kobiecych oczu.

— Nie mieliśmy i mieć nie będziemy mistrza nad ciebie! — powie mu stary cechmistrz na oddziale i pomyśli, że ten człowiek niestety szyje buty dla tych, co zamiast serca mają lód i pustkę. Pomyśli też o swoich latach i o tym, że jego najstarsza córka też już włożyła takie pantofelki: kto wie, może już czas zostać dziadkiem?

Mykoła zagłębiał się w swoją uliczkę. Od rzeki kumkały żaby, a dokoła zapamiętale ćwierkały natchnione świerszcze. Wszystko spało, skąpane w martwej, widmowej szarości — na środku nieba tkwił wielki i nagi księżyc. Gdzieś nie opodal ozwał się pies, skrzypnęły drzwi, ciemna postać stanęła w progu.

— Czemu nie śpisz, mamo? — zapytał cicho.

— Nie przyszedłeś na obiad, to miejsca sobie znaleźć nie mogę — równie cicho odpowiedziała matka.

— A bo mi się co stanie? — roześmiał się.

— Każdemu, synku, może się coś przydarzyć...

— E, mamo! — rozpostarł dłonie. — Tyle mam w sobie siły!

Patrzyła nań miłośnie. Nie był podobny do niej ani do nieboszczyka męża. Nie był podobny do nikogo w rodzie z tych, których zanotowała pamięcią. Trochę ją niepokoiła ta jego nieogarniona siła i ów prąd — wyczuwała to jako kobieta. Patrzyła więc na syna ze smutkiem i lekko kiwała nad nim głową. Na ustach wykwitał jej ciepły uśmiech, bowiem patrzyła nań z miłością.

— Czas by ci się już żenić, synu — rzekła, a on roześmiał się, że tak zwyczajnie rozwiązuje i tłumaczy jego niepokój.

8

Ołeksandra lubiła drogę do Kroszni: jezdnia byle jak brukowana, z obu jej stron kręte ścieżki, po których rozsypali się zakwitając odświętnymi sukienkami i garniturami chłopcy i dziewczęta. Raz po raz się nachylała, by zerwać kwiat i dołączyć go do bukietu, co jaśniał w jej ręku. Za nią posapywała Stefa, Somia zaś wysforowała się do przodu. Z boku miały zachodzące słońce, wielkie i żółte, co kąpało się w dalekich drzewach jak w zielonej sadzawce. W pobliżu zagrała muzyka i Ołeksandra przypomniała sobie ojca, co śpiewał dziś przez cały dzień. Serce jej rozgrzewało niepojęte olśnienie, jakiego doznają dziewczęta odgadując swoich przyszłych, przeczuwała, że lada chwila przyjdzie do niej ktoś nieznajomy i władczy, otworzy jej serce i zabierze na własność. Niebo nad głową było rumiane, pocięte błę-

kitną mereżką — i to zestawienie kolorów też ją podniecało. Zamajaczyły jej jakieś palące chabrowe oczy, jedne na jednym skraju nieba, a drugie na drugim. Z boku dostrzegła jeszcze jedną zjawę: człowieka z białą brodą. Wyciągnął rękę i trzymał w niej wielką pomarańczową księgę.

— Spójrz, co za staruch! — wskazała Stefie tę osobliwą chmurę.

— A bo to staruch? — wycedziła Stefa z lekceważeniem. — To raczej przypomina jakąś chałupę...

— Samaś ty chałupa! — roześmiała się Ołeksandra. — Popatrz, i książkę czyta...

— Książkę? To już raczej do gąsiora podobne...

Odechciało się jej przekomarzać ze Stefą, bo niebo jęło nagle zmieniać kolory. Słońce zaszło, znikł staruch, który rzeczywiście upodobnił się do chaty, znikła też książka, która zaczęła przypominać gąsiora; cieniuteńko zaznaczyła się jasnobłękitna smużka między czerwoną i zieloną chmurą. Ołeksandra nagle przestraszyła się czegoś nieznanego w sobie samej. Zdjął ją lęk, że tak się raptem znalazła oko w oko z niebem, bowiem całym swoim jestestwem usłyszała osobliwą, ledwie uchwytną muzykę. „Coś się stanie wkrótce" — pomyślała. Malutkie, niewidoczne szczęście ogarnęło ją i nie chciała go utracić. Zapragnęła wrócić do domu, zamknąć się na klucz i poczuć własne łzy na poduszce. Musiała jednak pójść z tą wesołą gromadą, bo jakże im to wszystko wytłumaczy? Więc obróciła się do zadyszanej Stefy i roześmiała się:

— Spójrz na tę Sońkę. Jakby sobie motorek do pięt przykręciła...

Na to roześmiała się Stefa, Ołeksandra zaś, patrząc na pucułowatą, roześmianą twarz przyjaciółki, jeszcze raz się upewniła, że przeczucia jej nie mylą.

9

Mykoła tymczasem nie znajdował sobie miejsca. Za dnia było mu łatwiej, bo pogrążał się w robocie. Zdawało się, że zachodzi tu sprzężenie zwrotne: przekazywał skórze swoje podniecenie, a ta oddawała mu swój zapach. Człowiek, który go wdychał, czuł stepową swobodę, szelest ziół i kwiatów, zapach rozległych łąk zalanych słońcem, smak wyszukanego wina czy też miodu. Odurzała też moc odeń bijąca, na co najbardziej reagowali ci, których serce było czule nastrojoną membraną, gotową oddać najlżejsze drgnienie. Jedynie on sam nie uświadamiał sobie tej siły, ale i on wiedział, że jego ręce, odprawiające gusła nad skó-

rą, obdarzone są szczególną umiejętnością, wywodzącą się stamtąd, z owych słonecznych wonnych łęgów, do ostatka zasłanych nie koszoną trawą i kwiatami. Chował tę wiedzę na dnie serca i może dlatego był w takim pogodnym usposobieniu.

Gorzej było, gdy jego ręce pozostawały bezczynne. Ciemna fala zalewała mu wówczas piersi, znów omijał rodzinny zaułek i przemierzał długie puste ulice. Idąc jak gdyby uciekał od siebie.

Dziś wybrał się na wyspę na środku Teterewa, zapłacił siedzącemu w budce inwalidzie i przeszedł mostek. Śmiech dobiegał z plaży dla kobiet, po alejkach spacerowały pary: mężczyźni szli z podniesionymi głowami, a dziewczęta zerkały na boki. Lgnęli do siebie ramionami — męska ręka pod łokciem panieńskim, a nogi nie tykały nawet ziemi — płynęły i płynęły.

Przy kołowrotach-gigantach biegali chłopcy wzlatując w powietrze; jedna pętla była wolna i Mykoła przewlókł się przez nią. Skoczył i pobiegł, przed nim mknęło jakieś czarne ciało, wzlatywało z nim razem w powietrze i znów dotykało ziemi. Szczękał blok na słupie, dookoła tłoczyły się pary, którym znudziło się przemierzanie alejek w tę i z powrotem, w sercu Mykoły na chwilę ożyła fantazja. Mknął dokoła za plecami jakiegoś galanta — twarze ich zlewały się w jedną jasną wstęgę. Mknął i czuł, że im dalej biegnie, tym większy niepokój go ogarnia, lecz ani rusz nie może dopędzić tego galanta w czerni, jego zaś nie może dopędzić inny galant, i tak się może ciągnąć Bóg wie jak długo. Ciało ma niezbyt lotne i tchu już mu braknie, a dookoła kręci się jasna wstęga utkana mnóstwem rozbłyskujących gwiazdek.

Wysunął się z pętli i rzucił wzrokiem na huśtawki, na których przewijały się, zaciskając między kolanami spódniczki, dziewczęta z ich wytwórni. Jęły się uśmiechać do niego i pomachał im ręką na przywitanie; wiedział już dobrze, że nie ma pomiędzy nimi tej, którą poznałby od razu. Usiadł na brzegu przy kamiennym mostku, z którego poprzebijały się witki wierzby, i zapatrzył się przez te witki, jak rzeka za nimi mieni się i przelewa. Przy plaży dla kobiet widać było w wodzie trzy główki z wysoko upiętymi włosami. Zdawało się, że przyciągnął je ku sobie siłą spojrzenia: jedna była blondynką, druga brunetką, a trzecia całkiem ruda.

Wtedy to posłyszał grę na gitarze. Ktoś trącał struny tuż za krzakami i owa muzyka świetnie zestrajała się z tym wieczorem, co jeszcze zachowywał na niebie słońce, ale miał już posmak jesieni. Muzyka zestrajała się ze srebrnym migotaniem wody i z tymi główkami — czułymi, ślicznymi spławikami. Zestrajała się z gwarem głosów i szmerem liści ze wszystkich stron. Grający

chwytał mistrzowsko i tkliwy smętek zachodzącego słońca, i przemienny nastrój bardzo wydłużonych cieni na ścieżkach. Była to prosta i zarazem przedziwna muzyka; Mykoła nie wytrzymał, zerwał się i ruszył na jej spotkanie.

Na brzegu siedział znany w całym mieście Kola Bowdia. Chyląc głowę nad instrumentem, lekko potrącał struny koniuszkami palców. Drugą ręką obejmował gryf, palce przyciskały struny, to znów je zwalniały — gitara płakała w ten wieczór jak żywa.

Mykoła przykucnął przy Bowdii, który tylko zwrócił oczy w jego stronę, ale grać nie przestał. Zdawało się, że zasłuchało się wszystko: ucichł szmer liści i przestały pokrzykiwać kąpiące się w rzece dziewczęta. Bowdia minę miał smutną i nie mniej smutne były struny pod jego palcami. Mykoła słuchając tej muzyki raptem zrozumiał, że jego serdeczne zgryzoty są czymś małym i przemijającym, że naokoło roztacza się wielki, rozległy świat i że ten świat jest pełen słońca i bujnej zieleni. A w nim jest właśnie ten nastrój, który wypowiada gitara, współbrzmiący z tymi pojedynczymi żółtymi liśćmi, co już prześwitują w zaroślach po drugiej stronie rzeki.

— Kto ci zrobił taki instrument, Kola? — spytał Mykoła.

— A któż by jak nie Rajko — odparł Kola nie przerywając gry.

— No, ten Rajko to potrafi. A czy teraz bierze zamówienia?

— Bierze — odparł Bowdia. — Teraz to w sam raz u niego zamawiać!

— Czemuż to, Kola?

— Jest bez grosza przy duszy — odpowiedział Kola i raźniej zabrzmiała jego gitara.

Może dlatego, że zmieniła tonację, zakołysały się na środku rzeki trzy główki z wysoko upiętymi włosami, roześmiały się beztrosko i popłynęły do budek kąpielowych.

— Jest teraz w opałach — rzekł Bowdia i jego gitara znów przybrała odcień smętku, jaki brzmiał w niej poprzednio. — Jak chcesz iść do niego, to nie zapomnij, bracie, wziąć pół litra.

10

— Tak — rzekł do niego Rajko. — Ja jestem fachman, jakich się teraz nie znajdzie. Miałem kiedyś wytwórnię instrumentów, w której byłem i właścicielem, i dyrektorem, i naczelnym majstrem. Nigdy nie miałem za wielkiej forsy, ale znałem swoją robotę...

Mykoła się rozejrzał. Siedzieli w izbie zagraconej deskami i dyktą. Rajko miał na sobie wyświechtaną, niegdyś „pańską" mary-

narkę, spod której wyglądała nieomal czarna koszula. Na stole ledwie się tliła niziutka lampa oświetlając nie golone oblicze Rajka i obrośniętą gęstymi kudłami głowę. Oczy starego osadzone były głęboko w czaszce i świeciły już pijackimi iskrami.

Zdjął ze ściany bałałajkę i poobracał ją w dłoniach.

— Takie mi się udają instrumenty! — rzekł głośno brzęknąwszy strunami. — Ale tej ci nie sprzedam. Zrobię ci nową nie gorszą. Tę, chłopie, mam jako eksponat muzealny.

Zadźwięczały i zadzwoniły struny, dźwięczna i żwawa melodia wybiegła spod palców starego.

— Dzisz, z czego kleję to wszystko!

Wstał i podszedł do stosu deseczek, listew i dykty. Wyciągnął suchą już od dawna, obsypaną zadrami listwę z dwoma zagiętymi gwoździmi na końcach. — To jest brzoza karelska, bracie, nie zważaj, że taka niepozorna — rzekł i popatrzył znacząco. — A ty wiesz, skąd ja ją wytrzasnąłem? Przywożą meble, a opakowują je w takie złoto!

Rajko ujął w dłoń listwę, jakby to była gitara czy bałałajka, i uczynił ruch ręką, jakby się brał do grania.

— A ty, chłopcze, jaki masz zawód?

— Szewc — odparł Mykoła obracając w ręku „eksponat muzealny".

— Świetnie, mój kochany! — zawołał stary i znów usiadł przy stole wlewając do szklanek resztkę wódki. — O cenę nie stoję. Uszyj ty mi, brachu, meszty ze swojej skóry, a ja ci zrobię, brachu, bałałajkę z mojego drzewa.

11

Ołeksandrze zdawało się, że bałałajka wisząca u nich na ścianie raptem głucho zajęczała, ozwały się jej struny z brzękiem i pogłosem. Spojrzała niespokojnie w tamtym kierunku; dzieci już spały, zgodnie pociągając nosami; na stole stał samowar, ciemno rysując się na tle okna, samowar — niczym jakaś postać ludzka, szeroka w barach i przysadzista; światło księżyca, który nagle wymknął się zza chmur, odbiło na podłodze krzyż okienny, a w ten jasny kwadrat trafił skraj łóżka najstarszego syna i ręka najmłodszej córki. Bałałajka wisiała naprzeciwko. Ołeksandra widziała jej pękatą bryłę, promienie księżycowe odbijały się również na strunach, co ledwie dostrzegalnie fosforyzowały. Od tych strun rzeczywiście popłynęła muzyka — Ołeksandra ujrzała w kącie na szewskim stołku krytym pasami brezentu schyloną postać, raźnie postukującą młotkiem w obcas pantofla. Mykoła nucił pod nosem i struny wtórowały jego melodii

cichym pogłosem, nieco smętnym, za to przejmującym. Ujrzała też w progu inną postać, masywną i bliską; czuć ją było klejem stolarskim i politurą; zaczęła pojmować, co łączy tych dwóch niepodobnych, ale równie bliskich jej mężczyzn: była to ta sama melodia, którą nucili przy pracy, jako że pracowali w tym samym rytmie. Nie było na świecie solidniejszych mebli niż te, które robił ojciec Ołeksandry, i nie było na świecie piękniejszego obuwia nad to, które szył jej Mykoła.

Kobieta otworzyła oczy: dokoła panowała wielka cisza. Pomyślała, że wszystkie te lata, które minęły tak niedawno, kolumny zielonych samochodów, ludzie w obcych mundurach i mówiący obcym językiem, strzały i eksplozje, stosy gruzów — wszystko to jest jakieś niesamowite, mara senna, potworna i przerażająca. Czyż da się z niej otrząsnąć po obudzeniu i czy zaśpiewa kiedyś w wielkich strudzonych dłoniach owa bałałajka, wykonana przez odludka w wyświechtanej marynarce i o błyszczących, z lekka nieprzytomnych oczach? Poznała w owej cichej nocy dusze rzeczy, przynajmniej tych, których dotykały jego ręce. Do oczu napłynęły jej wielkie łzy i jedynym, który te łzy zobaczył, był księżyc. Tknął je żółtymi, cienkimi jak pajęczyny sztyletami i przemienił je w diamenty. Potoczyły się w noc, zbierając pył kosmiczny, ogromniały, przyciągały małe meteoryty i ciała niebieskie. Ujrzał je oglądając się za siebie samotny wędrowiec, wciąż jeszcze idący niebieską drogą, obsypaną gwiazdami: dwa nowe ciała niebieskie tężały w jego oczach i ruch przez nie wszczęty był właśnie tym najpierwotniejszym „czymś", co rosło i kiełkowało w próżni. Ani Mykoła, ani Ołeksandra nie zdawali sobie sprawy z tej gry żywiołów, chcieli jedynie zestroić ze sobą bodaj nikłe, ale niewątpliwie istniejące struny, jakie ich łączyły. Było to konieczne, by z tych strun popłynęła jednocząca ich dusze melodia, i by z tej jedności narodził się ich związek, dzięki któremu przyszło na świat jeszcze pięcioro zrodzonych z miłości dzieci.

12

Przeto i on, i ona wrócili do tej izby dawno zmiecionej z oblicza ziemi (na początku wojny w dom Soni trafiła bomba, grzebiąc pod gruzami śmieszkę Sonię oraz jej dzieci i matkę) i spróbowali ją odbudować. Przywrócili sprzęty, jakie teraz nieczęsto się spotyka — łóżko z materacem i górą poduch, z drewnianymi burtami zdobnymi w liście palmowe, szafę z toczonymi balaskami i ciężką komodę, ową moc dzianiny, haftów i koronek, kilimy na podłodze i stołki, na których siedzieli, strojąc śmiechy przy wielkim stole o masywnych rzeźbionych nogach.

Sonia miała niebieską sukienkę, jej jasne loczki wiły się mile dla oczu, usta miała czerwone od szminki, i gdy po przegranej pocałowała jednego z chłopców, odbiła mu na policzku czerwone serduszko. Chłopiec nie ścierał tego serduszka przez cały czas wieczorku, starał się, jak mógł, zarobić serduszko również na drugim policzku i Sonia wspaniałomyślnie przypieczętowała je po raz wtóry. To zadecydowało o ich losie, serduszka te bowiem przenikły przez skórę chłopca i popłynęły jako nadprogramowe czerwone ciałka poprzez naczynia krwionośne i tętnice do żył, zakrążyły w ciele obiegając je od stóp do głów, a wtedy rozkołysały się w piersi i przeszły skroś serce, które wypiło ich odurzającą treść i pchnęło je w dalszy obieg po ciele, a ze wszystkich osób obecnych na wieczorku jedynie Sonia przejęła się owym zjawiskiem. Bezwiednie złapała się za usta, by sprawdzić, czy zostało na nich choć trochę szminki, i były takie gorące, że oparzyła sobie palce. Ołeksandra też domyśliła się, co się święci, zresztą wyprzedziła swą przyjaciółkę ku wielkiemu swojemu zdziwieniu wychodząc za mąż jeszcze wcześniej, ale takie już było zrządzenie ich losów.

Mykoła od razu zobaczył tę dziewczynę w kącie, z początku wydała mu się niełądna — wysoka i smagła, na pozór sztywna i surowa, jako że była nie tyle uczestniczką zabawy, co jej świadkiem. Drugi raz spojrzał na nią i wydała mu się sympatyczniejsza. A wtedy zabrzmiał jej głos i po chwili ujrzał rękę ujmującą oparcie fotela. Ręka nurzała się w świetle i skóra jej miękko, matowo jaśniała. Owo jaśnienie najbardziej uderzyło Mykołę. Po chwili poczuł, że patrząc na tę twarz ukrytą w półmroku zaczyna się niepokoić. Nie odezwała się w nim gwałtownie krew, jak to bywa w miłości od pierwszego wejrzenia, raczej uciszył się i uspokoił. Dziewczyna zauważyła jego zerknięcia i zaczęła się nieco denerwować. Poruszyła się, schowała rękę, poprawiła sukienkę na kolanach, starała się nie patrzeć na Mykołę i w owe zaskakujące chabrowe oczy; on zaś nie mógł powstrzymać zachwytu patrząc na nią i zapomniał zgoła, że przed paroma minutami wydawała mu się niezbyt ładna... Ogarniał go spokój, jak gdyby ich tajemna wspólnota stanowiła już głos ciała, jak gdyby dwie dusze, co dotąd nie zaznały spokoju, doszły do ładu i zyskały taką więź, jaka łączy planetę z jej księżycem. Dwa ciała wirują wpierw chaotycznie, z początku cały świat jest chaosem: wybuchy i protuberancje, niepokój i przeobrażenia to pierwszy stopień do harmonii wszechświata. Nastąpi ona później, gdy wybuchy i protuberancje zastąpi cisza i spokój...

„Miłość jest właśnie dążeniem do spokoju — pomyślał stary pasterz kóz Iwan Szewczuk, gdy żona opowiedziała mu histo-

rię o Mykole i Ołeksandrze. — Ci, którzy burzą, nie znają miłości — są dziećmi mocy i ciemności. Nie depcz na próżno kwiatu — myślał bez patosu, siedząc na werandzie — nie ścinaj drzew bez potrzeby, nie zabijaj przeszkadzającego ci zwierzęcia czy żuczka. Niech ptak frunie sobie do nieba — bez niego staje się ono puste i głuche, niech wąż wije się w trawie, a jaszczurka wygrzewa się na kamieniu. Nie przeszkadzaj płodzić się i mnożyć wielkiemu żyjącemu światu, bo nie twemu rozumowi sądzone jest zgłębić wielki mechanizm równowagi!"

Przed nim powoli dogasało niebo. Patrzył na nie, wyprężony w wiklinowym fotelu, jego bujne włosy mieniły się srebrzyście, a na jego spoważniałej twarzy kładły się gorące cienie letniego wieczoru...

...Mykoła nie zastanawiał się i nie rozważał. Wstał i podszedł do Ołeksandry i była to przełomowa chwila dla nich obojga. Owa niezbyt urodziwa w oczach innych ludzi dziewczyna stała się dlań najbliższa i najpiękniejsza — włączyło się to, co działa bezbłędnie we wszystkich czasach i epokach. Żadne z nich nie uczyniło nic, by wywołać zainteresowanie sobą drugiej strony: nie chciał i nie potrafił robić z siebie bohaterskiego koguta, ona zaś nie chciała się uczyć banalnej panieńskiej kokieterii. Wszystko to stało się tak po prostu i nagle, i gdy usiadł przy niej i powiedział pierwsze słowo, było to słowo niezbędne, które się stało węzłem zaciągniętym mocno i na zawsze. Ani on, ani ona nie pamiętali go później, choć właśnie przez nie udało mu się zdobyć jej serce: oboje pamiętali jedynie, że serca ich zgodnie zabiły i że obojgu im zaparło dech równocześnie. Zamknęli się tam, w kąciku, w przejrzystej kapsułce, i odtąd nikt już nie widział ich na żadnym wieczorku.

13

Wyszli z domu, któremu było sądzone po latach dziesięciu zniknąć wraz z jego wesołą gospodynią: w burzy, co przetoczyła się nad ziemią, znikną prawie wszyscy uczestnicy owego pamiętnego wieczorku, zostanie jedynie Ołeksandra, jeszcze jedna dziewczyna i młodszy brat Soni, Włodzimierz, obserwujący ów wieczorek przez dziurkę od klucza. On właśnie po latach piętnastu znów się spotka z Ołeksandrą Panasiwną i z zazdrością patrzeć będzie przez szybę w swoim oknie, jak zgodnie bierze się co rano do roboty jej liczna rodzina. Oddychać będzie wówczas prawdziwym spokojem przedwiecznym i szczerym, znów pocznie cieszyć się światem pełnym słońca, ptactwa i ludzi. W powietrzu, w wodzie i na ziemi oglądać będzie życie i radować się

nim. Człowiek mieści się pośrodku tego płomieniska, na które składają się woda, powietrze, ziemia i ogień, i Włodzimierzowi miło będzie spoglądać, jak czworo dzieci Ołeksandry Panasiwny potwierdzać będzie wobec świata to prawo: najstarszy chłopiec dźwigać będzie wodę z pompy, młodszy kopać grządkę, średnia córka podsycać będzie żar wygaszony pod letnią kuchnią, najmłodsza zaś usiądzie i pocznie wydmuchiwać z rozszczepionej słomki błyszczące i różnobarwne bańki mydlane. Nie będzie z nimi w owej chwili jedynie starszej dziewczynki: ta siedzieć będzie z dala od domu i myć sobie nogi. Z góry, z domostwa przypominającego twierdzę, zejdzie już wyrośnięty, ale okropnie chudy Chłopiec. Zatrzyma się przy skale, co wypiętrza się z ziemi niczym strach jakiś, i zapatrzy się na schyloną postać nad wodą. Słońce opromieni dziewczynkę i Chłopiec nabierze powietrza w płuca. Ziemia zachwieje mu się pod nogami, bo pójdzie w stronę tej dziewczynki, ta zaś, widząc go, zerwie się gwałtownie jak sarna i zatrzepoce śpiesznie powiekami. Rozejrzy się, gdzie można się schować, ale nie będzie miała dokąd. Wtedy opuści oczy i przyjmie od Chłopca pierwszy prezent, jaki sądzone jej będzie wziąć od mężczyzny: szklaną kulę, w której na wieki uwięziono złocistą pszczołę z rozpostartymi skrzydłami...

...Mykoła i Ołeksandra wracali z tego wieczorku ramię w ramię. Odbili się od reszty chłopców i dziewcząt, tego wieczoru towarzystwo ich nie interesowało. Na niebie świecił księżyc, tak jasny owej nocy, że droga, którą szli, zajaśniała niebieską poświatą. Mykoła delikatnie wziął dziewczynę pod rękę i przytuliła się doń z ufnością: dziesięć lat mieli przejść po tej drodze. Po roku dojdzie do nich jeszcze jeden towarzysz wędrówki, a pod koniec dziesiątego roku będzie ich siedmioro.

Ale to jeszcze nie będzie kres ich dziejów. Że to kres, Mykoła uprzytomni sobie później, gdy będzie przebijać się z okrążenia...

...Żołnierze brnęli poprzez moczary, przemokli i zmarznięci, była to już jesień i dookoła krążyły liście. Później spadł pierwszy śnieg i usłyszeli wreszcie odległe dudnienie dział. Spojrzeli po sobie, roześmieli się nagle i rzucili się sobie w objęcia. Odtąd stali się czujni i jak gdyby złapali drugi oddech. W dzień kryli się, a szli nocami. Czołgali się i nasłuchiwali zgiełku armat, który dobiegał ich coraz bliżej.

Na Niemców nadziali się przypadkiem. Żołnierze wystrzelali ostatek amunicji i padali kolejno. Z okrążenia wyrwał się jeden Mykoła. Pomykał na jednej nodze zrudziałym ośnieżonym zagonem pomiędzy bagniskami — jednonogi ptak bezsku-

tecznie usiłujący wzlecieć. Nie wiedział, że spod stalowych daszków i spomiędzy bezładnych plam strojów maskujących pilnie śledzą go dwie pary oczu. W pobliżu widział jedynie stóg siana i chciał doń dotrzeć. Dlatego kuśtykał tak zawzięcie i oblewał się potem. Oczy zachodziły mu krwawą mgłą, ale miał jeszcze siły. Dwie pary oczu śledziły go właśnie spod tego stogu, do którego pragnął się dostać.

Zabrakło mu do niego raptem dziesięciu kroków. Zaterkotał karabin maszynowy i przepiłował go jak drzewo. Pochylił się, jakby chciał coś zobaczyć pod nogami, i ujrzał, że u nóg jego palą się gwiazdy. Ujrzał siebie samego na nieznanej modrej drodze i ruszył nią z wolna w kierunku przejrzystej świetlnej kuli, co raptem przed nim zajaśniała...

Później raz jeszcze przejdzie tą drogą. Jedyny raz, gdy mu się zdarzy podejść pod okno swojego niegdysiejszego domu i zajrzeć przez nie, by zobaczyć rozrzewniającą wieczerzę swojej rodziny. Nie będzie im przeszkadzać i cichutko odejdzie. Będzie padał deszcz, który zagłuszy ledwie dosłyszalny szmer jego kroków. Obmyje liście i zioła, przemieni kurz w błoto, a kałuże zalśnią jak macica perłowa. Wówczas Mykoła ofiaruje swojej rodzinie i temu żyjącemu światu liście, trawę i perłowo lśniące kałuże. Powoli będzie dążyć niebieską drogą i to jego przyjście i odejście oprócz Ołeksandry Panasiwny zauważy jeszcze jeden z żyjących. Będzie to pasterz kóz Iwan, który zapisze to zdarzenie w swoim zeszycie na jego ostatnich stronicach. Wzruszy go to bardzo i długo będzie siedzieć w swoim wiklinowym fotelu, przeżywając to wszystko w milczeniu...

Ołeksandra Panasiwna zaniepokoi się, a później, gdy wszyscy posną, usłyszy, jak cichutko gra na ścianie instrument zrobiony niegdyś przez na poły zbzikowanego, na poły zapitego mistrza Rajka, instrument, na którym Mykoła tak często lubił grać w wolnych chwilach. Ów Rajko podówczas będzie jeszcze żywy. Otrząśnie się z pijackiego odurzenia i zacznie szukać ręką po podłodze. Nie znajdzie tam butelki, ale dotrze doń cicha melodia, którą posłyszała również Ołeksandra Panasiwna. Rajko nie zgadnie, który to ze zrobionych przezeń instrumentów zagrał mu tej nocy, ale nie pomyli się, że tak grać potrafi jedynie dzieło jego ręki. Rajko uśmiechnie się i raz jeden w całym swoim życiu pomyśli, że mimo wszystko żył nie na próżno.

ROZDZIAŁ TRZECI

DOM NA WZGÓRZU

Oni to wycinają w niebie
Sidełka, ciskają na ziemię.
Z szumerskiego

1

Przed dziesięcioma laty koło domostwa na wzgórzu zjawił się gładysz w lakierkach, szarym garniturze i lekkim słomkowym kapeluszu. Nikt nie zauważył, skąd się wziął, chyba jednak nie wspinał się pod górę. Od tyłu zagrody nie było przejścia, rozmieściły się tam jedna i druga lecznica, które odcięły się od wzgórza wysokimi i solidnymi parkanami. Pod sztachetami były gęste zarośla pokrzyw i kto by się ośmielił sforsować te przeszkody, z pewnością by się poparzył. Można było przedzierać się do zabudowań i z lewej strony, tam wszakże były zarośla kolcowoju i gliniaste urwiska. Stąd też Hala była przekonana, że gładysz spłynął na ich wzgórze na skrzydłach — garnitur miał uprasowany bez zarzutu, od lakierków zaś bił blask, jak gdyby stąpał nie po kurzu i żwirze, lecz po asfalcie. Gładysz przychodził, by posiedzieć na skale, niekiedy spacerował po kamienistych ścieżkach i Hala wciąż musiała patrzeć na niego. Miał małe czarne wąsiki, lśniące aż do blasku zęby, a gdy zdejmował kapelusz, by powitać nieco kanciastą i nie do końca jeszcze uformowaną dziewczynę (to znaczy — Halę), to na tej głowie ukazywały się włosy uczesane z tak idealnym przedziałkiem, tak dokładnie wypomadowane i przygładzone, że sprawiały wrażenie nie włosów, lecz peruki. Z początku Hala zgoła obojętnie dostrzegała obecność gładysza na wzgórzu, po paru dniach już się rumieniła na jego przywitanie, po nocach zdawało się jej, że jeździ na karuzeli, rankiem zaś cera jej robiła się biała jak mleko. Po tygodniu ukradkiem już wypatrywała gładysza wśród krzaków malin i oczy jej aż płonęły pośród zieleni. Pewnego razu gładysz przechodząc obok spokojnie przywitał Halę w tym jej ukryciu, jak gdyby spotkali się po prostu na ścieżce. Przystanął i za-

czął uprzejmie wypytywać o tutejsze okolice. W tym momencie wyszła na ganek babka, bacznie przyjrzała się gładyszowi, zerknęła i na wnuczkę sterczącą pośród malin i stanowczo zawołała dziewczynę do domu.

Czekała na Halę w swoim pokoju, majestatycznie wznosząc się w rzeźbionym fotelu, i gdy wnuczka przekroczyła próg, ujrzała, że na jej policzkach goreją ceglaste rumieńce.

— Cóż to za mężczyzna? — zapytała surowo.

Hala wzruszyła ramionami. Nie była w stanie patrzeć na babkę, wpatrywała się w gałązkę klonu za oknem.

— Z dołu tu przyszedł?

— Nie! Właściwie to nie wiem...

— Co mówił do ciebie?

— Pytał o tutejsze okolice. Jak i gdzie co się nazywa...

— Radzę ci go unikać — rozkazała krótko stara. — Nie podoba mi się...

— To jakiś zwykły przechodzień! — W głosie Hali brzmiało zdziwienie.

— Dobrze znam takich przechodniów. Nie wdawaj się z nim w rozmowy...

— Ale jak mnie ktoś o coś pyta...

— Nie wdawaj się z nim w rozmowy! — powtórzyła babka i poczuła, jak krew uderza jej do głowy.

Mimo to Hala wdała się w rozmowę z gładyszem. Stało się to wówczas, gdy stara poszła już spać. Hala cichutko wymknęła się na dwór i poszła w stronę malin. Nie zdążyła tam dojść, bo przy furtce stał gładysz, jak gdyby spadł z nieba. Stał oparty piersią o sztachety i uśmiechał się białymi zębami. Odezwał się do niej tak mile i bezpośrednio, że Hala nie była w stanie uciec do domu czy odprawić go szorstko, jak to się robi z niepożądanym natrętem. Ponadto zwracał się do niej ktoś starszy i Hala ani się obejrzała, jak przeleciały jej pod kasztanem bite trzy godziny — przegawędzili je tam, oddzieleni furtką. Dziewczyna wracała do domu z głową jak z waty, zaczadzona, spłoszona i wniebowzięta, nie pojmując, dlaczego drżą jej ręce, skoro tylko porozmawiała nieco z jakimś mężczyzną, który wprawdzie przedstawił się jako Anatol, ale był Bóg wie skąd i Bóg wie kim. Zatrzymała się nawet na ganku, by zobaczyć, jak będzie schodził z góry w dolinę, ale wzgórze było już puściusieńkie i słał się nad nim modry zmierzch — świecił wówczas nad ziemią złoty miesiączek. Gładysza zdmuchnęło ze wzgórza, jak gdyby nie był człowiekiem z krwi i kości, lecz duchem, co sfrunął tutaj na skrzydłach, a później rozwiał się jak dym, co już Hali nie mieściło się w głowie.

W nocy miała sen. Wielki szary ptak w lakierkach i słomkowym kapeluszu na głowie krążył nad ich obejściem. Z lakierków sterczały ostre szpony, a zamiast nosa widać było zakrzywiony dziób. Ptak zakrakał niczym kruk i ze złożonymi skrzydłami, kulą, runął tam, gdzie Hala chowała się w krzakach malin. Krzyknęła i obudziła się. Obudziła się również babka (spały podówczas w jednej izbie) i stłumionym głosem zapytała, co się dzieje.

— Co może dziać się z człowiekiem, kiedy śpi? — odparła Hala niechętnie i obróciła się na drugi bok, aż zapiszczały sprężyny jej przedpotopowego łóżka.

Zasnęła i już się jej nie przyśnił szary ptak, zobaczyła jedynie koleżanki ze swojej klasy drugiej szkoły żeńskiej, z którymi pożegnała się przed niecałym miesiącem. Przysięgły, że będą pamiętać o sobie do końca swoich dni i przyśnił się jej właśnie moment wypowiadania przysięgi.

Znów się obudziła i długo myślała o koleżankach: żadna z nich w ciągu tego miesiąca nie odwiedziła jej ani razu, choć niby z Kławdią miały się razem przygotowywać do technikum pedagogicznego. Nie chciała sobie zaprzątać głowy gładyszem, który zresztą nie wiadomo czemu sądził, że jeszcze jest uczennicą, i takie to było dla niej zabawne, że się aż roześmiała, gdy uniósł trójkąty brwi na wiadomość, że szkołę ma już za sobą.

— Tak? — zapytał jakby z niedowierzaniem. — No to winszuję z całego serca. Jest już pani samodzielną osobą...

Powiedział to w takim pośpiechu, że „samodzielna osoba" ledwie go dosłyszała, a słysząc zaczerwieniała się po czubki uszu, dobrze przynajmniej, że był już wieczór. Miło jej było słuchać jego głosu, nieco gruchającego, ale sympatycznego; zresztą dzielił ich parkan: w razie czego mogłaby czmychnąć do domu — w szkole biegała najlepiej ze wszystkich. Jednakże gładysz nawet palcem nie ruszył, by otworzyć furtkę, był taki uprzejmy, taki dorosły, tak dziwnie świeciły mu oczy, że odwracała odeń spojrzenie, byle nie patrzeć. Przez to właśnie miękła i czuła zmieszanie; na ostatek nie miała już nic przeciwko temu, by wszedł na podwórze, uprzednio grzecznie prosząc o pozwolenie. Jednakże na podwórze wejść nie zamierzał, zapytał jedynie, czy nie mogliby się spotkać jutro. A gdy odchodziła, złapał ją za rękę i po staroświecku musnął koniuszki jej palców łaskoczącymi wąsikami. Ona zaś, miast obruszyć się na ten wybryk, zaśmiała się jedynie i wyrwała rękę.

— Ależ cudak z pana! — rzekła i uciekła ze śmiechem.

I nie widziała, że z powodu tego śmiechu gładysz wyszczerzył białe zęby i zrobił się niesłychanie kontent. Za chwilę nie

było go już przy furtce, ona zaś cichcem wróciła do domu pozostawiając pantofle w przedsionku i stąpała tak cicho, że słyszała nawet, jak kornik toczy ich domostwo i jak gdzieś daleko skrobie mysz albo szczur wygryzając sobie norę. Słyszała nierówny oddech staruszki i poczuła się tak radośnie, że bądź co bądź wyprowadziła starą w pole. Ręka jej spoczęła na klamce, kciuk jął powoli naciskać na spust klamki i zrobiła to Hala z taką wprawą, że klamka bezgłośnie się uniosła, i chociaż drzwi nawet zapiszczały, to nie głośniej niż zaszeleściłby mól albo mysz. Hala przemknęła przez pokój, a gdy wsunęła się, nie skrzypnąwszy nawet sprężyną, pod kołdrę, ujrzałą, jak twarz babki stężała nieruchomo w świetle księżyca. Ostry nos, niezwykła bladość twarzy, zda się, przyprószonej pudrem — Hala wzdrygnęła się, jak gdyby zobaczyła trupa. Wówczas głośno zakołatało jej serce, do którego, niczym zbłąkane dziecko do domu, weszło pierwsze uczucie.

2

Babcia siedziała w rzeźbionym fotelu, skąpana z obu stron w słońcu porannym, i Hali, gdy przetarła oczy, wydało się, że trafiła do jakiejś bajki — owa staruszka z nimbem siwych włosów nad czołem przypominała królową. Siedziała nieruchomo, jak gdyby śpiąc czy też pogrążona w zadumie, powieki miała przymknięte, a całą twarz spowił smutek.

— Dobrze się czujesz, babciu? — zapytała Hala skulona nieśmiało na swoim łóżku.

Stara powoli otwarła oczy i uniosła głowę.

— Nie śpisz już, kochanie? — spytała tkliwie. — Kiepsko mi się spało tej nocy. Rzucał się na mnie wielki szary ptak i myślę, że nie wróży to nic dobrego. Ty też dziś krzyczałaś przez sen. Śniło ci się coś niedobrego?

Hala struchlała na chwilę, bo to, co powiedziała babcia, trochę ją przestraszyło. Ale w następnej chwili roześmiała się i usiadła na łóżku.

— A mnie, babciu, żadne sny nie nachodzą!

— Jesteś jeszcze w szczęśliwym wieku, kochanie — melancholijnie odparła staruszka. — A tamten szary z wąsikami nie przychodził więcej?

— Ależ babciu! — obruszyła się wnuczka.

Stara popatrzała na nią smętnie i przenikliwie, i nie uszły jej uwagi leciutkie rumieńce, co zakwitły na policzkach Hali.

— Nasz dom jest trochę niezwykły, kochanie — rzekła babcia po chwilowej przerwie. — Może czas ci już o tym opowiedzieć...

A zatem rodzą się w tym domu przeważnie dziewczyny, mężczyźni tutaj przychodzą... Przychodzą z dołu i z reguły proszą, by dać im się napić. Ten, który się napije wody z naszej ręki, przekracza ten próg i pozostaje w tym domu na zawsze. Tak było z moją babcią, z moją mamą i ze mną. Tak było i z twoją matką, i tobie to powinno się zdarzyć... Nie mam pojęcia, jak ci to wszystko wytłumaczyć, ale tak to się dzieje...

— Oj babciu! — Hala zeskoczyła z łóżka. — Taką ciekawą bajkę opowiadasz. Tyle że nasz dom niezbyt przypomina zamek.

Babka milczała. Patrzyła na tę wesołą, młodą i lekkomyślną szczebiotkę i tkliwy smętek przenikał jej serce.

— To dopiero pół bajki — rzekła stara. — Przychodzą do nas też inni mężczyźni. Przynajmniej do mnie i do mojej babci. Do twojej matki i do mojej mamy. Owi przybysze nie wspinają się pod górę i nie proszą, by dać im się napić, pojawiają się Bóg wie skąd...

Wnuczka stała na środku pokoju, skąpana w słońcu porannym. Była blada i aż przejrzysta od promieni, i stara nagle zauważyła, że ma przed sobą nie dziewczynkę, ale dorosłą pannę. Przejrzała na wskroś powietrzną istotę stojącą na środku pokoju i zdała sobie sprawę, jakie to dalekie, kapryśne, zielone fale przychodzą do niej. Patrzyła na wnuczkę jak na własne odległe wspomnienie i jak własnemu wspomnieniu nie mogła rozkazać, by się zmieniło. Nie mogła rzec: bądź, moja przeszłości, taką, jaką chcę cię teraz oglądać, bądź, moja przeszłości, bezchmurną. Martwiła się więc, bo nie doszły jej słowa do serca tej powietrznej istoty — nie potrafiła ułożyć ich bardziej dostępnie.

— Ależ to bajki, bajki jedynie! — rzekła Hala spacerując po pokoju i wchodząc to w słońce, to znów w cień. — Można to przyjąć jako legendę, jako dawny mit, ale czyż coś takiego, babciu, może być w rzeczywistości?

Zatrzymała się przed starą, pogrążoną w cieniu i przez to jak gdyby przygaszoną. Minę miała trochę lekceważącą, choć na dnie jej serca tail się niepokój. Babcia wpatrywała się w nią przenikliwie i badawczo, przez co Hali zrobiło się zgoła nieswojo.

— No tak, opowiadałaś — przerwała milczenie — że i u ciebie zjawiał się taki, za przeproszeniem, „ptak"... Zjawiał się, no i co z tego?

— U mnie nic, bo potrafiłam go przepędzić, ale innym się to nie udawało. Wówczas rodzili się w naszym domostwie chłopcy, których dola prawie zawsze była smętna: wszyscy rwali się do czegoś i nawet uciekali z domu...

Hala się roześmiała. Dzwoniła jak dzwoneczek, wewnątrz jednak stała się raptownie czujna i nastroszona. I w owej chwili narodziły się dwie Hale: jedna jak motyl kolorowy i lekkomyśl-

ny, druga natomiast zamyślona i pochmurna. Pochmurna i zamyślona siedziała też w swoim fotelu babcia i nawet nie zauważyły, jak słońce uciekło z pokoju, ogarnęły je szare cienie i obie wśród nich też poszarzały.

— W naszym rodzie — rzekła babcia — zwykło się opowiadać tę historię dziewczętom, gdy ukończyły lat siedemnaście. Ty nie masz jeszcze lat siedemnastu, jednakże muszę ci to opowiedzieć, bo zbyt jestem zatrwożona snem dzisiejszym...

— Ależ, babciu! — przerwała jej Hala. — Że też coś takiego dziwnego przychodzi ci do głowy!

— Daj Boże — wymówiła cicho stara — żeby tobie nie przyszło do głowy coś dziwnego!

3

Mimo wszystko opowieść ta ją poruszyła, choć uważała ją za starcze bajanie. Właściwa każdej dziewczynie przezorność ożyła w jej sercu, przeto wychodząc z domu i przystanąwszy pod kasztanem długo i z zastanowieniem myślała o tym, co usłyszała. Widziała rzekę ścielącą się modro w dolinie, złoty piasek, kabiny kąpielowe przy zagrodzie na lewo, na prawo zaś wyspę; widać było, jak biegają chłopcy wokół kołowrotów-gigantów. Wszystko nurzało się w obfitym słońcu: zieleń, piach i kamienie, i słońce oczyściło duszę Hali, napełniając ją smutkiem jasnym niczym te skrawki nieba pomiędzy chmurami. Poczuła się tak, jakby była starsza i miała już za sobą drogę życia długą jak ta rzeka, i właśnie na tę drogę oglądała się z takim świetlistym żalem: czy powróci to, co zostało zgubione raz i na zawsze, i czy można wybaczyć samej sobie naruszenie reguł? Pomyślała, że ta wczorajsza rozmowa z Anatolem stanowi pierwsze jej wykroczenie.

Chciała jak najdłużej zachować ten nastrój, czuć się w myśli doświadczoną i trzeźwą, chciała nawet odgadnąć te nowe naruszenia reguły, jakie mogłyby jej zagrażać, ujrzała jednak przed sobą szarzejącą twarz babci i ten fantastyczny błysk w jej oczach. Nic dwakroć się nie zdarza, pomyślała sobie, napawając się żalem i skruchą, wszystko pod słońcem pozostaje nowe na wieki, a to, co było czy będzie — na wieki niepodobne. Każdy człowiek to coś takiego, co nigdy i w żaden sposób się nie powtórzy, stąd też nie powtarzają się ludzkie dzieje.

Nie potrafiła oddać tej myśli słowami: czuła ją i wiedziała, że ma słuszność: nie zawsze bowiem starość mądrzejsza jest od młodości, a młodość, zdaniem jej, ma więcej przewag.

Jednakże miała ochotę posłuchać babci, oczyścić duszę z bólu, co się w niej zagnieździł, odegnać od siebie niewczesne i zby-

teczne myśli — niech wszystko będzie tak jak było. Niech nadal spogląda na ten piękny widok, niech jej świeci jak najhojniejsze słońce i niech nasycają się w nim kolory. W myślach wygnała z serca gładysza w szarym garniturze, lakierkach i słomkowym kapeluszu. Wróciła do domu, zatrzasnęła drzwi za sobą i stanęła przed zwierciadłem.

Patrzyła na nią mniszka. Nie ta, która odeszła od świata, by się już po nim nie błąkać, lecz taka, co ma na sercu kłódkę.

4

Taka chciała być rankiem, jednakże wieczorem, gdy tylko zmierzch zapadł, kłódka na jej sercu otwarła się samorzutnie i spadła gubiąc się jak kamień w szarym mleku napływającym od rzeki. Serce jej, w ciągu dnia obciążone, a teraz zwolnione z uwięzi, zabiło tak gwałtownie, że trudno było je utrzymać. Dziewczyna udała się do pokoju, w którym mieściła się ich biblioteka, zgromadzona przez dziadka i ojca, usiadła w wygodnym fotelu i wzięła książkę do ręki. Była to jedna z najniewinniejszych książek — przedrewolucyjny tom Neczuj-Łewyckiego, śledziła wolno płynące ciągi słów mieniących się jak woda w strumieniu i to sprawiło taki rozdźwięk z tym, co działo się w jej sercu, że odłożyła książkę, biorąc do rąk tomik Kobylańskiej. Wpatrywała się w linijki i widziała, jak na ciemniejącym niebie ukazała się szara chmurka. Rosła coraz bardziej i już dał się zauważyć człowiek-ptak w szarym garniturze, lakierkach i słomkowym kapeluszu. Widziała, jak z wolna kołuje, zniżając się nad wzgórzem, już dotknął obcasami lakierków żwiru na ścieżce i poszedł, jakby miał pod nogami wyasfaltowany chodnik.

W głębi domu skrzypnęły drzwi i Hala pośpiesznie odwróciła kartkę. We drzwiach stanęła babcia w odwiecznym szlafroku, rzadkie siwe włosy miała rozpuszczone, oczy zaś głęboko zapadłe w ocienionych jamach.

— Długo zamierzasz tu siedzieć? — spytała i sama też pogrążyła się w głąb fotela. — Nastraszyłam cię dziś trochę tymi opowieściami — stara roześmiała się krótko i opuściła brodę na piersi. — Może istotnie nie trzeba w to wierzyć?

— Jasne, że nie trzeba, babciu! — raźnie odparła Hala.

— Mam jeszcze jedno zmartwienie — ciągnęła stara, jakby jej nie słyszała. — Ojciec twój nie przysłał jak dotąd pieniędzy za ten miesiąc...

— Może mu coś przeszkodziło — rzekła Hala. — Ziemniaków jeszcze mamy dość w ogrodzie.

— Samymi ziemniakami człowiek się nie opędzi.

— Ja, babciu, wybieram się do technikum pedagogicznego. Tam dają stypendia.

Stara popatrzyła na wnuczkę i oczy jej rozbłysły.

— Lubisz przesiadywać w tym pokoju? — zapytała zmieniając temat. — My, kobiety z tego domu, prawie nigdy nie podzielałyśmy zamiłowania do książek naszych przyszłych mężów. A ponadto tu prawie wszystkie książki są ukraińskie, a to niezbyt wesoła lektura dla dorastających panien.

— Ale tu jest też Dickens, Jakobson, Bang, Hamsun...

— Skandynawami interesował się twój ojciec, Dickens to lektura dziadka, był z niego angloman — rzekła jak gdyby przez sen babcia. — Ty wiesz, że ja nie przeczytałam stąd ani jednej książki...

— Toś ty nic nie czytała? — zdziwiła się Hala.

— Czytać czytałam — roześmiała się stara. — Brałam książki od przyjaciółki, co miała bibliotekę. Tam był Turgieniew, George Sand i Maupassant...

— I nic więcej, babciu? — spytała Hala, bo rozbawiło ją to nieco.

— Nic więcej. Mówiąc szczerze, to i tamte książki mnie nudziły. Widocznie nie urodziłam się na czytelniczkę...

Poderwała się raptem i Hala przygryzła boleśnie usta, taka majestatyczna i niedostępna wydała się jej babcia. W postawie jej było coś naprawdę królewskiego, coś osobliwego, jakiś odgłos baśni, jak gdyby miała nie sześćdziesiąt siedem, ale przynajmniej z pięćset lat. Hala nawet przeraziła się jej starości, jako że tutaj, w tym opustoszałym domu, czuły się nader samotnie. Mogłyby zresztą sprzedać dom i przenieść się gdzieś między ludzi, ale babcia miała słuszność mówiąc, że kobiety z tego domostwa mają w sobie coś osobliwego. Od wieków mieszkały tutaj kobiety i chyba w dalszym ciągu tak będzie: zabrać stąd starą to tyle samo, co przesadzić kwiat z cieplarni na rabatkę wystawioną na wiatr i zimno. Ona zaś jest już ulepiona z innej gliny i chociaż ma w sobie sporo z mieszkanek tego domostwa, ale przynajmniej nie stanie się cieplarnianą rośliną. Czeka na nią praca i czynne życie, bo kto wie, czy ów prawie nierzeczywisty ojciec, który uciekł stąd po śmierci żony, kiedykolwiek powróci pod ten dach. Co miesiąc przysyłał tutaj pieniądze, jak gdyby wykupując się od rodziny, i za te pieniądze żyły jako tako. Jednakże nadejdzie chwila — myślała sobie roztropnie Hala — że i ta wątła nitka się urwie (a chwila taka nadeszła: ostatni mężczyzna, mieszkaniec tego domu, rozwiał się jak dym i już ani ona, ani stara nic więcej o nim nie usłyszały; grubo później Hala będzie usiłowała wyobrazić sobie twarz ojcowską i ujrzy

niebieską mgiełkę podobną do tej, co wznosi się rankiem nad rzeką).

— Nie zasiaduj się po nocach! — rozkazała babcia i ruszyła w stronę drzwi.

Hala nie odpowiedziała. Odprowadziła wzrokiem starczą, ale jeszcze smukłą sylwetkę i spróbowała porównać obecny obraz babci z tym, jaki się uwydatnił na kilku różnych zdjęciach. „Wszystkie one — pomyślała Hala o kobietach z tego domu — odznaczały się jakąś nieprzeciętną urodą. Tylko ja pośród nich jestem brzydkim kaczątkiem..."

5

Kroki stopniowo cichły, aż wreszcie zamarły w niezakłóconej ciszy domu. I oto nadeszła owa głęboka, aksamitna, niezmierzona cisza. Hala rozejrzała się: lampa zaczęła filować, po szkiełku snuła się czarna smużka; przykręciła więc knot i jej przerysowany cień jął się miotać po regałach piętrzących się wzdłuż ścian izby. Przez okno dobiegł ją chrzęst gałązek — ktoś szedł do nich. Hala zamarła, kładąc palec na ustach, i serce jej zakołatało ze strachu czy podniecenia. Na szybie ukazała się czyjaś ręka o paznokciach długich jak szpony i zapukała cichutko. Hala rzuciła się do okna i śpiesznie odemknęła haczyk. (To było jej drugie naruszenie reguł — myślała nazajutrz po tym wydarzeniu; ogarniał ją na przemian strach i bolesna radość na wspomnienie ich kolejnego wieczoru.) Ujrzała go w ciemności — był w tym samym szarym garniturze, lakierkach i słomkowym kapeluszu. Zajaśniał do niej białymi, niemal fosforyzującymi zębami, zdjął kapelusz i skłonił się ukazując idealny przedziałek między sumiennie wypomadowanymi i przygładzonymi włosami. Z początku miała chęć zamknąć przed nim okno albo dać mu odprawę: przestaną się spotykać i mieć cokolwiek wspólnego ze sobą. Jednakże w następnej chwili spojrzenia ich się skrzyżowały. Oczy te nie były piękne ani rozumne — spoglądały na nią tak dziwnie, że wszystkie słowa przestróg raptem uleciały jej z głowy. Ręce mające zamknąć okno osłabły i zwisły bezwładnie; stała i nie wiedziała, gdzie się podziać, bo zdała sobie sprawę, że te oczy oglądają ją tak, jakby wilk oglądał skuloną owieczkę. I dziwiąc się sobie samej, nie oburzyła się zgoła na te bezceremonialne oględziny; zresztą nie wiedziała już sama: w jej postaci brzydkiego kaczątka zabłysło już wówczas coś, co przysługiwało wszystkim mieszkankom tego domu; a ten Szary za oknem ze swoimi dziwnymi, hipnotycznymi oczyma pojął to w mig i nieomylnie. Znów błysnął ku niej niepokalanymi zęba-

mi i uśmiech ten oślepił dziewczynę, jak gdyby pośrodku nieba zajaśniała błyskawica. Grzmot jednak po błyskawicy nie nadszedł, miast niego posłyszała łagodny i tkliwy szept:

— Dobry wieczór, jaskółeczko. Czy pani wyjdzie?

I nim przyszła chwila zastanowienia, skinęła pośpiesznie głową, bez chwili wahania wspięła się na parapet okna i podała mu dłoń w ciemności.

Podchwyciły ją mocne ręce i na mgnienie przylgnęła do szarego garnituru. Szarpnęła się co siły i całkiem łatwo udało się jej wyswobodzić — owe niezmiernie silne ręce nie zamierzały wyrządzić jej krzywdy, a w ciele poczuła zdradliwe dygotanie.

Tymczasem wokół niej snuł się jak pająk przenikliwy i głęboki szept kawalera i ze zdumieniem poczuła, jak umiera w niej mniszka z sercem zamkniętym na kłódkę — już nie było ani kłódki, ani czarnego habitu.

Wyprowadził ją za furtkę, cofając się uprzejmie i przepuszczając przed sobą, i gdy przekraczała tę granicę, zdawało się jej, że on tam, z tyłu, patrzy jedynie na jej gołe łydki — była bowiem w przykrótkiej domowej sukienczynie. Nastroszyła się i zrobiła sztywna i napięta, ciało jej z wolna zapominało o błogim spazmie, jaki przeżyło. Odwróciła się gwałtownie i ujrzała ciemny dom z jedynym jasnym oknem, smętny i zamarły w bezruchu kasztan, ganek, co aż srebrzyściał od rosy napromieniowanej księżycem; dookoła dzwoniły świerszcze, od rzeki z dołu ciągnęło wilgocią, naprzeciw niej stał nieznajomy mężczyzna w słomkowym kapeluszu i jaśniał uśmiechem ukazując piękne białe zęby.

— Dokąd mnie pan prowadzi? — spytała ozięble i jego zęby zmalały, za to na twarzy rozkwitł dworny i jakże miły uśmiech.

— A gdzież mam cię prowadzić, jaskółeczko? — powiedział czy raczej zagruchał. — Jak pani chce, to posiedzimy sobie na skałce, porozglądamy się dookoła, a nie chce pani, to będzie tak, jak pani powie...

Na chwilę oszołomiła ją duma z władzy, jaką jej powierzał, przeto znów odważyła się spojrzeć mu w oczy. Były nieruchome, igrał w nich wąziuteńki promyk księżyca i zarazem dostrzegła w nich rozległą i nieprzejrzaną ciemność. Znów poczuła, jak sztywnieją jej nogi, jak po ciele przebiega znów tamten niemiły dreszcz, przypomniała sobie i to mimowolne zetknięcie, i płomień, co ją ogarniał wbrew niej samej. Nie mogąc znieść napięcia, z trudem nagromadziła w sobie siły, by oderwać spojrzenie. Opuściła głowę i poszła ścieżką — już obojętna, czy patrzy na jej nogi, czy nie.

Dookoła znów sunął niczym pająk głos przenikliwy i serdeczny, i snuł, snuł szarą pajęczynę, osnuwając ją i omotując od

stóp do głowy. Jeszcze tliła w niej iskierka zdrowego rozsądku, kołatała się na dnie serca i on też nie zapominał o tej iskierce. Podtrzymywał jeno dziewczynę grzecznie pod łokieć na stromiźnie czy nad urwiskiem, więc czemużby miała odtrącić tę jego uprzejmość? Niekiedy oglądała się w stronę swojego okna i żałowała pozostawionego tam żółtego zacisza — przed przyjściem gładysza czytała właśnie urocze opowieści Kobylańskiej. Z drugiej strony cieszyła się raczej: owa żółta cisza była już taka znajoma i bez widoków na przyszłość!

Szła tak w rozdwojeniu: jedna tu, a druga tam, jedna wesoła, a druga smętna, jedna szczęśliwa, a druga nieszczęsna. Daremnie oplątywał ją szary pająk — ognik na dnie jej serca nie wygasał i przyjazna rozmowa dzisiaj im się nie kleiła.

Doszli do skałek i tu otworzył się przed nimi rozległy i wspaniały widok. W głębi doliny leżał niczym niebieska droga blady i spokojny Teterew, w dole i po bokach czerniały skupiska drzew, piętrzyły się ogromne obłe garby i niejasno wybłyskiwały dalsze i pobliskie skały.

— Jak tu pięknie! — wyszeptał za jej plecami Anatol. — Zawsze mnie ciągnie do tego zakątka to dziwne i niepojęte piękno!

Z wolna zwróciła się w jego stronę i na mgnienie oka osłupiała: w świetle księżyca jego szary garnitur stał się aż czarny, lakierki połyskiwały; mężczyzna zdążył już zdjąć kapelusz i gładka czerń jego włosów jak gdyby przyczerniona była tuszem — i twarz jego w tym momencie odmłodniała i wysubtelniała. Wzruszona Hala pogrążyła się w jego oczach i już nie była w stanie oprzeć się przemożnej sile jego spojrzenia. Wyszła mu naprzeciw, a gdy ogarnęły ją szerokie i mocne ramiona, gdy usta zwarły się z jego ustami, odrzuciła raptem głowę i zatrzepotała mu na piersi jak dziki, ale prawie już oswojony ptaszek.

Od tej chwili owego wieczoru wszystko zrobiło się czerwone. Niebo nad głową zadrżało pod purpurowym płaszczem narzuconym przez księżyc i poprzez czerwone ramię Anatola ujrzała podobnie skrwawiony krajobraz i rzekę; usta jej rozpalały się i płonęły, pod nogami słała się czerwona trawa i nawet skały mieniły się rubinowo. Cicha błogość przepełniała jej piersi, oddawała swoje usta na roztopienie innym, twardym i parzącym. Strach i radość żyły w niej zmieszane tak przedziwnie, że już traciła głowę. Czerwono świeciły jej dłonie, którymi wpierała się w jego piersi, i owe piersi przeświecały ciemnoczerwono. Nogi jej stały się całkiem jak z drewna, zdawało się jej, że trwa zawieszona między niebem i ziemią, pochwyciły ją szpony olbrzymiego czerwonego ptaszyska i niosą w modre nieznane. Palą się tam niezliczone ogniska, a wokół nich obracają się nagie

czerwonawe ciała kobiece i męskie; była niczym wijąca się roślinka, którą gnie i łamie wicher i ulewa. Tchu jej brakło od uparcie szturmujących ją tych twardych i gorących ust, i ręce, którymi wciąż odpychała się od tych czarnoczerwonych piersi, także stawały się jak drewno. Olbrzymi szary ptak obległ wiotką i drżącą brzózkę i chłonął jej liście i sok. Niemal już zgasła na dnie jej serca iskierka obawy, i byłaby może zgasła tego wieczora do szczętu, gdyby Szary nie podniecił się bardziej, niż zdolna była znieść, i nie ugryzł jej lekko w usta. Hala poderwała się zaskoczona i wymknęła z jego objęć, zaświeciwszy mu w popłochu białkami wielkich oczu. Ledwie się pohamował, by nie ulec emocji i nie rzucić się ku niej z jeszcze większym zapałem, ale pojął, że stoi przygotowana do stawienia oporu, pochylona, gotowa uskoczyć w razie ataku i że jest niczym rozdrażniona kotka. W piersi jej z całą mocą rozgorzał płomień obaw, którego o mało co nie zgasiła, przeto pokornie schylił przed nią głowę, uśmiechając się jak najuprzejmiej.

— Daruj — powiedział tkliwie. — Daruj!

— Nie pozwolę, żeby się tak ze mną obchodzono! — wybuchnęła i w głosie jej słychać było i łzy, i znużenie, na co on uśmiechnął się z jeszcze większą galanterią, pochwycił dłoń, co przed nim opadła, i ucałował ją z oddaniem.

Uspokoiła się. Usiadła na skałce i zapatrzyła się w dal. Siedział cicho za jej plecami, jak gdyby go tu nie było — pozwalał jej wrócić do siebie.

— Czymś cię uraziłem? — zapytał, gdy już się uspokoiła.

— Zadałeś mi ból — rzekła Hala nie odrywając oczu od rudomodrej o zmierzchu rzeki.

— Daruj! — powtórzył. — To było niechcący. Ty naprawdę jeszcze z nikim się nie całowałaś?

Spojrzała nań ze zdumieniem. Pochylił się nad nią dworny i uśmiechnięty i usiłował zajrzeć jej w oczy.

— Z kim miałabym się całować? — spytała zdziwiona.

— No, to jasne, jasne! — rzekł pośpiesznie, a że nie udało mu się zajrzeć jej w oczy, przysunął się bliżej i ujął za ramiona.

— Nie będę ci zadawać bólu! — szepnął do ucha i otarł się o jej policzek.

Pozwoliła przytulić się mocniej, a gdy odrzuciła głowę, ujrzała czerwony księżyc, który na mgnienie zmienił się w czarny. Zadzwoniły zderzając się ich zęby i czerwony płomień znów się rozpętał dokoła — z taką zawziętością całował ją gładysz w szarym garniturze o żelaznych dłoniach i nie mniej żelaznych ustach.

Chwiejąc się szła do domu. Kołysała się ścieżka przed oczyma, chwiały się drzewa, pod którymi przechodziła; paliły ją wargi — czuła przedziwną niemoc i brak sił. Anatol szedł za nią niby szary cień, czatował na każdy jej ruch, ale trzymała się w odległości. Była wyssana do dna, chociaż raz jeszcze wyrwała się z objęć, raz jeszcze zadał jej ból, sięgając za dekolt sukienki i gniotąc jej pierś żelaznymi palcami. Wtedy właśnie uciekła od niego — nie zatrzymywał jej, postępował jedynie za nią, jaśniejąc uśmiechem. Na jego połyskujących zębach igrał wąziutki czerwony promyk i gdyby Hala się obejrzała, mogłaby się przestraszyć. Jednakże sił jej brakło, by na to zareagować, chciała czym prędzej dostać się do domu i znaleźć się w przytulnym, zacisznym łóżku, by tam zagryzając usta stanowczo i trzeźwo przemyśleć, co się z nią wyprawia. Wiedziała, że ma za sobą cień, szary i w słomkowym kapeluszu, słyszała za sobą ciężkie stąpanie i dziwiła się, że krok jego nie był chwiejny ani znużony — widać jest doświadczony i silny.

Stanęła przed furtką. Obróciła się i znalazła w sobie siłę, by wytrzymać jego spojrzenie.

— Idź już, idź! — rzekła i zdziwiła się, jak łagodnie zabrzmiały jej słowa.

— Przyjdę jutro o tej samej porze! — wyszeptał, lekko dotykając ustami jej poparzonych i pogryzionych warg. — Będziesz czekała?

— Idź — wyszeptała również ona i zamknęła furtkę za sobą. — I tak już zaszliśmy za daleko.

Roześmiał się wówczas. Cicho i gruchająco.

— Taka jesteś niedoświadczona, jaskółeczko — rzekł. — Zresztą, to mi się najbardziej w tobie podoba...

Nie słuchała go już. Szła do domu i nagle poczuł, że traci władzę nad nią. Pogrążała się w sobie, w swojej rozterce, i przenikał ją smutek. Nie, nie radości doznawała w tym momencie! Szła i myślała — kto zgłębi do ostatka jej niepokój? Myślała i dziwiła się: co się dzieje tutaj, pod tym księżycem i niebem? Dwie łzy potoczyły się jej z oczu i poczuła tępy ból w sponiewieranej piersi. Blady smętek usiadł jej na ramieniu jak ptak i w milczeniu zaniosła go pod swoje okno, w którym nadal jaśniało światło.

Tutaj Hala zatrzymała się i obejrzała. Matowy księżyc wypełniał podwórze, zastygłe w bezludnej martwocie, i na wzgórzu nie było już żywej duszy. Wątły, wymuszony uśmiech wykwitł na jej ustach: gdzieś tej nocy ulatywał w mrok jej nazbyt zapalczywy miłośnik. Żal się jej zrobiło, że mimo wszystko nie

stoi przy furtce i nie olśniewa jej swoim uśmiechem. Żałowała, że tak rychło wywiesiła białą chorągiew: kto wie, do czego to doprowadzi? Chciała, żeby był tutaj, i pragnęła się go pozbyć. Biały ptak-smutku kołował w czerwonym niebie i tęsknie posyłał w noc i w ciszę swe ciche westchnienia.

I ona też westchnęła. Chciała wypłakać to wszystko, co — spłoszone i niepojęte — tłukło się w jej piersi, usiadła więc na trawie byle gdzie, pod otwartym oknem, i zwinęła się w kłębek. Łzami rosiła trawę, a łzy jej mieniły się i lśniły różowo. Cały świat dokoła zroszony był jej płaczem, a księżyc wyrażał jej współczucie. Z tych łez kształtował drogie kamienie, które o świcie przemienią się w wodę, ale nim to nastąpi, zaczarują jeszcze niejednego świerszcza i nocnego ptaka. Ptaki łykać będą te kamyki, by zyskać nieśmiertelność, a świerszcze toczyć je będą do swoich świerszczyc. Świerszczyce przyozdobią nimi zielone piersi i pozwolą świerszczom, by wychwalano je w pieśniach.

Hala siedziała skulona na trawie i płakała. Ciało jej zmieniało się tej nocy, nasiąkało sokiem czyniącym człowieka dorosłym. Hala wydorośleła tej nocy, ale że niemiłosiernie paliły ją usta i bolała pierś, więc nie była w stanie tego pojąć. Nie zrozumiała, że sama ziemia, do której się przytula, współdziała z nią i sprawia z nią cuda. Poczuła jedynie coś wielkiego w tym zespoleniu — ludzkiego uczucia i poświaty miesięcznej, żalu i rosy, widmowej tęsknoty i niebieskiej drogi, którą wymościła cicha rzeka martwo stygnąca wśród grząd kamienia...

Stary pasterz kóz Iwan też nie spał tej nocy. Gdy zapłakała pod swoim oknem Hala, gdy ulatując w niebo oddalał się ukontentowany szary ptak, pomyślał, że świat leżący przed jego oczyma musi być wieczny i nieprzemijający. Wspomniał, że wieczność jest tam, gdzie myśli się o narodzinach.

7

Wspięła się na okno, drapiąc sobie kolana, i zsunęła nogi do wnętrza izby. Lampa pozostawiona na stole kopciła już od dawna, przez co szkiełko poczerniało od sadzy i na suficie utworzyła się okrągła czarna plama. Hala przykręciła knot i z powodu przyciemnionego szkiełka w izbie zrobiło się całkiem mroczno. Wtedy się rozejrzała i odetchnęła z ulgą.

W kącie zatrzeszczały z cicha półki, pod podłogą jęła się krzątać mysz, na stole spazmatycznie trzepotała ćma z opalonymi skrzydełkami, a na suficie siedziały zielone nocne jętki. Hala stanęła z otwartymi ustami i wsłuchała się. W głębi domu nie-

równo oddychała i postękiwała przez sen babcia: Hala osłaniając rękę rąbkiem sukienki ujęła za szkiełko lampy i zdjęła je. Płomyk zakołysał się, zżółkł i pobladł. Wielki cień Hali rozpostarł się na ścianie dotykając głową czarnej plamy. Wytarła szkiełko o spód sukienki i nałożyła je na lampę. Światła przybyło; rozejrzała się raz jeszcze. Ściany opasane były półkami, a na stole leżał *Człowiek* Kobylańskiej. Podeszła do otwartej książki i przemknęła oczyma po stronicach. Ujrzała niebo obsypane gwiazdami i ciemny rosochaty cień na tym niebie. Zamknęła z klaśnięciem książkę, od której powiało szarym kurzem.

Z wolna, drobnymi kroczkami podchodziła do lustra. Nachyliła się ostrożnie i nagle zdrętwiała: przed nią stała nieznajoma piękność. Czerwone usta płonęły, ciemniała ranka na przygryzionej dolnej wardze, oczy stały się wielkie i ciemne.

Całym ciałem poczuła, że ktoś jest w izbie. Ktoś przypłynął do niej przez zamknięte okno, ktoś błękitny, uformowany z jasnoniebieskich cząsteczek. Wpływało to w nią przez oczy i oczy jej pobłękitniały. To coś nowego, które w nią wstępowało, napełniało jej ciało bez reszty, i nagle Hala sama przelękła się urody, co przelała się na nią z tej nieznajomej kobiety w lustrze. Zdawało się, że teraz ziści się ta fantazja, którą lubili powtarzać dawni poeci: lustro się rozewrze i wyjdzie zeń piękność tak uderzająco podobna do zdjęć zachowanych w ich albumie rodzinnym. To właśnie ona — z przestrachem pomyślała Hala — wieczna pani tego domu, księżniczka, którą nie sądzono jej nigdy zostać, bowiem narusza prawidła ułożone dla porządnych panien. Już nie będzie wspinać się do niej urodziwy brunet, któremu mogłaby podać wody do picia, i nie urodzi mu córki...

Od takich myśli przebiegły ją ciarki, bezwiednie wpadała w ton babcinych opowiastek i mimo woli zaczynała im dawać wiarę. Nie, to przecież on, Anatol, przemienił ją w taką piękność — to jego pocałunki rozbudziły w niej kobiecość. Oto ona: dumna i piękna, z błękitną boginią w niespokojnym sercu, znosi i przeżywa coś tak wyjątkowego, że nawet babcine opowiastki w porównaniu z tym zszarzały i spowszedniały.

Przymknęła powieki, by się opamiętać, by zrozumieć wreszcie, co się z nią dzieje. I gdy tak stała z zamkniętymi oczyma, niesłyszalnie uleciała z jej serca błękitna bogini, przycupnąwszy skromnie w najciemniejszym kącie izby. Równie cicho usunęła się z lustra i ta nieopisana piękność, która tak uderzyła Halę, i nie rzucając cienia stanęła w drugim kąciku.

Hala otwarła oczy i ujrzała przed sobą blade spłoszone dziewczynisko z oczyma rozszerzonymi z przestrachu, z pogryzionymi wargami i w rozdartej na piersi sukience.

W tej samej chwili zakrzyczała w głębi domu stara. Wołała Halę, i takiego jej głosu dziewczyna dotąd nie słyszała: jak gdyby gdzieś w dali zakrakała wrona — jęk i błaganie, przerażenie i rozpacz dały się słyszeć w tym krzyku. Hala złapała lampę i pobiegła na korytarz. Brzękła o wiadro, pozostawione przez nieuwagę, i omal nie upuściła lampy. Błyskawicznie otwarła drzwi i stanęła w progu.

Babcia siedziała na łóżku, siwa i rozczochrana, z nieprawdopodobnie wytrzeszczonymi oczyma; otwartymi ustami łapała oddech.

— Waleriany daj mi, szybciej! — wychrypiała, i Hala, stawiając lampę, rzuciła się w stronę domowej apteczki. W popłochu nie mogła się rozeznać wśród buteleczek, złapała wreszcie tę, co potrzeba, i pobiegła do sieni po wodę. Trzasnęła drzwiami, po chwili trzasnęła nimi znowu i podała starej rozpuszczone lekarstwo. Ręce jej się trzęsły, podobnie jak i babci, która łyknęła walerianę za jednym zamachem.

— Noga! — wyszeptała stara. — Lewej nogi nie czuję!

Hala odrzuciła kołdrę: na prześcieradle leżała noga, ciemna, poprzetykana opuchłymi żyłami.

— Rozcieraj, Halusiu, rozcieraj! — błagała bezsilnie i Hala poczęła masować tę nogę. Pot wystąpił jej na czoło, jednak co sił rozcierała skórę, która istotnie tężała pod jej palcami, aż poczuła, że ciało starej sflaczało bezsilnie. Ogarnął ją niewypowiedziany strach na myśl o tym, co się dzieje na tym odludziu, gdzie tylko we dwie mieszkają — do najbliższych sąsiadów biec trzeba przez górkę dobrych dziesięć minut. Łzy pociekły jej z oczu, ogromne, rzęsiste; w tej dusznej, nie przewietrzanej izbie poczuła zimne tchnienie śmierci.

— Daj już spokój, kochanie, zaczekaj! — wymówiła stara ze znużeniem. — Już mi lepiej...

Wówczas Hala się wyprostowała. Włosy nasunęły się jej na oczy, ale nie odgarnęła ich, bo wciąż jeszcze płakała. Patrzyła na starą, jak gdyby rozpoznając ją na nowo — zdała się jej całkiem nieznajoma, a nawet obca. Znów wionęło jej w oczy czarne tchnienie i dziewczyna, blada i bezradna jak dziecko, zadygotała jeszcze bardziej, tak że słychać było, jak dzwoni zębami.

— Aleś ty się przelękła! — cicho i uspokajająco rzekła babcia. — Uspokój się, już mi jest prawie dobrze. A czemuż to nie śpisz?

— Zaczytałam się — odparła i starała się stać tak, aby stara nie widziała jej przygryzionej wargi.

— Znów przychodził do mnie we śnie ten Szary: ni to ptak,

ni człowiek. Rzucił się na mnie i wyobraź sobie, że o mało mnie nie udusił. Widać mści się na mnie.

Mówiła szeptem i Hala napięta była jak struna chłonąc z ust babci te niezwykłe słowa.

— Coś podobnego! — rzekła spłoszona.

Stara jak gdyby majaczyła. Leżała z przymkniętymi oczyma, nos jej się zaostrzył, oczodoły przeobraziły się w ciemne zapadliska. Z jej ciemnych ust snuł się i snuł szmerliwy szept, na którego dźwięk Hala znów zadygotała.

— Dwóch ich przychodzi na to wzgórze, kochanie. Nie do wszystkich, ale do większości... Moja babcia skapitulowała przed nim i matka też... Potem rodzili się chłopcy, dziad mój z początku to był straszny powsinoga, a brata mojego znasz... Dziwna moc opętuje ich umysły, dziewuszko... sama znałam tę historię, kochanie, bo byłam uprzedzona zawczasu. Do mnie też taki przychodził... ileż to siły mnie kosztowało, by mu dać odprawę... Tak, moja dziecinko, i ja mu się nie poddałam, inaczej niż moja matka — to może teraz mści się za to?

Wydawała się pogrążona w głębokim śnie, piersi jej falowały.

— Babciu! Babciu! — rzuciła się do niej Hala, ale stara w mig otwarła oczy i spojrzała ze zdziwieniem na wnuczkę.

— Ano zobacz, czy nie mam czegoś w oku? — rzekła dość przytomnie.

Hala wzięła lampę i zniżyła nad starą. Ta rozsunęła powieki ciemnymi palcami o białych paznokciach i Hala krzyknęła: oko starej było zalane krwią.

9

Wszystko to przejęło Halę zgrozą, bo już gubić jęła granice, co w tej historii jest wymysłem, a co prawdą. Znała skłonność babci do nadawania wszystkiemu niecodziennego znaczenia, ale ten zbieg okoliczności, który nastąpił tak nagle, był oszołamiający. Poczuła niemal zawrót głowy, zwłaszcza po tej strasznej nocy, po tym czerwonym oku, jakie wtedy zobaczyła. Serce ciężko waliło jej w piersi, hulał w niej zimny wicher i ostudzał ją. Zdawało się już, że spotkanie z Anatolem było czymś rzeczywiście nie z tej ziemi, a może w ogóle go nie było? Leżała w łóżku i patrzyła czarnym, nieprzytomnym spojrzeniem w ciemność, nie było mowy o zaśnięciu — wszystko w niej tłukło się i dygotało. Zresztą ta noc sprawiła swoje: Hala po raz pierwszy uwierzyła babci, że nad ich domem istotnie zawisła jakaś tajemnica, bo i dom ów rzeczywiście był nie taki jak inne. Wpatrywała się w tę kilkakrotnie powtórzoną opowieść niczym w film:

przebiegały i mocowały się przed jej oczyma niekiedy przymglone, a niekiedy całkiem wyraźne sylwetki. Widziała również ów dom powtarzający się kilkakrotnie, jak gdyby przycisnęła oko i wywołała rozdwojony obraz: za każdym razem pod tym domem stała inna dziewczyna, a właściwie dziewczyna była ta sama, tyle że ubrana w strój stosowny do epoki, w której żyła. Z dołu podchodzili mężczyźni, również noszący stroje zmieniające się z czasem, ale twarz mieli tę samą; obok nich zobaczyła również kilku szarych ptakoludzi, którzy zniżali się, kołując po niebie — wszyscy oni mieli twarz Anatola. Chciała odgadnąć tajemnicę owej zbieżności — ale nie mogła. Cóż ona wiedziała wówczas, gdy nie miała jeszcze siedemnastu lat, patrzyła na świat szeroko rozwartymi oczyma i gdy serce w piersi biło jej tak niezwykle? Uczyniła wówczas to, co zdołała: wywołała przed sobą wyobrażenie Anatola i przekreśliła je tam, w wyobraźni, na zawsze. Po raz drugi zawiesiła kłódkę na sercu i znów została mniszką. Leżała w ciemnej izbie, okryta ciemną kołdrą: oczy jej były czarne bez reszty i całkiem czarno przyprószyła się jej dusza. Była wyziębła i spustoszona; nawet skaleczenie, którego doznała w przystępie zapamiętania, zamarzło jej na wargach: Anatol był teraz dla niej niewiele więcej wart niż szary gałganek.

Taka weszła w swoją pierwszą, niemal dorosłą noc, taką poniosły ją w siwą krainę snów na wielkich skrzydłach białe ptaki z niewidzialnej wyspy. Pozostała w tym pokoju jedynie stara, której już w żaden sposób sen się nie imał. Myślała o tym, że zanadto przejmuje się wszystkim, co się dzieje w jej domu, i o tym, że podobnego ataku nie przeżywała jeszcze nigdy dotąd. Krew stygła jej w żyłach, gdy czuła, że traci władzę w nodze; że młodość jej to już okręt zatopiony w morzu czasu i że tuż obok rozkwita podobny kwiat, jakim niegdyś była ona sama. Myślała o tym, że kobiecie dano kwitnąć tylko przez parę lat, a reszta czasu to usychanie. Stara dała się ponieść smutkowi, czując nadejście kolejnego usychania — takich przypływów w ciągu życia przychodzi kilka. Już nie jest kobietą starszą, ale starą — na myśl o tym wszystko się w niej ściskało i radowało na przemian; czuła lęk przed ciemną otchłanią czasu, roztaczającą się przed nią, a zarazem ową moc nieodgadnioną, co nęciła ją, by zejść w tę otchłań. Czuła, że i wnuczka jej nie śpi, i niemal na pewno wiedziała, co tamta teraz przeżywa. Leciutki, nieco znużony i mądry uśmiech zjawił się na jej pomarszczonej twarzy i tej nocy przybyło jej jeszcze kilka zmarszczek. „Zamknij swe serce, kochanie, szeptała nad uśpioną wnuczką — nie wpuszczaj doń nieproszonych gości, nie czas ci jeszcze!" Nabierała spokoju, bo wiedziała, że wnuczka jej śpi z zamkniętym

sercem, ale sama była kobietą i widywała nieraz, że serce kobiece jest jak woda wezbrana na wiosnę. Bała się tego, ale pokładała nadzieję w swojej mocy i mądrości.

Hala ujrzała we śnie rozległe, usiane rumiankami fale. Skąpane było w obfitym słońcu i błądził po nim szukający czegoś smutny, wielki bociek.

10

Obie zaspały, ale zbudziły się równocześnie i obie poczuły się jak ukamienowane. Ranek był szary, ponury, niebo zasnute gęstymi chmurami. Obie uprzytomniły sobie, że w nocy zaszło coś ważnego i niemiłego: Hala myślała o swoim wieczornym spotkaniu, a stara o nocnym ataku choroby.

— Nie śpisz już, Halusiu?

— Jakże się czujesz, babciu? — odezwała się Hala.

— W moim wieku — roześmiała się nieco sztucznie babcia patrząc w szare, smętne okno — pytanie o zdrowie jest już trochę od rzeczy.

— A co z twoim okiem?

— Przyjdź i zobacz.

Hala zeskoczyła z łóżka i podeszła do starej. Oko było jeszcze poznaczone czerwonymi żyłkami, ale zrobiło się jaśniejsze.

— A co tu masz na wardze?

— Uderzyłam się wczoraj o futrynę. — Hala spróbowała zbagatelizować sprawę. — Natknęłam się na jakieś wiadro i o mało nie skręciłam karku.

Roześmiała się i jej dźwięczny śmiech zawisł na chwilę pośród szarych ścian.

— Trzeba pójść po chleb.

— No to pójdę.

— I na rynek trzeba się wybrać, bo mąki już nie mamy.

— Dobrze, babciu — rzekła Hala i nagle zatrzepotał w niej mały błękitny motylek. Stara znieruchomiała w swoim łóżku: wnuczka jej niespodzianie zabłysła ową urodą, którą sama dostrzegła w nocnym lustrze: jak gdyby oświetlił ją zabłąkany promień słońca...

— Pójdę przygotować śniadanie — oświadczyła Hala, co też poczuła w sobie ten niedorzeczny rozbłysk.

Chciała pobyć w samotności, by dosłuchać się owej wyimaginowanej melodii i dopatrzeć tego promienia, choć na dworze nie było nawet mowy o słońcu — wisiały tam zimne i gęste chmury. Chciała przy tej sposobności zajrzeć również do lustra.

Nie myślała o Anatolu ani o babci, której ten Anatol nie przypadł do gustu, ani też o nocnej opowieści babcinej, ani o swoim

nawiedzeniu — słuchała jedynie swojego ciała i dziwiła się, że tak ciepło i cudownie zaśpiewało w ten pochmurny ranek.

Narzuciła szlafroczek i ruszyła żwawym, śpiesznym krokiem, pozostawiając w szarzejącej izbie starą, którą stać było jedynie na poddawanie się w osamotnieniu owej szarości i zmierzchom. Chmura wpłynęła ku niej przez okno i legła na jej twarzy, powolny zmierzch ostudził serce i wydawało się jej, że słyszy daleką i przejmującą muzykę. Zrozumiała nagle, że od jakiegoś czasu wnuczka i ona jęły żyć na różnych poziomach: jedna gdzieś tam, w górze, a druga przy ziemi. Trudno im przerzucić między sobą most czy kładkę: im dalej, tym wyżej ulatuje od niej ptaszyna i tym większa przestrzeń je dzieli. Stara ogarnęła spojrzeniem izbę: szare ściany w staroświeckich tapetach, co tu i ówdzie poodklejały się i zabrudziły, szary, nie bielony sufit — tego roku sama nie bieliła, a wnuczka jeszcze tego robić nie umiała. Miała chęć przywołać Halę, by usiadła przy jej łóżku, opowiedzieć jej coś o życiu tego domu, ale jakoś nie wydała z siebie głosu: zbyt wiele nagromadziło się w niej dziś ciemności. Z piersi jej wydarło się ciężkie westchnienie — przez okno zaglądał do niej kasztan posadzony przez nią w dniu, gdy wychodziła za mąż. I wydawało się starej, że to zagląda do niej ów mężczyzna, który zabłąkał się tutaj i poprosił o wodę: przeżyli razem dobre życie. Ujrzała nad kasztanem nabrzmiałą wilgocią szarą chmurę, niczym kędzierzawą czuprynę, i w owej chmurze mignął raptownie mały jaskrawy strzępek nieba.

Usiadła na łóżku i pomacała nogę — była zimna i jak gdyby obca. Nie wytrzymała wówczas i krzyknęła, a gdy przestraszona Hala przybiegła do niej i stanęła na progu, ujrzała, że babcia siedzi na łóżku, kołdrę ma zrzuconą, koszulę podwiniętą i palec jej ukazuje ciemne, porysowane niebieskimi żyłkami nogi.

11

Było to częściowe porażenie lewej nogi. Po jakimś czasie babka poczuła się lepiej, ale od tej pory zaczęła chodzić z laską. Obie nogi paraliż obejmie w czasie wojny, gdy pocisk o mało co nie trafi w ich domostwo. Rozerwie się w malinisku wstrząsając w posadach budynkiem: od strasznego łoskotu powypadają z okien wszystkie szyby, chociaż Hala pozaklejała je na krzyż paskami papieru. Ściana naprzeciw maliniska będzie gęsto pokiereszowana odłamkami i chociaż oprócz straty szyb nie poniosą żadnej innej szkody, stara po tym wypadku przeobrazi się w bezsilną kukłę. Będzie niekiedy gderliwa i hałaśliwa, będzie też dyrygować wnuczką, ale będą to jedynie przebłyski:

najczęściej, o ile pozwoli na to pogoda, będzie wysiadywać na ganku i bez końca wpatrywać się w odległy widok nad rzeką. Hala zaś pozostanie Halą, w sercu jej zawsze żyć będzie błękitny motylek, a niekiedy zamieszka w nim również bogini. Kto wie, czy będzie to irytować starą, czy też, na odwrót, uspokajać, fakt, że będzie miała oczy stale utkwione w ścieżce, którą przyszedł niegdyś do niej jej wąsaty kawaler. Gdy zaś doczeka się chwili, w której zawita do nich Włodzimierz, co wypije wodę z rąk Hali, wstanie nagle, zapomni o swoim unieruchomieniu i wejdzie do swojej izby bez niczyjej pomocy. Poczuje wówczas to, co czuje królowa, gdy nadchodzi kres jej panowania: będzie się smucić i cieszyć zarazem. Będzie pytać wnuczkę, o co chodzi temu przybyszowi, chociaż świetnie będzie wiedzieć, o co mu chodzi. Zresztą pobłogosławi ich i wykorzysta jeszcze jedną sposobność, by wnuczka mimo wszystko uwierzyła w ich baśń domową. Ale stanie się to dopiero za dziesięć lat, tego zaś szarego poranku Hala musiała piorunem biec po lekarza, a gdy po zaaplikowaniu starej jednego i drugiego zastrzyku rozłożył ręce bezradnie, poczuła, że jest dorosła i że wszystkie troski tego domu spoczęły na jej barkach. Lekarz mówił coś o szpitalu, ale stara odrzuciła tę sugestię: bała się, że nie wróci tutaj, albo że po powrocie zastanie niespodziewane nowiny. Dlatego Hala musiała codziennie masować starej nogę i tak się to przeciągnęło Bóg wie ile czasu...

Owego dnia po obiedzie stara zasnęła i zmęczona Hala wyszła na ganek. Zapatrzyła się na cudowną panoramę z rzeką, wzgórzami, skałą, plażami i wyspą, i zdało się jej, że wszystko to jest jak gdyby wycięte z tektury niczym dekoracja do niezbyt składnego przedstawienia. Jak to zwykle bywa, przedstawienie miało się odbyć wieczorem, ale ona już nie weźmie w grze udziału. Jest zmordowana i nieco przestraszona, pragnie odzyskać spokój i równowagę. Siedziała na ganku, pochmurna i nastroszona, a nawet otuliła się w chustkę, choć na dworze nie było chłodu.

W głębi domu, z lekka pochrapując, śpi babcia, i Hala, wsłuchując się, zrozumiała nagle, dlaczego początkowo uciekał stąd jej zagubiony w przeszłości pradziad. Nie znosił tej ciszy i zasiedziałości, owego płaczliwego i krzykliwego babskiego królestwa, w którym mężczyźni byli tylko przybyszami i potrafili jedynie zdobywać środki pieniężne dla swych żon, a w wolnych chwilach grzebać się w swoich książkach. Hala poczuła nagle, że ma w sobie coś z pradziadka, że sama również pragnie zejść z tego wzgórza i sprawdzić naocznie, czy wszystkie te widoki są wycięte z tektury.

Jednakże zrobiła co innego. Obeszła parkan od tyłu zagro-

dy i bez trudu znalazła deskę, która się odchylała. Chwasty i pokrzywy w tym miejscu były wydeptane i miała nawet wrażenie, że w pogniecionej trawie dostrzega ślady lakierków. Spokojny uśmiech rozkwitł na jej twarzy. Powoli, bez pośpiechu, udała się do szopy, znalazła tam rdzawy młotek, co ledwie się trzymał na rozchwianym trzonku, wzięła kilka grubych, równie zardzewiałych gwoździ i nieumiejętnie waląc młotkiem w gwoździe, zabiła dziurę. Gwoździe co prawda skręcały się fantazyjnie i pozaginały się pod ciosami, a młotek parokrotnie spadał z trzonka o mało nie raniąc Hali, lecz deska mimo to trzymała się mocno.

Hala wracała do domu z rozjaśnioną twarzą. Cisnęła młotek do szopy i dokładnie obmyła ręce pod pompą. Potem weszła do domu i zorientowała się, że babcia nie śpi.

— Cóżeś ty tam tak stukała? — spytała babcia.

— Mocowałam, babciu, deskę w parkanie — spokojnie i rzeczowo odparła Hala.

Babcia zrobiła wielkie oczy i pośpiesznie utkwiła w ziemi spojrzenie, by ukryć radość, jaka ją ogarnęła: więc jednak Hala wzięła sobie do serca jej przestrogi. Stara wyobraziła sobie, jak obie się tutaj starzeją, pieniądze do nich na razie przychodzą, to nie mają się o co troskać. Pokochała tę ładną, niespodzianie wydoroślałą dziewczynę stojącą przed nią i gotowa była wszystko jej oddać.

Hala jednakże co innego miała w głowie. Usiadła na stołeczku naprzeciw babci, wionąc szerokim skrajem sukni, i popatrzała starej w oczy.

— Muszę już, babciu, złożyć papiery do technikum pedagogicznego.

— I zostawisz mnie tu samą — spytała stara z obawą i nieco zaskoczona.

— Możesz się zająć robieniem na drutach — trochę bezlitośnie odparła Hala. — Czas będzie ci szybciej leciał! Teraz, babciu — znów popatrzała w oczy starej — człowiek bez zawodu jest niczym.

Niemiło było jej usłyszeć coś takiego, ale nie wyrażała sprzeciwu. Miała bowiem zdrowy rozsądek i też nie była pewna tej nitki, której się obie trzymały: owych comiesięcznych wpływów od ojca Hali.

12

Owego wieczora spokój zstąpił w obydwie: stara zasiadła w swoim wygodnym fotelu i położyła chorą nogę na taborecie,

Hala zaś usadowiła się pod lampą z rozłożoną *Ulicznicą* Panasa Myrnego. Czytała na głos, lampę czuć było spalenizną nafty, przez otwarte okno sączył się zapach jaśminów czy nawet niedalekich lip z pobliskiej lecznicy, w oknie odcinał się migotliwy kwadrat granatowego nieba z drgającymi w nim złotymi chrząszczami. Babka otuliła nogi starym, zupełnie wytartym pledem i raz po raz rzucała spojrzenia oczu uzbrojonych w okulary; światło lampy sprawiało, że twarz Hali pełna była kontrastów, a zarazem nie opuszczała jej łagodna tkliwość. Spokojnie płynął głos Hali, spokojnie tlił się płomyk pod wydętym szkiełkiem, powoli pełzały złote chrząszcze i obydwóm nagle się wydało, że stanął czas, przystanęli ludzie idący tego wieczora, samochody i tramwaje. Przystanął gładysz w szarym garniturze i lakierkach, zatrzymał się nurt rzeki i wpadających do niej strumieni. Zamarły, jak gdyby zamarzły na środku nieba ptaki i nietoperze; kilka samolotów, co zabłądziły w tę strefę, zgasiło silniki. Umilkło radio, zastygł w locie kot, co wyskakiwał przez okno z ukradzionym kawałkiem kiełbasy, która zastygła mu w zębach. Hala przestała czytać i przeniosła spojrzenie na babcię. Zauważyły dziwną i trochę niesamowitą ciszę.

— Słuchaj, babciu — spytała Hala. — Czy ten twój wujek był normalny?

Stara wstrzymała palce, które jeszcze przed paroma minutami uczyły się szydełkować skarpetę, i wsłuchała się w ciszę nocną.

— Czytałaś mi coś? — zwróciła się w stronę wnuczki.

— Pytałam o twojego wujka.

— Powsinoga był z tego mojego wujka. Wciąż go gdzieś gnało, wciąż dręczyły go jakieś chimery. Zresztą nic w życiu nie osiągnął. Zeszedł na manowce bez ładu i składu...

— No, a później?

— Co później? — rzekła babcia z rozdrażnieniem w głosie. — Później pić zaczął i przepadł z kretesem.

Hala była rozczarowana. Mimo wszystko nie dawał jej spokoju ów daleki i przez wszystkich zapomniany kuzyn.

— To on się nie ożenił?

— Jeszcze czego? — babcia zrobiła wielkie oczy. — Mało tego, że przefujarzył własne życie, to miał męczyć jeszcze żonę i dzieci? Nie, tu trzeba mu oddać sprawiedliwość: jak zaczął jako Cygan, to i jak Cygan skończył. Znaleziono go sztywnego w trzęsawisku... Albo weź choćby mego braciszka... Myślisz, że on ma wszystko po kolei?

— Ciekawe — rzekła Hala. — Dziadek Iwan to twój rodzony brat, a nawet się nigdy nie widujecie...

— Jakiż tam rodzony. Tylko matkę mieliśmy wspólną.

— Tak bardzo się nie lubicie?

— Bo krew w nas nie ta sama, Halusiu — rzekła szorstko stara. — On ma w sobie krew włóczęgi, a ja osiadłą...

Hali nagle zrobiło się przykro. Ujrzała przed sobą wysokoczołą, piękną twarz dziadka Iwana — szedł za kozami i wiatr mierzwił mu siwe włosy.

— A ja odwiedzam ich niekiedy — rzekła Hala. — Taka miła jest ta Marija Jakiwna...

— Ja też nie mam nic przeciwko niej — odparła babcia. — Dziwi mnie tylko, jak ona może z nim wytrzymać?

Zaśmiała się kostycznie, po czym zasznurowała usta. I Halę aż odrzuciło od niej w tym momencie: z ust zrobiła się wąska szpareczka, oczy zaś miała okrągłe i nic nie rozumiejące. Płonęły w nich iskierki i Hala ani rusz nie mogła pojąć, co babcię tak rozbawiło.

I tak umarła zaklęta cisza ich porozumienia. Drgnęli i ruszyli się ludzie przechodzący owego wieczoru, pojechały auta i tramwaje. Poruszył się też gładysz w szarym garniturze i lakierkach, pomacał przybitą deskę w parkanie i zagwizdał zdumiony. Popatrzył z żalem do góry: nad parkanem przebiegały dwa ciągi drutu kolczastego. Gładysz wyjął z kieszonki przy pasie zegarek i popatrzał na wskazówki — świeciły i pokazywały dziesiątą. Zsunął kapelusz na czoło, zadarł nos, wykonał w tył zwrot niemal jak żołnierz i ruszył z powrotem krocząc własnym śladem. Przystanął jeszcze, zawrócił i rozejrzał się dokoła. Po czym rozpędził się nagle i co sił uderzył ramieniem w przybitą deskę. Zaskrzypiała, ale nie ustąpiła. Gładysz strzepnął z ramienia drzazgę i znów nasunął kapelusz na oczy.

Tymczasem w mroku już normalnym trybem płynęły rzeki i strumyki, nocne ptaki opuściły się na drzewa, a zapóźnione dzienne zleciały do swoich gniazd i włożyły w senne już prawie dziobki piskląt po ostatnim robaczku. Samoloty zagrzmiały pod niebem i poleciały dalej, już odpowiadając na wezwania z lotnisk. W głębi domu na wzgórzu nagle na cały głos przemówiło radio. Kot dojadał ukradzioną kiełbasę, a daleko-daleko stąd ojciec Hali snuł ciężkie myśli o losie kobiet z domu na wzgórzu. Pod wpływem tych myśli kra piętrzyła mu się wokół serca, a i wszystkie gwiazdy w wysokim o obojętnym niebie nie tylko pozamarzały, ale też się pokruszyły.

Hala znów zaczęła czytać powieść, a babcia nagle ujrzała poprzez ściany gładysza w szarym garniturze i w lakierkach, śpiesznie odchodzącego w dal. Wymachiwał prawą ręką, a lewą miał wsuniętą w kieszeń. Stara patrzyła nań prawie obojętnie, jedynie w oczach jej niekiedy migały filuterne i drżące błyski.

Hala przeżyła tydzień w tym nietypowym dla niej uśpionym stanie ducha. Zdawało się jej, że napiła się wówczas czarodziejskiego ziela, zgoła bowiem zapomniała o swoim dziwnym zadurzeniu, o gładyszu w szarym garniturze, o swoim niepokoju i snach pełnych podniecenia. Patrzyła na świat ze spokojem, a zarazem prawie codziennie schodziła na dół do zagrody dziadka i godzinami gwarzyła tam z Mariją Jakiwną. Z dziadkiem widywała się nieczęsto, wychodził bowiem z domu o świcie i ze swego wzgórza śledzić mogła, jak idzie z kozami wzdłuż szmaragdowego brzegu. Kozy stąpały kołysząc się rytmicznie, a za nimi bez pośpiechu kroczył wysoki, przystojny, białowłosy starzec. Znów życie w domu na górze się uprościło, babcia uczyła się szydełkować, a Hala krzątała się po gospodarstwie. Niekiedy siadały sobie razem na ganku i spoglądały, jak z wolna gaśnie słońce na widnokręgu: prawie nie rozmawiały wówczas ze sobą, bo przykuwała ich uwagę jedna i ta sama muzyka dogasania. Niekiedy przydreptywała do nich Marija Jakiwna i wtedy już siedziały na ganku we trzy: Marija Jakiwna opowiadała nowinki z ulicy, one zaś milczały. Przestał też tłuc się po wzgórzu gładysz, widocznie zniechęciła go zabita deska w parkanie. Hala myślała teraz o nim jak o odległym i nazbyt osobliwym śnie. Mimo to czasem śnił się jej również teraz — wtedy słyszała suchy łopot szarych skrzydeł i widziała, jak ów ptak zlatuje do nich na podwórze. Czuła wówczas obawę i radość, i sama nie mogła pojąć, czego pragnie. Tymczasem zabrała się do historii i literatury przygotowując się do egzaminu na uczelnię, jednakże między stronicami widziała wciąż to samo: olbrzymi szary ptak leci na ich wzgórze i ma na nogach lakierki. Spogląda tęsknie niewiarygodnymi oczyma i krzyczy jak kruk, a może jak puchacz.

Cichy żal kołysał dziewczyną i właśnie ten żal, modry i migotliwy jak niebo wrześniowe, gnębił ją i niepokoił. On to właśnie odrywał ją od podręczników i prowadził przed zwierciadło. Patrzyła na siebie i znów widziała dwie dziewczyny: jedną szarą i przygaszoną, pełną zjeżonych kolców — wiedzy nabranej z podręczników, drugą zaś błękitną niemal jak w baśni. Niekiedy, gdy żal pochłaniał ją całkowicie, owe dwie postacie w zwierciadle stapiały się w jedną; Hala wówczas bez zastrzeżeń wierzyła w opowiastkę babci, że jest jedną z tych zaklętych księżniczek, których uroda raczej odstrasza niż przynęca. Na to kurczyła się w niej dusza i ledwie słyszalnie odzywał się głos daleki niczym kołatanie dzwonu. Mimo woli czuła, jak przy-

tulają się do jej ucha szemrzące usta Anatola i snuje się jego pieściwy głos, niczym pająk plotący pajęczynę.

Powracała do książek i z zaskoczeniem wpatrywała się w znajome, a nawet bliskie rysy wyzierające spomiędzy linijek. Jakoś nie dawały jej spokoju. Jej uśmierzenie wewnętrzne topniało, jak topnieje chmurka na przedwieczornym niebie, Hala stawała obnażona i onieśmielona przed tymi oczyma, co niemal ją pożerały. Budziła się w nocy, bo ją całował jak tamtego wieczoru; dotykała spieczonych ust. Strupek już zasechł, zagoił się i odpadł, czuła natomiast, że boli ją lewa pierś, jak gdyby ktoś ją ścisnął żelaznymi palcami. Spotykała się z jego spojrzeniem i podobnie jak w życiu, na jawie, nie mogła go znieść. Nawisało nad nią ogromne, czerwone, okrągłe jak koło oko babcine — zimny pot ją oblewał, bo zdawało się jej, że jest w tej grze jak piłka, o którą walczą dwaj zajadli zawodnicy. Nie wiadomo czemu zdawało się jej, że ów Szary i babcia jej znali się już dawniej, gdy stara była jeszcze w Halinej postaci, co jest niezmienna i nieprzemijająca w czasie, a babcia jest już beznadziejnie stara. Było to dla Hali nie do wytrzymania, rzucała książki i wychodziła na dwór. A że na dworze było pusto, poprzestawała na tym, że obchodziła miejsca, w których się kiedyś spotykali. Zatrzymywała się również przy zabitej szparze, odczuwając przy tym żal i złośliwą uciechę; taki stan ducha u wnuczki odgadywała również stara. Wychodziła na ganek i przerywała Hali samotność. Halę ogarniała złość na babkę, która zagadywała ją ze sztuczną serdecznością, choć dziewczyna nie miała ochoty na rozmowy. Ponadto czuła nad sobą małe, okrągłe i bystre oczka, które bez ustanku śledziły każdy jej ruch, i wtedy zdawało się Hali, że chodzi jak koń w zaprzęgu: że za plecami ma parę lejców i dwóch poganiaczy. Tak działo się w dzień, a wieczorem Hala już była spragniona towarzystwa babci. Przynosiła do sypialni książkę, zaczynało się czytanie i rozmowy, przewijała się włóczka w rękach staruszki, a młode ręce przewracały stronice. Tam, za zaciągniętymi zasłonami, gęstniała modrość wieczoru, i obie czuły, że wciąż tam chodzi gładysz w szarym garniturze i lakierkach. Był cierpliwy i spokojny: spozierał na przymglony krajobraz i nawet znajdował w tym przyjemność. Siadał na skale i palił, bo nazbyt często gasł mu papieros, i zdążył już polubić te widoki, nadzwyczaj przypominające dekoracje teatralne. Zamyślał się, aż zapominał, po co tu przyszedł, a gdy stara zasypiała przy swoim szydełkowaniu, cichutko podkradał się do okna. Spoglądał uporczywie i błagalnie w szparkę przeświturającą zawsze między zasłonami i widział wprost przepiękną, niczym wyciosaną z marmuru, twarz Hali. Upijał się jej pięknością i miał ochotę jęczeć, tak bardzo była odległa i nie-

dostępna. Ona, jak gdyby wyczuwała to spojrzenie, bladła coraz bardziej; cieszyła się, że jednak stoi zafascynowany pod tym oknem, i zarazem odpędzała go w myśli. Wiedziała, że przyjdzie jutro i pojutrze, i może to właśnie napawało ją taką ufnością i spokojem. Niekiedy rwała się w jej sercu jakaś zbyt cienka żyłka i wtedy wybuchał czerwony płomień: a co będzie, gdy mu się sprzykrzy tak chodzić? Przygryzała wargę i z mozołem usiłowała rozwiązać palący problem: wyjście oznaczało utratę wolności, a niewyjście — utratę umiłowania.

Zadzierała dumnie nosek i szła powolnym, odmierzonym krokiem słać łóżko babci i sobie. Wiedziała, że śledzi ją nieuchwytne i płonące pożądaniem spojrzenie, przez co stawała się jeszcze powabniejsza. Wpatrywał się w to jej kamienne zarozumialstwo, a babcia widząc jej minę (o tej godzinie budziła ją Hala, by się przeniosła do łóżka), wpadała w popłoch: czy przez tę krótką chwilę nie przespała czegoś bardzo ważnego?

14

Ostatecznie zmógł Halę deszcz. Drobił jednostajnie przez całą noc nie dając jej zasnąć, drobił jednostajnie również przez cały dzień. W nocy jak gdyby kołysała się na olbrzymich falach, zapadając w ciemne leje krótkiego snu i unosząc się na grzywach, gdy przytomniała. Nie miała siły wojować z takim przypływem, rankiem zaś, uzbrojona w parasol, zaniosła do technikum dokumenty. Po czym poszła ulicami zaglądając do sklepów po drodze. Kroczyła z siatką wyładowaną zakupami i wiatr wdmuchiwał jej krople pod parasol. Twarz miała zroszoną i postronnemu widzowi zdawać się mogło, że płacze.

Do księgarni Hala zabłądziła dlatego, że deszcz przerodził się w gęstą ulewę. Tu też kupiła tom George Sand i Maupassanta. Pieniędzy na więcej nie miała i mimochodem spytała pulchną flegmatyczną niewiastę, czy nie potrzeba ekspedientki w sklepie. Kierowniczka spojrzała na nią zza okularów i jęła się dopytywać o jej wykształcenie i o rodziców.

— Skończyłam dziesięciolatkę — odparła Hala. — Ojciec porzucił nas, a matka już nie żyje.

Kierowniczka znała zakątek, w którym mieszkała Hala: jej mąż leżał tam niedawno w szpitalu.

— Ekspedientka nam się przyda — rzekła wreszcie kierowniczka. Uprzejmie rozchyliła usta, w których ukazały się sztuczne zęby. — Tym bardziej że pani ma zamiłowanie do książek, co zaraz zauważyłam.

Zauważyła również buzię Hali, a że nie była ona pospolita, więc kierowniczka pomyślała sobie, że w księgarni przybędzie odwiedzających i z pewnością zwiększy się utarg. Pomyślała o utargu, jak o kole, które wyprowadzi księgarnię z dołka, jako że nie mogli wykonać planu.

Hala wyszła na ulicę rozradowana. Jutro tu przyjdzie i stanie przy ladzie: ojciec niestety nic im nie przysłał w tym miesiącu. Szła i myślała, o ojcu, mężczyźnie, którego przypominała sobie z trudem, jak gdyby dzieliła ich jakaś zasłona.

Deszcz ustał i Hala złożyła parasol. Nagle drgnęła: z przeciwnej strony, troskliwie omijając kałużę, nadchodził mężczyzna w szarym garniturze i lakierkach. Ukłonił się zdejmując słomkowy kapelusz. Hala osłupiała: Anatol nie miał na swoim garniturze ani jednej kropli deszczu, a jego lakierki lśniły, jak gdyby dokoła nie było śladu błota...

— Musiałem na parę dni wyjechać służbowo — rzekł przyjaźnie i naturalnie. — Nie mogłem przyjść do ciebie. Proszę o wybaczenie!

Patrzała nań szeroko otwartymi oczyma.

— Wiesz, miejsca sobie znaleźć nie mogłem — wyszeptał Anatol. — Myślałem, że się martwisz nie wiedząc, co się stało.

Nad ich głowami nagle rozdarły się chmury i garść promieni zawisła nad ulicą.

— Teraz pędzę do roboty — uśmiechnął się promieniejąc lśniącymi zębami. — Ale wieczorem będę. O której twoja babcia chodzi spać?

— O dziesiątej — rzekła bezwiednie Hala i nagle wszystko w niej zaświeciło i zaśpiewało.

— No, to już lecę — powiedział Anatol. — Czekaj o wpół do jedenastej...

Znów zdjął kapelusz, skłonił się i z oczu Hali raptem trysnęły wachlarze łez. „Boże mój — pomyślała — czyżbym go kochała?"

15

Wieczorem siedziały we dwie z babcią na ganku i patrzyły na zachodzące słońce. Niebo było fiołkowe z purpurowymi smugami i z błękitnymi wywierzyskami, które dziś świeciły szczególnie jaskrawo. Trochę wyżej nałożyły się dwie chmury, rozczochrane jak dwie bezgłowe tanecznice, co z wolna stapiały się, splecione w objęciach — był to najpowolniejszy taniec na świecie.

— Ojciec twój całkiem o nas zapomniał — rzekła stara z namysłem, patrząc na horyzont bez zmrużenia oczu.
— Znalazłam sobie pracę. W księgarni — powiedziała równie spokojnie Hala.
— W księgarni to niezłe zajęcie. A technikum?
— Można się uczyć i pracować.
— Nie chciałabym cię wypuszczać spod ręki...
— Sama przecie mówisz, że takiej przerwy w przekazach dotąd nie było.
— Tak, tak — wymówiła stara przeciągle, a na jej twarzy legły purpurowe cienie. — Pod tym względem był punktualny.
— Może coś się z nim stało?
— Może coś się stało — tym samym tonem wymówiła stara. — Każdemu może się coś przytrafić...
Jedna z tanecznic tam, z zachodniej strony, dotknęła głową wyrwy i nagle spurpurowiała. Płomieniała coraz obficiej i mocniej, podczas gdy jej towarzyszka nasiąkała fioletem i z wolna topniała w niebie.
— Może napisać do niego list? — spytała Hala.
Babcia nic nie mówiła. W oczach jej od tych błękitnych wywierzysk na zachodzie zapalił się płomyk.
— Był akuratny — rzekła z naciskiem. — Jeżeli będzie mógł, to na pewno przyśle.
— A jak nie przyśle?
— To będziemy sobie radzić jak dotąd. Mamy ogród, na zimę nam wystarczy i ziemniaków, i ogórków. Na chleb zarobisz, a luksusów możemy się wyrzec.
Hala patrzyła na starą z lekkim zdziwieniem. Uderzył ją jej spokój i niezłomność.
— Czemuż on nas zostawił, babciu?
— Już ci mówiłam, dlaczego — odezwała się stara i twarz jej w owej chwili oblana została ziemistym fioletem. — Widać już mężczyźni z tego domostwa wszyscy są tacy. Przychodzą Bóg wie skąd i nie czują się tu gospodarzami. Mają poczucie obowiązku, ale tylko wtedy coś znaczą, gdy się trzymają babskiej spódnicy...
— Mógłby nas odwiedzić!
Stara wciąż jeszcze patrzyła na zachód. Tam już znikły błękitne prześwity, fiolet zmieszał się z purpurą i wśliznęło się kilka ciemnomalinowych pasemek. Znikły bezgłowe tanecznice, tylko jedna z nich, ta, co spłonęła, pozostawiła strzęp swojego przejrzystego stroiku — był jaśniejąco biały.
— Widzisz, kochanie — rzekła babcia w zamyśleniu. — Sporo przeżyłam na tym świecie i coś niecoś z niego pojmuję. U nas zawsze tak się składało, że mężowie, ci przybysze, umierali

wcześniej od swoich żon. Pewnie coś się tam poplątało w niebie, że u twoich rodziców złożyło się inaczej. My, kobiety z tego domu, przeżywamy ich o wiele lat, choć trudno powiedzieć, byśmy nie oddawały im swojego serca. My, kochanie, jesteśmy niczym kustosze ich serc i ich myśli, choć nie musimy wiedzieć, o czym oni sobie myślą. Twoja matka wypadła z tego kołowrotu, a twój ojciec, kochanie, dobrze poznał prawa, jakie tu rządzą...

Stara mówiła to z odrobiną patosu, zdawało się, że przenika ją nie w pełni uchwytne dostojeństwo. Nie wiadomo, czy tak ją nastrajało niebo wieczorne, czy też sama wpadała w taki nastrój, dość, że Hala zrozumiała, że stara, która siedzi tak godnie i majestatycznie na progu, rzeczywiście godna jest korony królewskiej, ale jest to fantastka, która nigdy nie widziała świata takim, jaki jest naprawdę. Dla niej, podobnie jak dla kobiet z tego domostwa mieszkających tu przed nią, świat wymyślony był o wiele bardziej realny od istniejącego. Gromadzono i sklejano ze sobą wszelakie odmiany losu, przechowywano je i przeobrażały się w umysłach tych, co przywykły i musiały znosić samotność, wieczory przy lampie i bez niej, długie dni i noce bez mężów. Stąd wzięła się ta legenda — pomyślała sobie owego wieczoru Hala. Sama też nosiła w sobie podobne geny, lubiła więc tę spokojną i nobliwą staruszkę. Lubiła ów kasztan na podwórzu, zasadzony w dzień ślubu babci, a także inne drzewa, zasadzone z okazji wesel innych mieszkanek, kochała też wszystkich już nieobecnych na tym świecie, wobec których ma jednak jakieś zobowiązania.

Z doliny piął się w górę sznureczek białych kóz, za którymi kroczył wysoki siwowłosy mężczyzna, jak gdyby roztapiał się w oparach nadrzecznych, czy też może właśnie z nich się wyłaniał. Hala pomyślała, że stary zawsze wracając do domu spogląda w ich stronę i pewnie coś czuje, bo to i jego dom. Ogarniał ją mimowolny szacunek dla tego niemal obcego jej dziadka. Tak działo się zawsze, gdy go dostrzegała, choć mało myślała o nim. Równie mało myślała o bracie stara — teraz też nań spogląda, usta ma zasznurowane, a oczy przymknięte. Kto wie, co dzieli w życiu tych dwoje, choć przecie miało być na odwrót, jako że są sobie najbliżsi.

A jednak przyprawiało ją o zdumienie, że w niej i w tym majestatycznym starcu płynie sporo krwi wspólnej: zresztą, jeśli już rozważać rzecz skrupulatnie, to on bardziej należy do tego domu niż ona... Wpatrywała się uparcie w to dziwo, owe narodziny z mgły, tajemniczy i podniecający akt — i nagle osiągnęła szczególną umiejętność widzenia: wielka, rozumna i szlachetna twarz zjawiła się przed nią. Rzecz była trochę nie z tej

ziemi, ale w ten wieczór pokochała go również — bywają takie wzniosłe i dziwne chwile, gdy człowiek zaczyna kochać cały świat.

Szara skała po tamtej stronie rzeki nagle zajaśniała żółtym odblaskiem: na ostatek wynurzyło się zza chmur słońce i opromieniło ów skrawek ziemi. Stąd też zapłonęły rumieńcem kozy i ów siwowłosy zarysował się jaskrawo w prześwicie. „To są te prawdziwe narodziny!" — pomyślała Hala i przejęło ją drżenie i nabożeństwo w obliczu tego wielkiego i rozległego świata. W jej sercu owego wieczora zakiełkowało dziwne życzenie, które ogarnęło sobą wszystko: i ową rumianą smugę, i owego prawie nieznanego krewniaka, i ową babcię zastygłą niczym grudka ziemi. Dusza Hali nabrała rozmachu, rozpostarła się na całą tę okolicę, którą przyjęła do serca — wszystko, co trafiło w tym momencie w jej pole widzenia, naznaczone było świętą pieczęcią jej uczucia.

Wyczuli to dwaj mężczyźni w tej okolicy. Jeden wysoki i siwy, co wciąż patrzył na ów dom na wzgórzu i na dwie melancholijne postacie kobiece na ganku: zbyt młodą i zbyt starą. Zrozumiał tajemnicę ich zadumy, bo i głowić się nie było tu nad czym: jedna z nich kończyła, a druga zaczynała życie. Wiosnę i zimę ujrzał Iwan na tym ganku i pojął prostą i nieprzemijającą prawdę: wiosna nie tylko przeczy zimie, ale jest też jej dziecięciem.

Drugim, który odczytał uniesienie Hali, był szary ptak, co leciał pod wyimaginowanym niebem i tylko czekał chwili, gdy będzie mógł zniżyć się nad tym domem na wzgórzu. Jeszcze nie czas był na to, opadł więc na rozległe skalisko, którego stara z ganku nie mogła wypatrzyć; siadł na głazie, zdjął kapelusz i zapatrzył się w zachwyceniu. Niepokoiło go nieco to rumiane światło, jakim jarzył się skrawek brzegu, jedyne więc, co mógł uczynić, to wyjąć małe lusterko i uważnie przestudiować nadzwyczaj starannie ułożoną na głowie fryzurę. Sprawdził, czy na lakierkach nie osiadł kurz, po czym otrząsnął dwoma odsuniętymi palcami połę marynarki. Było tego dość, by znów odzyskać szacunek dla samego siebie. Szary rozejrzał się po świecie okrągłymi i nader przenikliwymi oczkami.

16

Wyruszył ścieżką wzdłuż ogrodzenia lecznicy, tam, gdzie bujały kępy burzanów i pokrzyw, usiłując je obejść, a gdy się to nie udawało, wzlatywał na szarych skrzydłach. Podobnie przeskakiwał również gliniane wertepy pod parkanami, rzec można, że przyleciał i opuścił się przed furtką, a może przedostał się przez ogrodzenie lecznicy jak ci, co chodzą po suficie i ścianach. Jedno

pewne, że nie wdrapywał się z dołu, a deska przybita przez Halę pozostała nie naruszona. Hala owego wieczoru pilnie uważała na podejście pod górę, może nawet umyślnie: chciała uspokoić tym babcię, a może siebie samą, że on przyjdzie z dołu i zostanie jeszcze jedną postacią ich domowej legendy. Przyniesie mu wody, on zaś przyjmie tę wodę z jej rąk. Tym samym dopełni się osobliwy rytuał i wszystko potoczy się dalej, tak jak bywało...

— No cóż, jaskółeczko — rzekł mężczyzna wsparty o furtkę — czekasz już na mnie?

Hala drgnęła. Zerwała się z ganku i osłupiała, nieco przestraszona. Roześmiał się z ukontentowaniem.

— No cóż, napędziłem ci strachu. Wyjdź, jeśli chcesz...

I wyszła posłusznie. Gładysz stał przy furtce, wszedł już księżyc, i jego blask odbijał się w czubkach lakierków.

— Jakoś nie zauważyłam, skąd pan przyszedł? — rzekła Hala i w ciele jej wróciło owo drżenie, co odezwało się za pierwszym razem.

— A czy to ma jakieś znaczenie? — roześmiał się Anatol. — Najważniejsze, że przyszedłem.

Bezwiednie poczuła na sobie jego spojrzenie i już nie zdołała się wyrwać z tej niewoli. Ręce i nogi jej zesztywniały, zdawało się, że jeszcze chwila, a stanie się drzewem podobnie jak rosnący tu kasztan. Jednakże nie chciała się poddać tak zwyczajnie, opuściła więc oczy.

— Ależ pan zgrzany! — rzekła nie będąc w stanie zwrócić się doń na „ty", jak się już domówili tamtego wieczoru. — Może przynieść coś do picia?

Ale on był zgorączkowany nie z powodu drogi. Pił za to chciwie niezwykłą urodę, która przed nim rozkwitła. Był to kwiat osobliwy, egzotyczny nieomal. Stali, oddzieleni parkanem, ale niewiele już było trzeba, by ów parkan znikł.

— A co ty mi możesz dać do picia? — wymówił przymilnie.

— Wody czy czegoś innego? — odparła Hala.

— Na cóż mi woda? — roześmiał się. — Chce mi się czegoś słodszego od wody...

Hala rozejrzała się zdziwiona. To znaczy, że musiała popatrzeć na drzwi i okna: czy nic się nie zmieniło.

— A co jest słodsze od wody? — spytała cicho i powoli.

— Ty, moja jaskółeczko! — rzekł czy też wyśpiewał i wsunął rękę, by zrzucić z furtki zasuwkę.

Ciepło jej się zrobiło od tych słów i uwolniła się od zbędnego i gniotącego ciężaru, od obawy, jaka ją dręczyła, bo czegóż tu się bać, gdy tak ją chłoną i zniewalają oczy ukochanego.

— Chodźmy stąd! — rzekła ochryple i śpiesznie, i przygasiła spoj-

rzenie, by się nie rozpłynąć w jego niewiarygodnie wabiących oczach.

Wyszli za furtkę, ale nie uszli daleko. Anatol przycisnął ją do parkanu i ujrzał, że w jej oczach mienią się małe rozjarzone księżyce. Był rzeczywiście spragniony i chciał się napić czym prędzej, a że nie spodziewała się takiej bezwzględnej napaści, więc zwiędła niczym kwiat...

17

Leżała tuż przy furtce, w zmiętym i stratowanym zielsku, sama też zmięta i stratowana, leżała z rozrzuconymi nogami, w podartej sukience, okrwawiona i zdruzgotana. Oparła głowę o sztachety i łkała bezgłośnie — łzy ciekły i ciekły po jej policzkach. Księżyc mienił się połyskliwie w tych strumyczkach, podobnie jak mienił się w ogromniejącej rosie, co rozsypywała się dokoła z jej płaczu — wiele łez wylała na ziemię, bo miała na co się żalić. Tak się żali złamany kłos i liść zerwany, zdeptany kwiat i mak zdziczały, tak żali się noc, gdy ją zabija ranek, i dzień, gdy broczy krwią z winy wieczoru. Czerwona krew płynęła tego wieczoru, we łzach też mieniły się rubinowe błyski, wszystka rosa lśniła czerwono — taka już została ta noc w pamięci Hali.

Szary ptak już dawno uleciał ze wzgórza, wzbił się pionowo i znikł, nie wiadomo gdzie; Hala zrozumiała nagle wielką słuszność ludzkich obaw i ograniczeń. Nie broniłaby się, gdyby babcia wyszła z domu i jęła okładać ją laską. Łzy płynęły, płynęły i o tej porze jeno księżyc mógł się nad nią litować. Ale i on skrył oblicze w skłębionej chmurze, którą zapewne właśnie po to sprowadził. Gęsta ciemność spowiła dziewczynę i właśnie owa ciemność dała jej oprzytomnieć. Nie widziała ani swoich rąk rozkrzyżowanych w trawie, ani okrwawionych nóg, które znikły gdzieś w owej nocy i mroku; zapomniała też o godzinie i o tym, że musi wrócić do domu: raz po raz targała nią rozpacz. I niebo tego nie zniosło, jęło się zasnuwać chmurami, a po jakimś czasie nawisło nisko i niespokojnie i zaczęło kropić ostrymi kroplami. Z początku deszcz siąpił nieśmiało — to też był jej płacz, jego szczególne echo tam, w górze. Deszcz obmywał ją z krwi i łez, i tej nocy smakował słono. Słony deszcz zmoczył ziemię, przez co rośliny nagle wybujały, jak gdyby powracała wiosna, zawiązało się nasienie w kwiatach, co już były przekwitły, i zakwitły kwiaty nowe.

I tylko dwóch mężczyzn dostrzegło tę metamorfozę: jeden siedział na werandzie oplecionej powojem — był dziś wzburzony

i nie mógł usnąć. Drugi, nie mniej wzburzony, był to rówieśnik Hali, który nawet nie miał pojęcia, że istnieje na świecie taka właśnie Hala. Spotka się z nią równo za dziesięć lat i bardzo trudno będzie mu podejść tam pod górę, gdzie z rąk jej przyjmie kubek wody. Tej nocy właśnie obudziła go jakaś nie uświadomiona trwoga. Wyszedł na dwór, stanął i pił słony deszcz, podobnie jak pił go ów siwogłowy, co przystanął za furtką i wpatrzył się w noc niespokojnym wzrokiem. O świcie pośle na wzgórze swoją Mariję, co po raz pierwszy zaniesie starej i Hali dzbanek koziego mleka. Marii dość będzie rzucić okiem, by zrozumieć, co się tam u nich stało — przyjmą ją uprzejmie i z wdzięcznością. Nie powie o tym ni słowa swojemu mężowi, który jednak wszystko, co trzeba, wyczyta z wyrazu jej oczu.

Tamten drugi nie będzie się ani tak przejmować swoimi emocjami, ani wiedzieć, jaką wagę przywiązywać do przeczuć; zakosztuje słonego deszczu, wróci do domu i najspokojniej zaśnie. Rano opowie matce i starszej siostrze o słonym deszczu, uśmieją się z tego i będą miały rację.

Deszcz ustał raptownie. Skończyła się bezgłośna pieta Hali i niebo znów zajaśniało miesiącem i gwiazdami. Hala podźwignęła się i usiadła, obciągając sukienkę. Oparła się o parkan — w oddali przed nią, w głębokościach nocy, rzęsiście skąpana w poświacie, modrzała droga. Hala twarz miała skamieniałą, oczy zaś patrzyły nad miarę uważnie. Było coś starczego w tym jej spojrzeniu, bo tylko tak można było wypatrzyć drogę owych dziesięciu lat, co rozpostarła się teraz przed nią. Ujrzała twarz syna, który się urodzi za dziewięć miesięcy od tej nocy, w oczach zaś, dłoniach i plecach poczuła znużenie pracą, jakiej będzie musiała dokonać, chcąc utrzymać rodzinę: starą, siebie i syna. Tej nocy nie zlękła się brzemienia mającego obciążyć jej plecy. Tak, będzie się uczyć i pracować, a zarazem przyjmie na siebie udział kobiet tego domu, w którym mężczyźni pozostawali jedynie gośćmi. Przyjmie samotność i puste wieczory, bezsenne noce — jedyną dla niej rozrywką będą godziny ciszy w ojcowskiej bibliotece. Stara odtąd pocznie zapadać na zdrowiu, chociaż to ona przede wszystkim doglądać będzie Chłopca. Niekiedy zacznie dawać upust złości, stanie się zrzędna i uszczypliwa — Hala i to wytrzyma. Dwoje dzieci będzie mieć na głowie i nie będzie siedzieć z założonymi rękoma. Przepłynie z nimi przez fale i zamiecie, przekroczy trudną granicę wojny, nim się doczeka, że wreszcie wstąpi do ich zagrody jakiś mężczyzna.

Szła i szła tak po niebieskiej drodze i oczy miała już suche. Powoli przebierała nogami, i im dalej szła, tym bardziej piękniała. Stawała się niezaprzeczalną pięknością, ale uroda jej bardziej odstraszała mężczyzn niż pociągała — zostanie taką i po dzie-

sięciu latach. Raz tylko jeden będzie niezadowolona ze swojej urody, gdy sytuacja zmusi ją do ukrywania się w piwnicach własnego domostwa, by uniknąć wywiezienia do Niemiec.

Anatol zatem nigdy nie ujrzy owego przeistoczenia, jako że chyba nie wierzył w baśnie. Możliwe, że żyć będzie zwyczajnie i bez zastanowienia, i nigdy nie będzie żałować zła, jakie wyrządził Hali.

Całkiem podobny doń mężczyzna iść będzie szlakami odwrotu w tym samym oddziale, w którym kroczył szewc Mykoła Waszczuk. Jako krajanie trzymać się będą ramię przy ramieniu i w chwilach wytchnienia wspominać będą te same miejsca w Żytomierzu. Człowiek ów wprawdzie mieć będzie na imię Witalij, i może był tylko rodzonym bratem Anatola, ale w krytycznych momentach będą sobie pomagać nawzajem. Schudną i poczernieją, a gdy przetną ich serie z kaemów, pierwszy upadnie Witalij. Mykoła będzie usiłował go nieść, ale nie zda się to na nic. Wyrokiem losów może rozjaśni się u Anatola czy Witalija umysł i przypomni sobie wszystkie swoje porzucone i pokrzywdzone dziewczyny. Przypomni sobie wśród nich również Halę i ujrzy ją nagle nie jako owo dziewczę-kaczątko, lecz jako tę przedziwną kobietę, w którą się przeobrazi. Zapragnie jej litości i pieszczoty, i może przysięgnie, że jak wydostanie się z tych opałów, wdrapie się na to wzgórze i napije się podanej przez nią wody. Może też przez jego głowę przemknie jakiś inny obraz z długiego łańcucha uwiedzionych i porzuconych, i może inną będzie błagać o litość...

Wszystko to ujrzała Hala wzdłuż dalekiej niebieskiej drogi, która ukazała się przed nią owej pamiętnej nocy. Użaliła się też nad Anatolem i gdyby rzeczywiście wydostał się z tych opałów, może podałaby mu wody. Lecz on z opałów się nie wydobył — leciał i leciał po niebie jako szary ptak, a może istotnie pozostał tam bez ruchu na grzęzawisku, gdzie go później znajdą miejscowi wieśniacy i pochowają cichaczem wykopując grób w torfie. Nie on jeden spocznie w tym grobie. Leżeć z nim będą inni żołnierze polegli w tym miejscu i leżeć będą ramię przy ramieniu...

Niebieska droga płynęła bez końca w przestworze. Szły nią niewyraźne, jak gdyby mgłą otulone cienie: dokoła niby gwiazdy płynęły ludzkie twarze, a przed nimi jaśniało, promieniejąc jaskrawym blaskiem, wielkie, przejrzyste świecidło. Ku niemu właśnie zmierzały wszystkie te cienie, które ujrzała Hala, leciał tam również wielki szary ptak w szarym garniturze, lakierkach i słomkowym kapeluszu. Hala milcząco błogosławiła ich i miała do tego prawo, bowiem jako matka stawała się stworzycielką życia i jego opiekunką.

ROZDZIAŁ CZWARTY

WODA Z KOŃSKIEGO KOPYTA

Niebo i ziemia
Mimo przechodzą.
I. Wełyczkowski

1

Przed trzydziestu pięciu laty, nim stary pasterz kóz Iwan Szewczuk poczuł jesień, którą splatały przemykając się z krzaczka na krzaczek małe i zwinne pajączki, on również przyszedł do domu ledwie powłócząc nogami. Twarz miał nadzwyczaj bladą, co w zestawieniu z gęstą i czarną czupryną jeszcze bardziej uderzyło Mariję. Witając męża przy furtce, jak to mieli w zwyczaju, z daleka już spostrzegła, że coś się z nim stało. Gdy przechodził ulicą, z dziesięć osób, które widziały go w tym momencie, pomyślało, że musiał tęgo wypić. Z początku pomyślała tak również Marija, choć wydało się jej to nie do wiary, bo Iwan nie pił i nie palił. Mimo to serce jej ogarnął niepokój i wbrew zwyczajowi zeszła na dół, by co prędzej spotkać się z mężem. Spotkali się w miejscu, w którym dopiero jął się piąć pod górę: wówczas to ujrzała niebywałą bladość jego twarzy i płaskie, niemal przejrzyste oczy.

— Dokąd się wybierasz? — zapytał ledwie poruszając ustami.

Zabrakło jej odwagi, by się przyznać, że trapi ją niepokój i że wybiegła mu na spotkanie.

— Kupić soli — wypowiedziała prawie szeptem.

— Proszę cię, wróć — poprosił i ruszył z trudem pokonując stromą ścieżkę.

— Iwa-a — westchnęła za jego plecami. — Czujesz się niedobrze, Iwa-a?

Nic nie rzekł, jeno wciąż tak samo szedł pod górę. Był zgarbiony i jak gdyby zmalał.

Przy swojej furtce stał barczysty, brodaty, młody jeszcze Stepan, późniejszy stróż w szkole, i Marija odpowiedziała na jego

pozdrowienie. W głębi Stepanowego podwórka zastygła skąpana w słońcu mała i pulchna Stepanycha — aż otwarła usta przypatrując się skulonemu i blademu Iwanowi.

Ten stąpał wciąż z trudem, oczy miał nadal wbite w ziemię, stopy jego szurały i udeptywały żwir, który sucho chrzęścił. Cień jego wydłużał się z boku i był równie skulony. Marija dreptała za nim, nogi jej ślizgały się po żwirze, a serce ściskał niepokój.

Tak przekroczyli furtkę. Iwan przemierzył koliste, porosłe rdestem podwórze i znużony siadł na ławce przy ogrodowym stole.

— Cóż to się stało? — spytała Marija.

Spojrzał na nią przelotnie — była spłoszona i zakłopotana. Wówczas na wargach ukazał mu się słaby, ledwie widoczny uśmiech.

— Nie martw się — powiedział. — Siedziałem w tym biurze, duszno było i coś mi się stało... — Mówił oddychając z trudem i musiała się natężyć, by dosłyszeć jego szept. — Czułem, że jak dłużej pozostanę w biurze, to głowa mi pęknie. Taki ze mnie niedołęga — rzekł i znów uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie.

Skupiła całą umiejętność wczuwania się w jego stany.

— Boli cię coś? — spytała zatroskana.

Znów utkwił w niej dwoje niebieskich, dobrotliwych i smutnych oczu.

— To nie o to chodzi — rzekł równie cicho. — Poczułem, że już nie mogę siedzieć w tym miejscu, że mnie zadusi albo wchłonie. Wiesz — potrząsnął raptem głową i roześmiał się — gdy wyszedłem na dwór, to tak lekko i przestronnie zrobiło mi się na sercu!

Jakoś nie uwierzyła, że czuł się lekko i swobodnie — był zbyt blady i wyczerpany.

— Będziesz musiał rzucić pracę — rzekła. — Odpocząć i zastanowić się...

On jednak spoglądał gdzieś pod nogi, jak gdyby nie słyszał jej słów lub w ogóle przestał istnieć. A gdy przeniósł na nią spojrzenie, powiało odeń czymś dziwnym i niezwykłym.

— Za co będziemy żyli, kiedy rzucę posadę? — spytał krótko.

— Mam jeszcze kosztowności po mamie — wpadła mu w słowo. — Zresztą, skoro nie będziesz mieć nic przeciw... Wiesz, pilnowanie domu i prowadzenie gospodarstwa to dla mnie nie wszystko...

Spoglądali na siebie i jeszcze raz się sprawdzali. Nie zostało wypowiedziane to, co najważniejsze: wymówione przez nich słowa stanowiły jedynie otoczkę treści, którą nagle sobie uświadomili. Był jej wdzięczny za tyle zrozumienia, ona zaś wiedziała, że

tylko w ten sposób zdoła osiągnąć to, by te niebieskie oczy nie zmieniały swej barwy. W tych oczach widziała coś jeszcze niepojętego dla niej do ostatka, jakąś jeszcze nie ujawnioną moc: kto wie, pomyślała sobie w tym momencie, a nuż to początek jakiejś choroby?

W nocy myślała o tym długo, nie mogąc zasnąć, i dopiero nad ranem powtórnie doszła do tego samego wniosku: skoro to jakieś wyczerpanie, to musi ustąpić, jeżeli choroba, to trzeba traktować go jak pacjenta.

2

Teraz, gdy już tyle czasu minęło od tamtej chwili, Marija lubi niekiedy, gdy upora się z obiadem, wyjść do ogrodu, usiąść na tej samej ogrodowej ławeczce i wyruszyć w błogą i daleką wędrówkę. Wówczas niezmiennie widzi przed sobą niezbyt rozległą niebieską drogę i bezwiednie wstępuje na nią, by sobie nią trochę pospacerować. W ostatnich czasach jest to jej szczególnie ulubiona rekreacja i Marija Jakiwna nie odmawia sobie tej przyjemności. Widziała na tej drodze wysoką postać najpierw ciemnego, a teraz już całkiem siwego swego męża: bezwiednie postępowała za nim, dostosowując się do rytmu jego kroków, i znów oboje stawali ramię w ramię. Szli tak trzymając się za ręce i mieli w sercach niezakłócony spokój, jaki dać może jedynie prawdziwa miłość...

Za pierwszym razem choroba Iwana trwała dwa lata. Wówczas to wyniesiono na werandę stół i zamówiono u introligatora kilka oprawnych w półskórek zeszytów. W ciągu dwóch lat choroba Iwana jakoś ustąpiła, zapisał jeden z zeszytów i położył go na górnej półce regału. Wrócił do pracy i znów zaczęli żyć tak jak wszyscy.

Po raz drugi miało to miejsce, gdy stuknęła mu czterdziestka i przyszedł z pracy blady tą samą bladością, i wypowiedział podobne słowa. Zareagowała wówczas tak samo, tyle że nie było mowy o kosztownościach matczynych, bo zamiast nich miała już pracę w szkole...

Pomimo to Marija Jakiwna nie do końca zdaje sobie sprawę, co właściwie mu się przydarzyło. Najpierw nieco lękała się o niego, wyczuwała coś dziwnego i niezwykłego, zdawało się, że w jej mężu zapalał się mroczny, niegasnący płomień, jego poczciwe modre oczy czerniały, aż strach było się w nie zagłębiać, chociaż Iwan nadal odnosił się do niej troskliwie i z uszanowaniem. Kochał ją, tak samo, a może nawet namiętniej, i Marii aż dech

zapierało od jego niepowstrzymanej aż do szaleństwa mocy — musiało ją to podniecać jako kobietę, bo stawał się w tych momentach naprawdę pociągający. Zarazem jednak wyłączał się z rzeczywistego świata; zdawało się, że duch jego żyje w innych kręgach i wymiarach. Nie usiłowała zrozumieć tego wszystkiego — dość miała trosk w pracy i w domu. Bała się tylko, że to początki choroby umysłowej, i z dnia na dzień oczekiwała kryzysu. Lecz on ani razu w ciągu tych trzydziestu pięciu lat nie uczynił nic takiego, co by świadczyło, że jest rzeczywiście chory na umyśle, a gdy nawet przepadał gdzieś na całe dnie, przynosił w zamian bukiecik kwiatów polnych. Wybuchała wówczas wdzięcznością i przyciskała do ust bukiecik, on zaś obserwował ją nieco ociężałymi oczyma, od czego aż ciarki przechodziły jej po ciele, a na ustach jego kładł się łagodny uśmiech. Spoglądając nań wówczas Marija mimo woli ogarnięta była nieziemskim zachwytem, niezmiernie pociągały ją jego odmienione oczy i mądra, szlachetna twarz. Niekiedy zdawało się jej nawet, że słyszy koło siebie lekki szelest białych skrzydeł, muskał ją błękitny powiew. Nastrajając się na to, by stale odpowiadać na zew jego serca, sama również niespodziewanie dla siebie zaczynała żyć cudowniej i piękniej, a gdy na jego twarzy zakwitał ów cichy, błogi uśmiech, cieszyła się, że nawet w owej godzinie nie stają się sobie obcy.

Za tamtym pierwszym razem niełatwo i nie od razu udało się jej do niego dostroić. Z jednej strony czuła w sercu jakieś święto, z drugiej zaś niepokoiła się i męczyła z tego powodu, stworzona była bowiem do życia zwyczajnego. Nazajutrz po ich pamiętnej rozmowie poszła była nawet do cerkwi. Gorąco modliła się w owym znamiennym dla niej roku tysiąc dziewięćset jedenastym i w przedziwny sposób splotła sobie w jeden węzeł chorobę męża i to, że nie mieli dzieci. Patrzyła na ikony i w każdym obrazie widziała podobiznę swojego męża. Święci spoglądali na nią takimi oczyma, że lęk ją ogarniał. Szczególnie zaś uderzył ją obraz ustawiony w samym kącie, ujrzała tam oczy męża: płaskie, wyblakłe i niemal przezroczyste.

O tym wrażeniu opowiedziała mu nawet kiedyś w dobry, pogodny letni wieczór, gdy siedzieli w ogrodzie i jak zwykle spoglądali na niebo o zachodzie słońca. Śledził wówczas grę barw, co mieniły się w oczach i były takie czyste, że cały świat rozpogodził się od nich. Zerknęła przelotnie w jego stronę i zdumiała się, jaką piękną i dobrą twarz ogląda. Spojrzenie jego jaśniało, oczy błękitniały przejrzyście, usta rozchyliły się w nieśmiałym uśmiechu, i na ten widok doznała niemal zawrotu głowy. Była bez reszty pod jego urokiem, opowiedziała więc głosem cichym jak szmer liści o swoich odwiedzinach w cerkwi

i o tym świętym, który go przypomina. Patrzyła wówczas na męża i znajdowała słowa, by móc go opisać. Oderwał się na chwilę od kontemplacji wieczornego nieba, co nagle zmieściło się w jego przejrzystych źrenicach, i przyjrzał się jej bacznie. Nie ukryło się przed nim jej podniecenie i niepokój. Gdzieś w pobliżu upadło jabłko nadjedzone przez robaka, pachniały kwiaty, a może i samo powietrze, pełne migotliwego i różnobarwnego światła. Ich spojrzenia zetknęły się i tę chwilę przypominać będzie sobie przez całe trzydzieści pięć lat, jakie minęły. Chyba to wówczas jęło się układać ostatecznie ich wzajemne zrozumienie. Tak, trwało to kilka sekund, bo w następnej chwili roześmiał się krótko i rzekł miękko, ale stanowczo:

— Nie przejmuj się!...

Usłuchała go natychmiast, w mig zapomniała o tamtym świętym w ikonostasie i o swoim śmiesznym usiłowaniu, by mimo wszystko znaleźć wytłumaczenie na to, co dzieje się z jej mężem — wszystko to było godne politowania i grubo uproszczone; pojęła, że są dziedziny, nad którymi, być może, nie warto się głowić — wszystko, co dziwne, wydaje się takim z powodu naszego żywiołowego pragnienia, by zrozumieć to, co da się jedynie odczuć. Zrozumiała, że to, co się z nim dzieje, nie grozi jego umysłowi. Westchnęła z ulgą, choć niepokój nie opuszczał jej przez cały czas ich pożycia. Teraz mogła się uspokoić bodaj na pozór: siedzieli przy sobie w ogrodzie i patrzyli na zachodzące słońce: mogła rozkoszować się przepychem barw, co gasły, by znów się narodzić. Wiedziała, że nie dane im było przeżyć życia jak wszystkim, i nagle, przejęta na wskroś tą ciszą i niepokojem panującym dokoła, poczuła wdzięczność, że jej wybrany, wstępując w jakieś niepojęte dla niej kręgi, nie odtrącił jej, lecz nadal pragnie czuć jej ramię przy swoim — a dla czegoś takiego, pomyślała sobie, można się zgodzić nawet z tym, że jej męża będą wytykać palcami.

A zachód płonął. Gęstym, malinowym płomieniem, w jaki przetopiła się nagle cała rozmaitość barw; tym malinowym blaskiem napełniał się cały świat dookoła wraz z ich ogrodem: roztapiając się w tej pożodze dom jak gdyby oddzielił się od ziemi, stał się lekki i widmowy, zbudowany z powietrza. Również i oni stali się lekcy i widmowi i choć nie odpowiedział w tym momencie na jej spojrzenie, zrozumiała, że tylko tyle dano jej szczęścia, ile go ma przy mężu. Bała się, że chwila ta szybko przeminie, że minie jej wzlot entuzjazmu, że wszystko, co ulotne, znów przeobrazi się w szorstkie i przyziemne, a gdy to nastąpiło, nie doznała urazy i rozczarowania — na ustach jej męża znów ożył taki sam miły, ledwie dostrzegalny uśmiech.

Jednego z sierpniowych dni tego właśnie roku tysiąc dziewięćset jedenastego rzeczywiście nie mógł dojść do ładu ze stosem obliczeń piętrzących się przed nim. Patrzył na nie otępiałymi oczyma, po czym wstał, krótko wymówił się złym stanem zdrowia i wyszedł z pomieszczenia, w którym przesiedział prawie siedem lat. Na ulicy obejrzał się i miast dwupiętrowego gmachu zobaczył nieprzebytą i bezwodną pustynię. Opromieniło go łagodne światło, zdawało się, że w jego wnętrzu zaczął świecić niewielki kaganek, który napełniał go swoim jaśniejącym mżeniem. Przechodził ulicą i nie widział jej. Dokoła sunęły dorożki, dzwoniąc przejechał tramwaj i oblicza pasażerów patrzących przez szyby były wyblakłe i na wpół przejrzyste. Zeszedł w dół ulicą Czudnowską i zamaszystym krokiem ruszył w stronę Pawlukiwki. Tam skręcił w wąską uliczkę, poszedł w stronę skałki zwanej „Głową Czackiego" i letnich kolonii Czerkisowa. Tutaj szumiały rozłożyste czapy choin i poczuł, że właśnie tego spokoju pragnął. Gdzieniegdzie mijali go ludzie ze zdziwieniem patrzący na bladego wysokiego mężczyznę, on jednak nie dostrzegał ich spojrzeń. Zstąpił w głęboką, ze wszech stron okoloną skałami dolinę i już tutaj, przysiadłszy na kamieniu, pojął, że przybyło w nim światła. Wydało mu się, że wszystko wokół zajaśniało intensywnie, że z nieba spłynęły promienie i cała jego istota jęła się sycić przedziwnym spokojem. Wszystkie jego odczucia zmieniły się w jedno — wsłuchanie i rozgrzewającą go radość. Widział piętrzące się dokoła skały, nagromadzone bezładnie jedna na drugiej, czuł niebo, co jakby zniżyło się i spoczęło na jego sercu; rozpoznał nagle świat cały, opromieniony tym samym światłem, pełen harmonii, lecz zaplątany w nadzwyczaj zawiły węzeł. Zdawało się, że duch mu się rozszerza i ogromnieje bez miary; poczuł tętno dnia, co ożyło tu, na tej ziemi — jedność wszystkiego, co żyje — nieba i ziemi, wody i ziemi, a także wody i nieba — cudowny ogień zapalał to wszystko, przepajał i podsycał. Ujrzał, jak przebija się sok od korzeni do źdźbła w trawie i w gałęziach krzewów, jak jaszczurka pije ciepło i powietrze, i jak trawi się w złotym jej soku schwytany przez nią komar. Czuł tam nad sobą w górze przestwór bezkresny i wspaniały, dusza jego przechodziła tamtędy rozpylając się w eter, płynęła oblekając odległe planety, meteory i księżyce. Ogromny wszechświat, zaludniony przez mnóstwo kulistych ciał, ukazywał mu raptem swój uładzony rytm — wszystko tam było napełnione i przepojone najsubtelniejszym, przenikliwym ogniem. Zdawało się, że ogień ów wychodzi z niego samego i rozprasza się w przestworzu. Zarazem

ogień ów przychodzi z bezmiarów i do niego, jednocząc się w połowie czy też na początku drogi, tworząc owe pierwiastki, jakimi później stają się te kuliste ciała. Rozkosz niewypowiedzianą, jakiej w tym momencie doznawał, pochłaniał bezmiar światła, i w nim samym, podobnie jak w owym bezmiarze, subtelną tkaniną rozsnuwało się owo ciche i nie mające końca ni początku poczucie wieczności. Siedział wśród szarych głazów, odgrodzony od zgiełku świata, i nagle jasno i niezłomnie pojął, że wszystko wokół niego, to wszystko obok i w nim samym istnieje. Wtedy to narodził się po raz pierwszy na jego ustach ów lekki półuśmiech, od którego twarz jego nabrała powabu i oczy zajaśniały spokojnym i mądrym blaskiem. Gdy wstał zatem, by opuścić to przypadkowe miejsce odosobnienia, mógł już pewnie i po prostu nieść owo światło ze sobą, choć na zewnątrz był biały jak ściana.

Takiego białego jak ściana ujrzała go Marija i przeżyła pierwsze przypływy niepokoju. Jeszcze dwukrotnie je przeżyje, zawsze na nowo, ale skutek będzie ten sam. Będzie musiała opiekować się nim w takich chwilach jak dzieckiem i traktować go będzie również jak dziecko. Za pierwszym razem sprzeda swoje kosztowności, by mieć za co żyć, wdroży się w codzienne obowiązki i będzie zarabiała na chleb nauczaniem w szkole. On będzie jej dopomagać łowieniem ryb, zbieraniem grzybów i doglądaniem sadu i warzywnika. Później zacznie hodować kozy, ona zaś nauczy się je doić. Z ust jej nie padnie ani jedno słowo wymówki; wręcz odwrotnie, gdy on przeżywać będzie swoje nawiedzenia, trochę jego światła przeniesie się i na nią. Będzie się czuć wówczas odświętnie i może dlatego nie pokona jej uparty przeciwnik — dzień powszedni. Iwan zaś pozostanie wobec niej pełen szacunku i czułości, ale dopiero na łożu śmierci zdoła docenić wartość jej oddania. Iwan zrozumie wówczas, że miłość, o której tyle rozmyślał i którą dostrzegał w każdej żywej istocie, najkosztowniejsze gniazdo uwiła przede wszystkim w jego zagrodzie.

4

Owego dnia, gdy Marija Jakiwna zmuszona była uchwycić się poręczy na ganku i gdy dech jej zaparło, po raz pierwszy zaczęła wspominać całą ich długą wspólną wędrówkę. Siedziała w wiklinowym fotelu na werandzie i czekając, aż uspokoi się serce, wpatrywała się w ową niebieską drogę, roztaczającą się przed nią. Dyszała z trudem i brakło jej powietrza — nie mogła przyznać się przed Iwanem do swojej choroby. Zmrużyła, a właś-

ciwie przymknęła oczy i wówczas to roztoczyła się owa niebieska droga, w którą wpatrywała się bacznie. Ujrzała tam wysokiego mężczyznę poganiającego stadko kóz; i on, i kozy pobłękitniały i zblakły, spowiły się przejrzystą mgiełką; mężczyzna zwrócił twarz w jej stronę, a jej znów zabiło serce — taka ta twarz była znajoma i bliska.

„Taki bezbronny jest w tym życiu — myślała Marija Jakiwna — i kto wie, czy sam zdołałby przeżyć? Żywy jak spadochronik dmuchawca niesiony wiatrem, co go ciągnie, a on się unosi; świat dla niego to zieleń skąpana w słońcu i widzi jeno tę zieleń i słońce."

Dziwną żałość poczuła Marija Jakiwna siedząc tak półprzytomnie i wpatrując się w swoją niebieską drogę. Nie wiedziała, że tam, po drugiej stronie rzeki, poza granicami jej widzenia, Iwan nagle podchwyci jej niepokój. Długo wpatrywać się będzie w stronę swojego domostwa, usiłując zgadnąć, co się tam stało — był niby czuła membrana; jednakże do domu nie wróci od razu. Doczeka wieczora, choć i jemu na sercu leżeć będzie nie do końca zrozumiały ucisk...

— Co ci się stało? — zapytał już wieczorem pijąc swoje mleko.

Siedzieli przy stole w ogrodzie i jak co dzień rozkwitał przed nimi zachód. Zamrugała oczyma nieco spłoszona.

— Skąd wiesz, że mi się coś stało?

— Ano wiem — odparł i łagodny uśmiech przemknął mu po twarzy.

— A co wiesz? — przestraszyła się.

Spuścił oczy. Patrzył pod nogi i twarz mu z wolna czerwieniała jak burak. Marija stropiła się jeszcze bardziej i nagle zrobiła się bezradna niczym dziewczynka.

— Iwa-a! — rzekła, jak gdyby się skarżąc. — Coś dzieje się z moim sercem, Iwa-a!

Wielkie łzy nagle potoczyły się jej z oczu i zrosiły policzki.

— Musisz wybrać się do lekarza — mówił nieco speszony, zarazem przypatrując się jej bacznie.

I rzeczywiście, wpatrzywszy się w jej serce, po raz pierwszy zajrzał w nie z tak bliska. Biło nierówno i jak gdyby zachłystywało się krwią, którą miało wypompowywać z siebie — czerwony krąg, co kurczył się i dygotał. Jego również przejął smutek, oczy mu zapłonęły.

— Nie chciałam cię niepokoić — rzekła nieomal szeptem.

Nie mógł jej dopomóc, mógł jedynie patrzeć i słuchać. Żadnej życiowej umiejętności nie nabył na tym świecie. Wyciągnął dłoń i leciutko musnął siwe włosy na jej skroni.

— Starzyśmy już oboje, Marijko! — rzekł tym samym serdecznym i smętnym tonem.

— Tak się dzisiaj przestraszyłam — śpiesznie wypowiedziała Marija połykając łzy. — Boję się nie o siebie, ale jak ja zejdę z tego świata...

Nie dopowiedziała. Nagle zatrzymała na nim spojrzenie: nigdy nie widziała takich oczu — były jasnoniebieskie. Spojrzała na zachód: stąd jest ów kolor, tutaj ta błękitna smużka. I czy to z powodu tego porównania, czy światła, jakie ją przeniknęło, uspokoiła się nagle.

— Taka jestem niemądra — rzekła ocierając łzę i uśmiechając się z zakłopotaniem. — Przestraszyłam i ciebie, i siebie...

Patrzył na nią tym samym spojrzeniem, jedynie do jasnej modrości domieszało się nieco podziwu: ujrzał ją taką, jaką spotkał za pierwszym razem. Uśmiechała się szczerze i szeroko i na jej policzkach kwitły najdobrotliwsze w świecie dołeczki. Ujrzał ów dzień zimowy, posłyszał rżenie koni i lekkie dzwonienie uprzęży. Para unosiła się znad końskich pysków, drżało mroźne i czyste powietrze; zasypana śniegiem dolina skąpana była w leciutkiej mroźnej modrości. Marija kryła dłonie w mufce, drobiła obcasami po chrzęszczącej ścieżce — chciała w ten sposób odpędzić ziąb — i zaśmiewała się. Policzki jej różowiały, nosek miała gładki i prosty, jej ogromne oczy tryskały śmiechem, on zaś zamarł oczarowany. Para lekko unosiła się z końskich chrapów i z jej ust. Marija, by podrażnić go nieco, pokazała mu ledwie wysunięty języczek. Iwan podchodził do niej jak młody lew — pierś miał wypiętą, a w mięśniach śpiewała młodzieńcza energia. Z ust jego również buchała para, a gdy stanął przy niej tuż obok, para z ich ust się połączyła. Wtedy zwróciło się do nich szerokie, okolone brodą oblicze woźnicy i raptem zlękli się oboje tej twarzy — okrągłej i takiej obcej ich bliskości...

Aż dziw ogarnął Iwana, że przed nim siedzi taka niemłoda kobieta o rysach, co ledwie przypominają tamtą, ujrzaną przelotnie: wyglądała jak matka czy babka tamtej. Sam zaś był chyba dziadkiem młodzika, co z takim zachwytem podchodził do bryczki, przy której przytupywała najpiękniejsza pod słońcem dziewczyna; wtedy to posłyszał Iwan świst bata, którym zamachnął się woźnica, i bryczka ruszyła w ową niebieskawą mgiełkę, która płynęła nad drogą i spowijała świat.

„Tutaj przyjechaliśmy — pomyślał. — Tego wieczoru i do tego ogrodu!"

5

Po latach piętnastu przypomniała sobie Marija Jakiwna ów wieczór i jak nigdy zrobiło się jej wstyd swojej słabości, ponieważ troszczyć się wówczas wypadało o niego, nie o siebie. Naprowadził ją na te wspomnienia Chłopiec Hali, już dwudziestosiedmioletni: dziesięć lat włóczył się po świecie i oto siedział przed starą nauczycielką wyciągając ją na zwierzenia. Marija Jakiwna była już całkiem stareńka, blask zachodu opromieniał ją miękko i Chłopcu wydało się, że ta babcia jest lekka i eteryczna. W tej chwili żywił przedziwne złudzenie, że rozpuści się ona i zniknie, on zaś pozostanie sam w tym obejściu i będzie musiał radzić sobie z własnymi myślami.

— Przychodziła twoja mama — mówiła Marija Jakiwna. — Tak się cieszy, żeś powrócił. Już nie nęcą cię dalekie drogi?

— Nie nęcą — rzekł Chłopiec i uśmiechnął się.

Patrzyła na niego, barczystego i trochę zbyt tęgiego, z energiczną twarzą, podobnego i niepodobnego zarazem do jej Iwana z czasów młodości: tamten był wysoki i chudy, ten średniego wzrostu i pucołowaty. A jednak było coś uderzająco wspólnego między nimi i dziwiła się z tego powodu. Mimo woli przenosiła się w ów daleki rok tysiąc dziewięćset jedenasty, kiedy to wszystko zaczęło się u Iwana...

Wypijał szklankę mleka, zagryzał kromką czarnego chleba, całował ją w czoło jak ojciec córkę i wychodził z domu. Przychodził pod wieczór i zjadał talerz barszczu. W nocy był szczególnie czuły dla niej i Marii brakło śmiałości, by zapytać, co się z nim dzieje i dokąd każdego dnia chodzi. Była wówczas jeszcze zbyt młoda i nie potrafiła czekać. W głowie snuć się jej zaczęły wszelakie chimery i nawet obecnie, gdy jest już taka stara i zgrzybiała, wstydzi się ich...

Myślała o tym, gdy Chłopiec poszedł już sobie, bo są rzeczy, których nie da się wypowiedzieć. Tak natarczywie wypytywał ją o starego, że mimo woli wszystko w niej się rozkołysało. Leżała sama w pustym domu, księżyc zaglądał przez lufcik, pogrążając pół ściany w zimnej poświacie, i owe pół ściany raptem otwarło się przed jej oczyma, rozwarła się dal bezkresna i Marija znów znalazła się na niebieskiej drodze. Iwan szedł tamtędy sam, bez kóz, wysoki i prosty, obejrzał się w jej stronę i jak gdyby poprosił o coś oczyma.

— Daruj mi — wyszeptała bielusieńka ze starości i światła miesięcznego kobieta. — Wybacz mi to podejrzenie, niedorzeczne i niemądre, a jeszcze bardziej owo niedorzeczne śledzenie.

Nocy tej nie spał również Chłopiec. Leżał na kanapie w bibliotece dziadka, przez okno sączyła się poświata miesięczna i zda-

ło mu się, że ktoś niewidzialny podszedł doń, otwarł jego piersi jak wieczko szkatułki i włożył tam drogocenny zwitek z drogocennymi znakami.

6

Iwan szedł równym krokiem, nie przyśpieszając i nie zwalniając. Skierował się pod Prosynowską Górę, za nim zaś, niby cień, nieco wystraszona i zawstydzona, podążyła Marija. Śpieszyła pod górę, bo Iwan skrył się za zakrętem i mógłby z łatwością zniknąć jej z oczu. Nie znikł jednakże, szedł miarowo i jak gdyby nie widział świata. Zgarbił się nieco i choć raz po raz przechodzili koło niego ludzie czy przejeżdżał dorożkarz, ani razu nie podniósł głowy. Obok teatru i wieży ciśnień spotkał go znajomy. Zawołał na Iwana, który jak gdyby wrócił z innego świata: otrząsnął się i musiał wykupić się od znajomego krótką pogwarką. Marija wówczas skręciła w boczną uliczkę, żeby nie spotkać tego samego znajomka, a gdy znów wyszła za plecami Iwana, kroczył nadal równo i bez pośpiechu. Skręcił w Mołczanowską nie mając nawet pojęcia, że ktoś go śledzi; gdy przechodził jezdnię, dorożkarz zakrzyczał nań głośno i Iwan odczekał posłusznie, aż tamten przejedzie. W dorożce siedziała młoda kobieta i Marii się zdawało, że spojrzała na Iwana z zainteresowaniem. Ów nawet jej nie zauważył, choć była rzeczywiście przystojna, i skręcił w Michajłowską. Tutaj stłoczyło się sporo ludzi, on zaś przechodził przez ciżbę, wyróżniając się w niej osobliwie. Marija plątała się z tyłu, aż oczy ją bolały od tego wypatrywania, tym bardziej że już zaczęła wracać do równowagi — podejrzenie i uraza rozpraszały się w niej, a miejsce ich zajmował wstyd.

Na Kijowskiej Iwan skręcił w lewo, podobnie jak to robiła młodzież spacerująca tu wieczorami, i skierował się na plac Katedralny. Tutaj znów go zatrzymał znajomy, ale Iwan zbył go jedynie ukłonem. Ruszył wzdłuż rynku mijając stragany z rybami — raz po raz nawoływali doń sprzedawcy, ale nie zważał na nich. Przy magistracie przystanął i uważnie przyjrzał się gmachowi. Po czym ruszył Zamkową i poszedł po bruku połyskującym modro w słońcu. Obskoczył go ze szczekaniem czarny i kudłaty pies. Iwan nachylił się i pogłaskał go po łbie. Pies zaskomlał radośnie i jął łasić się do Iwana. W Marii znów zbudziło się podejrzenie i przystanęła u wylotu ulicy. Jednakże Iwan nie skręcił na podwórze, z którego wybiegł pies, lecz poszedł ścieżką prowadzącą ze Zbocza Zamkowego. Ten sam pies zaszczekał również na Mariję, ale gdy przemówiła doń życzli-

wie, nie zaskomlał przyjaźnie i nie pomachał ogonem, lecz zaczął szczekać zajadle. Krzyknęła nań gniewnie, tupnąwszy nogą, i psa jakby wiatr zdmuchnął — gdzieś na podwórzu jął się zanosić obrażonym i jazgoczącym ujadaniem.

Iwan był już na dole. Pomiędzy głazami cicho ciurkała Kamianka; usiadł sobie na brzegu z zadumą wpatrując się w wodę. Marija musiała kryć się w gęstwinie zarośli i parokrotnie spiekła raka, bo przechodzili koło niej ludzie i spoglądali na nią zdziwieni — nie wypadało stać w tym miejscu bez zajęcia.

Jednakże Iwan usiadł, jak się zdawało, na tym głazie na dłużej, więc postanowiła iść górą i poszła nad Zboczem Zamkowym. W dół zeszła już za wzgórzem — Iwan szedł brzegiem rzeczki, wciąż tak samo zamyślony i obojętny na otoczenie. Poruszał się jednak trochę szybciej, głowę trzymał prosto i mimo woli zapatrzyła się w jego postać i piękny, żwawy chód. Zauważyła to również i ta dama w dorożce, z którą się wyminęli na Mołczanowskiej. Wysiadała właśnie z dorożki i też się zapatrzyła na tę smukłą i wysoką postać. Marii z tego powodu serce ścisnęło się boleśnie, ale w tejże chwili z podwórza dobiegł radosny krzyk dziecka i ścieżką ku bramce przydreptał prześliczny chłopczyk z gołą głową, w marynarskim ubranku. Kobieta wsunęła pieniądze dorożkarzowi i pobiegła naprzeciw tego blondynka. Złapała go na ręce, podrzuciła, a za chwilę zaczęła go namiętnie całować. Marija poczuła wówczas, jak gorycz ją chwyta za gardło, łzy napłynęły jej do oczu. Paląc się ze wstydu i obrzydzenia, dała spokój swojemu niemądremu śledzeniu i pobiegła do domu. Nie widziała już, że Iwan skręcił w ulicę Andrijowską, ruszył pod górę między szeregami rozsypanych po obu stronach parterowych domków — dziś pociągnęło go w to samo miejsce, w którym przeżył niedawno niewiarygodne uniesienie i szczęście, i gdzie ogarnął go taki podniosły nastrój.

Owego dnia przyniósł Marii mały bukiecik uzbieranych na stromiźnie goździków leśnych; przylgnęła do nich ustami. Ten drobiazg właśnie dodał jej sił, by znów zaufać mu bez zastrzeżeń, i choć był to niewybaczalny sentymentalizm, ukradkiem wyjęła kilka najpiękniejszych kwiatów i włożyła je między kartki zeszytu.

Jeden z tych kwiatów znajdzie po trzydziestu siedmiu latach, gdy już bardzo trudno będzie jej samej w pustym domu. Goździk ów zrobi się rudy, niemal brunatny, ale gdy Marija nań spojrzy, zobaczy czerwone płatki i poczuje słodko-gorzki zapach świeżego ziela. Przypomni sobie, że był to zapach opromienionych słońcem pagórków i ziela, co wprawdzie ginie co roku, ale co roku odżywa na nowo.

Kilka razy na tydzień zasiadał przy stole, który wystawiła na werandę; dookoła kwitły i pięły się powoje. Przed sobą miał dwie białe karty. Stawiał na nich wielkie i niezgrabne litery, chociaż w biurze pisał lekko i zamaszyście, tu powoli wypisywał słowo za słowem. Niekiedy odrywał się od pisania i długim spojrzeniem wodził dookoła po zaroślach. Widział dachy domów z sąsiedztwa, czworoboki wdeptanych w ziemię podwórek, kobiety przy letnich kuchniach, sady pełne owoców — wszystkie obejścia wyraźnie rozgraniczone były płotkami i parkanami; stąd, z góry, widział, jak któraś z gospodyń karmi kury, inna zaś miesza osypkę dla prosięcia; widział dzieci, co chodząc po okolicy siekły dla świń lebiodę, i dzieci bawiące się w kurzu na drodze. Psy wyiskiwały pchły pobrzękując łańcuchami albo biegały wraz z dziećmi po ulicach; w kłębek kuliły się senne koty. Świnie rozłożyły się na środku ulicy w ogromnej kałuży, a gdy przejeżdżał wóz, podnosiły się niechętnie i chrząkając z nieukontentowaniem wychodziły z wody. Cała ulica rozpościerała się tu przed jego oczyma; tam dalej rósł pagórek, za który co wieczór zachodziło słońce rozświetlając barwiście horyzont, ale na ten pagórek spoglądał Iwan wieczorem, gdy już z Mariją zasiadał przy ogrodowym stole. Gospodynie głośno nawoływały kury, kaczki i dziatwę, i kury pędem zbiegały się na ów zew, kaczki znad rzeki odpowiadały głośnym kwakaniem, po czym płynęły do brzegu. Widział chłopczyków wychodzących nad rzekę z sakami łowić rybi drobiazg i dziadków, co łatali sieci siedząc na swoich podwórkach. Widział bednarza, co strugał klepki na beczki i cebry, a później zbijał je i obciągał obręczą. Widział siedzących na stołkach z rzemienia szewców, którzy dźwięcznie walili młotkami w obcasy. Stolarz politurował gotową szafę przyśpiewując przy pracy, kilku cieśli i murarzy wznosiło dom w głębi ulicy, przekrzykiwali się donośnie, a niekiedy śmiali się z rzuconego przez kogoś dowcipu. Na łęgu opromienionym słońcem pasło się kilka spętanych koni, brykały wysuwając do przodu spętane nogi i odpędzały ogonami uprzykrzone muchy. Na górce z lewej strony pasło się kilka krów, między którymi siedział na trawie strugając kijaszek lnianowłosy podpasek.

Znowu schylał się nad białą kartą i znowu kładły się na papierze litery jedne po drugich i łączyły się w słowa, które później wiązały się w zdania. Marija wówczas starała się chodzić na paluszkach i nie trzaskać drzwiami: święta cisza zalegała w ich domostwie. Czasem na papier, na którym Iwan wywijał swoje esy-floresy, spadał chrząszczyk i pełzał między literami, jak

gdyby chciał odcyfrować owe fantazyjne i niepojęte zygzaki. Napawał się pomału szmerem płynących słów, rozprostowywał skrzydełka i wzlatywał w niebo pełne słońca i muszek, Iwan towarzyszył mu spojrzeniem i znów jak najpilniej przepatrywał leżącą na dłoni ulicę: ściany domów przejrzyściały przed nim — mógł zaglądać do izb, które bez ustanku sprzątały i czyściły niestrudzone dłonie kobiet. Widział też kilku krawców, którzy siedzieli wśród zwojów tkanin, by z tego bezładu stworzyć coś eleganckiego i pięknego; widział sklepiki i Żydów, którzy siedzieli przy kontuarach, ważyli i mierzyli towar — w środku sklepy te przypominały ule założone plastrami. Cała ta przestrzeń, owa dłoń szeroka, zapełniona była liniami, kwadratami, kołami, istotami ludzkimi, ruchem i krzątaniną — wszystko żyło i poruszało się, łączyło i krzyżowało. Dwie kobiety spotkały się przy studni i przystanęły — jedna z pełnymi, druga z pustymi wiadrami; dwie inne stały na progu sklepu; zgraja dzieciaków, wziąwszy się za ręce, zawzięcie wzbijała nożętami kurzawę; stolarz oderwał się od roboty i mył ręce, które polewał umorusany i bosonogi stolarczyk. Trójka dziewcząt zeszła się nad rzeką i szczebiotały o czymś zapamiętale nachylając ku sobie główki i odchylając je ze śmiechem. Na ten widok łagodne światło przepełniło Iwana — łagodnym blaskiem tlił się układając na papierze słowa i zdania, co płynęły zeń jak woda. Unosił się więc na modrych, spokojnych falach, słyszał koło siebie szelest powietrznych skrzydeł i szelest ów słyszała z nim Marija. Zdawało się, że blask, jaki zeń promieniał, napełniał też całą werandę i płynął przez otwarte drzwi — Marija trzymała je otwarte, by nie trzaskały; kobieta w głębi domu trudząca się przy garnkach czy szyciu, trzymająca szczotkę, czy wycierająca kurz ścierką — nagle jęła sobie zdawać sprawę, że sama również wznosi się i rozjaśnia, że całe to krzątanie w domu, wszystkie troski, jakie wzięła na siebie wyrzekając się czyjejkolwiek pomocy, stanowi cząstkę jakiegoś jednego, wielkiego i utajonego szczęścia.

8

Później, już po wielu latach, przypominała sobie ów czas jako coś należącego do nich obojga, z głębi starości spostrzegała wszystkie te cienie na niebieskiej drodze i myślała, że gdyby żyli sobie z Iwanem „tak jak wszyscy", to dzień powszedni zżarłby stopniowo ich miłość i przywiązanie wzajemne, jak pożera najświętsze uczucia u większości ludzi. Myślała, że okresy, gdy Iwana nachodziła owa „gorączka", były względnie niedługie, raptem po parę lat — często nawiedzało go to przed wielkimi wy-

darzeniami na świecie — po czym wygasał, jak gaśnie lampa, gdy z niej uchodzi nafta, z wolna, nieznacznie zmniejszając blask. Marija obserwowała to ze zdziwieniem i żałowała, że tak być musi. Po czym Iwan jak gdyby zapominał o swoim rozbłysku i dziwactwach, i stawał się codzienny i zwyczajny. Chodził do takiej pracy, jaka się trafiła, i troszczył się o gospodarstwo. W czasach zawieruchy dbał o rodzinę jak wszyscy dookoła: chodził na targ, wymieniał, kombinował i dorabiał, Marija z kolei złożyła egzamin nauczycielski i również miała zajęcie...

Głowiła się, jak mu o tym powiedzieć, bała się potrącić jakąś czułą strunę.

— Nie wiem, jak ci to rzec — mówiła pesząc się i rumieniąc — ale siedzenie w tych czterech ścianach jest już ponad moje siły.

Zwrócił wówczas na nią niezgłębione błękitne oczy i poczuła się jeszcze bardziej zakłopotana.

— Widzisz — rzekła tak stanowczo, jak umiała. — Czasy, gdy tylko mężczyzna troszczył się o rodzinę, są już za nami. Ja też to czuję, bo już mi nie starcza tych zajęć, co mam w domu. A ponadto... bierze mnie jakoś tęsknota za dzieciarnią...

Wciąż jeszcze milczał spoglądając na nią tym samym wzrokiem, od którego robiła się mała i jeszcze bardziej onieśmielona.

— Ma się rozumieć, o ile nie masz nic przeciwko temu — dodawała śpiesznie.

— A cóż mógłbym mieć przeciwko? — zapytał zwyczajnie.

— Tak jest przyjęte, żeby żona siedziała w domu...

— Nie mam pojęcia o tym, co jest „przyjęte" — powiedział może trochę zbyt szorstko i rzęsy zatrzepotały mu nerwowo.

Jak gdyby zapomniał i o tej rozmowie, i o tym, że przecież ona teraz wychodziła z domu, a było to w latach, gdy po raz pierwszy ogarnęła go gorączka. Nie obchodził go ani budżet rodzinny, ani to, co jadł, jak gdyby to, że człowiek musi zarabiać, odżywiać się i ubierać, było pożałowania godnym drobiazgiem. Później, kiedy przygasał, znów brał w nim górę instynkt opiekuna rodziny, stawał się przyziemny i nieskomplikowany jak większość mężów dookoła, ona zaś, nawykła już do dziwniejszego i bardziej niezwykłego życia, czasami miewała jakby żal do niego. Wówczas to zdarzały się pomiędzy nimi typowe sprzeczki małżeńskie, które obojgu sprawiały jednakową przykrość...

Marija Jakiwna wspominała o tym najbardziej w owym tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku, gdy przyszedł do niej w odwiedziny Chłopiec i swoimi rozpytywaniami poruszył drzemiący w niej od dawna ul wspomnień. Wszedł do jej zagrody tak niespodziewanie, że aż się wzdrygnęła. Właściwie to nie jego pojawienie się tak ją przestraszyło: stał przed nią męż-

czyzna wprawdzie niewysoki i krępy, ale mimo to niebywale przypominał jej Iwana z lat młodzieńczych, gdy byli jeszcze parą narzeczeńską. Zdawało się jej przez chwilę, że to fale czasu tak dziwnie się poplątały, miała chęć zerwać się z miejsca jak niegdyś, gdy Iwan do niej przychodził. Zakręciło się jej przy tym w głowie i poczuła się zgoła niewyraźnie.

— Daj no mi wody, kochany! — poprosiła.

Chłopiec skoczył do wiadra i wypiła kilka łyków.

— Widzisz, jestem już całkiem słaba — rzekła ledwie dosłyszalnie. — Sama już do niczego się nie nadaję. Dzięki twojej mamie, Oksanie i Neonile, że się mną opiekują... A co teraz mama?

— Pierze — roześmiał się Chłopiec. — Aż piana bryzga na całe podwórze!

— Ta Halusia jest taka energiczna — rzekła stara. — Taki los jej przypadł, że nie daj Boże. Od osiemnastego roku życia miała na swojej głowie dziecko i babkę, a to nie byle co. W czasie wojny też miała okazję małykać się goryczy. Twój pradziadek i ja pomagaliśmy im, ileśmy mogli, ale czyśmy mogli tak wiele? Bogu dzięki, były te kozy, a na ich mleku i tyś się wykarmił.

Uśmiechnęła się z lekka, naśladując bezwiednie uśmiech Iwana, i na myśl o tym uśmiechu i o tym, że trudno go nie wspomnieć patrząc na tego zucha, zrobiło się jej pogodnie i ciepło na sercu.

— Nie śpieszy ci się zbytnio? — spytała z obawą.

— Co znowu, Marijo Jakiwno! — roześmiał się Chłopiec. — Na razie jestem wolny ptaszek!

Siedzieli już na ławce przy ogrodowym stole i przed nimi mieniło się niebo o zachodzie.

— Spójrz no — rzekła Marija Jakiwna. — Co wieczór siedzę tak i patrzę. Twój pradziadek też lubił podziwiać tę grę kolorów. Wiesz, że się nigdy nie powtarzają, to wprost zdumiewające!

Umilkła na chwilę wpatrując się w niebo wieczorne, spokojny uśmiech igrał na jej ustach i Chłopiec mimo woli wzruszył się spoglądając na tę całkiem siwą kobietę — oko jego dostrzegło wielką urodę w tej starości.

— Pradziadek twój był bardzo życzliwy dla ludzi — cicho rzekła stara patrząc przed siebie skupionym wzrokiem. — Czuł sercem, gdy kogoś spotkało jakieś nieszczęście. Czasem sami nie mieliśmy nic, a on mnie posyłał, bym zaniosła mleka jakiemuś choremu dziecku. Sam wstydził się swoich dobrych uczynków — miękko uśmiechnęła się Marija Jakiwna — bo na oko był skryty i pochmurny, więc wtedy ja mu się przydawałam.

Świtało zaledwie, gdy się obudził, i leżał czas jakiś wsłuchując się w nieogarnioną ciszę poranną. Zapiał gdzieś kogut, okno było jeszcze osnute niebieskawą mgłą, za szybą zastygła w bezruchu gałąź obficie obwieszona jabłkami. Patrzył na tę gałąź, a w sennej jeszcze głowie myśli były ociężałe i jakby rozproszone; Iwan zmrużył oczy — potrafił przeniknąć wzrokiem nawet przez ścianę. Ujrzał dachy wilgotne od rosy, ulicę, rzekę, modro drzemiącą w swoim korycie, ujrzał do cna wyblakły sierp miesiąca na niebie i kilka dogasających gwiazd. Leżał czas jakiś, miarkując, jak z wolna rozjaśnia się w izbie: napływało doń czyste, drżące światło i wypełniało stopniowo całe otoczenie, jakie mógł dojrzeć unosząc się na łokciu. Obok spokojnie spała Marija i twarz jej we śnie była piękna. Światło zalało tę twarz, fałdy pościeli, meble, ściany i zdjęcia rodzinne. Zapatrzył się na jedno z nich — była to fotografia wuja. Uśmiechał się ze ściany i może z powodu owej poświaty, a może wywołał to nastrój Iwana, dość, że twarz owa nagle przed nim ożyła. Kędzierzawy i szerokolicy wujek patrzył na niego z lekkim zmrużeniem oczu i albo kpił sobie zeń dobrodusznie, albo dodawał mu odwagi.

Iwan wstał starając się nie zaskrzypieć i ubrał się powolutku. Światła wciąż przybywało. Poszedł na bosaka stąpając lekko na palcach i Marii, co obudziła się właśnie, zdało się, że mąż jej płynie w niebieskawych falach brzasku. Nie zdradziła się żadnym znakiem, że nie śpi, ale śledziła w milczeniu, jak ukradkiem zmierza ku drzwiom. Położył dłoń na klamce i nacisnął ją ostrożnie. Klamka zgrzytnęła, drzwi cicho, ale wyraźnie zaskrzypiały. Obrócił się prędko w jej stronę i musiała przymknąć oczy, by się nie zaniepokoił, że ją zbudził.

Wyszedł na palcach do sieni pozostawiając drzwi otwarte. Zerwała się z łóżka i ruszyła za nim. Iwan schodził po zroszonych schodkach ganku, bezszelestnie przemierzył podwórze i wszedł do ogrodu skąpanego w migotliwym porannym mżeniu. Rosa gęsto pokryła liście i owoce wielkimi lśniącymi kroplami, co drżały leciutko przeniknięte ze wszech stron blaskiem.

Stał na bosaka w sadzie w rozchełstanej koszuli i zmoczonych rosą spodniach, uniósł głowę i wielkie łzy stoczyły mu się z oczu. Wielka wszechogarniająca harmonia porywała go, rozpłomieniając go coraz mocniej, kołysząc, uciszając i łagodząc. Zdawało się, że wnika sam w siebie i jeno skrawkiem mózgu pojmował i przeczuwał, że światło to jest szczególne, a radość ogniopłynna. Wiedział, że było to uczucie podobne do tego, które już kiedyś w nim zapłonęło, a on zapragnął wówczas wypić owo światło

aż do dna. Marija również zdała sobie sprawę, że powraca to, o czym już prawie zapomniała; najpierw przeraziła się nieco, bowiem zdążyła już wejść w wieloletni cykl zwyczajniejszego życia, w którym pozostawała jeno troska o kawałek chleba i o dobre książki, które czytali wspólnie spokojnymi wieczorami. Wszystkie te lata, co przeszły, mieli wypełnione takimi właśnie troskami, jako że dla otaczającego ich świata on był jedynie księgowym, ona zaś — nauczycielką. Wojna i rewolucja, głód i niedostatek, lęk przed utratą tego kawałka chleba — to dotknęło ich również, ale nie pogrążyło w odmęcie.

Stojąc tak w ciemnej sieni i patrząc na dziwnie odmienionego i podnieconego męża, Marija pomyślała, że los, który przypadł im w udziale, był zgoła niezwyczajny. Sama była niczym woda, która potrzebuje utrwalonej formy, by uzyskać własną, ale czyż taką formą mógł stać się dla niej ów kochany, szczęsny szaleniec? Wiedziała, że znów wszystkie troski o ich utrzymanie spoczną na jej barkach: po jakimś czasie przyzwyczai się do tego i znów będzie zadowolona. Chyba znów umrze dla nich dzień powszedni, co na swój sposób odrodzi ich oboje. Patrzyła smętnie na ogród skąpany w słońcu i już wiedziała niezbicie, że od dziś Iwan nie pójdzie do pracy, lecz znów zacznie wysiadywać na kamieniach i patrzeć w wodę. Przyniesie jej w nagrodę na poły zwiędły bukiecik, ona zaś znowu spróbuje znaleźć w nim kilka najładniejszych kwiatków, by je zachować.

Smętek owiewał ją w tej mrocznej sieni, choć drugą połowę jej istoty już przenikało światło płynące z ogrodu i od jej męża. Dwa łady walczyły w niej — tamten powszedni, zwyczajowy, który kazał ciału i duchowi zmierzać utartą drogą, i ten, co odrywał ją od świata i zamykał w oddzielnym kokonie. Dlatego właśnie martwiła się i cieszyła zarazem, była jednocześnie słaba i zachwycona, a że nie sposób było tak łatwo zrównoważyć te dwa pierwiastki, nie mogła się powstrzymać i zapłakała.

10

Zresztą tym razem Iwan płonął w szczególny sposób: spędzał czas jakiś przy stole na werandzie, po czym jak gdyby przygasał i obojętniał. Brał saczek, przywiązywał do pasa torbę i szedł włóczyć się nad rzekę. Zaczynał łowić od jaru, w pobliżu osiedla na Zarzeczu, i z wolna podążał pod górę. Zostawił sak pod kępą ziela, a że uprzednio obciążał go ołowianymi ciężarkami, więc nie musiał go trzymać. Ostrożnie szedł z nurtem, obchodząc go po piasku, a wówczas plaskał zajadle nogami obutymi w kalosze i kijem, burząc wodę, aż mętniała. Wyciągał sak: srebrzyś-

cie miotały się w nim piskorze, niczym małe żmijki pełzały pijawki, wiły się ślizie i połyskliwie migotały brzuchate, niemal okrągłe różanki. Troskliwie wybierał do torby piskorze, pijawki i różanki wypuszczał na wolność, po czym brnął pod prąd, wysoki i chudy, z posiwiałą już głową, wciąż piękny. Zagłębiał i znów unosił saczek, z którego dźwięcznie ściekała do rzeki woda, sak pachniał mułem i zielskiem wodnym: stopniowo sam nasiąkał tym zapachem — wiatr dął mu prosto w twarz, mierzwiąc kędzierzawą czuprynę, i dwaj mężczyźni przechodzący brzegiem o tej porze mimo woli zwrócili twarze w jego stronę.

— Dzisz go; musi co z panów — rzekł jeden, posępny, a drugi uśmiechnął się błyskając zębami.

— Ale patrz, radzi sobie!

— Przyszedł na psa mróz, to sobie radzi — mruknął pierwszy, pochmurny, i poszedł brzegiem dalej, depcąc ciężkimi bociorami nadrzeczne chabazie.

— Popatrz, jaki chudy! — dogonił pierwszego ten raźny. — Skóra na nim i kości!

— Za to gęba szlachecka! — wycedził przez zęby pochmurny i raźny za jego plecami rozchichotał się beztrosko.

— Kupa śmiechu z ciebie, Andriju!

— Nie ze mnie, ale z niego! — mruknął ze złością pochmurny i raźny nagle przestał się śmiać, obejrzał się i znów zobaczył wysoką, smukłą postać z rozwianymi poza ramiona włosami, z wolna sunącą po wodzie. Uśmiech znikł nagle z jego niefrasobliwych ust: wydało mu się, że ten wysoki idzie nie po wodzie, ale ponad nią.

Iwan słyszał tę rozmowę, lecz przeszła mu mimo uszu, jak przepływa woda pod nogami; piasek przenikał mu w kalosze, ale wypłukiwał się z nich równie łatwo jak wpadał, jedynie pojedyncze ziarenka uwierały go w stopy. Wówczas przystawał i wybierał te ziarenka — twarz miał zastygłą, a oczy jaśniały mu pogodą. Słońce załamywało w tych oczach promyki, przez co zdawały się jeszcze jaśniejsze: w siatkówce odbijał się cały świat naokoło — okryte zielenią pagórki i domki, ptak lecący na niebie, chmury i modrość hojnie ogrzana letnim słońcem. Gdzieś w oddali pełną kurzu drogą jechał wóz ciągnąc za sobą długi biały tren — ów wóz z trenem kurzu też się odzwierciedlił w Iwanowych źrenicach, podobnie woźnica, maciupki stąd jak guzik, machający batem krótkim niczym pałeczka dyrygenta. Iwan stanął na środku rzeki i na chwilę wsłuchał się w ten wielogłosowy koncert otaczającego go świata, którym dyrygował ów woźnica-zabaweczka. Spokojnie i beztrosko tremolowały ptaki w zaroślach, w wysokich i niskich rejestrach ciurkała wo-

da, po której cięły smyczki promieni słonecznych, gdzieś w pobliżu darła się kaczka i wtórował jej ochrypły głos kaczora. Od najbliższego domu dobiegł niebywale ciepły, stłumiony śpiew kobiecy: rwała tam wiśnie z drzewa młódka, jeszcze dziewczyna. Wrzucała je do brzozowej łubianki, czasem kładąc do ust najdojrzalszą, i wiśnia ta niknąc w jej ustach błyskała rubinowo, czyniąc rubinowymi również usta młódki.

Po czym Iwan spoglądał znów na czystą połyskującą wodę i na oko wybierał jak najgęstszą kępkę, by umieścić pod nią saczek. Łowił akurat tyle, by wystarczyło dla dwojga, nazajutrz przyjdzie tu znowu, a gdy się rozpada, przesiedzi cały dzień na werandzie — będzie wypisywać swoje krzywe zawijasy i patrzeć na wielką dłoń ulicy czytając jej linie niczym chiromanta. Dostrzegał na niej cztery główne linie: najważniejsza to była linia życia, po niej linie zdrowia i mądrości, wreszcie linia szczęścia... Świerszcz zamieszka u niego na werandzie, będzie mu wyśpiewywać w dzień i w nocy, nocą na jego poświrk odzywać się będą z sadu ropuchy i trajkotać jednogłośnie na podaną nutę. Iwan będzie tkwić jak cień na werandzie i wpatrywać się w ciemność, widzieć, jak łączą się w jedno w tej pomroce mężowie z żonami, słyszeć stękanie położnic i krzyk niemowląt. Widzieć będzie radosny i zmęczony uśmiech matki i słyszeć uspokajające mruczenie ojca. A zarazem zajadłe kłótnie małżonków i zgodne gruchanie zakochanych w ukrytych zakątkach. Wpatrywać się będzie w szeroko rozwarte oczy konającej kobiety i mężczyzny, któremu nagle zapachniała ziemia. Przyjrzy się wesołym tańcom na jakimś dziedzińcu i przysłucha gwarowi podpitych kumotrów. Spojrzenie jego przeniknie może i w głąb ziemi, gdzie gubią się warstwy dawnego ludzkiego istnienia, nakładają się, powiększając ziemię. Zobaczy nagie szkielety niegdysiejszych ludzi i rozproszone kości ich bydełka. Rozpozna szczątki ich mienia: okruchy naczyń, sprzętów domowych, broni i strzępy na wpół zetlałych strojów. Posłyszy z tej ziemi głębokie i przeciągłe westchnienia — tak będzie przemawiać doń życie, które się wypaliło i ustąpiło miejsca temu, co dziś rzuca się w oczy. Leży dziś ono przed nim jak dłoń olbrzyma, toteż będzie się jej przypatrywał ze spokojem. Będzie zrównoważony, dobrotliwy i wyrozumiały. Na ustach jego snuć się będzie łagodny uśmiech, oczy zaś będą się smęcić, jak smęci się księżyc odbity w kroplach rosy.

Wszystko to napełni mu duszę, aż się znuży. Jego uśmiech i smętek przygasną; pochyli głowę, której tego wieczoru przybędzie jeszcze kilka siwych włosów. Stąpając bezgłośnie, wejdzie do kuchni. Tutaj naleje wody do miednicy i długo będzie ob-

mywać sobie nogi. W izbie czekać go będzie żona leżąca z otwartymi oczyma, która już trochę zaczęła się bać swego osamotnienia. Podejdzie do niej, ucałuje ją w chłodne usta, ogrzeje je i sam się przy nich ogrzeje.

11

Owego wieczoru odległego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku Marija sama również będzie się sobie dziwić, że tak się rozgadała przy Chłopcu siedzącym naprzeciw niej, co zdawał się nie słuchać, ale chłonąć jej słowa. Kto wie, może tym sposobem duch jej przebywał kilometr po kilometrze niebieską drogę — czas miniony i zapomniany; a zatem było konieczne, by Chłopiec odwiedził ich dom, gdy ona już będzie u schyłku ziemskiego istnienia; stanie się dla niej jak gdyby drogim cieniem, dziwnie przypominającym Iwana. Zaprosiła go i nie żałowała, bo był to naprawdę wdzięczny słuchacz. I dziwnie pokręciło się w głowie starej nauczycielce, zdawało się jej, że kiedyś, dawno, narodził się im obojgu syn, pucułowaty i kędzierzawy, i że właśnie w domu tego syna przyszedł na świat ów Chłopiec, a może przysłała go do niej jej tęsknota. Choć Marija była już bardzo wiekowa, nie gubiła ani kruszyny z tego, co utrwaliła ongiś jej pamięć — chciałaby tym sposobem opłakać tego dalekiego, co odfrunął, a może bodaj wyprawić stypę po nim.

— O wojnie powinienem pamiętać więcej — rzekł Chłopiec. — A tymczasem nie mam zielonego pojęcia, jakeśmy wtedy żyli.

Rozłożył ręce i roześmiał się.

— Wszyscyśmy dostali po skórze — rzekła cicho stara nauczycielka. — Najlepiej mieli rzemieślnicy, bo zawsze trzeba nosić buty i ubranie, potrzebne są beczki do kiszenia ogórków i jeszcze coś tam. Szkoły były pozamykane i czyż mogłam pójść do tej szkoły? Twoja mama starała się nie pokazywać na ulicach. Pomagał nam wtedy twój pradziadek i Ołeksandra Panasiwna...

Popatrzyła w dół, sobie pod nogi, i znów ujrzała tam skrawek niebieskiej drogi, którą szła sama i którą podążali inni. Ujrzała Ołeksandrę Panasiwnę krojącą skórę na buty. Hala uzbroiła się w rozpylacz i wydmuchiwała farbę z buteleczki na rozłożony arkusz papieru, na którym porozkładane były szablony: łabędzie i drzewa. Owe łabędzie miały pływać po jeziorze obsypanym drobnymi modrymi kropelkami. Hala patrzyła na to arcydzieło i śmiała się.

— Patrzcie, patrzcie, jaka to śmiertelna obraza gustu!

Na te słowa obracała się ku niej sucha i surowa twarz Ołeksandry Panasiwny.

— Za to chleb będzie ci nieźle smakował!

Hala więc zastygała z ropylaczem w ustach i spoglądała na Ołeksandrę Panasiwnę zupełnie poważniejąc. W oczach jej lśnił i wypływał z nich skrzący się kryształek, i taka wówczas ta Hala była bezradna i zasmucona, że Ołeksandra Panasiwna odrzucała szewski gnyp i podchodziła do niej:

— No co, popłaczemy sobie, jagódko?

Siadały objąwszy się na kanapie i kołysząc się popłakiwały cicho. I od tego kołysał się cały świat i dom cały, a dzieci Ołeksandry Panasiwny widząc takie dziwowisko nieruchomiały na progu czy w środku izby i gapiły się szeroko otwartymi oczyma. I podobnie nieruchomiała ona, Marija, z dzbankiem mleka przyniesionym dla dziatwy.

— No co z wami, co, głupiątka? — ofukiwała je również pochlipując i podchodząc do nich.

— Oj, dajże nam się wypłakać, Marijo Jakiwno, daj nam się wybeczeć raz na miesiąc!

Dzieci wymykały się z domu jedno po drugim, bo ten płacz był już dla nich zbyt zabawny i niezrozumiały. Marija Jakiwna natomiast przyłączała się do kobiet, stawała przy nich i płakała. Wszystkie miały nad czym płakać, bo w tym momencie gromadził się wszystek ich ból i gorycz. Ołeksandra Panasiwna widziała Mykołę przedzierającego się w owym czasie przez bagna i chaszcze, Hala widziała swojego Chłopca i babcię, a Marija Jakiwna współczuła im i całemu światu.

Iwan tymczasem rozegnał kozy po wzgórzu i łowił saczkiem ryby. Ryby kiepsko brały i on też uniósł głowę wpatrując się z bliska w niebo.

— Całe to życie, co mija, synku — rzekła Marija Jakiwna — to są oddzielne scenki i obrazki, twarze i epizody. Tyleśmy ich pogubili po drodze! Ale jest jedno, Chłopcze — popatrzyła na niebo wieczorne gorejące nad horyzontem — to nasza obecność w tym wszystkim. Nasza obecność to jest właśnie ta droga, którą tak często widuję w ostatnich czasach.

12

I znów ujrzała niebieską drogę, którą podążał wysoki, siwy człowiek (było to wtedy, gdy Chłopiec już wyszedł, ona zaś leżała bezsennie, osamotniona); dookoła kłębiły się, pęczniały i obracały się w powolnym rytmie wielkie przejrzyste kule, wypromieniowujące z siebie niebieskawe światło, które drżało i rozlewa-

ło się dokoła. Może właśnie od tych promieni tak modrzała droga; Marija ujrzała tam siebie, młodą i wesołą; chyba była to tamta chwilą, gdy z równie młodym i wesołym Iwanem pozostawili na skraju lasu woźnicę z szerokim, okolonym brodą obliczem, a sami weszli do lasu. Zaszumiały wówczas nad ich głowami choiny i zaśpiewały ptaki, szła przytrzymując rąbek sukni i spoglądała raz po raz na niego, takiego dziarskiego i urodziwego. Rozśmieszał ją opowiadając różne niestworzone bajki, a Marija przystawała i śmiała się tak, aż się zwijała. Łzy cisnęły się jej do oczu, a gdy zwracała twarz do słońca, rozświecało w jasnych kryształkach malusieńkie tęcze. Sami nie wiedzieli, po co poszli do tego lasu, gdzie było tak przyjemnie iść po zielonej trawie utkanej czarnymi szyszkami. Kiedy las zgęstniał, poszli po grubej warstwie miękkiego igliwia. Słońce słało im pod nogi dziwaczne linie świateł i cieni i nagle zapomnieli o woźnicy, który ich oczekiwał na skraju lasu, i o tym, że mogą zabłądzić. Pnie zasłaniały wszystko dookoła; niekiedy trafiali na gęste zarośla paproci i wziąwszy się za ręce brodzili przez te paprocie jak przez zieloną wodę pozostawiając za sobą wygnieciony ślad. Nad nimi zakrakał parokrotnie kruk i gdzieś w pobliżu dzięcioł opukiwał korę. Iwan raptem spoważniał i ucichł. Wyszli na wąski dukt leśny, niemal zarośnięty trawą, z ledwie widocznymi w tej trawie koleinami. Ziemia była tu na wskroś poprzeplatana korzeniami i wozy jeżdżące tędy zapewne łomotały o te korzenie niczym po bruku. Marija też nagle umilkła, poczuła bowiem, że Iwan powie jej coś nadzwyczaj ważnego. Uśmiech jeszcze drżał na jej wargach, taki nieśmiały i podniecony; Iwan objął ją za ramiona i poszli jak po wodzie tym duktem, nasłuchując spokojnego śpiewu ptaków i miarowego bicia własnych serc. W prześwicie widać było niebo zapełnione leniwymi, wolno sunącymi barankami, było tak modro, aż w oczach ćmiło; drogę przeleciał im wielki, czarno-żółty ptak: zdawało się, że obudził on Iwana, który zatrzymał ukochaną i ucałował ją wolno i uroczyście. Pod wpływem tego pocałunku Marija poczuła, że urosło w niej serce, że cała jest jak gdyby przeniknięta błękitnym wiatrem i że chce dalej podążać tą drogą razem z Iwanem. Szli przytuleni do siebie, jak gdyby w lesie było im za ciasno lub jakby cały świat mieścił się w ich dążeniu, by zostać jedną istotą, z jednym ciałem i duchem, a później kukułka, która nagle ozwała się w lesie, miarowo i cierpliwie jęła odliczać im lata pożycia.

Wyszli na polankę i kukułka przestała liczyć.

— Liczyłeś? — spytała cicho Marija.

— Nie! — odparł. — A ty?

— Ja też nie! — rzekła Marija i nagle cichutko jęknęła z zachwytu.

Cała polana obsypana była kwiatami; promieniały w słońcu i mieniły się, kołysały i migotały. Trawa była tak soczysta, że zdawało się, iż lada chwila wytryśnie szmaragdem, co się rozleje zatapiając ziemię. Było tak, jak gdyby w tym miejscu zeszły się wszystkie kwiaty z całego lasu na niebywały kwietny wiec i jakby to, że Iwan i Marija trafili tutaj, nie było przypadkiem. Dziewczyna raptem przytuliła się do Iwana, a jego dłonie ogarnęły ją ciaśniej. Stali tak dysząc, jak gdyby chłonęli w płuca miód rozpuszczony w powietrzu, po czym dobiegło ich stłumione, zgodne, miarowe brzęczenie — tysiące pszczół zleciały się tutaj, by wypić z kwiatów nektar. Dlatego tak brzmiał cały przestwór, rozkołysany mnóstwem lekkich, przejrzystych skrzydełek. Oddychali miodem i pili go, bo sami też nagle poczuli się w świecie niczym dwie pszczoły — mieli zebrać tu swój własny miód i zanieść go z powrotem do domu. Zbędne tu były wszelkie słowa, jednakże wypowiedział je pochylając się nad nią i ledwie dotykając spieczonymi ustami jej ucha:

— Marijo — powiedział — uródź mi pięciu synów...

13

Pozostawiła na tej polanie swoje panieństwo i kilka łez, co padły na trawę. Na tym miejscu wyrośnie później dzika grusza. Iwan znalazł ją, gdy zaczął przychodzić tutaj na grzyby. Było to już w dwadzieścia lat później i nawet wówczas nie od razu zeszedł z polany, lecz długo stał w miejscu...

Odtrąciła go, sukienkę miała pogniecioną i była niezwykle blada. Stało się to tak gwałtownie, bez uprzedniego namysłu i przyzwolenia, po prostu ogarnął ich pijany wicher i potracili głowy na tej polanie. Gdy zaś oprzytomnieli, było już po wszystkim, a dotkliwy ból, jakiego doznała, przestraszył ją nie na żarty i zmusił do odepchnięcia go. Wówczas padło tych kilka łez i pomyślała, że popełnili tu jakiś błąd, że wszystko miało się odbyć nie tak banalnie i prozaicznie, że przecież nie miała rumienić się przed nim ze wstydu. Umilkł zgiełk pszczół tysiącgłosy i gdy rzuciła okiem na tę polanę, nie była już dla niej taka nietknięta i piękna, jak gdyby pszczoły powygniatały kwiaty, podobnie jak on ją pogniótł przed chwilą. Kazała mu odejść, by się doprowadzić do ładu, on zaś posłusznie odszedł między drzewa. Malał i malał, a wtedy zlękła się, że naprawdę zostawi ją w tym ciemnym lesie.

— Iwa-a! — zawołała. — Iwa-a!

Zawrócił. Siedziała na trawie i patrzyła nań szeroko rozwartymi oczyma. Szedł do niej pomału, ale pewnym krokiem. Pod-

parła się na ziemi rękoma i czekała, aż nadejdzie. Szedł i szedł, ona zaś skuliła się w kłębek, mała i nieszczęśliwa, oczy jej rozbiegały się prędko i w popłochu, a on ukląkł przy niej i ogarnął dłońmi jej przelęknioną i cudną twarz. Popatrzyła mu w oczy i weszła w głąb tej hojnej niebieskiej dobroci, jaka z nich promieniała. Nie mogła oderwać się od tych oczu, choć była jeszcze zawstydzona i skrępowana. Zadrżały jej ręce, którymi opierała się o ziemię; znów zajrzała w te niebieskie oczy i nie była w stanie powstrzymać gwałtownego dreszczu, jaki przeniknął jej ciało. Zamknęła oczy i skurczyła się, niemal umierając, zapragnęła się napić światła z jego oczu, lękała się jednak, że lada moment tryśnie jej z gardła czerwona struga — ciało jej przebiegł i ujarzmił na zawsze gorący, spazmatyczny płomień.

Wracali na skraj lasu, gdzie pozostawili woźnicę, wśród lekkiego, przejrzystego zmierzchu. Poczuli nagle, że poznali jakąś wielką tajemnicę człowieczego bytu, więc objęli się ramionami i szli dalej drogą skąpaną w fioletach wieczoru — wydawało się, że iść tak będą zawsze.

14

Po raz trzeci nawiedziło Iwana jego dziwne światło w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym. Byli wówczas w odwiedzinach u Nadii, siostry Marii, i gdy siostry gwarzyły ze sobą, Iwan w milczeniu przechadzał się po rozległym, rozkwieconym ogrodzie. Przy obiedzie wypili po kieliszku dobrego, starego domowego wina, Iwan podszedł do półek z książkami należącymi do szwagra, który począł cicho i z przejęciem opowiadać mu o tych książkach. Pokazał mu *Calendarium* Filanskiego i zarecytował z niego kilka melancholijnych, ale urzekająco pięknych wersów. Po czym wyjął tomik Baudelaire'a i dał mu posłuchać kilku wierszy w brzmieniu francuskim. Jął opowiadać o parnasistach i o ich wpływie na rosyjskich symbolistów, a głos jego szemrał lirycznie nad ramieniem Iwana. Siostry rozmawiały w kątku pomiędzy oknami, do izby już napływał zmierzch i sylwetki kobiet szepczących ze sobą osnute były delikatną mgiełką, jedynie oczy ich pobłyskiwały. Szwagier Marii wydostał z półki *Melodyj i marzeń cierniowy wieniec mój* Paczowskiego, a później przeczytał wiersz Sławińskiego, przewertowawszy dawną antologię. Zmierzch gęstniał coraz bardziej; Nadija wstała i potarła zapałkę, by rozpalić knot w lampie. Światło wymodelowało żółto jej profil i rzuciło na nią rozchwiane cienie, twarz Marii więc, ujrzana w tym momencie, uderzyła go niespodziewaną młodością. Światło odebrało jej wszystkie zmarszczki, przyćmiło siwiz-

nę, nadając włosom odcień ciemnopopielaty, oczy jej zajaśniały młodzieńczo — roześmiała się cicho z jakiegoś siostrzanego żartu. Szwagier Marii niecierpliwie dotknął ramienia Iwana i pokazał mu cienki tomik Swidzińskiego.

— To już nowszy poeta — rzekł i przeczytał kilka wierszy, od których jeszcze bardziej pojaśniało w sercu Iwana. Wziął tomik do ręki i począł wertować nachylając się nad lampą.

Marija również spojrzała wówczas na męża; twarz jego rysowała się wyraziście, oczy z niebieskich zrobiły się całkiem czarne. Pochylony nad stołem, przerzucał stroniczki, na oczy spadał mu kosmyk siwych już włosów i odgarniał je nieco nerwowo. Koło niego w podnieceniu dreptał z kolejnym tomikiem w ręku krągły i niemal łysy małżonek siostry — oczy płonęły mu młodzieńczo. Nadija wyszeptała siostrze coś typowo kobiecego, na czym Marija z trudem skupiła uwagę — jęły mówić o konfiturach, cieście i szydełkowaniu. Twarze kobiet stały się piękne i tajemnicze, a na ich ustach raz po raz zakwitały lekkie i zagadkowe uśmiechy. Iwan zwrócił tomik gospodarzowi, który podmuchał nań i zaniósł go w obu dłoniach na półkę. Przy półce przeczytał Iwanowi kilka japońskich haiku w rosyjskich przekładach, po czym wziął do ręki tomik Rabindranatha Tagore *Ogrodnik*. „Szalony wędrowiec szukał kamienia probierczego. Rozkudłany włos ognisty okryty miał kurzem, ciało wyschło jak cień, zaciśnięte wargi były jak zawarte wrota serca, a oczy jarzyły się niby robaczki świętojańskie..."*

W tym momencie Marija wstała ze swojego krzesełka w kącie i jej wielki rozwichrzony cień padł na ścianę.

— Będziemy się żegnać — powiedziała. — Mamy daleko do domu...

Nie wiedziała wówczas, że słowa te nabiorą głębszego znaczenia: siostra jej umrze niezadługo, a mąż jej zaginie — była to również para bezdzietna. Wyszli w gęsty mrok, Marija pocałowała się z Nadiją, a mężczyźni serdecznie uścisnęli sobie dłonie.

— Odwiedzajcie nas — rzekł szwagier. — Nie pokazałem wam jeszcze wszystkiego...

Powędrowali zaułkiem, po czym wyszli na ulicę, gdzie świeciły latarnie. Gdzieniegdzie wymijały ich wozy i auta, z rzadka mijali ich przechodnie. Marija była zmęczona, umysł zaś Iwana był nastrojony błogo i harmonijnie. Był w stanie niezmąconej, nieomal biernej radości — wszystko go cieszyło i podobało mu się; i ta na wpół pusta ulica, i latarnie oświecające drogę jak gdyby specjalnie dla nich dwojga. Szedł tak długo, z przyjem-

* Wg przekładu Julii Dicksteinówny, *Ogrodnik*, W-wa 1921.

nością wdychając lekkie i rześkie powietrze, aż dotarli do Czudnowskiej. Zdarzyło się to właśnie tu, w dolinie nad rzeką.

Trwało to raptem kilka sekund, lecz w ciągu nich doświadczył więcej niż w ciągu miesięcy, a nawet lat: wielkie światło przeniknęło mu do serca i to już na całe życie.

Marija odgadła bezbłędnie jego stan, tym razem już nie bała się o niego, bo cząstka tego światła i w nią przeniknęła, ponadto była pod wrażeniem owego wieczoru pełnego modrych cieni i tajemniczego szeptu. Cichy i jasny spokój poczuli oboje idąc pod rękę, przytuliła się jeszcze do niego i aż przymrużyła oczy:

„Co jest — pomyślała — to niechaj będzie, a co nadejdzie, to już jakoś przeżyjemy!"

15

Rankiem wstał, na śniadanie zjadł chleba z mlekiem, pocałował żonę i wyszedł z domu, jak zwykle wychodził do pracy. Na miejsce pracy wszakże przyszedł tylko po to, by się rozliczyć. Wychodząc z gmachu, w którym przepracował osiem lat, nie obejrzał się nawet za siebie. Szedł wolno, równym krokiem, i twarz miał tak niezwykłą, że oglądano się za nim.

Ulica doprowadziła go do Rynku Siennego, skąd dobiegało kwiczenie świń i rżenie koni, ryczały krowy i przejmująco beczały kozy. Świnie leżały na wozach, a znudzeni wieśniacy w milczeniu czekali na kupców. Konie chrupały owies z worków przywieszonych u pysków i spoglądały na świat spokojnie i obojętnie. Jakiś mężczyzna oceniał krowę, zaglądał jej w zęby, podnosił ogon i macał wymię. Zdawało się, że pełza po niej jak wąż — bydlątko raz po raz ryczało niespokojnie.

Iwan zatrzymał się koło dorodnej babiny, co z przymkniętymi oczyma siedziała na składanym stołku i trzymała w ręku postronki od trzech kóz. Te wyciągnęły do Iwana spiczaste brodate pyski. Jedną z nich podrapał pod brodą, druga zabeczała rozwierając pysk, co wybuchł czerwienią, a ślepia jej zrobiły się niczym guziki. Dziwny smutek wyczuł Iwan w tym pobekiwaniu i wypatrzył go w zaszklonych ślepiach.

Babina rozwarła oczy, całkiem podobne do oczu jej kóz.

— W jakiej są cenie? — zapytał Iwan.

Baba spojrzała nań nieufnie, ale po chwili z ust jej popłynął strumień wymowy. Jęła mu opowiadać o swojej gorzkiej doli, kiwając przy tym głową, o tym, że starość nie radość i że sił już nie ma. Z drżeniem w głosie opowiedziała o wszystkich trzech kozach: jedna z nich to Walentyna Iwaniwna, druga Switłana Iwaniwna, a trzecia Ludmyła Iwaniwna, bo wszystkie trzy to

siostry rodzone; i o tym, że cały dzień i noc przepłakała, nim się zmusiła, by wyprowadzić na targ te ślicznotki. „Ślicznotki" wtykały pyski do ręki Iwana, beczały, jak gdyby same jedna przez drugą opowiadały o swoim losie. Stara tymczasem oznajmiła Iwanowi, że są to spokojne i oswojone kózki, a mleka dają tyle, że sama nie wie, jak sobie z nim dać radę. Śmietany z niego się nie uzbiera, rzekła stara, bo to stworzenie delikatne i — jak pan widzi — rasowe, za to jaki smak ma owo mleko! Mleko, ser i zsiadłe wspaniałe, ser nie gorszy od krowiego, a może i lepszy, z dumą rzekła babina, a jak jej nie wierzy, to mu poda swój adres, mieszka niedaleko stąd, na Trypolskiej, gdzie ma dom, sad i ogródek. Sad i ogródek jeszcze sobie uprawia, ale chodzić z kozami już nie ma siły.

Znowu przymknęła oczy, po to, by ukryć łzy. Pociekły jej z jednego i z drugiego oka i w jednej chwili zrosiły całe szerokie i dobroduszne oblicze. Iwan nie targując się wsadził starej do rąk pieniądze, a ta złapała się ze zdumienia za kolana.

— To pan i targować się nie chce?

Spojrzała mu w twarz i zetknęła się z modrymi, nad podziw dobrymi oczyma. Patrzyła czas jakiś i ogarnęło ją osłupienie. On tymczasem zdjął pęta z jej kóz i położył pod nogami starej.

— Dziękuję, babciu — rzekł przyjaźnie, odwrócił się i poszedł. Kozy podyrdały za nim posłusznie niczym psiaki.

Starą zatkało. Zresztą opamiętała się wkrótce, śpiesznie podniosła do oczu zaciśnięte w dłoni pieniądze i jęła liczyć je prędko przekładając z ręki do ręki. Było ich tyle akurat, ile zażądała, choć była gotowa opuścić nieco z ceny. Uniosła głowę, by przynajmniej spojrzeniem odprowadzić tego niebywałego klienta, ale nigdzie go już nie dostrzegła. Zdumiała się jeszcze bardziej i przeżegnała.

Później opowie sąsiadkom i znajomym nieprawdopodobną i cudowną legendę, a że była nabożna i gorliwie uczęszczała do cerkwi, była w tej legendzie mowa o świętych i o nieczystym, i o tym, że nie rozeznała się jak należy, czy święty kupił od niej kozy, czy nieczysty.

— Jak by tam nie było — podsumowywała stara swoim niedowierzającym i zaintrygowanym słuchaczom — ale mnie cieszy że mu parszywych kóz nie sprzedałam. Były to kózki cudo — popłakiwała — złoto, nie kózki, takie czyste miały duszyczki, że mi aż serce się o nie ściska!

— Tak to wzięłam na rozum — rzekła innym razem. — Takiego to, Nadieżdo Filimoniwno, nie oszwabisz! Jego i oszwabić nie było można, bo jeszcze jakiegoś licha naśle na moją głowę nieszczęsną, tfu-tfu, byle nie wspominać przed nocą...

Szedł ulicą, a kozy posłusznie i zgodnie biegły jego śladem; gdy przeczekiwał samochód albo wóz, wszystkie trzy stawały obok niego: Walentyna Iwaniwna beczała, wtórowała jej Switłana Iwaniwna, Ludmyła Iwaniwna zaś patrzyła na świat z dostojeństwem. Iwan szedł spokojnym, miarowym krokiem i zdawało się, że nic wokół siebie nie dostrzega.

Tak wyszedł na Kijowską i gdy przechodził obok instytucji, w której przepracował osiem lat, z okien jej wychylili się wszyscy jej pracownicy. Pożałowali go zgodnym chórem i mieli o czym mówić do wieczora, po czym doszli do wniosku, że ich zawsze sumienny kolega po fachu dostał bzika, nieborak. Jednomyślnie współczuli Marii, a księgowa Fania Isakiwna opowiedziała dość smętną historię o kuzynce, której przytrafiło się coś podobnego: cóż to była za udręka dla całej rodziny! Pod koniec zajęć służbowych zgodnie zapomnieli o poszkodowanym koledze i tylko młodziutkiej maszynistce Rai przyśnił się w nocy: szedł brzegiem rzeki wysoki, wyprostowany, ze składanym stołkiem, a za nim statecznie i godnie kroczyły kozy. I zdało się wówczas we śnie owej młodziutkiej maszynistce, że zadurzyła się w tym dziwnym człowieku i że z tego powodu trawi ją ogień nieugaszony. Rankiem zdziwiła się nie do wiary, że przyśnił jej się taki bzdurny sen, nie opowiedziała go też nikomu i dopiero o wiele później, po siedmiu latach, gdy przyjdzie z mężem i dzieckiem nad rzekę, uderzy ją ten sam widok, który jej się niegdyś przyśnił: zobaczy idącego brzegiem wysokiego, siwego i bardzo nobliwego starca, za którym kroczyć będą stateczne i rade z siebie kozy. Powie coś wesołego o tym starcu do swego męża, aż ten się rozchichocze, a w jej sercu coś jęknie, jak gdyby oberwała się cieniutka struna.

To wszystko nie dotrze do wiadomości Iwana. Przejdzie mimo okien instytucji, w której dane mu było przepracować osiem lat, i nie zauważy ani gmachu, ani ciekawskich kolegów w oknach. Wyjdzie na plac Katedralny i zejdzie w dół ulicą Czudnowską. Na górze, przed zejściem, zatrzyma się raz jeszcze, staną przy nim kozy i zobaczą jeden z najpiękniejszych widoków, jakie może zaofiarować natura. Ujrzą dalekie wzgórki i skały, porośnięte leszczyną i brzostem, i pola, a na nich gęstwę złotego zboża. Wiatr będzie kołysać kłosy i zda się Iwanowi, że te pagórki oddychają głęboko. Będą się wzdymać ich piersi spowite modrą cienką gazą — śpią one niczym te olbrzymy. Iwan poczuje wówczas niebywały zachwyt, co zawsze ogarnia wędrowca, gdy po raz pierwszy wstąpi na swój szlak i rozpostrze się przed nim droga nie na jeden miesiąc. Zrozumie wtedy, że to, czego szukał, udało mu się znaleźć, i że pięciu synów, o których marzył, mieć będzie rzeczywiście, chociaż będzie to tylko pięć brulionów, z których

dwa zostały już zapisane. Zastąpią mu one to, czego nie osiągnął, i to oznacza dlań szczęście najwyższe.

Wtedy owładnął nim nastrój owego poranka — świeżej rosy, co skropiła trawy i oświetlona została promieniami słońca. Cały przestwór ukazał mu się napełniony słońcem, modrym niebem, mnóstwem śmigłego ptactwa, chrząszczy, motyli, muszek. Ziemia pełna była korzenisk, dżdżownic, kretów, mrówek i kowalików. Poczuł soczysty aromat siana i błogie łamanie w krzyżu, jak gdyby rzeczywiście cały dzień machał kosą. Poczuł też zapach miodu z białych i żółtych rozsypisk kaszki, pszczoły brykać jęły wokół niego tysiącami skrzydełek i zdało mu się, że powrócił na polanę, na której został mężem. Słońce grało na liściach i płatkach uroczystą kantatę, przy której dźwiękach ruszył naprzód swoją drogą, a za nim statecznie i spokojnie, kiwając łbami, podyrdały trzy jego wierne towarzyszki.

ROZDZIAŁ PIĄTY

ZAPACH SIERPNIOWEGO SŁOŃCA

Upał! Cykad zgiełk
Płomieniem wzbija się do chmur,
Odrętwiałych chmur.
Saren, XVIII w.

1

Dziedziniec szkoły był zatarasowany wyciągniętymi z klas ławkami i stołami. Ołeksandra Panasiwna pobiegła w głąb ulicy i szła teraz w towarzystwie kilku młodych kobiet niosących sagany z białą glinką i szczotki. Najstarszy z jej synów dźwigał znad rzeki pełne wiadra, średni siedział na dziedzińcu i na kawałku szyny prostował gwoździe. Marija Jakiwna uwijała się ze ścierką i wycierała z kurzu ławki, stróż Stepan naprawiał te ławki, głośno waląc młotkiem w łebki gwoździ. Z góry schodziła Hala w stareńkiej szarej sukienczynie i białej chusteczce, i Włodzimierz, zajęty mieszaniem farby, nim jeszcze zaczął malować, mimo woli zapatrzył się na nią. Nie było w niej obecnie owej urody, która go tak uderzyła, gdy się wspinał na wgórze, ale twarz miała taką krągłą i ładną w tym swoim zdziwieniu, że znów poczuł, jak mu bije serce. Towarzyszył jej goły do pasa Chłopiec, trzymając w ręku stare wiadro; starsza córka Ołeksandry Panasiwny zarumieniła się na jego widok i chcąc ukryć emocje schyliła się i zaczęła zawiązywać sznurki drewniaka. Średnia córka goniła się z najmłodszą skacząc z ławki na ławkę, aż wreszcie stróż Stepan na nie nakrzyczał.

Ołeksandra Panasiwna w otoczeniu młódek podeszła do bramki równocześnie z Halą. Przystanęły na chwilę: głosy ich zabrzmiały donośnie. Chłopiec zostawił je i poszedł z wiadrem nad rzekę, wszedł po kolana do wody i przysłuchał się, jak woda pluszcze mu wokół łydek. Wzniósł oczy w górę i ujrzał modrzejące niebo sierpniowe z wielkimi cumulusami. Poczuł mdły zapach zielska i wody: w oddali, po lewej stronie, ujrzał wysoki zielony pagór, gdzie na składanym stołku siedział sobie pasterz kóz

Iwan Szewczuk, a dookoła wałęsały się białe, aż olśniewające z tej odległości kozy.

Chłopiec wygramolił się z wody z pełnym wiadrem i niechcący zetknął się oczyma ze starszą córką Ołeksandry Panasiwny. Przywitali się, po czym chłopiec schwycił drugie wiadro, by napełnić je dla niej.

Zagadnęła go dźwięcznym głosikiem, on zaś pomyślał, że świergotliwy nurt rzeki i jej głos to prawie to samo. Nabrał wody, a gdy podawał jej wiadro, ręce ich się skrzyżowały. Dopiero teraz zrozumiał, co mówiła do niego: że o mało co nie zgubiła tej szklanej kuli, którą jej ofiarował, a właściwie to chciała ją sobie przywłaszczyć najmłodsza siostra, znalazła ją jednak i odebrała. Słońce tak jasno oświetlało jej twarz, że wydała się Chłopcu prawie biała, i oczy miała dziwnie przejrzyste — dwa małe, szare i niezwykle jasne źródełka.

Przez ten czas Włodzimierz pociągnął ławkę warstwą farby; kobiety pootwierały okna w klasach i głosy ich rozbrzmiewały donośnie w pustych pomieszczeniach, gdy tak rozrabiały w garnkach ton. Rządziła tu Ołeksandra Panasiwna, która wyłaniała się to w jednym, to w drugim oknie. Raz jeden wyjrzała przez okno również krągła buzia Hali i niespodziewanie zetknęła się ze spojrzeniem Włodzimierza. Wydawało się, że przebiegła pomiędzy nimi zielona iskra, co spięła ich i zjednoczyła, płosząc zarazem oboje — Hala ukryła się w mgnieniu oka, Włodzimierz zaś nachlapał na ławkę tyle farby, że pociekła w dół cienkimi brązowymi strużkami.

Stróż Stepan pokazał mu odłamaną poręcz ławki i zaczęli się zastanawiać, jakby tu ją najlepiej umocować. Tymczasem kobiety zaszurały w klasach stołami, przesuwając je z miejsca na miejsce, by łatwiej było bielić. Na jeden ze stołków w mig wskoczyła Ołeksandra Panasiwna i z miejsca zamachała szczotką głośno opowiadając jakąś historyjkę. Włodzimierz z satysfakcją wciągnął woń farby i począł skrupulatnie rozprowadzać ją pędzlem. Chłopiec z najstarszą córką Ołeksandry Panasiwny znów naniósł wody. Marija Jakiwna wzięła jedno z wiader i zaczęła płukać w nim poczerniałą od kurzu ścierkę. Stróż Stepan przywołał synów Ołeksandry Panasiwny: jeden przytrzymywał deskę, a drugi podstawiał w miejscu, w które miał trafić gwóźdź, ciężki młotek. Stróż walił w łebek i deska podskakiwała w rękach chłopaka.

Marija Jakiwna po gospodarsku obchodziła ławki i wycierała je starannie, później obetrze jeszcze tablice i biurka; tymczasem po pustych klasach znów zadudniły głośne rozmowy i cztery szczotki zgodnie zaczęły sunąć po ścianach. Sufity bieliła Ołek-

sandra Panasiwna jako najwyższa. W klasach zapachniało wilgotną gliną i Chłopiec wciągając tę woń poczuł uroczystą atmosferę, jaka panuje przy bieleniu chaty.

W zarośniętym kącie zapamiętale ćwierkały świerszcze, słońce szczodrze oświetlało dziedziniec i ludzi na nim i wszyscy oni w tym oświetleniu wydali się Chłopcu przezroczyści. Później przypominać będzie sobie ów dzień siedząc na werandzie Marii Jakiwny w tym samym wiklinowym fotelu, na którym lubił siadywać stary Iwan — Chłopiec będzie wówczas dorosłym mężczyzną z fajką w zębach. Jedno z pyknięć, jakie wypuści z tej fajki, nagle rozświeci mu ten odległy obraz, przywracając nieporównane odczucie sierpniowego słońca, jak zawsze świadczącego o pełni, a zarazem o końcu lata.

Tymczasem po niebie płynęły chmury niczym ogromne okręty i stary pasterz kóz, śledząc ze swego pagórka powolny i nieprzerwany ciąg owych chmur, ujrzał niebo bez reszty zapełnione olbrzymimi ptakami, tak ogromnymi, że nie były w stanie w czas ulecieć. Leżały zastygłe na modrym polu nieba i tylko przyglądając się pilnie można było dostrzec ów jednostajny ruch. Cicha radość poczęła napełniać serce starego — przypomniało mu to wszystkie trzy przeżyte rozbłyski. Tym razem w pole jego widzenia trafiało więcej żółtości, czuł zapach butwiejącego zielska, strudzonej ziemi i pierwszych liści jesiennych — a to dzisiejsze jego rozświetlenie i owa radość były niczym sierpniowe słońce ze swoim zapachem. Lekki i melancholijny uśmiech wykwitł mu na ustach i z tym uśmiechem przesiedział chyba zbyt długo, zapominając o pilnowaniu kóz. Dlatego może nie dostrzegł owej krzątaniny na dziedzińcu szkoły, nie zobaczył żony troskliwie wycierającej kurze, nie usłyszał dźwięcznych głosów kobiecych w pustych klasach — wszystko to nie istniało owego dnia poza nim. Poczuł tego dnia, że słońce, chociaż upalne, ma w sobie już symptomy rozkładu i że okryte jest lekką srebrną siateczką, jaką wokół niego oplotły niestrudzone pająki. Ujrzał osamotnioną białą czapkę dmuchawca, co kwitł po raz drugi i ponownie zrodził swój legion spadochroników. Powiał nań ciepły i łagodny wietrzyk, zerwał i uniósł z tej czapki z dziesiątek nasionek, które nagle spęczniały w powietrzu, rozrosły się i przemieniły w pierze dla białych ptaków, które dojrzał był Iwan na niebie. Jesień cicho zstępowała na ziemię w złocistych trzewiczkach i z palcem na ustach. Stary całkiem wyraźnie dostrzegł ową postać, wstał więc, złożył stołek i ruszył do domu. Kozy zdumiały się tym niespodziewanym postępkiem swego zwierzchnika, ale przestały skubać trawę i z wolna podreptały za nim.

Marija Jakiwna, zoczywszy ów orszak z dziedzińca szkoły, zmuszona była podejść do Włodzimierza i poprosić, by zwolnił ją do domu. Włodzimierz zwrócił na nią oczy rozjaśnione słonecznym blaskiem i oczywiście pozwolił, jako że tu znakomicie dadzą sobie radę bez niej. Marija Jakiwna opuszczała dziedziniec z żalem i niepokojem, wywołanym faktem, że mąż jej zeszedł z górki za wcześnie. Pośpieszyła więc do zagrody, by stanąć przy furtce, a gdy już tam dotarła i oczekiwała męża, z okien szkoły nagle dobiegł ją pełen zapału śpiew z czworga kobiecych piersi. Może to dlatego najstarsza córka Ołeksandry Panasiwny energicznie obwiązała czoło chusteczką i wstąpiła w progi szkoły, stróż Stepan zaś przystanął z młotkiem w ręku i aż usta otworzył mrugając niedowidzącymi oczyma.

Kilka ławek już lśniło farbą, słońce przeglądało się w połyskujących blatach i stary pasterz kóz widząc te jasnobrązowe plamy pomyślał, że to również znamienny sygnał jesieni. Włodzimierz za to podziwiał dzieło swoich rąk i gdy doń podszedł Chłopiec i wprosił się na czeladnika, chętnie przystał na to — we dwóch wzięli się do pracy, z zapałem wodząc pędzlami po spękanych, pociętych i pochlapanych atramentem deskach.

Hala wyjrzała przez okno i spostrzegła tę niespodziewaną sielankę, sama zaś była od stóp do głów poznaczona białymi kropkami i Włodzimierz, widząc ją taką pocętkowaną, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Uśmiech był szczery i szeroki, Hala nie miała na niego w pogotowiu stosownej odpowiedzi, bo na jej twarz bezwiednie spłynął podobny uśmiech, i te dwa bliźniacze uśmiechy stanowiły przedziwnie zgodną całość. Chłopiec zdążył usmarować sobie policzek farbą (a stał plecami do okna) i Włodzimierz powiedział coś wesołego o tym usmarowanym policzku. Roześmiali się obaj równocześnie i na ten właśnie śmiech wyjrzała podobnie zachlapana bielidłem najstarsza córka Ołeksandry Panasiwny.

Stróż Stepan siedział na ławce i odpoczywał, w brodzie dymiła mu „kozia nóżka" i mdło żarzył się ognik. Począł opowiadać długą i niezbyt składnie zbudowaną gadkę — jego niski głos miarowo rozchodził się po dziedzińcu. Zarazem pykał sobie z koziej nóżki: raz po raz wykwitał mu nad głową modry obłoczek dymu. Średni syn Ołeksandry Panasiwny wstał od swojej szyny, na której prostował gwoździe, i otrzepał kolana z rdzawego pyłu. Bez pośpiechu poszedł do ustępu, obmacując w kieszeni niedbale ciśnięty przez Stepana niedopałek, w ustępie zapalił go sobie i z lubością zaciągnął się mocnym dymem. Najstarszy poszedł za nim i po bratersku wypalili znaleziony skarb.

Tymczasem stary Iwan przechodził brzegiem ze swoimi kozami; głowa jego, podobnie jak sierść kóz, jaśniała bielą macicy perłowej i na tę macicę perłową melancholijnie spoglądała ze swojej zagrody Marija Jakiwna.

Włodzimierz poczuł przemożną chęć wstąpienia do wnętrza, gdzie trudziły się kobiety — tak nastroiło go sierpniowe słońce i te uśmiechy pozamieniane z Halą. Wreszcie wrzucił pędzel do farby i otarł liściem łopianu usmarowane dłonie. Z okien dobiegała spokojna i rzewna pieśń, ruszył więc ku tej pieśni jak frunie ćma do światła. Cztery postacie kobiece zajadle machały szczotkami, dziewczynka rozpuszczała w naczyniu farbkę do bielizny; pachniało gliną, ściany były wilgotne i z zaciekami, podłoga do szczętu pokryta już podsychającymi i mokrymi plamkami; zatrzymał się na progu klasy i nagle poczuł, że na sercu zacisnęło mu się żelazne imadło i że już całkiem nie należy do siebie, lecz raczej do tych oczu, co nań wyjrzały z pocętkowanej gliną twarzy.

— No, jak tam robota? — zawołał, dziarsko szczerząc zęby i usiłując stłumić zdradliwe drżenie w palcach.

Pieśń ucichła i w odpowiedzi rozebrzmiały wesołe głosy — któraś z nich zażartowała i wszystkie roześmiały się głośnym chórem. Włodzimierz znów wciągnął w siebie cudowną woń gliny i miał ochotę po kawalersku zsunąć czapkę na tył głowy i niefrasobliwie pozalecać się do wszystkich tych wesołych kobietek.

2

Nad kasztanem na dziedzińcu trzepotało kilka bielinków i Chłopiec, malując ławki, kątem oka śledził ich igraszki. Migały na tle błękitu i wypisywały w locie esy-floresy. Najstarsza wyszła ze szkoły i przystanęła, by popatrzeć, jak Chłopiec maluje.

— Słuchaj! — rzekła i pociągnęła noskiem zachlapanym farbą. — Daj mi trochę pomalować.

Gdy oddał jej pędzel, zaczęła z zapałem rozprowadzać farbę. Za pędzel pozostawiony przez Włodzimierza wziął się najstarszy syn Ołeksandry Panasiwny, średni tymczasem przemknął się do sadu stróża Stepana. Stepan zapamiętale wbijał sążnisty gwóźdź tkwiący w ławce, zaś jego żona nachyliła się poprzez parkan do sąsiadki i z nie mniejszym zapałem mełła z tą sąsiadką językiem. Średni spokojnie wdrapał się na jabłoń i jął upychać sobie za koszulę wielkie żółte charłamówki.

Włodzimierz wyszedł ze szkoły i roześmiał się widząc, jak dzieci trudzą się przy malowaniu. Najmłodsza siedziała na ziemi i pocierała o kamień strąconym kasztankiem. Kasztanek z wolna przeobrażał się w brązową kosmatą piłeczkę, ręce zaś brunatniały od soku przemieszanego z ziemią.

Iwan mozolnie piął się pod górę, za nim dreptały kozy. Marija Jakiwna stała przy furtce, widziała niezwykle bladą twarz mężowską i mimochodem przypomniało się jej coś dawnego, drogiego, ale i bolesnego. Westchnęła głęboko, motyle zaś, co do niedawna igrały pod kasztanem, zatańczyły jej nad głową.

Stary pasterz kóz ujrzał te motyle, modre niebo nad drzewami, grubą i leciwą kobietę stojącą przy furtce, i nagle jej nie poznał. Chwilę zdawało mu się, że tam, przy furtce stać miała inna kobieta, młoda i smukła, z wielkimi ciemnymi oczyma i miękkim uśmiechem na ustach. Ta, co stała naprawdę, miała taki sam uśmiech i takie same oczy, podobnie to samo było podwórze, w które wejść zamierzał.

Przystanął spłoszony nieco, potarł czoło, potrząsnął głową, a kozy jego tymczasem zgodnie wkraczały we wrota. Znikły białe motyle, jaśniało tylko to samo niewiarygodnie modre niebo, co znów uderzyło go swą nieskalanie czystą barwą; z trudem jął się zastanawiać, dlaczego tak wcześnie wrócił do domu. Poznawał już tę kobietę u wrótni i uchwycił niespokojne błyski w jej oczach Szukał wytłumaczenia, bo godzina, która minęła od chwili, gdy wyruszył do domu, stała się niczym głęboka przepaść, w którą po raz pierwszy zapadła jego świadomość. Obejrzał się nawet za siebie, w stronę, gdzie mogła być ta przepaść — ale dokoła była znajoma i codzienna przestrzeń, skąpana w słońcu.

Ciężka mroczna fala pochłonęła go na mgnienie oka i zachwiał się, ogarnięty jakimś niepojętym płomieniem. Ujrzał przy sobie Mariję, która podtrzymywała go za łokieć i mówiła czy pytała o coś. Słyszał niebywale łagodne intonacje jej głosu, ale nie chwytał treści. Wówczas pojawił mu się na ustach uśmiech znaleziony dzisiaj na tym przesiąkniętym jesienią pagórku, leciutki i melancholijny.

— Niedobrze ci? — zapytała podtrzymując go Marija.

— Ależ nie — uśmiechnął się z udaną beztroską. — Miałem ochotę trochę popisać...

Średni syn Ołeksandry Panasiwny nabrał pełne zanadrze jabłek i zeskoczył na trawę. Stepanycha obróciła się w jego stronę, ale nie zobaczyła zbereźnika, bo przywołała ją rozmówczyni, by dokończyć zaczętą przed paroma godzinami opowieść. Chłopak spokojnie przeszedł ogrodem i wrócił na dziedziniec. Poczęstował jabłkami wszystkie dzieci, jakie były na dziedzińcu, i do-

rosłych, nie wyłączając samego Stepana. Po czym usiadł na świeżo naprawionej przezeń ławce i z satysfakcją wbił w jabłko mocne białe zęby. Wówczas wyjrzała już całkiem ubielona gliną Hala: wszyscy na dworze siedzieli i jedli pochrupując.

— Dobre jabłka — rzekł Stepan przymierzając się do wbicia nowego gwoździa. — Gdzieżeś ty je znalazł?

Chłopak spokojnie popatrzył na stróża i ugryzł jabłko tak, że krople przejrzystego soku siknęły na wszystkie strony.

3

Szczodry był tegoroczny sierpień, powietrze tak się zagęściło i zrobiło się takie ciężkie, że gdy przelatywała pszczoła czy bąk, trzęsło się jak błękitny kisiel. Sady uginały się pod obfitością owoców, aż gospodarze musieli stawiać pod konarami podpórki. Srebrne kłębiaste chmury sunęły po niebie od dziesiątej z rana, bo uprzednio niebo było jasne, kryształowe i migotliwe. Zdawało się, że chmury zjawiają się później, po to, by podkreślić jego niezwykłą, nieco wyblakłą modrość i obsiewać ziemię srebrną poświatą. W tej poświacie twarze ludzi stawały się lepsze i serdeczniejsze, i zyskiwały tyle światła, że nawet krótkowzroczni zaczynali je dostrzegać. Wiatru prawie nie było, jednakże zefirek ledwie muskający listowie niósł ze sobą pierwszą zapowiedź jesieni i chłodów. Możliwe, że dlatego tak wydzierały się świerszcze w trawie, nie przerywając swego zajęcia niczym żeńcy przez całuteńką dobę. Dalekie, łyse, niedawno złote pagórki pociemniały, jako że już zwieziono z nich zboże i ścierniska przybrały żółtoziemistą barwę. Tu i ówdzie na obrosłych piołunem stromiznach snuły się, opadały i wzbijały, wirowały i tańczyły motyle — pagórki mieniły się od nich i były jak gdyby pokryte roztańczonymi kwiatami. Rzeka zastygła w swoim łożysku, połyskiwała chłodno i obco: jej kusząca wilgoć już nie pociągała amatorów kąpieli. Gdzieniegdzie tylko widać było ożywione postacie błąkające się po wodzie z siatkami, brzegi świeciły już pustką, a w zaroślach na tamtym brzegu rzeki płonęło już kilka jasnożółtych, fosforyzujących w owym słońcu liści.

Włodzimierz patrzył na te liście siedząc przy otwartym oknie i cicha muzyka, nieco smętna, za to przedziwnie uroczysta, przenikała mu serce. Takie zdawało mu się dziwne w tej chwili, że przecież tak niedawno pękały tutaj pociski i serie z broni maszynowej siekły powietrze. Dziwiło go też lekkie swędzenie w nodze — świat przed nim był taki świetlisty i tak pięknie urządzony! Kusiło go, by przymknąć powieki i przenieść się w jakieś inne regiony: ów spokój i cisza drażniły go i niepokoiły. Za jego

plecami drzemała pusta szkoła, ściany już były pobielone, wyszorowano podłogi, ustawiono ławki, w pustych klasach pachniało przyjemnie jeszcze nie obeschłą do końca farbą i wapnem. Miło było przychodzić tu co dzień i wdychać ten zapach: niebawem do tych czystych, drzemliwych i tak pachnących izb wtargnie rozhukana, wesoła dzieciarnia.

Na razie zaś on pławi się w tym nastroju, tym bardziej że równocześnie żyje w nim jeszcze inne uczucie, które usiłuje stłumić, jednakże wciąż go nawiedza — spojrzenie jego nieustannie biegnie tam, pod górę, gdzie był tylko raz i gdzie tak szczególnie poczęstowano go wodą.

Myślał o tym siedząc przy oknie i spoglądając na owe pagórki z pierwszymi żółtymi liśćmi. Niewidzialna siła wypędzała go z domu i piął się na to kamieniste wzgórze. Leciutko dymił tutaj piołun, tańczyły białe motyle, było ich takie mnóstwo, że mimo woli zaczynał je liczyć. Tracił rachubę i dawał spokój; oczy jego biegły ku rzeźwiącej modrej bystrzynie, w której odbijało się niebo, a z mieniącej się powierzchni strzelały promienie. Muzyka, co nawiedzała go wcześniej w domu, dawała znać o sobie i tutaj: posłyszał ją po raz pierwszy, gdy stwierdził swoją przedziwną zależność od tego domu na wzgórzu — może melodię podpowiedziało mu radio poranne, a może zrodziła się samorzutnie. Tak, to chyba częściowo wyjaśniało jego stan — ów nastrój sierpniowego słońca. Oszołomiony był tym niezwykle mocnym uczuciem, co się w nim zbudziło i współtworzyło jego muzykę. Zdawało mu się, że woda, której zakosztował na wzgórzu, również rozbrzmiewała mnóstwem przedziwnych i niezbyt uładzonych tonów; czuł za to niewymowne szczęście z powodu jego istnienia, a zarazem smutek, że to, o czym marzy, mimo wszystko jest takie odległe. Na pozór wszystko zdawało się proste: na wzgórze wiodła ścieżka, którą przecież wejść może, byleby na nią wstąpić i zacząć się wspinać — nie wiadomo czemu bowiem żywił przeświadczenie, że go stamtąd nie przepędzą. Jednakże siedział tu nadal na piołunowym wzgórku i liczył motyle, co migały i migały, sfruwały i siadały na zielsku, tańcząc wielki sierpniowy taniec.

Nocą przyśniło mu się, że ma tam na wzgórzu własny pokoik, całkowicie obudowany książkami, do których żywił szczególną pasję jeszcze przed wojną, te zaś zostały bardzo umiejętnie dobrane do jego gustu — całe wieczory spędza w owym pokoju z zapałem kartkując jedną po drugiej. Był to ciąg dalszy innego widzenia, jakie miał jeszcze w szpitalu polowym. Przywidziały mu się wtedy trzy ściany gęsto upchane skórzanymi grzbietami opraw pobłyskujących pozłotą i ściany te raptem

uformowały przed nim korytarz, którym wyruszył, mozolnie napierając na szczudła.

Sen ów nawiedził go w jeden z najjaśniejszych poranków, jakie mogą się zdarzyć na ziemi. Obudziwszy się, ujrzał zalaną światłem izbę i wydało mu się, że od tego światła rozszerzyła się i rozświeciła. Gdzieś w pobliżu szeleściły liście, brzęczały wiadra przy pompie, a także głośno rozmawiały dwie kobiety. Zorientował się nagle, jaką prześliczną i prawidłową wymowę miały te kobiety, jak dźwięcznie modulowały głosy. Leżał z szeroko otwartymi oczyma i wtedy znów zagrała ta powolna, ale wciąż niezwykła muzyka. Snuła się z głębi jego jestestwa — śpiewały tam słoneczne skrzypce, tkliwe i czułe, szeleściło i łopotało listowie, słoneczne palce uderzały w nie jak w klawisze. Spozierały nań wielkie znajome, nieskończenie wabiące oczy; tam, gdzie pluszcze strumyczek, ozwał się fortepian, a gdzie polanę obsiadły pszczoły, cicho zaśpiewały wiolonczele. Słuchał tej muzyki i zdawało mu się, że to tylko zbieg okoliczności, że gra ją owo czarne chrypliwe radio — przecież takiej muzyki nie zdoła ułożyć żaden człowiek, jedynie cała wielka i różnorodna przyroda. Niczym woda przenika jego ciało, izba zaś, w której leży obecnie z szeroko otwartymi oczyma, jest jedynie biwakiem w jego długiej wędrówce ku wyspie prawdziwego spokoju.

Wstał, usiłując nie burzyć tak delikatnej i kruchej materii swojego dzisiejszego nastroju, i podszedł do okna. Najstarsza córka Ołeksandry Panasiwny rozdmuchiwała żar w letniej kuchni, stuliła usta w trąbkę i dmuchała zajadle. Płomyk wybiegł, jak się zdawało, z jej ust i jął tańczyć po chruście. Dziewczynka wstała ocierając piąstką załzawione oczy. Włodzimierz zauważył, jakie to dziecko jest przezroczyste i chudziutkie. Zdawało mu się, że oderwie się od ziemi i uleci jak ptak w modrzejące powietrze. Dym równo sączył się z paleniska do nieba, Włodzimierz rzucił okiem na ulicę i stwierdził, że takich dymów nad okolicą wzbija się około dwudziestu — słupy te niczym Herkulesowe podpierały niebo — wsączały się tam u góry w nieprawdopodobnie białe cumulusy.

Najstarsza dziewczynka oparła o swoje wątłe biodra miednicę z bielizną i zeszła rośną ścieżką do rzeki. Pobłyskiwały bose i mokre jej nogi, jasne włosy rozsypały się i mieniły na ramionach, a gdy schyliła się nad wodą i rozpostarła z prądem białe prześcieradło, pojął, że muzyka zniewoliła go do ostatka, że ogarnia całą okolicę, gra ją bowiem dla niego cały ów bezmierny świat skąpany w słońcu. Pokuśtykał czym prędzej do drzwi, odemknął zasuwkę i stanął na progu mrużąc oczy od słońca.

Tam, na wzgórzu, w słonecznym oparze, mieniła się skała, opodal tonął dom, już do połowy ukryty w zieleni. Jarzyła się prowadząca ze wzgórza ścieżka, którą szedł półnagi chłopak zamaszyście wymachując rękoma.

4

Chłopca poderwało owego ranka to samo słońce, które zbudziło Włodzimierza. Wstał i stąpając na paluszkach, by nie obudzić mamy i prababki, wyszedł na ganek. Łagodne światło ogrzało ziemię, rozlewając się naokoło zwiewną koronką, cieniutko utkaną z promieni słonecznych. Stał, rozglądał się i rozpamiętywał sen, który jeszcze nie uciekł mu spod powiek: śniło mu się, że ruszył w daleką włóczęgę przywdziewając czarny strój pielgrzyma i biorąc w garść laskę równie jak on sam wysoką. Chłopiec ujrzał owego ranka jasnomodrą drogę, która słała się mostem z ich górki na górę naprzeciw, przecinała ogród Warwary i ciągnęła się jeszcze dalej, aż do lasu. Aż mu dech zaparło, taką miał ochotę wejść na ten modry szlak i ruszyć nim nie oglądając się za siebie.

Zeszedł z ganku i przy furtce się obejrzał. Dom spał jeszcze, z przymkniętymi na sennych oknach okiennicami. Spały tam setki książek, które zdążył już przeczytać, i jeszcze inne setki, które przeczyta o wiele później. Chłopiec nie żałował tych nie przeczytanych książek — wiedział, że nie wyczyta w nich recepty na swoje poszukiwania. Odgadnie ją dopiero na owej jasnomodrej drodze, która ściele się przed nim, skąpana w śrežodze porannej. Ona to wzywała go przemożnym głosem, on zaś, mały i bezradny wobec jej wielkości, poczuł, że pot go oblewa. Myśl porzucenia owego domu zrodziła się w nim nie po raz pierwszy. Przeczuwał niejednokrotnie, że przyjdzie czas, gdy będzie musiał odejść w świat szeroki. Kto wie, dokąd go poniesie i czy kiedyś powróci? Po prostu pójdzie, a reszta i tak się wyjaśni.

Wyruszył ścieżką wilgną od rosy porannej i biegł, aż wreszcie przystanął zdyszany na skałce. Przed nim rozciągała się głęboka i rozległa dolina i wpatrywał się w nią chciwie i z utęsknieniem. Na jej skraju modrzał grzebień lasu, a nad nim drzemała spokojnie biała chmurka. Ulica prowadząca do szkoły spowita była srebrzystą mgiełką, z której się wyłaniały białe i równe słupy dymu. Najbliższy wyrósł przy szkole, oddalała się od niego chudziutka postać z miednicą opartą na biodrze. Rozpoznał ją natychmiast i poczuł ciepło w sercu. Droga przed jego oczyma zakołysała się, pomału rozwiewając się i rzednąc. Po-

czuł żal, że ginie ona tak nagle, lecz był to żal niewielki. Tam, w dolinie, jasne dziewczę płukało białe, aż świecące płótniska. Chłopiec westchnął i ruszył ścieżką w dół. Spod nóg posypały mu się kamyki i toczyły z góry. Szedł, a ciepło w jego sercu potęgowało się i rosło. Było kosmate i łagodne, i nim dotarł do tej przedziwnie chudej praczki, stało się jak owa biała chmurka nad modrym grzebieniem lasu.

— Dzień dobry! — rzekł Chłopiec klękając na piasku.

— Dzień dobry! — cienkim głosikiem odparła Neoniła i opromieniła go przyjaznym uśmiechem.

Chłopiec zanurzył obie dłonie w piasku, zacisnął je mocno i wyciągając przed siebie pięści, jął z wolna wypuszczać z nich lotny pył.

5

Iwan otworzył zeszyt, ale nie zabierał się do pisania. Patrzył w dół, gdzie roztaczała się zagroda i leżała nieruchoma dłoń ulicy, po której snuły się kobiety i dzieci. Mężczyzn było zgoła niewielu, i to sami starcy. Nie przy każdym domu stała też kobieta — wchłaniało je na cały dzień miasto ze swoimi fabrykami i zakładami pracy. Puste domostwa zobaczył stary i nie rozpalone letnie kuchnie. Wieczorem zadymią, podobnie jak z rana — za dnia w licznych gospodarstwach jedynie kury grzebią i niemrawo poszczekują psy.

Na łączce przy grobli chłopaczyska uganiały się za piłką, nieco dalej zebrały się w gromadkę dziewczęta, poobciągały na kolanach sukienki i snuły swą dziewczęcą pogawędkę.

Starzec wpatrywał się w ten świat bacznie i pojętnie, wytężał się, aż poczynała go boleć głowa. Mimo to patrzył w dalszym ciągu — ulica, którą obserwował już przez lat pięćdziesiąt, rozpościerała się przed nim wciąż równie żywa i zaaferowana. Te z kobiet, które pozostały w domu, bez pośpiechu wykonywały swoje zajęcia; ujrzał też młodą matkę huśtającą dziecko i nucącą mu kołysankę. Obraz ten zbliżał się doń coraz bardziej i zdołał przypatrzyć mu się dokładniej: młoda mateczka z dzieckiem przy piersi tajemniczo uśmiechała się do swego pierworodnego.

Przeniósł spojrzenie gdzie indziej i ujrzał dwóch starców: bednarza Własiuka i Kozodoja. Bednarz strugał klepki na kadź, a obok zastygł nieruchomo z palcem wetkniętym w buzię jego zasmarkany wnuczek. Niekiedy bednarz przerywał robotę i ocierał pot z czoła — już nie tak łatwo było mu uprawiać swoje dawne rzemiosło. Iwan wpatrywał się w oczy starego Własiu-

ka, które przybliżył mocą wyobraźni — siwe były i przygaszone. „To są ci moi rówieśnicy" — pomyślał i uśmiechnął się smętnie. Przeniósł nieco dalej spojrzenie: przy komórce z kozłem podrzemywał sobie Kozodój. Oczy miał przymrużone, a koszula na piersi wznosiła się i opadała. Spał oparty o ścianę komórki, z której melancholijnie wyzierał na świat poszarzały ze starości cap. Wokół niego rozchodził się ciężki odór, przeto kto tylko szedł ulicą, zatykał nos, a wrażliwsi na zapachy omijali chałupę Kozodoja z daleka. Komórki strzegły rozlatujące się drzwiczki z otworem wyciętym na kształt serca — i przez to serce właśnie wysuwał się szpetny i usmotruchany pysk capa.

Spojrzenie Iwana błądziło dalej po ulicy. Zatrzymało się na dziewczynie, która śpiewała rozczesując włosy — spływały jej na ramiona gęstą kasztanową falą; czerwone wargi stulały się i rozchylały, a pogodna twarz jaśniała w sierpniowym słońcu. Zapatrzył się na nią jakiś przechodzący młodziak i dziewczyna nagle zarumieniła się i zamrugała oczyma: oboje poczuli, że los zetknął ich w tym momencie, może nie bez powodu.

Wielka fala dosięgła stóp Iwana. Na mgnienie zatopiła ulicę, którą tak pilnie obserwował: wszystko wokół rozgorzało jaskrawo. Poczuł to od razu i ostrożnie ujął ołówek. Ścisnął go i jął wywodzić w zeszycie literę za literą, słowo za słowem. Znów mu się wydało, że słyszy szelest skrzydeł — całe niebo okryło się tymi białymi skrzydłami. Dopisywał stronicę już w pośpiechu, ołówek biegł po papierze pozostawiając po sobie prawie nieczytelne znaki. Później losy zmuszą do odcyfrowania tych znaków jako pierwszego — Iwanowego prawnuka; teraz zaś słyszał tylko łopot skrzydeł i widział niebo utkane ptakami. Serce oblało mu się czerwoną posoką: ujrzał ogromny step i pośród niego zapomnianą przez świat fortalicję. Usta jego poczęły szeptać słowa wybiegające mu spod ręki: światło dokoła chwiało się niczym rozwieszone płachty i z wolna sam stawał się ptakiem gotowym ulecieć w niebo, by stamtąd zobaczyć ten świat. Łzy cisnęły mu się do oczu i już nie widział poprzez nie tego, co snuła jego ręka, a gdy już całkiem omdlała i ołówek wypadł z osłabłych palców, długo jeszcze siedział blady jak płótno i nasłuchiwał, jak opętańczo wali mu serce w piersi.

Opamiętując się, ujrzał dziedziniec szkolny, na którym brązowo połyskiwały świeżo malowane ławki, a przy nich stał wysoki mężczyzna z gęstą czarną czupryną. Tuż przy nim zastygli z pędzlami w ręku dwaj chłopaczkowie i dziewczynka: od strony szkoły posłyszał przeciągły i harmonijny śpiew — rozsunęły się ściany i ujrzał cztery kobiety, z zapałem wymachujące szczotkami. Melodia współbrzmiała z ich płynnymi ruchami, usta miały rozchylone i twarze umazane na biało — starzec poczuł czystą

i świeżą woń bielenia. Znał te kobiety i dzieci, nie znał jedynie bruneta na środku dziedzińca. Ujrzał raptem, jak pierwsza zerknęła ku niemu jego wnuczka i rzekła coś zabawnego. Brunet zwrócił się w jej stronę — starzec dostrzegł srebrną nitkę, co nagle związała tych dwoje. Znieruchomieli na chwilę, połączeni tym jasnym promieniem, i nie mogli oderwać oczu od siebie. Pierwsza oprzytomniała Hala. Potrząsnęła głową i obróciła się w stronę kobiet, które wciąż jeszcze śpiewały. Podchwyciła melodię i włączyła się w rytm panujący w tej zachlapanej bielą izbie.

Stary na werandzie też się uśmiechnął. Przestała drżeć ręka utrudzona pisaniem — serce ogarniał spokój pospołu ze znużeniem. Marija odgadła ten nastrój, zauważyła zamknięty zeszyt i odłożony ołówek.

— Będziesz jeść obiad? — zapytała.

— A czy nie musisz być teraz w szkole? — odparł i wtedy ujrzała jego modre i niezwykle pogodne oczy.

6

Dziwnie zmieniła się Hala od czasu, gdy na ich górkę trafił ów kulawy dyrektor, gdy zatrzepotał bezradnie rękoma, ona zaś musiała podbiec doń, podtrzymać i troskliwie usadowić na ławce. Zaczerpnęła wówczas pośpiesznie wody i wetknęła do rąk przybyszowi, ten zaś upił jej chciwie. Wówczas to oświeciło ją — dzieje się to właśnie, co tak długo i uparcie powtarzała babcia: mężczyzna przyszedł do nich z dołu i napił się z jej ręki. Wprawdzie o wodę nie prosił, ale obrządek został dopełniony, jak to się zdarzyło niejednej z dziewczyn tego domu. Stara na ganku czujnie śledziła ów ceremoniał, oczy jej przy tym zrobiły się okrągłe i gorące, może to właśnie przywróciło jej siłę, więc choć nie chodziła sama, wstała wówczas i opierając się o ścianę pobrnęła w głąb domu. Hala tak była zajęta przybyszem, że nie spostrzegła tego od razu, a gdy się zorientowała, pobiegła do pokoju babci. Chciała ją uspokoić, że to tylko nowy dyrektor przyszedł do nich. „Do mnie też w swoim czasie przychodził taki dyrektor" — rzekła wówczas znacząco stara i roześmiała się może niezbyt stosownie. Hali krew uciekła z twarzy, serce jej biło jak opętane, a może było to tylko chwilowe oszołomienie, skutek słuchania tych niezbyt prawdopodobnych historii, które tak często opowiadała babcia. Hala pozostawiła ją tam, w fotelu, z jej niestosownym śmiechem, a sama pobiegła do swojej izby, gdzie z lustra spojrzały na nią wciąż jeszcze wielkie i spłoszone oczy. Wydało się jej wówczas, że jest niewiarygodnie brzyd-

ka. Z taką właśnie obawą poszła na naradę oraz na porządkowanie szkoły. Włożyła najbardziej niepozorną sukienkę, starą i znoszoną, by móc w niej ukryć swoją urodę, na głowie zawiązała prostą, białą chustkę, nisko zsuwając ją na czoło, a na nogi wzuła szare bambosze. Było jej nieco przykro zejść na dół w takim stroju, ale coś ją popchnęło, by tak właśnie postąpić. Jej nosek zrobił się jeszcze bardziej zadarty, a Chłopiec, widząc ją taką, klasnął w dłonie i roześmiał się.

— Ojej, jaka ty jesteś zabawna, mamo!

— A bo co? — odparła zaczepnie. — Czy muszę się stroić do porządków?

Stara popatrzyła na nią mądrze i pobłażliwie, bo wiedziała, co dzieje się z jej wnuczką, jako że sama podobnie usiłowała najpierw umknąć przed swoim przybyszem. „Taka nasza dola — pomyślała zostając sama w domu — uciekamy, żeby nas złapano!" Zrobiło się jej zgoła radośnie w sercu i w przystępie dobrego humoru po raz pierwszy może spokojnie pomyślała o śmierci.

— Jeszcze doczekam się dziewczynki — wypowiedziała głośno, aż głos jej zadudnił w pustym domu.

Miała swoją satysfakcję. Niekiedy zdawało się jej, że całą tę zawiłą opowieść o przybyszach sama sobie wymyśliła, jako że i to niezbyt pewnie trzymało się w jej głowie. Po czym ogarnął ją dobry humor, bowiem człowiek doznaje radości, widząc, jak spełniają się jego marzenia. Myślała też, że powtórzenie cieszy nas dlatego jeszcze, że daje nam zapomnieć o kruchości istnienia.

— Zawsze nazbyt bałam się śmierci — rzekła głośno i głos jej zabrzmiał w pustce chrapliwie.

Przymknęła oczy, zagłębiając się w oparciu fotela, i ogarnęły ją ciepłe, radosne fale. Ujrzała niebieską drogę, a na niej wysokiego bruneta z wąsami. Brunet ów spoglądał na nią tak, jakby się wahał, czy ją naprawdę poznaje.

— Czy my tam, w wieczności, rozpoznamy się jeszcze? — roześmiała się nagle. — Przecież ty tam jesteś młody, a ja taka stara!

Na drodze tej ujrzała jeszcze dwoje: córkę swą i jej męża. Córka była w takim wieku jak dzisiaj Hala i dosyć ją przypominała. Mąż też był wysoki i kruczowłosy, ale starszy od swej towarzyszki. Tam, na niebieskiej drodze, wyciągnęli do siebie ręce i połączyli się.

Stara drzemała. Broda jej opadła na piersi, a z jej ust wybiegał nierówny oddech. Powieki jej drgały raz po raz i wzrok miała taki, jakby rzeczywiście oglądała tamten świat.

— Wybacz, że jednak chcę się doczekać dziewczynki — rzekła do swego męża na niebieskiej drodze, a ten skinął głową ze zrozumieniem.

7

Hala sama nie zdawała sobie sprawy, dlaczego musi pokazywać się ludziom taka nijaka i zasłonięta. Powodowało nią zapewne coś nieznanego, co nagle w niej ożyło i jęło nurtować. Szła z oporami, tak bała się zejść w tę dolinę, aż zauważył to nawet Chłopiec, spojrzał na nią szeroko otwartymi oczyma, więc się zawstydziła. Przyśpieszyła kroku i gdy Chłopiec zagwizdał jej do taktu, było jej przyjemnie zrównać swój krok z ową nutą lekką, posuwistą i nieco smętną. Z wolna wracała do siebie i na dole była już całkiem spokojna, prawie bez emocji popatrzyła w oczy, w których było tyle tkliwości i smutku, że nie taka nawet jak ona mogłaby zmięknąć. Niespodziewanie dodało jej to jeszcze pewności siebie, ba, nawet nosek zadarła, a że nie była w tej sukienczynie i chustce taka onieśmielająco piękna, mimo woli jeszcze bardziej urzekła Włodzimierza.

Przez cały dzień łączyły ich ze sobą jakieś nici, jak gdyby działał tu niestrudzenie amor-pająk, który snuł się między nimi i napinał srebrną pajęczynę — dostrzegł ją również stary Iwan siedzący na werandzie. Namordowali się do wieczora szamocąc się z tą siłą przyciągania, co niczym guma ściągała ich razem. Hala raz po raz wyglądała przez okno, on zaś wchodził do szkoły, głosy rozbrzmiewające w pustych klasach rozstrajały go do reszty. Przy wspólnym posiłku siedzieli naprzeciw siebie, patrzył na nią, ona zaś rumieniła się i promieniała, bo nie mogła mu nie odpowiadać.

Po czym spochmurniał nawet, bo jakoś nie potrafił przekroczyć linii demarkacyjnej, ona zaś poczuła znużenie i rozczarowanie, pokornie zatem czekała na jego stanowcze kroki. Byli niczym korki, co bezwolnie kołyszą się na wodzie i płyną, dokąd je fala poniesie — kołysał ich niemały smętek. Nazajutrz witali się jak obcy, on wychudł przez tę noc i oczy błyszczały mu jak u suchotnika: ona też poszarzała i unikała patrzenia mu w oczy. Dwoje lunatyków snuło się po dziedzińcu: on malował ledwie poruszając pędzlem, ona zaś szorując podłogi przez cały czas ocierała pot z czoła. Dostrzegły tych lunatyków i Marija Jakiwna i Ołeksandra Panasiwna, ale obie udawały, że są pochłonięte robotą; zresztą, on nie wytrzymał pierwszy, pozostawił pędzel w farbie i wymówił się zajęciami. Poszedł, a właściwie poniosło go ulicą, ale nie skręcił w górę, jak by należało, lecz ruszył przez pagórki do wieży ciśnień. Skręcił zaułkiem do Zawaliska, gdzie był ów pagórek, który później co dnia odwiedzał, i gdzie fruwały tańcząc i podskakując bielinki kapustniki. Na tym pagórku odzyskał nagle spokój, był to spokój chwilowy, nie dający się nawet określić, mający w sobie zapach pio-

łunu i sierpniowego słońca, bo to na jego cześć tak fantazyjnie tańczyły nad zielskiem białe motyle. W spokoju tym była cicha rezygnacja i ból dotkliwy, tysiącletni, co sączył się ze szczelin w skałach i napełniał Włodzimierza srebrzystym oparem.

Siedział na głazie nieruchomo, wpatrzony w drugi brzeg rzeki, na którym żółkły pierwsze liście jesienne, i zdawało mu się, że jeśli będzie siedzieć tak jeszcze przez kilka godzin, przeobrazi się w jaszczurkę. Miał ochotę zagubić się w tej rozdzwonionej ciszy, w błękitnym powietrzu, w którym hula rozwiewając odzienie i napędzając w nie chłodu wiatr-desperat. Świerszcz bez cienia obawy sfrunął mu na kolano i zagrał. Wówczas odpowiedziało mu całe wzgórze, jeszcze więcej przybyło na nim motyli, aż utonął w białej zamieci ich skrzydełek — taki był wówczas jego smętek i tak się wysublimował...

Na drugim końcu tego świata siedziała równie zdumiona, oszołomiona i zgnębiona Hala i cicho płakała, przeklinając swoje błazeńskie przebranie, w jakim nie wiadomo po co chciała się ukryć. Taką skuloną, umorusaną i nieszczęsną zastała Marija Jakiwna. Wzięła Halę w ramiona i delikatnie otarła jej łzy.

— Mężczyźni — rzekła cicho i z rozwagą — bywają jak małe dzieci. Nam zaś, kochaneczko, być dziećmi nie wypada...

8

Ołeksandra Panasiwna, choć nie była zazdrosna, patrząc na Włodzimierza i Halę poczuła, jak ją kłuje pod sercem. Niekiedy nawiedzało ją to podobnie jak ziemię nawiedza niepogoda i wówczas zaczynała niemal fizycznie czuć, jak opuszcza ją energia — podówczas zaglądała jej w oczy orlooka samotność. Wtedy to najczęściej wspominała Mykołę, śniło się jej nawet, że obejmują ją mocne i łaskoczące dłonie, czuła ów prąd, co go napełniał, zdawało się, że pozostawił w domu jakieś pierwiastki, które ongiś podniecały kobiety. Dane jej było zaznać jego prawdziwej miłości, przeto ów prąd przenikał ją dotychczas.

Takie nastroje nie trwały w niej długo, była to przecież tęsknota za tym, co minęło. Gdy ją to nawiedzało, stawała się powolna i zamyślona, a dzieci, gdy spostrzegały w matce taką zmianę, starały się zachowywać jak najciszej. To samo poczuła owego słonecznego ranka, gdy jej córka oparła na biodrze miednicę z bielizną i poszła prać nad rzekę. Wówczas zeszedł ku niej Chłopiec, ukląkł przy niej (Ołeksandra Panasiwna obserwowała to wszystko przez okno) i jął przesypywać piasek z ręki do ręki. Jej najstarsza zwróciła się wówczas do Chłopca i serce Ołeksandry Panasiwny zabiło mocniej, bo taki dorosły i panieński

uśmiech ujrzała na jej twarzy. Te dwie postacie na piasku dziwnie poruszyły Ołeksandrę Panasiwnę, choć Chłopcu do kawalerki, a Neonile do dziewczyństwa było jeszcze daleko, przed snem przeto porozmawiała o tym w myślach z Mykołą, który jak zwykle ukazał się jej przymkniętym oczom, i cicho poskarżyła mu się, że wcale niełatwo jest starzeć się w samotności.

W takim momencie właśnie przyszedł do niej niemłody już jegomość w białym cajgowym garniturze i w słomkowym kapeluszu. Mężczyzna był starannie ogolony, miał zmęczone oczy i cichy, łagodny głos. Siedzieli w domu sami, dzieci wyprosiła na dwór, mężczyzna położył ciemne strudzone dłonie na kolanach, patrzył na te dłonie i cichym głosem opowiadał, jak wydostawali się razem z Mykołą z okrążenia, jak on sam został ciężko ranny i Niemcy wzięli go za zabitego. Zaopiekowali się nim wieśniacy, po czym miał okazję wypić niejeden kielich goryczy. Przypadkiem został mu adres podany przez Mykołę i dopiero teraz mógł przyjść do Ołeksandry Panasiwny i opowiedzieć jej o tym, co wiedział. Wieśniacy opowiedzieli mu, że z tej pułapki nie uszła żywa dusza; on sam nie widział na własne oczy, jak zginął Mykoła, ale skoro tamten dotąd nie dał znać o sobie, to już na pewno nie żyje.

Mężczyzna spojrzał na Ołeksandrę Panasiwnę i zdumiała się, jakie ma znużone i głębokie spojrzenie. Patrzył na kobietę serdecznie i przenikliwie, a w spojrzeniu tym było coś więcej niż współczucie. Ołeksandra Panasiwna rozpłakała się, mężczyzna nakrył jej dłoń swoją ręką i rzekł łamiącym się głosem:

— Niech pani nie płacze, serdeńko — powiedział. — Mnie zdarzyło się coś gorszego. Miałem żonę taką ładną jak pani i dzieci miałem takie ładne, jak pani je ma. Ja wróciłem, a ich już nie było, serdeńko. Gdybym to ja mógł wybrać — głos mężczyzny zabrzmiał głucho, a oczy zabłysły gniewem — wolałbym podzielić los paninego Mykoły, byleby oni żyli!

Mówiąc to cały zadygotał, rozgorączkował się i zacisnął pięści, aż zachrzęściły. Ołeksandra Panasiwna rzeczywiście przestała płakać: nieszczęście tego człowieka było większe niż jej własne — mimo woli przejęła się nim i ogarnęło ją współczucie.

Mężczyzna wstał. Trzymał w ręce kapelusz mnąc jego krzyżę, cały wyprężył się i wyprostował, ale głos mu zabrzmiał równie cicho i łagodnie:

— Może zadałem pani ból swoją opowieścią, przepraszam — rzekł. — Chciałem złożyć uszanowanie swojemu koledze i pani.

Skinął głową i zbierał się do odejścia, ale zaczęła go zatrzymywać prosząc, by zjadł coś i wypił. Uśmiechnął się smutnie i podziękował.

Wyszedł z chaty, więc podbiegła do okna, by raz jeszcze spojrzeć na tego zwiastuna żałoby. Zobaczyła, że stoi na podwórzu, wyciąga z kieszeni cukierki i rozdziela pomiędzy dziatwę. Dzieci jej obstąpiły mężczyznę ze zgiełkiem, wyciągały ręce na wyprzódki, nawet ta poważna, najstarsza, on zaś wtykając wszystkim cukierki płacze cicho i bez łez. Chciała wybiec i nakrzyczeć na dzieciaki, by się nie naprzykrzały, ale nogi miała niczym przykute do podłogi, a ręce przykleiły się do parapetu. Sama też płakała wraz z tym mężczyzną, aż rozdał wszystkie cukierki i poszedł sobie. Wówczas znalazła siłę, by wyjść z chaty, i ujrzała, jak tamten niewiarygodnie prędko idzie nie oglądając się za siebie, nienaturalnie wyprostowany. Jak gdyby ciepły wiatr ją owiał: zdziwiła się sobie samej, swojej chwilowej słabości, a także swym dziwnym i chimerycznym zachciankom. Dzieci stanęły przed nią wszystkie z cukierkami w kącikach ust i prędko wydała wszystkim polecenia: jednemu kazała iść po wodę, drugiemu po naftę, trzeciemu napalić pod kuchnią, czwartemu wziąć pod rękę najmłodsze i pójść z kubłem na brzeg, poszukać trzasek i chrustu. W mig rozproszyły się do swoich zajęć, sama zaś na chwilę przystanęła na podwórzu i wystawiła twarz na powiew wiatru.

9

Stara rzeczywiście po tym wydarzeniu z Włodzimierzem zmieniła się w oczach. Niespodziewanie odmłodniała, jęła sama poruszać się po domu i głos jej zrobił się dobroduszny — rozmowna była jak nigdy.

— Wszystko to rzeczywiście wyszło mi na korzyść — mówiła, gdy Hala słała łóżka. — Nie myślałam nawet, że kiedykolwiek stanę na nogi. Możesz wierzyć, a możesz nie, ale ci mężczyźni, którzy odbierają nam córki, są rzeczywiście podobni jeden do drugiego. Zobacz w albumie twojego ojca i dziadka — zupełnie jak z jednej rodziny.

Hala tego ranka naburmuszyła się nieco, co rzadko jej się zdarzało. Słońca nie było, pokoje wydawały się niczym osnute pajęczyną — chodziła od łóżka do łóżka, trzepała prześcieradła i kołdry w powłoczkach, wychodziła z nimi na podwórze. Wzbijała poduszki, aż zaczęły za nią latać lekkie białe piórka, które leniwie płynęły w wilgotnym powietrzu, i wzbudzane przez Halę fale powietrza raz po raz unosiły je pod sufit. Wśród tego pierza, trzymając się to poręczy łóżka, to oparcia krzeseł, ciężko człapała stara i usta jej się nie zamykały, oczy zaś jaśniały gorączkowo — młodzieńczo i radośnie.

— Tak mi się teraz polepszyło — powtarzała już nie wiadomo

który raz — że się nadziwić nie mogę. Tydzień już, jak śpię spokojnie, i nie przyśnił mi się, słoneczko, żaden sen. Tak, mało brakuje, a zacznę się nie starzeć, jeno odmładzać. Za młodu sny mi się nigdy nie śniły, bo jak człowiek jest zdrów i spokojny, to na co mu sny? Myśmy się tym odznaczały w tym domu, żeśmy żyły spokojnie i umiały czekać. Czekanie, moja złota, to taka skomplikowana i wielka sztuka! Nam, kobietom, nie dano wybierać i rządzić, ale czekać i słuchać, i nie jest to już taki zły los, wierzaj mi. Prawie zawsze jesteśmy niezadowolone, bo za często zostajemy w samotności. Takie z nas buntowniczki, które nie powinny zwyciężać, bo inaczej utracimy swoją moc i urodę.

— Ależ ty masz pomysły, babciu! —rzekła Hala ścieląc kołdrę. — Jakieś staroświeckie...

— Sama też jestem staroświecka — prawiła stara nie bez pychy — ale to nie znaczy, że nie mam racji. My chcemy rządzić i zależeć od kogoś równocześnie, a gdy jesteśmy same, to tęsknimy nawet za najgorszą zależnością. Zależąc i rządząc, kochanie, mało mamy satysfakcji, bo prawdziwą satysfakcją jest miłość czyli zadowolenie innych. Bywamy niemądre, egoistyczne, pyskate i herod-baby, ale mimo to umiemy kochać. Mężczyźni tak kochać nie potrafią, bo nasza miłość o ileż jest wznioślejsza od ich zwierzęcej zachcianki...

— Och, babciu! — klasnęła w ręce Hala i stopniowo jęły spływać z jej serca te szare poranne mydliny. — Nigdy nie myślałam, że taki z ciebie filozof!

— Jaki tam ze mnie filozof — ostro odparła stara i aż profil jej się zaostrzył ze zgorszenia. — Przeżyłam wiele lat w samotności i miałam czas na myślenie. Kobiety z tego domu, kochanie, to nie są zwyczajne kobiety, i jeszcze to zrozumiesz, jak dożyjesz do sześćdziesiątki. Twoja córka urodzi ci chłopca albo dziewczynkę i ciebie dziw ogarnie na tę prawidłowość: chłopiec sobie stąd pójdzie, a twoja dziewczynka i wnuczka będą tej samej krwi co ty teraz. Wtedy im będziesz tłumaczyć tak jak ja tobie dzisiaj, i będą się śmiać z ciebie jak z baby, co rozum straciła.

— Nigdy źle o tobie nie myślałam! — odparła urażona Hala.

— Ty nie zawsze byłaś wobec mnie szczera — rzekła stara tym samym tonem. — Spełniałaś przy mnie swoje obowiązki, temu nie przeczę, ale zapominałaś niekiedy, że ja wszystko widzę i słyszę. I serce twoje głuche bywało dla mnie. Nie wymawiam ci tego i nie gniewam się o to — podniosła rękę uprzedzająco, bo Hala już otworzyła usta, by zaprzeczyć — inaczej być nie może. Ci, co są w górze, znają i wyczuwają tych, którzy są z dołu, ci zaś, co są na dole, mogą najwyżej sprzeciwiać się tym, którzy są na wyższym szczeblu drabiny czasu — przychodzą bo-

wiem na ich miejsce. Takie jest prawo natury, nie myśmy je ustanawiały, więc nie możemy go zmienić. Nasza wielkość zawiera się jedynie w tym, że również na to odpowiadamy miłością!

— Zdumiewasz mnie, babciu! — rzekła Hala rozkwitając swoim cudownym rumieńcem. — Ale dlaczego mówisz mi to właśnie teraz?

— Bo byłaś marnotrawnym dziecięciem — rzekła stara szorstko i Hala zdumiała się, ile majestatu było w tej schorowanej postaci. — Nie mogłam więc mieć dla ciebie serca otwartego bez reszty.

— Czy coś się zmieniło?

— Oczywiście, że się zmieniło — orzekła stara bezapelacyjnie. — Odkąd wszedł w nasze progi ten „dyrektor"...

— Przywiązujesz do tego taką wagę!

— Podobnie jak ty — odcięła się stara. — I ta woda, dziecinko, którą wypił, też nie jest zwyczajna — roześmiała się ochrypłe i jak nawiedzona — ona mu nie da żyć spokojnie. On jeszcze poszamoce się, kochanie, jak ryba na haczyku, ale się nie bój, nigdzie się nie podzieje. Jestem bardziej niż pewna, że on właśnie obdarzy cię córką. Wiesz, że to mi jest potrzebne, bym mogła umrzeć spokojnie — rzekła stara i mrugnęła porozumiewawczo do Hali.

— Dałabyś pokój, babciu! — powiedziała Hala oziębłym tonem, Jednakże policzki jej pałały. — Zaczynasz wygadywać takie rzeczy...

Stara patrzyła na nią, zwieszona między poręczą łóżka i krzesłem, przez co głowę miała wtuloną między ramiona, patrzyła na wnuczkę palącym i nieco kpiarskim wzrokiem, a na ustach jej błąkał się uśmiech.

— Nie mówię nic od rzeczy — wypowiedziała powoli, nadal uśmiechając się tajemniczo. — Musisz urodzić córkę, bo inaczej jeszcze długo będę się obijała na tym świecie. Moja matka też najpierw urodziła Iwana, a mnie dopiero potem. I babka moja, kochanie, doczekała się mnie, choć była już w bardzo sędziwym wieku...

10

Te rozmowy denerwowały Halę, nieraz miała chęć uciec z domu. Ponadto ogarnęło ją niepojęte rozdwojenie: to chciała włożyć najpiękniejszą sukienkę, zakwitnąć w całym przepychu swojej urody, zejść na dół i przespacerować się pod murami szkoły i pod oknem, za którym, czego była pewna, usycha z tęsknoty

Włodzimierz. To znów pragnęła, by jeszcze bardziej pożerała go tęsknota, by błąkał się dalej po brzegu jak oczadziały i beznadziejnie spozierał pod górę, gdzie stała przyczajona w cieniu krzaków i z lubością śledziła owe błąkania. Niekiedy pragnęła też czegoś innego: ukryć się, zamknąć się na klucz w mieszkaniu, aż wreszcie wezwie ją do szkoły jako jej zwierzchnik. Wiedziała, że to wzgórze, ta stromizna nie są na jego nogi, co napełniało ją zarazem radością i smutkiem, współczuciem i niedobrą uciechą. Pomimo wszystko czuła się oblężona, toteż musiała się bronić — jest przecież jedynym obrońcą tej reduty. Można tak dociągnąć do początku roku szkolnego, a wtedy skomplikują się sprawy, jednakże coś powstrzymywało Halę — co ma być, niech będzie!

Tak myślała sobie w ciągu dnia, ale wieczorami, gdy już była całkiem wolna od zajęć, które wynajdywała sobie z zadziwiającą inwencją, robiło się jej tęskno. Ponadto staruszka dokuczała jej swoim niepohamowanym gadulstwem. Zdawało się, że babcia zamierza ją zatopić w powodzi swoich nie kończących się rozważań: z powodu tych rozmów Hala spalała się w milczeniu, przez co znów rozkwitała jej piękność: już nie usiłowała przygaszać jej znoszonymi sukienkami, chustkami i grubą szminką. Gdyby teraz Włodzimierz miał siły wspiąć się pod górę, to kto wie, czy tak prędko zeszedłby z powrotem. Gdy zaś zapalała wieczorem lampy, gdy świerszcze wszczynały swoje codzienne lamentacje i w szybkach zakwitał żółty krąg księżyca, opuszczała starą i Chłopca w bawialni i trzymając lampę w ręku szła do biblioteki, wiedząc, że tam za jej plecami stara z kolei Chłopca zaczyna pogrążać w nie kończącym się potoku gawędy: szła naprzeciw dzwonieniu świerszczy, by się zamknąć w swoim najdalszym refugium, gdzie było łóżko, lustro i mnóstwo książek. Oparłszy się tutaj obracała klucz w drzwiach, stawiała lampę na stoliku, podchodziła do otwartego okna i wpatrywała się w krajobraz skąpany w poświacie księżyca. Zamykała okno, szczelnie zaciągała story, podchodziła do zwierciadła i nadal bacznie przyglądała się pożółkłemu odbiciu — wydawała się sobie o wiele starsza, niż była w rzeczywistości. Siadała na łóżku i raptownie załamywała ręce. Płakała, pociągając nosem, niezupełnie zdając sobie sprawę, dlaczego. Była w tej wąskiej i mrocznej izdebce niby mniszka i opłakiwała swoją mniszą dolę, podobnie jak świerszcze za oknem opłakują koniec lata. Łzy te obmywały i oczyszczały jej oczy, wylewał się z nimi niepokój, a gdy się dość napłakała, zaczynała raptem pojmować przedziwną słuszność słów starej o sztuce czekania. Uspokajało ją to, oczy jej chłodno jaśniały, brała lampę i powracała do bawialni, gdzie stara kończyła już opowiadać Chłopcu o przedziwnym drzewie ich rodu.

— Czy nie pora już spać, babciu? — przerywała jej Hala w pół słowa i głos jej stawał się rzeczowy i oschły.

Stara aż otwierała usta patrząc na tę beznadziejnie zamurowaną mniszkę.

— Taka jesteś blada — mówiła z przesadną troską. — Czy nic cię nie trapi?

— Nic mnie nie trapi — mówiła Hala rozścielając na noc łóżka. — Spójrz tylko na zegar!

Wprawione przez nią w ruch po izbie znów zaczęły fruwać spłoszone piórka, rzucając cienie na ściany, a gdy napłynęły pod lampę, raptem rozkołysały się w strumieniu ciepłego powietrza i co prędzej frunęły pod sufit.

Po zasłaniu łóżek towarzyszyła Chłopcu do jego pokoju. Puściła go przodem idąc za nim z lampą w ręku i dwa ich nastroszone cienie rozbiegły się w różnych kierunkach. Chłopiec nic nie mówił, bo to, co dziś opowiadała mu babcia, wywarło na nim duże wrażenie. Hala odgadywała stan jego ducha, ale przybrała minę drwiącą i nad miarę pewną siebie.

— No cóż? — spytała pobłażliwie. — Naprzędła ci prababcia siedem worków wełny?

— Uważasz, że to siedem worków wełny?

— No, może pięć — roześmiała się Hala. — Nie wiesz, o co tu chodzi?

— Zdaje mi się... — usiłował zaprzeczyć Chłopiec, ale Hala przerwała mu kategorycznie.

— Tobie nic nie może się zdawać. Jesteś już za duży, żeby wierzyć w bajki...

Chłopiec obejrzał się na nią. Ujrzał chłodną i skupioną twarz w żółtym świetle lampy i nie poznawał matki.

— Te bajki są dla ciebie niemiłe? — zapytał zgoła jak dorosły.

„Bajki nie — miała chęć odpowiedzieć Hala. — Niemiłe jest to, że czasem któraś z nich się sprawdza!"

Zmierzwiła synowi czuprynę, bo chciała mimo wszystko utrzymać się na wyżynie swojej dorosłości.

— Czyż bajki mogą być niemiłe? — zapytała ze śmiechem.

— Ja też tak pomyślałem — oznajmił z powagą Chłopiec.

Postawiła lampę i skierowała się do wyjścia.

— Będziesz spać czy jeszcze poczytasz? — spytała obracając się do niego.

— Poczytam jeszcze, mamo.

Wstąpiła do starej, która już leżała w łóżku.

— Jeśli nic nie masz przeciwko temu — rzekła zatrzymując się na progu — to zamknę się na trochę w bibliotece.

— Lepiej mi teraz — uśmiechnęła się stara. — W ostateczności cię zawołam. Chcesz poczytać?

— Tak — odparła Hala. — Zgasić ci światło?

— Zgaś, kochanie.

Hala przedefilowała przez pokój, nachyliła się nad lampą i dmuchnęła w szkiełko.

— Dobrej nocy, babciu! — rzekła zdawkowo.

— Dobranoc, dziecino — odparła stara. — Nie zasiedź się!

— Tak mówisz, jakbym miała dziesięć lat.

— Wszyscy mamy po dziesięć lat, każdy z osobna — westchnęła stara w ciemności.

Hala szła po omacku ciemnym korytarzem. Otworzyła drzwi i potarła zapałkę. Dokoła migotliwie kołysały się żebrowane ściany, poutykane setkami grzbietów książek.

Czas jakiś siedziała na łóżku myśląc o czymś czy wspominając. Po czym odsłoniła i otwarła okno. Stała i patrzyła w głąb. Zabrzmiał w jej wnętrzu przyciszony dźwięk — wiązało się to z czymś odległym i prawie zapomnianym. Trajkotały świerszcze, było takie samo lato i w poświacie miesięcznej podobnie mieniła się rosa. Możliwe, że melodia wybiegła z tej rosy; na chwilę zdało się jej, że w głębi mroku na niebieskiej drodze ujrzała szarą sylwetkę, słomkowy kapelusz i czarne lakierki. Mężczyzna nie szedł, lecz płynął, a pod kapeluszem nie było twarzy, nie było też nóg w lakierkach. Kołysał się, jakby szedł pod wodą i rozpływał się w nurcie — smętną melodię grało nad nim obsypane gwiazdami niebo.

Hala patrzyła na tę postać bez wzruszenia. Było to tylko jakieś wyblakłe wspomnienie i chyba jej nie dotyczyło. Zamknęła okno i poszła do syna zabrać lampę. Chłopiec leżał z otwartą książką, pochyliła się nad nim i głośno pocałowała go w czoło. A że była pogrążona w myślach, nie zauważyła jego zgorączkowanego spojrzenia. Wzięła lampę i ruszyła w stronę drzwi, a gdy się w nich zatrzymała, by wypowiedzieć sakramentalne „dobranoc", zdumiała się nagle: patrzyły na nią dorosłe i rozumne oczy.

— Mamo — powiedział cicho. — Czy to prawda, że ja jestem... bękart?

Zerwała się jak ugodzona i popatrzyła na niego z przestrachem.

— Babcia ci to powiedziała?

— To i bez babci można się było domyślić.

— O, to dość zawiła sprawa! — roześmiała się Hala. — Za mały jeszcze jesteś, by to zrozumieć. Ojciec twój nas opuścił, co nie tak rzadko się zdarza. Nie chciałam brać od niego alimentów, bo widzisz... My wszyscy w tym domu jesteśmy zbyt dumni.

Chyba dlatego nawet nic nie wiem o nim, czy żyje, czy też umarł...

Stała z lampą we drzwiach i nawet czerwone światło nie mogło ukryć, jak bardzo była zarumieniona.

— A wyszłaś za niego za mąż? Czy rzeczywiście miał na imię Anatol?

— Tak! Miał na imię Anatol. A nazwisko dałam ci swoje przez tę naszą ambicję. Zresztą ja też mam nazwisko matczyne, a nie ojcowskie. Po co przybierać nazwisko mężczyzny, który znać nas nie pragnie?

Rzuciła niespokojne spojrzenie w stronę, z której spoglądały na nią badawcze i rozpalone oczy. Poczuła się zmieszana i było jej słabo, tak już chciała przerwać tę rozmowę. Jednakże tkwiła na progu, cała w czerwonym świetle, i płonęła, jak gdyby stała na gorącym zarzewiu.

— Przepraszam, mamo — rzekł Chłopiec z półmroku. — Może cię bolą te moje pytania, ale ja chcę wiedzieć jeszcze tylko to jedno.

Uniosła brwi i patrzyła na niego pytająco.

— Nazwisko — wyszeptał — bądź dobra i powiedz mi jego nazwisko...

Poczuła, jak z wolna spod nóg usuwa się jej podłoga. W gardle ją zapiekło, jak gdyby z ust jej uciekła ślina. Oczy jej zamrugały i rozdęły się nozdrza, w piersi utknął szary kłąb, stanęła bowiem całkiem bezradna i unicestwiona bezwzględnością, jaką wyczytała w błyszczących oczach syna.

— Po co mnie pytasz? — odparła nagle z rozdrażnieniem. — Nazwisko miał śmieszne i niedorzeczne, i co ci da, że je poznasz?

— Mów, mamo!

— Nazywał się Puchacz! — cisnęła Hala i obróciwszy się gwałtownie powiała na syna rąbkiem szarej sukienki.

Aż sama w to uwierzyła. Czemuż by nie Puchacz, skoro tak lubił noce i miał szare skrzydła u ramion. Za dnia widywała go rzadko i wówczas nie bywał taki urzekający. „Puchacz!" — pomyślała ze złością i nagle zapomniała go ostatecznie. Jak gdyby rąbek nocy odwinął się przed nią, ujrzała gdzieś daleko skrawek zarośniętego piołunem brzegu, na którym wzlatywały i osiadały tańcząc białe motyle, ujrzała odrętwiałego mężczyznę siedzącego na głazie. Fala gorąca ogarnęła ją i nie poczuła nawet, jak pochłonęło ją coś nieznajomego, palącego i dziwnego. Zdawało się, że to lampa trzymana w ręku pali się coraz jaśniej i podobnie rozpłomienia się jej serce. Prawie że pobiegła korytarzem, by co prędzej ukryć się w bibliotece. Za plecami w ciemności gubił się cały dom, zgubiła się w nim babcia, śpiąca teraz błogim, niezmąconym snem, zgubił się i Chłopiec, który

przeżywał w tej chwili gorzką zadumę o swym nieco osobliwym przyjściu na świat. Na razie był wstrząśnięty i przygnębiony, chociaż później, gdy wróci do tego domu po wielu długich błądzeniach, nazwie swój ból ówczesny śmiesznym i zbytecznym. Teraz zaś leżał bezsennie i myślał, że jednak porzuci ten dom, a gdy to nastąpi, nigdy nie będzie za nim tęsknić.

Hala wbiegła do biblioteki i przystanęła zadyszana. Wciąż trzymała w ręku lampę i nie bez obawy ponad tą lampą popatrzyła w lustro. Coś w nim zadrżało i zakołysało się, i oto jest owo złociste mgnienie! — z żółtawej otchłani wynurzyła się bogini i lekko wniknęła w jej oczy i do serca. Łzy szczęścia potoczyły się Hali po policzkach, zachlipała jak dziecko i postanowiła, że nie będzie wypędzać ze swego serca owej bogini, niech już się stanie to, co do niej przyszło...

Zapewne chwilę tę ułowił również stary Iwan, co dzisiaj też nie mógł zasnąć. Żona spała obok, jemu zaś wydało się, że w środku nocy już tworzą się zalążki, co złożą się na dzień jutrzejszy. Pomyślał raz jeszcze, że jednak na tej ziemi istnieje ona — miłość, i dopóki jest, można się nie bać o słońce — czy będzie świecić za miliard lat, czy też nie. Zda się, że i jego dosięgło światło wysłane w nocy przez lampę Hali, przypomniał sobie jednak wówczas jedynie żółte liście, jakie dziś ujrzał na krzakach. Zbyt stary był ów pasterz kóz, za wiele myśleć musiał o tych żółtych liściach i już nie mógł radować się należycie szczęściem swojej wnuczki.

11

— Pokażę ci moje włości — rzekł Chłopiec do Neoniły.

Spotkali się na żółtej łasze naniesionej przez wodę: ona prała bieliznę, a on klęczał, brał w dłonie piasek i wyciągając pięści przed siebie przecedzał go pomału. Wywiewał się z nich przejrzysty pył, co zawisał trójkątem; dziewczynka zwróciła się wówczas ku Chłopcu i zajaśniała uśmiechem.

— A dużo czasu to zabierze? — spytała.

— Ze cztery godziny — rzekł, znów zaczerpnąwszy piasku.

— Na tak długo to muszę uprzedzić mamę — rzekła dziewczynka.

— To powiesz, że mam ci pokazać swoje włości.

— Coś ty! — cicho jęknęła dziewczynka. — A bo to można tak mamie powiedzieć?

Popatrzyła nań i nagle spiekła raka. Chłopiec spoglądał na nią i nie mógł oderwać oczu. Drgnął i nagle uprzytomnił sobie,

że nie na próżno coś go tak ciągnie do tej dziewczynki i nie bez przyczyny spotykając się z nią przeżywa taki miły spokój.

— Może twoja mama gdzieś wychodzi? — powiedział.

— Jak wychodzi — roześmiała się Neoniła — to zadaje nam tyle roboty, że ani obejrzeć się nie zdążymy, jak już jest w domu.

Chłopiec zmarkotniał.

— To może nie chcesz? — zapytał obojętnym tonem.

— Ależ chcę bardzo! — odparła dziewczynka i aż złożyła ręce. — Ale jak to zrobić?

— To już sama sobie radź — powiedział i wstał, aż posypał się piasek. Rzuciła nań okiem: był złocisty od opalenizny i z jasnymi drobinami piasku uwięzłymi w skórze.

— Zejdę na dół jutro o dziesiątej — rzekł tonem dowódcy. — Przyjdź pod tamtą skałę — ukazał ręką i nagle się roześmiał.

Nie śmiała oponować. Wprawdzie czuła się, jakby jej główkę ściśnięto obręczą, bo musiała się głowić, jak tu zadowolić jedno i drugie, ale wystarczył ten uśmiech, by się zgodziła na jutrzejsze spotkanie. Za plecami tego złocistego chłopaczka wyczuła wabiące i zagadkowe królestwo, i chciała w nie wkroczyć. Oparła energicznie na biodrze miednicę z bielizną i potrząsnęła stanowczo grzywką czarnych włosów.

— Postaram się przyjść — rzekła nie przeczuwając nawet, że tam, za szybą pierwszego okna, smętnie patrzą na nią wielkie oczy matczyne, a w sercu jej kołace, nękając i trapiąc, natrętny i niezbadany smutek.

12

Sierpień był w pełni. Iwan czuł go jak nigdy dotąd, bo coś rzeczywiście z nim się działo, odkąd zauważył, jak pająki zapalają na krzakach pożółkłe liście. Już od dwóch dni nie wychodził z kozami na wzgórki, jak gdyby nie pamiętał o nich, i Marija Jakiwna musiała sama chodzić pod kępy wikliny, by narwać trawy i nałamać witek. Tam to spotkała Chłopca, który wracał z kolejnej wędrówki po jarach i urwiskach: dopomógł jej nałamać gałązek i zanieść je na górę. Po drodze Marija Jakiwna wypytywała Chłopca o matkę i prababkę, ale zbył ją półsłówkami. Wszystko u nich jest w porządku, tak powiedział, teraz prababcia czuje się lepiej i nawet chodzi nieco. Mama? Mama, jak zawsze, ma mnóstwo zajęć. Zresztą teraz on sam mało przebywa w domu.

— Lato! — rzekł Chłopiec i zmrużył marząco oczy.

Marija ujrzała w tych zmrużonych oczach najprawdziwsze od-

bicie lata: z kwiatami, złotawym pyłkiem na nich, z owocami i zielenią. Poczuła od tego złotoskórego chłopaczka zapach rzeki i piasku i ujęło ją to jego bezchmurne dzieciństwo.

— Tam w jarach — opowiadał jak o czymś bardzo ważnym Chłopiec — są chodniki wypłukane przez wodę. A ja tam myszkuję. Wie pani, człowiek długo czołga się po ciemku, zanim doczołga się do końca. A tam, gdzie pieczara się rozszerza, wybijam dziurę w sklepieniu i mam dla siebie komnatę. Pani wie, ile ja mam takich komnat?

— Z pięć chyba — rzekła Marija Jakiwna.

— Dwadzieścia! — z dumą wymówił złotoskóry chłopaczek. — Na razie jestem wyłącznym właścicielem tych pieczar.

— A czy się tam nie boisz?

— Niby czego? — wydął usta Chłopiec, ale po tym, jak zaświeciły mu oczy, Marija Jakiwna już wiedziała, że czasami miewa stracha.

Później, po latach siedemnastu przypomną sobie to spotkanie na brzegu. Też będzie sierpień, który w czymś będzie przypominać sierpień owego odległego tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku. Tak samo siedzieć będą w ogródku, Marija Jakiwna postawi przed nim wazę z jasnożółtymi charłamówkami i niemal przejrzystymi renklodami i gruszkami o delikatnej skórce. Dokoła fruwać będą osy i siadać na tych jarzących się w słońcu owocach. Marija Jakiwna będzie je spędzać machając dłonią, a Chłopiec przyzna się jej, że wówczas, gdy łaził po jarach i jaskiniach, nie był aż takim wielkim bohaterem. Niekiedy oblewał go zimny pot, gdy gdzieś osypywała się glina albo coś zaszeleściło, bał się też śmiertelnie spotkania ze żmijami.

— To po coś tam łaził, urwisie? — śmiała się Marija Jakiwna.

— A bo mnie kusiło — przyznał się starej nauczycielce...

Iwan tymczasem siedział przy stole na werandzie i pisał. Pisał od samego rana, a że ciągnęło się to już od paru dni, Marija Jakiwna nie bez obawy spozierała w jego stronę. Prawie nie tykał jedzenia, kubek z mlekiem pokutował na stole godzinami, aż Iwan zmęczony do upadłego wypijał je jednym haustem. Padały jabłka w sadzie, zawiązywały się zielska, z góry na zagrodę spływał gęsty aromat piołunu — płakały tam od rana do nocy pijane od słońca świerszcze. A słońce zlewało na ziemię takie niewiarygodne mnóstwo promieni, że ludzie chodzili ze szpareczkami oczu wąskimi jak u Mongołów. Zdumiewające było również co innego: tuż nad ziemią czuło się już wyraźny chłód. Tymczasem, co jeszcze dziwniejsze, kilka kóz Iwana zdołało się zapłodnić. Oznajmiła o tym mężowi Marija Jakiwna, gdy niemal oślepły od słońca i znużony pisaniem zeszedł ze schodków

i jął spacerować po ogrodzie. Był pogodny i spokojny, niemal taki jak co dzień, przeto podzieliła się z nim tą powszednią nowiną. Spojrzał na nią z uwagą, jakby sobie coś przypomniał, i uśmiechnął się delikatnie.

— To już zbytki, Marijo! — rzekł ze spokojem i wziąwszy nóż ze stołu jął obierać ze skórki jabłko. Cienkie i jasne pasemko wiło mu się między palcami i patrząc na to pasemko Marija poczuła nagle, że dech jej zapiera: ogarnęło ją przeczucie jakiegoś nieszczęścia. On zaś pozostawał równie spokojny, nożem rozciął jabłko na pięć cząstek i z każdej starannie pousuwał nasionka. Rzekł do niej cicho i czule:

— Siądź, zjemy sobie po jabłku.

Gdy usiadła, podsunął jej spodeczek z obranym owocem, a sam zabrał się do obierania następnych. Bez pośpiechu jedli jabłka, które były świetne i fantastycznie pachniały — bił od nich zapach sierpniowego słońca.

Po czym położył rękę na jej dłoni i rzekł równie cicho:

— Mały spadek pozostawiam ci, żono.

— O czym ty mówisz, Iwanie? — spytała z lekkim niepokojem.

Nie odpowiadał. Patrzył zwężonymi od słońca źrenicami, co sączyły na świat spokój błękitny i niezmierzony.

13

Z pierwszymi promieniami słońca Hala odkryła w sobie niezwykłą lekkość i ożywienie. Powietrze wokół było niebieskawe, a gdy spoglądała w dolinę, widziała kłębiącą się tam mgiełkę — Stary Piskorz, co wytrząsał sieci nad rzeką, przypominał w tym momencie jedwabnika, który z najcieńszych nitek zwija swój mieniący się kokon. Patrzyła na dolinę i tego „jedwabnika", a z ust jej popłynęła mimo woli cicha i nieco smętna nuta. Nucąc poszła korytarzem i pchnęła drzwi od pokoju syna, by obudzić śpiocha, ale Chłopca w izbie nie znalazła, jedynie zasłane łóżko. Ściągnęła brwi, ale z cicha nucona melodia nie dała jej czasu do namysłu, gdzie się podziewa syn o tak rannej godzinie. Poszła do babki zapytać, co życzy sobie na śniadanie. Jednakże jej też nie zastała w izbie, co zdumiało ją jeszcze bardziej, jako że babcia lubiła się wylegiwać. Ruszyła na dwór, a gdy stanęła w progu, od stóp do głów zalało ją słońce i ujrzała na dworze niewielki stolik przykryty lśniącobiałym obrusem. Przy stoliku siedziała stara z Chłopcem i o czymś z przejęciem rozmawiali. Chłopiec był już po śniadaniu, bo odsunął talerz i dopił kawę poranną, którą przygotowywała z żołędzi sama Hala,

stara zaś trzymała w jednej ręce nie dojedzone jajko, a w drugiej lśniącą srebrną łyżeczkę.

— Postanowiliśmy zjeść śniadanie bez ciebie — rzekła babka — bo nasz kawaler zamierza pokazać damie swego serca jary i pieczary.

— Tutaj nie ma żadnych dam! — wybuchnął Chłopiec. — To jest moja koleżanka i tyle!

— No, wiadomo — rzekła stara. — Ale czy nie można zażartować? Poczucie humoru jest nieodłączną cechą mieszkańców tego domu, czyż nie tak, Halusiu?

— Z wyjątkiem chłopców — uśmiechnęła się od progu Hala, oni zaś zapatrzyli się na jej urodę.

— Dlatego też nie zostają długo w tych murach — podchwyciła równie wesoło babcia.

— W tych murach nawet niedźwiedź straci poczucie humoru — burknął Chłopiec.

— A co, nie podobają ci się te mury, kawalerze? — uniosła brwi stra.

— Nie podoba mi się, jak mnie ktoś nazywa kawalerem.

— Spróbowałbyś rzec coś takiego niegdysiejszym kawalerom! Wyciągnęliby swoje szpady i naszpikowaliby cię!

— Dzisiejsi kawalerowie są nimi dlatego, że się tak nie nazywają — przyszła z odsieczą synowi Hala. — A naprawdę to gdzie się wybierasz, muszkieterze?

— Obiecałem Neonile pokazać swoje włości.

— I będziesz ciągać to delikatne stworzenie po jarach i urwiskach?

— Ona nie jest delikatnym stworzeniem. Z delikatnymi stworzeniami to bym się nie zadawał!

— A ona się na to zgodziła?

— Pytanie! — Chłopiec już wstał zza stołu. Słońce oświetlało go z tyłu, złocąc mu wicherek na głowie.

— Ależ on ma tupet — rzekła Hala patrząc, jak odchodził. — W jego wieku chłopcy nie dają po sobie poznać, że idą na randkę z dziewczyną.

— Nie przejmuje się tym ani trochę — rzekła. — Dlatego nie próbuje ukrywać.

— Czasem wydaje mi się, że nie nękają go żadne kompleksy — rzekła Hala. — A już najmniej uprzejmość i skromność. —

— Tacy w tym domu byli wszyscy mężczyźni — odparła stara. — Prawie wszystkich ogarniała pycha...

Powiedziała to nie bez pychy i Hala obruszyła się:

— A cóż w tym dobrego?

— Czy ja coś mówiłam o dobru i złu? — uniosła brwi stara. — Stwierdziłam fakt, a na fakty nie ma rady.

— Wszystko da się zmienić, babciu — odparła Hala i chlusnęła sobie w twarz wodą z umywalni.

Wycierała się śnieżnobiałym ręcznikiem, a gdy wynurzyła się spod niego, ujrzała babcię siedzącą z zaciśniętymi ustami.

— Wielkie głupstwo powiedziałaś, kochanie — zauważyła babcia po mentorsku. — Wiesz, o czym nieraz myślałam? Byłoby bardzo smutno na tym świecie, gdyby nie dało się na nim czegoś zmienić. Ale byłoby jeszcze smutniej, gdyby nie było na nim nic niezmiennego.

Hala podeszła do stołu.

— To ty dzisiaj przygotowałaś śniadanie czy Chłopiec?

— Dużo ty wymagasz od swego Chłopca — prychnęła stara. — To ja je przygotowałam!

Tak dumnie uniosła brodę i minę miała taką uroczystą, że Hala raptem osłupiała: masz ci los, stara coś przeczuła w dniu dzisiejszym. Mimo woli spojrzała w dół na ścieżkę prowadzącą do ich domu, ale jak zwykle nie było na niej nikogo.

— Chcesz powiedzieć, że to kredą w kominie zapisać? — z tryumfem wygłosiła stara. — Nie, to mnie, kochanie, przyśnił się wyjątkowo piękny sen.

14

Wyjątkowy sen przyśnił się dziś również Włodzimierzowi. Przywidziała mu się wysoka góra ze wspaniałym pałacem na szczycie, górę tę opasywało kilka ciernistych żywopłotów, wykopano w niej kilkanaście wilczych dołów, usypano wały, wykopano rowy i opleciono to wszystko drutem kolczastym. Czołgał się pod te druty z nożycami, raz po raz kładł się na plecy i przecinał drut. Podobnie strzygł również gałązki cierni, piędź po piędzi przedzierając się pod górę. Niekiedy wpadał do dołu, rażąc przy tym dotkliwie okaleczoną nogę, bolało go, ale zaciskając zęby wykrawał nożycami w glinie stopnie i zaczepiając się i krwawiąc gramolił się w górę. Przełaził na wałach przez ogrodzenia i przepływał wodę w fosach. Wszystek jego ubiór przekształcił się w brudne łachmany, zwisające strzępami z ciała, ręce i twarz wymazane miał błockiem, buty na nogach rozmiękły i mlaskały obrzydliwie, zapomniał nawet, dokąd i po co idzie — wiedział jedynie, że iść musi bezwarunkowo. Pot ściekał mu z czoła, rozmazując na nim brud, dookoła trajkotały świerszcze i gruchała uspokajająco turkawka. Bezsilny i wyczerpany leżał na przedpolu rozległej piaszczystej równiny, tuż przy nim leżał jego towarzysz i już, już mieli pobiec do szturmu. Jednakże nie był w stanie tego dokonać, nogi ugięły się

pod nim, gdy zerwał się do biegu, i jął spadać wirując w powietrzu. Szarpnął pierścień umocowany na piersiach i zakwitła nad nim biała czasza spadochronu. Targnęło nim, podrzuciło i jął spadać wolniej. Szybko zbliżała się doń ziemia i już rozróżnił na niej parterowy budynek szkoły. Obok inne zabudowania, a na dziedzińcu stoi Ołeksandra Panasiwna i z nią razem gromadka jej dzieci. Wszyscy zadarli głowy i patrzą w niebo, w niebo spogląda również Marija Jakiwna, która doiła na podwórku kozy, zerknął też w niebo siwy pasterz kóz i oczy jego ukazały się Włodzimierzowi niczym dwa jasnomodre jeziorka... Wylądował na dziedzińcu szkoły i łzy pociekły mu z oczu palące i rzęsiste. Posłyszał lekki szelest jedwabnej sukienki i ujrzał przy sobie smukłe nogi, wokół których falowało błękitne morze jedwabiu. Czyjeś ręce uniosły jego głowę i do ust popłynął mu nektar. Włodzimierz poczuł błogie znużenie wysysając ten cudowny napój — po jego ciele rozlewały się tysiące gorących strumyczków. Z tego powodu raptownie przeniknęła go dziwna błogość. „Boże — szeptał przewracając się na łóżku — cóż to za męka nie do zniesienia!"

Obudził się i o mało nie oślepł od księżyca patrzącego mu prosto w twarz. Wokół trwała głęboka, cicha i bezkresna noc, głęboka i bezgraniczna cisza. Pomału przymocował do nogi protezę, ubrał się i kuśtykając mozolnie wyszedł na dziedziniec, szkoły. W kącie stała rozklekotana ławka, na której przysiadł. Zwinął skręta i zapalił. Suchy dym przyjemnie przeniknął mu płuca, przewiewając drogi oddechowe. Księżyc świecił mu w plecy kładąc długi cień na dziedzińcu. Dym w promieniach księżyca zdawał się jasnoniebieski; pod kasztanem poniewierały się obficie opadłe w ciągu nocy zielone jeżyki, gdzieś w oddali kichnął i zasapał pociąg, i Włodzimierzowi wydało się, że w owej nocy i pod tym księżycem niepomiernie rośnie mu serce. Miękko fosforyzowały białe mury szkoły, mrocznie spoglądały okna, jak gdyby ten dom był żywą istotą. Gdzieś w pobliżu zapiał kogut i niebo, pełne rozmigotanych gwiazd, nagle się rozjaśniło. Powiał świeży, nieomal ostry wiatr i on to właśnie na moment obudził liście kasztanów. Zaszeleściło głucho i na ziemię z tępym łoskotem posypał się jeszcze z dziesiątek zielonych jeżyków. Włodzimierz wyciągnął się w stronę najbliższego, rozłupał i w dłoń upadło mu białe jądro. Pełną piersią wetchnął wilgotną, świeżą, gorzkawą woń; powietrze dookoła już drżało nasączając się niepewnym, szarym, ale swoiście wabiącym światłem, i w świetle tym, stopniowo napełniającym niebo, w całej jego nagości Włodzimierz poczuł się samotny i zagubiony. Zdawało mu się, że piersiom zabrakło powietrza, świat stał się kulisty i lodowaty, jemu zaś pozostało tylko siedzenie bez słowa na tej oto ławce.

Wyszedł z dziedzińca porzucając na nim tlący niedopałek i nagle ruszył pod górę, tę właśnie, która tak niespodzianie mu się przyśniła. Kroczył powoli, miarkując, gdzie postawić nogę, pojękując z cicha, gdy przekrzywiała się niewygodnie, z czoła ciekły mu strumienie potu, rześki wiatr poranny owiewał go z góry szerokim, zimnym ciągiem. „Boże, Boże — pomyślał patrząc, jak gasną nad górą gwiazdy jedna po drugiej — jakie szaleństwo bezlitosne mnie prowadzi, jakie niezbadane szaleństwo!"

Często przystawał, by odpocząć, niekiedy siadał na skałce, a niebo nad nim rozjaśniało się i ogromniało; wydało mu się, że w przedziwny sposób jednoczy się z tym niebem, ogromniał i rozjaśniał się sam, widok zaś roztaczający się przed nim, w miarę jak wspinał się coraz wyżej, zachwycał go coraz bardziej: omglone wzgórki, modra rzeka w kłębach dymu czy mgły, zarośla i drzewa zastygłe niczym wypukłorzeźby wyciosane przez opętanego snycerza. Trudno mu było patrzeć na ten świat przedranny i czuć w sercu bryłę swojej beznadziejnej miłości. Zdumiał się nawet, że stoi tutaj, na skale, tuż przy uśpionym domostwie, z którego raz po raz dobiega pianie koguta — strach go ogarnął, że mogą go dostrzec z tych ślepawych i na pozór wymarłych okien. Miał nawet wrażenie, że istotnie ktoś przez nie wygląda; bolała go nadwerężona wysiłkiem noga, pot wysychał na czole, ale Włodzimierz nie był w stanie zrejterować tak szybko. Siedział na skale i czuł lekki ziąb, jakim tchnął wietrzyk przedranny: szczęście i rozpacz wzięły go w swoje posiadanie.

Istotnie, z domostwa śledziła Włodzimierza para bystrych oczu. Stara, której sen się nie imał tej nocy, przylgnęła do szyby i widziała całe owo dziwaczne krążenie Włodzimierza po wzgórzu. Miała sporą satysfakcję i podniosło ją to na duchu. I czy to jeszcze pod wpływem snu, czy też po prostu tak pochłonęła ją ta iluzja, że stara zapomniała zgoła o swoim podeszłym wieku. Miała wrażenie, że wróciły dawne czasy, bo wszystko to działo się podobnie jak z nią niegdyś. „Tyle że mój — pomyślała stara — nie był taki okropnie nieśmiały. Przyszedł owego ranka i zapukał w moje okno!"

Włodzimierz wstał i skierował się w stronę domu. Nieznana siła kazała mu podejść bliżej, głos jakiś zachęcał go, by podszedł do okna — wiedział nawet, do którego — i lekko zapukał w szybę. Widział to okno, węższe od innych, z obłamaną rzeźbioną futryną, ręka świerzbiła go nie do zniesienia; w innym oknie dygotała z niecierpliwości stara, z podniecenia aż zakręciło się jej w głowie, bo i miała czym się podniecać.

Włodzimierz jednakże dotarł tylko do furtki. Przystanął jak lunatyk i długo stał na ścieżce w bezruchu. Świt już do ostatka wybielił niebo i szarość z wolna tajała, rzedła i przejrzyściała.

Wówczas Włodzimierz obejrzał się na wschód i ujrzał raptem, jak na horyzoncie jęła się mienić jasnomalinowa smużka. Owa gra świateł zaniepokoiła go i jak gdyby obudził się ze snu: jakim cudem zapędził się aż tutaj i stoi przed tą furtką? Cofnął się speszony rzuciwszy niepewne spojrzenie na okna i pokuśtykał w dół właśnie wtedy, gdy Hali przyśniły się ptaki lecące na czerwonym niebie.

Stara westchnęła z rozczarowaniem i podreptała do swego łóżka. Położyła się i usnęła, i przespała kilka bitych godzin, a po obudzeniu przypomniała sobie dziwnego włóczęgę snującego się po ich wzgórzu. Roześmiała się cicho i pokiwała głową. „Mój jednak był odważniejszy — pomyślała sobie z dumą. — Zresztą i mój... też był ciepłe kluski!"

15

Gdy Hali przyśniły się ptaki na czerwonym niebie, odzyskała dawniejszą skłonność do kręcenia się przed lustrem jak trzpiotka. Bogini owego ranka weszła do jej serca i cała zalśniła, zajaśniała — brzask słoneczny odbił się na dnie jej oczu, co niebywale zmodrzały. Przymierzała po kolei wszystkie swoje sukienki, wreszcie wybrała błękitną, a gdy pokazała się starej, ta aż krzyknęła z wrażenia, jako że nigdy jej wnuczka nie wyglądała tak czarująco.

— Pójdę sobie na spacer! — rzekła Hala nie patrząc w jej stronę, bo trudno jej było znieść przebiegłe zmrużenie oczu starej.

Babcia nie odpowiedziała, więc Hala przeszła koło niej i jak gdyby przeniosła ze sobą cały sierpień: błękitne niebo z kłębiastymi chmurami, smak i zapach dojrzałych owoców, ociężałe i bujne kwiaty i chłód ustały nad ziemią wraz z najjaskrawszym słońcem. Posmutniała stara patrząc na wnuczkę, bo zdało się jej, że niedługo utrzyma ten swój przypływ energii, tę niezwykłą rześkość i jasność w głowie i w ciele — było to również przeczucie jesieni, jakiego doznał i pasterz kóz Iwan, oboje z siostrą czuli się wówczas jednakowo.

Iwan po raz pierwszy przeląkł się jasności i światła, jakie zeń biły, a jego siostra swego ożywienia i zdrowia. Dlatego też zasmęcili się przez parę minut w ów cudowny, pachnący, osłoneczniony ranek sierpniowy i nikt nie podzielił z nimi owego smętku: i Hala, i Marija Jakiwna były owego ranka zbyt zajęte: Hala schodziła ze wzgórza, a Marija Jakiwna rwała w tym czasie trawę dla kóz...

Hala śpieszyła się tylko do skały. Później zrobiła się znów stateczna i przezorna. Widziała rzekę i Starego Piskorza, zastawiającego sieci na dzień. Później będzie siedzieć na kamieniu i czekać, aż w te sieci wlezie głupia ryba — może się to przeciągnąć jeszcze niejedną godzinę. Po drugiej stronie rzeki ujrzała dwie wątłe postacie i w mig je rozpoznała — to Chłopiec prowadził starszą córkę Ołeksandry Panasiwny, by pokazać jej swoje włości. Serce Hali zakołatało zazdrośnie, ale i śmiać jej się chciało z ich zaaferowania — żwawo szli białą, jak gdyby z sera wykrojoną ścieżką. Ujrzała również dziadka Iwana, który nie wyszedł dzisiaj z kozami na górki, lecz powoli przechadzał się po swoim ogródku, pochylając białą zwichrzoną czuprynę. Kozy beczały i wysuwały spiczaste pyski z komórki, a we wrota wchodziła Marija Jakiwna z workiem trawy i liści.

Spod nóg Hali frunęły pasikoniki, wzlatywały na szarych i zielonych skrzydłach, siadały w pobliżu; pachniało cząbrem i piołunem, a nadto dobrym złocistym miodem. Hala stąpała po żwirze w białych pantoflach na wysokim obcasie i żwir jej wcale nie przeszkadzał: słońce świeciło jej prosto w oczy. Mrużyła je i wpatrywała się w kłębiące się chmurki. Jedna ręka ściskała białą torebkę, a druga swobodnie płynęła przy biodrze. Hala niekiedy potykała się i balansowała ręką w powietrzu, jak gdyby się spodziewała, że lada chwila podtrzyma ją na tej stromiźnie czyjeś mocne ramię.

Taką ją ujrzał z dziedzińca szkolnego Włodzimierz: błękitny motyl sfruwał ze zbocza górki, chwiał się i trzepotał skrzydełkiem. Spłoszyło go to zjawisko. Wycofał się w swoje drzwi i ukrył w izbie. Usiadł, by ochłodzić pałającą twarz i uspokoić bijące mocno serce — motyl na górze wyglądał tak fascynująco i niezwykle. Kto wie, może powinien był pójść i podać temu motylowi rękę, zamiast uciekać tak sromotnie?

Coś pociągnęło go do otwartego okna i stanął przy nim właśnie w chwili, gdy podeszła tam również Hala. Ujrzała go i ukłoniła się trochę niezręcznie, a na ustach jej zajaśniał uśmiech — speszony i nieśmiały. To starczyło, by grobla, jaką budowali między sobą, nagle runęła.

— Dzień dobry! — wypowiedziały usta Hali.

— Dzień dobry, Halino Iwaniwno — wyszło i z jego ust. — Dokąd pani idzie?

— Na spacer — odparły jej usta i powiała błękitną ręką. — Nie można przecież tkwić w domu cały czas.

— Oczywiście — podchwyciły jego usta. — Prawdę mówiąc, też się zasiedziałem. Czy mogę służyć towarzystwem?

Spojrzała nań leciutko rozszerzonymi oczyma i Włodzimierz raptem zachłysnął się przedziwną urodą, jaką roztaczała. „Zwa-

riowałem" — pomyślał stropiony, lecz ani rusz nie mógł się oderwać od tych urzekających oczu.

Hala nieco przybladła ze wzruszenia, palce jej zatańczyły na torebce, którą trzymała przed sobą jak tarczę, usta zaś wyszeptały tak, że ledwie dosłyszał:

— Z miłą chęcią — były to najcichsze jej słowa. — Spacer w pojedynkę nie jest nazbyt przyjemny.

16

Chłopiec przystanął na górce, z której roztaczał się widok na wszystkie cztery strony świata. Zawsze czuł na niej szczególne uniesienie ducha, wydawało mu się, że cały szeroki świat rozpostarł się przed nim i dość jemo wyciągnąć rękę, by padł i poddał się zwycięzcy. Wprost przed nim widniały pocięte jarami urwiska, rzadko porosłe krzakami leszczyny, a za nimi ciągnęły się już zżęte pola ze złotymi jeszcze ścierniskami, dalej zarysowywała się zielona bania cerkwi i kłębiła się gęsta roślinność wiejskiego cmentarza. Rzeka uchodziła w głąb i wpijała się w modrą szczotkę lasu — właśnie za nią co dnia zachodziło słońce i Chłopiec lubił podziwiać, jak się rozpala zarzewie wieczoru, jak gdyby sam las był ogarnięty pożarem.

— To są moje włości — rzekł z dumą do dziewczynki stojącej przy nim ramię przy ramieniu.

— Nigdy tutaj nie byłam — rzekła cicho Neoniła, a oczy miała korne i urzeczone.

— Zewsząd tu widać świat szeroki! — wymówił Chłopiec, a jego przymrużone oczy roześmiały się i zaświeciły.

„Czasem, jak tu człowiek stoi — pomyślał — ogarnia go chęć, by iść nie oglądając się za siebie."

Dziewczynka zwróciła się doń patrząc z oddaniem i jakimś zachwytem.

— Chodźmy! — rzekł krótko i rzucił się kłusem z górki.

Wprawnie zbiegali ze stromizny, waląc piętami, aż dostali się na najbliższe urwisko.

— Patrz, jak ja biegnę! — rzekł Chłopiec i rozpędziwszy się błyskawicznie pobiegł środkiem urwiska. Glina usuwała mu się spod nóg i opadała na dół z donośnym łoskotem.

— Ja tak nie potrafię — zawołała dziewczynka, gdy stał już po tamtej stronie stromizny.

— Spróbuj!

Zamachała rękoma przecząco i pokręciła głową, choć ją korciło, by tak samo pobiec przez urwisko. Jednakże ukryty instynkt dziewczynki powstrzymał ją i podpowiedział, że lepiej wydać mu

się słabszą i bardziej bezradną. Biegł już z powrotem tym samym urwiskiem, pełen kogutciego wigoru i zarozumiałości chłopackiej, a gdy słońce opromieniło jego gołe do pasa ciało, zaświeciło ono raptownie złotymi włoskami. To najbardziej zdumiało dziewczynkę, bo w chwili, gdy ujrzała złotego chłopaka biegnącego jej naprzeciw, wydało się jej, że cały świat uległ dziwnej przemianie.

— Nauczyłeś się tu takich harców! — pochlebiła mu, ale twarz jego straciła już przeżywany dopiero co zapał.

— Wiesz co? — powiedział nachylając się ku niej jak spiskowiec. — Wciśniemy się do najbliższej pieczary.

Poszedł pierwszy w dół po zboczu i nie oglądał się za siebie, bo pewien był, że pójdzie za nim bez wahania. Poszła więc, kierowana nie tyle rozsądkiem, co instynktem, dzięki któremu kobieta chętnie idzie w ślady mężczyzny. Doszli do kępy leszczyny, w której czerniała jama. Za chwilę Chłopiec zniknął w tej jamie, a po jakimś czasie wyszedł zza krzaków.

— Wszystko w porządku — rzekł. — Można tam wejść!

Znów dał nurka do jamy, ona zaś poczuła, że serce skurczyło się jej w piąstkę, a po grzbiecie przeszły ciarki strachu czy też zachwytu. Zagryzła usta i dziarsko wśliznęła się za Chłopcem.

— Ostrożniej — usłyszała w ciemności jego słowa — tutaj trzeba się czołgać. Nie śpiesz się, żeby nie zawadzić o korzenie.

Widziała już, że się poczołgał, bo z jego strony zaszurała glina i zaczęła się obsypywać. Ręce jej i kolana trafiły na pulchną ziemię, co powiała na nią wilgotnym mrokiem, jednakże sunęła naprzód, bo słyszała przed sobą stłumione sapanie Chłopca. Dalej przejście się rozszerzyło i mogła już iść na czworakach, a po jakimś czasie znaleźli się w skąpanej w słońcu glinianej kotlince. Były tu wykrojone łopatą siedziska, na które narzucono suchej trawy i liści. Chłopiec usiadł na jednym z nich jak na tronie.

— Odpocznij — zaproponował. — Stąd można się już wydostać na górę. Ale zaprowadzę cię dalej. Nie boisz się?

Wydęła górną wargę z lekceważeniem: czegóż miałaby się obawiać, skoro są razem?

— Dzielna jesteś! — pochwalił. — Z tobą warto trzymać sztamę. Chodźmy!

Ruszył dalej, więc nie zobaczył, jak mocno pokraśniały za jego plecami policzki Neoniły. Dumna była z takiego zaufania i przez to naprawdę się nie bała.

Czołgali się długo. Wreszcie zamigotał przed nimi promyk — przez niewielki otwór wpadała smuga jaskrawego blasku. Rozpraszał się po przestronnej glinianej grocie, w której niczym stalaktyty gęsto zwisały długie korzenie. Było tu jeszcze chłodniej

i wilgotniej, za to polepa usłana była sianem i liśćmi. Szeleściło im pod kolanami; dziewczynka rozglądała się szeroko rozwartymi oczyma.

— Odsłoniłem ci największą z moich tajemnic — wyszeptał głośno Chłopiec, a jego ręka, która trafiła w smużkę światła, zajaśniała czystym złotem. — Przez wzgląd na naszą przyjaźń — wygłosił równie uroczyście — nie masz prawa pisnąć o niej ani słowa. Nikomu! Obiecujesz mi?

— Tak! — wysapała.

— Jak ci się wydaje — ciekawie jest tutaj?

— Trochę mam stracha.

— To tylko z początku — rzekł z pobłażaniem. — W ogóle jest tu spokój i często tutaj przychodzę.

— Sam? — zdziwiła się dziewczynka.

— A niby z kim? — rzekł chełpliwie. — To są moje posiadłości i z nikim nie zamierzam się nimi dzielić.

— A ze mną?

— Ty jesteś dziewczyna — roześmiał się. — Jak dorośniesz, to możesz zostać moją żoną. Czy chcesz zostać moją żoną?

Osłupiała z powodu takiej jego szczerości. Strach mimowolnie musnął jej serce, ale w tej chwili ujrzała jego twarz skąpaną w słonecznym świetle — zatrzymał się pod tym prześwitem. Twarz zazłociła się i zalśniła, i Neoniła zdumiała się, jaka jest spokojna i poważna. Skinęła głową na znak, że zgadza się zostać jego żoną.

— Powiedz mi to głośno — powiedział czy też raczej rozkazał. Speszyła się jeszcze bardziej.

— Czemu nic nie mówisz?

— Jakoś się boję — wyszeptała. — I wstydzę się...

— Nie masz się czego wstydzić — powiedział. — To będzie nie teraz, ale może za dziesięć lat. Może i za piętnaście, przez ten czas wiele się zmieni, może się rozstaniemy na rok albo i więcej...

Twarz jego, skąpana obficie w słonecznym blasku, zrobiła się nagle dorosła, a nawet stara. Mówił z niedziecięcą powagą i Neoniła znów nabrała zaufania. Wiedziała już, że w tej chwili nie ma prawa milczeć, że chodzi tu o coś wielkiego i ostatecznego.

— Chcę zostać twoją żoną — wyszeptała.

— No to przysięgnijmy — rzekł uroczyście. — Tutaj, w tej pieczarze, przy tym świetle. Zatniemy się w palec i jak niegdyś Indianie połączymy naszą krew.

Zadygotała ze szczęścia słysząc, jak brzmi jego głos — uroczysty i namaszczony.

— Mów: przysięgam, że nigdy nie zapomnę mego narzeczonego!

— Przysięgam! — odparła.

— I ja przysięgam! — wypowiedział Chłopiec. — Nigdy nie zapomnę o mojej narzeczonej!

Sięgnął do kieszeni, wyjął scyzoryk i zaciął się w palec.

— I ty się zatnij! — rzekł podając jej scyzoryk.

Ona też się zacięła w palec i zetknęli swoje skaleczenia.

— Krwią potwierdzamy naszą umowę!

Nic nie odpowiedziała, jedynie w kącikach oczu zaświeciły jej jasne kryształki.

17

I Hala, i Włodzimierz poczuli, jak się coś w nich przedarło; rozpętany potok, tamowany tak długo, nagle przerwał groblę, którą piętrzyli nieświadomie, zapomnieli o wszelkich wagach i przeciwwagach, zastrzeżeniach i konwenansach — ciała ich wybuchły natarczywym płomieniem, w którym spłonęły wszystkie ich pilne sprawy. Hala zapomniała nagle o swoim domu na wzgórzu, o babci, o namoczonej wczoraj bieliźnie, obiedzie, który dopiero miała ugotować, Włodzimierz zaś wyrzucił z głowy wszystkie szkolne kłopoty, zapominając nawet uprzedzić Ołeksandrę Panasiwnę, by zamiast niego przyjmowała zapisy do pierwszej klasy. Od chwili gdy wyszedł z dziedzińca szkoły i wyruszył ramię w ramię z tą kobietą, której obraz już nie dawał mu zasnąć, mimochodem wpadł w to leciutkie zapominalstwo właściwe wszystkim zakochanym. Widział jeno słońce jaśniejące na bezchmurnym dziś widnokręgu i jasnomodre niebo, co aż kołysało się nad ich głowami, takie było bujne i soczyste. Kierował kroki tam, gdzie co dnia zwykł chadzać pielęgnując swój smutek. Z oczu spadła mu jakaś przesłona, a z serca więzy, tak długo na nim ciążące; mówił lekko i swobodnie i nawet tego nie zauważał. Podobnie czuła też Hala, wydało się jej, że błękitną ma nie tylko sukienkę, ale i sama stała się lekka i eteryczna. Przenikało ją niebo i słońce, świeciło w jej zmrużonych oczach, a w jej sercu hulał ciepły, świetlisty wiatr, co rozmrażał w niej wszystkie ciemne zakamarki, zasypując je wiecznie młodym zdumieniem. Niespodziewanie dla siebie samej również stała się rozmowna i wpadając mu w słowo jak gdyby chciała odzyskać czas utracony.

Przeszli zaporę i udali się wzdłuż Teterewa w stronę wieży ciśnień, tam skręcili w przecznicę i o mało nie popsuł im humorów pies, który rzucił się na nich z ujadaniem. Włodzimierz przybrał postawę obronną zasłaniając Halę, lecz odsunęła go

szybko i z uśmiechem podeszła do psa. Zamachał ogonem, przysiadł posłusznie, po czym zaskomlał błagalnie, jak gdyby prosząc o przebaczenie.

Wyszli na miejsce, w którym Włodzimierz dzielił ze świerszczami swoją tęsknotę — jak gdyby umyślnie przyprowadził ją tutaj. Tu, jak za każdym razem, nad siwymi kępami piołunu tańczyły bielinki kapustniki fantazyjnie podrywając się i przysiadając; opodal szumiała rzeka, po której płynął czółenkiem rybak w żołnierskich bryczesach i waciaku. Rybak sprawdzał więcierze przebierając palcami w okach czarnej siatki.

— Zaraz coś złapie — rzekła Hala i pomyślała: „Oby nam na szczęście!"

Rybak schylił się gwałtownie, a z wody wyskoczył wielki srebrny głowacz.

— Widzisz! — rzekła Hala. — Złowił jednak, a ja sobie coś przy tym pomyślałam.

Chciał ująć w ręce tę twarz nachyloną nad nim szelmowsko i zacząć ją obcałowywać. Przeszkadzał rybak, co z tryumfem ściągał z haczyka głowacza, głowacz trzepał go po rękach ogonem, a łuska na nim jarzyła się w słońcu jak lustro.

— A cóż takiego pomyślałaś?

— Nie powiem! — odparła Hala na pół szeptem. — Coś równie wielkiego jak ten świat, i dobrego.

Nie dopytywał się, ujął tylko jej rękę i mocno uścisnął. Roześmiała się miękko i srebrzyście, aż rybak zwrócił ku nim twarz rozognioną od rybackiego szczęścia.

Włodzimierz poczuł się nieswojo tutaj, gdzie spoglądała na nich owa twarz, choć dookoła opętańczo cykały świerszcze, a słońce nasycało piołuny taką esencją zapachu, że aż gorzko robiło się w ustach. Pomyślał, że wszystko to jest zbędne: piołuny, motyle i szare głazy, zapragnął rozległego pola, na którym widzieliby jeno złoto ściemniska, niebo i słońce.

— Chodźmy stąd! — rzekł i poszli wzdłuż skalnych urwisk. Pod ich stopami kołysał się tymianek, burzany ocierały się o ich łydki i wysypywały nasionka, a gdy Włodzimierz zerknął na nogi Hali, ujrzał, jak świecą. „Złotonóżka!" — pomyślał z zachwytem i objął spojrzeniem jej profil, rzeźbiony i delikatny, godny dłuta największego mistrza. Słońce przeświecało kędziory wijące się wokół czoła i skroni, okalając jej głowę czystym i równym nimbem.

— Dokąd idziemy? — zapytała.

— A bo ja wiem? — roześmiał się. — Tam, gdzie słupy podpierają niebo.

Obdarzyła go lekkim uśmiechem. Wówczas wziął ją pod rękę i aż przystanęli, bowiem napadł na nich i omal nie zadusił pozbawiając tchu taki gorący wicher, jaki się w sierpniu nie zdarza.

18

Stary pasterz kóz Iwan Szewczuk dopisał swój piąty zeszyt nad ranem. Świtało ledwie, gdy wyszedł na werandę. Sad i zieleń dookoła były obsypane tysiącami iskier i wszystko od nich aż posiwiało. Słońce przed chwilą wzeszło nad wzgórzem, ale promienie jego tutaj nie docierały. Rzeka w oddali otulała się przejrzystą mgiełką i nawet ulice lśniły od wilgoci.

Zeszedł z werandy, odezwały się do gospodarza kozy wysuwając pyski z komórki, ale nie zwrócił na nie uwagi. Szedł ścieżką przez sad i mimochodem dostrzegał w trawie wspaniałe, okryte rosą charłamowskie jabłka. Wrócił po koszyk i nazbierał ich do pełna. Jabłka były żółte, pękate i tak aromatycznie pachniały, aż starcowi zrobiło się ciepło na sercu.

Postawił kosz z owocami tuż obok, na werandzie, usiadł w fotelu i zapatrzył się na dachy. Widział żony śpiące przy mężach i dzieci, co niespokojnie rozkopywały się z kołder i prześcieradeł. Widział babcie nie mogące usnąć, niektóre leżały z otwartymi oczyma, a żwawsze już zaczynały dreptać po podwórkach. Łamały chrust i rozniecały ogień pod letnimi kuchniami; Stary Piskorz szedł w stronę rzeki z koszem opatrzonym wieczkiem. Zgubił się we mgle nadrzecznej, a po jakimś czasie wyjdzie z niej z trudem dźwigając napełniony kosz. Po czym jak co dzień truchcikiem pobiegnie na targ. Siwy bednarz chodził po podwórzu, nachylał się, podnosił klepkę czy obręcz i znów rzucał je na ziemię: pracować już nie mógł, ale też nie potrafił siedzieć bezczynnie. Będzie się tak kręcić aż do śniadania, a zasiadłszy do stołu, jeść będzie machinalnie: zda sobie sprawę, że już nigdy... Wyszedł na podwórze również Kozodój ziewając tak, że cała ulica poczuła nieświeży odór z jego ust, i poczłapał do komórki capa. Jedli już śniadanie mężczyźni idący gdzieś dalej do pracy, przy nich z rękoma skrzyżowanymi na brzuchu stały ich rozespane żony — oczy miały prawie zamknięte i wyraz spokoju królował na ich twarzach.

Iwan zobaczył owego ranka również swoją siostrę, w tym celu musiał się obrócić w fotelu i zadrzeć głowę do góry. Stara stała przy furtce i patrzyła w dolinę. W domu spał Chłopiec z gołą nogą zarzuconą na kołdrę, a Hali nie było.

Iwan przeniósł spojrzenie na szkołę. Na wąskim, jednoosobowym łóżku spało dwoje ludzi ściśle przytulonych do siebie. Cichy uśmiech spłynął na usta Iwana, ręka sięgnęła po ołówek.

Tymczasem ukazało się słońce, zatopiło ogród i werandę z siwowłosym mężczyzną — wszystko zajaśniało i zamigotało, miriady kropelek rosy zalśniły i jęły się mienić w mżeniu słonecznym. W owym słonecznym mżeniu ujrzał nagle stary swoich pięciu nie narodzonych synów, idących zroszonym sadem. Słońce biło im w plecy, prześwietlając na wskroś, a ci szli i szli, pięciu raźnych smagłych chłopaków. Byli nadzy i urodziwi, mieli pozłocistą cerę i złote myśli w głowie. Za plecami powiewały im białe skrzydła i patrząc na nie — widział je już na białym polu gęsto zasianym czarnymi ziarnami liter — po raz pierwszy uronił łzę na swój zeszyt. Była to ostatnia kropka, jaką postawił na swoim pisaniu stary pasterz kóz — więcej już nie napisał ani linijki.

Położył troskliwie ołówek na stole, zamknął zeszyt i spojrzał na ogród. Ogród skąpany był w czystym, białym świetle, w którym niemal całkowicie rozpuściły się drzewa, pływały jedynie jędrne, połyskujące kłębki jabłek, śliwek i gruszek. W świetle tym przechodziło pięciu junaków — ciemnookich, ciemnowłosych, o złotej skórze i ze skrzydłami u ramion. Szli powoli i ostrożnie, jak gdyby płynęli. Najstarszy z nich wspiął się po największe jabłko, zerwał i wbił w owoc lśniące zęby. Sok trysnął na wszystkie strony — cała piątka młodych szła sadem i zajadała się jabłkami.

Stary popatrzył teraz w dół, na dachy. Ujrzał przejrzyste ściany, przejrzystych ludzi i zwierzęta — wszyscy niemal już się przebudzili. Niosąc przed sobą potężny brzuch, przeszła ulicą kobieta w ciąży. Oczy miała wielkie i ciemne jak u Madonny. Skulony w niej chłopaczek bębnił zawzięcie w jej brzuch różową piętką i wywoływał uśmiech na ustach kobiety. Cała ulica skąpana była w tym świetle, w którym rozpuszczały się kamienie i sztachety; roztapiał się piach nad rzeką stając się złotolitą bryłą, sama zaś rzeka przemieniła się w żyłę krystalicznego turkusu. W spiętrzonych nad wodą skałkach zagrały jasne topazy i ametysty, a sam kamień roztapiając się jął spływać na dół połyskującym mlekiem.

Pięciu junaków stało przed Iwanem na werandzie i dojadali swoje jabłka. Byli bezgranicznie piękni i podobni z twarzy do Marii i Iwana zarazem. Obok nich stał skrzydlaty wierzchowiec i niecierpliwie postukiwał kopytem o kamienną flizę.

— Czy już czas na mnie? — zapytał junaków, którzy skinęli twierdząco i powyrzucali przez ramię ogryzki. Dwaj stanęli

z jednej strony schodków, a dwaj po drugiej. Piąty, najstarszy, schylił się i podał mu rękę.

— Co mogę stąd zabrać? — zapytał Iwan, ale nie usłyszał odpowiedzi.

Wówczas się podniósł. Zachrzęścił wiklinowy fotel i poszurał odsuwając się po podłodze. Wielkie światło zakołysało się nad głową Iwana — olbrzymia kula, pełna olśniewającego eteru, z wolna zniżała się nad ziemią. Zarżał z lekka i niespokojnie koń skrzydlaty i wzniósł ku Iwanowi wielkie, niemal ludzkie oczy.

Podał rękę najstarszemu z chłopców i spokojnie, z rozwagą, bez pośpiechu zeszedł na dół.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

PTAK PRZELOTNY

Jasny księżycu!
Cień mój idzie ze mną,
Idzie aż do domu.
Sodo, w. XVII

1

Chłopiec ujrzał ten widok, gdy tylko wyszedł na Czudnowską. Przed nim legły obłe złotowłose czoła, okolone kędzierzawymi zaroślami leszczyny i grabu; po prawej ręce pięły się skałki, nieco z boku, pomiędzy niskimi domkami Pawlukiwki wybijał się biały dach szkoły. Nie był w stanie iść, bo złapał go skurcz gardła: ten właśnie krajobraz mu się przywidywał, gdy przemierzał nagie gołoborza za kręgiem polarnym, a także wszędzie, dokąd rzuciły go losy. Niekiedy malowała mu go wyobraźnia i z wolna dawał się kołysać tęsknocie. Ostatnio było to już niczym nawiedzenie, rzucił więc wszystko i przyjechał tutaj. Wszystko to było zarazem obce i znajome, ściszone i nieśmiałe, a może sam się tak odmienił wobec tego rodzonego i mimo to zapomnianego świata. Sama Czudnowska zmieniła się nie do poznania: położono na niej nasyp, a przez Kamiankę przerzucono nowy most, dwukrotnie wyższy od poprzedniego. Stara droga przebiegała po lewej ręce, pozostała więc lewa strona, a domy z ogródkami po prawej, podobnie jak skwerek na miejscu byłej hurtowni jajczarskiej, znikły bez śladu.

Z przeciwka starą drogą pod górę szła kobieta o dziwnie znajomej twarzy, poznał ją od razu, jako że mieszkała w pobliżu dawnej szkoły Nr 12. Na Chłopca nie zwróciła uwagi, ale wzruszyła go ta pierwsza znajoma twarz w rodzinnym mieście.

Zeszedł na dół, zamaszyście huśtając nieomal pustą walizką, usta zaś mimo woli ułożyły się w trąbkę i zagwizdał, jak to lubił robić w dzieciństwie. Na ten gwizd z otwartego okna wyjrzała jakby narysowana cyrklem buźka z włosami pozawijanymi na lokówki niczym nie znany jeszcze model anteny. Oczy jej wyokrąglały równie dokładnie jak oblicze, a gdy Chłopiec

mrugnął do tej głowy-anteny, lewa jej brew upodobniła się do przewróconego ptaszka, jakie zwykli stawiać na swoich sprawozdaniach biurokraci.

Deszcze zdążyły już nadwątlić bruki i Chłopiec stąpał po chwiejnych kamieniach jak niegdyś brodem po rzece; w dole, przy zarosłym trawą nasypie stał dziad trzymający w prawicy laskę-krzywulę, zaś o parę kroków dalej zrywało trawki układając je w pęczek pyzate i umorusane dziecko.

Chłopiec poszedł dawniejszą Czudnowską, która stała się teraz zaułkiem, i po drodze napotykał coraz więcej znajomych twarzy. Domy były wciąż te same. Prosynowską Górę natomiast całkiem rozmyła woda. Na swoim kamieniu siedziała dziobata Kat'ka, była jedynie starsza i niepomiernie grubsza. Popatrzyła na Chłopca zmrużonymi oczyma i zdawało mu się, że te oczy pstryknęły niczym aparat zapamiętując jego twarz na zawsze. Chłopiec pomyślał, że owa kobieta to rzeczywiście archiwum fotograficzne tej ulicy, w którym zachowały się negatywy wszystkich twarzy przechodzących tamtędy.

Wybiegł jednak dalej spojrzeniem, aż na koniec ulicy. Drogę przebiegał kot; gdzieś daleko, koło Diadiuków, czarny psiak wylegiwał się w kurzu, z pustymi wiadrami szła jednooka Wasylenczycha. Serce Chłopca zabiło gwałtowniej — coś wysysało go w głąb ulicy niczym potężna pompa ssąca. Miał ochotę pobiec w tę wyblakłą pustkę — ależ nie, pomyślał, nie warto się tak przejmować. Zdawało się, że nieznana siła unosi go nad ziemią, do oczu ciśnie się nieproszona łza — ruszył zamaszyście, na zawsze wprawiając w zdumienie dziobatą Kat'kę, co dziś opowie kumoszkom o dziwaku, który po ich ulicy nie szedł, lecz frunął, a może i płynął.

Jednakże Chłopca w tym momencie nie obchodziła dziobata Kat'ka, bo rzeczywiście leciał! Dokoła niebywale zasrebrzyło się powietrze, nad głową ukazał się bocian: jego skrzydła biły i klaskały — leciał i nie był w stanie przelecieć ulicznej przestrzeni; zabłysły jaskrawo szyby dawnej szkoły, na jednej z ławek przy bramie usiadła siwa jak mleko staruszka. Nie, nie musi się tak bardzo śpieszyć!

Koło domu Ołeksandry Panasiwny zwolnił kroku i zapuścił żurawia przez parkan. Podwórze było schludnie zamiecione, aż znać było na ziemi ślady miotły, letnią kuchnię już rozebrano, a na stole pod ścianą jaśniała wielka miednica z ulęgałkami. Jabłonie, w których sadzeniu kiedyś dopomagał, były bujne i rozłożyste, a ich konary już uginały się od obfitości owoców.

Tutaj, przy tej zagrodzie, zrobił się nagle powściągliwy. Coś stężonego i jasnego zarazem zadrgało mu w sercu, coś przyćmio-

nego, jednakże troskliwie przechowywanego w pamięci. Odstąpił od parkanu i stąd już ujrzał wzgórze z domem rodzinnym. Serce niemal zamarło mu w piersi, stanął jak wryty, jak gdyby przed jego oczyma ukazało się coś cudownego. Słońce świeciło z ukosa i zaściełało wzgórze niebieską mgiełką; zdawało mu się, że przed domem mignęła jasnoniebieska postać — mimo woli zapomniał o tych dziesięciu latach, podczas których go tutaj nie było. Wydało mu się, że wraca ze swoich chłopięcych całodniowych wędrówek i jak zawsze oczekuje go jasnoniebieska postać matki. Zmordowany i ubłocony, wlecze się pod tę górkę i robi mu się miło i błogo, gdy widzi matkę przykładającą daszek dłoni do czoła, by go wypatrzyć wśród tego szerokiego świata.

Tym razem naprawdę wracał z szerokiego świata, w ręku miał prawie pustą walizkę, a w piersi pustkę i czczość, hulają tam nie kończące się zawieruchy, jakie zgromadził w czasie swej wieloletniej tułaczki. Już nie złotoskóry młodziak brnąć będzie teraz pod górę, lecz strudzony, nieco przyciężki mężczyzna, który nagle pojął nieprzemijającą prawdę: wtedy dopiero człowiek czuje prawdziwe zmęczenie, gdy ma za chwilę przekroczyć próg rodzinnego domu. „Jestem ten syn marnotrawny — pomyślał poważnie — ale jednak wróciłem!"

Pomału piął się pod górę, żwir sypał mu się spod obcasów i toczył na dół, może za bardzo się śpieszy i serce bije mu za mocno — aż iść trudno i duszność łapie za gardło. Usta ma spieczone z pragnienia, język mu skołczał, a suche oczy pną się w górę, tam, kędy powiewa jasnomodra postać. Jakoś niepodobna jest do matki, myśli wpatrzony; mimo to idzie, idzie, świat mu się w oczach kołysze: ile to czasu jeszcze trzeba, by móc się tam dostać i wypowiedzieć skołczałym językiem: „Witaj, mamo!" Niebo nad głową jest czyste i przeźrocze, drży na nim jasnobiały krążek jedynej chmurki; ścieżka pod górę ledwie się zaznacza, a wokół niej rośnie i pachnie piołun, z krzaczka na krzaczek przefruwają koniki polne; nad głową Chłopca dzwonią dziesiątki dźwięcznych głosów; rozgląda się ze zdziwieniem — to kilka skowronków zawisło w modrym niebie.

Przystanął, by nabrać tchu, choć nigdy przedtem nie stawał idąc pod górę — pokonywał ją za jednym razem; dziś jest rzeczywiście zmęczony i opustoszony, odwraca się więc od domu i wpatruje w krajobraz. Przy elektrowni zbudowano zaporę i spiętrzono wodę jeszcze przed jego wyjazdem, ale to nieważne: obca mu jest ta sztucznie powiększona woda. Piasku zostało tylko trochę przy wysepce, i tak jest gęsto przetkany ludzkimi ciałami, że stąd wydaje mu się, iż to sam piasek tak się porusza i faluje. Oczy go bolą od patrzenia na to wszystko, odwraca się, ale już nie widać jasnoniebieskiej postaci. Dom stoi bezludny i obojętny,

lśniąc mroźnymi oknami. Chłopiec mimo woli zwalnia kroku, czuje się trochę speszony, a trochę obawia się tam wejść.

Usiadł przy skałce, wyjął fajkę i zapalił, by uśmierzyć to zdradliwe drżenie rąk, zęby mu mimo woli kołacą o ustnik. Patrzy na wzgórki na drugim brzegu rzeki, skrajem jednego z nich podąża mężczyzna z psem, a ich postacie wyglądają stąd jak sylwetki z papieru. Gdzieś w dali turkoce traktor; dym z fajki przenika Chłopca i z wolna go uspokaja; oczy mrużą mu się i zwężają w szpareczki, a na usta wypływa uśmiech — przed oczyma roztacza mu się szeroka niebieska droga. Cicho zaćwierkał przy nim świerszcz, jakby próbował głosu; skowronki nad głową umilkły, na wzgórkach zastygła srebrzysta cisza, aż z dalekiej plaży dobiegły go pokrzykiwania. Na podwórze wyszła Ołeksandra Panasiwna, równie wysoka i chuda jak ongi, a w ręku trzymała puste wiadro. Serce zabiło Chłopcu w piersi i dźwignął się ociężale.

Naprzeciw mu wyszła szczupła młoda dziewczyna w jasnoniebieskiej sukience. Twarz miała nieco senną, oczy zaś błękitne.

— Dzień dobry! — rzekł do dziewczyny. — Nie jesteś przypadkiem z tego domu?

— Jestem — odparła nieco zdziwiona. — A pan do kogo?

— Do Haliny Iwaniwny — odrzekł Chłopiec przygryzając usta, by nie parsknąć śmiechem.

Siostra popatrzyła nań chłodno, w głębi jej oczu zamajaczyła iskierka, ale wnet zgasła.

— Jest w domu — odparła i zawróciła w swoją stronę.

Nie miał ochoty jej zatrzymywać: widać go nie poznała. Zagwizdał sobie pod nosem i poszedł z tą przygrywką ku znanej od wieków furtce. Kasztan na podwórzu pozostał ten sam, niezmienne było też malinisko. Wśród gęstego rdestu, którym obrosło podwórze, stał stolik, a przy nim dwa stare krzesełka. Na stoliku, podobnie jak u Ołeksandry Panasiwny, żółciła się misa ze spadami.

Przerwał gwizdanie i rozejrzał się. Jasnoniebieska postać siostry była już prawie na dole i nagle zrobiło mu się żal, że się do niej nie przyznał. Zostawił pod domem walizkę i zeszedł na ścieżkę wiodącą do ogrodu. Wciąż kilka tych samych drzew owocowych i to samo solidne ogrodzenie od strony lecznic. Z jednego boku w parkanie zobaczył furtkę — znowu z ust wyrwało mu się lekkie pogwizdywanie. Zawrócił na podwórze; przy kasztanie, jak zawsze, wisiał nad miednicą bak z wodą i ręcznik. Umył się, a gdy się wycierał, usłyszał, jak zaśpiewały drzwi od sionki.

Na progu stała tęga kobieta. Spoglądali na siebie i naraz obojgu zadrżały usta.

— Dzień dobry, mamo! — rzekł Chłopiec.

Hala wydała lekki okrzyk: przed nią stał prawie nieznajomy mężczyzna. Widać w nim było jakieś odległe podobieństwo do jej syna, ale był to raczej odblask dawnego Chłopca. Jednocześnie rozpoznała go bezbłędnie, coś ścisnęło ją w piersi i ręka kurczowo uchwyciła poręcz ganku.

— Widzę, że nie poznałaś mnie, mamo — rzekł Chłopiec śmiejąc się sztucznie. — To ja, ptak przelotny!

2

Ten prawie nieznajomy mężczyzna, w którym ocalały jedynie resztki dawnego jej Chłopca, podniecał i dziwnie płoszył Halę. Czuć go było potem, ręce miał ogromne, ciężkie i pełne odcisków, oczy głęboko tkwiły w czaszce — trzeba było niemałej odporności, by znieść jego spojrzenie; chodził po domu żelaznymi krokami, aż dudniła podłoga. Zdawało się, że w ich ciche ustronie wtargnęła nieznana siła, która może zdemolować i zburzyć wszystek spokój ich egzystencji, a z drugiej strony był to jednak on, jej pierworodny, po którym już wypłakała oczy, bo i pochowała go w myśli. Patrząc nań Hala denerwowała się, ale i litowała się nad nim, i kochała go. Przywykł wyrażać się bezceremonialnie i niemal nie wyjmował z ust fajki. Cały dom od razu napełnił się dymem tytoniowym, który niemiłosiernie drapał Halę w gardle, ale nie miała siły go strofować — było tak i wówczas, gdy siedzieli w kuchni: smażyła naleśniki, on zaś głaszcząc fajkę opowiadał jej lakonicznie o swoim życiu. Od dymu tytoniowego i dymu nad patelnią powietrze wokół nich zrobiło się niebieskie, chociaż Hala otworzyła okno. Zresztą i ona również opowiedziała mu o swoim życiu. Przede wszystkim o tym, jak umarła babka, wkrótce potem, gdy wybrał się w świat.

— Staruszka okazała się złą prorokinią — rzekła Hala. — Wciąż powtarzała, że nie zobaczę cię nigdy.

— Miała rację — rzekł osłaniając twarz chmurą dymu. — Odchodząc stąd, nie miałem zamiaru wracać.

— Chłopcze! — zawołała Hala z urazą. — A czy myślałeś kiedyś o mnie?

— Miałaś kim żyć — stwierdził bezceremonialnie. — Mąż, córka...

— Nie mogłeś mi wybaczyć tego małżeństwa?

— Ależ skąd! — Jął bębnić palcami po stole, naśladując stukot szyn; tak się zabawiał, gdy całymi dniami leżał na półce wagonu. — Nigdy cię nie potępiałem. Po prostu wierzę, jak by ci

to powiedzieć... Każdy widać ma swoje przeznaczenie. Może musiałem oblecieć pół świata, żeby tu wrócić.

— A jak było z tym zamiarem niewracania?

— Kiedy człowiek ma szydło w zadku, to nie zawsze jest zdolny do namysłu. Wtedy najmniej myśli się o drugich. Ale o tobie myślałem. Wtedy, gdy miałem ochotę wyruszyć w drogę, a okoliczności zmuszały mnie do siedzenia na miejscu, wtedy najwięcej myślałem o tobie, mamo.

— Bardzo to pocieszające — rzekła Hala nie bez ironii, kładąc na talerz gotowe naleśniki. — Ale bardziej by mnie pocieszyło, gdybyś mi przysłał bodaj jeden list.

Wlała na patelnię ciasto, które zaskwierczało.

— Pisałem do ciebie listy, mamo — rzekł nieoczekiwanie tkliwie i aż oczy utkwił w ziemi z emocji. — Napisałem ci tysiąc listów...

— Ba! — roześmiała się Hala. — Chciałabym dostać z tego tysiąca bodaj dziesięć.

— Byłyby nudne i niezbyt miłe — odrzekł. — Na tych listach uczyłem się władać piórem.

— Władać piórem? — Hala była szczerze zdziwiona.

— Tak — rzekł nabijając fajkę. — Bo ja nie zapomniałem w tych wędrówkach o jeszcze jednej osobie. O dziadku Iwanie. Dobrze zapamiętałem, że pozostawił pięć zapisanych zeszytów. Ty nic o nich nie wiesz?

— Zeszyty? — zastanowiła się Hala i o mało nie spalił się jej naleśnik. — Jakie zeszyty? Stary rzeczywiście miał jakieś dziwactwa. Marija Jakiwna...

— Chcę przeczytać te zeszyty — rzekł Chłopiec przypalając fajkę i wypuszczając z ust siwy obłoczek. — Nie wiem dlaczego, lecz w tych wędrówkach często myślałem o dziadku i o tych jego zeszytach. Ale zanim zasiądę do nich, musiałem się nauczyć sztuki pisania.

— To dlatego układałeś listy do mnie? — spytała nieco urażona, ale i ucieszona Hala.

— Czy chcesz, bym ci się oświadczył? — roześmiał się Chłopiec. — To, że syn usprawiedliwia się przed matką, stanowi jego oświadczyny.

Zarumieniła się. Zrobiło się jej niewymownie ciepło od jego słów i jednak spaliła naleśnik, nadymiwszy bardziej niż on swoją fajką.

— Nie widziałeś Oksany? — zmieniła temat.

— Widziałem — kwaśno uśmiechnął się Chłopiec. — Nie poznała mnie.

— A skąd miała cię poznać? Czy przysłałeś nam bodaj jedno

zdjęcie? Pozostały mi raptem dwa i to z czasu, gdy jeszcze nie potrafiłeś utrzymać swego „ja" na nogach.

— Fotografia to oszustwo — wyrąbał Chłopiec. — Świętokradcze oszukiwanie czasu!

— Jak to powiedziałeś? — zdziwiła się Hala.

— Oszukiwanie czasu. Tracimy czas lekkomyślnie i ciągle usiłujemy okpić sami siebie. Wspomnienia, listy, fotografie — wszystko to nie ma wartości, chyba że przybierze postać sztuki. Wtedy wytwarza przynajmniej ułudę.

— Niezbyt łapię twoje myśli. A jakie masz plany?

— Oddam ci pieniądze, które mam. Później znajdę sobie zajęcie i spróbuję zamieszkać tutaj.

Hala postawiła przed nim talerz z naleśnikami.

— Zdałoby się wypić z okazji twojego powrotu dobrego wina — rzekła — ale mamy daleko do sklepu.

— Cóż to za furtka w parkanie? — zapytał biorąc do ust naleśnik.

— A, to dla Włodzimierza — machnęła nożem Hala. — Wiesz, że umarł. Stało się to tak niespodzianie, to już pięć lat temu. Powiem ci, że mieliśmy osobliwe życie. Zanim zamknięto tę szkołę, musiał mieszkać na dole, a ja na górze — swoją nogą nie mógł się wdrapywać tutaj codziennie. Babcia zaś stanowczo nie zgadzała się na przeprowadzkę. Ona się nie patyczkowała! Jak masz córkę, mawiała mi raz po raz, to na co ci on. Kobiety z tego domu nie potrzebują mężów, ulegają jedynie porywom. — Hala roześmiała się i zawstydziła się nagle, że wyjawiła synowi coś tak intymnego. Ale oczy świeciły mu tak jasno i otwarcie, że mimo woli zdobyła się na szczerość. — Dowcipkowałam wówczas, że muszę zbudować szałas w połowie drogi i zmierzyć odległość z precyzją geometry, by żadna ze stron nie była pokrzywdzona.

Umilkła i popatrzyła przez okno, jak gdyby rzeczywiście ujrzała ten szałas w połowie drogi.

— Oksana była taka wrzaskliwa — uśmiechnęła się — że musiałam się przeprowadzić na górę. Tu jest więcej przestrzeni... Ale po co ci to opowiadam, to jeszcze powinieneś sam pamiętać.

— Pamiętam — rzekł.

— Poczuliśmy ulgę, kiedy zamknięto dwunastkę, ale to było już chyba po twoim wyjeździe. Włodzimierz dostał pracę w mieście i wycięliśmy w ogrodzeniu tę właśnie furtkę. Włodzimierz sam chodził po zezwolenie do naczelnego lekarza. Teraz znów ją zabiłam...

— Żeby nie było pokus?

— Przez tę furtkę zaczęli przełazić rozmaici faceci, chorzy i Bóg wie kto. A my tu jesteśmy całkiem same.

— Często myślałem o tym — rzekł Chłopiec. — Ten dom kobiet na wzgórzu to przedziwna sprawa. Mężczyźni rzeczywiście nie popasali tu długo. Znikali jak dym, a wyście zażywały tu swoich wywczasów.

— Nie były to znowuż takie wywczasy. A mężczyźni rzeczywiście szybko stąd znikali. Pozostawiali dzieci i książki.

— Właśnie, co się tyczy książek... — rzekł Chłopiec. — Nie wiem czemu, one też wabiły mnie tutaj. Chcę je przeczytać.

— O, to spore zajęcie! Wiesz, że nie zginęła tu ani jedna książka? Począł je gromadzić jeszcze mój prapradziadek, pozostali mężczyźni uzupełniali jego zbiory. Stara nie lubiła tych książek, a pewnego razu nawet chciała je spalić. Ledwie je wybroniłam. Te książki są dla mężczyzn, a nie dla kobiet, mawiała, a mężczyźni nie mają tu nic do roboty.

— Taka była z niej feministka?

— Stworzyła kult tego domu. W ogóle wywodziła jego dzieje od kilku pokoleń przed nią. Ale bardzo mało wiedziała o tych naszych przodkach. Była niekiedy porywcza, lecz raczej mądra, miała w sobie pełno miłości i pasji. Dawniej zdawało mi się, że to chyba ona stworzyła legendę naszego domu, bo miała nieprzeciętną fantazję.

— No a teraz? — spytał Chłopiec patrząc uporczywie na matkę.

Hala już nasmażyła naleśników i zgasiła prymus. Strzelił wysokim płomieniem i zgasł. W kuchni zapachniało smażeniną, dymem tytoniowym i spalenizną nafty. Hala usiadła na krzesełku i Chłopiec zanotował sobie w myśli, że przez te lata zdążyła utyć. Jednakże twarz miała po dawnemu piękną i delikatną. Wpatrywał się w tę twarz z tkliwością, bo właśnie ona śniła mu się niejednokrotnie w dalekich wędrówkach. Wiedział, że na ziemi nie ma piękniejszej kobiety od jego matki; żeniąc się, nie będzie wybierał ładnej buzi.

— Teraz? — powtórzyła pytanie Hala i twarz jej ocieniła zaduma. — Teraz myślę inaczej. Wiesz, co powiedziała mi kiedyś babcia? Kiedy się zestarzeję, to zacznę mądrzeć podobnie jak ona. Mój los w tym domu był wyjątkowy i rzeczywiście żyłam pomiędzy tobą i babcią, między nią i Włodzimierzem, później między Włodzimierzem i córką. Polubiłam te wasze męskie książki i prawie wszystkie przeczytałam. Teraz — uśmiechnęła się szeroko i czarująco — wypadnie mi stanąć między tobą i Oksaną.

— A co z nią jest?

— O, to jest numerek! — Matka schyliła się i rzekła ściszonym głosem: — Im bardziej robi się dorosła, tym święciej zaczynam wierzyć, że te wszystkie nasze bajki, które tak lubiła powtarzać babcia, to nie są już takie bajki...

— Bajką jest to, czego pragniemy — rzekł Chłopiec. — Są to swoiste symbole naszych życzeń.

— Życzenia jednych się spełniają, a drugich nie. Wasze chyba jednak się spełniają...

Chłopiec wstał i wytrząsnął przez lufcik popiół z fajki. Patrzył w dół, na zarośla i rzekę, i gdzieś w oddali ujrzał jasnoniebieską postać na tle pustej ulicy.

— Chciałbym cię jeszcze o jedno zapytać — rzekł Chłopiec, przy czym głos jego stał się metaliczny i suchy. — Gdy byłem w owych rozjazdach, myślałem jeszcze o jednej osobie...

— O Neonile? — spytała go zza pleców Hala. — O, ta to często przybiega do mnie. Niekiedy pyta i o ciebie. Przyjaźniliście się przecież w dzieciństwie.

— Jak się jej wiedzie?

— Nie udało się jej wyjść za mąż — oznajmiła Hala. — Ołeksandra Panasiwna suszyła jej głowę. Mnie, powiada, nie ciągnie do chłopów... Wiesz, bywają takie kobiety...

3

Obudził go szum deszczu. Okno było otwarte i widać było przez nie rzęsiste strumienie wody. Potężny grzmot wstrząsnął powietrzem, gdzieś blisko zgiełkliwie lała się woda z rynny. W głębi domu słychać było rozmowę i Chłopiec rozejrzał się urzeczony. Dokoła wyłaniały się półki z ciemnymi szeregami książek — przypływ radości zmusił go, by usiadł. Sięgnął ręką i wyjął pierwszy lepszy tomik. Kartki były pożółkłe i czuć je było kurzem, strugi wody za oknem też były żółtawe i przeświecało przez nie słońce. W głowie kołowało mu się z lekka ze snu, z którego jeszcze nie oprzytomniał do reszty, stanął opierając dłonie o parapet okna i na ile mógł, wychylił się na zewnątrz. Drobne kropelki rozbijające się o okap omżyły mu twarz — wprost przed nim, gęsto pocięte złocistymi nićmi przelotnej ulewy, trwało wielkie słońce wieczorne. Niebo mieniło się purpurą, a nad rzeką wisiała siwa chmura i zajadle obijała gwoździmi ziemię i wodę. Chłopiec miał ochotę zbiec na dół, jak to robił w dzieciństwie, by się wykąpać w iskrzących się strużkach, jednakże ciepły smętek wraz ze smakiem owego zasmużonego słońcem desz-

czu spłynął Chłopcu w głąb duszy. Zobaczył szkołę, a przy niej dziedziniec, na którym stała jakaś kobieta pod parasolką. Było dziwne, że nie chowa się do domu: Chłopiec poczuł lekkie drżenie w piersi, bo zdawało się, że choć dzieliła ich znaczna odległość, zetknęli się oczyma i ani rusz nie mogli ich oderwać.

Odnalazł w kieszeni fajkę i zapalił wypuszczając siwomodry kłąb. Jak gdyby śnił mu się jakiś sen niezwykły — stał i wydmuchiwał przez okno siwe fale. Dym przeszywały roziskrzone strugi, a postać w obejściu Ołeksandry Panasiwny stała i stała.

Opadł na krzesło. Tętniło mu w skroniach, zaciśnięta w pięści fajka zgasła, w głowie zakręciły się dziwaczne reminiscencje: wciąż jeszcze myślał o złocistym deszczu za oknem i o tej postaci z parasolką.

Ktoś szedł korytarzem, zerwał się więc pośpiesznie. Drzwi się otwarły i stanęła w nich przystojna korpulentna kobieta.

— Wciąż palisz? — roześmiała się Hala. — W tym domu od dawna już nikt nie palił.

— Mamy burzę! — rzekł z uśmiechem Chłopiec.

Hala przysiadła na kanapce.

— Tak jakoś raptownie się zerwała. Nie słyszałeś, jaki był wściekły wicher? U nas połamało starą śliwę. Tę samą, z której kiedyś spadłeś.

Chłopiec wytężył pamięć. Sporo pozapominał z tego, co tu się działo, i odtwarzał wszystko mozolnie.

Matka oparła łokcie na kolanach, dłonią podparła brodę — patrzyła nań zmrużonymi oczyma.

— Taki zabawny się zrobiłeś. Patrzę na ciebie: ty czy nie ty? Chwilami jesteś swój, a chwilami obcy.

— To lata — rzekł nabijając fajkę. — Najzabawniejsze, że i ja mam takie wrażenie, jeśli chodzi o ciebie.

— Nie powinieneś mieć takich wrażeń — odparła matka unosząc brwi.

— Niby dlaczego?

— U nas się nic nie zmieniło. Popatrz. Wszystkie rzeczy są na swoim miejscu.

Popatrzyła nań wciąż tak samo mrużąc oczy, co Chłopca trochę irytowało.

— A jednak zdaje mi się, że i te nieruchome rzeczy znalazły się na jakiejś karuzeli.

— Boś się odzwyczaił — rzekła matka i wstała. Podeszła do półki, wzięła książkę i ruszyła do wyjścia. We drzwiach obróciła się i na ustach jej mignął uśmiech:

— Oksana przygotowała kolację. Chodź jeść!

Siedzieli na podwórku przy tym samym stole, na którym zobaczył poprzednio miednicę ze spadami. Obecnie stół był nakryty śnieżnobiałym obrusem — na białej powierzchni rozstawione były najlepsze talerze z ich stuletniego serwisu; patrząc na nie, Chłopiec poczuł, że drgnęło mu coś w środku. Przy stole siedziała już matka i podszedł do niej.

— Oksana zaraz wyjdzie — rzekła dobrodusznie Hala i głos jej na wolnym powietrzu stał się cichszy i łagodniejszy. — Wyobraź sobie, nie zdziwiła się ani trochę, gdy jej oznajmiłam o twoim przyjeździe.

— Dlaczego miałaby się dziwić?

— No wiesz... — z lekka obruszyła się Hala. — Mimo wszystko jesteś jej rodzonym bratem.

— W połowie rodzonym — sprostował z lekkim uśmiechem Chłopiec. — Po prostu nie przedstawiam żadnej wartości w jej życiu. Człowiek obcując z drugim człowiekiem korzysta z niego, inaczej traci się sens współżycia. Jestem dla niej odciętą gałęzią.

Mówił to spokojnie i bez urazy.

— No wiesz! — znów oburzyła się Hala. — Czy to wszystko ma wymierną wartość? Bywają rzeczy głęboko ukryte i uczucia, na których nie da się nakleić rynkowej ceny. Właśnie takie uczucia powinny was łączyć.

W tym czasie na ganek wyszła Oksana i oboje umilkli. Dziewczyna niosła półmisek z gotowanym ryżem i mięsem, nosek przy tym nieco zadarła do góry i nieco wykrzywiła usta.

— Dzień dobry! — rzuciła mimochodem i postawiła półmisek na stole. — Podać coś jeszcze, mamo?

Nie odpowiedział na powitanie siostry, jedynie obserwował ją bacznie. Dziewczyna była już prawie uformowana, ale uroda, jaką rozkwitnie z całym impetem za jakichś pięć lat, jeszcze była w niej prawie ukryta. Poczuł jednakże ów sok i moc odurzającą, jakie już teraz przenikały to młode ciało, i przejął go lekki smutek: ta istota była mu rzeczywiście obca — nie łączyły go z nią ani wspomnienia, ani dawniejsze sentymenty. Zgoła nieznane światło ujrzał w dwóch modrych tęczówkach, które zdziwieniem odpowiadały na jego bezceremonialne oględziny. Ujrzał na dnie tych krążków zimowe pole pokryte śniegiem i krą. Ale zobaczył tam też coś innego: pod tym śniegiem i krą nie było pustki.

— Ano tak — rzekł, by przerwać niezręczne milczenie. — Jesteśmy bratem i siostrą.

Oksana wzruszyła lekceważąco ramionkiem i spojrzenie jej utkwiło gdzieś ponad jego głową.

— Podaj no, córeczko, jeszcze chleb i kieliszki — rzekła Hala, której też zrobiło się przykro z powodu tego niezbyt przyjaznego zaznajomienia się jej dzieci.

— Jest narowista jak kobyłka — dodała po wyjściu Oksany.

— Dziewczyna z tego domu, jeśli już wierzysz legendom prababci.

Hala się roześmiała.

— Rzeczywiście! Ja też byłam prawie taka. Ale zachodzę w głowę, dlaczego tyś się jej nie spodobał?

„Przez to, że nie może na mnie zareagować jak na chłopaka — pomyślał Chłopiec. — Odzwyczaiła się od mężczyzn w domu!"

Wziął ze stołu butelkę i przyjrzał się jej skrupulatnie. Wino nosiło nazwę „Róża Zakarpacia".

— Babcia przed śmiercią wspominała również o tobie. Nawiasem mówiąc, nie lubiła ciebie. Nie mogła mi darować, że jej nie posłuchałam, kiedy przychodził do mnie twój ojczulek.

— A czy on rzeczywiście nazywał się Puchacz?

Hala poczerwieniała. Patrząc w oczy, które tak bacznie obserwowały, nie mogła powiedzieć nieprawdy.

— Dziewczęta z tego domu, jak powiedziałeś, nie zawsze bywają przezorne — mówiła oględnie. — Niekiedy zapominają o sprawach zwyczajnych. Ach, lepiej nie pytaj mnie o to!

— Nie znałaś jego nazwiska?

— Ależ coś takiego! — udała oburzenie Hala. Spojrzała na Chłopca i raptem się roześmieli.

Z kasztana upadło kilka owoców i w tym momencie znów ukazała się na progu dziewczyna.

— Rozbiłam kilka kieliszków, nie będziesz się gniewać? — zapytała unikając spojrzenia brata.

— Nasze odświętne kieliszki? — przestraszyła się Hala.

— Odświętnych nie brałam — odparła tamta niewinnie. — A miały być odświętne?

„Już się zaczyna" — pomyślała Hala i wstała od stołu.

— Usiądź przy stole, sama przyniosę!

— Ależ skąd, mamo! — równie niewinnie odparowała Oksana. — Jak już muszą być odświętne, to zaraz je podam.

Powiała sukienką i znikła w sieni.

— Tak już mi lubi przygadać! — rzekła Hala, cała czerwona.

Chłopiec parsknął śmiechem.

— To takie maluteńkie muchy w nosie, mamo — rzekł. — Nie

zwracaj uwagi. Ona jest teraz niby w teatrze, w którym siedzi jeden widz, a cóż to za gra solo?

— Za stara już jestem na przedstawienia! — Hala poczynała się złościć i na niego.

— Wiesz, dlaczego jesteś wspaniała jako matka? — rzekł Chłopiec pochłaniając ją wzrokiem. — Nigdy nie słyszałem od ciebie takiego wrzaskliwego, brzydkiego krzyku, jakiego uczą się kobiety musztrując swoich potomków.

— Jak będziesz ojcem... — zaczęła Hala, ale w tej chwili znów ukazała się dziewczyna. Niosła na tacy chleb i kieliszki, a nosek miała zadarty.

— Hej, Oksano! — zwyczajnie powiedział Chłopiec. — Daj no mi z łaski swojej szklankę zimnej wody. Ja mam zwyczaj popijać jedzenie zimną wodą.

Oksana aż osłupiała na taki wyskok Chłopca. Przystanęła, rozwarła usta, ale oczy jej ciskały błyskawice. Postawiła chleb i kieliszki i ceremonialnie pokołysała się znów do wnętrza domu.

— No, teraz to miej się na baczności! — rzekła Hala. — Ona nie znosi, jak się jej rozkazuje.

Ale Chłopiec już nalał wina sobie i mamie.

— Nie obrażaj się, mamo — rzekł serdecznie. — Zdaje mi się, że to złośnica, którą poskramiał jeszcze Szekspir. Odesłałem ją, by wypić pierwszy kieliszek z tobą sam na sam. Zresztą, nim ona się zjawiła, to miałaś mnie.

— No, przestałam ci wystarczać — rzekła Hala trącając się z nim kieliszkiem. — Bardzo wcześnie poniosło cię w świat. To jaki jest ten świat, Chłopcze?

— Zadziwiająco monotonny — rzekł Chłopiec wychyliwszy kieliszek. — Ale nie tak prędko człowiek się o tym dowiaduje. Przynajmniej ja...

Dziewczyna przyniosła wodę. Kubek był stary i nadtłuczony, i woda w nim sięgała do połowy. Ale Chłopcu oczy zabłysły radośnie.

— Złotko moje, Oksano! — zawołał. — Sama nie wiesz, jaki kubek mi przyniosłaś! Pamiętasz, mamo?

— Aha, aha — pokiwała głową Hala. — Piłeś zeń kozie mleko.

Oksana stała sztywno wyprostowana niczym odstawiona w kąt lalka. W jednym jej oku zaświeciła łezka, a gdy spojrzeli na nią — Chłopiec i Hala — nie mogli powstrzymać cichego okrzyku: przed nimi stała taka piękność, jaką była kiedyś, dawno temu, co najwyżej sama Hala.

— Siadaj, siostro — rzekł serdecznie Chłopiec. — Chyba już uwierzyłem, że jesteśmy jednej krwi.

5

Schodził ze wzgórza nieco podchmielony i z lekka pogwizdywał sobie pod nosem. Modry zmierzch kołysał się nad ziemią, nad rzeką zastygła w objęciach zakochana para, ale słysząc jego pogwizdywanie odskoczyli od siebie. Dziewczyna miała na sobie czerwoną bluzkę, która niemal jarzyła się w mroku. Kawaler obrócił się w stronę przechodzącego Chłopca — twarz miał niezmiernie młodą. Od rzeki czuć było mułem i rybami, płynęła łódka, w której też była zakochana para. Pary przechodziły również dalej, po drewnianym moście na Teterewie — ich dwugłowe sylwetki odcinały się obok ciemnych linii poręczy. Na niebie widniał już blady księżyc, ale gwiazdy jeszcze nie wzeszły. W oddali nad rzeką zaśpiewały dziewczęta i przeciągłe ich głosy napełniły zmierzch łagodnym brzmieniem.

Chłopiec stanął przy nie ogrodzonych schodach prowadzących nad wodę i usiadł na schodku. Chciał dosłuchać do końca pieśni i wypalić fajkę. Jednakże poczuł w sercu skrępowanie i napięcie, a w trakcie palenia cały czas patrzył w stronę, gdzie ciemniało domostwo Ołeksandry Panasiwny. Wydało mu się raptem, że i starsza córka Ołeksandry Panasiwny też wyszła na dwór i słucha tej pieśni, zaraz przyjdzie tutaj, na schody, i nadal będzie to ta sama dziewczynka, która wybiegała kiedyś, by mógł ofiarować jej szklaną kulę albo zaprowadzić ją w swój chłopacki świat.

Brzegiem szedł mężczyzna z siwymi wąsami, w ustach tlił mu się papieros; dziewczęta-śpiewaczki ucichły, lecz za chwilę zaśpiewały znowu, a para spłoszona przez Chłopca znów połączyła się w uścisku. Chłopiec wypuszczał przed siebie siwe kółka dymu — dawno już nie odczuwał takiej błogości i uspokojenia. Pragnął, by dłużej śpiewały dziewczęta, by wiecznie płynęła łódka z ciemnymi sylwetkami i te dwugłowe cienie również tam, na moście. Księżyc świecił jaśniej, a w fajce Chłopca zaskwierczało — dopalał się tytoń. Wstał i powoli poszedł w kierunku domu, z którego jednak nie wybiegła doń starsza córka Ołeksandry Panasiwny.

Z głębi podwórza obszczekał go krótkołapy kudłacz, zaszczekał łańcuchem — Chłopiec czekał w milczeniu, aż ktoś doń wyjdzie. Drzwi skrzypnęły i na ganku ukazała się Ołeksandra Panasiwna. Nawet zmierzch nie potrafił ukryć, jak bardzo się postarzała, ale Chłopiec nie myślał o tym — patrzył na tę kobietę życzliwie i z radością.

— Pan do kogo? — zapytała wpatrując się weń Ołeksandra Panasiwna.

— Do pani, Ołeksandro Panasiwno — rzekł Chłopiec półgłosem.

Wciąż jeszcze wpatrywała się w niego. W dali śpiewały dziewczęta i wciąż jeszcze ujadało kudłate psisko na łańcuchu.

— Poszedł do budy! — krzyknęła nań gospodyni i pies, jak gdyby na to czekał, załomotał łańcuchem i skrył się.

Ołeksandra Panasiwna podeszła bliżej do Chłopca i wpatrzyła się weń jeszcze uważniej. Jakieś odległe wspomnienie dźgnęło ją w serce, wydało się, że ten przybysz ma w sobie coś z Mykoły. Ale w następnej chwili poznała, kto przed nią stoi,

— A, to ty jesteś! — rzekła spokojnie. — Proszę cię, wejdź.

Weszła do sieni pochylając się, by nie uderzyć głową o niską futrynę, i Chłopiec automatycznie powtórzył ten gest. Zamknął drzwi i jak gdyby odciął się od mżącego zmierzchu i melodyjnego śpiewu.

— Kto tam, mamo? — zapytał z głębi głos kobiecy.

Weszli do izby, którą czuć było starością, przy stole w świetle lampy siedziała młoda kobieta i czytała z łokciami opartymi o ceratę. Uniosła znad książki wielkie łagodne oczy, które raptem zadrżały, złączyły się z jego oczyma. Przypatrywali się sobie z jakąś wygłodzoną tęsknotą i radością, z pragnieniem wykluczającym spekulacje i wahania — nie potrzebowali wielkich ceremonii i rytuału, by poznać się nawzajem, w obojgu zapłonął jeden ogień i od razu ich zjednoczył. Setki cienkich niewidzialnych nici zbiegły się pomiędzy nimi; im dłużej patrzyli, tym stawali się bliżsi i rodzeńsi. Z boku stała i śledziła owo czarodziejstwo wysoka, stara już niemal kobieta, kilka kryształków zalśniło w jej oczach, a ci spoglądali na siebie nienasycenie. Nie było mocy, która by rozerwała te ich spojrzenia, obojgu zdawało się, że jeśli to uczynią, zniknie na zawsze ta cudowna ułuda, ów sen nieprawdopodobny i krótkotrwały. Ołeksandra Panasiwna wyczuła to i rzuciła się po krzesło.

— Siadaj, czemu stoisz — rzekła, ale Chłopiec miał inne zamiary.

— Pani wybaczy, Ołeksandro Panasiwno — powiedział i zdumiała się, jak łagodnie i pięknie zajaśniały mu oczy. — Czy będzie pani miała coś przeciwko temu, że zabiorę jej córkę?

Nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo oboje — córka i ten przybysz — znów związali się spojrzeniami. Wtedy zawrócił ku drzwiom, a córka jej wstała, by posłusznie pójść za nim — było to tak samo, jak wówczas, gdy ją prowadził, by wdrapywała się z nim razem na pagórki. Ołeksandra Panasiwna otwarła już nawet usta, by coś powiedzieć, ale ów przybysz zawrócił w drzwiach i pożegnał ją serdecznie, mogła więc jedynie odpowiedzieć na jego pożegnanie.

— Może zabawię dłużej — rzekła na odchodnym córka i matka raptownie uświadomiła sobie, że całkiem nie zna tej dziewczyny, która tak łatwo i po prostu porzuca jej dom. Była to już nie jej dziewczyna, ale czyjaś, i ten, do kogo należała, już wychodził przekraczając próg. Podobnie przekroczyła próg i córka — cichy smutek ogarnął serce Ołeksandry Panasiwny, bo już ostatnie dziecko opuszczało jej dom. Głucha cisza zadzwoniła nagle dokoła niej, gdy zatrzasnęły się drzwi za tymi dwojgiem, i łzy nieproszone trysnęły na policzki — wszystko to stało się tak nagle! Usiadła na krześle przygotowanym dla gościa i w osłupieniu rozglądała się po domu. Był pusty i przy Ołeksandrze Panasiwnie na takim samym krześle jak ona siedziała taka sama kobieta, ziewała w rękaw, miała pomarszczoną twarz i oczy na poły zgaszone — kobieta owa miała na imię Samotność.

6

Stali na brzegu skąpanym w poświacie księżyca, bo jeszcze do tej pory nie napatrzyli się na siebie; już nie śpiewały dziewczęta i nie sterczała przed oczyma ściskająca się zakochana para. Nie płynęła i tamta łódka z sylwetkami, ani cienie na moście — byli sami na drugim brzegu, obok nich mienił się w wodzie i bezgłośnie pluskał się miesiąc, gwiazdy zaś gęsto i rozrzutnie rozsypały się na niebie. Owo niebieskie ziarno pęczniało i kiełkowało, jutro wybuja ono błękitnymi chaszczami — dziwiąc się i smęcąc spoglądali sobie w oczy, gwiazdy kiełkowały i kruszyły się już w ich oczach. Jednakże oczy ich obojga były jak niebo odbite w drugim niebie: wszystko działo się w tych niebach podobnie jak w tamtych, kosmicznych, wszystko na równi łączyło się i krzyżowało. Związywali się potężnymi prądami, jeszcze trochę, a przestaną należeć do siebie — za plecami każdego z nich stała Samotność, długa, wieloletnia, i mimochodem oglądali się na nią, bo zbyt się z nią zżyli.

— Dlaczego nie pisałeś? — z udręką w głosie spytała Neoniła.

— Czy to stanowi jakąś przeszkodę?

Wówczas dopiero najstarsza córka Ołeksandry Panasiwny zapłakała. Osunęła się na trawę i gubiła w niej łzy — Bóg wie ile nagromadziło się ich przez te lata! Ziemia była zroszona tymi łzami, bo były to łzy szczere, a może i szczęśliwe; tu jednak, u jego stóp, malała coraz bardziej, jak gdyby się roztapiała — musiała wypłakać ten ból, którego całe słone góry nagromadziły się w piersiach. Stał przy niej na rozstawionych nogach i z rękoma w kieszeniach. Nie chciał przerywać jej płaczu, miała bo-

wiem doń prawo, wyczekiwał więc cierpliwie, aż pozbędzie się swojej zgryzoty.

— Dlaczego nie pisałeś? — spytała powtórnie i podniosła nań oczy.

Ujrzała kamienną twarz z mocno zmrużonymi oczyma, szeroką, zwalistą sylwetkę, co pewnie stała na ziemi. Zresztą oczy jego się otworzyły i przyjęła jego spojrzenie: czarne i palące, w którym kłębiło się i pałało tyle światła i siły! Ujrzała jego zaciśnięte wargi i zrozumiała nagle, że przyszedł do niej z jakichś niezbyt pojętych regionów — i zawsze będzie od niej odchodzić i znikać w tych regionach. Zrozumiała, że będzie jedynie gościem w jego sercu i że to tylko jej sądzone było zapełnić nim swe serce do ostatka. Zawstydziła się, że traci czas, ukazując mu swoją słabość, jego zaś mocy sama chyba nie ogarnie. Podniosła się więc z ziemi i otarła łzy.

— Przestałam już czekać na ciebie — rzekła po prostu. — Zresztą, czy to trzeba wierzyć w obietnice dzieciństwa?

Popatrzyła nań i nagle rzuciła mu się na szyję bez zastrzeżeń, bo dostrzegła jego bezsiłę, tę właśnie, dla której znaleźli się razem.

7

Tymczasem tam, na wzgórzu, Oksana przekroczyła próg matczynej izby. Na twarzy jej widniała stanowczość, usta zaś miała całkiem wąziutkie, tak się zacisnęły.

Hala siedziała w fotelu babci z książką w ręku, a gdy skrzypnęły drzwi, spojrzała na córkę spoza okularów.

— Czy ci nie przeszkadzam? — spytała Oksana podchodząc i siadając naprzeciw.

— A ja nawet nie czytam — rzekła Hala. — Siedzę, a litery migają mi przed oczyma.

— Ten twój synek...

— Rozbudził moje pszczoły — próbowała się uśmiechnąć Hala. — Kiedyś w żaden sposób nie mogłam go sobie wyobrazić jako dorosłego. Takeśmy go nazywały: „Chłopiec" i „Chłopiec"! Był z niego pędziwiatr i trudno mu było usiedzieć na miejscu.

— Mówisz o tym z takim zachwytem...

— Przecież to mój syn — rzekła z dumą Hala. — I dlaczego bym nie miała mówić o nim z zachwytem?

— A mnie on drażni — Oksana splotła na kolanach wąskie palce. — Daruj, mamo, ale ten jego odór, maniery, ta cholerna fajka, ten nawyk rozkazywania!

— Wiedziałam, że to ci dokuczy — roześmiała się Hala.

— Jasne, że dokuczy! — wybuchnęła Oksana. — Tam, przy stole, potraktował mnie jak służącą albo kelnerkę.

— A ty nie chciałabyś być służącą ani kelnerką?

— Jak ty mogłaś pomyśleć coś takiego, mamo? — rzekła Oksana o oburzeniem. — Nie mam ochoty nikomu w życiu usługiwać. Tam, przy stole, chciałam ci jedynie ułatwić pracę.

— Usługiwać to znaczy ułatwiać komuś pracę — uśmiechnęła się Hala. — A w ogóle to mnie martwi, że tak się zaperzasz. Rodzony brat i w dodatku jedyny...

— Co z tego, że to mój brat? — gorączkowała się Oksana. — Jak się włóczył, to skąd mogłam wiedzieć, czy jest, czy go nie ma? Brat to coś znaczy, gdy człowiek razem z nim rośnie, a kiedy się zjawia taki ptak przelotny i każe, bym mu przyniosła wody... Ja bym takiemu chętnie drzwi pokazała...

Tak się zacietrzewiła, aż się zrobiła czerwona. Usta jej drżały, oczy miała rozszerzone, palce splatały się i rozplatały na kolanach, i przypominała ćmę tłukącą o szybę, za którą pali się ogień.

— Powiedziałaś teraz coś nieładnego — rzekła oschle Hala. — Może nie zdajesz sobie sprawy, ale to jednak coś brzydkiego... On ma więcej praw do tego domu i do mnie — miałam go przed tobą!

— Ale jest nieślubny! — rzekła dziewczyna i uniosła brwi w zapamiętaniu.

— Jak ty to powiedziałaś? — marszcząc się, zapytała Hala z naciskiem. I chyba coś niedobrego ukazało się na jej twarzy, bo Oksana zreflektowała się nagle i opuściła oczy.

— Przepraszam — wymamrotała. — Nie powinnam cię obrażać. Ale ten mężczyzna... Boże, jak mnie rozdrażnił. Ja nie potrafię z nim mieszkać pod jednym dachem!

Halę już ogarniał płomień, oczy jej zaczęły pałać ogniwem, ściągnęła okulary z nosa i usta jej zwęziły się podobnie jak córce.

— Spróbuj mi jeszcze coś takiego powiedzieć! — wyszeptała. — Spróbuj!

— Taki ci bliski ten syn marnotrawny? — spytała dziewczyna z wyzwaniem.

Hala potarła sobie skronie. Miała uczucie, że walą w nie młoty.

— Podaj mi raunatin — rzekła do córki. — I szklankę wody...

Oksana poszła do apteczki, a Hala zamknęła książkę. Popiła wodą tabletkę i popatrzyła na córkę ze znużeniem.

— Niestety, moja droga, ty tu nie możesz rozkazywać — rzekła cicho. — Będzie tu mieszkał tyle czasu, ile uzna za konieczne. Na razie jest to jedyny dom, który może nazwać swoim.

8

Chłopiec mozolnie piął się pod górę, dokoła panowała noc, aksamitna i głucha. Księżyc okrył się chmurami, co zjawiały się na niebie czarne i skłębione, jedynie od czasu do czasu przebijały się przez gwiazdy. Pogwizdywał sobie z cicha, było mu lekko na sercu. Przy furtce matczynej zagrody stała Neoniła i spoglądała za nim, choć już go nie widziała. Zdawało się, że w jej spokojne życie wdarł się raptownie wicher, oszołomił ją, porwał i uniósł. Nie mogła dotąd przyjść do siebie, dlatego właśnie stała przy furtce. Ukazywały się jej dopiero co przeżyte epizody, spotkania, pojedyncze słowa, urywki opowieści, którymi usiłowali wypełnić tę wyrwę w czasie, co przecinała ich wspólne istnienie — wszystko to było porozrzucane bezładnymi strzępami.

Później, w ciągu tego miesiąca, jaki odczekają, nim sądzone im będzie zostać mężem i żoną, opowiedzą sobie wszystko, co tylko dało się przypomnieć. W przeszłości te wspomnienia były już pourywane, a niekiedy się powtarzały. On miał więcej do opowiadania i Neoniła z zapartym tchem słuchała o tych wszystkich dziwnych sprawach, jakie przeżywał — było to dla niej niczym bajka. Nigdy nie zobaczy owych krain, które on oglądał, i nie ciągnęło jej do nich, przeto opowieści przyjmowała z pewnym pobłażaniem — dobre było i to, że nie chełpił się swoimi wędrówkami...

Teraz zaś, gdy stała przy furtce i nie mogła się odważyć na powrót do domu, wszystko w niej wrzało i nurtowało ją. Spokój i obojętność, z jakimi przyjmowała nieczęste już względy, które jej okazywano, gdzieś zniknęły, rozproszyły się i rozpłynęły, ona sama też się roztopiła, a z twarzy jej znikła na zawsze oschła, surowa mina, jaką stare panny bronią się przed światem. Zachowała się w niej jeszcze inercja dawnego, nieomal mniszego życia, lecz było to już gdzieś głęboko w tamtej nocy niczym wyblakłe oko zamulonego źródła. Chciała się upewnić, że to wreszcie tak, że wszystko, co się dzieje, dzieje się w rzeczywistości, pałały jej zacałowane usta, jak gdyby na jej twarzy zakwitł kwiat ognisty, oczy gorzały jeszcze jaśniej, toteż gdy się znalazła pod dachem, Ołeksandrę Panasiwnę uderzyły najpierw te oczy, a później usta.

— Jeszcze nie śpisz? — spytała z lekkim zdziwieniem Neoniła, jako że było jej nieco wstyd okazywać swoje wzruszenie.

— Zasiedziałam się przy robocie — niewinnie odparła Ołeksandra Panasiwna, a że obie spłonęły rumieńcem, usiłowała zmienić temat: — Spójrz, jak się sypie z sufitu, nie zdałoby się pobielić?

Neoniła uśmiechnęła się.

— Chodźmy spać, mamo — rzekła serdecznie.

— Wszystko w porządku? — równie cicho spytała matka.

— Chyba wychodzę za mąż — roześmiała się dziewczyna i w śmiechu jej było tyle szczęścia, że Ołeksandra Panasiwna westchnęła.

— Tak od razu?

— Wynika, że od razu.

— Ach, te śluby na patatajkę!

— Chyba to nie taki śpieszny ślub, mamo — rzekła Neoniła, a twarz jej promieniała miękko i tkliwie. — To raczej ślub zapóźniony.

— Daj wam Boże szczęście — westchnęła znów matka. — Kiedy dajecie na zapowiedzi?

— Jutro. Muszę się zwolnić z pracy. Teraz trzeba miesiąc czekać, zanim zarejestrują.

— No cóż — rzekła matka i łza błysnęła w jej oku. — Szykujemy wesele.

— Ale my nie chcemy wesela, mamo. Już nie mam lat dziewiętnastu, żeby o tym trąbić na cały świat.

— Wstydu nie masz, dziewucho.

— Ale on... Wiesz, mamo, on nie znosi żadnych ceremonii!

9

On tymczasem wchodził po schodach na ganek. W domu było ciemno, przed wejściem więc usiadł na schodku i zapalił fajkę. Ciemność była taka nieprzenikniona, że nie widział ani rzeki, ani pagórków na przeciwnym brzegu. Jedynie w pobliżu zarysowywał się nastroszony kasztan i na środku podwórza bielała wilgotnie emaliowana miednica. Chłopiec czuł w sercu spokój, dym rozchodził się od niego falami i ów dym, zabłąkawszy się przez otwarte okno, obudził Halę. Wstała, narzuciła szlafrok i ostrożnie poszła do wyjścia: przemknęło jej przez myśl, czy przypadkiem Oksana nie zamknęła drzwi na zasuwę.

Namacała palcami żelazo, zasuwa rzeczywiście była zamknięta. Hala usiłowała otworzyć ją jak najciszej, mimo to zgrzytnęła klamką, więc gdy stanęła na progu, Chłopiec zwrócił ku niej twarz.

— Pukałeś? — cicho spytała siadając przy nim.

— Nie zdążyłem. Chcę sobie trochę popalić — odparł równie cicho. — To cudowna rzecz móc tak posiedzieć na ganku i popalić: świat tchnie takim spokojem...

— Już pragniesz spokoju?

— Wyobraź sobie. Przez ostatnie miesiące myślałem jedynie o tym domu na wzgórzu.

— To czemu nie przyjechałeś wcześniej?

— Nie byłem jeszcze gotów. Jestem jak ten owoc, co z trudem i długo dojrzewa.

— Przygotowujesz się do jakiejś pracy?

Obrócił się ku niej i zajaśniał uśmiechem:

— Dlaczego tak pomyślałaś?

— Może dlatego, że trochę wierzę w te bajki, które opowiadała twoja prababka. Mężczyźni przybywający do tego domu szukali spokoju, mężczyźni zaś urodzeni tutaj — na odwrót...

— Dlaczego dziadek Iwan nie mieszkał w tym domu? — zapytał Chłopiec. — Wystarczyłoby tu miejsca dla niego i dla jego żony.

— Ten dom to jest babskie królestwo — rzekła Hala po prostu. — On zaś chciał zbudować swoje własne. Odwiedzisz Mariję Jakiwnę?

— Koniecznie. Ale chcę się trochę otrząsnąć.

— Jak cię przywitała Neoniła?

— Jutro zgłaszamy się do urzędu.

— No to ci gratuluję!

— Wszysto to musi się odbyć po cichu, mamo. Całkiem po cichu!

— Co się nas tyczy, to nie masz krewnych poza mną, Oksaną i Mariją Jakiwną. A co do niej...

— Tam wszystko będzie jak należy — powiedział i wypuścił taki kłąb dymu, że zabłękitniał nawet w ciemności.

Siedzieli w milczeniu. I poczuli nagle, że było to dziwne i nieuzasadnione, że tak długo byli pozbawieni łączności ze sobą. Poczuł, że gdyby nie było tu owej kobiety, która w lot potrafi czytać jego myśli, owej białej królowej z jej pałacem i serdecznym uśmiechem, zatraciłby się na zawsze na swoich nieprzebytych szlakach. „Dobra matka i dobra żona — pomyślał sobie — to dwa magnesy, które zawracają zabłąkanych do rodzinnego domu. Ojciec wita, ale matka otula, gdy zaś nie ma ojca, to ona go zastępuje!" Hala myślała o czymś podobnym: gdzieś daleko i długo błądził ów Chłopiec, cząstka jej istoty i jej ciała. Nie mogła przyjmować go inaczej niż siebie samą, był przecież jej cząstką. Te obce i nawiane, nieznajome warstwy, którymi obrósł, rozpadały się przed nią jak łupiny kasztanów. Złotoskóry chłopczyk przyszedł nagle z nocy i usiadł tu u jej nóg. Ciało jego świeci i mieni się falami żółtości, jest niczym złoty posąg, jedynie zęby

ma z kości słoniowej, a oczy z ametystu. Przyleciał do niej jak przylatuje do dzieci żar-ptak i nie mogła nie obdarzyć go w zamian pieszczotą. Siedziała przy nim i od niej do niego płynęło ciepło. Wiedziała, że je przyjmie, jak niegdyś przyjmował mleko z jej piersi. I choć ma już lat dwadzieścia osiem, jest dla niej nadal tym, którym trzeba się opiekować.

— Ja, mamo — wyznał jej jak tajemnicę — od jutra zacznę czytać książki, które są w naszej bibliotece. Już teraz napełnia mnie coś osobliwego... Nie wiem, co dla mnie z tego wyniknie, ale wydaje mi się, że oczekuje mnie jakaś wielka radość.

— Będzie to radość i dla mnie — rzekła Hala i głos jej zadrżał w tym momencie.

10

Od rana do nocy wysiadywał w bibliotece, niekiedy kładł się, a czasami chodził po pokoju trzymając książkę przed oczyma. W ustach jego niezmiennie dymiła fajka, w tym dymie siekierę dałoby się powiesić — płynął przez okno jak z komina, sączył się przez szpary we drzwiach i snuł się korytarzem do innych pokojów. Dym ów budził Oksanę, dziewczyna przecierała oczy i cichcem słała pod adresem brata przekleństwa. Po czym wstawała, rozkojarzona i senna, szła do lustra i zawzięcie wyduszała na czole czy na brodzie pojedyncze pryszczyki. Krew ścierała watką z wodą kolońską, po czym rozbierała się całkiem i chłodno, bacznie studiowała swoje ciało. Piersi miała niewielkie, za to biodra szerokie — posępnie wpatrywała się w swoje ciało i nienawidziła go w cichości. Wciąż przed tym samym lustrem odbywała gimnastykę i zbudzona, rozkołysana, narzucała na nagie ciało podomkę.

Chłopiec w bibliotece pogwizdywał. Gwizd miał ostry, nieprzyjemny, i Oksana zatykała sobie uszy palcami. Tak nastrojona zachodziła do matki, która już krzątała się przy śniadaniu, i z rozmachem opadała na krzesło.

Chłopiec chodził po bibliotece i jego ciężkie kroki odbijały się echem w najdalszym zakątku domu.

— Smrodzi, gwiżdże i tupie — mówiła przez zęby Oksana. — Będę musiała jednak wyprowadzić się z domu.

— Dokąd to? — śmiała się Hala patrząc na zachmurzoną twarz dziewczyny.

— Gdzie oczy poniosą. Nerwy mam napięte jak struny.

— To ich nie napinaj.

— Boże — złapała się za głowę Oksana. — Boże, kiedy to się skończy! A on co, może jeszcze i żonę tutaj sprowadzi?

— To jeszcze nie jest zdecydowane — rzekła Hala obierając ziemniaki. — Może będą chcieli mieszkać u Ołeksandry Panasiwny, tam też jest dość miejsca. Ale jeżeli zechcą zamieszkać tutaj, to nie będę się sprzeciwiać. Wolałabym, żeby tak było, jako że ty nie jesteś zbyt rozmowna.

Oksana siedziała posępna jak antyczna bogini.

— No, to niechby się ożenił co rychlej — rzekła. — Tak mnie to krępuje. Człowiek musi się ubierać i rozbierać przy zamkniętych drzwiach, nocą nie można chodzić po domu i co tam jeszcze na dodatek? A nie mogłybyśmy wyekspediować go z powrotem na te wędrówki? Niechby się jeszcze naoglądał świata. — Oksana znacząco mrugała do matki.

— Jakby tak z boku popatrzeć — roześmiała się Hala — to można by pomyśleć, że ty, uchowaj Boże, jesteś złośnicą. Wiem przynajmniej, że tylko tak udajesz...

— Co niby udaję? — Oksanę aż podrywało z oburzenia. — Ile to mnie nerwów kosztuje udawanie przy nim, że jestem taka trusia — przysiadła rozwiewając poły podomki. — I taka czarująca. — Tutaj zrobiła straszną minę. — Jestem przy nim jak ten barszcz przedwczorajszy. Wszystkie te wasze koncepcje-spekulacje, tfu!

— Jednakże nie jest złym towarzyszem rozmowy.

— Nie dla mnie. Wiesz — Oksana nagle zmrużyła oczy — gdyby poszedł sobie mieszkać u Ołeksandry Panasiwny, nie byłabym do niego nastawiona tak ostro.

— A jak byłabyś nastawiona?

— A nijak — rzekła Oksana zadzierając nosek i poszła na podwórze ciągnąć wodę ze studni.

Dotychczas rozbierała się tu, na podwórzu, do naga i wylewała na siebie wiadro wody ze studni. Obecnie brała to wiadro i mrucząc pod nosem przekleństwa, taszczyła je do komórki. Zamykała drzwi na zasuwkę, po czym się rozbierała i powoli wylewała na piersi i plecy lodowate strugi. W tym właśnie momencie zjawiał się na progu rozchełstany i mało przytomny brat. Zbiegał ze schodków nie dostrzegając anielskiej postaci siostry i biegł do umywalni. Chlustał naprędce kilkoma garściami wody na swe oblicze i łapał się za ręcznik.

— Dzień dobry, braciszku — śpiewała za plecami Oksana.

— Dzień dobry, kochanie — prychał spod ręcznika Chłopiec. — Widzę, że ranny z ciebie ptaszek...

— Obudził mnie twój dym tytoniowy — ceremonialnie zwijała usteczka dziewczyna.

— Mnie też budzi — roześmiał się Chłopiec. — Zawsze śni mi się przed świtem, że zapalam, i to sprawia, że się budzę.

Oksana robiła wielkie oczy na takie tłumaczenie brata, po czym znów zadzierała nosek i defilowała przed nim wchodząc do domu.

— Halo, Oksano! — zawołał kiedyś za nią. — Powiedz, czy ty czytujesz książki z naszej biblioteki?

— Ja? — odwróciła się ku niemu. — Niech pan przyjmie do wiadomości, że ja w ogóle książek nie czytam.

— A cóż takiego czytasz?

— Ja? A czy muszę koniecznie coś czytać? Ja nie czytam — rzekła dumnie unosząc brodę. — Ja żyję!

11

On zaś czytał. Łapczywie, nienasycenie, przerywając jedynie, gdy Hala wołała go do jedzenia albo też gdy sam przybiegał do niej, by zamienić kilka słów. Wieczorami schodził na dół, gdzie oczekiwała go narzeczona, i wyruszali wówczas na swoje nieskończone peregrynacje, bez przerwy rozmawiając i wypełniając w ten sposób dzielącą ich otchłań czasu. Po czym wracali z obolałymi ustami i płonącymi oczyma. Oksana kiedyś wypatrzyła takie przyjście: wyszła, by otworzyć bratu drzwi, które sama była zamknęła, a gdy przestąpił próg, pstryknęła wyłącznikiem. Ujrzała wówczas dziwną twarz, jakąś tkliwą i nieprzytomną, oczy brata gorzały niebieskim płomieniem, a wargi pałały czerwono. Dziewczyna zagryzła leciutko usta, bo ta jego twarz wywoływała w jej sercu niepojęte drżenie. Poszedł do swojej biblioteki, deski skrzypiały ciężko pod jego stopami, kołysały się masywne bary, spoglądała za nim szeroko otwartymi oczyma i coś niespodziewanie ciepłego ogarnęło jej serce. Zdawało się jej, że już gdzieś widziała takie ciężkie, szerokie bary, z których też promieniowała wielka, zagadkowa moc; zapragnęła wtedy co rychlej wrócić do swego pokoju i otulając się z głową w kołdrę zastygnąć, wyobrażając sobie Bóg wie jakie fantastyczne przygody. Możliwe, że znajdzie w nich dziś miejsce również dla brata, ale pozwoli mu jedynie służyć jej za podnóżek i chylić się przed nią jak najpokorniej. Zgasiła światło, gdy tylko przestąpił próg biblioteki, i po ciemku przekradła się do swoich drzwi. Słyszała jeszcze, jak pokasłuje u siebie, jak pociera zapałkę i zapala swe obrzydliwe kadzidło; stąpając na paluszkach, podeszła do okna. Ujrzała dolinę zalaną światłem księżyca, pełną migotliwych drżeń, modrą ścieżkę rzeki i nad tą rzeką samotną postać stojącą jak gdyby na wodzie. Wydało się jej, że postać owa zamachała nagle skrzydłami i wzleciała nad rzeką: ogromna, szara i skudlona. Oksana przymknęła oczy, a gdy je otwarła, nie

było już ani postaci, ani ptaka, mżyła jedynie światłem bezludna modra dolina, a na drobniutkich falkach wzbudzonych niespodziewanym powiewem połyskiwał księżyc. Kołysał się na niebie wielki i okrągły, i patrząc nań Oksana raptownie wyzbyła się swego rozmarzenia; usta jej zwęziły się i wygięły w podkówkę, bo pomyślała sobie, że lada dzień skończą się wakacje i będzie musiała pójść do szkoły. Ożyła w jej sercu zastarzała niechęć i dziewczyna aż zazgrzytała ząbkami.

Chłopiec w swej izbie czytał jeszcze. Był jednak zbyt wstrząśnięty, by oddać się bez reszty lekturze, zamknął więc książkę i położył fajkę na krześle.

Leżał i patrzył w sufit. Nie widział go wcale, jedynie rozległe niebo, pełne strzępiastych chmur i z księżycem pośrodku. Leżało mu na twarzy i czuł każdym fibrem skóry jego wilgotny, chłodny jedwab.

Wyciągnął dłoń do wyłącznika i pogrążył się w ciemności. Ukazała mu się wówczas w całej swojej urodzie czuła twarz Neoniły, kołysała się rozpływając się w cieniu, uśmiechała radośnie i drżąco, jaśniała i ogrzewała blaskiem oczu. Leżąc tak w samotności na twardej kanapie, czuł zapach jej ciała i chłonąc go pełną piersią pogrążył się w złotym przędziwie snów.

12

W niedzielę poszli we dwoje z Neoniłą przez most Berdyczowski, po czym przecięli pole i weszli do lasu. Nad nimi zaszumiały konary sosen, ziemia usłana była bujnym kobiercem mchu; szli trzymając się za ręce i zewsząd ogarniała ich uroczysta cisza. Niekiedy pantofelek Neoniły trafiał na szyszkę i podwijał się, ściskała wówczas palce narzeczonego, a jego ręka przy tym sztywniała, dając jej oparcie. Szli tak długo, nad nimi między rozkołysanymi czapami drzew jaśniało przepyszne niebo ze srebrnymi chmurami, słońce słało im pod nogi jaskrawe kobierce i gdy wstępowali na nie, odskakiwały od nich niemal w jedno złączone cienie. Później trafili w zarośla paproci i szli, szeleszcząc liśćmi; po czym wyszli na drogę i ruszyli nią dalej. Droga zarosła była trawą, na poboczach sterczały korzenie, porozbijane kołami wozów; droga wiła się przed nimi jasnozielonym cielskiem, gęsto poznaczonym jaskrawymi cętkami słońca. Chłopiec zaczął rozśmieszać dziewczynę, która przystawała co chwila i aż chwiała się ze śmiechu. Na ich głowy i ramiona opadała sieć świateł i cieni, i zaplątani w tę sieć byli cali w smugach, stąd pewnie wydawali się trochę niezwykli. Neoniła w tym momencie miała twarz podlotka; nachylał się, by zajrzeć jej w oczy. Pogrążał się w

morzu bezmiernej tkliwości i wyrozumiałej miłości, zdawało mu się, że właśnie o czymś takim marzył ongi, tygodniami poniewierając się na półkach wagonów. Ona zaś widziała jasnomodre jeziorka i napawała się ich czystą wodą, upajała radośnie — tak owo światło mieniło się na jej twarzy i jaśniało. Szli, przenikając się nawzajem owym pragnieniem i wydało się im obojgu, że świat w tej godzinie ściśle się ograniczył — był dla nich i w nich. Wówczas przeleciał im przez drogę ptak, wielki, mignął żółto i czarno, i ów ptak jak gdyby nadał im jakiś sygnał. Chłopiec zatrzymał dziewczynę i poczuł na ustach świeży zapach poranku. Całowali się, spojeni w jedno ciało, a sosny nad nimi chwiały się, kiwały głowami, wreszcie zrzuciły po szyszce i te szyszki poupadały im do stóp. Wówczas oprzytomnieli nieco, ruszyli dalej i szli, aż Chłopiec uścisnął dłoń Neoniły i znieruchomiał, bacznie wpatrując się przed siebie.

Posłyszeli donośne brzęczenie pszczół — przed nimi rozpościerała się polana, bez reszty porośnięta kwiatami, a z jej środka wyrastała rozłożysta grusza i powietrze aż kołysało się od niezmiernego mnóstwa przejrzystych skrzydełek. Pszczoły i motyle piły z kwiatów nektar, i Chłopiec z Neoniłą pojęli, że tego miejsca właśnie szukali.

Pili siebie nawzajem, jak piją wodę spragnieni wędrowcy. Świat zniknął dla nich, bo nagle zapomnieli o czasie i przestrzeni; nawet pszczoły przestały brzęczeć. Otoczyła ich modra cisza. Neoniła otwierając oczy widziała modre niebo albo też nie mniej modre jego źrenice. Była niemal obnażona wobec tego nieba i tych oczu i jeno ciało jej drętwiało z lęku czy też oczekiwania. On zaś ujrzał przed sobą ziemię, ciemną i zarośniętą trawą, ujrzał jeszcze ciemniejsze oczy, czarne włosy rozścielały się po tej ziemi i kwitł na niej czerwony kwiat ust. Oczy jej już nie świeciły płomieniem, ale były jak gdyby przyprószone, przygasłe, płaskie, niemal zmartwiałe, do bólu serca zapragnął wniknąć w ich nieprzejrzaną ciemność i nie bacząc na nic zapalić w nich płomień. Płomień ten gorzał już w jego ciele, w oczach i palcach rąk i nóg. W ustach, które krzyżował z tym czerwonym kwiatem na ziemi; ogień żył i w tej ziemi, a kwiat czerwony już aż krwią ociekał. Wówczas ośmielił się przyjąć ten ogień i w siebie, wejść w tę ziemię i sam stać się ziemią. Poczuł delikatny jedwab skóry, oparzył ją i sam się oparzył. Głęboki las zaszumiał dookoła — ujrzał czarnoczerwoną różę na okrytej kwiatami ziemi. Znów zabrzęczały nad nimi pszczoły i on też stał się pszczołą, i zstąpił do tej róży zapłodnić ją i zebrać jej miód.

O tej samej porze zjawił się na wzgórzu smukły, odświętnie ubrany elegancik z morskiej pianki. Na głowie miał sterczącą, czarną i kędzierzawą kopicę włosów, na nogach lśniące pantofle, a na małym palcu błyszczał masywny srebrny pierścionek. Elegancik przespacerował się po wzgórzu i usiadł na skale pooglądać okoliczne widoki. Ujrzał idącą pod górę Oksanę, uśmiechnął się do niej czarująco i zapytał, jak się nazywa ta rzeka i czy jest bardzo głęboka. Oksana popatrzyła nań jasnymi chłodnymi oczyma i mruknęła pod nosem nazwę rzeki, a pytanie o głębokość zbyła milczeniem. Elegancik jednakże nie dał za wygraną i zapytał, gdzie tu w pobliżu dałoby się znaleźć pokój do wynajęcia. Chciałby pomieszkać tu czas jakiś, bo strasznie mu się spodobały te zakątki. Popatrzył na ich dom i pokazując go palcem oświadczył, że z chęcią wynająłby tu pokój.

Oksanę aż zatkało z oburzenia. Popatrzyła na eleganta, jakby chciała go zetrzeć z powierzchni ziemi, jednakże odpowiedziało jej takie spojrzenie, aż ciarki jej przeszły po grzbiecie. Zdała sobie sprawę, że jeśli nie weźmie się w garść, to zmięknie i nie daj Bóg wda się z tym natrętem w rozmowę. Zadarła nosek lekceważąco i nie patrząc na natręta oświadczyła, że żadnego pokoju do wynajęcia nie było tu ani nie będzie. Poszła dalej, lecz elegancik był natrętny ponad wszelką przyzwoitość i usiłował jej towarzyszyć. Tutaj są takie wspaniałe widoki: czy mógłby wstąpić i porozmawiać z jej mamą?

Oksana znów się zatrzymała. Jego przypochlebny, słodki głosik przenikał ją i osobliwie niepokoił. Jednakże czuła więcej obrzydzenia i pogardy niż sympatii; a gdy zadrasnął jej ambicję, usta jej zrobiły się wąskie i bezkrwiste.

— O takich sprawach decyduję sama! — rzekła z naciskiem. — I mogę pana zapewnić stanowczo, że mieszkań u nas się nie wynajmuje.

Z ukosa jeno musnęła go spojrzeniem, ale i tego było dość, by doznać zawrotu głowy. Elegancik nie patrzył na nią, ale po prostu ją chłonął. Znów przemówił jak najuprzejmiej, a że podeszła już do furtki, musiał się zatrzymać.

Na podwórzu Hala prała bieliznę. Ujrzała eleganta i nagle coś dźgnęło ją w serce.

Oksana zatrzasnęła przed nim furtkę, on zaś, ujrzawszy Halę, wycofał się, choć dopiero co prosił, by go do niej zaprowadzić.

— Cóż to za jeden? — spytała Hala pobladłymi ustami.

— Przyplątał się jakiś taki — wzruszyła ramionami Oksana. — Pokoju szuka albo co... Powiada, że mu się nasz dom spodobał.

— A ty co mu odpowiedziałaś?

— Co miałam mu odpowiedzieć? — Oksana gniewnie rozszerzyła chrapki. — Powiedziałam, niech sfrunie, bo my tu nic nie wynajmujemy.

— Tak, tak! — mruknęła Hala. — A czy on z dołu przyszedł tu pod górę?

— A bo ja wiem? — prychnęła Oksana. — Zastałam go na skale. Siedział i gapił się na te widoki. A w ogóle czemu się tak denerwujesz?

— Zdawało mi się, że towarzyszył ci do domu.

Oksana się roześmiała.

— Przyczepił się jak rzep do psiego ogona. A jakie oczy miał, mamo! Jak żmija...

— Oczy, powiadasz? — zmarszczyła brwi Hala.

— Tak, tak, oczy. Myślałam, że zje mnie nieszczęsną.

Zacisnęła usta, zadarła nosek i weszła do domu, a Hali aż dłonie opadły. Serce biło głucho w jej piersi, krew napłynęła do twarzy; Hala usiadła na ławeczce. W domu Oksana zaśpiewała beztrosko, a z okna Chłopca wypływał dym. Chłopiec jak zwykle od rana do wieczora pogrążał się w tym dymie i w księgach. Miała ochotę przyjść do niego i opowiedzieć o wszystkim. O szarym ptaku, którego oczy zniewalają i zasiewają we krwi nieznane dotąd pragnienia. Ale opowiedzieć o tym Chłopcu to tyle, co wydać mu tajemnicę jego narodzin.

Oksana wyszła w tym momencie na ganek. Zdążyła się przebrać i uśmiech błąkał się na jej ustach.

— Twój synek gwiżdże, dymi i dudni! — Wyciągnęła po aktorsku dłonie przed siebie, po czym opuściła je i nerwowo splotła palce. — Słuchaj, mamo, mieszka już u nas prawie miesiąc. Czas może, by zabrał się do jakiejś pracy?

14

Jednakże Hala nie reagowała na to ukłucie córuni. Siedziała na ławce i słuchała, jak krew huczy jej w skroniach.

— Jakoś kiepsko się czuję — rzekła do córki. — Może dokończysz za mnie pranie?

— Naturalnie, mamo. Pójdę tylko zobaczyć czy ten abszty-fikant już sobie poszedł.

— Nie chodź! — zareagowała nerwowo Hala. — Proszę cię, nie chodź!

Oksana chłodno i ze zdziwieniem popatrzyła na matkę.

— Co ci jest, mamo?

— E, długo by o tym mówić — rzekła Hala. — Ale z wiekiem... Z wiekiem robimy się wyrozumialsi i uleglejsi nawet wobec przesądów. Może to taka postawa obronna... Tfu, brak mi słów.

— To dlatego, że chcesz to określić supernaukowo. Powiedz wprost, co to była za historia?

Hala opowiedziała tę historię ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Głupio jej było powtarzać to, co przez długie lata uważała za wytwór chorej wyobraźni swojej babci. Opowiadała o odwiedzających ich dom mężczyznach, którzy należą do dwóch rodzajów. Pierwsi odwiedzają dom, gdy dziewczęta dopiero zaczynają dojrzewać, drudzy, gdy są już uformowanymi pięknościami. Nie było w tym domu, rzekła Hala, dziewcząt nieurodziwych (Oksana może się o tym przekonać przeglądając ich album), jednakże losy miały niejednakowe. Te, które nie potrafiły wytrwać we wczesnej młodości, rodziły chłopców, a od tych drugich przybyszów rodziły się dziewczęta. Dziewczęta pozostawały w domu, a chłopaków męczył duch niespokojny — byli z nich włóczykije i odbieżyświaty, pijacy albo też dziwacy jak ów pradziadek Oksany Iwan. Może istotnie przypomina to bajkę, rzekła Hala, ale powtarzało się to parokrotnie. Kilka z nich nie potrafiło się oprzeć we wczesnej młodości — utraciły wianek; za to ci drudzy mężczyźni dają się przywiązać do tego domu na dłużej. Nie chce jej przekonywać, że nie jest to banalny zbieg okoliczności, stwierdziła Hala, jednakże jej obowiązkiem jest poinformować ją o tych faktach.

Oksana stała naprzeciw matki nadal z zadartym noskiem i uśmiech lekceważenia snuł się po jej twarzy. Hala nie widziała uśmiechu, bo gdyby go ujrzała, nie zdołałaby opowiedzieć tej historii do końca.

— Nie wszystkie dziewczęta ulegają temu pierwszemu — mówiła — ale te, co ulegną, stają się nieszczęśliwe. Czeka je trudne życie i wielka zgryzota z powodu synów, których rodzą. Jesteś już dorosłą dziewczyną — dodała — na przyszły rok kończysz szkołę. Weź to pod uwagę!

Hala uniosła oczy i zobaczyła pełen politowania uśmiech córki.

—Teraz już wiem — rzekła tamta z odcieniem szyderstwa — skąd się wziął twój ukochany synalek.

— Wszystkie jesteśmy z jednej gliny — rzekła Hala.

— Ba! — prychnęła Oksana. — Uważasz, że ja się dam nabrać?

— Nie chcę, żebyś igrała z ogniem.

— Ja w ten ogień skakać nie mam zamiaru — odparła Oksana. — Ale nie myślę chować się w krzaki.

Zadrżały jej chrapki i znów zajaśniała ową nieziemską urodą, jaką dostrzegła w niej Hala po raz pierwszy po przyjeździe Chłopca. Zrobiło się jej smutno i rzewnie, gdy tak patrzyła na tę rozbudzoną, a zarazem tak pewną siebie piękność.

— Uwierz mi, córeczko — rzekła ujmując ją za rękę. — Może to i zabawne, ale kiedyś, dawno temu, toczyła się podobna rozmowa pomiędzy mną a twoją prababką. Czy wiesz, co jest najśmieszniejsze w tym wszystkim?

— Co? — uniosła brwi Oksana.

— Ja wówczas zachowywałam się zupełnie podobnie do ciebie.

Powiedziała to z taką skruchą i smutkiem, że Oksanie serce zabiło żywiej i gorący rumieniec okrył jej policzki. Usiadła obok matki i rzekła z powagą i zastanowieniem:

— Nie masz powodów do niepokoju, mamo. Mężczyźni na razie nie wywołują we mnie przyjaznych uczuć.

Te wzajemne wynurzenia jakoś je rozczuliły: Oksanę dlatego, że matka rozmawia z nią jak z dorosłą, Halę zaś z powodu owej naiwnej i nieco komicznej powagi córki.

Nie wiedziały, że całą tę rozmowę przez otwarte okno słyszał również Chłopiec. Wyjął fajkę z ust, położył ją na krześle, otwarta książka spoczywała mu na piersi, a na twarzy pojawił się uśmiech zakłopotania. Smutek zagnieździł mu się w sercu i po raz pierwszy w ciągu całego pobytu tutaj znów zapragnął opuścić dom rodzinny.

15

Nocą Hali przyśnił się szary ptak w ludzkiej postaci. Miał głowę mężczyzny, choć zamiast włosami obrośnięty był pierzem. Pierzem obrosło również całe jego ciało, zamiast rąk miał skrzydła, za to nogi miał ludzkie, obute w lśniące trzewiki. Ptak krążył nad ich zagrodą, Hala zaś leżała w łóżku na podwórzu i śledziła z obawą, jak szare ogromne cielsko gwałtownie pruje powietrze. Gardłowy krzyk wyrwał się owemu ptakoczłekowi; złożył skrzydła i nagle runął w dół. Hala zdążyła się osłonić kołdrą i ptak zleciał na tę kołdrę. Uchwycił ją szponami, co się wysuwały ze lśniących sztybletów, i poszybował wzwyż. Zdrętwiała ze strachu, leżała pod gołym niebem w samej koszuli. Rozpostarta w powietrzu kołdra frunęła niczym latający dywan, wznosiła się coraz wyżej, tam, gdzie jaśniał i płomieniał na niebie księżyc. Ptak znów złożył skrzydła i spikował w dół. Tym razem zdarł z niej koszulę, rozrywając ją szponami, i ugodził ją dziobem pod serce. Krwawa rana zaczerwieniała pod jej piersią, a białe płótno koszuli pofrunęło w górę i luźno trzepocąc również wzniosło się do księżyca. Ptak uleciał za tą kołdrą i koszulą, malał i malał, aż znikł całkiem, ona zaś leżała na dole w łóżku z rozszarpanym sercem i nie mogła drgnąć.

Obudziła się zlana zimnym potem, z trudem łapiąc oddech.

Czuła ból w sercu i nieznośnie waliło jej w skroniach. Zdawało się, że lada chwila rozsadzi jej mózg, zawołała więc ochryple Oksanę. Ta jednakże spała mocno, oddzielona ścianą. Hala podniosła rękę i załomotała w tę ścianę. Coś poruszyło się w głębi domu i rozległy się ciężkie kroki: zbudziła Chłopca. Otworzył drzwi i zajrzał do niej. Przywołała go słabym głosem, oburącz ściskając głowę, którą wciąż jeszcze coś rozsadzało.

— Niedobrze mi — rzekła. — Obudź Oksanę. Albo nie, daj mi plaster z gorczycy. Tutaj, na półce.

Zapalił światło i zmoczył kompres, spryskawszy go wodą z karafki. Przyłożył matce do szyi.

— Daj mi tabletkę nitrogliceryny — poprosiła Hala. — Też jest na półce.

Podał tabletkę i włożyła ją sobie pod język. Szyja się rozgrzewała i krew z wolna odpływała z głowy.

— Czy od dawna to miewasz?

— Mało to miewałam powodów? — odparła Hala sepleniąc z powodu tabletki pod językiem.

— Leż. Posiedzę przy tobie.

Usiadł przy niej, rozespany i ociężały, i dopiero teraz Hala zauważyła, że jest o wiele starszy niż w metryce. Ujrzała jego ciężkie, strudzone ręce, poczuła ostry zapach jego ciała i ulitowała się nagle: niejedna poniewierka i jemu przypadła w udziale. Co prawda sam tego chciał, ale teraz twarz ma jakąś nieświeżą i w oczach jego kryje się głębokie znużenie.

— Sprawiłam ci kłopot. Jak mi się trafia coś takiego, to Oksana śpi w tym pokoju. Najczęściej bywa to wiosną, ale, jak widzisz...

— Nie wolno ci się denerwować — rzekł Chłopiec. — I częściej wypoczywaj.

— Teraz właśnie wypoczywam. Od jesieni to nie ma czasu na zabawę.

Przymknęła oczy, na policzkach jej ukazały się wypieki. Chłopiec wstał.

— Może obudzić Oksanę? Niechaj się przeniesie...

— Już nie trzeba — otwarła oczy Hala. — Przy okazji, bo wciąż zapominam ci powiedzieć: pytała o ciebie kilkakrotnie Marija Jakiwna. Nie zaglądałeś do niej?

— Jeszcze nie.

— Odwiedź ją koniecznie. Bardzo chce widzieć się z tobą.

16

Siedział z Mariją Jakiwną w ogrodzie, sierpień był niebywale słoneczny, prawie taki jak wówczas, gdy dożywał swoich dni

stary Iwan. Marija Jakiwna pomyślała o tym mimochodem, przyglądając się Chłopcu: przypominał w czymś jej Iwana, tylko tamten był chudy, a ten otyły. Słońce świeciło na nich, czyniąc głowę Marii Jakiwny srebrzyście promienną, a czarną czuprynę Chłopca jeszcze czarniejszą. Marija Jakiwna zmęczyła się opowiadając mu o starzyku — dawno już nie miała okazji tyle mówić. Mieniły się w słońcu ułożone w wazie jabłka, gruszki i śliwki, nad którymi fruwały żółto jarzące się osy, i stara raz po raz machała ręką spędzając je z owoców.

— Nudzę cię tym babskim gadaniem — rzekła Marija Jakiwna. — Bardzo pragnęłam się z tobą zobaczyć. A jak zobaczyłam, to muże wspominać.

Chłopiec spojrzał na nią oczyma prawie przejrzystymi od słońca.

— Kiedy byłem stąd daleko — rzekł z namysłem — często wspominałem panią, Marijo Jakiwno, i dziadka Iwana. Wciąż mi się zdawało, że muszę wrócić i przeczytać te zeszyty, które on pospisywał.

— Na to ci zezwolę — roześmiała się Marija Jakiwna. — Kto wie, co tam w nich jest: nie mam zdrowia wgłębiać się w te hieroglify. Dla mnie jest to po prostu miła pamiątka po mężu, więc je przechowuję.

— Zawsze mi się zdawało — ciągnął swoje Chłopiec — że wcale nie jest to błahe. Właściwie nic z tego, co dotyczy dziadka, nie jest błahe również dla mnie. Każdy człowiek szuka w życiu podobieństw i odbicia siebie samego w innych. Niekiedy sam siebie odzwierciedla przede wszystkim, ale więź przez to nie ulega zerwaniu. To, co się mówi o powinowactwie dusz, nie jest bzdurą. Długo zastanawiałem się nad tym, że powinowactwo dusz jest jedną z najskuteczniejszych form walki człowieka z samotnością.

— To, co mówisz, jest dla mnie zbyt zawiłe — powiedziała Marija Jakiwna. — Ale sama wiem dobrze, co to samotność. Przez pierwsze lata po śmierci dziadka wydawało mi się, że całkiem straciłam chęć do życia. A wiesz, co mnie trzymało na duchu? Niebo wieczorne. Patrzyłam na nie i mimo woli uspokajałam się... Wiesz, mimo wszystko próbowałam czytać te zeszyty, które cię tak ciekawią; chciałam chyba jakoś się z nim zjednoczyć, ale to nie dla mnie zajęcie. Żyliśmy długo i zgodnie — głos Marii Jakiwny płynął powoli — jednakże widać nie zespoliliśmy się całkowicie. Oddana byłam mu chyba bez reszty, lecz on żyć musiał jeszcze w kręgach dla mnie niedostępnych. Wyobraź sobie, że pod tym względem okazywał przedziwną delikatność, nigdy nie czułam się gorsza od niego...

— Wiele spodziewam się znaleźć w tych zeszytach — rzekł Chłopiec.

— Nie śpiesz się z tym! — odparła Marija Jakiwna. — Możesz się rozczarować. Tak czy owak będziesz ich spadkobiercą. I wiesz, o co cię proszę? Ty oczywiście będziesz oceniał to po swojemu, porównując to pisanie ze sztuką, czy z czymś tam. Ale jeśli nie zdołasz znaleźć użytku dla tej pisaniny, nie znajdziesz w niej nic dla siebie cennego, to nie wyrzucaj jej i nie traktuj pogardliwie. Niech sobie leży spokojnie w kącie, nie wadzi nikomu. Raz na pół roku otrzep te zeszyty z kurzu i odłóż z powrotem. I bądź łaskaw przekazać to życzenie swoim dzieciom...

— Czy nie za wcześnie, Marijo Jakiwno, na taki testament?

— Oj, nie za wcześnie, chłopaczku, nie za wcześnie. Moje serce jest jak zepsuty silnik w samochodzie. Już tak zepsuty, że ani rusz nie da się naprawić.

Marija Jakiwna spojrzała na niego poprzez kryształki łez i na jej ustach zjawił się dobry i miły uśmiech. Wstała, z trudem opierając się na lasce, i skinęła, by poszedł za nią. Mozolnie stawiała kroki podpierając się swoim kijaszkiem.

— Widzisz, że już ledwie powłóczę nogami. Najgorzej radzę sobie z tymi schodami.

Na schodach wziął ją pod rękę i oparła się na nim. Dłoń miała niebywale zimną.

— Na jak długo przyjechałeś do matki? — spytała cicho, gdy wdrapywali się po schodach.

— Sądzę, że na stałe.

— Hala mówiła mi o tobie i o Neonile. Czy to prawda?

— W przyszłym tygodniu się pobieramy.

— Winszuję ci. To świetna dziewczyna. Często przybiega do mnie i niech jej będą dzięki, pomaga mi. Jak mi dom wysprząta, to raźniej się robi na sercu. Twoja mama i siostra też mi pomagają. Masz bardzo ładną siostrę!

Chłopiec przypomniał sobie zadarty nosek i dumnie zaciśnięte usta. Poczuł się nieco dziwnie.

— Rada jestem, żeś się zaprzyjaźnił z Neoniłą — rzekła stara łapiąc dech na werandzie.

Tak jak dawniej stał tutaj stół i tak samo wiły się powoje. Przy stole stał wiklinowy fotel. Chłopca ogarnęło raptem dziwne pragnienie: coś go ciągnęło do tego stołu i tego fotela. W dole rozpościerały się dachy i podwórza.

— Lubił tutaj siadywać — przechwyciła jego spojrzenie staruszka. — Nic tutaj nie przestawiałam...

Weszli do izby. Istotnie było w niej bardzo czysto, lśniła pomalowana podłoga, chodniki na niej były równe i jak wyprasowane, na oknach jaśniały bialuteńkie zazdrostki.

— Podłogę malowała twoja siostra. Rok temu. To taka nieposkromiona dziewczyna!

— Zdawało mi się, że trochę zadziera nosa — nie wytrzymał Chłopiec.

— Co ty mówisz? — szczerze zdumiała się Marija Jakiwna. — Tego u niej nie zauważyłam.

Podeszła do szafy, otworzyła i wyjęła z niej paczkę zawiniętą w pergamin.

— Tak mniej się kurzy — rzekła rozpakowując.

Sucho i lekko zaszeleścił papier, Chłopiec aż przywarł oczyma do tych fascykułów. Były grube, oprawne w skórę, pożółkłe na krawędziach, na jednym z nich widniał ogromny gwiaździsty kleks. Pięć brulionów, jeden na drugim, leżało przed nim niczym skarb drogocenny.

— Masz tutaj — rzekła Marija Jakiwna — to, czemu oddał swoje życie.

17

Elegancik spacerował sobie po wzgórzu tędy i owędy, z ust sterczał mu tlący się papieros, modry dymek wił się do góry i elegancik mrużył od dymu lewe oko. Bił blask od jego wypastowanych pantofli, szary garnitur leżał nienagannie, spojrzenie strzelało na wszystkie strony, aż wreszcie ujrzał Oksanę. Szła pod górę z siatką pełną zakupów, przeto w mig znalazł się przy niej z wyciągniętą dłonią:

— Pani pozwoli, że pomogę?

Jednakże Oksana nie zwróciła na niego uwagi. Szła chłodna i niewzruszona, on zaś obiegał ją to z jednej, to z drugiej strony. Mówił o cudownych okolicach, w których ona mieszka, o tym, że znów coś go tu przyciągnęło, i prosił, by go stąd nie wypędzała. Powiedział, że śniła mu się dzisiaj i że poczuł niezwykłą tęsknotę, gdy się obudził. Oksana szła niewzruszona i spokojna, na eleganta nawet nie rzuciła okiem, chociaż wyłaził ze skóry, by zajrzeć jej w oczy. Zresztą, na wzgórzu umilkł, by nabrać oddechu. Oksana zwróciła doń zadarty nosek i zapytała przez zaciśnięte usta:

— To wszystko, co pan miał do powiedzenia?

— Nie, nie — rozgorączkował się tamten. — Oczywiście może mnie pani potraktować jak natręta, ale tak bym pragnął, by pani odniosła się do mnie przychylniej. Pani oziębłość mnie zabija i tak mi się robi ciężko na sercu! Jeżeli można — rzekł z emfazą — zechce pani przyjąć to ode mnie i już nigdy więcej nie pokażę się pani na oczy.

Fantazyjnie zamachał rękoma jak iluzjonista i w palcach jego

wyrosła przepyszna czerwona róża, taka świeża, że kropelki rosy drżały lekko na jej płatkach.

Oksana spojrzała na różę i w oczach jej na chwilę zajaśniał ciepły promyk. Jednakże róży nie przyjęła.

— Może ją pan ofiarować którejś ze swoich koleżanek — rzekła ozięble i ruszyła dalej.

Wyciągnął ku niej dłoń z różą, ona jednakże nie widziała tego modlitewnego gestu. Znowu zbliżył się do niej i zabiegając z jednej i z drugiej strony, zasypał ją mnóstwem pochlebstw i czułości. Słowa te już poczynały padać w serce Oksany niczym gorące iskry i znów zmuszona była wziąć się w garść, by się nie poddać temu zwodniczemu urokowi. Nosek jej nadal hardo mierzył w górę, a usta miała zaciśnięte. Trzasnęła przed nosem eleganta furtką tak zamaszyście, że omal nie rozbiła mu czoła. Uśmiechnął się tam za furtką, za jej plecami, i było w tym uśmiechu więcej smutku niż miłości. W ręku obwisła mu już całkiem obstrzępiona róża, a lśniące czarne pantofle okryły się leciutkim nalotem kurzu. Elegancik popatrzył na ten kurz ze zgrozą, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i jął otrzepywać nią obuwie. W tym momencie Oksana się obejrzała i na jej ustach zakwitł szyderczy uśmiech; rozczapierzyła palce przy uszach i powachlowała się nimi. Tamten za furtką poczerwieniał jak piwonia, oczy zmalały mu całkowicie i Oksana poczuła, jak ukłuło ją to spojrzenie niczym dwie igiełki. Ale była już daleko od eleganta, zwinęła więc usta w trąbkę i sama nie wiedząc dlaczego zagwizdała ową melodię, którą tak mocno dokuczył jej braciszek.

Melodię tę przez otwarte okno posłyszał również Chłopiec. Wyjrzał, wypuszczając wielgachny kłąb dymu, i był w tym domu niczym czarnoksiężnik sprawujący gusła.

— Niezły masz słuch, siostrzyczko! — zawołał i posłał jej całusa w powietrzu.

Oksana zła była na siebie z powodu nieumiejętnego naśladownictwa, a także na brata, że tak mocno to podkreślił, ale najbardziej na eleganta, co wciąż jeszcze sterczał za furtką, i spojrzenie jego wyrażało żal nieutulony

18

Tego wieczora, gdy Chłopiec dostał do ręki chronione jak świętość zeszyty, nie poszedł do Neoniły, wymówiwszy się w paru słowach, znalazła więc wolną chwilę, by odwiedzić Mariję Jakiwnę.

— Tyle czasu nie byłam u pani — rzekła zmieszana, przechodząc furtką — że aż wstyd mnie pali.

Marija Jakiwna siedziała na podeście ganku, podesławszy sobie wytartą kozią skórę.

— Witam cię, dziecko — rzekła jak najserdeczniej. — Pewnie bardzo byłaś zajęta?

— Oj, bardzo, Marijo Jakiwno! — zarumieniła się Neoniła. — Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba.

— A czy jesteś szczęśliwa?

Neoniła przystanęła na podwórzu i uśmiech na jej twarzy był dość wymowny.

— No to wspaniale, dziecko — rzekła stara. — Nie byłam tutaj opuszczona. Co drugi dzień przychodziła Oksana i radziłyśmy sobie znakomicie...

— Zaraz tutaj posprzątam — poderwała się Neoniła.

— Nie ma tam nic do sprzątania, dziecino — roześmiała się Marija Jakiwna. — Ta Oksana jest taka energiczna! Ale dobrze, żeś przyszła. Weź tam z sieni krzesełko i usiądź. Widzisz, jak tam niebo się pali?

Neoniła obejrzała się za siebie: majestatyczna zorza wieczorna roztoczyła się nad wzgórzem naprzeciw, niebo mieniło się i migotało. Neoniła patrząc na nie mimo woli przejęła coś z tego spokoju, jakim tchnęła twarz Marii Jakiwny.

— Mój Iwan nieboszczyk, daj mu Boże królestwo niebieskie, nie opuścił ani jednego takiego zachodu. Wiesz, że nie zdarzają się dwa jednakowe?!

Neoniła usiadła na krześle wpółzwrócona do Marii Jakiwny, a na wpół w stronę rozżagwionego nieba.

— Dzisiaj był u mnie twój przyszły — rzekła wciąż tym samym serdecznym i ściszonym głosem Marija Jakiwna. — Wzruszył mnie bardzo, bo go nie widziałam przez dziesięć lat. Oni są wszyscy do siebie dziwnie podobni, ci Szewczukowie, i to rzeczywiście robi wrażenie. Jesteś dziś wolna?

— Przez cały wieczór — rzekła głośno Neoniła. — Przyleciał taki zdyszany: strach, ile ma dzisiaj zajęcia.

— Dałam mu te zeszyty Iwana — zamilkła i czas jakiś wpatrywała się w Neoniłę. — Dobrze, żeś mnie przyszła odwiedzić — powtórzyła. — Mam tu do was jedną sprawę. Chciałam mu to powiedzieć, ale jakoś nie było sposobności, tak bardzo był pochłonięty tymi zeszytami...

Niebo naprzeciw grało barwami. Malinowe smugi wlewały się w fiołkowe, rozpuszczające się w gęstej czerwieni, dokoła zaś drgały pomarańczowe wstęgi. Kilka białych obłoków nasiąkało purpurą jak gąbka wodą i nagle zmieniły się we wzdęte czerwone ryby. Marija Jakiwna patrzyła w niebo i jak gdyby zapomniała, o czym to chciała przed chwilą powiedzieć.

— Pani mówiła mi o czymś — wspomniała Neoniła.

— To nic wielkiego. Gdzie będziecie mieszkać po ślubie?

Neoniła zerknęła na starą z zakłopotaniem.

— Niech mi pani wierzy, Marijo Jakiwno...

— Nie rozmawialiście na ten temat — roześmiała się tamta, ale z miejsca ucichła. — Jakoś i tobie mówić o tym nie wypada...

— Ale Boże, o cóż tu chodzi, Marijo Jakiwno?!

— No dobrze! Mam ten dom i ogród. A z krewnych tylko Halę i jej dzieci. No, teraz i ciebie też. Chciałabym oddać wam ten dom, ale żebyście w nim mieszkali. Czy ten twój nie wybiera się znów na wędrówkę?

— Chyba nie. Ależ, Marijo Jakiwno...

— Kłopotu z tym mieć nie będę — rzekła stara. — Ja już długo nie pociągnę: wy się mną zaopiekujecie. Tańczyć koło mnie nie musicie, a ja ufam i jemu, i tobie. Jestem teraz, dziecino, jak to niebo, które dogasa...

Niebo gasło rzeczywiście. Uciekała zeń czerwień i fiolet, pozostała jedynie purpura. Już skurczyło się jej rozlewisko, pomału zacieniała je ledwie dostrzegalna mgiełka, osnuwająca już ziemię.

— Może nieco na siłę wciskam się w wasze pożycie, ale kto wie... — Marija Jakiwna umilkła. — Miło mi będzie na ostatek nacieszyć się waszym młodym szczęściem.

19

W nocy do zagrody przyleciał wielki szary ptak. Obcasami lśniących pantofli namacał ścieżkę i z wolna poszedł nią do samotnego domostwa na wzgórzu. Niebo obsypane dziś było ogromnymi gwiazdami, niekiedy któraś z nich odrywała się i kreśliła białą smugę. Ptak kroczył ścieżką i z wolna tracił ptasią postać: pierze na jego głowie stawało się kędzierzawą czupryną, skrzydła rękoma, a ramiona opinał mu ten sam niezmienny szary garnitur. W takiej postaci stanął przy furtce, oparł dłonie o sztachety i przez chwilę spoglądał na podwórze. Było tam pusto, bielała jedynie emaliowana miednica, a na stole stała wielka miednica ze spadami.

Elegant, stąpając niedosłyszalnie, podszedł do miednicy. Wisiał tu zapomniany wieczorem ręcznik, zdjął go i przytulił do twarzy. Rozróżnił trzy zapachy: ostry męski, od którego aż zakręciło mu się w nosie, i dwa łagodne: jeden zwyczajny, a drugi taki, że oczy zaświeciły mu jak głownie. Ten trzeci był najmocniejszy, bo ostatnia myła się przed nocą Oksana, i elegant wcisnął sobie ręcznik do kieszeni. Skraj ręcznika z frędzelkami zatrzepotał mu przy nodze, gdy poszedł dalej, a poszedł był do miednicy ze spadami. Wybrał jabłko najżółciejsze, usiadł na po-

deście ganku i nadgryzł. Sok zaświerkał w obie strony, tym razem znowu spadła gwiazda i dotkliwa żałość ścisnęła elegantowi serce. Jabłko zjadł, zaś ogryzek ułożył w miednicy między owocami. Znów poszedł, majtając białym ogonem ręcznika — stąpał już pod oknami. Przez otwarty wywietrznik dobiegał nierówny oddech i zapach łagodny, ale zwyczajny. W drugim oknie jeszcze się świeciło, elegant podkradł się pod nie i podciągając się na rękach zajrzał. W siwych kłębach dymu chodził po izbie barczysty, owłosiony mężczyzna i oczy płonęły mu gorączkowo. Elegancik zląkł się niesamowitej miny tego młodzieńca i bezszelestnie zsunął się na dół. Cofnął się nieco spod okna i usiadł pod ścianą próbując się uspokoić.

Długo tak siedział czekając, aż wreszcie zgaśnie to nienawistne okno. Tymczasem spuścił się nań z gałęzi pajączek i osnuł mu twarz pajęczyną. Starł tę pajęczynę dopiero wtedy, gdy okno nareszcie zgasło. Gwiazdy nad głową zogromniały, ale już i zbladły. Elegancik wstał i wsłuchał się. Przez otwarte okno wypływał zapach dymu tytoniowego, a wraz z nim potężne chrapanie. Elegancik splunął i poszedł dalej.

Przystanął pod trzecim oknem, wspiął się na czubkach palców i pociągnął nosem. Zapach, który doń powiał z pokoju, oczarował go. Stał i łowił go dygocącymi nozdrzami, a z oczu ciekły mu łzy. Światło gwiazd migotało w owych łzach i elegancik w tym momencie stał się piękny jak anioł. Podciągnął się na rękach i cichutko zapukał w szybkę. Głucha cisza była odpowiedzią na owo pukanie, westchnął więc boleśnie. Rozejrzał się dookoła: w dole, niczym niebieska droga, zastygła rzeka. Wokół niego latały ćmy nocne i komary, pająki snuły swoje nici — poczuł więc ruch i życie mnóstwa istot żyjących na tym świecie. Długo stał pod głuchym oknem i czekał zdesperowany. Dopiero gdy jęło się mienić ponad nim niebo, gdy gwiazdy uszły raptownie w górę, uciekając coraz dalej od ziemi, a nad głową przewiały pierwsze podmuchy ranne, wówczas dopiero się opamiętał. Zewsząd oplątany był pajęczyną, musiał zatem wydostawać się z niej jak z ubrania. Stojąc naprzeciw okna, co tak go fascynowało, machnął ręką niczym iluzjonista i w dłoniach wyrósł mu bukiet przepysznych i świeżych róż. Patrzył na te kwiaty, przejęty goryczą i żalem. Błogi ból jął go nękać, więc się zamachnął i bukiet wleciał powoli przez otwarty wywietrznik. Upadł na podłogę przy łóżku, na którym spała Oksana, i z miejsca rozsypał się w setki płatków.

Elegancik za oknem zmarzł i pomachał rękoma chcąc się ogrzać. Przy tym ruchu znów począł obrastać pierzem, ręce jego przeobraziły się w skrzydła, a przez pantofle przebiły się ostre szpony. Zamachał skrzydłami i na mgnienie przylgnął twarzą do

szyby. W półmroku izby, opromieniona bladą, migotliwą poświatą, spała piękność. Twarz jej rumieniała, usta zaś szeptały coś niespokojnie.

Ptak uderzył desperacko skrzydłami o szyby i na mgnienie oka omroczył owo cudne zjawisko. Rozpostarł skrzydła i z wolna popłynął nad senną zagrodą, malejąc coraz bardziej, aż zrobił się z niego ledwie dostrzegalny punkcik. Wówczas dosięgło go pierwsze światło dnia i umarł nagle, gasnąc jako jeszcze jedna gwiazda spośród miliardów tych, co szybko i niepowstrzymanie oddalają się od ziemi.

20

Oksana obudziła się wcześniej tego ranka. Śnił się jej elegancik, uciekała przed nim, a on ją ścigał. Śniło się jej, że zmieniła się w ptaka, uniosła się i leciała, tamten zaś biegł za nią i wznosił ręce do góry. Twarz miał wykrzywioną rozpaczą, a jej w piersi z powodu tej rozpaczy błogo trzepotało serce. Przyśnił się jej również brat, który wybiegł z domu i rzucił się bić elegancika. Na chwilę zrobiło się jej żal i tamtego, i brata, zapragnęła rzucić się pomiędzy nich i rozbroić. Szła jakąś niebieską drogą, obok niej kroczył kulejąc ojciec i zmierzali do małego domku, gdzie na progu siedziała stara jak świat babcia. W niebie pływały wielkie kuliste ciała i w owych kulach odbijały się ludzkie postacie wydłużone i zniekształcone jak w krzywych zwierciadłach. Strach ogarnął ją na tej drodze, chociaż dobrze wiedziała, co to za szlak — świat niegdysiejszych ludzi i życie, które uleciało. Szła z sercem przepełnionym żalem, gwiazdy pod stopami rozsypywały się niczym jabłka z piasku i raptem wydało się jej, że dusza jej się rozszerza i staje się bezkresna, że przemienia się w cały ten świat, nad wszystkie te postacie lunatycznie błądzące dokoła. Wówczas dziewczyna nagle przelękła się swojego rośnięcia i tej drogi — pobiegła czym prędzej, rozbijając piętami kruche ciała gwiazd. Szary ptak z twarzą elegancika leciał koło niej i coś do niej mówił, ale nie dosłyszała jego słów. Rzuciła się w bok od tej drogi i ujrzała rzecz przedziwną: dookoła świeciły okna, za którymi krzątali się zwyczajni ludzie. Zamknęła oczy i zaczęła spadać. Pod sobą ujrzała jasne kuliste ciało ziemi z wyraźnie zaznaczonymi kontynentami. Leciała w głuchej ciemności na spotkanie tego światła i tej ziemi. Kochała to światło i tę ziemię — ujrzała dom o jasnych ścianach i nagle krzyknęła ze szczęścia, co napełniło ją po brzegi.

Obudziła się i naraz zobaczyła, że cała podłoga usłana jest czerwonymi płatkami. Tutaj też poniewierał się kikut, z którego osypały się płatki: usiadła zdumiona i opuściła stopy na po-

dłogę. Poczuła jak gdyby lekkie łaskotanie tych płatków, uklękła i nabrała ich pełne dłonie. Lśniły jej w ręku jak zaczarowane, toteż bezwiednie zanurzyła w nich twarz. Cichy śmiech szczęścia wyrwał się z tych przyciśniętych do twarzy dłoni, z wolna osypywały się z nich płatki niczym języki płomieni: dziewczyna potrząsnęła głową, zarzucając za ramiona ciężkie włosy, a na ustach jej zaigrał uśmiech zwycięstwa.

Wstała, podniosła kolący badyl i wyrzuciła go przez lufcik. Po czym zasunęła zasłonę na oknie, zrzuciła koszulę i z dumą spojrzała na siebie w lustrze. Stała tam już całkiem dojrzała dziewczyna, a podłoga wokół niej migotała płomieniami.

Oksana zmrużyła oczy, zadarła nosek i mocno zacisnęła usta gorące jak powietrze nad ogniem.

21

26 sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku Chłopiec postawił swój podpis na akcie stanu cywilnego, w którym potwierdzał zawarcie związku małżeńskiego z Neoniłą Waszczuk, lat dwadzieścia siedem. Neoniła również postawiła swój podpis na tym akcie i wysłuchali suchej gratulacji, jaką obdarzyła ich wymizerowana i przywiędła urzędniczka. Świadkowali im Oksana i najstarszy syn Ołeksandry Panasiwny, który przypadkiem zawitał w tym czasie do Żytomierza. Obarczony przez kobiety misją dokonania zakupów, zostawił pod urzędem stanu cywilnego młodożeńców, którzy wyruszyli do domu w towarzystwie milczącego bóstwa z zadartym noskiem.

Stamtąd Chłopiec zabrał swoją niemal pustą walizkę i w towarzystwie matki i siostry zeszedł na dół. Tutaj witały go żona i teściowa. Ołeksandra Panasiwna ucałowała Chłopca w czoło, a szczególnie serdecznie uściskała się z Halą. Oksana stała z boku z niewzruszoną miną i spozierała na wszystko z góry. Chłopiec oddał swoją walizkę Neonile, natomiast wziął w ręce jej dwa kuferki, każdy ważący ponad dwa pudy. Jął targać te kufry pod górę, za nim poszła wymachując niemal pustą walizką Neoniła, z kolei matki z torbami naładowanymi jedzeniem, jako ostatnia kroczyła zupełnie spokojna i na pozór obojętna Oksana z torbą, w której mieściły się prezenty dla młodych od niej i od matki.

Marija Jakiwna stała przy otwartej na oścież furtce, oparta na lasce. Włożyła na tę okazję jasną sukienkę, ale najjaśniej świeciła jej głowa. Uśmiechnęła się na przywitanie i powiewała lekko ręką tuż przy głowie.

Ponieważ Chłopiec podszedł pierwszy, wyściskała go, po czym jęła ściskać wszystkich po kolei i wszystkie kobiety z wyjątkiem Oksany uroniły przy tym łzę rozrzewnienia. Oksana patrzyła na wszystko przez przymrużone rzęsy, a twarz miała pogodną i niewzruszoną.

Kobiety weszły gwarną gromadką do domu. Chłopiec zaś, pozostawiając kufry na werandzie, zeszedł po schodkach do ogrodu. Wielkie jabłka obficie obciążały gałęzie, zieleniały grusze i modrzały śliwy. Wzdłuż ścieżki hojnie nasadzono kwiatów: floksy, georginie, piękności nocy i róże. Poszedł tą ścieżką do końca ogrodu, pod nogami łagodnie chrzęścił mu piasek.

Za sadem zaczynał się ogród warzywny, co sięgał aż do pionowej skały przechodzącej w urwisko. Chłopiec zawrócił energicznie i ruszył z powrotem.

Kobiety krzątały się w kuchni, on zaś ostrożnie podszedł do stołu na werandzie. Odsunął wiklinowy fotel i usiadł. Fotel zatrzeszczał pod nim wszystkimi prętami. Twarz jego przybrała wyraz łagodnej zadumy.

Przed sobą miał morze dachów na ich ulicy, siedział więc z rękoma na stole i patrzył. Ujrzał tam w dali obszerne podwórze pod numerem piątym. Przy domostwie piętrzyły się półkolem komórki, jedną z nich otwierała niemłoda już kobieta w męskiej marynarce. Zobaczył również przygarbionego mężczyznę, co siedział na progu, skulony w kłębek, i spoglądał na świat czujnie i wzgardliwie. Obok niego, oparta ramieniem o futrynę i wytwornie wyginając kibić, stała jego siostra, a syn kobiety odmykającej komórkę kołysał się na ulicy raz po raz wsadzając dłoń do kieszeni i wrzucając do ust pestki słonecznika. Zapyrkał silniczek — obok tamtego z pestkami przedygotał się na skuterze jeden z sąsiadów — Juwpak. Przy chacie na wzgórku ukazała się wysoka, sucha i rozkraczona postać mężczyzny, obok niego zaś stała krowa z podobnie rozkraczonymi nogami. Dziobata Kat'ka siedziała na kamieniu i aż wyciągnęła szyję, tak pilnie gdzieś patrzyła, a Jonta wyjmował z ciężarówki świeżo przywiezioną pralkę automatyczną. Dźwignął ją na plecach i stał się bohaterem filmu naukowo-fantastycznego: przy nim z poważną miną kroczył jego sobowtór — syn. Szeroka, niepomiernie tęga kobieta stała we drzwiach zapełniając sobą cały prześwit i obdarzała Jontę złocistym uśmiechem. Szła kołysząc się groźnie Harmaszycha od podwórza do wrótni, którą w tej chwili przemknął jej malutki niewydarzony zięć. Na podwórzu Starego Piskorza chłopcy zbijali z desek tratwę, a sam Stary Piskorz siedział na kamieniu pod domem i spokojnie pociągał papierosa. Ulicą jechał przedpotopowy kabriolet, przy kierownicy siedział pyzaty staruch podobny do kota, a w głębi kryła się żona o chu-

dym, żółtym obliczu i młody drągal. Drągal wychylił się przez okno i zapatrzył na parę: dziewczynę idącą pod ręką z długonogim podchorążakiem. Z bramy pod numerem dwunastym wyszedł szewc i przystanął, jak gdyby się namyślał, dokąd iść. Wyminął go wracający do domu z wędkami księgowy i ukłonili się na powitanie. Madame Cukrowa wyszła na ulicę, usiadła na ławce i spoglądała na świat oczkami jak guziczki.

Chłopiec siedział w bezruchu, przeżywając cichą radość: świat szeroki roztaczał się przed jego oczyma. Wydało mu się, że wyszło zza chmury słońce, ujrzał też siebie, ogarniętego chmurą ognistej światłości. Rozejrzawszy się, pomyślał, że tam, w kuchni, kobiety w nadmiernej gorliwości podpaliły dom, ale płonęła już cała ulica i cały krajobraz przed oczyma. Zrozumiał wówczas, że światło płonie w nim samym. Mózg jego rozjaśniła na mgnienie błyskawica — cudowne promieniowanie przeniknęło mu do serca, zapładniając na zawsze jego życie. Zapadła w nie iskra szaleństwa pozostawiając w nim na zawsze odczucie nieba. Uniósł oczy i rozpoznał nagle wszechświat wypełniony nieskończoną przestrzenią, gęsto utkany okrągłymi, ciemnymi i jasnymi ciałami. Czuł zgodny rytm we wszystkim — tam w niebie i tu na ziemi: krążenie planet, soków i krwi, krążenie żywych i martwych ciał. Pojął nagle, że wokół niego rozpościera się nie martwy świat, lecz żywa, drgająca materia, co wypełnia niebo, ziemię i wszystko żyjące. We wszystkim czuł żywą obecność i to napełniło go prawdziwym szczęściem. Zrozumiał, że cały świat został cudownie urządzony i wszystko toczy się w równej mierze dla dobra każdego, a główną zasadą świata pozostaje miłość. W ciągu kilku sekund zobaczył i poznał więcej niż przez całych dziesięć lat swoich wędrówek. Zadrgały mu nozdrza, zaś oczy przeniosły go tutaj, na ulicę, którą dopiero co tak bacznie obserwowały, całą jego miłość, tęsknotę, niepokój i cierpienie. Ręka jego bezwiednie wyciągnęła się, by trafić na ołówek czy pióro, jednakże zastygła w powietrzu.

— Byle się nie śpieszyć — wyszeptał. — Byle się nie śpieszyć!

Część druga

GŁOS TRAWY

Opowieści spisane przez
Iwana Szewczuka,
pasterza kóz,
i przysposobione
po raz pierwszy
na użytek literatury
przez jego prawnuka

DROGA

Pod koniec roku 1618 w majątku Hudyszcze zaszło niewiarygodne zdarzenie. Pan Jurij, właściciel majątku, powiesił się nie mówiąc nikomu ni słowa i nie pozostawiając testamentu. Najmniej zrozumiałe było to, że w postępku pana Jurija nie było ani krzty sensu.

Jednakże do nieszczęścia doszło i to jedno było pewne.

O świcie w majątku wszczął się rwetes. Śniadanie przełknięto na łapu capu i nie zachowując ustalonego rytuału. W izbie mężowskiej żona znalazła szkatułę z dokumentami rodowymi, dotychczas przechowywaną w sekretarzyku. Szkatuła pozostawała otwarta, widać pan Jurij przeglądał w niej papiery. Na ogół zaglądano do nich rzadko: treść była wszem wiadoma, a do próbowania szlachectwa i praw należnych nie dochodziło.

Żona, zamknąwszy się w swym alkierzu, jęła rozważać. Małżonek, na domiar wszystkiego, ostatnimi czasy zachowywał się dziwacznie. To, że nie interesował się stanem majętności, nie przejmowało jej — tak było od wieków. Brzemię to spoczywało na jej ramionach i dawała sobie z nim radę.

Kobieta westchnęła. Mąż zwykł był całymi dniami przesiadywać w swojej bibliotece i zaniedbywał nawet powinności małżeńskie. Gospodyni westchnęła powtórnie: który to już raz ubolewała nad tym, że Bóg nie obdarzył ich potomstwem. Inną pasją jej męża było gwiaździarstwo, a raczej rozmowy prowadzone z astronomem, którego sobie zaprosił z Niemiec i wyposażył mu niewielką dostrzegalnię.

Pani kazała niezwłocznie przywołać do niej astronoma. Niski, chuderlawy człeczyna z pomarszczoną twarzą i przydługimi rękoma był równie wstrząśnięty jak pani domu.

— Rada bym wiedzieć, jakie rozmowy prowadził z waścią mój małżonek?

Astronom ścisnął dłońmi swoją główkę, oczy zalśniły mu z wytężenia, ona zaś zdała sobie sprawę, że nienawidzi tego pajaca.

— Chyba o niczym ekstraordynaryjnym — wykrztusił na osta-

tek. — Rozprawialiśmy o gwiazdach i nieskończoności... O księgach i o bycie człowieka. W głowie mi się to nie mieści!

— Ani mnie — sucho odpowiedziała kobieta.

Dzień był posępny. Nad ziemią zawisły ciężkie tabuny chmur, tłoczyły się za wzgórzami, jak gdyby śpieszno im było ujść za widnokrąg. Ziemia w szarej poświacie drzemała i szarość ta sączyła się w ludzkie serca, toteż wszyscy chodzili nieco rozdrażnieni. Zdarzenie godziło się z tym krajobrazem, z humorami astronoma i gospodyni: było to niezrozumiałe, nieukojone uczucie — lęk, nie dający się nazwać. Swoiście określała go niepogoda i ów obłok-kolumna na horyzoncie, gdzie chmury stłoczone jak owce w kierdelach śpieszyły ukryć się w zmroczniałej dali. Poza tym nie działo się nic szczególnego, zdumiewało to i nękało, ale nie uspokajało — smutek się zrobił szary jak te chmury, toczył się i toczył, jak gdyby i on szukał dla siebie jasnego słonecznego ujścia...

W majątku Hudyszcze, jak w każdym domostwie ówczesnym, rezydował domowik. Gdy zaszło nieszczęście, piersi ścisnęły mu się rozpaczą.

„Powierzono mi to miejsce — dumał smętnie, przemierzając tam i na powrót okryte kurzem poddasze — by złe omijało domostwo!"

Przez okienko sączyła się noc blada jak widmo i domowika pociągnęło pod światło gwiazd. Cicho było i spokojnie. Widok miał na białą drogę, co biegła z majątku i gubiła się wśród nocy.

„Urzekła mnie ta droga — dumał dalej domowik. — A gdy na domowika najdzie coś takiego, wówczas dzieją się nieszczęścia. Domowiki muszą myśleć o domu, a nie o drogach..."

Na dwa dni przedtem, gdy astronom przez lunetę czynił swoje obserwacje, rzeczywiście odwiedził go pan domu. Był posępny i zadumany — w spojrzeniu jego stanowczo było za wiele frasunku.

— Co się stało waszej miłości? — Astronom przysiadł na zydelku i przetarł chustką oczy obolałe z wypatrywania.

Pan Jurij usiadł naprzeciw niego.

— Wedle mnie, to w życiu w ogóle stać się nic nie może — rzekł nieco mgliście gospodarz. — A wiesz waść, dlaczego?

Patrzył w wytrzeszczone nań kaprawe ślepka astronoma i raptem się uśmiechnął.

— Bo pod słońcem nie dzieje się nic nowego, a zatem nie bywa niespodzianek. Ciosy fortuny czy śmierć nawet — wszystko to takie powszednie i nieciekawe.

Astronom wyraził zdumienie.

— A cóż tam niby nowego? — odmienił tok rozmowy gospodarz wskazując na niebo. — Tam też chyba jest spokój niezmącony!

— Spokoju nie ma nigdzie! — zaoponował astronom.

Gospodarz spojrzał nań przygaszonym wzrokiem.

— Niech pan się strzeże złych myśli — uchwycił się konceptu gwiaździarz. — Najwięcej gwiazd spopiela się w sercu...

Spoglądali na obnażony i upstrzony złotymi centkami skrawek nieboskłonu. Cisza była niezwykła, nawet świerszcze grać przestały w tej przygniatającej ciemności. Obaj naraz poczuli, jak niepojęta okrutna tęsknota ściska ich serca. Nieraz nawiedzały ich takie chwile, zżyli się z nimi i lubili je spędzać pospołu.

— Ziemia to mały punkcik — rzekł sentencjonalnie gospodarz bębniąc palcami po stole. — Zgoła niegodny uwagi.

— Może to i racja — odparł astronom. — Ziemia zaiste jest czymś nieznacznym pośród tego ogromu — powiódł ręką w stronę, gdzie migotały gwiazdy. W głowie się nawet ten ogrom nie mieści, bo czyż on istnieje, skoro nie ma w nim granic? — Astronom uśmiechnął się melancholijnie, po czym wstał i okruchem kredy zaznaczył kropkę na ciemnej tablicy do obliczeń. Okruchy posypały się spod palców i zaprószyły mu kaftan.

— A na tym punkciku my żyjemy — rzekł pan Jurij — jako ten proch, co sypie się waści spod ręki.

— Żyjemy wszak! — odparł astronom. — Mamy swoje sprawy i upodobania. Tak było i tak będzie.

— Wszystko to próżna krzątanina — pan Jurij rzucił okiem na rozmówcę. — Próżne i stracone zachody! Ludzie tyle powynajdywali, by się omamić, ale wszystko to złuda: nie ma nic nowego pod słońcem! Dlatego to człowiek przemija jako ten chrząszczyk albo ptak. Za lat dwieście nikogo obchodzić nie będzie, czym był taki jeden z drugim quidam, jako my jesteśmy. Zapiszą wojny toczone przez możnych tego świata, imiona koronowanych głów, ciekawi będą, czyśmy hodowali bydełko i jak użyźnialiśmy zagony. Ale serc naszych badać nie zechcą: one są nasze i tylko nasze...

Siedział z opuszczoną głową, a w jego zamyślonych oczach zapalił się osobliwy ciemny płomyczek. Zarazem zatrajkotały świerszcze. Powiał wietrzyk, z oddali zapachniało dojrzałym zbożem i sianem.

— Niech się pan strzeże złych myśli — powtórzył astronom. — Wyrastają one jak chwast w człowieku i tego jeno brakuje, by zachwaściły nam serce...

— Tak waść sądzi? — zapytał pan Jurij. — A ja niekiedy

uważam, że racja ku temu, by odejść z życia, zacniejsza może jest niż ta, by je tylko podglądać...

Astronom kiwnął głową: w słowach gospodarza zabrzmiało mu coś zgoła nowego. Chciał swoją myśl dopowiedzieć, skierować ją w pewniejszą koleinę, ale nie wiadomo czemu poniechał: może i on był znużony?

Pan Jurij spojrzał na astronoma wciąż tym samym dziwnym wzrokiem i uśmiechnął się. Tego uśmiechu gwiaździarz nie wytrzymał. Poderwał się zaniepokojony. Gospodarz roześmiał się z cicha.

— Takeś waść skoczył — wymówił — jakby co miało się zdarzyć!

— Widzi mi się — przytwierdził astronom — że już się zdarzyło...

W nocy, gdy stało się to nieszczęście, domowik wyszedł ze swojej dziedziny, przesadził mur i zesmyknął się w burzany. Zaszeleściła pokrzywa — przeszedł nią wiatr zapalając w głębi nocy migotliwe rozbłyski: noc rodziła pokuśników. Maleńcy i raźni, harcowali po ziemi, zaszywali się w głuche ustronia, wyszukiwali jary i ciemne kotliny, trzciniska i gęstwinę pokrzyw. Był to świat bezcielesny, przepełniony nieustannym ruchem, i on to wabił domowika.

We wsi skrzypiały drzwi, wiedźmy przekradały się opłotkami ciągnąc za sobą na postronkach senne krowy. Krowy bezszelestnie stąpały po mięciutkiej drodze i wielkie oczy miały zamknięte. Rżały niespokojnie konie, pasterze skupiali się przy ogniskach strzegących ich przed nocą i jej dziećmi.

Domowik nie bał się ciemności, w ogóle nie bał się niczego, bo odkąd ogarnęła go niespokojna myśl o drodze, wszystko w nim się przeinaczyło. „Mus mi znaleźć sobie towarzyszkę" — rozmyślał kryjąc się w zaroślach kolcowoju.

Wiedźmy prowadziły swoje krowy, przeto chciwie wpatrywał się w ich oblicza. Jednakże były takie szpetne, że się wzdrygał. Wiedźmy przystawały raz po raz, łagodne krowy tuliły się do nich ciepłymi bokami i wiedźmy łaskotały je w brzuchy. Po czym znów ciągnęły za postronki i płynęły po białej spokojnej drodze jak cienie. Dookoła latały pokuśniki niczym lelki — jasne błyski, pokuśniki-zbereźniki...

Domowik powlókł się za krowami: pachniały mlekiem, co kapało na ziemię z nabrzękłych wymion. Gdy parowało — odurzający, błogi zapach przyprawiał go o zawrót głowy; czuł, że dygoce.

Las zastękał głucho, gdy wiedźmy schroniły się pod jego cieniem; domowik usłyszał ów pojęk, co zabrzmiał mu echem w

sercu. Jednakże nie zwolnił kroku — ciągnęła go moc niezbadana. „Taka jest moc drogi — domyślał się — jedyna, przed którą się korzę!"

Astronom obudził się zlany zimnym potem. Zewsząd otaczała go ciemność, przez okno zaglądały gwiazdy głębokie jak niepamięć, a wszystko powlekała nieprzejrzysta i chłodna osłona, kryjąca świat szczelnie i nieprzenikliwie. Jedynie w rzadkich złotych prześwitach prószyły promienie gwiazd; na szyi czuł obrożę: zdawało mu się, że ktoś uporczywie ściska go palcami za gardło. „Wszystko to mary — pomyślał — próżne i bezużyteczne!"

Ani rusz nie mógł się otrząsnąć z tego, co się stało. Nie mógł sobie dać rady z nocą dzisiejszą, z jej wszechobejmującym chłodem i bezmiarem. „Co dnia — rozmyślał — żyjemy, by umrzeć na noc i znów narodzić się o świcie. Co dzień umieramy, przez co uwalniamy się od musu rozwiązywania najbardziej chimerycznej zagadki — ciemności. Ale nastają takie chwile, gdy nie możemy się zanurzyć, jak zwykle, w niebycie. Wówczas przytłacza nas hieroglificzna maligna nieba i usiłujemy ją odczytać, by odzyskać spokój. Nie zawsze to się udaje, bo człowiek jest stworzeniem dziennym i do jasności myślenia potrzeba mu słońca."

„Jestem gwiaździarzem — pomyślał — i powołaniem moim jest czytać w niebie. Jednakże taki ze mnie człowiek jak każdy inny i to, że wykraczam przeciw odwiecznemu prawu o dziennym powołaniu człowieka, mści się na mnie. Ziemia zagarnia mnie w jeństwo, podobne jak innych. Dlatego bezsenne noce są dla mnie równie nieznośne jak i dla innych ludzi..."

Długo leżał wytężając wzrok w ciemości. Ale dookoła było cicho. Tak cicho, że zaczął się lękać, by mu w uszach bębenki nie popękały z napięcia...

Ochmistrzyni z respektem weszła do izby dziedziczki.

— Pan Jurij został już ubrany i złożono go w jego bawialni.

Dziedziczka skinęła ręką w odpowiedzi i gdy ochmistrzyni wyszła, zastygła w bolesnej zadumie przy oknie.

Przez szyby napływał błękitny dzionek, wielkie kłębiaste chmury podążały błękitną niebieską koleiną i znikały za horyzontem. Dwór stał na pagórku, widziała zatem rzeczną dolinę gęsto przetkaną białymi chatami i bujną zielenią sadów, widziała modrą wstęgę rzeki, gdzie migotały bystrzyny, zieleniała kępami trawa — ciemnozielona i soczysta. Pani spozierała na drogę, co biegła ze wsi i przecinała żytnie rozłogi: drogą szedł ślepy dziad, odziany w białą świtkę płócienną. Był bez przewodnika, wyciągał rę-

kę i postukiwał po drodze czarną jak smoła laską. Spoglądała na dalekie wzgórza, co w głębi zagradzały skraj nieba. Żal ją ogarniał: to nad tym, że nie doczekali się dzieci, to, że została sama. Dziś nawet nie przyłożyła ręki do gospodarstwa — była słabą, pokrzywdzoną kobietą. Kołysały się zboża na polu, falując już złociście. Ślepiec siadł na skraju drogi i najwidoczniej posilał się, beztrosko wystawiając naprzód biały kosmyk brody. Siwy był jak mleko, a na kolanach leżała mu niczym żmija czarna smolista laska...

Tej nocy domowik długo pałętał się za wiedźmami, aż doszły do przestronnej polany. Było całkiem ciemno, wszystko zamarło w bezruchu, drzewa stały jak wartownicy — nie postękiwały, lecz spozierały surowo i niewzruszenie. Domowik zaszył się w gąszcz leszczyny, przytulił do ciepłej wilgotnej ziemi i jął podpatrywać wiedźmy. Te uwiązały senne krowy — bydlątka spały tchnąc mlekiem i niespokojnie przebierając racicami. Wiedźmy tymczasem znosiły chrust: ruchy miały ociężałe i straszne, powykrzywiane oblicza.

„Tutaj nie znajdę sobie towarzyszki — smętnie pomyślał domowik. — Mimo to muszę znaleźć, koniecznie!"

Posłyszał, jak najstarsza wiedźma zaklaskała w dłonie — pośród polany zapłonęła nagle niebywale wysoka watra. Wiedźmy ruszyły się żwawiej, ustawiały się do tańca podciągając spódnice, zdejmując trzewiki i rozpuszczając włosy. Ognisko buchnęło jeszcze jaśniej, zaświeciło mu w oczy czerwonym odblaskiem, a krowy pootwierały ślepia.

— Nuże! — krzyknęła przodownica i znów zaklaskała w dłonie.

Wiedźmy podchodziły do krów lekkim tanecznym krokiem, krowy stanęły dęba i wiedźmy chwyciły je za przednie racice.

— Zaczynamy! — krzyknęła najstarsza.

Zatańczyły: krowy stojące dęba i dziarskie, chutliwe wiedźmy. Jęły skakać lekko i zamaszyście; z dala podźwiękiwała miła, baśniowa muzyka, rozległo się postukiwanie złotych młoteczków — krowy podskakiwały na zielonej murawie jak nakręcone.

Domowik przetarł oczy. Przyjrzał się najmłodszej z wiedźm — przejął go dziwny niepokój, a z serca szybko i bezboleśnie jął znikać smętek. Tańczyła przed nim ślicznotka. Taka, jakiej nie widział nigdy. Przeginało się młode ciało, bujna kopica włosów rozsypywała się na ramionach, wielkie czarne źrenice płonęły równym, osmalającym płomieniem, a białe liczko promieniało: „To bajka — pomyślał — to coś nie do wiary!"

Ozwał się do niej półgłosem. Posłyszała, bo odwróciła się ku niemu gwałtownie.

— Czego chcesz? — zapytała głośno i poczuł, jak mu dech zapiera.

— Ucieknijmy stąd! — wyszeptał. — Bądź mi towarzyszką! Roześmiała się.

— Nie tak głośno — wyszeptał — bo posłyszą.

— Nie dosłyszą! — krzyknęła nieomal. — A chcesz, to pójdziemy sobie! Dla mnie tak czy owak krowy zabrakło.

— Ależ ja nie jestem krowa — zaprzeczył. — Najzwyczajniejszy domowik!

Znów się roześmiała. Podał jej rękę i poprowadził z lasu.

— Biegiem — rzekł i oboje pobiegli. Gdy zaś przystanęli, drzewa chwiały nad nimi czubami, a nad głowami gardłowały sowy.

— Chodź tu! — krzyknęła padając na trawę. — I zmruż oczy!

Trawa zapachniała sianem, a poprzez gałęzie przebiło się niebo. Przytulili się do siebie i poczuł, że dygoce.

— No, co ci jest, głuptasie? — spytała.

Zamknął oczy i wyciągnął do niej ręce. W tejże chwili coś zimnego oparzyło mu palce i zerwał się przestraszony. Przed nim, rozkraczywszy korzenie, leżał wielki zbutwiały pień migający trupią poświatą robaczków świętojańskich...

Pani nie mogła ani rusz dojść do ładu z tym, co się stało. Rozmów męża z gwiaździarzem za mało było, by przywiązywać do nich jakąś wagę. Zdała sobie sprawę, że śmierć mężowska, choć to takie dziwne i straszne... jakoś wcale jej nie przejmuje. Już pierwszego dnia po pogrzebie długo siedziała, zamknąwszy się w swojej połowie, przy zgaszonych świecach i zasłoniętych oknach. Siedziała w zupełnej, gęstej ciemności, i sprawiało jej to desperacką uciechę. Chciała płakać, ale łez nie stało. Nic nie było — żalu ani urazy, nic prócz rozpaczy i dotkliwej pustki.

Nie wytrzymała jednak tego odosobnienia, otworzyła w nocy okiennice i nagle ujrzała nad sobą niebo. Uderzyła ją ta spokojna, nieogarniona, pozaczasowa głębia — niespodziewane iskrzące się mżenie martwych promieni. Niebo bez księżyca było jak pocętkowany srebrem kobierzec.

Usiadła na parapecie i zanurzyła twarz w dłoniach. Chciała jedynie pozakreślać do końca przerwane tak niespodzianie kręgi...

Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Zerwała się spłoszona:

— Kto tu?

— To ja — dobiegł czyjś głos zachrypły — domowik. Czy mógłbym wejść na chwilę?

Poczuła raptem chęć rozmowy:

— Wejdź!

— Nie ma tu światła — rzekł — tom się odważył...

— Co tu się w naszym domu wyprawia? — zapytała w rozterce. — To tyś miał pilnować porządku...

Domowik nic nie rzekł, pochylił jeno głowę ze znużeniem. Widziała go całego: kanciasta figurka — ni to człowiek, ni to kot, kwadratowy łebek, a na małej buźce o ledwie zaznaczonych rysach tliły się dwie rozżarzone głowienki. Kobieta pomyślała, że nigdy nie widziała go tak z bliska, że zresztą może to być sen, bo go nikt z tak bliska nie widział.

— Dlaczego się tak stało? — spytała udręczonym głosem.

Domowik wzruszył ramionami, a twarzyczka jego nagle pojaśniała promieniami gwiazd — gładka była i niebieska...

Astronom siedział w swojej dostrzegalni i też się smęcił. Mrugał przykrótkimi powiekami i dochodził do wniosku, że świat zbudowany jest zgoła nie tak, jak sobie dotąd wyobrażał. Siedział na ławie pocierając palcem i bez tego lśniące drewno, a gwiazdy mrugały doń jak gdyby szydząc.

„Dawniej pewien byłem, że każdą sprawę da się wytłumaczyć — medytował — teraz jednak dręczą mnie wątpliwości. Bo jeżeli nie każda rzecz da się wyjaśnić, to na co mamy rozum?"

Lipa wyciągała doń swoje listeczki. Zerwał jeden, zmiął go i wciągnął jego cierpki aromat. Może w tym listku tkwi rozwiązanie sprawy? „W listku czy w gwieździe — pomyślał. — A może w całym drzewie życia?"

Drzwi otworzyły się bezgłośnie i raczej odgadł niż dostrzegł przyjście domowika.

— To cóż? — zapytał. — Czy możesz mi coś wytłumaczyć?

— To ja waści chciałem o to zapytać — westchnął domowik.

— Jest między nami różnica — rzekł astronom, choć nawet nie widział tego, z kim rozmawia. — Jesteśmy zgoła niepodobni do siebie. Ty chcesz porzucić domowe zacisze, do którego cię przypisano, i ruszyć na wędrówkę — czy prawdę mówię?

W kąciku coś westchnęło ciężko.

— A ja na odwrót — dokończył astronom. — Pragnąłbym jedynie przestać się tułać i do końca dni moich osiąść w jakimś dobrym schronieniu.

— To pomieniajmy się — ozwał się głos z ciemności. — Ja rzeczywiście nie mogę ruszyć się krokiem za obręb tego domostwa, a ciągnie mnie droga. Strzec muszę domu, gdy tymczasem wabi mnie świat szeroki...

Astronom się uśmiechał. Wdychał cierpki aromat lipowego liścia i już wiedział, co będzie jutro.

„Jutro znów zacznie się moja tułaczka."

Pani kazała go wezwać do siebie. Gdy zmierzyła go wzrokiem, wydał się jej jeszcze niższy i mizerniejszy.

— Sądzę, że waść już pojął — rzekła lodowatym tonem — że w moim gospodarstwie zbędny jest astronom.

W oczach jego załamały się iskry. Skłonił się jednak i milczał z pokorą.

— Długo głowiłam się nad tym, co zaszło — ciągnęła pani domu. — I wiem to jedno, że pan Jurij stracił zmysły, a waść temu winien najbardziej.

Astronom przytaknął skinieniem głowy. Całe ciało jego było w napięciu.

— Tak sądzić raczy wasza miłość — rzekł po cichu. — Mam nadzieję, że dostanę konie, bym mógł przewieźć przybory i księgi?

— Nie! — odrzekła pani sucho. Uniosła podbródek i spojrzała ze wzgardą na astronoma. — Za godzinę instrumenta waścine i księgi zostaną spalone. Waści zaś radzę się śpieszyć — i głos jej stał się drażniąco metaliczny — bo jeśli nie umknie stąd waść za godzinę, służbie mojej rozkażę wymazać go dziegciem i pędzić za granice moich włości.

Astronom stał zgarbiony. Twarz miał bladą i spokojną.

— Niech i tak będzie — powiedział. — O jedną tylko księgę panią poproszę.

— Jedną waszeci wziąć dozwalam — kobieta wstała i piersi jej zafalowały. — Jednakże wybór do mnie należy. Wybrałam dla waści Pismo Święte!

Mdły uśmiech zamajaczył na twarzy astronoma. Odwrócił się ku wyjściu.

— Weźmiesz waść swoją zapłatę! — rzuciła za nim dziedziczka.

Ale astronom już wychodził. Miało się ku nocy i pomyślał, że będzie musiał iść pieszo w ciemności. Jego mała twarzyczka skamieniała, oczy zalśniły, a na ustach pojawił się gorzki i mądry uśmiech...

W nocy palono księgi i przybory astronomiczne. Pani domu przywdziała czarny strój, jej pulchna blada twarz z ostrym nosem i wielkimi oczyma wyglądała surowo i stanowczo. Czeladź wynosiła księgi i przybory z wesołym pokrzykiwaniem, stajenny

rozniecał ogień, ona zaś czekała, aż wszystko wyniosą. Przypominała w tej chwili wielką sowę w oczekiwaniu łupu — czuła przypływ mocy wielkiej i czarnej podobnie jak jej strój. Jedyne, czego żałowała w owej chwili, to że wypuściła tak łatwo ze swoich rąk astronoma. Uczony nie zabrał ze sobą Pisma Świętego i był to niezły pretekst do wywarcia zemsty. Wziął jeno kij sękaty i wyruszył w noc.

„Trzeba było go spalić razem z jego diabelskim narzędziem" — myślała pani i wyłamywała z chrzęstem palce.

Buchnął żar płomienia, wtedy władczym gestem odsunęła sługę i wzięła do rąk pierwszą księgę. Księga rozwarła się w locie, zaszeleściła kartkami — ogień strzelił w górę i jak gdyby połknął ofiarę. Panią natomiast ogarnął zapał. Przypływy zawziętości i uciechy, najście ciemnej mocy — wszystko to zagasiło jej rozsądek i przyćmiło wzrok. Już nie pojmowała, co czyni, chwytała jedynie księgi i przybory i zajadle ciskała w ogień. Ognisko rzegotało i śmiało się, roztaczało czerwony blask zapełniając niebo, dziedziniec i zabudowania. Nawet czarna jej suknia zalśniła buraczanym odcieniem, a jeszcze czerwieńsza stała się jej natchniona, pałająca twarz. Stąpała wokół ogniska jak kotka, włosy miała wzburzone, a wzrok jej miotał czerwone iskry. Usta miała wykrzywione i jak gdyby kołysała się w osobliwym rytmie. Czuła nawet upojenie, bo kusiło ją, by zatańczyć w tym czerwonym kolisku, wskoczyć na języki ognia i tłuc obcasami to, co pozostało po przyborach i księgach. Jak kotka chodziła wokół ognia i radość przepełniała ją bez reszty.

— Pojęłam — syczała ochryple — co było przyczyną moich nieszczęść. Bies nęka nasze dusze i zawsze wie, jak nas przydybać...

Długo jeszcze chodziła w kółko, długo syczała i mamrotała, a gdy stos wygasł i wszystko pokryła cisza i ciemność, pojęła, że to kres obrzędu. Czeladź pokornie zgromadzona w pobliżu oczekiwała poleceń.

— Idźcie spać! — machnęła do nich ręką.

Cienie pierzchły. Czas jakiś jeszcze patrzyła na tlące zarzewie i już nie czuła radości ani podniecenia. Wszystko zostało tak jak było, a gdy opamiętała się wśród ciemnego domostwa, przez okno znów posypał się ku niej, niczym strumień wieczności, gwiezdny pył. Kwiaty gwiazd przylgnęły do szyby i dygotały w gorączce.

Od tej pamiętnej nocy domowik już nie opuszczał granic posiadłości. Wdrapywał się na poddasze i włóczył po kątach osnutych pajęczyną. Niekiedy podchodził do okna, ale znów zawracał.

Było mu samotnie i tęskliwie.

Odwiedził go wójt gromady domowików.

— W twoim domu przytrafiło się nieszczęście — rzekł.

— Wiem.

— Co rzec możesz na swoją obronę?

— Czy mógłbym się ożenić? — zapytał domowik.

— Tłumaczyć ci tego nie będę — odparł wójt — żyjemy w pojedynkę. Damy ci czas do namysłu, ale nie dłużej niż godzinę.

— Nie! — żachnął się domowik.

— W takim razie — wyrąbał wójt — musisz umrzeć.

Domowik popatrzył nań z lękiem i skulił się.

— Wybieraj — rzekł tamten.

— Czy mogę włóczyć się po drogach? — spytał domowik.

— Nie! — wójt na to. — Musisz strzec domu, w którym mieszkasz. Czy nie składają ci darów?

— Składają — przyznał domowik.

— Wybieraj więc.

— Trudno mi — domowik na to.

— Ale wybierać musisz.

Długo nie odpowiadał. Spoglądał z kącika w stronę, gdzie świeciło jasnym kwadratem okno.

— A zatem? — już niecierpliwił się wójt gromady. — Może to ja mam wybrać za ciebie?

Domowik westchnął.

— Niech będzie — rzekł. — Chylę czoło przed gromadą...

Astronom szedł pośród nocy. Wiatrem podszyta opończa nie osłaniała go przed zimnem; dawno już wyszedł z folwarku i dawno już kuśtykał zakurzoną drogą. Tutaj, na ziemi, gdzie nie był wzniesiony z pomocą lunet do nieba, zaczął się bać. Lękał się krzaków, ciemności i swojego osamotnienia.

„Zawsze lubiłem samotność — pomyślał. — Nigdy nie pociągały mnie zbiegowiska."

Dziś jednak, pozbawiony umiłowanych przyborów i ksiąg, wydał się sobie samemu mrówką, co drepce, ani rusz przebyć nie mogąc zaczarowanej odległości.

„A może ta droga prowadzi donikąd — snuł spekulacje. — Dobrze rozeznaję się w niebie, ale gorzej na ziemi!"

Uniósł głowę, lecz nieba dziś nie zobaczył. Gęsta wata chmur więziła migotliwy żywioł gwiazd i przytłaczała ziemię. Astronom usiadł na skraju drogi i ukrył twarz w dłoniach.

„Ostatecznie, dokąd ja idę? — rozważał. — Nie wiem nawet, dokąd mam iść! Idę, bo nigdy nie miałem domu."

Siedział jak skulony karzełek, mrugając w zakłopotaniu oczyma, pragnął dotrzeć do cichej mieściny, znaleźć gdzieś na ustroniu dach nad głową i zabrać się do obliczeń, bo papiery swoje jednak wziął ze sobą.

„Cokolwiek się zdarzy — rozmyślał — wyliczę tę swoją gwiazdę, co ani chybi wyznaczy losy świata. A jeśli nie świata, to przynajmniej moje!"

Smętek błysnął mu w oczach. Uniósł się i znów ruszył w drogę.

„Żeby przynajmniej pokazały się gwiazdy — marzył — mógłbym się rozejrzeć i obrać jakiś kierunek."

Zdawało mu się, że błąka się już od lat. Znalazł kałużę i nachylił się, by móc ujrzeć swoje odbicie. Jednakże było ciemno i nic nie zobaczył.

„Mimo wszystko iść muszę — rozważał. — Prędzej czy później trafię do wsi. Tam będę mógł zjeść i odpocząć; grunt to pokonać tę przeklętą drogę!"

Zasunął wąskie dłonie w rękawy opończy i pobiegł przytupując. Biegł tak długo, aż pot jął ściekać wielkimi kroplami po jego małym zmarszczonym czółku.

Już nad ranem wyszedł na pagórek i ujrzał, że w dole roztacza się ludzkie osiedle. Długo spoglądał na domostwo, wytężając załzawione źrenice, i usiłował zgadnąć, dokąd przywiodły go losy. Ze wzgórza jednak nie zeszedł. Siadł jeno w trawie zmorzony i przymknął oczy. Przed nim rozpościerało się to samo miejsce, z którego uciekał przez całą noc...

PANNA SETNIKÓWNA

Stało się to w nocy, gdy księżyc wisiał nad ich wysokim dachem i załamywał się w drobnych szybkach okna, gdy ją odeszła senność i ocknąwszy się na posłaniu leżała na kołdrze i gorączkowo wpatrywała się w sufit, a wtedy wydało się jej, że czyjeś ręce bezwstydnie dotknęły jej piersi. Stało się to tak nagle, że się wzdrygnęła: księżyc za szybkami zakołysał się i zadrżał, rozpościerając się na całe okno. W izbie zrobiło się widno, mogła rozróżnić najdrobniejsze wzorki na kobiercach okrywających ściany. Trwało to zresztą chwilę, po czym wszystko wróciło do poprzedniego stanu: księżyc wypełniał jeno półtorej szybki, w izbie panowała ciemność, było parno, ona zaś ani rusz nie mogła zasnąć — usiłowała złowić bodaj jedną myśl, która by ją uspokoiła. Z owego niespodziewanego olśnienia pozostało tylko uczucie dotknięcia na piersi. Wzburzyła się, ale wszystko dookoła spało — wszystkie sprzęty w izbie pogrążone były w sennym odrętwieniu i sen przyszedł do niej od razu, majtnąwszy kosmatym ogonem, ogarnął jej zmorzone ciało, zgasił myśli, porwał na lekkich szarych skrzydłach i ukołysał jak dziecko. Poczuła się więc dzieckiem, była bowiem lekka i radosna, wesoła i roztańczona. Wskoczyła na beczkę, na jej okrągłe połyskujące denko, tupnęła trzewiczkami i zakręciła się. Po czym z wolna opadała między zielone falowanie lata, ścigała się ze słonecznymi zajączkami, a później zgarniała je w zapaskę. I zajączki słoneczne igrały z nią: jeden wskoczył w jedno oko, drugi w drugie, jeszcze jeden wskoczył do ust, a dwa inne na policzki. I gdy się śmiała, dzwoniły błękitne dzwony z nieba, ona zaś myślała o tym, że wkrótce będzie dorosła, po czym płakała wraz z deszczem, bo deszcz okazał się strojnym kawalerem i zalecał się do niej, tańczył dookoła całując jej białe bose nogi. Było jej błogo i przyjemnie, zdawało się jej, że fruwa jak ptak, by później skryć się w wysokiej ostnicy i posłuchać świerszczowych tajemnic. Mó-

wiły do siebie takie cudowne słowa i śpiewały takie wesołe pieśni miłosne, że bała się odetchnąć głośniej, by ich nie spłoszyć...

Rankiem setnikówna obudziła się z bólem głowy. Sen wprawdzie był jasny, ale coś ją nurtowało. Długo leżała usiłując odegnać falę gorąca ogarniającą jej piersi, po czym podeszła do zwierciadła. Odsłoniła prawą pierś, na której poczuła owo nocne dotknięcie, i ujrzała na niej ciemny siniec.

Wkrótce przedtem wypuszczony został na ziemię młody czart. Długo stał oczarowany w gęstym lesie i rozglądał się dokoła. Wszystko było dlań dziwne i niezwykłe, zgoła nie takie jak tam, na dole.

Młody czart wyszedł na polanę. Pomiędzy drzewami jarzyło się ogromne światło. W dole, pod nogami jęła się mienić rosa i czart ukląkł oglądając z zachwytem cudowne klejnoty. Bał się dotykać ich palcami, a gdy ich dotknął, rozsypały się w tysiące drobnych błysków, rozniecających tysiące innych dookoła.

Czart powstał, było mu mokro w kolana. Jak przez sen przypominał sobie pouczenia, którymi opatrzono go na drogę, wypuszczając go na ziemię. Przemowy te były długie i nudne, wszystko to wiedział już od dawna, ukradkiem zatem spozierał w ogień: fascynowała go gra błysków, migotanie — ustawiczny gorączkowy ruch. Jeszcze wówczas pomyślał: „Wszystkie pouczenia są nie bez powodu i nie otrzymujemy ich na próżno. Jesteśmy zrodzeni każdy ze swoim zadaniem i nie godzi się nam przekraczać granic."

Tutaj, na ziemi, wszystko było zgoła nie takie, stokroć piękniejsze i bardziej ponętne, mimo to młody czart nie tracił rozsądku. Zatrzymał się wśród kwiatów: wydało mu się, że to też są klejnoty, podobne do tych, których przed chwilą dotykał, tyle że pachnące. Z lubością wciągnął powietrze. Po czym usiadł na pniaku, przytulił dłoń do policzka i miał ochotę się rozpłakać. Z radości i nadmiaru wzruszenia: że jest takie złote kolisko, co grzeje i tak świeci, że na nie patrzeć nie sposób; z powodu przedziwnego kamienia, co się rozpada, gdy go tknąć palcem, i jeszcze dziwniejszego kamienia, który pachnie. „Świat jest o wiele bogatszy, niż mogłem sobie wyobrazić" — pomyślał młody czart. Spoglądał nań szeroko otwartymi oczyma: przed nim kołysało się morze zieleni. Było w tym coś tajemniczego, coś, przed czym jeżyła się jego czarcia dusza, choć sam nigdy nie tracił kontenansu. Wypuszczono go na ziemię z obawą, że i tak nie zrozumiał solennych pouczeń, chociaż zapewniał: „Będę na siebie uważał!" „Wolno ci zostać białym chartem — prawiono doń —

wężem, a nawet dziarskim kawalerem. Możesz przemienić się w konia i pognać jak wicher. Użyczamy ci mocy niezbędnej do tych przemian!"

Młody czart poszedł ścieżką. „A co, gdyby tak naprawdę zmienić się w konia i pomknąć jak wicher?" — pomyślał czując, jak dusza w nim kurczy się ze strachu. „Ale gdy wykroczysz przeciw regułom naszego istnienia — brzmiała przestroga — pozostaniesz tym, w coś się przemienił. Jakeś został koniem — będziesz koniem, kawalerem — to będziesz kawalerem, a jeśli chartem — pójdziesz między charty. I podzielisz z nimi losy."

Zmienił się w konia i podziwiał swoje wspaniałe, połyskujące ciało. Pogalopował więc. Zadudniła pod nim ziemia i doznał nieziemskiej radości. Wiatr ostro bił go w nozdrza. „Mogę tak dobiec Bóg wie dokąd — pomyślał radośnie. — Jestem wolny. Mogę biegać i brykać, mogę harcować."

Stanął dęba i zatańczył na leśnej polanie. Jednakże nie szło mu tańcowanie w końskiej postaci i przeobraził się w kawalera. Trzasnął obcasami, mignął połami świtki i jął drobić podkówkami. Raźnie zakręciło mu się w głowie, po czym padł na ziemię obejmując ją rękoma — wdychał aromat pachnącego ziela. Aż zaszuścił pomiędzy bylicami złotym wygibaśnym wężem, świecąc rozjarzonymi oczkami.

Jednakże nie dość mu było i tego. Zwinął się w obarzanek i potoczył steczką, a gdy już nie miał sił toczyć się szybciej, przemienił się w białego charta, co pędzi przez las szybciej od wiatru, mając za pomocnika i służkę, i ten wiatr, i zawadiactwo dzisiejsze, i ono — stanął i rzucił na nie okiem w górę — słońce. Olśnił go blask, pogrążył go z głową i młodemu czartu wydało się, że serce mu się rozsadzi ze szczęścia.

Ranek sprowadził do nich studenta, czarnego i smagłego. Trafił do nich jak gdyby przypadkiem, poprosił o wodę i setnikówna przyniosła mu głęboki dzban — pił i zapatrzył się ponad dzbankiem na oszałamiającą urodę. Dzień wypadł słoneczny, setnikówna chodziła po ogródku usiłując rozgryźć noc wczorajszą i niepokój, który jej nie opuszczał. Może dlatego zastanowiło ją gorące spojrzenie studenta, przeto gdy odszedł podziękowawszy grzecznie, było jej trochę żal.

Wiśnie kwitły niczym ubielone mlekiem i kolor ten znów przypomniał jej noc ubiegłą i ów rozbłysk, gdy wszystko zajaśniało takim cudownym światłem. Stała w ogrodzie i ścigała wzrokiem pomiędzy drzewami oddalającą się smukłą postać studenta — aż tchu jej w piersiach zabrakło.

Tak minęło dni parę, a w sobotę pod wieczór przyjechał do nich kozak. Był szlacheckiego rodu, o czym świadczył strój i rynsztunek, złoty pas i srebrne ostrogi.

— Kubek wody z waszych rąk, mościapanno — odezwał się głośno i setnikówna aż usta otwarła ze zdumienia, bo kozak miał tę samą twarz co student.

Przyprawiło ją to o irytację, ale przyniosła mu wody i kozak pił długo spozierając na nią znad kubka. Dostrzegła w tym spojrzeniu niespodziewaną tęsknotę i w tym momencie strach ją ogarnął. Odeszła prędko, gdy tylko oddał jej kubek do ręki — czuła całym jestestwem, jak spojrzenie owo przeszywa jej ciało. Po czym długo błąkała się po sadzie i patrzyła, jak płatki wisien skapują na ziemię niczym łzy. Żal ogarnął ją na widok tego opadania, z powodu tych łez, skulona więc na ławce pod największą i najstarszą z wisien daremnie usiłowała dojść ze sobą do ładu. Dreszcz przejmował jej serce, obiegał ciało i tak drętwiała, zanurzona w majowych wonnościach i obsypana płatkami wiśni. Miała ochotę uciekać albo po prostu zerwać się i biec przed siebie. Przez łąki i jary, przez doliny, gdzieś w nieznane, siedziała jednak nieruchomo i patrzyła, jak wiatr igra z opadłym kwieciem...

Po paru dniach poprosił, by dała mu pić, trzeci podróżny. Miał na sobie mieszczańską przyodziewę, był wysoki i urodziwy, podobnie jak tamci. I znów wydało się setnikównie, że i on, i kozak, i tamten student, co przyszedł pierwszy, podobni są do siebie jak trzy krople wody. Że i twarze, i głos, i postać mają jednaką. Jeno po dłuższym zastanowieniu stwierdziła, że byli nieco odmienni: dwaj wysocy, trzeci niższy, student miał oczy modre, czarne mieszczanin, kozak zaś zielone. Jednakże bała się ich jednakowo: niepospolici to byli podróżni i nie przypadkiem tu się zjawili, pomyślała sobie, że to jakaś dziwna sprawa...

Mieszczanin także pił wodę i w oczach jego było błaganie. Nie wiadomo skąd wszyscy trzej znali setnikównę, bo zwrócili się do niej po imieniu, ona zaś widziała ich po raz pierwszy. A może niepokoili ją nie tyle ci przechodnie, co noce, zmieniające się dla niej w niespodziewane festyny, gdy pląsała, harcowała, ścigała się z zajączkami, gdy sfruwały do niej ptaki i zbiegały się zwierzęta, ona zaś czuła się nad nimi królową...

Dopiero nad ranem zwykło się jej śnić coś mrocznego i niepokojącego i budziła się z ociężałą głową. Obnażała piersi i dostrzegała na nich nowe sińce. Zresztą od tych sińców piersi nie bolały, jedynie wywoływały błogie uczucie, że lada chwila trysną mlekiem i zaleją cały świat. Wiśnie już były zalane takim mlekiem i gdy opadały płatki, dziewczyna smęciła się cicho i w skrusze.

Chata wróżki była taka biała w środku, aż ćmiło w oczach. Majestatyczny piec wypuczał niczym usta kilka gardzieli, z których snuł się sinobrunatny dym, pachnący sosnową żywicą; u pułapu nawieszano pęki zeschłych ziół i kwiatów, a sama znachorka, pulchna i dobroduszna babina, przypominała raczej starą szafarkę, a nie czarownicę. Niezwykłe miała jedynie oczy. Wielkie i młode, w które aż zajrzeć trudno, były nadzwyczaj baczne i bezdenne.

Setnikówna siedziała na ławeczce i patrzyła, jak stara krząta się przy piecu. Wreszcie tamta się odwróciła i rzuciła na stół pęczek kwiatów, co rozsypały się na desce jak złote monety.

— Cetno czy licho? — spytała wróżka.

— Licho — wyszeptała setnikówna.

Podniosła oczy na starą i mróz jej przeszedł po grzbiecie. Przed nią stanęła sucha, pomarszczona i niespodzianie wysoka baba. Włosy wymykały się spod czepca siwymi kosmykami, oczy zaś... przeraziła się osobliwego płomienia, jaki w nich pełgał. Z pieca buchnął gęsty kłąb dymu.

— Klaśnij w dłonie! — nakazała wróżka.

Setnikówna zaklaskała: w dymie niczym złota wstęga zabłysnął wąż, upadł na polepę i jęknął wijąc się opętańczo.

— Zdepcz go! — zawołała wróżka.

Setnikówna podbiegła, przymknęła oczy i uderzyła obcasem. Poczuła, jak noga jej grzęźnie w czymś lepkim i miękkim, i uskoczyła w bok. Odetchnęła z ulgą, po czym uniosła oczy i pomodliła się, szepcąc słowa spieczonymi wargami. Przed nią rozpostarł się taki jasny błękit, jak gdyby stała nie w chacie, lecz na rozległym stepie. W oknie nie było krzyżaka futryny — ziała błękitna otchłań, a z kątka, gdzie miały wisieć ikony, uśmiechała się do niej twarz. Po chwili na jej miejscu ukazała się druga, później trzecia — poznała wszystkich trzech swoich gości: studenta, kozaka i mieszczanina.

— To byli ci? — spytała surowo wróżka.

Setnikówna skinęła głową.

— Nie myśl o nich, to dadzą ci spokój.

— Boję się — wyszeptała setnikówna.

— Właśnie dlatego musisz o nich zapomnieć — powtórzyła wróżka. — A zapomnieć to znaczy zgładzić.

— A co będzie potem?

— Zaznasz ulgi. Kąp się codziennie w cząbrze i rumianku. — Owionął ją cierpki zapach suszonych ziół.

— Babciu moja miła — rzekła. — Tacyście są dobrzy...

— Takie już moje rzemiosło — wypowiedziała stara.

Siedziały w pustej chacie między białymi ścianami obwieszonymi suszonym zielem. Z gardzieli pieca tchnęła woń choiny,

a stara wróżka znów przemieniła się w pulchną dobroduszną babcię.

— Niełatwą mam pracę — wymamrotała. — Żyję, córeńko, wśród ziela i muszę wiedzieć, jaki jest między nimi porządek. Dobieram je do człowieka, i muszą zgodzić się ze sobą. Człek każdy też jest jak zioło i trzeba do niego klucza. Twój klucz, twoje ziele to cząber i rumianek. Pierwej miarkowałam, co mięta, ale mięta się od ciebie odstrychnęła. Jasną masz duszę, córciu — rzekła stara — a do światła zawsze ćmy lecą. Nie wpuszczaj ich do serca, by go nie okopciły...

Setnikówna krzyknęła z przestrachu.

— Między zielem, podobnie jak między ludźmi, toczy się walka — rzekła wróżka. — Dnia i nocy, mroku i światła. Ale coś w twojej doli dziwnego przegląda...

Dziewczyna zerknęła w stronę okna: ramy tkwiły na swoim miejscu. Pocałowała wróżkę w rękę i poszła ścieżką skąpaną w słońcu tam, gdzie rozlewało się białe mleko kwiatów wiśni.

Znalazłszy się na ziemi, młody czart zrobił się wesoły i zawadiacki. Zaledwie na nieboskłonie rozpłomieniała zorza, już miał ochotę pohulać sobie, narobić na ziemi mątu i świat wywrócić do góry nogami. Może dlatego tak niecierpliwie oczekiwał wieczoru, a gdy zmierzch zapadł, przekradał się po moście: tutaj nad wodą zawsze można było zaskoczyć i przerazić podróżnego. Lubił też posiedzieć o szarej godzinie słuchając melodyjnego ciurkania wody i niekiedy zapominał o zamierzonej psocie. W leciutkiej mgiełce, gdy sobie tak dźwięcznie ciurkała, robiło mu się błogo i zacisznie. Marzył o czymś dalekim i nieogarnionym, choć był jeszcze zbyt niedorosły i marzyć też nie umiał jak należy. Wtedy znów ogarniał go swawolny nastrój i niecierpliwie wyczekiwał podróżnego.

Pewnego wieczoru zobaczył tuż obok siebie żabę. Wybałuszała nań ślepia, głowiąc się, co to za zjawa wlazła pod most, a gdy pojęła, osądziła, że lepiej będzie dać nura w wodę. Mignęła przed czartem jak zielony gacek i już dosięgła w locie wody, gdy jakaś moc zawróciła ją i żaba plusnęła w to samo miejsce, w którym siedziała poprzednio. Czart rozrechotał się, bo mu się to spodobało, żaba zaś wpadła w popłoch. Po raz drugi śmignęła zielonym wichrem w wodę, ale powtórnie klapnęła na to samo miejsce. Padła trupem, bo serce nie wytrzymało takiego przestrachu, i czartowi na chwilę żal się jej zrobiło. Wtedy to zaturkotał wóz na moście, zapomniał więc w mig o żabie. Wyskoczył na drogę jako biały chart i pomknął za wozem. Chłopina siedzący na koźle zobaczył białego charta i podciął konie batem.

Była to zajadła gonitwa: dudniła ziemia, konie rżały, chłopina pokrzykiwał, kurz się kłębił, końskie kopyta waliły w trakt, jakby go chciały przebić na wylot — czart wykołował wóz w bok, na manowce, a stamtąd pogonił go polem. Konie mknęły po bruzdach jak po drodze, wygniatały młode żyto — dookoła nich przelewały się fale zieleni. Szkapiny zmordowały się rychło i już brnęły po kolana w zielonej toni, niekiedy i po zad, i rżały głośno, oglądając się za siebie z przestrachem. Chłopina upadł na wóz i pomstował na niebiosa, które obryzgały go zielonymi kroplami. Wówczas chłopina wyznał Bogu wszystkie swoje grzechy, a gdy i to na nic się nie zdało, dał nura pod kozioł — konie płynęły jak po wzburzonym morzu. Rozdymały nozdrza i łapały wargami powietrze, a ślepia wyłaziły im z orbit...

Czart aż się zdziwił na widok takiego popłochu. Zeskoczył z fury, co teraz wytoczyła się na drogę. Przystanęła; rozczochrany i przerażony chłopina zlazł z wozu, przeżegnał się uroczyście i jął się rozglądać. Okolice były mu nieznane, podrapał się więc w zadumie po ciemieniu...

„Czemu się mnie boją? — zastanawiał się czart wędrując zbożem. — Przecie jeno się bawię!" Sam miał ochotę zostać takim woźnicą, potoczył się więc po drodze, nurzając się z wolna w kędzierzawym, omglonym zmierzchu. Mijał sady kwitnące, mijał ciche, senne sioła, przejeżdżał przez mosty.

„Nieźle byłoby — mignęło mu w głowie — jakby i mnie samego ktoś przestraszył!"

Obejrzał się i serce mu zabiło radośnie — za nim również pomknął biały chart. Załomotały końskie kopyta, zawirował, zamigotał świat dookoła. Jak gdyby i on, i chart trafili na karuzelę — pomknęli, tratując zioła i chaszcze, błękitny zmierzch chlusnął w nich taką potężną falą, że młody czart upił się, zwinął się w kłębek i sam zatupotał kopytami — pobiegł jako koń, a chart z tyłu już wywalił ozór, zmęczył się i zadyszał. Wówczas młody czart wyskoczył w górę, zgarnął liście z topoli i wycisnął sok z tej zieleni nad głową charta. Chart zaskowyczał, oblany zieloną farbą, przykleił się do drogi i przedzierzgnął w dziada starego jak świat. Wtedy to młody czart wskoczył na grzbiet staremu, aż ten osłabł do imentu, upadł i jął wywracać białkami oczu.

— Co ci jest? — roześmiał się młody czart. — Umierać ci się zachciało?

— A niechże cię! — uniósł się stary z wysiłkiem. — Myślałem, że to któryś z ludzi tak wydwarza.

Otarł pot rękawem i smętnie pochylił głowę.

— Zagnałem cię, dziadku! — westchnął młody czart ze współczuciem.

O północy, gdy miesiąc rozgorzał najjaśniej, stara wróżka wybrała się do lasu po sekretne ziele. Ukradkiem przemykała się steczką, by nie zobaczył jej sąsiad, też charakternik, co już od kilku miesięcy ją podpatrywał, i z ulgą westchnęła wkraczając na trakt biały od miesiąca. Szła powoli, noc była księżycowa i ciepła, ona zaś wyspała się za dnia i mamrotała zaklęcia od złego nawiedzenia. Myślała o swych domowych kłopotach i o sąsiedzie, co sprzysiągł się na nią, i nie opatrzyła się w porę, jak ogarnęło ją jaskrawe światło. Rozpłomieniało się coraz mocniej i wreszcie nabrało takiego blasku, że przystanęła, uniosła głowę i osłupiała. Nie omieszkała jednak rzucić się od razu pod płot, bo obok niej w szalonym pędzie przemknął ognisty kołowrót. Skuliła się w burzanach i wyzierała stamtąd zlękniona: światło rozlewało się coraz szerzej, księżyc rozrósł się do połowy nieba i wrzał jak mleko. Wróżka przymknęła oczy w obawie, że oślepnie od tego blasku, ale ciekawość przemogła, i znów je otworzyła. I zdało się jej, że po ziemi kroczy ogromne białe chłopisko. Wymachuje olbrzymimi buciskami, ale nic oprócz nich nie widać. Stara wróżka przeżegnała się trzykrotnie i opuściły ją zmysły.

Czarci siedzieli w opuszczonym domu z zabitymi oknami, dziad palił fajkę, łagodny półmrok kołysał ich i uspokajał. Dziad pyknął dymem i niespodziewanie uśmiechnął się bezzębnymi ustami.

— Niełatwe mamy życie, chłopcze — wymruczał. — Aleś ty mnie, starego, wykołował! I że ci się taka psota udała!

Młody czart otulił się mrokiem i drzemał. Za oknem pluskał deszcz, ale tutaj było miękko i sucho.

— Naoglądałem się moc w swoim życiu — rzekł dziad pocmoktując fajkę — ale nikt mnie dotąd tak nie zwiódł jak ty. Co prawda zdarzył się kiedy jeden chłop...

— Opowiedz — poprosił młody czart nurzając się w błogich falach senności. Po dzisiejszych swawolach ciało miał obolałe i z rozkoszą wylegiwał się w cieniu, przywianym tu przez deszcz ze dworu.

— A któż tam sapie pod nosem! — krzyknął dziad, aż młody czart podskoczył. — Ano wyłaź!

— Kto, kto! — zamruczało z rozwalonego komina. — Rozgęgali się tutaj...

Młody czart ujrzał zdumiony, jak spomiędzy cegieł wychynęła dziwaczna wąsata gęba, a po chwili na polepę zeskoczył waląc racicami przedziwnie nastroszony stwór.

— Przyszli na moje gospodarstwo i jeszcze się wydzierają!
— Usiądź z nami — zamruczał dziad pojednawczo.
— Domowik jestem — stworek podał łapę młodemu czartowi. — Jestem tu od Bóg wie jak dawna, moi gospodarze dostali kręćka i pozostawili mieszkanie... Psie życie! — zachmurzył się domowik.

Dziad dmuchnął dymem, a młody czart znów się zakołysał w przystępie senności.

— Daj tabaczki — rzekł domowik.

Dziad podał mu kapciuch i domowik nabrał w nos solidny niuch tabaki.

— Ino nie kichaj — uprzedził dziad.

— Jak to nie kichać? — domowik otwarł usta i łapał powietrze, wybałuszając oczy. — Apsik! — zagrzmiał i młody czart znów się wzdrygnął. — A ten młodziak — rzekł domowik — z dygotkami?... — Już jak wąchasz — zwrócił się w stronę dziada — to kichaj...

— To nie dygotki — rzekł dziad z namaszczeniem — ino jeszcze młody. Więc tak to mówię. Nie ma co zazdrościć naszego losu: wierzą w nas, to żyjemy, nie wierzą — umieramy. Iluż to z naszego bractwa przekręciło się za byle kozi bobek...

— A mnie ciągnęły drogi — rzekł domowik. — No i tak wypadło: gospodarz skończył na stryczku, a jego żonce w głowie się pomieszało. I tak siedzę sobie na odludziu...

Kiwali się po ciemku i każdy myślał swoje. Wydało się wówczas młodemu czartowi, że gdzieś na dnie jego jestestwa coś się obudziło. Pomyślał, że dość rozewrzeć powieki — i światło roztęczuje się w nich takimi barwami, że młode jego serce nie strzyma. „Mam ochotę na coś niezwykłego — pomyślał. — Na co mi te igraszki, skoro nie mam z nich żadnej uciechy?" Długo siedział tak i myślał chłonąc błogi zmierzch. Krew w nim igrała i było to takie rozkoszne!

— A ten młodziak to twój? — spytał domowik.

— Nie — odrzekł stary. — Jakiś on troszkę nie tego... Śpi albo co?

— Śpi.

Ale młody czart nie spał. Bujało go po miękkich falach, poniosło przez jary i doliny, a w sercu poczuł smutek i niepokój.

Wtedy właśnie ujrzał przed sobą pannę. Stała pośrodku sadu, a wokół niej niczym osrebrzone kwitły wiśnie. Ścisnęło się serce młodego czarta i dech w nim zaparło. Zamarł wpatrując się do bólu źrenic w cudowne zjawisko. Panna była piękna, takiej urody nie spotkał dotąd na tej ziemi, toteż patrząc na nią poczuł w duchu żałość i szczęście.

Na to zagrały mu nad głową trąby. Ryknęły niczym secina wołów, po czym załomotały bębny. Jęły podskakiwać tysiące cieni, czarnych i gibkich, tańczących w zapamiętaniu. I pośród tego dudnienia, ryku, migotania ciał, pośród tych srebrnych wiśni, u stóp czarownej panny, która tańczyła najżwawiej, upadło jego rozjątrzone, zakrwawione serce...

Takich czynności nauczyła pannę setnikównę wróżka: miała wstać, by nikt jej nie zobaczył, o północy, i przekraść się do cerkwi, a tam pomodlić się za spokój duszy. Da Bóg, zacznie wtedy znów sypiać spokojnie i przepędzi owych zalotników, co zaczęli nawiedzać ją po nocach. Niekiedy przychodzili wszyscy trzej, a niekiedy łączyli się w jednego i przymuszali ją tańczyć i weselić się przez całą noc.

Okno było zawczasu otwarte i zeskoczyła przez nie do ogrodu. Sad tchnął znużeniem i sennością, oddychał szeleszcząc uśpionym listowiem, krzaki znaczyły się jak ogromne ropuchy, skąpane w kwieciu wiśnie przypominały osiwiałe głowy.

Przeszła pomiędzy tymi głowami, ostrożnie stąpając bosą stopą, i zdawało się jej, że śni ciężki sen. W piersi kołatał niepokój, znajomy z nocy, w których jęły ją nawiedzać przedziwne zjawy. Usiadła na ławce w ogrodzie i przymknęła powieki, by opanować wzburzenie. Popłynęły przed nią modre smugi i poczuła się niczym na dnie morza. Dookoła pływały wielkie ryby, na nich zaś, niczym na rumakach, przerzuciwszy ogony przez zad, siedziały syreny i dymiły małymi cienkimi trociczkami. Miały długie paznokcie zabarwione na zielono, a piersi opięte połyskliwymi koronkami. Ryby przypływały do niej i uderzały pyszczkami o szkło — były jak gdyby w olbrzymiej przeźroczej skrzyni. W dole chwiały się wodorosty i siedział zielony utopiec obrośnięty mchem...

Setnikówna otwarła oczy i zerwała się na nogi. Przebiegła ścieżką do wyłamanej w ogrodzeniu dziury i sparzyła się o pokrzywy. To ostudziło ją do reszty: iść dalej czy zawrócić? Jednakże nogi same zawiodły ją do cerkwi i za chwilę wśliznęła się do środka. Upadła przed obrazami, ale pomodlić się nie zdążyła: z dworu dały się słyszeć ciężkie kroki.

Wszedł student. Na ramionach dźwigał trumnę, a gdy postawił ją na podeście pośrodku cerkwi, rozejrzał się. Światło księżyca sączyło się przez okienka i migotało na posadzce i malowidłach na ścianie. Święci i kolatorzy z czubami na głowach spozierali bez zmrużenia czarnych oczu, jak gdyby chcieli odgadnąć, po co ci ludzie tak nie w porę przychodzą do cerkwi. W górze

załopotały skrzydła i student zadygotał. Stał w smudze miesiąca wysoki, piękny i smutny. Westchnął ciężko i wszedł do trumny.

Zrobiło się cicho, przedziwnie cicho i setnikówna bała się odetchnąć, by nie zdradzić swojej obecności, znów załopotały skrzydła, po czym po raz drugi rozległy się ciężkie kroki.

Do cerkwi wszedł mieszczanin. Był w białym stroju i trzymał przed sobą świecę. Oświecała go z dołu, przez co twarz jego wyglądała strasznie.

— Jesteś już tutaj? — ozwał się głucho. — Chcesz umrzeć, bo cię nie pokochała?

Setnikówna modliła się. Żarliwie szeptała słowa, a święci i kolatorzy z czubami patrzyli na nią ze ścian tak samo niewzruszenie.

Po raz trzeci zatrzepotały skrzydła i wszedł kozak. Ubrany był na czarno i bezgłośnie począł sunąć ku trumnie. Mieszczanin obrócił się gwałtownie i cała cerkiew nagle zajaśniała jaskrawym światłem. Popłynęło ono przez wszystkie okna, padało z kopułek i zalało cerkiew tak, aż się zatrzęsła. Zatrzęsły się ikony i malowani kozacy.

Coś huknęło i zwaliło się w głębi cerkwi. W trumnie leżał nieżywy student, a mieszczanin raptem zakrzyczał, bezładnie wymachując rękoma. Kozak podskoczył dziwnie i boleśnie jęknęła setnikówna. Ten ciągnął za sobą długie chwościsko, w miejscu nóg wyzierały zbrukane racice.

Setnikówna zmagała się z chaosem w sobie samej, a może to sny w niej wojowały. Ukazały się złote pająki na długich drgających nogach, splatały pomiędzy słońcem i ziemią złotą pajęczynę, co oplątywała drzewa niczym strunami bandury. I gdy setnikówna bosą nogą wybiegła na iskrzącą się rosę, gdy przystanęła, oczarowana pięknem dookoła, ze złotego półcienia wyłoniły się dziewczęta w różnobarwnych strojach. Rozsiadły się po całym niebie, zapełniając przestwór od ziemi do słońca, a przy słońcu siedział biały dziad. Dziewczęta targały struny-pajęczyny, dzwoniła srebrna nuta — płynęły pieśni przedziwne. Dziad raz po raz uderzał w słońce złotą buławą i z góry sypały się iskry; delikatnie podźwiękiwały dzwoneczki, jakich mnóstwo porozwieszanych było dokoła słońca. Kiwały się dziewczęta, płakały pod ich palcami złote struny, a do setnikówny podszedł biały rumak i kłaniając się klęknął na cztery kolana. „Siądź mi na grzbiet — powiedział — pragnę ci świat pokazać." Wsiadła nań i pomknęła jak wiatr, sama też zaśpiewała. A później tańczyła na grzbiecie białego konia i było jej jasno, aż mrużyła oczy. Wte-

dy przybiegał czarny koń, sypał ogniem z nozdrzy i gnał za nią, a setnikówna obejmowała dłońmi swojego białego i dławił ją strach. Może z tej przyczyny znajdowała się raptem na grzbiecie czarnego konia, teraz biały mknął za nią, ale nie mógł doścignąć — wrony uwoził ją do królestwa cieni. Trafiła na sabat wiedźm, gdzie wiły się czarne wysmukłe piękności, gdzie struny wyśpiewywały rozdzierające melodie i wyła trąba. Głos trąby przypominał jej wilcze wycie, a może i płacz po umarłym. Dookoła wiedźm wystukiwali racicami czarci i wymachiwali chwościskami, rozrzucali płachty płomieni, co splatały się i tworzyły krąg ognia wokół tanecznikow — a po tamtej stronie pola czekał biały rumak i rżał tęsknie, nawołująco.

Wówczas podszedł do niej młody czart.

— Pokazuję ci to wszystko nie na darmo — rzekł. — Chcę się otworzyć przed tobą — pokochaj mnie!

Ujrzała jego ciemne cudne źrenice, w których jarzył się smętek głęboki.

— Żyć nam dano niewiele czasu — prawił. — I my, i wy, ludzie, jednemu podlegamy przekleństwu: przyjdzie mąż ognisty i zdepcze nas. Nie traćmy czasu, panno, oddajmy się miłowaniu, boć i my, i wy, jesteśmy jednakowo żyjącymi istotami.

— Jednakże my mamy duszę — rzekła setnikówna.

— Dusza to bajka — wyszeptał czart wyciągając ku niej dłonie. — Chodzi tu o jedno mgnienie. Chwytaj je, używaj, bo inaczej łowić będziesz same ostatki.

Wówczas strach ją przeniknął.

— Nie dotykaj mnie! — zawołała odpychając gorące dłoni wyciągnięte, by ją objąć...

Obudziła się wśród nocy. Izba skąpana była w rzęsistym blasku księżyca i w jego mroźnym drżeniu mieniły się wzory na kobiercach. Długo patrzyła przez okno na te gwiazdy w małych szybkach i ogarnął ją żal przedziwny. Zapłakała więc, bo nagromadziły się w niej w tym momencie wszystkie boleści świata, a w sercu poczuła wzniosłe odkrycie, jakim życie obdarza śmiertelnych raz jeden jedyny.

— Nie ulegnę ci, czarcie — wyszeptała — bo miłość jest święta. Chcę żyć dla szczęścia, a nie dla użycia, jako że prawdziwe szczęście jest niby czyste niebo nad głową...

Podchodził do niej biały koń i znów zaczynała się szaleńcza gonitwa: mknął jak strzała, dziewczęta śpiewały swoją pieśń, dzwoniły dzwonki dokoła słońca i samo słońce było przeogromnym dzwonem, a siwy dziad dzierżył w garści promień i rozhusty-

wał owo cudowne dzwonienie. Dzwonił jak na Wielkanoc, a setnikówna uklękła i uniosła oczy w górę — dusza jej zaśpiewała wraz z dziewczętami.

Wówczas przyczołgał się do niej czarny wąż i uniósł łeb wysoko. Z rozmachem uderzył ją łbem między piersi i zrzucił ją z białego konia. Leciała, obracając się z wolna, w oszałamiającą przepaść, a wraz z nią biegły cudowne smętne oczy młodego czarta, który patrzył na nią i ani rusz nie mógł oderwać wzroku.

— Posłuchaj mnie, kochana — szeptał. — Znaleźliśmy się trafem na tym świecie — ty i ja. Przyszliśmy tutaj nacieszyć się słońcem i księżycem, rosą i drzewami... Pozwól, to ukażę ci jeszcze jeden cud...

Siedziała na pniaku, który przypominał wygodne karło. Przed nią roztaczała się polanka z ciemnozieloną murawą i białymi płomykami rumianków. Na niej stał czarny koń, zarżał donośnie, po czym rzucił się na przełaj przez zielone pole. Podskoczył w górę, wyżej od drzew, ukląkł i jął tańczyć na tylnych nogach. Srebrne kopyta wykrzesywały iskry i setnikówna urzeczona wpatrywała się, jak koń przemienia się w gładkiego kawalera. Kawaler uderzył czapką o ziemię, zalśnił srebrnymi obcasami; załomotała ziemia, zapłakały drzewa tracąc liście niczym łzy; wówczas kawaler upadł na ziemię i poznała owego węża, co bił ją w piersi. Zacięła zęby, by nie zakrzyczeć, i niepewnie zakreśliła przed sobą znak krzyża...

Padało, a młody czart skulił się w kącie pustego domostwa i wyzierał stamtąd z melancholią. Dziad skrzesał ognia, zapalił fajkę i zionął dymem. W tym dymie, w swojskim zaciszu pustego domostwa młody czart przeżuwał gorzkie myśli. Nie powiodły mu się zaloty u setnikówny. Wyłożył wszystko, na co go było stać, i teraz, gdy moc uszła z ciała, ogarnęło go zniechęcenie. To, że odtrąciła go setnikówna, było jeszcze do zrozumienia, ale to, że zaczynał swoje życie od klęski, nie dawało mu spokoju. „Tych ludzi zgoła pojąć się nie da — łamał sobie głowę — przecie ofiarowałem jej siebie całego!... Trzeba było zażyć na nią sposobu" — mignęło mu w głowie, ale wzdrygnął się przed tą myślą, bo nie chciał być jako insi.

Za oknem padał deszcz, a czart rozmyślał o śnie, co przyśnił mu się po ostatnim nawiedzeniu setnikówny. Przyśnił mu się arbuz, ogromny jak beczka, arbuz ten toczył się na niego i o mało nie przygniótł. „Nie w głowie mi były zwykłe zalecanki — myślał młody czart — chciałem w niej wzbudzić tęsknotę do wolności."

— Jednak nie dała ci do siebie przystępu — rzekł dziad pykając kurzydłem — boś ty głupi i nieświadom rzeczy...

Ze swojego zakątka wylazł domowik, nastroszył się i usiadł koło dziada.

— Co ze mną dalej będzie? — zapytał. — Dom się wali i już mi jest wszystko jedno... Daj no niucha!

Dziad dał mu tabaki i domowik kichnął donośnie.

— Gawędzę sobie z młodziakiem — rzekł dziad. — Nie poradził sobie z dziewuchą.

„Jakaż to niby dziewucha? — smutno myślał młody czart. — Przecie to piękność, jakiej świat nie widział."

— Dała mu arbuza! — domowik podłubał sobie w zębach. — Słyszałem, jak rzucał się tu we śnie... Musi od pieca tańcował...

„Żeby to była wiedźma — rozmyślał młody czart — tobyśmy się mogli pokumać. Albo jeszcze prościej: ona jako dziewczyna, a ja kawaler..."

— Chciał ją ugłaskać, he he — zachichotał dziad. — A w naszym rzemiośle tak to się nic nie zdziała...

Zmierzch się zagęszczał, pykała fajka, a domowik czyścił kijaszkiem kopytko.

„Na świecie powinny być dokładne współbrzmienia — myślał młody czart — inaczej nie złoży się do kupy. Świat bez harmonii jest na nic, bo kiedy zerwie się w nim jedno ogniwo, cały rozpadnie się w pył."

— Z pewnością wyznawał jej miłość — mówił dziad szyderczo. — Taki ze mnie czart, powiada, ale miłość moja nie jest czartowska, he he...

— Doświadczałem na sobie prawa współbrzmienia i harmonii — rzekł młody czart.

— Co, co? — dziad ze zdumieniem wytrzeszczył oczy. — Co ty wygadujesz, chłopcze... Prawo... jakeś to ty powiedział?

— Prawo współbrzmienia i harmonii — powiedział młody czart w zadumie. — Nie chciałem jej oszukiwać...

Siedzieli w ciemności, zamyśleni i zgnębieni. Dziad cmokał fajkę, domowik czyścił kopytko, a młody czart rozmyślał.

Poczuł niespodzianie, że dzieje się z nim coś dziwnego. Wydało mu się, że rozpuszcza się w powietrzu, że już rozpłynęła się jedna noga i zaczyna topnieć druga. Spojrzał przerażony — nogi rzeczywiście znikały, jak gdyby palił się czarny papier. Przerażenie ogarnęło młodego czarta, ale po chwili poczuł się spokojniej. Po jakimś czasie miał już tylko głowę, a zamiast ciała — czarną garstkę popiołu przypominającą nieco jego zarys. „Jak krótko żyłem — myślał czując, jak zwęgla się jego język — i jeszcze nic nie zdołałem dokonać. Zapewne, nie przystoi nikomu

z naszego bractwa tak zachwycać się urodą — to i popełniłem coś niewłaściwego."

Przeciąg powiał przez opustoszałe domostwo i czart zauważył, że wiatr zdmuchuje jego spalone na popiół ciało. Na polepie leżała jedynie głowa. „Byleby głowa została — pomyślał. — Muszę jeszcze przemyśleć do końca jedną ważną myśl. Chwileczkę, chwileczkę — błagał — zaraz ją wypowiem. Nie ma przecież najmniejszego powodu odchodzić, skoro dopiero przyszedłem, skoro dopiero począłem sobie uświadamiać, nie ma najmniejszego powodu..."

Jednakże głowa mu pękła jak stary garnek pod ciężkim butem. Mocarna, ciężka stopa naparła na opustoszałe domostwo i roztarła je na proch. Potężna istota uniosła za sobą fale opętanego wichru — było jej śpieszno. Gdzieś gruchnął piorun, a dookoła zadygotała ziemia.

Rankiem setnikównę odwożono do klasztoru. Usadzono ją na wyścielonej kobiercami bryce i woźnica strzelił z bicza, popędzając konie. Długo jechali, kilka lat, jak zdawało się setnikównie, a może kilkadziesiąt, bo gdy panna wyciągnęła spod kobierca lusterko, ujrzała nagle starczą twarz nieznajomej kobiety.

— Ileż to czasu jedziemy, dziadku? — zapytała woźnicy.

Gdy nie odpowiadał, trąciła go w plecy. Woźnica zachwiał się i zwalił z kozła: z zetlałego odzienia wypadł na drogę dawno wyschnięty szkielet.

Jakoś to jej nie zdziwiło. Zeszła na drogę i zdało się jej, że widzi przed sobą jakąś poświatę. Uniosła dłonie, by się pomodlić, ale dostrzegła ogromnego męża w białych rozwianych szatach — ruszył w jej stronę wymachując w powietrzu ogromnymi buciskami. Światło zalewało przestwór równomiernie i jednostajnie, przez co niezwykle odbarwiały się drzewa stojące po bokach traktu. Ujrzała, jak po gałązkach pobiegły prędkie fioletowe cienie i drzewa nagle buchnęły malinowym ogniem, co z miejsca obrócił je w popiół.

Wówczas ujrzała setnikówna, że wokół niej płonie świat cały; padła na twarz, wszakże jeszcze uchowała owo mgnienie, kiedy świadomość przypomina rozblask błyskawicy, co jakby zastygła na niebie. Chciwie chłonęła wszystko, co się dzieje, oczyma, bo raptem uczuła potrzebę utrwalenia tego na wieczność: popiół spłomienionych drzew, popiół spalonej drogi, co skręcała się niby zetlała tkanina, kilka czerwonych gór i potężne wiry, co niespodzianie na nią wychlusnęły. Zdążyła pomyśleć, że wszystko to może dzieje się nie poza nią, ale w niej samej, że życie jej od

jakiegoś czasu przeobraziło się w zapominanie; że może coś w nim przeoczyła — uchwyciły ją prędkie, rozjarzone, czerwone skrzydła i uniosły nad ziemią. I gdy opadała w dół, ujrzała raptownie bardzo wyraźnie i blisko przed sobą wielkie, czarne, pełne jasnego złagodniałego blasku męskie źrenice, które znała kiedyś w przeszłości, które może i mogłaby pokochać, ale dosięgnąć ich nie było jej sądzone.

DŻUMA

Wędrowny balwierz poczuł się zmęczony. Zeszedł z traktu i przyległ w cieniu samotnej kępy głogu. Otwarło się nad nim wysokie niebo, dzwoniły skowronki, kępa omotana już była wrześniową pajęczyną, terkotały pasikoniki, szybko przefrunęła zgraja wróbli, wielki bocian przepłynął nad głową wyciągając długi dziób. Balwierz przymknął oczy: zamigotały mu w nich czerwone smugi i plamy. Pomyślał, że tym razem droga ze wsi do wsi dłuży się za bardzo — był już głodny, ale nie chciało mu się tak nagle zrywać i mącić tej ciszy i spokoju. Nieźle byłoby się też napić, pomyślał, ale i tak w pobliżu nie było źródła; przed wędrowcem płynęły czerwone smugi i plamy, rozjaśniając ciemność, w której się pogrążał. Zresztą ciemność też była czerwonawa i dostrzegł w niej jakiś kontur — kloc czy inną maszkarę. Dalej ułowił nieznajome twarze: jedną, drugą, trzecią — spokojne były i obojętne, tyle że każda z nich miała zbyt rozszerzone źrenice.

Przetarł oczy i usiadł. W oczy dźgnęło go jaskrawe światło — zza chmur wyjrzało słońce. Chciał się podźwignąć, ale przydusił go niewidoczny ciężar.

— Masz ci los! — zamruczał opierając się oburącz o ziemię i znów usiłował się podnieść. Jednakże ciężar nadal przygniatał go do ziemi.

Balwierz obmacał swoje plecy, łataną koszulę na grzbiecie, rozejrzał się dokoła — na kępie głogu czerwono płonęły owoce, aż ćmiło mu się w oczach od tych płomyków. Musiał jednakże wstać, przeto podparłszy się rękoma wytężył się, jak potrafił. Z trudem się rozprostował, czoło spotniało mu z wysiłku, oddech miał ciężki i nierówny. Spojrzawszy w niebo, przeżegnał się i jak gdyby poczuł ulgę. Podniósł z ziemi torbę z przyborami i zdziwił się, że jest taka lekka.

Nie zmalał za to ciężar na grzbiecie, gniótł go nadal, mimo to

postanowił iść — w oddali zresztą widać już było pierwsze domy wsi. Wydostał się na trakt i usiłował zarzucić torbę na ramię, ale wydawało się, że uderzyła o coś twardego i wypadła mu z rąk. Odwrócił głowę patrząc za siebie, ale nic nie dostrzegł — za nim ścieliła się mgła, niezbyt gęsta, jednakże nie do przebicia wzrokiem. Balwierz nawinął sobie rzemień torby na rękę i wsparł się na kosturze. Ciężar z pleców nie spadał, odchrząknął więc, podrzucił go jak worek i dał krok naprzód.

Kroczył ciężko i mozolnie. Dokoła migały kwiaty. Rozrastały się, ogromniały w oczach i stawały się włochate: rumianki kołysały się gdzieś nad głową, huczały pszczoły wielkie jak bociany — balwierz widział ich wytrzeszczone oczy — trawa pięła się niczym drzewa, szumiał wiatr i te dziwne drzewa szumiały. Wytoczył się z nich świerszcz rosły jak cielak i spojrzał nań tępo i obojętnie. Zionął nań, rozwierając szarą bezzębną gębę, i podrapał się kończyną. Balwierz otarł pot z czoła i poczuł nagle, jak coś go łaskoce w szyję. Machnął ręką, wówczas przybliżyło mu się do ucha coś chropawego niczym wargi.

— Zaraz ci ulży — rzekł sam do siebie, a może był to czyjś głos. Znów się obejrzał — mgła jak gdyby zrzedła, kwiaty szybko malały, drobniały świerszcze i pszczoły, ptaki z trzepotem zerwały się w powietrze, i stwierdził z ulgą, że nieco ubyło mu ciężaru.

Usiadł na zboczu i odetchnął. „Coś takiego mi się nie zdarzało" — pomyślał, z wolna dochodząc do przytomności.

Wieś była już niedaleko i znów ujął kostur. Z tyłu okoliły go długie wieczorne promienie — cień jego wydłużył się i legł na trakcie. Balwierz ze zdziwieniem wpatrzył się w ten cień, co biegł przed nim jak ścieżka. Kroczył nią, ona zaś wyrywała mu się spod nóg wabiąc i nęcąc. Dziwną miał ten cień głowę — kloc czy maszkarę, z której sterczał garb wielki niczym worek.

Rankiem balwierz wyszedł na plac wioskowy. Szedł pustą uliczką i patrzył, jak wschodzi słońce. Było radosne i obmyte, połyskiwała trawa — wieś jeszcze spała. Nie tracił czasu, nie wstąpił nawet do gospodarzy, u których zanocował, jeno od razu podążył na plac. Usiadł pod rozłożystą lipą i rozłożył swoje przybory. Jednakże nie schodzili się doń ludzie — pusty był plac, puste były również uliczki.

Wczoraj tu przyszedł i został gościnnie przyjęty. Wyspał się, obudził odświeżony, zdawało się, że i w plecach mu ulżyło. Ty-

le że dokoła panowała dziwna pustka. Siedział ze swoimi przyborami i nikt doń nie podchodził. Zawołał nawet:

— Hej tam, kto ma chęć się ostrzyc? — Ale wiatr zagłuszył jego wołanie.

Trwała napięta cisza, słońce już wysforowało się w górę, wiatr zakołysał lipą i zatańczył w listowiu. Balwierz zrzucił swój słomkowy kapelusz, wiatr zmierzwił mu czuprynę. Chaty stały przycichłe i nasłuchujące, lecz nad nimi nie snuł się ani jeden dymek.

Balwierzowi wydłużyła się mina. Posiedział jeszcze czas jakiś przypatrując się czy wietrząc, po czym wstał. Był zdziwiony i stropiony, i owo zdziwienie zaprowadziło go do pierwszej chaty.

Ostrożnie wkroczył na podwórze, z góry przeczuwając coś złego. Ogarnęło go jeszcze większe zdumienie, gdy na środku podwórza zobaczył nieżywego psa z wywalonym językiem. Balwierz poczuł, że i chata tchnęła nań pustką. Pchnął drzwi — wszystko w nim się napięło — ale dokoła było cicho. Drzwi ustąpiły ze skrzypieniem, aż się wdrygnął. Drżący przekroczył próg — w nozdrza uderzył go zaduch martwego ciała i opustoszenia. Na stole leżał bochenek chleba, grudka soli i stał gąsiorek z gorzałką.

— Czy państwo gospodarze są w domu? — zapytał cienkim głosem. Zaczęły go trząść dreszcze. Było cicho, tak cicho, że słyszał własny oddech.

— Hej! — zawołał wciąż tym piskliwym głosem — czy państwo gospodarze są w domu?

Bał się wejść do białej izby — zbliżył się jeno do drzwi, nie mogąc powstrzymać drżenia w kolanach. Zajrzał do środka i zamknął oczy, bo fala nudności przetoczyła się przez jego ciało.

— Takie to sprawy! — wymamrotał już zawracając ku wyjściu. Brakło mu powietrza.

Wyszedł na dwór. Ogarnęło go dziwne odrętwienie. Usiadł na ganku i ukrył twarz w dłoniach. Palce mu wciąż dygotały, a przed oczyma przesuwały się jakieś nieznajome twarze.

I poczuł strach. Chlusnęło go pomiędzy oczy czarnym dymem, czarną wodą, śliskie węże wpełzły mu do serca i pojął, że tego już dlań za wiele. Zerwał się na równe nogi i wybiegł na ulicę.

Tu też było pusto. Znów nie mógł zebrać myśli: wczoraj, gdy tu przyszedł, we wsi panował ład i spokój.

— Hej! — zawołał nagle na całe gardło. — Czy jest tu żywa dusza?

Wykrzyczał to raz i drugi. Odpowiedzią było milczenie, więc jął się cofać czując, jak tenże strach podcina go niczym batogiem.

Stał pośrodku pustej ulicy, w zgrzebnych portkach i koszuli, i wydawało mu się, że jeszcze śpi, że to tylko straszny sen, który pierzchnie, byleby się zbudzić.

Usiadł pod jakimś płotem i zamknął oczy. „Muszę zasnąć — pomyślał — zmienić ten sen na inny." Jednakże dokoła tężała wciąż ta sama dławiąca cisza, a balwierz z natury był trzeźwy. Wiedział, że płot, o który się opiera, jest naprawdę płotem okrytym kurzem przydrożnym, a z pokiereszowanego kołka łuszczy się kora. Przed nim stała chata, widział jej zmodrzałe okno i szybkę zestawioną z dwóch kawałków szkła; białą ścianę, ochlapaną brudnymi cętkami po deszczu; słomę, co się pokryła zielonym mchem, a z niego wykluła się blada i wątła trawka. Wszystko to było nazbyt widoczne, podobnie jak jego uszmelcowane bose nogi, jak ślad wozu wyciśnięty na wilgotnej ziemi. Ujrzał jeszcze świeże jabłka końskie i żółty kwiat zatknięty przez kogoś na płocie. „Muszę uciekać — waliło mu w skroniach — bo stąd nie wyjdę."

Przypomniał sobie pozostawione na placu przybory — a nuż je ktoś ukradnie, kiedy on tu tak chodzi. „I to byłoby nienajgorsze" — wymruczał, ze zgrozą spoglądając na chatę z ochlapaną ścianą.

Wstał i otrzepał kurz z portek. Chciał, by tę ciszę bodaj coś zakłóciło, bodajby obskoczyły go psy. Szedł jednak pustą ulicą i dokoła nie było słychać ani jednego dźwięku. „Żeby się tak z kimś spotkać — pomyślał już z desperacją — i poprosić bodaj o tytoń do fajki."

Znów wyszedł na pusty plac, na którym wciąż hulał wiatr przeganiając kurzawę. Pod lipą leżały jego przybory, których nikt nie ruszył — wiatr zdążył zawiać je szarym popiołem. Zgarnął chustę, otrząsnął z kurzu i włożył przybory do torby. Po czym raz jeszcze obwiódł przeciągłym spojrzeniem domostwa, pusty plac, ulicę prowadzącą w głąb — zdawało się, że zgoła niewiele mu potrza, by się poczuł szczęśliwy: byleby psy zaszczekały czy zaryczało bydełko. Jednakże dokoła wiało pustką, aż ziąb przenikał, przeto czując się połamany i znużony, wyruszył ze wsi dźwigając na grzbiecie nieznośny ciężar, a w sercu ból dotkliwy.

Wędrowny balwierz był niemłodym człowiekiem. Bóg wie, ile nawłóczył się po drogach, twarz miał ogorzałą i zrogowaciałą, czoło poorane zmarszczkami, torby pod oczyma, grube wargi spękane i suche, a nad nimi — szare krzaczki wąsów. Odzienie zawsze licheńkie — zgrzebne portki i koszula, a na głowie słomkowy kapeluch. W torbie para butów i przybory, zioła i leki.

Chodził traktami, zgarbiony i zamyślony — po wsiach znano go z dawien dawna. Gdy się pojawiał, ludzie zbiegali się doń gromadą — na placu wsiowym robiło się wesoło, bowiem trudząc się zwykle przytupywał i podśpiewywał. Zamożniejsi gospodarze zapraszali go do chaty, częstowali obiadem i kielichem, po czym dopiero — wszelkie zamawiania, porady i strzyżenie. „Kto chce się ostrzyc — wołał raźnym głosem. — Dziadków robię junakami, a młódkami baby!"

Dzień był suchy, z ostrym ciepłym wiatrem. Balwierz szedł traktem, z trudem stawiając nogi. Dookoła niemiały zagony, jeżąc się wysokimi ścierniskami, tu i ówdzie sterczały samotne drzewa i krzaki, a on plątał się od drzewa do drzewa; wiatr ciskał mu w twarz kurzawę, w zębach mu chrzęściło, a plecy bolały go nieznośnie — ciężar z nich nie spadał. Za każdym krokiem jak gdyby narastał i bardziej uciskał: garb był wysoki i spiczasty — widział to na własnym cieniu. Jednakże iść musiał, bo nie miał dziś w ustach ani kruszyny. Wioska, która tak ciężko go doświadczyła, już skryła się z oczu, i wlókł się polem, osłabły i znękany.

„Zali to nie moja śmierć?" — pomyślał przystając przy niewielkiej ogołoconej gruszy. Ulęgałek pod nią było sporo i jął je gryźć łapczywie, nie zwracając uwagi na ich cierpkość ani na smak.

Położył się na trawie, wiatr owiał mu twarz, on zaś pomyślał sobie: lec tak i zasnąć na wieki, albo też zasnąć i po zbudzeniu przekonać się, że wszystko to było zamroczeniem. Leżał i plecy nękały go boleśnie, bolały ramiona i gniotło go w szyję. Mąciło mu się w głowie, patrzył przez szparki wpółprzymkniętych oczu tam, gdzie gromadziły się chmury i gdzieniegdzie przebłyskiwały skrawki modrego nieba. W tym momencie nie było w nim bólu ani urazy — jedynie wielkie zdumienie, z jakim spoglądał w niebo, i niema tęsknota, co go kołysała i usypiała mózg otulając go miękką wełną. Zdawało się, że zarosło nią całe niebo i ziemia, w oczach się ćmiło, kurcz ściskał w gardle i dopiero teraz poczuł, jak cierpkie były ulęgałki, których się najadł.

Nie mógł jednak uleżeć, bo przed wieczorem chciał trafić do wsi, gdzie spodziewał się wieczerzy i uwolnienia od tego dopustu. Wstał podpierając się rękoma i niemrawo pokuśtykał traktem. Podobnie jak zeszłym razem ujrzał na poboczach ogromne rumianki większe od człowieka, pszczoły jak bociany, wreszcie i samego bociana stojącego jak żuraw przy studni. Balwierz przypomniał sobie, jak dawno już go pali pragnienie, złapał bociani dziób i opuścił go w ciemną otchłań studni. Bocian pił wodę, on zaś zaglądał do tego źródła bezsilnie wymacując dłońmi chłodną wilgoć.

— No, dość tego! — mruknął ocierając wyschłe usta.

Gdzieś blisko już miała być wieś, rzeczywiście ukazała się przed nim, niewyraźna jak majak, z lipami, wiązami i białymi, jakby namalowanymi chatami. Gościńcem gnano bydło — unosił się siwy kurz, płynęli w nim pasterze i stado, jak gdyby szli po wodzie. Balwierz poweselał, poczuł na wargach smak świeżego mleka, aż ślinka mu pociekła, ujrzał jego ciepłą gęstość i bąbelki na wierzchu przy krawędzi kubka. Przyśpieszył kroku, wybujała trawa zaszeleściła za nim jak sitowie i poszedł między tym sitowiem, zmagając się z wiatrem bijącym mu w twarz i czując, jak bardzo osłabł i jak coraz mu trudniej pokonywać tę drogę.

Lubił wchodzić do wsi, gdy zapada błękitny zmierzch, wiatr ucicha i milknie bydełko, mężczyźni wychodzą z domów i siadają na przyzbach, kobiety w sadkach zaścielają stoły obrusem — pachnie wieczerzą, ciepłym mlekiem, dojrzałymi jabłkami. Słychać skrzypienie żurawia u studni, ściszoną rozmowę kobiet, pokasływanie dziadków, którzy smolą na przyzbie faje z korzenia wiśni, nawoływania matek, gwar dziecięcy, gdakanie kur rozsiadujących się na grzędzie. Chaty odpoczywają, rozchylając drzwi na ścieżaj — a we wnętrzu panoszy się zmierzch. Ludzie o tym czasie miękną i łagodnieją, zawracają podróżnego i proszą na wieczerzę, zwłaszcza gdy to idzie balwierz. Ostrzyże i ogoli, przyczesze wąsy i brodę, kobiecie da ziółek na słabości. Pić będzie mleko i opowiadać dzieciom bajki. A mleko, które wypije, będzie świeże i ciepłe, za to mleko gotów będzie opróżnić całą swoją torbę, jest hojny, podobnie jak dla niego hojni są gospodarze.

Balwierz widzi to wszystko przez zmrużone oczy — do wsi już ma całkiem blisko, naprawdę chce już dostać się do niej. Nie lubi sprawiać kłopotu gospodarzom, kiedy zbierają się do snu. Zapach siana, na którym spać będzie w stodole, już teraz łaskoce go w nos, podobnie jak zapach mleka. Słońce pali go w plecy, przed sobą widzi długi garbaty cień, wytęża więc siły, bo ma przed sobą wieś, jej wieczorny zapach mleka, jej ciepły zmierzch pachnący sianem i jabłkami. W takim momencie balwierz jest w dobrym humorze, spogląda łagodnym wzrokiem, choć ciężar nadal przygniata mu plecy. Przypomina sobie znajome twarze: zna tę wieś równie dawno jak ona jego. Przybliżają się drzewa, biegnie biały trakt, ścielą się smugi odciśnięte przez koła, co też biegną, jak gdyby i on jechał wozem. Balwierz spotyka pierwszego mieszkańca i wita się z nim. Tamten też go

wita i balwierz odczuwa satysfakcję — niedługo wejdzie do wsi, gdzie powita go dobre tchnienie siana i mleka, dobry duch ludzkiego trudu i gościnności.

Jednakże rankiem znów poczuł lęk, co wczołgiwał mu się w piersi jak śliska gadzina. Miał nawet uczucie, że tutaj, na środku placu, zasiadło mnóstwo gadzin; oplątały jego członki, syczą mu w oczy, on zaś siedzi wśród nich jak skamieniały, na darmo rozłożywszy swoje przybory. Wężowisko owo jest zimne i wstrętne, on zaś pełen zdumienia i udręki. I do tej pory śpi chyba, bo gdzież to widziane, żeby było aż tyle gadzin i tak oplątywały człowieka, nawet gdyby był z głazu.

— Był sobie chłopiec — szeptał jego wyschły język, jakby opowiadał dziatwie — co zwoływał węże...

„Władca węży!" — pomyślał.

Furkotały liście na lipie, kurz obsypywał przybory, on sam okrywał się tym kurzem, tam zaś, kędy przemykały węże, kurz się wygładzał, pozostawały smugi, a może tylko tak ciemnieje mu w oczach? Smugi te były niczym drogi na stepie i dreptały nimi mrówki wielkie jak jagnięta, spoglądały na niego i na świat, aż zląkł się nagle: a co, jeżeli wszystko to się powtórzyło?

Poczuł pod sercem ukłucie. „Dobrały się już i tutaj" — pomyślał o mrówkach. Siedział na pustym placu i powtarzał, że coś takiego nie może dziać się dwukrotnie, zbyt znużoną ma głowę, by po raz drugi znosić te okropności.

— Pora by już pędzić bydło na pastwisko — rzekł do siebie.

Z zagrody, w której nocował, też nie wypędzano krów, i pożałował, że jednak nie wszedł do chaty, gdy się obudził, jako że nie chciał się naprzykrzać.

Zerwał się na nogi i ruszył pustą ulicą. Ogarniała go niesamowita cisza — ani szczekania, ani zapachu dymu, ani gdakania kur, piania koguta, rżenia koni, ani krowiego ryku.

Głowę miał skołowaną.

— Dwa razy nic się nie dzieje — wypowiedział.

Nieme ulice, nieme ogrody i podwórza, niemy plac, gwarzą jedynie drzewa — łopocą i łopocą, jakby nie mogły się nagadać. Milczały przy studniach żurawie z dziobami zapuszczonymi w cembrowiny i bezustannie pijące wodę.

— Hejże, ileż można pić tej wody! — zamruczał, wciąż jeszcze usiłując wytłumaczyć to sobie jako dziwaczny sen. Bo to może być tylko sen, nic innego. Obejrzał się raptownie: śladem jego sunęły gadziny, aż droga od nich poczerniała. Wszystkie naraz uniosły głowy i syczały. Pobiegł nieomal, by uwolnić się od tego widziadła — lękał się wierzyć i nie wierzyć, lękał się pojąć to, co nawarstwiało się w nim z taką bezwzględnością.

Uskoczył do zagrody, w której nocował, ścigał go ból ostry i zimny jak szabla. Ujrzał ogródek przy domu i stół, przy którym wczoraj wieczerzał; nie było psa — leżał zapewne w budzie; ujrzał zamkniętą obórkę, a z niej — ani słychu; zobaczył zamknięte drzwi i zasłonięte okna, a na strzesze — puste gniazdo bocianie: ani bociana, ani jego potomstwa.

Cofnął się od tej zagrody, bo serce jego już odgadło to, czego nie chwytał rozum; zresztą, wiedział o tym już od dawna — gdy tylko zoczył pusty plac; poczuł, jak cicho, nie wydając dźwięku, jak gdyby kto tchnął, pękła owa pajęczynka, jedyna wątła nadzieja, że nic nie dzieje się dwa razy pod rząd.

Balwierz zgubił swój kapeluch, włosy miał do cna posiwiałe, zmierzwione wiatrem i zlepione potem; wydało mu się, że na grzbiecie nosi krwawiącą ranę, i jął przekradać się pod płotem, by cichcem umknąć ze wsi.

— To ja, to ja! — powtarzał. — Wszystko to trzeba było pojąć wcześniej, że ten garb to nie zwyczajny garb! — powtarzał uporczywie tak, jak gdyby kapała woda: — To ja, to ja! Nie na próżno wszystko rozrastało się wokół i stawało się takie dziwne.

„Wszystko to wiąże się w jeden węzeł — pomyślał. — To ja, to ja wygubiłem obie wioski!"

„Więc tak — pomyślał znękany, gdy odbiegł tak daleko, że już nie widział ludzkich siedzib — znowu to samo!"

Przed nim wznosiło się ściernisko niemal na wysokość człowieka, szedł przez ten dziwny las piszczałek, na których gwizdał wiatr, i plecy boleśnie przygniatał mu ciężar. Przystanął nagle: szare chmury spowiły niebo, leciały nim szare gęsi — wszystko to napełniało świat szarą galaretą. Rozejrzał się po polu — żywego ducha, a po bokach — zarośla wikliny. „Rzeka!" — pomyślał.

Ochłonął pomału — ściernisko wyglądało jak ściernisko, a niebo jak niebo, nabrzękłe i szare. Długo stał na tym polu wśród poczerniałych pędów; nad głową zaskrzeczała sroka — wiatr złapał ją i cisnął w bok.

Stał pośród wielkiego pustego łanu, wiatr kłonił na miedzy zbielałą trawę — suchą i przywiędłą. Przypomniał sobie wieś leżącą przed nim i po cichu wyszeptał jej nazwę.

Nadchodził już wieczór. „We wsi jedzą wieczerzę" — pomyślał. Zapada już zmierzch, miękki, szafirowy, ucicha wiatr — mężczyźni wychodzą z chat, siadają na przyzbach, kobiety ścielą w sadach obrusy na stołach. Widzi ogorzałe, obrosłe szczeciną

twarze, czupryny, których dawno już nie tknęła ręka balwierza, słyszy niefrasobliwe pogwarki o szerokim świecie. A teraz już sam opowiada bajki dzieciarni, co aż uszy nastawiła do góry; tu znów ukradkiem przybiegła doń po babskie ziele młódka, zajrzeli dziewucha czy kawaler, którzy zapragnęli lubczyku...

Stał pośród szczerego pola, mały, zgarbiony, w swoim zgrzebnym odzieniu, ciemniały jego bose nogi, nie ogolona twarz gęściej obrosła, pod krzaczastymi brwiami świeciły czujne oczy. Już nie mógł nieść na grzbiecie owego garbu — wiedział, że nie wejdzie z nim do żadnej wioski. Przypomniał sobie znajome twarze i ogarnęła go dziwna zawziętość.

— Miałbym się tak poddać? — zawołał usiłując dosięgnąć rękoma grzbietu.

Walił dłońmi w plecy, po czym padł na ściernisko i jął się tarzać: tłukł garbem o ziemię, ocierał się o ciernie, aż zdarł na sobie koszulę, ślizgał się na plecach usiłując zedrzeć ten przeklęty garb, ale zaledwie się podniósł, ciężar znów kładł mu się na grzbiecie.

Wściekłość miotała jego wątłym ciałem, kłęby wełny zapychały mózg, biegł i padał, znów tarzał się po ściernisku, po czym znów biegł, krzyczał, a koszula już wisiała na nim w strzępach. Mimo to ciężar nie znikał: czuł go całym wzburzonym jestestwem, chociaż nie wiedział: czy to żywa istota, czy mara. Niekiedy zdawało mu się, że zdziera z siebie to paskudztwo, ale było to złudzenie.

Zobaczył wówczas kij, co leżał na ściernisku, żółty i długi. Złapał go i z rozmachem uderzył się w plecy. Bił się i obtłukiwał — kij już gorzał czerwonym płomieniem — aż na ostatek utracił wszystką siłę i upadł twarzą na szarą zimną ziemię.

Leżał krzyżem, rozłożywszy ręce i nogi, wparł się brodą w trawę i patrzył. Przeszedł już był pole i znalazł się przy rokicinie. Szumiało listowie, pośród witek dojrzał modrą wstęgę wody, której dotknął chyży ptak niebieski.

Pomyślał: „Zmogło mnie!" Nie miał już sił do walki, zaś ciężki garb przytłaczał go w dalszym ciągu. Zlany był zimnym potem i usiłował nie przypominać sobie kolejnego traktu ani kolejnej wioski. Widział znów ludzi, z którymi przeżył całe życie, których strzygł i leczył. „Ci ludzie mnie przyjmą — pomyślał. — Wie toto, że tamci ludzie mnie przyjmą!"

Patrzył na wikliny, na wstęgę wody i znów zakipiała w nim złość. „To ja miałbym się poddać?" — pomyślał.

Wówczas nowa siła wstąpiła w jego udręczone ciało, młoda i męska. Aż krzyknął jak drapieżnik, który wyzywa wroga na pojedynek.

— I ty, i ja! — wykrztusił przez zaciśnięte zęby i mozolnie poczołgał się po trawie, wlokąc swoje ciało wraz z gniotącym je ciężarem.

— I ty, i ja! — mruczał z wolna wczołgując się do wody. Czołgał się po dnie rzeki czując, jak woda zalewa jego ciało, i wiedząc, że wraz z nim i tamto się pogrąży. Uczepił się rękoma wodorostów i łyknął wody. Pił z dziwną rozkoszą i łapczywością, aż rozpuściła się przed nim mętna mgiełka. Poczuł wówczas, jak woda przemienia się w ogień, który ogarnia jego głowę i ciało. Ogień palił również i to zielsko, którego trzymał się kurczowo rękoma. Fala pochwyciła go i uniosła. Ujrzał, jak rozprasza się ów piekący ból i zalśniło błękitne, czerwone i żółte szkliwo — w tym momencie ogłuszająco rozdarła się nad nim ciemność i potoczył się w głąb jej ogromu.

WIEDŹMA

Dziwne miewał niekiedy zachcianki kniaź Doliński. Ilekroć była mowa o ludziach niezwykłych albo zgoła o czymś strasznym i tajemniczym, ogarniało go podniecenie. Gdy nic takiego się nie działo, żarła go nuda — starał się wtedy wymknąć z towarzystwa i pójść do swoich pokojów, by móc się oddawać kapryśnym i różowym chimerom. Poza tym żył jak odludek: żona go odumarła nie pozostawiając dzieci, pozwalał więc sobie na fantazje. Włości też nie miał zbyt wielu, co stanowiło pewien uszczerbek w jego rodowym splendorze, ale znał kniaziów, co podupadli jeszcze bardziej. W sercu żywił skrytą nadzieję na mające go spotkać dostojeństwa, wszak by się o nie ubiegać, nie starczało panu na Dolinie sił i umiejętności. Zresztą jak błogo było usiąść sobie przy ogniu i pomarzyć! Byleby odstąpił człeka dzień powszedni z tysiącem nieodłącznych kłopotów (strach, jak on nie lubił tych kłopotów!), wówczas rozpoczynało się coś tak dziwnego i ciekawego, od czego człowiekowi aż w głowie się kręciło. W takich momentach przywoływał do siebie starego, dawno już żyjącego na łaskawym chlebie pana Twardowskiego, co przedziwnie potrafił bajać cuda-niewidy, i sadzał go naprzeciw siebie.

— Waść wciąż mi bajesz — prawił z rozwagą, ssąc w ustach cybuszek — o upiorach, wiedźmach i czartach. A czyś waszeć — tu pan Doliński zachichotał — widział bodaj jednego z nich na oczy?

Pan Twardowski, rzecz jasna, widział z nich niejednego, ze wszystkimi był za pan brat, ale kniaź nie poddawał się potokom jego wymowy. Patrzył przed siebie małymi zaczepnymi oczkami i widział, że nad głową pana Twardowskiego wyrasta jakieś dziwne oblicze. Wszystko w nim na wywrót: oczy ma tam, gdzie usta, a usta — gdzie oczy, i śmieje się toto do rozpuku, i mruga. Rzecz jasna, że pan Doliński wymyślał sobie owo oblicze, jako że jego samego śmieszyły niewymyślne banialuki pana Twardow-

skiego, ale co z tego, skoro lubił i same bajdy, i cichy, nieśpieszny tok jego gawędy.

— Takiś waść wszechpotężny, panie Twardowski — wypsnęło mu się jakoś — to sprowadziłby mi pan do dworu bodaj jakąś wiedźmę!

Rzekł i błogo mu się zrobiło, że aż taką myśl wypowiedział.

Twardowski urwał. Popatrzył na kniazia mądrymi, ciemnymi oczyma i nic nie odrzekł.

— Pytam więc — rzekł Doliński — czy waść nie mógłby mi sprowadzić do dworu jakowejś wiedźmy?

W oczach Twardowskiego mignęły szelmowskie iskierki.

— Mógłbym — wypowiedział z zastanowieniem — wszakże...

— Co za wszakże, panie Twardowski. Skoro waść możesz, to ją sprowadź.

Twardowski pomilczał jeszcze chwilę, spozierał pod nogi, jak gdyby obliczał możliwy profit, a gdy uniósł spojrzenie, oczy mu błysnęły.

— Dałbym radę — rzekł — ale czy wasza miłość nie boi się skutków?

Kniaź parsknął śmiechem. Tak serdecznie, że Twardowski, doceniając okazane mu względy, też się roześmiał.

— Kosztować to będzie nieco zachodu — rzekł z powagą i jak zwykle, gdy mowa dotyczyła pieniędzy, Doliński skrzywił się nieco.

— Krzywdować waść nie będzie — odparł z przechwałką w głosie i ziewnął, a to znaczyło, że spierać się nie ma o co.

Jednakże nie dane mu było dziś wyspać się, jak należy. Właśnie gdy nachodziła go chandra, poczynały go trapić senne zwidy. Owej nocy brnął w piachu, nad nim skwarem zionęło słońce, na niebie zaś krakały wielkie czarne ptaszyska. Dokoła płonęły stosy i kniaź ujrzał przed sobą to samo oblicze, co ukazało się było nad głową Twardowskiego. Oblicze to okrywało się językami płomieni i jak gdyby miało z tego uciechę. „Patrzcie, patrzcie — szeptało — widzicie, że płonę. Jak wspaniale jest płonąć!" Ogień sunął już w stronę kniazia, który ze zgrozą stwierdził, że tli się na nim ubranie. „Zgiń! — zawołał. — Zgiń, przepadnij, mocy nieczysta!" Wówczas dostrzegł, jak ucieka przed nim, oglądając się za siebie szelmowsko, pan Twardowski, który wyszczerzył zęby w uśmiechu i ukazał kły sążniste jak u dzika.

Doliński się obudził. Jeszcze migotały mu w oczach płomienie, jeszcze patrzyło nań straszne oblicze, on zaś, spocony i zalękniony, leżał na swoim łożu i struchlałymi wargami mamrotał pacierze. Wreszcie wstał z trudem i podszedł do okna, za którym zimno rozbłyskiwał księżyc. Okrągły i nieważki, drżał prószący wokół mroźnym srebrem. Kniaź zapragnął odetchnąć świeżym powietrzem i poczłapał do sieni. Poręcze ganku były mokre od rosy i pan Doliński błogo ziewnął. Usiadł na ławce i skrzesał ognia. Siedział na ganku pykając z fajki i duszę jego pochłaniało znudzenie. Co więcej, myśli jego krążyły wokół wczorajszej rozmowy z Twardowskim i z wolna jął się poddawać błogim marzeniom. Siedział zażywając ochłody, wypełniony niczym dzban poświatą księżyca, i wyobrażał sobie, jak przekracza jego próg najprawdziwsza wiedźma i jak zaczyna się dlań bajeczne i niepojęte życie...

Kniaź wystukał popiół ze swej fajeczki. Zrobiło mu się jeszcze smętniej, bo miesiąc dziś święcił swoje panowanie. Drzewa pięły się ku niemu z nieukojoną tęsknotą, wyciągały gałęzie i listki, jak gdyby chciały oderwać się od ziemi i pofrunąć w górę, tam, gdzie swobodnie wędruje ów czarodziej. Kniaź wyobraził sobie nawet, jak z chrzęstem rwą się ich korzenie i jak zaczynają się unosić niczym bańki mydlane, z wyciągniętymi w górę gałęźmi i liśćmi, z rozczapierzonymi korzeniami, z których osypuje się ziemia, i powoli płyną do nieba, malejąc coraz bardziej, aż całkiem znikną.

Rankiem długo leżał w pościeli, aż jakoś oprzytomniał. Wstał i ziewając głośno poczłapał z sypialni. Na spotkanie mu biegł już pokojowiec z miednicą i ręcznikami, odsunął go jednak.

— Panie Twardowski! — zawołał. — Panie Twardowski!

Nikt mu nie odpowiedział i Doliński podrapał się w głowę z nieukontentowania. Wówczas podbiegł doń pokojowiec i skłoniwszy się jął coś śpiesznie trajkotać. Ale Doliński miał jeszcze zamurowane ze snu uszy, pokręcił więc głową:

— Hę?

— Prosił powiadomić waszą miłość... Wstał do świtania i pojechał, jak wasza miłość przykazał...

— Kto pojechał? Dokąd?

— Wedle łaski waszej miłości. Pojechał pan Twardowski samowtór z pachołkiem...

— Taki gorączka? — mruknął kniaź i ciężko siadł na karło.

— Kazał waszej miłości wieść przekazać, że spełnia wolę waszej miłości!

— Dobra nasza! — mruknął kniaź i nagle wszystko wokół niego poróżowiało. Uniósł brwi zdumiony i urzeczony, otwarł usta, po czym potrząsnął głową i z ukontentowaniem, radośnie wymówił:

— A niechże go licha niosą!

Chyba na długo zachowa kniaź w pamięci ową chwilę, gdy pan Twardowski przywiózł doń Mełankę. Gdy weszła w jego progi, aż osłupiał na ganku — patrzyły nań czarne, oszołamiające źrenice, a pod nimi niczym rubiny pałały niewiarygodne usta. Kosy jej rozsypały się na ramiona, choć za chwilę spostrzegł, że są zaplecione; cała jej postać jak gdyby wyłoniła się spod ziemi. Mełanka uśmiechnęła się i kniaź poczuł nagle, że wszystkie jego lata jak gdyby spłynęły zeń niczym piasek, że i w dalszym ciągu jest młody i dziarski, a nad głową jaśnieje mu przedziwne niebo, rozjarzone słońce i migotliwe srebrne obłoki. Omotywał go jakiś niewytłumaczony urok, może dlatego, że dziewczyna patrzyła nań uporczywie. Na piersi miała gruby sznur korali, a z głowy na ramiona opadało kilka wstążek. Za Mełanką tkwił ukontentowany pan Twardowski — rad był z wrażenia, jakie jej osoba uczyniła na kniaziu.

— To wiedźma co się zowie — rzekł. — Aż w barskim starostwie ją wynalazłem.

— Prawdziwa z ciebie wiedźma? — surowo zapytał Doliński.

Potrząsnęła głową chwacko i z lubością przypatrywał się zuchwałym ognikom, jakie zabłysły w jej źrenicach.

— A co umiesz sprawić?

— Wszystko, wasza wielmożność — śmiało odparła dziewczyna i pan Twardowski roześmiał się z satysfakcją. — Mogę zesłać pomór, odebrać mleko waszym krowom, uczona jestem i mogę być ode krów, gęsi, kóz, ryb, gadziny, pszczół i grzybów. Mogę grad sprowadzić, co wytłucze waszej wielmożności zasiewy, i żab na nie ściągnąć. A ponadto mogę zepsować waszej wielmożności konie, krowy, kury i psy. — Nagle uśmiechnęła się do kniazia prosto i zwyczajnie. Nie wytrzymał tego uśmiechu i odpowiedział takim samym.

— Odważna z ciebie dziewucha! — rzekł dobrodusznie. — A czemu dotąd cię nie spalono?

Wstrząsnęła włosami (panu Dolińskiemu się zdało, że znów rozsypały się na ramionach) i roześmiała się:

— Bom nikomu zła nie wyrządziła!

— Wiedźma jest po to, by wyrządzać zło — kniaź znów posurowiał — bo inaczej co po takim wiedźmostwie?

— Ano tyle, że wszystko mogę — rzekła Mełanka. — Jak zechcę, to i pana przestraszę.

— Ha, ha, ha — gruchnął śmiechem pan Doliński. — Ano przestrasz!

— Zaś! — Mełanka zmarszczyła nosek. — Przestraszę waszą wielmożność kiedy indziej — tego się nie godzi widzieć postronnym oczom.

Twardowski kiwał głową z ukontentowaniem. Parskał śmiechem i oczy miał niczym skwarki w słoninie; panu Dolińskiemu był już właściwie zbędny: kniazia nazbyt urzekło zjawienie się tej dziewczyny.

— Toś ty przyjechała sprowadzać grad na moje łany i pomorzyć mi krowy?

— Gdzieżby zaś! — zaprzeczyła Mełanka. — Nie chciałam nigdzie jechać. To oni mnie tu ściągnęli — wskazała na dumnego z siebie pana Twardowskiego. — Ale skoro wasza wielmożność chce, to jej naprowadzę...

— No, no! — sposępniał Doliński. — Idź, niech ci jeść dadzą. Pogadamy o tym później...

Zeszedł z ganku, a gdy się obrócił, by raz jeszcze spojrzeć na wiedźmę, oparzyło go jej gorące spojrzenie i jej niezwykła, rzeczywiście niesamowita uroda.

Od tego czasu we dworze pana Dolińskiego wszystko się odmieniło. Sam chodził jak odurzony, jako że wciąż widział przed sobą gorejące i migotliwe oczy Mełanki. Gdy zaś spotykali się w rzeczywistości, pan Doliński nie mógł zdzierżyć urzekającego prądu, jaki płynął od dziewczyny, i rejterował. Mełanka zaś w mig objęła rządy w jego domu. Przestawiała sepety, poganiała czeladź dworską, naznosiła kwiatów i ziół — z posągowej martwoty i ordynku w domu kniazia nie zostało ni śladu, on zaś, co nie pozwalał nawet zydelka ruszyć z miejsca, siedział cicho, jedynie sapał i krył się. Nie mógł nawet odezwać się do niej, bo uśmiech sam, nieproszony, wybiegał mu na usta i kniaź, mężczyzna w leciech, miał chętkę żartować jak młokos i wygadywać głupstwa. Twardowski ze swym pacholikiem wybrał się gdzie indziej zażywać gościny i Doliński był mu wdzięczny, że tamten nie sterczał na widoku — im dalej, tym mniej znosił wścibskie oczy postronnych.

Jeszcze dziwniej toczyło się życie z nastaniem zmierzchu. Po nocach Doliński ze szczętem tracił rozsądek, bo gdy tylko rozświecił się księżyc, Mełanka ukazywała się na dziedzińcu całkiem naga. Rozpuszczała włosy na ramiona i klęcząc szeptała ja-

kieś zaklęcia. Po czym skradała się do obory, w której stały spokojne i senne krowy, wybierała najpiękniejszą i pan Doliński, ukryty w pobliżu, słyszał, jak tkliwie rozmawia z bydlątkiem. Głaskała ją i całowała krowią gębę, po czym tuliła się do niej i Dolińskiemu wydawało się, że ziemia rozwiera się pod nim, że chciałby pochwycić rusznicę i zabić wiedźmę wraz z krową. Mełanka zaś śmiała się i płakała, krowa pokornie przyjmowła pieszczoty, po czym wychodziły na dziedziniec. Przechodziły tak — naga wiedźma i milcząca, cicha krowa. Kroczyły niczym we śnie, jak gdyby spętał je księżyc; Mełanka głaskała krowę po grzbiecie, pan Doliński patrzył na to wszystko szeroko rozwartymi oczyma, a gdy obrzęd się zakończył i Mełanka kryła się w domu, przekradał się jak złoczyńca do swej alkówki i przez całą noc nie mógł zmrużyć oka czując, jak cały dygoce, jak podniecenie wpycha mu język do krtani, jak suszy go i pali w ustach, i że sam lada chwila pogrąży się w obłędzie.

Dał abszyt dworskiej czeladce — stało się to wówczas, gdy zauważył, że i oni śledzą nocne peregrynacje Mełanki — i niespodzianie został sam na sam z czarownicą.

Owego wieczoru, gdy znaleźli się sami we dworze, zachowywała się tak jak zazwyczaj. Wyprowadziła krowę, a za nią powlókł się urzeczony i nieprzytomny Doliński i włóczyli się dotąd, aż znikł z nieba księżyc. Wówczas Mełanka osunęła się na trawę i zaczęła płakać. Krowa stała przy niej posłusznie, w pobliżu krył się pan Doliński i pośród tego płaczu, wśród nocy nagle pojął, że go ogarnia niepewność. Odwrócił się nagle i poszedł do domu, ona zaś siedziała w trawie z załamanymi rękoma i spoglądała bez słowa.

Rankiem i przez cały dzień obrządzała skąpy dobytek kniaziowski i przynosiła panu jedzenie. W milczeniu przyjmował jej usługi, ale nie wdawał się w pogawędki. Trwało tak cały tydzień, wreszcie i ona nie zdzierżyła i gdy gmerał w jedzeniu, które ani rusz nie szło mu do gardła, zapytała, dlaczego trzyma ją u siebie.

— Chcę się przypatrzyć prawdziwej wiedźmie — rzekł uśmiechając się blado.

Nic nie odpowiedziała, nocą zaś, gdy wyszła naga do swojej krowy, również wyszedł na ganek. Stali tak w świetle miesiąca, skąpani w jego nieziemskim migotaniu, pan Doliński po raz pierwszy się nie krył, a Mełanka pierwszy raz nie udawała, że nie wie o jego podpatrywaniu. Spoglądali na siebie z głębokim, niemal bolesnym smutkiem, gapił się bez wstydu na jej ciało, jej jędrne i bujne piersi i gęstą ciemność w pachwinie — włosy jej spływały w noc, czarne niczym uczucie, co z dawna trzymało w

kleszczach pana Dolińskiego. Oczy jej patrzyły ciemno i przepastnie, podszedł więc do niej blisko.

— Nie potrza — rzekła szeptem, on zaś powalił ją na trawę. Zdzierał z siebie odzienie, a gdy się wdarł w jej rozżarzoną ciemność, poczuł, że ziemia zakołowała w rozpędzie, że stała się otchłanna, że piersi jej palą jak ogień, a włosy splątały się z trawą. Mełanka jęknęła, on też zastękał i potoczyli się wraz z ziemią i miesiącem w niewiadomy bezmiar, co nie ma końca ani początku, w którym goreje czarny płomień, co spala i noc, i jego domostwo, i wszystko żyjące i nieżyjące.

— Tyś nie wiedźma! — rzekł po tym wszystkim.

Wtuliła się w ziemię i szlochała. Wówczas złapał ją za ramiona i obrócił ku sobie.

— Słyszysz? — zawołał. — Nie jesteś wiedźmą, ani trochę!

— Jestem wiedźmą — wyszeptała przez łzy. — I wasza wielmożność jeszcze się o tym przekona...

Za każdym razem, gdy tylko nastawał zmierzch, doznawała niepokoju. Potajemnie wydostawała się z domu (czeladź już powróciła, ona zaś przestała prowadzać krowę) i przecisnąwszy się przez dziurę w płocie, powoli szła coraz dalej. Zmierzała wąską miedzą wśród prosa aż do przestronnej polany okolonej topolami, za którą ciemniał bór niczym grzebień dla niebiosów. Pan Doliński szedł za nią, a gdy spostrzegała prześladowcę, przyśpieszała kroku. Wreszcie rzucała się do ucieczki, jednakże on był jak gdyby uwiązany do niej. Czuła strach, który smagał ją niemiłosiernie, do tego dołączało się podniecenie i błogi lęk, biegła więc na oślep. Jednakże jak cień za nią snuła się koścista postać kniazia, biegła już więc do utraty tchu. Kłuła stopy o osty i trawę, dokoła koniki polne trajkotały jak opętane; zza boru wypływał księżyc wielki i czerwony jak rozżarzony melon — odczuwała trwogę w obliczu tego przedziwnego świecidła i upadłaby na twarz, by się pomodlić do jego mroźnej pustki, gdyby za nią nie dudniły buciska kniazia Dolińskiego. I znowu biegła, tym razem przez gąszcz zarośli. Chowała się za te zarośla, ale czarna postać kniazia znajdowała ją zdążając na przełaj, biegła więc dalej zdyszana i wylękniona, włosy jej czepiały się gałęzi i targały ją boleśnie, rozchełstywało się odzienie, bose nogi ścierały się do krwi; na szyi czuła gorący oddech. I znów uciekała, darła splątane gałęzie, niekiedy upadała, ale wnet zrywała się na nowo, bo nad nią wyrastała czarna postać i już wyciągała ręce, by ją pochwycić. Biegła więc, a za nią stąpały ciężkie buciska i ciężki oddech osmalał jej plecy. Wówczas Mełanka czuła, że już nie ma siły biec dalej i zwracała do ciemnego prześladowcy twarz

wykrzywioną przerażeniem. On zaś szedł ku niej żwawo i bez wahania, biegła jeszcze pomiędzy drzewa, w gałęziach wikłał się księżyc, hukał puchacz, łopotały skrzydłami nietoperze — mocne ręce powalały ją w trawę. Szlochała, kiedy zdzierano z niej suknie i broniła się, drapiąc i wyprężając się, aż wduszano ją w ziemię i opuszczały ją resztki sił. I czuła, jak pachnie ziemia, jak przytłacza ją straszny ciężar, jak przenika ją piekący prąd i ciężki rytm ogarnia jej ciało. W górze kołysał się księżyc i drzewa, łzy rosiły jej policzki, ona zaś prosiła, błagała, by jej nie tykać, choć dawno już została naruszona i uciec już nie mogła donikąd.

Po czym leżała, rozdarta i pokonana, a on śmiał się.

— Co z ciebie za wiedźma! — słyszała twardy i, jak się jej zdawało, radosny głos, i nie mogła się powstrzymać, by nie wybuchnąć płaczem.

Stał nad nią, wielki i ciemny, po czym odwracał się i odchodził. Podnosiła się z ziemi, zbierała swoje odzienie i pokornie, jak poskromiony koń, ciągnęła jego śladem. I wszystko działo się na odwrót: on szedł przodem, a ona stawała się jego cieniem. Nie odwracał się nawet w jej stronę i biegła za nim, natykając się na przeszkody i raniąc ciało, aż przystawali przed dziurą w ogrodzeniu. Wówczas rozkazywał jej włożyć ubranie i ubierała się drżącymi rękoma, a później, już w jego pościeli, gdy znów przytłaczał ją straszny ciężar, czuła jeszcze gwałtowniejsze drżenie i oddawała mu się z takim gorącym zapałem, że opadał wyczerpany na poduszki i z miejsca zasypiał.

Patrzyła na jego obrzękłą, niemłodą twarz, i w takich chwilach miała ochotę go zabić. Ciałem jej wstrząsała nienawiść, ale nienawiść ta roztapiała się w uległości, i długo jeszcze i mozolnie przemyśliwała, jakby stąd uciec. Czuła się już jak źdźbło na wietrze, jeszcze jeden podmuch, jeszcze uderzenie — i złamie się ostatecznie.

Ale nadeszła chwila, której się nie spodziewała. Pewnego wieczoru, gdy przywołał ją odwieczny młody książę — miesiąc, nie posłyszała za sobą kroków. Długo szła, raz po raz oglądając się za siebie, ale dookoła martwiała pustka i wszystko pod księżycem poprzemieniało się w rumowiska. Niczym potrzaskane warownie rysowały się drzewa; jak rozkopane obwałowania ciągnęły się zarośla i nagle znalazła się oko w oko z księżycem, z suchym szelestem błoniastych skrzydeł gacków i z tęskliwymi i rozpaczliwymi wołaniami puchacza. Zdało się jej, że tutaj, owej przedziwnej nocy, gdy utraciła własny cień, ulega ruinie, podobnie jak wszystko dokoła, że się rozpada i przestaje istnieć. Istot-

nie była sama i jeszcze się nie mogła opamiętać, wciąż spodziewała się ciężkiego chrzęstu za plecami i tego, że ją pochwycą mocne jak u niedźwiedzia łapy i rozpłaszczą niczym kwiat, ale dokoła rozciągały się ruiny, księżyc również był nadłamany, dokoła umierała trawa i Mełanka strzępkiem świadomości pojęła, że to jesień tchnęła na nią chłodnymi usty i że wszystko wokół niej pożółkło. Drzewa też prawie umarły, podobnie jak cała ziemia. Zrobiło się jej zimno, dreszcz wstrząsnął jej ciałem i osunęła się na opadłe listowie. Las tchnął zimnem, zimno gardłował puchacz — była bezbronna i wynędzniała, po twarzy ciekły jej łzy palące i przemieniała się w zasypaną liśćmi ziemię, na której krzyżują się płynące strużki. Księżyc pobudzał ją i nękał, z trudem łapiącą powietrze, i pozostawała pod tym niebem i tym księżycem niczym zbłąkana mrówka, co straciła nadzieję odnalezienia swojego mrowiska.

I jęła wypowiadać w tę noc i do księżyca złe słowa, od których cierpła jej skóra na grzbiecie i które ją samą niszczyły do szczętu.

— Niech wyzdychają u ciebie krowy — szeptała — niech na ciebie i na twoje domostwo najdą ropuchy i zeźrą cię wraz z całym twoim mieniem, niech na twą głowę spadnie mór okropny i niechaj ród twój zrówna się z ziemią! Niech cię otoczą gadziny i będziesz w ich kole, aż osłupiejesz; chodź i płacz, niech uśmiech twych ust nie okrasi, niech rozpada się twoje ciało i obyś został rumowiskiem za życia. Niech żoną będzie ci psia pokrzywa, a kolec ostu kamratem!

Szeptała coraz zawzięciej i wydawało się jej, że dookoła czołgają się żmije i ropuchy, że puchacz tłucze ją tępym dziobem w ciemię, że już zgoła nie żyje na tym świecie, zostały jeno księżyc i las spustoszony. Dygotała bowiem w zapamiętaniu i żal już jej było owych słów wypowiedzianych. Jednakże chłodna stanowczość znów nią owładnęła i uwierzyła w to, w co dotąd nie wierzyła sama, i w co ani rusz nie mógł uwierzyć kniaź: pośród tej nocy stawała się wiedźmą, należała do tej ciemności i odtąd należeć będzie do niej na stałe. Dlatego też dziwna groza wstrząsnęła i ukołysała jej serce, ujrzała, że jej ciało jest wyschłym konarem, ręce jej — chrustem, a nogi — połamanymi pędami. Oczy jej to gwiazdy na niebie, włosy zasię to noc, w której drzemie studnia — jej usta, i żuraw przy studni — jej czujny lęk, uszy zaś są krzykiem puchacza, a jej szyja to szumny las jesienny. Żyła w tym wszystkim dziwnym życiem, z wolna gromadziła w sobie poświatę miesięczną, by tam, na niebie, pozostawić mroźną zimę i wystygłą lodową misę, co na razie sypie i sypie martwe srebro, odurzające jak napój i bezlitosne jak krzyk...

I mór nastał. Jeszcze o świcie uderzono we wsi w drewniane kołatki. Do pana przycwałował konny od sołtysa i oznajmił, że ze wsi już wywożą pierwszych nieboszczyków. Zapachniało dymem, płonęły domostwa zapowietrzonych, kołatki nie ucichały ani na chwilę, słońce na niebie poszarzało — wiał duszny wilgotny wiatr. Drzewa też poczuły przygnębienie, bo wszystko jak gdyby pokryło się popiołem i pomartwiało.

Mełanka zamknęła się w swojej izdebce i gdy kniaź zapukał do niej, nie odpowiadała. Długo pomstował, groził, że wysadzi drzwi, ale z izdebki słychać było jedynie płacz i westchnienia, i Doliński nakazał czeladzi pozamykać wszystkie bramy i przejścia. Słudzy spozierali spode łba, groza dochodziła już i tutaj, wyły psy i ryczało strwożone bydło — tego niespokojnego ranka zapomniano je obrządzić. Stajenny pana Dolińskiego podszedł do gospodarza, gdy ten wyszedł na wieżę nad bramą. Widać było dymy pożarów, biegali ludzie zbierając dobytek, narządzali wozy, by uciekać.

— Wasza miłość zapewne miarkuje, skąd to nieszczęście — zapytał stajenny.

— Wszystkie nieszczęścia — odparł kniaź z namysłem — są z Bożego dopustu.

Stajenny się uśmiechnął, a na twarzy mignęła mu ostra zawziętość.

— Z Bożego dopustu albo za sprawką mocy nieczystej — wypowiedział.

Ode wsi jechało już do nich kilku konnych. Kniaź dostrzegł ów orszak od razu, ujrzał siwe brody starców siedzących na koniach, ciżbę wieśniaków zgromadzoną na placu wioskowym.

— Kopny sąd tu zjedzie — rzekł stajenny.

— Nie pleć głupstw! — przerwał mu kniaź.

— Rzekłem ino — z naciskiem powtórzył stajenny — że kopny sąd jedzie.

— Dużo mnie ich kopne sądy obchodzą! — mruknął kniaź Doliński, jednakże z wieży nie zeszedł. Raptem przeniknęła go skrucha. Rzadko stać go było na nią, ale gdy go naszła, czuł przygnębienie.

Konni byli już całkiem blisko, przeto nie odwracając głowy do stajennego zarządził, by przyprowadzono Mełankę. Stajenny jak gdyby oczekiwał tego polecenia, bo znikł w tej chwili i pan Doliński po raz drugi poczuł skruchę. „A niech tam" — pomyślał.

Konni dojechali do fosy i ujrzał ich wzburzone twarze.

— Co powiecie, ludzie? — zapytał donośnie.

— Wiedźmę chowasz u siebie, panie — rzekł mu najstarszy. — To ona nasłała nieszczęście...

Doliński się obejrzał — z zabudowań już wyprowadzono Mełankę. Włosy miała zmierzwione, a suknię w strzępach. Jednakże piękność jej płomieniała nadal, a może jeszcze bardziej niż dotąd. Duszności chwyciły go za gardło i jął łapać ustami powietrze.

— To nie wiedźma! — rzekł pojednawczo.

— Pozywamy ją przed sąd! — rzekł najstarszy z przybyłych.

— Niech tak będzie! — rzekł kniaź. — Będziecie ją sądzić!...

Sąd już wjeżdżał w bramę. Doliński zeszedł na dół i spojrzał posępnie na Mełankę. Odpowiedziała mu roziskrzonym spojrzeniem i poczuł, jak dźgnęło go we wnętrzu — wszystkie te noce, które spędzili razem, zjawiły się w owej chwili: ich ból i radość. Jednakże dookoła snuła się niewyraźna mgła, niewyraźnie pływały w niej twarze sędziów i dworskiej czeladzi. Dął wiatr wilgotny, aż trudno było oddychać, chmury powlekły już niebo i zdawało się, że lada chwila wytrysną deszczem.

— Słuchaj, dziewczyno — rzekł kniaź. — Ci ludzie są ze wsi. Mają u siebie zarazę. Czyś to ty wywołała tę klęskę?

Popatrzyła nań bez zmrużenia oka i niemal radośnie. Na ustach jej wykwitł uśmiech lekki jak drżenie trawy. Pan Doliński opuścił oczy.

— Pytają cię! — krzyknął rozjątrzony stajenny.

— Tak! — pewnie wypowiedziała Mełanka. — To ja sprawiłam nieszczęście! To ja, i pomagały mi w tym ich wsiowe wiedźmy...

— To jest sąd kopny — rzekł kniaź wskazując wieśniaków. — Przyszli cię sądzić.

— Stawię się przed nimi — rzekła Mełanka z cicha. — Ja popełniłam ten grzech i mnie mogą za to sądzić...

Milczał, przypatrywał się jej jedynie z chłodnym zdumieniem.

— A czy wiesz, co cię czeka?

— To, na co mnie skażą — odparła z wyzwaniem w głosie. — Mnie i te wiedźmy z ich wioski.

— Kto ci dopomagał? — zapytał najstarszy z wieśniaków.

— Pałahna i Hanna — rzekła pewnie Mełanka.

— Zali tu mamy się dopytywać, czy też wasza miłość każe ją stąd zabrać? — spytał najstarszy.

Kniaź nie odpowiedział. Popatrzył na Mełankę, miała siniec pod okiem i rozdartą na szyi koszulę. Ręce jej zaciskały się w pięści a bose stopy pewnie stały na suchej, nie zroszonej trawie. I nagle zatrząsł nim przypływ niepojętej wzgardy, nieodgadnionego zła i wściekłości. Poczuł nieomal na grzbiecie to niespokojne niebo, wiatr i chmury, poczuł głuchą, nieutuloną samotność i pustkę.

— Bierzcie ją! — wypalił i poszedł sobie.

I zdało mu się, że słyszy za sobą gorący oddech Mełanki, że wszystko to jedynie omam, a oni wracają ze swoich nocnych peregrynacji, że teraz wejdzie do swojej komnaty i przyjmie ją na łoże. A wówczas wszystko zakręci się, zakołuje, wszystko rozpłynie się i zniknie, zostanie jeno jej palący ogień i jej niewiarygodnie piękna twarz. Poczuł, że ma ochotę uciec z tego dworu, od tej trawy, którą depcą jego stopy, i od tego nieba, co legło mu na barkach: koniecznie musi uciec z tego nawiedzenia i snu, by znów nudzić się długimi wieczorami, słuchać przymówek czeladzi czy przypadkowych gości i przywoływać wyobraźnią najosobliwsze marzenia. Wówczas nie będzie ani tego płomienia, ani tej pustki ciężkiej jak noc i jak noc niepojętej. Uciekał do swego przytulnego schronienia i z każdym krokiem oddalał się od swojej dziwacznej zachcianki i od ostatniego już chyba szaleństwa.

Jednakże już nie doszedł do progu domostwa. Zatrzymał się raptem i poczuł, jak serce przenika trwoga niezbadana. Wydawało mu się, że ktoś nań czeka w mrocznej sieni. Zwidziało mu się, że to kobieta o ciemnej twarzy i przedziwnie urzekających źrenicach. Czarna kobieta wyciągnęła doń rękę i przywabiła palcem ku sobie.

POKUŚNIK

Ojciec Marii zdawał sobie sprawę, że z córką dzieje się coś niedobrego. Siedzieli we dwójkę w chacie i twarz Marii była obrzękła od łez — ojca zaś te łzy paliły niczym ogień.

— Odkąd Iwan poszedł na wojnę — jął mówić, ale nie dokończył, bo córka wtuliła twarz w jego dłonie i zaszlochała. Dotknął jej ramienia w zakłopotaniu i poczuł, jak jego samego coś szczypie w oczy.

— Coś tam twoje serce złego przeczuwa — zamruczał. — Wiadomo, na wojnie wszystko może się zdarzyć.

Marija już zmęczyła się płakaniem. Siedziała przy stole pod ścianą, twarz miała czerwoną i nasiąkniętą łzami. Jednakże jakieś dziwne, głębokie piękno prześwietlało ją od wnętrza i ojciec poczuł, jak drogie mu jest to dziecko.

— A może byś... — zaczął niepewnie — niech tam już chata trochę postoi pustką, a ty byś mogła zamieszkać z nami.

Potrząsnęła głową.

— Będę czekała na niego, tatko. Nie śmiałabym porzucać chaty, skoro mąż jest w drodze.

Od dawna już ta droga zaprzątała jej myśli. Wydawała się jej nie kończącym się białym smokiem, rozpostarła się bowiem stąd aż do gwiazd, od ich domków na przedmieściu w daleki, bezkresny świat, o którym nawet strach było pomyśleć. Bo też ów świat wydawał się jej taki wielki, że nie mieściło się to jej w głowie. Wiedziała, że przez ten świat właśnie ciągnie się drogą, którą sama sobie była wymyśliła, i gdy wieczorem wychodziła z chaty i stawała u jej początku, zapierało jej dech. Przykładała do czoła daszek dłoni i wpatrywała się, aż mieniło się jej w oczach i biały smok, mamiąc i wsysając, ciągnął ją tam, gdzie pojechali kozacy, a z nimi jej umiłowany. Wiatr muskał jej twarz i Mari-

ja czuła na sobie jego błogie tchnienie, ogarniające ją całą — i z wolna wracała do domu, kołysana falami wspomnień, nieledwie dotykalnych i żywych. Zdawało się jej, że on idzie z nią razem, i nawet nie odwracała głowy, by go zobaczyć, wiedziała bowiem, że to Iwan, i nie wolno było go spłoszyć. Za chwilę wejdzie z nim do izby i poda mu wieczerzę, on zaś opowie jej przygody, jakich zaznał w tej drodze. I powie chyba, że ten świat niczym ogromna paszczęka bestii przeżuwa nas jak strawę...

Siedziała w chacie, omotana owymi myślami, i przed oczyma jej stawały zjawy minione i ona sama wśród nich, kiedy to świeciło słońce, trawa była zielona i bujna, ona zaś piła słońce całym swoim jestestwem. A później patrzyła i widziała go, jak idzie drogą, i był jej taki znajomy i bliski, aż czuła, że coś dławi jej gardło, a na usta wybiega schrypły, zduszony szept.

Widziałam, jak mnie omotuje siecią, była to wesoła, radosna, słoneczna sieć i radość mnie ogarniała, chociaż to był tylko sen, sen, sen... Widziałam mojego miłego na zielonej trawie, jak gra na fujarce, a ja byłam wtedy mała i bosa, i ukryłam się za krzakami, bo nie mogłam nie patrzeć. Trwało to tak długo, długo, długo, nie mogłam się napatrzeć na mojego Iwanka, bo już od dawna go kochałam, bo śnił mi się co noc i policzki paliły mnie przy spotkaniu, nie mogłam, przechodząc koło niego, powstrzymać łez, co mi się w oczach kręciły, i biegłam gdzieś w kąt płakać, płakać, płakać, ale to ze szczęścia, z wielkiego szczęścia, a gdy przechodził w kowalskim fartuchu i niósł w dzień święta chorągiew cechową, gdy śpiewał na chórze, widziałam go, widziałam, widziałam. Wiedziałam bowiem, że jest mi sądzony i nigdzie nie zdołam uciec przed nim, byłam jego już od tamtej chwili, kiedy to ukryłam się za krzakiem. Bo gdy odchodził, rozdarł mi się letniczek, com go sobie o krzak zaczepiła, i tak mi było wstyd, wstyd, wstyd, że przez parę dni nie pokazywałam się na ulicy. On zaś co dnia przechodził obok mojej chaty do swojej kuźni, a kuźnia jego pałała, jak pałało moje serce...

Siedziała na progu chaty i słuchała cykania świerszczy. Zmierzch już na dobre opadał na ziemię, ją zaś obejmowało dziwne, ale miłe odrętwienie. Biały smok drogi uciekał jej z oczu wraz z białym dniem, a ona patrzyła tęsknie na zmierzch kradnący jej resztki światła. Ojciec już poszedł do domu, bezsilny ze swoimi radami, ona zaś starała się myśleć wyłącznie o Iwanie. Bowiem nagle coś ją zaniepokoiło — coś w głębi niej samej, coś nieświa-

domego i niewiadomego. Zdawało się jej, że ktoś szedł przez podwórze, bo trawa, co je zarastała, poczęła się chwiać i uginać. Zdusiła w sobie lęk mimolotny i poszła do chaty, żeby narzucić chustę na ramiona. Tutaj owiał ją zapach suszonych ziół i gliny, i znowu smagnął ją ból. Aż przystanęła — taki był ostry i dotkliwy — zwidziało się jej bowiem, że w oknie mignęła twarz Iwana. Nie wyszła już na dwór, bo nagle zapragnęła zanurzyć się jeszcze głębiej w swoim odrętwieniu, niespodzianie ogarnęła ją pewność, że Iwan jest tuż przy niej. Rzuciła się do okna — ku zachodzącemu słońcu. Urywki wspomnień, dziwny zamęt w myślach, niepokój i taki sam ból tknęły ją powtórnie. Poczuła nagle, że chata wokół niej skurczyła się, zmalała, zaczęła przytłaczać jej ramiona. Zapłakała wówczas, bo niespodziewanie i natarczywie owionął ją wielogłosy słoneczny dzień, i usiłowała zatrzymać w sobie tę cudowną i niezrozumiałą odświętność.

A jednak myślała o tym zwierzu, co czatuje na uboczu i pożera każdego idącego szlakiem. Zwierz ów był spokojny i obojętny. Wielu już ludzi znikło w jego paszczy, mimo to nadal domagał się świeżych ofiar. „Ależ on wcale nie przypomina smoka — pomyślała kobieta — i w bajkach wszystko ładniej wygląda." Przypatrywała się potworowi, jak gdyby chciała go zrozumieć. A drogą szło mnóstwo ludzi. Zbrojni i bez oręża, ciągnęli się długim szeregiem i każdy usiłował trzymać się jak najdzielniej. Zwierz kłapał szczękami, jego senne ślepia spozierały na świat życzliwie i z zadowoleniem. Dreszcz wstrząsnął ciałem kobiety. Znów usiadła na ganku i usłyszała, jak w sadzie kląska słowik. I wtedy zeszła na ziemię noc. Zapadła jakoś w jednej chwili, pętając wszystko siwymi, mętnymi zwojami, i kobieta uświadomiła sobie, że chyba dość już tego przesiadywania. Ale tu, na obrzeżu miasta, gdzie pachniały kwiaty i gdzie tak rzęsiście śpiewały słowiki, nie mogła się uwolnić od niepokoju, pewna, że duch, którego wywoływała całodziennym pragnieniem, musi ją nawiedzić. Jasne, że będzie to Iwan, któż by inny, jego się spodziewała dając się unosić odurzającym falom, w których mieszały się słowa, i czucia, i ból.

Tak go kochałam, że wprost nie mogłam uwierzyć, że dojrzy mnie i wyróżni, bałam się nawet tego uczucia, siebie samej się bałam, bałam się zdradzić słowem, bo wydawało mi się, że cały świat weźmie mnie na języki. Na ostatek nie mogłam się już z tym utaić, bo było to ponad moje siły, kochałam go i czekałam

z obawą — czyż możliwe jest szczęście przy takiej bezmiernej miłości? A kiedy grał na fujarce w ogródku u siebie, serce mi się tłukło w piersi jak ptak. Miły mój, szeptałam, miły-roztomiły, usłysz głos mego serca, usłysz, usłysz, wołam cię jak zazula, lecę do ciebie i sił mi nie staje, by ból pohamować. Wtedy to przeniknął mnie przy źródle, gdy czerpałam wodę i słuchałam, jak pluska w cebrzyku, a gdy już oba cebrzyki czekały na mnie z wodą, przeniknął mnie przy źródle. „Hej no, dziewczyno — zawołał — czy nie dasz mi wody?" Był w swoim kowalskim fartuchu i oczy świeciły mu jasno, a ja byłam olśniona tym światłem i zapytałam siebie: „Czy to on, moja radość i szczęście?" Serce odpowiedziało mi: „Tak, to on." I wtedy dałam mu się napić.

A jednak ujrzała jego twarz: stał za chatą i zaglądał przez okno. Co więcej, zapukał, bo przecież wyraźnie usłyszała pukanie. Radość opasała ją srebrnym wężem (błysnęło słońce, ryba, czy wąż, bo jednak zobaczyła tę srebrną wstęgę pomiędzy nimi dwojgiem) i raźnie, radośnie i szczęśliwie rzuciła się, by mu drzwi otworzyć. Coś, niczym odblask błyskawicy, zamigotało w jej mózgu, dziś dopełniła się miara czekania i Bóg jej zesłał to wyzwolenie i to szczęście. Za oknem rżał koń, pobrzękiwał uprzężą, a ona prędko przebiegła obie izby i ochoczo wyciągnęła skobel. W oczy zaświecił jej zimny księżyc, spokojny i odległy. Srebro jego promieni spływało na ziemię miarowo i ociężale, po dawnemu kląskał słowik w ogrodzie, jedynie świerszcz ucichł. Było cicho, tylko wiatr przeszedł i przewiał jej spódnice, jak gdyby ktoś pewny siebie i zapalony otarł się o nią. I nagle powrócił spokój. Wiedziała już, że nie ma na co czekać, że mąż błąka się po dalekim świecie i może już jest w pobliżu owego zwierza, którego tak wyraźnie miała dziś przed oczyma. Widziała go nawet teraz: olbrzymią górę, obrośniętą niskim sosnowym lasem. Oczy jego szkliły się pośrodku tej góry jak dwa obojętne jeziora, a paszczę miał szeroko rozwartą. Umykała do niej biała wstęga drogi ze wszystkim, co po niej szło. Zwierz od czasu do czasu zamykał paszczę i żuł — bezmyślnie, jednostajnie. Kobieta siedziała na ganku, okolona zimnym światłem miesiąca, i serce jej przenikało niezrozumiałe podniecenie. Ostatecznie dawno już przestała rozumieć samą siebie, odkąd nawet jej swojacy, krewni, sąsiedzi zaczęli z wyrzutem kręcić nad nią głowami. A ona sama nie widziała już siebie ani w źródle, ani w połyskującej szybie — cień tam jeno majaczył, drżący i ledwie widoczny.

W cieniach sadu stał ojciec. Zasiedział się tu w zamyśleniu i nie zauważył nawet nadejścia nocy. A gdy chciał wymknąć się nie-

postrzeżenie, skrzypnęły drzwi chaty i ujrzał córkę. Skąpana była w poświacie księżyca i piękność, co niegdyś przyciągała na ich podwórze niemal wszystkich chłopaków z przedmieścia, kwitła teraz jeszcze osobliwiej. Wydało się staremu, że jego córka aż świeci. Czyste, jasne srebro płynęło od jej postaci i na tym srebrze zauważył nagle jakiś ciepły poblask, jak gdyby wąż jakiś śmignął w górę swym czarnym ciałem.

Zobaczyła Iwana i ze spokojem przyjęła jego nadejście. Podjechał do niej na koniu, zeskoczył i wesoło uśmiechnął się do niej na powitanie.

— Coś cię dziś zatrzymało — rzekła do niego łagodnie.

I przepuściła go przed sobą do chaty.

...Czuła już ulgę. Znikł lęk, znikło przygnębienie i nie dręczyły jej złe przeczucia. Bowiem nagle w pełni poczuła siłę swojej miłości. Wzniosła się na grzbiecie tej fali i wszystko, co ją nękało, raptem przepadło, bezpowrotnie utonęło w mroku tej nocy, oczyściwszy ją niczym śmiech. Zresztą właśnie był to jej śmiech, jej zapamiętanie, jakiemu poddawała się, dygocąc. On też był nastrojony na to samo brzmienie. Wiedział bowiem, że to ważna chwila, nieodpłacona chwila, i krew rozlewała się po jego muskularnym ciele wypełniając je po brzegi młodym wiosennym dzwonieniem, dając mu zwinność i sprężystość, i oszołamiające pragnienie tej nocy, tego momentu i tego szczęścia. Czuł jej młode, smukłe, giętkie ciało, miękkie, uległe biodra i dwa wzgórki, co wnikały weń tkliwie i z oddaniem, czuł jej dziewczęcą, jeszcze mało podatną gibkość i jej ciepło, kołyszące dobre ciepło, w którym roztapiała się i łagodniała jego moc męska; czuł drżenie ciała jej i swojego — był to jeden rytm, jeden na tyle, na ile to jest możliwe pomiędzy ludźmi, i już nie było nic poza nim w tej nocy, nie było żadnych myśli ani samej nocy. Nawet izby i posłania: ktoś ich spowijał w ciepłe, migotliwe wstęgi, zagarniał, owijał i kręcili się, pływali — powoli i łagodnie, drżąco i błogo. Ona tchnęła zapachem kwiatów, co tak cudownie wyrosły w ciągu tej nocy, on zaś czuł się pszczołą wybierającą z kwiatów nektar. A kwiaty pachniały i oboje jednocześnie czuli każde niespodziewane zetknięcie z czarnym palącym płomieniem.

Później była cichość. Cichość i ukojenie, gdy nie chce się ani odezwać, ani poruszyć. Błogie znużenie usypiało ich ciała, ona zaś zniżała się z tej wysokości, na którą została zarzucona, zniżała się uciszona, kojąca i miękka. Zimny pot zrosił jej twarz, jednakże nie miała siły uścisnąć w ciemności ręki mężczyzny i dzielić z nim w tej chwili błogiego znużenia.

Tyle myślałam o nim, marzyłam, marzyłam, marzyłam, Bożyczku mój, szeptałam, zanieś mnie do niego, daj nam pobyć ze sobą, bo on już wyczytał miłość z mojej twarzy — nie mógł jej nie widzieć. Ale to, co zobaczyłam w jego twarzy, Boże mój jasny, mój Opiekunie na wysokościach, było jeszcze dziwniejsze. Patrzył na mnie moimi oczyma, moim spojrzeniem, zielona ruta, zielona mięta, nie mogłam nie widzieć, nie widzieć, nie widzieć jego twarzy, bo twarz jego powiedziała mi to, co sama chciałam mu wyznać, a gdy zapragnął usłyszeć to ode mnie, zapłakałam, bo nie mogłam utrzymać łez, stałam się taka malutka, malutka, malutka, zapłakałam, gołąbeczku mój siwy, bo już mi powiedział to, co sama mu chciałam powiedzieć, i było mi wstyd, i bałam się i radowałam. Szczęście moje było takie ogromne, że płakałam, kochaneczku, przecie pamiętasz, pamiętasz, pamiętasz, bo wtedy ci powiedziałam to, co chciałam powiedzieć, ale wtedy była noc, kląskały słowiki i bez pachniał, a ja bardzo cicho wypowiedziałam to słowo.

Dziwne dziecię urodziła. Gdy minął mu rok, dostrzegła, że ciało jego nie posiada owej znajomej jędrności, jaką mają zwyczajne dzieci. Zdawało się jej nawet, że jest ono pozbawione kości. Wszystko inne też było niezwykłe: wielkie ciemne oczy, które z czasem stawały się trochę niesamowite, wyrazista, nawet ładna już buzia i jakaś nieludzka chciwość, z jaką przysysał się do jej piersi. Bolało ją już od tego ssania, ból w piersiach stawał się jednostajny i dławiący, mąciło się jej od niego w głowie i przez rok cały chodziła jak oczadziała. Ojciec przynosił jej jedzenie kryjąc się z tym przed sąsiadami i coraz goręcej namawiał, by porzuciła tę chatę i przeniosła się do rodziców. Matka również zachodziła często, krzątała się przy dziecku, i oboje co sił starali się podziałać na córkę, otrząsnąć ją z owego mułu i czadu, jakie zaległy jej głowę. Po pewnym czasie zaczęła sobie dawać radę z gospodarstwem i opiekować się dzieckiem samodzielnie. Rodzice uspokoili się i odeszli. Ona zaś w nocy przeżywała najsłodsze chwile, jakie jest w stanie przeżywać człowiek, i w napięciu oczekiwała, tłumiąc w piersi niecierpliwe drżenie. Działo się to co noc i co noc czekała, a gdy tylko posłyszała znajome pukanie do okna, śpiesznie wyskakiwała z pościeli i biegła mu otworzyć. Całował ją już w sieni, całował twarz, potem piersi i nogi; stopniowo wyzwalała się z odzienia jak wąż ze starej skóry, wnosił ją do domu i oboje, naprędce zasłoniwszy okna, zaczynali jakiś oszołamiający dziwny taniec. Nie, nie rozbierał się nigdy i nawet nie żądała, by to uczynił, dość jej było własnej na-

gości i własnej ekstazy, tańczyła bowiem wokół ogniska, w które rzuciła swoją skromność, i które rozżegało ogień w niej samej. Nie widziała już świata, nic nie widziała, tylko ciepły, łagodny ogień gładził i napinał jej twarz, biodra i żyły przedziwnym napięciem i cała w tym męczącym napięciu widziała, jak świat dla niej nabiera zadziwiających barw. I bawiła się tymi barwami jak dziecko kamykami, i tej grze towarzyszyła muzyka, rozkoszna, swawolna, z pauzami błogich westchnień. Ściany jej domu przejrzyściały i mogła przez nie widzieć łąki pełne kwiatów i cierpkiego, podniecającego dymu. Po tych łąkach przechadzały się urodziwe dziewczyny i piękni junacy. Trzymali się za ręce i śpiewali, nigdy dotąd nie słyszała owych dziwnych i pięknych pieśni, bo były one bez słów — sama muzyka — i taki ogarniał ją żal, gdy się to wszystko kończyło, że padała na kolana i błagała go, by nie odchodził, ale pozostał, tak jak to było dawniej, na zawsze. Ale on tkliwie całował ją w usta i szeptał łagodnie:

— Dziecko się przebudziło. Czy nie słyszysz?

I wtedy rzeczywiście dobiegał ją płacz i rzucała się w stronę kołyski. A gdy pochylała się nad malcem, patrzyły na nią trzeźwe, czarne, nieco niesamowite źrenice i wtedy wracała do przytomności, poczuwszy na mgnienie niejasny, ale głęboki lęk.

Lęk ów począł nurtować ją coraz bardziej. Zwłaszcza w chwilach jasności ducha, gdy rozwiewało się owo fantastyczne odurzenie, eteryczny opar, w jakim się nurzała. W takich chwilach ze smutkiem i przygnębieniem myślała o swym nocnym rozpasaniu i nie opuszczał jej wstyd na przemian ze zdziwieniem. Wydawało się jej, że owo delikatne pukanie, pieszczoty i nawet ekstazy — to tylko sen, błogi, ale ciężki, upajający, ale niespokojny. Wiedziała, że to Iwan ją nawiedza, i nie mniej pewnie wiedziała, że to nie Iwan. Ojciec przychodził do niej z matką tak często jak dawniej, ale nie ważyła się im opowiedzieć o tych odwiedzinach, bo coś ją powstrzymywało. Wiedziała, że będzie wtedy zmuszona pożegnać się ze swoim nocnym gościem i nie będzie już mieć ani Iwana, ani jego cienia, z którym również stopiła się w jedno. Ugasiła więc w sobie lęk i rozterkę, i obawy, że może dzieje się z nią coś nieludzkiego, i że w ten sposób może zajść tam, skąd nie ma już powrotu. Wreszcie martwiło ją dziecko, jego dziwna, niepojęta żarłoczność. Ze zgrozą już patrzyła na gładkie, rzeźbione rysy syna i na jego czarne, niesamowite oczy. Kiedyś wyrwał był jej z rąk kromkę chleba i w okamgnieniu wepchnął do ust tak, że nie miała czasu się opamiętać. Na raz wypijał kwartę mleka, a gdy ukazywało się dno

dzbanka, zaczynał płakać. Płakał jak dorosły i pewnego razu nie wytrzymała tego szlochania i wybiegła z chaty, postanowiwszy opowiedzieć o wszystkim ojcu i znaleźć jakąś radę. Jednak nie doszła do ojcowskiej zagrody, bo drogę zabiegł jej chart biały jak mleko i ten chart tak ją przeraził, że zawróciła i jak oparzona rzuciła się na powrót do chaty.

A tam panował nieład. Stół i ławy były powywracane, na polepie poniewierały się stłuczone garnuszki, miski i inne statki, ściany były podrapane ostrymi pazurami, a święte obrazy i haftowane ręczniki pod nimi pozdzierane. Dziecko siedziało w kołysce i spoglądało na nią ciemnymi mądrymi oczyma, w których była i kpina, i uraza, i lęk. Marija bezsilnie osunęła się na zydel i długo patrzyła na to pobojowisko. Dostrzegła jeszcze brak bochenka chleba, leżącego przedtem na stole, a dzbanek śmietany, którego nie zdążyła wynieść do loszku, został chyba starannie opróżniony, bo szczątki jego błyszczały, tak dokładnie zostały wylizane.

Osłupiała nieomal. Zwaliły się na nią niespodzianym ciężarem myśli, które chciała rozwikłać, lecz nie miała na to siły; istniało tylko to, co rzuciło się jej w oczy: nieład, spojrzenie dziecka, potłuczone statki, odrapane ściany i potrzaskane święte obrazy. Pomyślała o Iwanie, w mózgu błysnął jej jakby promień słońca, chciała utrzymać go dłużej, ale twarz Iwana się dwoiła: jedna — stamtąd, z czasu jej szczęścia, i druga — twarz jej kochanka, z którym przeżyła tyle płomiennych chwil. Tym razem bardziej rzeczywista była tamta, z przeszłości, usiłowała więc ze wszystkich sił zatrzymać ją przy sobie i wtedy nareszcie pojęła dzielącą je różnicę: jedna była oświetlona słońcem, druga zaś ocieniona czy też skąpana w poświacie księżyca. Doszukiwała się jeszcze innych różnic, ale jej udręczony mózg wymawiał się od pracy, i zrozumiała, że dzieje się tu coś niesłychanego, że wdała się w jakąś wielką, niepojętą walkę i że gra toczy się o jej duszę. Domysł ten jak gdyby przeszył ją na wskroś i rzuciła się do sprzątania w chacie, bo słońce już kłoniło się ku zachodowi i wieczór zaczynał nękać jej skołatane ciało.

Tak, czekała już na to, bo w tym dniu, dniu jej największych rozterek, stać się musiało coś osobliwszego niż zazwyczaj. Synowi na wieczerzę przyniosła wianek kiełbasy i bochenek chleba. Uporał się z tym nad podziw szybko i z zadowoleniem, i po raz pierwszy przez ten cały czas dostrzegła czułość w synowskim

spojrzeniu. Po wieczerzy zasnął od razu, ona zaś zdała sobie sprawę, że czeka teraz na przyjście Iwana również nie tak jak dotąd. Bo tamten zamęt w głowie, nie wiadomo skąd biorące się podniecenie, bolesne oczekiwanie i przedsmak pieszczot przyszły do niej i tym razem, jednakże nadal towarzyszył jej strach, obawa i niepewność. Wszystko to raziło i targało nią boleśnie i była tak tym znękana, że już przywoływała go myślą, byle szybciej pozbyć się ciężaru oczekiwania. Poza tym pragnęła dzisiaj tylko jednej rzeczy — spojrzeć mu w oczy baczniej niż zazwyczaj. Wiedziała, że odda mu się również dzisiaj i że uczyni wszystko, co czyniła z nim każdej nocy, pójdzie w ów widmowy, wiążący wszystkie jej czucia, oszołamiający taniec i zazna smaku owej chwili, jakiego doznawała jedynie podczas tych nocnych odwiedzin...

Zapukał do okna jak zwykle i wybiegła mu na spotkanie. Pocałował ją już w sieni, dotkliwie i rozkosznie, i na krótko zlękła się o swoją trzeźwość, którą mimo wszystko postanowiła w sobie zachować.

— Chciałbym ci użyczyć dzisiaj moc szczęścia — wyszeptał i uśmiechnęła się do niego. — Przejdziemy się dziś po świecie...

Było to coś nowego, a kiedy wchodził do izby, udało się jej zajrzeć mu z bliska w oczy. Tak, to był Iwan, co do tego nie miała wątpliwości. Zbyt dobrze go znała, zbyt była nim przeniknięta i pragnęła go. Zauważyła tylko, że spojrzenie miał martwe. A raczej nie dostrzegła u niego żadnego spojrzenia, jak gdyby wcale nie miał oczu, jeno dwie jamy, w których chlupała rzadka i szara woda.

— Nigdyśmy dotąd nie wychodzili we dwójkę — rzekł tkliwie. — Dziecko śpi?

— Śpi — odparła. — A ja nigdzie nie chciałabym wychodzić...

— Ale dziś wyjdziemy — przygarnął ją do siebie i poczuła jego dotknięcie. Ciepły rzęsisty prąd przeszedł przez jej ciało, było jej wstyd i błogo zarazem, swobodnie i radośnie.

— Pójdę, dokąd zechcesz — powiedziała.

Wyszli na ganek, księżyc oblał ich swą chłodną, zwilgłą od rosy poświatą. Zdawało się, że cały świat wymarł, nie ujadały psy, nie było słychać nawet wiatru, mury miejskie piętrzyły się w górę jak wyrzeźbione, tam też nie było ani światełka, ani tchnienia, jak gdyby nawet czaty na wieżach powymierały, jedynie pamiętająca dawne boje fortalicja zawisła w powietrzu nad miastem. Ona zaś poszła z nim białą drogą, co martwo jaśniała w świetle księżyca, i nie słyszeli nawet odgłosu swoich kroków. Trzymał ją mocno za rękę, aż drętwiały jej palce, ale nie miała

siły ich wymknąć, szła jeno potulnie i w milczeniu. A kiedy wyszli z opłotków przedmieścia, zobaczyła idące drogą psy. Było ich wiele, wszystkie zachowywały się z dziwnym dostojeństwem, a wokół każdej gromady harcował kot jadący wierzchem na spasionej świni. Później dostrzegła również koty, wszystkie czarne i uroczyste, ze sterczącymi do góry niczym kominy ogonami, prowadziły je na srebrnych smyczach prawie nagie piękności z rozpuszczonymi na ramionach włosami. Iwan szedł z nią pod rękę i ćmił fajeczkę, której dym był wilgotnawy i słodki, on zaś spoglądał na ów pochód z niepojętym dla niej zadowoleniem, bo twarz jego w rzęsistym świetle miesiąca miała wyraz tkliwości. Później leciały sowy i gacki. Sucho szeleściły skrzydłami i w locie ich też było widać osobliwe dostojeństwo. Chłodem powiało od bezliku tych ciemnych ciał, więc mocniej ogarnęła się chustą. A później z zaskoczeniem i zgrozą odkryła, że oni też idą w szeregu. Bo przed nimi, za nimi i po bokach szły pary: dziewczyna i przy dziewczynie diabeł. Diabli byli niechlujni, brudni i obrzydliwie szczerzyli zębiska, jednakże dziewczęta wodziły po nich oczyma z niepojętym podziwem i zachwytem. Śpiesznie przyjrzała się swojemu towarzyszowi: był to ten sam Iwan, który spokojnie ćmił swoją fajeczkę i był równie dostojny jak wszyscy dokoła.

— Dokąd idziemy? — szepnęła mu do ucha. — I czemu dokoła tyle mocy nieczystej?

Iwan się uśmiechnął.

— Trudno byłoby mi to wszystko wytłumaczyć — rzekł po chwili. — Nie jestem pewien, czy to zrozumiesz...

Przytuliła się do niego i coraz większa zgroza ją ogarniała.

— Chcę uchylić przed tobą zasłony, pokazać ci nowy świat — powiedział. — Świat nocy. Tutaj wszystko jest inne niż tam — machnął ręką za siebie. — Dzieci dnia boją się nocy, a te znów — dnia. Dzieci dnia skute są kajdanami światła, a tu wszystko jest wolne. Pozostaniesz nieokiełznana, wolna i młoda. Poznasz coś takiego, czego nie może ci dać świat podsłoneczny. Bo jedynie noc jest zdolna oczarować człowieka.

Rzeczywiście nic nie pojęła z tego, co jej powiedział. Ale przed nią roztaczało się dziwne widowisko. Na olbrzymim polu, jak okiem sięgnąć, rozhulał się dziki, zapamiętały taniec. Wyły psy, miauczały koty, ryczało bydło, chude nagie diabły waliły w wielkie bębny, skowytały lisy, kwiczały wieprze, puchały puchacze i świstały gacki. Nagie pięknotki spazmatycznie podrygiwały tyłkami, włosy miały skudlone i obłęd świecił im w oczach. Wokół nich uwijały się białe charty i poczuła, że głuchnie od ich ujadania. Wtedy ruszyły w taniec dziewczyny z dia-

biami. Diabły wyłuskiwały je z odzienia, rozrzucając je na wsze strony, te zaś szczęśliwe i zauroczone jęły wystukiwać trzewiczkami hołubce po swoim odzieniu. Obcasy biły o ziemię, aż jęczała; psy rwały porozrzucaną odzież ze straszną zawziętością, a dziewczyny chichotały, jakby je kto łaskotał. Wokół nich wiły się długie czarne węże i Marija teraz nie zajętym skraweczkiem mózgu uprzytomniła sobie, że są to diabelskie chwosty.

— Czas już na nas — zawołał Iwan i szarpnął jej koszulę na grzbiecie.

Strach ją opasał. Krzyknęła i wyrwała się z jego chwytliwych objęć. Ściągnął już był z niej zapaskę i raptem zdała sobie sprawę, że wszystko to, co się z nią dzieje, to wcale nie straszny sen, że trafiła na sabat czarownic i musi uciec stąd jak najrychlej. Iwan schwycił ją z tyłu oburącz i chciał ją już powalić na ziemię, gdy nagle zaświtała jej zbawcza myśl i tracąc przytomność przeżegnała się znakiem krzyża.

I zrazu wszystko się odmieniło. Znikł rój tańczących dokoła i rozejrzała się ze zdumieniem. Stała na jakimś wielkim śmietnisku, a wokół niej piętrzyło się mnóstwo potłuczonych skorup. Była bosa i stąpanie po tych skorupach sprawiało jej ból. Wyczerpana do cna, usiadła na starej, zbutwiałej beczce i zapłakała. Miała uczucie, że wyszydzono ją ciężko i dotkliwie. Ponadto zdało się jej, że mimo wszystko zbudziła się z owego snu, co tak długo ją prześladował. Rozglądała się wokół, śmietnisko zalegało martwo przestwór pod mroźnym miesiącem. Gdzieniegdzie połyskiwały kałuże i mijając je widziała zesztywniałe cielska ropuch, co do połowy wychylały się z wody. Niebo nad jej głową skrzyło się gwiazdami i jak gdyby drgało, raz po raz spadała jakaś iskierka. Marija, już niemal oślepła od łez, nie zważała na te skorupy ani na poranione nogi. Dokoła panowała cisza, męcząca jakaś i napięta, jedynie w górze ponad nią wznosiła się fortalicja i słychać było chrobot skorup kruszących się pod nogami. Od czasu do czasu siadała, by odpocząć, i szeptała modlitwy. I pod wpływem tej nocy, księżyca, gwiazd, całego tego śmietniska poczuła się dziwnie osamotniona. Pomyślała sobie, że chyba już nie dobrnie do chaty, zresztą nie chciała do niej powracać, bo wszystko mogło się powtórzyć i znów mógł ją zagarnąć ten czerwony płomień. Ona zaś chciała już spokoju, teraz zwłaszcza, gdy brnęła przez to zapomniane śmietnisko. Szła więc i szła, a gdy sił jej zabrakło i upadła, nad głową jej zabłysła gwiazda i pojęła, że jest na ganku swojego domu.

Noc jeszcze nie dobiegła końca. Trwała głucha i bezmowna, je-

dynie zimny księżyc królował nad nią i śmiał się. I nie wiadomo czemu Mariję zabolał ten śmiech, jeszcze goręcej smagnęła jej serce tęsknota. W tym momencie usłyszała szmer i ujrzała znajomą postać. Coraz bardziej wsłuchiwała się w ogarniające ją z wolna odrętwienie, ten zasię myślał o swoim.

— Dlaczego odeszłaś ode mnie? — wykrztusił nareszcie.

Nic nie odpowiedziała. Wydawało się jej, że już nie istnieje. Księżyc oblewał jej twarz zamarzłym mlekiem i w owej poświacie przebłyskiwały jedynie jej oczy.

— Chcesz — powiedział — to będę cię odwiedzać jak dotąd? I już nigdzie cię nie zaprowadzę...

Poczuła się drzewem. Samotnym, nieruchomym drzewem, na które sączy się martwa poświata. Drzewo nie ma nóg i nie może się zerwać z miejsca, niczym kaleki ptak, co macha skrzydłami, ale już wzlecieć nie zdoła. Dlatego to trzepoce, szarpie się listowie, pień zaś wpatruje się w noc i zwołuje do siebie dzięcioły. Dzięcioły, które zdołają wbić dzioby w serce i wydłubać zeń okrutne czerwie, co je toczą...

— Ciężko mi bez ciebie — rzekł. — To moje przekleństwo, że muszę przychodzić do ciebie w cudzej powłoce, jednakże ta powłoka już zrosła się ze mną, im dłużej z tobą pozostaję, tym bardziej staję się tym, którego naprawdę kochasz i oczekujesz, ale przez to samo już jestem twój. Powiedz, czy ci nie dałem radości i szczęścia?

Stała się już drzewem niemal bez reszty. Wysokim i samotnym, do którego miast spodziewanych dzięciołów przyleciały kukułki. Kukułki, co zamiast wydłubywać z serca korniki, jęły rachować, ile temu sercu pozostało życia. Kukanie ich było monotonne i bezlitosne. Dlatego właśnie drzewo zapragnęło wzlecieć bodaj raz.

— Pomyśl nie tylko o sobie, ale i o tym, na którego czekasz. O tym, że i jego boli serce — i to już częściowo moje serce. Czyż nie kochałem cię tak jak nikt z ludzi? Czyż nie straciłem dla ciebie swojego dawnego wyglądu? Czyżby doprawdy tak wiele znaczyła dla was, ludzi, wasza dusza? Przecież i syna mamy!

Szumiała listowiem, a gdy ujrzała swojego syna, którego niósł Iwan na ręku, zachwiała się w ich kierunku. Jednakże drzewom sądzone jest stać w miejscu, przeto zakrzyczała za nimi każdą swoją gałązką i każdym pączkiem.

Iwan powrócił z wyprawy o świcie. Odziany był w bogaty strój karmazynowy i gdy przejeżdżał ulicą, sąsiedzi wylegli na niego popatrzeć. Wyszedł też ojciec Marii i Iwan chwacko zeskoczył

z konia. Poszli w stronę jego domu i po drodze ojciec opowiedział mu trzęsącym się starczym głosem o chorobie Marii i o tym, jak bardzo za nim usychała.

Weszli do zagrody i przystanęli. Drzwi i okna domu otwarte były na oścież i widać było, że w chacie hula wiatr. Na progu siedział kot, ale gdy ich zobaczył, spłoszony dał nura w krzaki. A kiedy weszli do sieni, to mało nie uderzył ich w oczy czarny kruk.

W białej izbie leżała umarła Marija z przytulonym do piersi, również nieżywym synem.

KREW NA ŚNIEGU

Niezwykły stan ducha ogarnął dziś Ilię Torskiego, ihumena hustyńskiego monasteru. Jechał otulony wilczurą, utrudzony koń nie drobił już, szedł jeno stępa i woźnica-mnich w zwalistym kożuchu podrzemywał na przodku sań. Nad głową kołysało się wyblakłe niebo i na tym niebie mroźnie świeciło słońce. Dookoła mieniła się i skrzyła rozległa zaśnieżona równina, mijane gaje też zasypane były śniegiem i wynurzały się z odległości niczym góry.

Serce Torskiego nurtował niewyraźny smutek; w głowie jeszcze tkwiły mu słowa zasłyszane od znajomków w Kijowie — jeszcze w pamięci mgliły się również ich twarze, kołysały się niczym to niebo nad głową, zda się, wycięte z cienkiego i miękkiego papieru. Pragnął przemyśleć owe ciężkie i niepomyślne dla kraju nowiny, o których twarze te mu opowiadały, nie potrafił jednak utrzymać przy sobie tych myśli ani tych twarzy — odpływały, jak gdyby zagarniała je ze sobą przejrzysta fala, po czym napływały na nowo. Trakt chrzęścił pod kopytami konia, łagodny i równomierny rytm tego chrzęstu kołysał Ilię.

Po drodze wstąpił był do zagrody ojcowskiej. Ojciec ihumena, siwy kozak, uścisnął syna i łza błysnęła mu w oku. Ilia obejrzał się. Ujrzał go tam, w głębi owej równiny, pod dalekim lasem, białego na białym tle, niczym wypranego z kolorów; stał na progu z kijaszkiem i w białym kożuchu, spoglądał za saniami — tak to było, gdy opuszczał ojcowską zagrodę.

— Ech, synu — rzekł stary na pożegnanie — czy jeszcze się zobaczymy na tym świecie? Niemłody już jestem i już odwiedza mnie biała pani!

Ilii zdawało się, że widzi tę białą panią — stała za plecami ojca w białej sukni ciągnącej się aż do ziemi i twarz też miała białą niczym baba śnieżna.

Tam, pode wsią, stały też śnieżne baby, trzy ich było, i rów-

nież patrzyły w ich stronę; ojciec sterczał na bezludnym trakcie i też był niczym wycięty z papieru. Ilia zapragnął raptownie zawrócić konie i spędzić jeszcze dzień z ojcem. Żeby mogli posiedzieć sobie w pustym domu i by tak, patrząc na siebie, odprawili swoje pożegnanie. Ilia Torski zapragnął dłuższego pożegnania z ojcem, bo właśnie w chwili, gdy spoglądał na te śnieżne baby i na ojca przy nich, zdał sobie raptem sprawę, że już się nigdy z nim nie spotka.

Trzy baby śnieżne wyszły za wieś i migotały czerwonymi oczyma; kobieta w białej szacie szła za ojcem wracającym do pustego domu. Pod krzyżem przydrożnym ojciec znów przystanął, przystanęła też przy nim kobieta; Ilia Torski aż oczy zmrużył, tak mu się zrobiło boleśnie.

— Nie żal mi, synu — posłyszał starczy głos ojcowski — żeś się omniszył, żal mi jeno, że nasz ród ginie, tyś bowiem mój ostatni!

Mówiąc to, twarz miał spokojną i nawet surową; Ilia przejął się tym rzeczywiście — łatwiej byłoby mu znieść ojcowskie gderanie niż takie słowa. A tu ogarnęła ich cisza, szara i puszysta, rozdzieliła w siwej ośmie: zmierzch wówczas opadał na ziemię, splatał modrobiałe pasma, stali się nagle niczym dwa kokony, mocno spowite własnymi rozmyślaniami. Ilia nie wiedział, co odpowiedzieć ojcu i jaki mógł być ze słów pożytek. Drzwi zaskrzypiały, oni zaś ani palcem nie kiwnęli na to skrzypnięcie: do izby wszedł kozak w czerwonym żupanie. Był przejrzysty jak widmo, bo też było to widmo. Usiadł przy nich i pogrążył się w milczeniu. Ilia kątem oka spozierał na kozaka: twarz miał podobną doń i do starego ojca, jeno był ten kozak bardziej smętny i posępny. Znów zaskrzypiały drzwi i posłyszeli szelest ciężkich szat kobiecych — do domu ich weszła urodziwa kobieta. Też była przejrzysta jak widmo, bo i była widmem: w milczeniu usiadła przy ojcu. Stary nawet nie podniósł głowy, nie podniósł też głowy i brat Ilii, ani ich matka, co również była przejrzysta jak dym i już dawno przy nich siedziała; Ilia niezdolen był wytrzymać tego napięcia, wstał, nieostrożnie potrącając zydel, który z łoskotem upadł na podłogę, aż pokiwały ze zgorszeniem głowami wszystkie te drogie cienie, co zapełniły dom. Ojciec nareszcie uniósł oczy: były modre. Wyblakły jak niebo zimowe i płonęły w nich ognie. Patrzył tak na syna i nie mogli oderwać od siebie oczu.

— Ojcowiznę naszą — rzekł ojciec spokojnie — obrócono w perzynę, obronić jej już nie możemy, aleśmy winni zostawić na niej swoje nasienie. Zapamiętaj tę moją ostatnią wolę...

Ihumen zęby zaciął. Znieść nie mógł takiej rozmowy, jednakże słowa te drążą go, odkąd wyjechał z rodzinnej zagrody.

— Hej, Mychajło! — zawołał do woźnicy. — Czy dowleczemy się dzisiaj?

— Konie zdrożone — mruknął mnich — ręki na nie podnieść nie mogę.

— A ty podnieś tę rękę, podnieś! — rzekł Ilia cierpko. — Bo inaczej nocować przyjdzie nam w lesie!...

Mychajło machnął biczyskiem i konie pobiegły raźniej. Dokoła słała się martwa pustka i jeno niewielki lasek po prawej ręce był niczym cudaczna galera — z pogruchotanymi masztami i podartymi żaglami.

— Hej, hej, co tu się działo, ojcze ihumenie — rzekł jednooki furtian przestępując z zimna z nogi na nogę, a jego jedyne oko łzawiło. — Wieś najechał cały czambuł tatarski. Kto zdążył do nas uciec, ten się uchował, a resztę albo wysiekli, albo w jasyr pognali. Ze wsi bodaj połowy ludzi się nie dopyta.

— Kiedy to się stało? — sposępniał ihumen, a woźnica pierś krzyżem naznaczył.

— Musi co przed tygodniem...

— „Przed tygodniem" — pomyślał Ilia i uderzyły nań zimne poty: toć przed tygodniem wyjechał z ojcowskiej zagrody.

— Zapędzali się i tutaj — opowiadał furtian, drobiąc po śniegu niczym ptak. Zabijał ręce, bo przemarzł do kości, mimo że był w kożuchu. Czarny, chuderlawy, z okiem zasnutym bielmem, a zdrowym załzawionym, zaczynał już drażnić ihumena. — Szyli do nas z łuków, ale na mury drapać się nie mieli ochoty... Łupnęliśmy do nich parę razy i na tym się skończyło.

— Idź do siebie! — rozkazał ihumen i woźnica ruszył konie.

Furtian przestał przytupywać, wsunął czerwone, niczym ugotowane, pięści w rękawy, skulił się kryjąc głowę w ramionach i podreptał do celi nad furtą. Obejrzał się jeszcze przed wejściem w drzwi, ale ihumen tego nie widział, bowiem modlił się w myśli. Na powitanie wybiegli jak czarne ptaki bracia z monasteru, wyszedł też ojciec Gerwazy, który go zastępował, i mnisi dopomogli zejść ihumenowi. Wciąż jeszcze poruszał ustami w modlitwie i jak gdyby nie widział posłusznej mu gromadki. Stary zwierz siedział mu w sercu i nieznacznie skrobał kudłatą łapką.

— Winszujemy, ojcze ihumenie, szczęśliwego powrotu! — schylił głowę ojciec Gerwazy. — Pewnieście sterani podróżą?

— Sterałem się! — rzekł Ilia, bo już zakończył modlitwę. Po-

patrzył na brać swoją zgromadzoną dokoła: twarze ich w mdłej poświacie były płaskie i szare. Patrzyli nań pustymi źrenicami, jak gdyby czegoś oczekiwali. Śnieg zalegał dziedziniec, wiły się jedynie wydeptane ścieżki. Ślady jego sań przecinały nietkniętą ponowę.

— Polećcie, ojcze Gerwazy — rzekł cicho ihumen — by oczyszczono dziedziniec ze śniegu. I jeszcze, ojcze Gerwazy... nie trudźcie mnie dzisiaj.

Rzucił okiem na horyzont okrojony murami monasteru. Gęsty zmierzch nadciągał już na dziedziniec i niemal strach przeniknął ihumena: zobaczył na wierzchołkach odległego lasu, na tle jakiegoś kudłatego świerka, bladą panią. Stała, kołysząc się z lekka, szata jej opadała w dół siwymi fałdami i roztaczała się szeroko podobnie jak ów mrok: nad lasem i nad monasterem przebiegło niespokojne tchnienie. W niebie zakwitł blady sierpek księżyca i tuż przy nim zapłąsała stunoga gwiazda. Przypomniał sobie wiersz, który przeczytał jeszcze w Kijowie, w kupionej świeżo książce arcybiskupa czernihowskiego: „Słońce i księżyc jako piłeczki są Boże. Ciska je w górę i tak świecą ludziom na świecie."

Udał się do swojej celi, a za nim dziarsko przytupywał ojciec Gerwazy.

— Nowin mamy takie mnóstwo, ojcze ihumenie...

— Jutro — rzekł Ilia Torski. — Wszystkie nowiny — jutro!

Mieszkał tu już od lat kilkunastu. W celi jego były dwie izby, w pierwszej stół i lipowe ławy, na stole kobierzec, ławy zaś obite były suknem; w drugiej miał sypialnię: łóżko, taburety, świeczka pod ikonami, która u niego nigdy nie gaśnie. Osunął się na kolana tak jak stał, nie rozbierając się, i poczuł, jak wielkie ogarnęło go znużenie. Mrok zawojował izbę, ciemnomodry i chłodny, obległ Ilię Torskiego niczym wrogowie twierdzę. „Zaiste" — zamruczał i powstał. Zrzucił ciężką szubę i wyjrzał przez prawie poczerniałe okno. Widać było podwórzec, na którym mnisi drewnianymi łopatami odgarniali śnieg. Nachylali się i prostowali, rzucali — ruchy mieli jednostajne, w przedziwnym rytmie. Śnieg lekko niebieszczał i czarne cienie na niebieskim tle przypominały Ilii jakieś osobliwe ptaki z jednym żółtym długaśnym skrzydłem. Machają tym skrzydłem — i pozostają na miejscu — osobliwa gra świateł. Nad nimi niebo, które dzień w dzień biegnie ze wschodu na zachód, a na nim słońce i księżyc; kuliste jest owo niebo i utworzone z żywiołów, kędy chodzi i mieni się jak zielona woda księżyc. Drugie niebo og-

nistej barwy, po którym już chodzi słońce, trzecie barwy niebieskiej i chodzą po nim gwiazdy, dalej zaś — Ilia jak gdyby czytał niewidzialną księgę — niebo empirejskie. Ściekało na nie zielone światło pierwszego nieba — gdzieś niby ćmy snują się po nim złe nocne duchy. Kallodemosy chodzą i pływają w tym świetle i smętnie spozierają sobie na dół.

Dreszcz przeszedł po ciele Ilii Torskiego, ihumena hustyńskiego. Niepokój i ból zapiekły, rozdrażnienie a zarazem bezsiła — wszystko to skrępowało go od stóp do głów pętami i powrozami; wydało mu się, że stamtąd, z głębi owego zielonego światła wysunęła się ręka czy zwierz dziwaczny o pięciu głowach. Owe długie palce z głowami na końcach przeszły przezeń i przeszyły go niczym pięć igieł opatrzonych pięcioma nitkami...

Potrząsnął głową usiłując się uwolnić od tego majaku. „Coś zaszło tu rzeczywiście — pomyślał sobie — jakieś nieszczęście!" Obrócił się, by jednak przywołać Gerwazego — przed sobą miał niemal całkowitą ciemność. Podszedł do stołu i skrzesał ognia. Przypalił trzaskę i troisty świecznik na jego stole zamrugał płomykami. Kudłate cienie jęły się ruszać po izbie, Ilia usiadł na ławie i przygarbił się.

W sieniach załomotało, zatupotały głośno przemarzłe na kość buty: szedł z drwami palacz Samijło. Zakaszlał ochryple za drzwiami, Ilia jak gdyby ujrzał go przez ich grubość: barczysty, kosmaty, z sążnistym naręczem przed sobą, z oszronioną brodą i z brwiami zwisającymi nad oczyma — dawał znać o sobie tym kaszlem, a że Ilia nie odpowiadał, zakołatał, jakby walił w gong.

— Wejdź! — przywołał go Ilia.

Leciutki zapach drew, mrozu, przemieszany z ciężkim odorem kożucha — Samijło stał we drzwiach jak widmo. Ilia się wzdrygnął: wydało mu się, że to jego ojciec stoi we drzwiach i patrzy spod krzaczastych brwi. Czarne światło sączyło się z tych oczu, zaś biała broda oblepiała twarz pomarszczoną, lecz jeszcze dość urodziwą.

— Chwała Jezusowi!

— Na wieki wieków! — odparł Ilia.

— Czy pozwolicie, ojcze ihumenie, napalić w piecu?

Ilia skinął i kudłata postać z owym potężnym naręczem cofnęła się na powrót do sieni. Drwa gruchnęły o ziemię — Samijło uderzył się kilkakrotnie rękoma pod pachami. Ilia wziął świecznik i stanął na progu.

— Roznieć sobie, Samijło, ogień ze świeczki — rzekł łagodnie. — A co, wielkie tu się stało nieszczęście?

— Wielkie, ojcze ihumenie — mruknął palacz. — Ani godzi się tego opowiadać przed nocą...

Wziął drzazgę i poszedł zapalić ją od świeczki. Żółty odblask padł mu na brodę i na krzaczaste brwi — Ilia o mało nie krzyknął: przed nim oko w oko stał jego ojciec.

„Bacz, jereju — czytał Ilia słowa z «Przestrogi» — byś nie był niezadowolony z tego, co jest; za każdym razem przetrząsaj swoje sumienie: zaliś nie zgrzeszył czymś przeciw przykazaniu? Najgorszym bowiem występkiem jest zaniedbanie przykazań ojcowskich, trwanie w krnąbrności i niespełnienie zadania, jakie ci przypadło. Za takie przewiny żałować winieneś skruszonym sercem i powziąć gorliwe starania, by je naprawić — spowiedź winieneś uczynić, iżeś zaniedbał tę sprawę, i kajać się masz z całej duszy. Zapamiętaj te słowa: nic w życiu swoim nie pozyskasz, jeźli nie zgłębisz i nie przyjmiesz do serca tej nauki..."

Ilia zamknął księgę: zimny pot wystąpił mu na czoło. Uderzył trzykrotnie pięścią w oprawę i oprzytomniał nieco. Rozpostarła się przed nim nić cienka i wyblakła w dalekiej godzinie jeszcze przed mniszymi ślubami: ujrzał pokrytą kwieciem łąkę, białą ścieżkę, rzeczkę modro wijącą się między wikliną; jeszcze jako młodzik bezwąsy przekrada się chyłkiem między trawami i wikliną, wspina po pniu starej wierzby, co się nad wodą pochyla, zwiesza się z tej wierzby i niemal dotykając wody patrzy w dal przed sobą. Był tedy wieczór, już i zmierzch płynął nad tonią i zaroślami, stąd też woda lekko dymiła i mieniła się ciemnogranatowym odblaskiem. Kępy wikliny wyokrąglały; zdawało się, że jakiś olbrzym przytoczył te kule i porozrzucał je dla zabawy. W tym modrym oparze i wśród porozrzucanych kul ujrzał kąpiące się dziewczęta: ich nagie i mokre ciała połyskiwały i jaśniały. Porozplatały sobie warkocze i swawoliły. Wydało mu się, że to rusałki sprawują swoje święto, a może były to rusałki; Ilia dygotał na pniu wierzby, jakby go febra trzęsła — strach go ogarnął wielki i niepojęty. Blady i wyczerpany, z drżącymi rękoma i na miękkich nogach, z trudem wydostał się z tych oparów i z owej rokiciny. Szedł chwiejąc się ścieżką przez łąkę, z tyłu gonił go śmiech dziewczęcy, on zaś stał się niby lunatyk: usta mu wyziębły, a oczy miał szczelnie zamknięte. Chwiał się jak podcięty chorobą, upadł na ziemię w zaroślach tarniny i poranił sobie dłonie, a kilka rumianych kropel upadło na zieloną murawę. Jaśniały w szmaragdzie jak płomyki czy kwiaty o czerwonych płatkach; twarz miał mokrą, bo płakał wówczas boleśnie.

Nikomu nie mógł powiedzieć o tym swoim występku, nie mógł wytłumaczyć, co się dzieje, rodzonemu ojcu, a nawet i bratu! Nikt mu nie współczuł i on sam też nie współczuł sobie. Ujrzał nad głową księżyc podobnego koloru, co ów kwiat przed oczyma, i na usta mu wybiegł nikły, znękany uśmiech.

Niedługo przedtem, jak miał zostać mnichem, raz jeszcze przeżył podobne uczucie. Obudził się na doświtku: spał bowiem na sianie w stodole, i wyszedł na dwór, zbudzony jakimś niewyraźnym zewem. Na wschodzie mżył pierwszy brzask, niebo już zbladło i leżało nade wsią znękane i półżywe. Odezwały się ptaki w ogrodzie, grube krople rosy leżały na trawie, gwiazdy białe jak jabłka dygotały w mroku. Był wówczas Wielki Czwartek, zwany tu Czystym, i może dlatego w zagrodzie sąsiedniej skrzypnęły drzwi. Ukazała się w nich naga kobieta. Zamarł, poczuwszy nagły dreszcz, i przylgnął do belek stodoły. Kobieta wyszła z miotłą i jęła omiatać chatę dookoła. Cicho szeleściła miotła, wielkie białe piersi podrygiwały między rękoma kobiety, odurzająco mignęła czerń podbrzusza: kobieta zbierała śmiecie w płachtę. Szła przez obejście, skąpana w niepewnym i migotliwym mżeniu poranka, szła przez ogród, pozostawiając za sobą błękitną smużkę otrząśniętej rosy, zamiatała bosymi piętami tę rosę, w jednej ręce miała miotłę, a w drugiej białą płachetkę. Ilia nie mógł patrzeć na to wszystko, szczękał zębami pod stodołą, a ciało jego drętwiało.

Kobieta wysypała śmiecie na cudze obejście i wracała do siebie tą błękitną ścieżką, była jeszcze całkiem młoda i ciało jej wyśpiewywało swoją urodę i ranek, co się tą urodą napawał. Ilia zaś krył się niczym przygłupek i nie mógł powstrzymać bezradnych łez. Zakołatał czołem o deskę raz, drugi i trzeci, i gdy zaśpiewały drzwi w sąsiedztwie i czarna ich paszcza połknęła świetliste ciało, bezwiednie padł na kolana i do słońca, co już z wolna zaczęło piąć się do góry, wydarł z siebie jedną ze swych najgorętszych modlitw.

Niebo rozkwitało bez pośpiechu, jak gdyby ściągnięto z niego koronkowy welon, gwiazdy pogasły i nie wiada gdzie przepadł blady księżyc. Wschód już mienił się czarodziejsko: nieśmiałym odbłyskiem paliła się chmura podobna do kobiecej kibici: niżej, tuż nad widnokręgiem zamigotało wielkie i jeszcze nie przyćmione świecidło niebieskie. Ilia spoglądał na tę chmurę i na to świecidło, niezdolen nawet poruszyć palcem: twarz miał już suchą, oczy jak gdyby obmyte w wodzie z przerębla, w ustach zaś utrzymywał się ostry smak kaliny. Wiedział, że los jego jest przesądzony, odmówiono mu tego, co każdy uważa za rzecz zwy-

czajną, przyszła nań pora porzucić zagrodę ojcowską i wziąć na ramię sakwę wędrowca...

„Daruj, ojcze — wyszeptał, wciąż jeszcze patrząc przez okno — że nie spełnię twojego nakazu. Bóg mi włożył to brzemię na barki i On nas rozsądzi!"

Przyśniło mu się, że cerkiew płonie. Przemożny płomień ogarnął ją od podwalin do kopuł i stała się niczym ogromne drzewo ogniste. Stał opodal przy innym drzewie, choć prawdziwym, jednakże uschniętym, i patrzył. Płomień bulgotał, chichotał, trzaskał, strzelał niczym kulami — ogniste strzały i skry ulatywały na boki. Z odległości w stronę ognia biegło troje całkiem małych dzieci, ich bose nożyny różowo migotały na śniegu, ciałka miały odziane w koszuliny z białego płótna, a ręce zaciśnięte w piąstki.

— Dziadku, dziadku! — wydzierał się jeden. — Zgaś ogień, zgaś!

— Niech się pali! — krzyczał drugi. — Patrz, jakie to wysokie-wysokie drzewo!

Trzeci, najstarszy, trącił go palcem, aż Ilia się zdumiał: takie miał poważne i dorosłe spojrzenie:

— A może pan powie, dobry panie, czemu to cerkwie się palą?

— Ogień ima się ich — odpowiedział Ilia samymi wargami — a może i grzechy nasze!

— To suchy płomień — wypowiedział chłopiec w zamyśleniu — a od takiego to rzeczywiście nie uchroni.

Stali na śniegu, trójka białych dzieci i on czarny. Śnieg topniał pod nóżkami dzieci, przestępowały z nogi na nogę, dwoje młodszych powsadzało palce do buzi.

— Uciekajcie, dzieci, do domu! — rzekł Ilia. — Nogi poodmrażacie!

Obróciły się ku niemu, wznosząc białe twarzyczki.

— Myśmy przyszły właśnie po to — rzekł najstarszy — żeby się ogrzać. Tam — ukazał gdzieś do tyłu, na czyste, zaśnieżone i bezkresne pole — tam było nam o wiele zimniej!

Ilia się obejrzał, naszedł go lęk niespodziewany: patrzyła pustka bezkresna — para oczu mglistych i lodowatych.

— U nas w monasterze cerkiew też tak płonęła — rzekł w zamyśleniu ihumen. — Właśnie takim gorzała, jak mówię, płomieniem...

— Czy dawno już tak się pali? — zapytał najstarszy chłopiec.

W oczach jego mieniły się czerwone błyski, a jego rączka, sina i zmarznięta, wskazywała tam, gdzie łoskotała, tańczyła, podskakiwała i wirowała gmatwanina płomieni, skręcając się w rozjarzone spiralne słupy.

Ilia spojrzał pod nogi. Na śniegu przytupywały, grzejąc się, trzy pary różowych nożyn i gdzie stąpnęły te nożyny, tam obsychała ziemia i zaczynały się wykluwać wątłe, nieśmiałe trawki. Miały barwę czerwoną, więc Ilia się wzdrygnął:

„Krew na śniegu — pomyślał. — Co to ma znaczyć?"

— Dziwny sen, ojcze, miałem dzisiaj — mówił ihumen rozczesując włosy. Od mycia na brodzie błękitniały mu krople, a na policzkach zjawiły się lekkie rumieńce. — Przyśniło mi się troje dzieci. Bardzo żaliły się i narzekały. Były w samych koszulkach i zakrwawiły śnieg bosymi nóżkami. I nie skarżyły się, ojcze, na zimno, lecz na to, że o nich zapomniano. I tak zdało mi się wówczas, że to, wybacz mi Panie, moje własne dzieci. Staliśmy pospołu w szczerym polu i niczym pomóc im nie mogłem. Chciałem podrzeć swoje szaty i owinąć im nóżki, ale odzienie stało się na mnie jak blaszane. Poraniłem ręce, lecz nie mogłem ich z siebie zedrzeć. To jakiś niewiarygodny sen, ojcze Gerwazy!

Ojciec Gerwazy miał głęboko osadzone oczy, a jego otyłe i białe ręce leżały jak nieżywe na czarnych kolanach.

— Może to te dzieci przyśniły się waszej wielebności — oświadczył ze spokojem.

— Jakie znów dzieci? — zdumiał się ihumen.

— A mieliśmy tu przygodę. Palacz Samijło przyniósł je tutaj. Wczoraj nie opowiedzieliśmy waszej wielebności wszystkiego...

Siedział na środku celi ciężki i zwalisty. Jego pokaźny brzuch podany był do przodu, siwe pasma sterczały na głowie we wsze strony, a pośrodku niej lśniła szeroka niby dłoń łysina. W głęboko osadzonych oczach świeciły ostre błyski, usta zaś zastygły nie rozchylone. Na ostatek poruszyły się i popłynęła z nich nieśpieszna miarowa opowieść.

Ilia Torski patrzył na swego zastępcę i nie widział go. Widział pole okryte śniegiem, zgoła takie jak i tamto we śnie, i samotne uschnięte drzewo pośród tego pola. Ujrzał też palacza Samijłę — siwego dziada, co tak przypominał jego ojca; szedł przez zaspy na przełaj, ojciec jego, Ilii Torskiego, wiatr rozwiewał mu nie osłonięte włosy — wszystek przestwór zaścielały siwe fale. Na ciele ojca przeświwywały dziurami stare łachmany, a zmierzał

on w stronę owego uschniętego drzewa. Spojrzenie Ilii również biegnie w stronę tego drzewa, ulatuje nad traktem, co kładzie się przed nim niczym namalowany w wielkiej księdze. Ślady kopyt i ciemnożółte plamy końskich jabłek; połamany wóz, a wokół niego śnieg poczerniały, tak go zbito. Palacz Samijło zatrzymał się przy wozie i rozejrzał się: nigdzie żywego ducha! Zionęła mroźna pustka, stygła mroźna cisza. Palacz Samijło poszedł dalej traktem, zaskrzypiały i zaśpiewały jego buty, ale po chwili znów ucichły: ujrzał na śniegu białą koszulkę. Leżała, rozpostarta, świecąc czerwonymi szlaczkami, jak gdyby zabito tu nie człowieka, lecz koszulę. Ilia posłyszał świst nahajek i krzyk kobiety: pęk włosów, wdeptany w śnieg kopytem, zamajaczył mu przed oczyma. Kobieta klęczała na śniegu: ręce wznosiła do góry, rwała włosy i biła głową o śnieg. Naga kobieta na pustym polu, gdzie wszystko umarło i spopielało; krzyk jej taki był wytężony, jęk taki palący! Śnieg wokół niej zdeptał myszaty koń, zabłysły drapieżne zęby, świsnął i zakołował czarnym ptakiem arkan; chlasnął, zacisnąwszy się, po nagich ramionach; krzyknął i zahałłakował rabuś; targnął kopytami śnieg i ziemię bachmat — pociągnął za sobą ślad czerwony.

Palacz Samijło szedł dalej traktem. Oglądał się za tą koszulą w czerwone wzorki, żegnał się i modlił. Już prawie dochodził do drzewa, ale do niego nie dotarł. Jak gdyby sparaliżowało mu nogi, ręce jego z chrzęstem zaciskały pięści, twarz skamieniała. Pomału wznosił prawą rękę poruszającą się z trudem — dźwigał ją, jak gdyby kilka pudów ważyła. Głowa mu się chyliła i wparł się brodą w piersi. Ręka tymczasem doszła do głowy, palce jak obcęgi zacisnęły się na futrze czapki, ściągnęły ją i zmięły: stał z pochyloną głową. Ilia znów się wzdrygnął: jakże dziwnie podobny był ten dziad do jego ojca! Jaka straszna udręka wyziera mu z twarzy, jak niewiarygodnie świecą jego oczy!...

Palacz Samijło patrzył na śnieg, na którym spało niewinnym snem troje jasnych dzieci. Dwoje było młodszych, a jedno starsze. Pozamykały oczy i twarzyczki ich były niczym wytoczone z białego kamienia. Wokół ich główek pałały trzy nad podziw koliste plamy i płomień ów był taki, że nie sposób nań było patrzeć.

Palacz Samijło ukląkł. Wyciągnął rękę, ale nie dotknął nią dzieci. Trwał tak, jak gdyby się modlił, jak gdyby składał osobliwe ślubowanie, po czym się rozejrzał. Twarz miał smutną, ale spokojną, spojrzeniem ogarniał strumień białego mroźnego światła: otaczało go nagie, bezkresne i spopielałe pole. Jego ręka znów wyciągnęła się ku dzieciom i był to ruch podobny do

tego, jakim sięgał po polano w drewutni. Podobnie, z nawyku, zgięła się lewa ręka, wziął te nadzwyczaj lekkie ciałka i ułożył je sobie po kolei.

Podniósł się z tym strasznym naręczem, zachwiał się jak pijany, po czym bez pośpiechu, noga za nogą, ruszył trafiając wciąż w swoje własne ślady. Zatrzymał się przy zakrwawionej koszuli i jeszcze raz się obejrzał. Tam, na śniegu, jaskrawo płonęły trzy czerwone kręgi. Aż oczy zmrużył: wydało mu się, że to zaczyna płonąć owo lodowate pole. Czerwone ogniska już lizały jego bezmiar i przeobrażały je w nagi kamień.

Palacz Samijło powoli szedł traktem. Na jego rękach leżały trzy przedziwne ciałka i jak gdyby uśmiechały się ledwie-ledwie zastygłymi usteczkami. Z tyłu za nim już buchał ogień. Czuł go za plecami, ale nie przyśpieszał kroku. Nogi jego z wolna płynęły nad drogą, oczy zaś spoglądały naprzód, gdzie ciemniał zasypany wołochatym śniegiem lasek i gdzie na wierzchołkach drzew unosiła się biała niewiasta w długiej szacie...

— Ziemia teraz taka twarda, że nie da się rozdłubać — rzekł Gerwazy. — Nikt nawet tłuc nie chciał. Pochowano je więc w kątku pustej celi. Tam, przy bramie...

— Pochowano wedle zwyczaju?

— Bogać tam, ojcze ihumenie! Taki to był moment, że nikt o zwyczaju nie myślał! Bo tam, we wsi...

— Co we wsi?

— Połowa ludzi poległa. Wygrzebaliśmy jaki taki dół, paląc ogniska i ledwieśmy wszystkich pomieścili.

— Czemużeście nie złożyli tam i dzieci?

— To już zdarzyło się później.

Ilia Torski odwrócił się gwałtownie od okna. Oczy mu płonęły, a usta drżały.

— Dlatego to nawiedzały mnie we śnie — rzekł ostro. — Życzę sobie, by je odkopano i pochowano wedle zwyczaju chrześcijańskiego...

Fale śniegu z wiatrem oprószały garstkę zgiętych czarnych postaci, brnących mozolnie przez falujący niczym morze przestwór dziedzińca. Zapadali w śnieg po kolana, choć dopiero wczoraj oczyszczono dziedziniec, starali się przeto iść gęsiego, jeden za drugim. Ilia szedł pierwszy, ostra zamieć cięła go w twarz, gęsto oblepiając mu brwi i brodę, a gdy od czasu do czasu spozierał przed siebie, nie widział spod oblepionych śniegiem powiek świata, co mienił się barwami tęczy, a wtedy z kącika oczu staczała się, żłobiąc bruzdę, siwa łza. Za nim postępował jeromonach

Gerwazy, ciężko człapiąc w ślady ihumena swoimi pudowymi buciskami. Śladem ojca Gerwazego kroczył nie mniej potężny palacz Samijło z łopatą pod pachą, a za nim również z łopatą dreptał mniszek cienkonogi jak kurka i blady podobnie jak ten śnieg. Wiatr wznosił białe kłęby, kręcił nimi nad głowami, jak gdyby chciał nabrać rozpędu, nim praśnie nimi w tych przygarbionych ludzi, by powstrzymać ich nieporadny i taki zwolniony marsz naprzód, po czym zasypać ich, jak niedawno zasypał w odległej wsi trójkę ustawionych na polu śniegowych bałwanów. Plecy ludzi już pobielały, białe były też czapki, twarze i buty, jeszcze trochę, a przestaną się poruszać i zatrzymają się świecąc w przestwór czerwonymi oczyma i czarnymi wargami — miłe i raźne zajęcie mieć będzie Pochwist-Zawieruszko! Jednakże szli nadal, parli naprzód zziębniętymi kończynami, nadal wznosili zaprószone twarze i Zawierucha już poczęła się sierdzić na ich daremny i niedorzeczny upór.

Zaskrzypiały drzwi, jak gdyby ktoś rozdarł cienką blachę i na dziedziniec wybiegł jednooki furtian. Stał, ze zdziwieniem rozdziawiając usta — jedyny czarny pośród białych i kosmatych.

— Otwórz tę boczną celę! — polecił mu ihumen, ledwie poruszając zdębiałymi wargami.

Furtian poskoczył do niskich drzwiczek niczym kruk z przetrąconą nogą i jął dygocącymi palcami wtykać klucz w dziurkę wielkiej ośnieżonej kłódki. Ręce jego na tle bieli i czerni żelastwa były przedziwnie różowe, śpieszyły się i stąd trzęsły się jeszcze bardziej; za plecami jego przytupywały, rozgrzewając się, kosmate postacie; furtian oglądał się raz po raz i uśmiechał przepraszająco. Jego różowe ręce ani rusz nie mogły się uporać z kluczem; ucieszyła się Zawierucha, że ci ludzie jednak stanęli w miejscu, jęła przeto co sił walić w nich zaciekłymi kłębami; pierwszy nie wytrzymał palacz Samijło: wysunął rękę i odgarnął z drogi furtiana. Ten, stropiony, zamrugał oczyma, na niego bowiem też już napadało dość śniegu i pośród tych kosmatych skosmaciał sam i równie jak oni przytupywał.

Palacz Samijło zdjął kłódkę i drzwi głośno zaśpiewały. Powiało wilgotną ziemią i zaduchem; jedna po drugiej wchodziły do celi nachylone kudłate postacie.

— To tutaj! — rzekł Samijło wyciągając dłoń ciężką i sękatą.

Znieruchomieli w mroku; nad ich głowami majaczyło małe okienko zaciągnięte wołowym pęcherzem, śnieg bębnił o ten pęcherz, jak gdyby gdzieś daleko bito w kotły; przez otwarte drzwi wdzierały się płaty śniegu, jak gdyby i tutaj chciała ich dosięgnąć Zawierucha; jaśniał, aż płonął sześciokątny prześwit za ich

plecami. Na rzęsach tych przemarzniętych ludzi powoli tajał śnieg, ściekał na policzki i zdawało się, że wszyscy tutaj płaczą osobliwie. Palacz Samijło spojrzał na ihumena, jak gdyby chciał coś rzec, ów zaś nie wytrzymał otwartego, pytającego spojrzenia. Skinął i z wysiłkiem otwarł usta:

— Zaczynajcie!

Wicher znów chlusnął w głąb celi siwym powrósłem, smagnął nim po plecach furtiana, który się obejrzał.

— Jak tak wiać będzie — rzekł trochę od rzeczy — to jutro świata Bożego nie ujrzymy..

Dwie łopaty miękko weszły w grunt przebijając zamarzłą skorupę i ostrożnie odłożyły na bok po kupce ziemi.

Leżały na rozesłanej rogóżce, jak gdyby spały — troje mlecznojasnych dzieci: dwoje maleńkich i jedno starsze. Zamknęły oczy i twarze ich były jak utoczone z białego kamienia. Palacz Samijło ukląkł przy nich i zmiatał dłonią z ich czysto białych koszulek ciemne grudki ziemi.

— Tak je znalazłem, ojcze ihumenie — rzekł stłumionym głosem. — Krew ich tak świeciła na śniegu... leżały jak te aniołeczki...

Uderzył nagle czołem o ziemię, potrącając szarą rogożę, uderzył po raz drugi i trzeci. Wówczas zwrócił się do Ilii, twarz miał zaprószoną, ziemia przylgnęła mu do brody i brwi, oczy zaś zapłonęły dziko i błędnie. I ugięły się kolana Ilii Torskiego, ihumena hustyńskiego monasteru, i ukląkł obok palacza Samijły. Reszta mnichów też niezgrabnie padła na kolana.

— Pomódlmy się za ich dusze — rzekł Ilia.

Pochylili głowy. Zawierucha przybrała na sile i znów cisnęła do nich długie śniegowe powrósło, śnieg padł na ich pochylone karki i głowy i jeno się obejrzał i wyszczerzył do tej wichury po błazeńsku krzywą gębę.

Ilia Torski już wstał. Twarz miał poważną.

— Zrobisz im trumny, Samijło — rzekł możliwie serdecznie i nagle położył na ramieniu palacza białą, wypieszczoną rękę — z czarnego dębu, Samijło, i pokryjesz pozłotą.

Nad głową znów zakołatała w wołowy pęcherz Zawierucha — zabębniły dalekie kotły, jak gdyby gdzieś tam wojsko zbierało się na wyprawę. Przed nimi szli litaurzyści, trębacz, baba-wróżbitka i śpiewak, a za nimi, niczym mak kwitnący — rycerstwo zaporoskie. Pląsał na białym koniu na czele tego rycerstwa czarnowąsy pułkownik, wielce podobny do Ilii Torskiego — Ilia rozpoznał go od razu. Jednakże twarz miał również wytoczoną

z białego kamienia i takie ogromne, czarne źrenice miał ten kozak! Furkotał płaszcz na jego ramionach i on sam na purpurowofioletowym tle, wyciągając dłoń, jak gdyby wzywał dokądś. Fioletowym traktem szło niezliczone wojsko i w rytmie ich marsza przygrywał i grzmiał chłodny i suchy werbel.

— Ja, bracia — przemówił z cicha Ilia Torski — jeździłem do Kijowa, a stamtąd udałem się do jego wielmożności. Pieniądze na cerkiew, bracia moi, przywiozłem, i jak śniegi ustąpią, skrzykniemy do siebie majstrów. Zamówimy sarkofagi z kamienia i złożymy te dzieci pod ołtarzem. Możecie przyjrzeć się im uważniej, bracia moi — do ich ducha godzi się pomodlić...

Ucichł, a mnisi popatrzyli na dzieci. Leżały na czarnej ziemi jasnobiałe i czyste. Od twarzy ich biła blada poświata, pogodna i przejrzysta.

— Godziłoby się zapisać je w poczet świętych — ochryple ozwał się z kąta ojciec Gerwazy.

— Już je zapisano — odparł Ilia namiętnie i skinął dłonią. — Jest to krew wołająca, krew, o której ludziom nie wolno zapomnieć!

Spojrzał w oślepiająco biały prześwit i ujrzał tam, daleko, na srebrnobiałym tle, trzy śnieżne baby, co wyszły za wieś i spoglądały czerwonymi oczyma. Na opustoszałej drodze stał ojciec, niczym wycięty z papieru. Kołysał się i rozpływał, blady i wypłowiały, w białym kożuchu i z białą laską. Patrzył i kiwał głową. Wówczas Ilia Torski znów uderzył czołem o ziemię...

Dzieci leżały w jasnoszarym zmierzchu i jaśniały. Pięciu czarnych dorosłych ludzi klęczało przed nimi, uroczyście wznosząc dłonie i znacząc się krzyżem na piersi. Przymknęło oczy owych pięciu i niedostrzegalnie poruszali wargami. Każdy z nich miał się na co użalić i o co prosić, bowiem wszyscy byli na tej ziemi i grzeszni, i śmiertelni.

SZEWC

Zimno w domu i na sercu zimno. Pomyślał sobie: „Ćwieczków zabrakło, i szczap brzozowych też nie mam." Pomyślał też, że na dworze siąpi deszczyk, drobniuteńki, utykający i przenikliwy. Stąd też zimno mu i na sercu; zerknął — na ławie porozsiadało się dziewięcioro jego dusz, a pośród nich Maryjka — pięciolatka, którą kochał najbardziej, a w kącie na ścianie podrzemuje sobie święty Mykoła.

Szewc patrzy na nich wszystkich przez przymrużone powieki, odmierza sobie w myśli drogę do lasu, bo do lasu jednakże pójść musi. Zetnie brzozę, bodaj ukradkiem, w taki deszcz właśnie iść będzie najpewniej — będzie miał i na ćwieczki, i chałupę sobie ogrzeje nieco, by mu tych dziewięcioro dusz nie marzło i nie drzemał tak czujnie Mykoła. Naciąga świtkę, co pije go w wątłe ramiona, aż z trudem oddycha. „A bo to nie duszno w chacie?" — myśli sobie zapominając, że dzieci na ławie szczękają zębami — wychodzi z zatkniętą za pas siekierą.

Wionie nań szary deszczyk, zacina go w oczy, otula go w siwą świtkę dnia, co jego świtkę oblega jak dodatkowy ładunek. Przed nim wszakże piętrzy się las, a tam dalej droga, podmokła i cała w kałużach. Gajowy śpi zapewne, myśli sobie szewc, bo i mnie cały ranek spać się chciało. Wiadomo, żeby nie mus i nie ten krzyk — krzyczało dziewięcioro dusz, głodne pisklęta, co dzióbki otwierają — nie wytknąłby nosa z domu. Prawda, że już do tych dzióbków natkało się jakiej takiej strawy — krzyczały jak wrony w dzień zimowy, kiedy tym wronom zimno i markotnie. Nie mógł więc i on uleżeć, nie potrafił; rzekł mu wówczas Mykoła: „Pójdź i zetnij brzozę!" „Przecieżem sam myślał o tym — przypomniał sobie szewc — no to idę ścinać tę brzozę."

Ale dlaczego ma takie miękkie i nijakie serce? Tak mozolnie poruszają się w głowie myśli. Rozważył: nie, dość już głowić się

nad tym; tam jest las, trzeba wyjąć siekierę — białe witki spadają wprost z nieba; zda się, że to one strząsają deszcz; białe cienie, tęskne przypomnienie o czymś pozostawionym w dali; ono też jest plamą, mroźnie białą, podobnie jak te witki.

Wyjął więc siekierę i ciachnął. Gradem posypały się nań krople, jak gdyby zapłakało nad nim niebo i sama brzoza. Jednakże na nic nie zważał, bił i ciachał, chociaż czuł, że ktoś patrzy. „A niechta, tak czy owak zacząłem" — myślał szewc cały mokry — sam nie wiedział, czy kąpie się we łzach brzozowych, czy we własnym pocie.

Ale dokoła było pusto. Ujrzał to, kiedy brzoza padła. Siąpił deszczyk, otrząsało się niebo drżące i zziębnięte, a w górze miarowo krakała wrona. Podważył tę brzozę i zarzucił sobie pień na ramiona. Zaszeleściły nad nim gałązki, jak gdyby zasyczała żmija, ale się nie obrócił.

Wówczas to wyszedł z lasu zły duch. Zresztą, szewc nie rozeznał się do końca, czy był to zły duch, czy gajowy, ale toto usiadło mu na brzozie i szewc spocił się ciągnąc to przez pole. Deszcz siąpił, jednak obaj zdawali się nie zwracać na to uwagi — szewc ciągnął, a gajowy jechał na brzozie.

— No cóż, wyciąłeś ją — rzekł gajowy — to jak się będziemy rachować?

— Brzoza była uschnięta — szewc na to — toć nie było przestępstwa.

— Tak czy owak, ściąłeś ją za darmo — odparł gajowy.

Wówczas szewc rozeźlił się do reszty.

— Hej tam, panie — zawołał gniewnie — mnie i tak trudno ciągnąć, a pan się jeszcze dosiadł, żebym i jego ciągnął?

Gajowy się roześmiał.

— Chcesz, żebym cię wsadził?

Szewc ciągnął drzewo, aż pot wystąpił mu na czoło i pod pachami, już mu do głowy nie szło, co mówi ten gajowy — też mi się pan znalazł, co rozsiadł się na brzozie.

— Dokąd ma mnie pan wsadzić? — zwrócił się w stronę gajowego.

— A do kanciapy — rzekł najspokojniej gajowy. — A bo to nie wiesz za co, he, he?

— A moich dziewięcioro dusz? — Szewc nie posiadał się ze złości. — Będziesz je za mnie utrzymywał?

— Co mnie to obchodzi? — Gajowy ziewnął. — Moja rzecz to cię wsadzić, a już ty sam kłopocz się o swoje dusze.

Szewc ciągnął drzewo, pan jednak najwidoczniej zleźć nie zamierzał.

— Chce pan czegoś ode mnie — rzekł szewc po chwili milczenia. — Czego?

— He, he — niezbyt głośno roześmiał się gajowy. — Domyślny jesteś. Chcę, żebyś podpisał duchament.

Szewc przystanął. Deszcz padał na nich i czy z tego powodu, czy też ze spocenia, był na wskroś przemoknięty. Mokro mu było nawet w nogi.

— Na siebie? — zapytał zwracając się z ukosa do gajowego.

— He — gajowy już pykał z fajeczki — dlaczego na ciebie? I na twoich dziewięć dusz, to dla mnie łakotka.

Szewc po raz drugi zadał sobie drzewo na plecy, gajowy nawet mu dopomógł, po czym znów wskoczył na brzozę.

— Zejdźże no pan, nie mam już siły ciągnąć! — wytchnął szewc, ale pociągnął.

— Ale ja czekam na twoją odpowiedź!

Szewc długo milczał, długo ciągnął brzozę, już ukazało się miasteczko, już i ludzie się pojawili, a brzoza zrobiła się ciężka jak głaz. Wówczas szewc stanął. Pot ściekał mu za uszami i na oczy, jednakże wciąż spozierał na owego gajowego: bezbarwna, pucułowata fizjonomia, szare, podpuchnięte oczka, szare opięte odzienie, a zamiast trzewików...

Wzdrygnął się i odwrócił oczy — tego spodziewał się i nie spodziewał. „Zły duch jednakże" — pomyślał melancholijnie, ale ze spokojem.

Gajowy przebierał racicami, ogarniało go zniecierpliwienie.

— Aleś ty w gorącej wodzie kąpany — mruknął szewc przypatrując mu się uważniej. — No, niech będzie po twojemu!

— A ja ci dam jeszcze pieniędzy — rzekł gajowy — i przez rok cały nie zaznasz niedostatku.

Szewc spojrzał na gajowego i mignął mu w oczach leciutki błysk przebiegłości.

— Powiadasz, że dasz pieniądze?

— A dam!

— No, skoro pieniądze, to jeszcze nie tak źle!

Gajowy wysunął wielkie białe zęby, a szewc mrugnął do niego. Gajowy mrugnął do szewca i wyciągnął papier. Papier był biały i czysty jak zęby gajowego. Szewc westchnął, pokręcił szyją, jak gdyby wyzwalając się z uwierającego kołnierza, i wziął niezręcznymi palcami ów papier w ręce.

Gajowy zabrał papier, złożył go we czworo i wetknął do kieszeni. I zgoła nie miał racic — takie sobie buty. Pożegnał się też jak ludzie.

— Za rok przyjdę po ciebie, żebyś mi się nie wypierał.

Szewc się roześmiał. Gajowy pokazał znów zęby i mrugnęli do siebie. W kieszeni szewca leżały pieniądze, brzoza też była jego.

— To do zobaczenia! — rzekł wesoło i ów gajowy z miejsca przestał go obchodzić. „Niech go piorun trzaśnie! — pomyślał szewc. — Ja jeszcze muszę dowlec tę brzozę!"

Przypomniał sobie nagle Mykołę, który miał smętne i zamyślone oblicze. W wesołym domu, zadecydował, i tobie będzie weselej! Bo jakaż to radość w pustej i zimnej chałupinie?

I deszcz ustał od razu. I szewcowi do reszty zrobiło się lekko na sercu. I pot już tak nie spływał — ten nicpoń cięższy był od samej brzozy.

Tam jest miasteczko, a pod domem żona. Wokół niej wszystkich ośmioro dziatek, jak groch przy drodze: mały, mniejszy i jeszcze mniejszy — rzeczywiście jak ten groch! Obejrzał się. Gajowego już nie było ani śladu, jeno brzoza ciągnęła się jak sucha miotła.

Kobieta szła mu już na pomoc, za nią posypały się jak groch wszystkie dzieci i między nimi Maryjka. Jakie to ładne dziecko: buźka biała, ciepła, miękka, włosy ciemne, miękkie, a oczy ma niczym źródełka. Woła coś, czy też wszystkie naraz wołają? Oho, co za pomoc!

— Co za pomoc! — mówi do żony. — A ja mam dla duszy pociechę.

Żona patrzy nań okrągłymi oczyma: nic nie rozumie.

— Hę?

— Powiadam, że mi raźnie na duszy!

— A cóżeś zrobił?

— Co zrobiłem? Podpisałem się gajowemu, a ten mi jeszcze pieniędzy dodał...

Żona spogląda na niego, a on na nią. I dzieci za nią jak wachlarz.

— Coś ja nic z tego nie pojmuję — rzekła kobieta, a on zapatrzył się na swoją Maryjkę: czysta i biała. I miękka.

— A, co tu gadać? — powiedział. — Próżne gadanie. Zapisałem się, a ten mi dał pieniędzy. Teraz jestem jego!

— To dobrze — uśmiechnęła się wreszcie żona. — Pójdziemy i odrobimy. Wszyscy pójdziemy.

Stał oszołomiony na środku drogi ze swoją brzozą. Naprzeciw niego żona, a za nią dzieciarnia, niczym te kurczęta na wygonie.

— Ech, nie — rzekł marszcząc brwi. — Nie będziemy odrabiać, nic nie będziemy!

Powiedział to i poczuł żal. Nieznaczny jeszcze, ale dotkliwy...

Ciągnęli brzozę już wszyscy pospołu, on z żoną na przedzie, a z tyłu uchwyciły się gałęzi dzieci. I dziwne to było zjawisko, równie przedziwne jak drzewo: oni jako pień, a dzieci — gałązki. Bo też rzeczywiście byli drzewem, rośli z jednego korzenia, a te gałązki już wybujały wysoko — takie białe i czyste — i wyciągają się do nieba, co jest wysokie i modre. „To moje drzewo — myślał z dumą szewc ciągnąc brzozę. — Dobrze jest mieć takie właśnie drzewo. A kiedy brzęczą grosze w kieszeni! Jej, jej, jej! Boże mój! Jaka to uciecha mieć takie drzewo i kiedy brzęczą pieniądze!"

Gdy weszli do chaty, ujrzeli Mykołę. Był smutny i zamyślony, aż szewc stropił się nieco. Przeżegnał się, a za nim żona i dzieci. Ale Mykoła był smutny, nawet nie spoglądał na nich. Wówczas szewc nachylił się do Maryjki (taka była czysta i delikatna) i szepnął do niej, by porozmawiała z Mykołą. Przeżegnali się znów i wyszli.

Szewc wziął siekierę i jął ociosywać gałęzie. Dzieci biegały z patykami po podwórzu tnąc się nawzajem po łydkach i śmiejąc się wesoło, jemu zaś robiło się coraz smutniej. Wiedział, dlaczego: czekał na Maryjkę. Powinna była wyjść i coś powiedzieć. Tak sobie ciachał siekierą, a żal jego stawał się wielki i biały niczym zima lub rzeka pod lodem. Zrobiło mu się żal nawet drzewa, co z tego, że uschło, ale gałęzie jego już nie będą piąć się do nieba i już nie pocałuje go wiatr. Ale myślał o tym niewiele — może tylko tak na pół myśli — aż wybiegał tam, za drzwi, gdzie pozostała Maryjka: nigdy, na ile widział, Mykoła nie był taki zafrasowany.

Wreszcie skrzypnęły drzwi i na progu stanęła Maryjka. Twarz miała bladą, a oczy takie czyste, że uronił łzę. Zauważył, że żona też przerwała krzątaninę, a wszystkie dzieci uciszyły się i umilkły. Podeszły do ganku i on też podszedł, a Maryjka ledwie poruszyła wargami:

— Powiedział, że jak tato będą szyć buty, a tamten przyjdzie, to żeby nie wstawał ze stołka. Dopóki nie powie...

Jego Maryjka ma już sześć latek, a on siedzi i szyje buty. Wieczór jest długi i ciemny, bo dzisiaj nabrało mu się w sercu jakiegoś szarego popiołu i ten popiół rozproszył się i ubrudził go. Buty szyły mu się opornie, myśli krążyły gdzieś daleko, niekiedy spoglądał przez okno, które było czarne i martwe. Bał się czegoś, jak gdyby do serca wcisnął się nieznaczny, cieniusieńki robaczek i pił je, wysysał. „Ależ nie — pomyślał szewc — chyba

muszę być niezdrów. Jednakże nie był chory, o czym wiedział, tylko tak udawał przed sobą, bo to czarne okno, ten długi wieczór i te dzieci, co tak niebywale cicho przycupnęły na ławie, i ten smutny Mykoła!...

— Hej, czemu tak wszyscy ucichli?

Ale nikt mu nie odpowiedział, jak gdyby nikogo nie było w chacie.

— To dlatego — posłyszał znajomy głos — że ja przyszedłem.

— Aha! — oprzytomniał szewc. — Przyszedłeś jednak.

— Szykuj się — rzekł tamten — bo czas nam już w drogę.

Szewc siedział na swoim stołku splecionym ze skórzanych pasków i nic nie mówił. Ostrzył jedynie nóż, by obciąć skórę.

— No to co?

— Ano nic — odparł wreszcie szewc. — Muszę skończyć te buty. Z tego przecie żyję, a ty patrz, ile ich mam, muszę mieć i na drogę.

— He, he — rzekł tamten — na drogę nie potrzebujesz. Taka kareta ci tutaj podjedzie, że ha, ha!

Ale szewc nie patrzył nań, nawet nie chciał patrzeć, czy jest w mundurze gajowego, czy we własnym.

Po czym odezwał się Mykoła, co tkwił dotąd milcząco w kąciku:

— Jak wstanie, to niech posadzi tamtego na swoim miejscu i zaklnie go.

Szewc zwrócił się w stronę Mykoły, który patrzył nań ze współczuciem. Wtedy to ujrzał Maryjkę idącą przekazać mu słowa Mykoły, dziewczynka uśmiechała się smętnym, bladawym uśmiechem. Pośrodku izby stał gajowy, na ławie siedziała żona, a dokoła niej jak pisklęta przycupnęła dziatwa. Szewc nachylił się po buty, które szył, i długo przy nich majstrował. Wyporządzał, czyścił, szył — a za jego plecami stała Maryjka, która już powiedziała to, co i on dosłyszał, i nie chciała odchodzić. Ławka była zajęta, szewski zydel — pod gospodarzem, gajowy więc przestępował z nogi na nogę.

— Widzę, że pan zmęczony — powiedział szewc patrząc z ukosa na nieproszonego gościa.

— Ano zmachałem się — rzekł gajowy — a co ty myślisz, że to mało zachodu tak biegać za wami? A czy mnie łatwo zarobić na chleb?

— A po co go pan ma zarabiać? — spytał szewc, lecz gajowy jął sapać ze złości. — Jak się uporam, to pan spocznie na moim. Już niedługo!

Stukał i stukał, a to stukanie aż waliło w głowę i odbijało się

od martwych czarnych okien. „Jak to trudno będzie wyjść — myślał szewc — w tę czarną głuszę, w tę czarną noc. Ale niechta!"

Przybijał obcas, po czym oczyszczał go pilnikiem, a pilnik jeździł mu po sercu, bo nie wiedział, czym się to wszystko skończy.

— Będę się szykować — powiedział szewc wstając i strząsając z fartucha ścinki skóry — możesz odpocząć.

Ujrzał, jak zły duch klapnął na jego stołek i z trudem wytchnął powietrze. Wówczas szewc włożył białą koszulę i nowe portki.

— Wstawaj pan — rzekł — idziemy.

Zobaczył utrudzoną, i w tym momencie jak gdyby ściągniętą, twarz gajowego, który siedział i ciężko dyszał.

— Wstawaj pan, mówię, jestem gotów!

— Rad bym wstać — z trudem łapiąc oddech wymówił gajowy — ale zostałem przybity. To twoje sztuczki?

— Jakie tam sztuczki — mruknął szewc. — Wstawaj, bo nie pójdę.

— Co ty masz do mnie? — wrzasnął gajowy wytrzeszczając oczy.

— A co mam mieć? — odparł szewc pojednawczo. — Czy ja cię wzywałem do siebie? Czy to ja się czepiałem?

— Taką mam służbę — rzekł zły duch. — Ty szyjesz buty, a ja to robię.

Gajowemu pot już wystąpił na czoło.

— Ciężko mi — wyjęczał. — I siedzieć ciężko, i wstać nie sposób!

— Ja cię o te pieniądze nie prosiłem — rzekł szewc. — Sam mi je wetknąłeś.

Gajowy już łapał kurczowo powietrze. Otwarł usta i był jak ryba na piasku. Szewc stał na środku izby w białej koszuli i nowych portkach i twarz mu spoważniała.

— A która to godzina? — spytał gajowy z niepokojem.

— Rychło już kur zapieje — odparła z ławy szewcowa.

Wówczas gajowy wpadł w popłoch.

— Puść mnie — jął prosić szewca.

— Ja się ciebie nie czepiałem — szewc ciągnął swoje. — Sam zaczepiłeś.

— Ale na mnie już czas! — zakrzyczał gajowy. — Nie mogę już tu siedzieć!

— Posłałem po jegomości — mówił szewc niewzruszenie. — Przyjdzie tu i weźmie cię na spytki. O wszystko wypyta!

Noc nadeszła. Wszyscy raptem zauważyli, że jest noc. Na stole u szewca paliła się świeczka, przy Mykole kaganek, a gajowy

też trzymał w ręku świeczkę, która Bóg wie skąd się tu wzięła; z tego powodu w izbie ożyły długie i płaskie cienie, które jęły poruszać się po kątach. Z okna kapał czarny mrok, na ławie siedziała żona i dzieci, oczy mieli szeroko otwarte ze zdumienia, a może to lęk je ogarnął? Przy szewcu wystrojonym w białą koszulę (jak dziwnie teraz jaśniała) stała Maryjka, uchwyciła się gruzłowatej ręki ojcowskiej i wyzierała spoza tej ręki. Na stołku męczył się zły duch, oblicze mu ściemniało, a na usta wybiegła piana. Patrzył na nich przymglonym spojrzeniem i wargi mu się poruszały — błagał o coś. Oni jednak byli niemi i chłodni, bo niema i chłodna była izba, jeno cienie w niej miotały się jak żywe.

— Ano, synu — rzekł szewc do swego średniego — zadzwoń mu nieco.

Syn pomknął do sieni, chociaż bał się trochę, przynajmniej zawahał się przed progiem, po czym zadyndolił z sieni dzwonkiem.

— Puść mnie! — wyjęczał gajowy.

— Słyszysz? — szewc się wsłuchał, a syn znów zadyndolił. — Dzwoni!

— Chcę z tobą porozmawiać — rzekł gajowy.

— To i mów — odparł szewc obojętnie. Poczuł się całkiem smętnie w tym mroku.

— Widzę, że miejsce masz zaczarowane.

— Mam — rzekł szewc. — To z tej mojej troski o pisklęta.

— No to rozejdźmy się po dobroci.

— Ano rozejdźmy się.

— Zwróć mi te pieniądze i znać cię nie chcę.

Szewc milczał.

— Zwróć mi pieniądze!

— A skąd ja je u licha wezmę?! — krzyknął szewc gwałtownie. — Czy nie widzisz, ile mam tego drobiazgu?

Gajowy dyszał z wysiłkiem. Złapał ręką za szydło wetknięte w warsztat i złamał je. Wówczas znów zadyndoliło w sieni i zastygli wsłuchani.

— Zapłacisz mi za szydło — rzekł szewc. — Jestem człowiek ubogi.

— A ja to niby bogaty?

— A tyżeś bogaty.

— Nie mogę ci płacić za psi swąd.

— No to siedź!

— Zgoda — poddał się wreszcie gajowy. — Podpisz jeszcze jeden duchament. Dam ci na cały rok pieniędzy.

— Starczy ci tego jednego — rzekł szewc. — Zgubiłeś go może?

— Nie zgubiłem — odparł gajowy wyjmując pieniądze z kieszeni. — Tego się gubić nie godzi...

I nagle zamigały cienie w izbie, kogut zapiał raźnie i donośnie, zamigotały świeczki, rozgorzały i rozświeciły izbę wielkim, upiornym blaskiem, rozbiła się szyba, szkło zabrzęczało, bardzo głośno zadźwięczał dzwonek w sieni, powiał po izbie wiatr, rozwiał szewcowi włosy i odzienie, zamigotał kaganek przy Mykole, a świeczki pogasły — w ciemności tliły się jeno rozżarzone knoty. Majtnął czarny chwost, jak gdyby ptak wylatywał, dzwonek w sieniach dzwonił i dzwonił, płakały dzieci na ławie, toczyły się łzy żony; Maryjka zacisnęła twarz w dłoniach, a Mykoła spoglądał nieruchomo i bez wyrazu, i trudno było się połapać, czy się gorszy, czy pociesza. Szewc stał w ciemności, nienaturalnie wyprostowany, oczy jego patrzyły pewnie, ale i ze smutkiem, a wargi drżały.

— Wszyscyście to widzieli — powiedział. — Mykoła był temu świadkiem. Wszyscyście to widzieli. Myślałem o was! Nie miałem sił was oglądać o głodzie i chłodzie.

Było to chyba jesienią. „Jesień — powiedziała Maryjka. — Pilnuj się, tatko!"

— A bo co? — szewc na to. — Ani czasu nie mam. Toć buty szyję.

I rzeczywiście szył buty. Przez dzień cały siedział zgarbiony i szył. I czy to sprawka jesieni, czy też złapał go katar — bolała go głowa. „Musi co przyjdzie!" — powiedział do żony i popatrzyła na niego z oddaniem i błagalnie. W tym momencie właśnie zajrzał tamten przez okno. Rozchylił skrzydła okienne i oparł się dłońmi o parapet. Patrzył i nic nie mówił. Szewc pochylił się jeszcze niżej nad butami.

— To szykuj się, szewcze — rzekł tamten ziewając. — Już się dość naczekałem.

Szewc poczuł, że nie ma siły na niego.

— Nie będę się szykować — odparł. — Nie będę! Stary jestem, już się nie nadaję.

— A pieniądze — rozsierdził się tamten — wziąć miałeś ochotę?

Maryjka stała przy ojcu i drżała jak listek.

— No, nie trzęś się, jaskółeczko! Pójdź lepiej po dobrodzieja.

— Nie chcę zostawiać tatka — rzekła Maryjka. — Jakoś mi się strach zrobiło.

— Pozwól mi bać się o siebie! — wybuchnął szewc. — Idź, dokąd cię posyłają!

— A dokąd ty ją posyłasz? — zapytał tamten w oknie.
— Tytoniu żeby kupiła na drogę.
— Dam ci.
— Nie chcę czartowskiego, chcę ludzkiego.
— Jak uważasz!
— To wejdź do chaty.
— He, he — zaśmiał się tamten w oknie. — Już wchodziłem. Tam jest miejsce zaczarowane.
— No to stój pod oknem — szewc odrzecze. — A ja się muszę przyszykować. No i tytoniu się doczekam.
— Postoję — mruknął tamten i zapalił fajkę.
Żona siedziała na ławie i płakała. Dzieci tuliły się do niej.
— A może odpracujemy te pieniądze i oddamy?
— Cicho tam! — skrzyczał ich szewc. — Kto tu jest głową domu?
— Ano ty, ale może lepiej oddać?
— To mnie o was głowa boli! — rzekł szewc nakładając białą koszulę.
— Nie wkładaj tej białej koszuli — rzekł tamten w oknie.
— A to dlaczego?
— A bo jest zaczarowana.
— Taki mamy obyczaj — rzekł szewc. — Na śmierć się wkłada białą koszulę.
— Pal was licho i wasze durne obyczaje! — burknął tamten w oknie. — Wkładaj, co chcesz!
— Czy nie idzie Maryjka? — zapytał szewc żonę.
Przodem biegła Maryjka, a za nią dobrodziej. Wiał wicher, rozwiewał szaty, kropidło chyliło się do tyłu, tak prędko podążali. Wówczas szewc się uśmiechnął: zobaczył, jak za Maryjką i dobrodziejem wionie żółte listowie, leci wraz z wiatrem i niosą się niczym na skrzydłach. Wówczas uniósł szewc do Mykoły swoje źrenice. „Daruj!" — powiedział. Mykoła nie odpowiedział, jeno spoglądał bez zmrużenia powiek. „Nie wiem — rzekł szewc — gdzie mnie przyjście śmierci zastanie, trzymam się jednak! Chcę się ustrzec."

A gajowy już zmykał. Ujrzał, że go nachodzą — zerwał się jeszcze większy wicher. Pogroził pięścią, oczy błysnęły mu zaciekłością, a usta wyzionęły przekleństwo: „Jeszcze się u mnie doczekasz!" Śmignął spod okna i po drodze zwalił starą wypróchniałą gruszę.

Przyszedł zdyszany dobrodziej, Maryjka podbiegła do ojca i złapała go za rękę. Szewc stał spokojny i zasmęcony. Oczy płonęły mu łagodnym, choć nieco gorączkowym blaskiem. Usta mu spierzchły, ale były mocno zaciśnięte.

— Kary boskiej się nie spodziewasz? — rzekł gniewnie dobrodziej. — Uważaj no, szewcze!

— Przyjdzie czas — rzekł oschle szewc — że stanę przed Bogiem. A teraz mam swoje kłopoty z nimi — skinął w kierunku ławy, gdzie garnęły się do matki niczym stadko kurcząt nie na żarty wystraszone dzieciaki.

Siedem lat już ukończyła Maryjka. Ale jakoś się z tego nie cieszy. Szewc również zadumany, widać, że oboje na coś czekają. Chyba nie tylko oni: owóż i szewcowa spogląda z obawą, inne dzieci też jakoś przycichły. Szewc spogląda na Mykołę, ale ten nie odpowiada na jego spojrzenia, jak gdyby go to nie obchodziło. Jak gdyby machał ręką ze zniecierpliwieniem: sameś nawarzył, to sam wypij! „Skoro tak, to trudno" — myśli sobie szewc i może nawet sam go przywołał. Za oknem znów wyrosła gęba tego, na którego tutaj czekano. Teraz gajowy wygląda raźniej i jest pewniejszy siebie. I pogoda na dworze jak w raju — wszystko pachnie i rozwija się. Szewcowi zaś ani w głowie teraz pogoda, byleby sobie dać radę z tym żalem, co go opanował. „Nie chcę iść" — powiedział do Mykoły. Tamten ni słowa, jedynie Maryjka posłyszała.

— Pójdziemy razem — rzekła. — Skoro już tak się napiera, musimy iść.

— A bo to ty jedna? — pokiwał głową szewc. — Wszystkich zapisałem.

Kobieta z dziećmi już siedzi na ławie, szewc na swoim stołku, ale nie szyje butów — dziś mu to ani w głowie. Tamten wsunął się w okno i spogląda chytrze.

— Patrzę ja tak na ciebie — powiada szewc — całkiem jesteś jak człowiek, a dobra w tobie nie ma.

— He, he! — roześmiał się tamten. — To źle patrzysz. Gdyby nie było we mnie dobroci, to bym się tak z wami nie cackał. Przyszedł termin — szykuj się i kwita!

— A może — odparł szewc w zamyśleniu — masz ochotę cackać się z nami?

Jednakże gajowy go nie słuchał. Wyciągnął z kamizelki zegarek, taki dziwny, że aż usta porozdziawiali, i otworzył wieczko.

— Ociągacie się za bardzo — rzekł. — A ja nie mam czasu. W drogę!

Tym razem szewc nie wkładał białej koszuli: nazbyt mu było ciężko na sercu.

— Chodźmy, tato — rzekła Maryjka i szewc po raz ostatni

rzuciwszy okiem na Mykołę (który siedział jak zwykle w kątku), westchnął.

— Losu nie obejdzie i nie oszuka — powiedział.

— Otóż to — roześmiał się tamten w oknie.

Weszli do sieni — szewc przodem, a za nim wszystkich dziewięcioro jego dusz. Słońce opromieniło im twarze i na chwilę przystanęli w progu. Rozkwitał cudowny letni dzień, nad nimi rozpostarło się czyste i jasne niebo; słońce aż wyłaziło ze skóry, wszystko mieniło się i tchnęło radością.

— Pójdziemy przez sad — rzekł szewc chcąc bodaj po raz ostatni nawąchać się jego zapachów. Kochał swój sad, owe jabłonie, grusze i śliwy. Śliwy zwłaszcza. Spojrzał z rozrzewnieniem — nad nim rozpięło się rozłożyste drzewo, szerokie i nabrzmiałe od słońca. Śliwek było jak maku i nie mógł się na nie napatrzeć.

— Dobry rok na śliwki — rzekł gajowy: on również spoglądał na śliwę. Wtedy i szewc poczuł, że zachciało mu się śliwek. Tak mu się zachciało, aż ssie go w gardle.

Uchwycił się pnia i potrząsnął. Drzewo stało bez ruchu i śliwki spokojnie modrzały w słońcu.

— Całkiem już jestem bez siły — rzekł szewc. — Widzisz, a ty mnie zabierasz.

— Właśnie dlatego cię zabieram — rzekł gajowy, przesuwając w bok fajkę.

— A ja, jak nie zjem śliwek, to nie pójdę — zaciął się szewc. — Bo po cóż mam iść?

Gajowy się uśmiechnął, wciąż jeszcze trzymając fajkę w ustach.

— Aleś ty łasuch — rzekł — to ci nie żałuję!

Podszedł do śliwy i zatrząsł nią tak, aż niebo się odmieniło i spadła na ziemię jesień. Zapachniało padałkami, zawirowały liście i już na drzewie nie było ani listka, ani śliwki. „To już zapachniało ziemią dla mnie" — pomyślał sobie szewc wyjmując z kopca liści soczystą śliwkę. Wrzucił ją sobie do ust i jeszcze bardziej zapachniało mu jesienią.

— Ot, widzisz — rzekł gajowy — ile tu masz dobra! Będziesz u nas panował, a ja mam siłę, to będę robił. A ty sobie spaceruj i szyj buty nieboszczykom.

Jednakże gajowy coś zbyt się przyczepił do tej śliwy. Szewc nawet wpadł w zdumienie:

— Czemużeś się tak do tej śliwy przyczepił? Tam już przecie ani listka nie ma.

— A skoro nie puszcza? — rzekł tamten. — Ja tu się odrywam, odrywam, a ta nie puszcza.

— To też Mykoła mi powiedział — szepnęła Maryjka.

Szewc jednak był już strudzony. Nadto ta jesień pośrodku lata jakoś całkiem nadwerężyła mu serce.

— Nie mam już siły — rzekł siadając pod jabłonką.

Żona z dziećmi stała bez ruchu, jakby skamieniała.

— Idźcie do domu — rozkazał szewc. — Pewnie już z nim nie pójdziecie.

— Co znaczy, że nie pójdą — zaszamotał się pod śliwą gajowy. — Dobrzy sobie, już dwa lata się z wami morduję, a ci nie pójdą!

Szewc położył się na trawie i podłożył ręce pod głowę. Niebo zniżało się doń prześwitując poprzez gałęzie, prószyło i prószyło bezmierną modrością, w górze płynął obłoczek przedziwnie podobny do głowy jelenia. Białego jasnego jelenia, co z wolna kroczył sobie po niebie. „Do swego legowiska — pomyślał szewc. — Każdy człowiek i każde stworzenie szuka sobie schronu, wszyscy oni muszą się kryć przed światem."

Żona i dzieci stały wokół niego, stała też Maryjka, a on, widząc ich, aż się rozsierdził.

— Pójdziecie stąd wreszcie?

Patrzyli nań, tacy dziwni — pozamarzali albo skamienieli.

— Puść mnie, szewcze — jął błagać spod śliwki gajowy. — Siły już nie mam!

— Ehe, a biedaków dręczyć to miałeś siłę?

— Dobry byłem dla was.

— Żeby nas zaprowadzić do piekła, he he! — roześmiał się szewc.

— Sam żeś się zapisał.

— Oddaj duchament — rzekł szewc rozgniewany. — Bo tam już i ojciec dobrodziej nadchodzą.

Patrzyli tak na się: gajowy spod śliwy, a szewc spod jabłonki.

— Gorszy jesteś ode mnie — rzekł gajowy. — Ja z tobą po dobroci, a ty ani rusz!

— Nie ja, ale tyś do mnie przyszedł — odparł szewc spokojnie.

— Ciebie nie przegada — wystękał gajowy. — Wyjmij duchament z kieszeni, bo mnie ręce się przykleiły.

Maryjka podeszła doń, a szewc o mało nie zapłakał, taka była łagodna i delikatna. „Taka dziecinka — pomyślał sobie — ratuje mnie. I Mykoła, chwała Bogu, nie na próżno mieszka ze mną w jednej chacie. I oni wszyscy też" — popatrzył na żonę i dzieci, stojących jeszcze przy nim nieruchomo: sam by może nie miał tyle siły, sam teraz ledwie dyszy — on nawet śliwy nie mógł otrząsnąć. Po tym wszystkim, myślał sobie, czy będzie miał siłę żyć dalej? Tam niebo, lato, wszystko kwitnie i rośnie, a jemu

pachnie jesienią; tak, jemu zapachniała jesień, chyba ten gajowy czy diasek, czy jak tam go — tfu, tfu, nie ma co zgadywać! — nie na próżno przyszedł do niego; tak już mu trudno się ruszać, bodajby palcem kiwnąć. Stary jest, ale te dzieci... nie, nie jest stary, ma tu jeszcze coś do powiedzenia, ale i zła w sobie nie nosi, ano dlaczegóż to nie nosi zła? Nie, on nie jest zły, dusza jego jest jak to niebo błękitne, niezmierzone, dusza jego jest między owym błękitem i ziemią. Wszystko czuć już jesienią, zbutwiałą, żółtą, wilgotną jak sama nasza mateczka ziemia. Jesienią całego świata!

Już i skłoniło się ku wieczorowi, a może to chmury gromadzą się na niebie? Wiadoma sprawa, gdzieś na nieboskłonie już pobłyskuje i pogrzmiewa. Gajowy także spogląda na widnokrąg. Rozpacz widać na jego twarzy, zgoła taką jak u człowieka.

— Widzisz — rzekł szewc — już i burza nadchodzi.

— Puść mnie, człowieku — przemówił całkiem cichym i łagodnym głosem gajowy. — Piorun to śmierć dla mnie!

Maryjka już stoi przy ojcu i trzyma papier wyjęty z kieszeni gajowego.

— Spal go, tatku.

— Ty go spal — powiedział — bo ja już ani palcem ruszyć nie mogę.

A już tam, między jabłoniami. — Mykoła. Stoi i patrzy, już nawet się nie uśmiecha. Maryjka też już przy nim.

— Puśćcie go, tatku, bo piorun uderzy w śliwę, spali i śliwę i jego. Na co nam niedobre miejsce pod domem?

— Chciałbym, żeby powoził sobie kamieni — rzekł szewc. — Żeby się ich natłukł, to by wiedział, jak się naprawdę pracuje!

Wówczas zakołysał się Mykoła, podszedł do nich i zstąpił na trawę. Gajowy patrzył nań z przerażeniem.

— Pójdź no po szydło — rzekł Mykoła. — Dobrze go pokłuj, to nie będzie się czepiał ludzi.

Szewc się podniósł. Nie było mu łatwo się podnieść, wstał jednakże. Zakręciło mu się w głowie, na widnokręgu rozdarła się błyskawica: nadchodził wieczór i burza.

— Na co nam niedobre miejsce przy domu? — rzekła Maryjka i szewc popatrzył na nią z rozrzewnieniem.

Kiedy powrócił, uchwycił pień i łapał oddech. Piersi chodziły mu jak miechy, wciąż tak samo bez ruchu stała żona z dziećmi. Maryjka nie wiadomo czemu ocierała łzę, a Mykoła spokojnie skręcał źdźbło.

Wówczas znowu szewc poczuł żałość. Nie zawziętość i nie ból, ale po prostu litość. Wzbierała w nim jak jesień czy jak biały jeleń kroczący po niebie. W ręku miał szydło, a gajowy aż gło-

wę odwrócił. Patrzył bez zmrużenia powiek, dziwne to było spojrzenie, dziwne też oczy: prośba, ból, pokora, poruszyły się też usta; szewc jednakże nie słyszał, co tamten mówi. Nie chciał teraz słuchać, bowiem przechodził ów biały jeleń: żal zeń pluskał, odbierając ostatek siły.

— Muszę — rzekł wprost w owe błagalne oczy — bo sam wiesz, że byłeś i będziesz tym, czym jesteś.

— Ano — zgodził się gajowy. — Ale pamiętaj, że byłem dobry dla ciebie!

— Pamiętam! — zawołał szewc z rozpaczą. — Pamiętam tę twoją dobroć!

Zamachnął się i wbił w gajowego szydło. Raz, drugi, trzeci. Nie miał sił na więcej, cofnął się o kilka kroków i padł na kolana. Wówczas polało się z gajowego coś czarnego, maź albo dziegieć. Rozlała się czarna cuchnąca kałuża, a gajowy stał obrócony i spoglądał na szewca. Opodal już całkiem wyraźnie błyskało, szły po niebie czarne tabuny, czarne gniewne tabuny ze złotymi ognistymi językami.

— To ja dlatego — wybełkotał szewc — żebyś się już nikogo nie czepiał!

— Puść go, tatku! — rzekła Maryjka.

Mykoła wstał i poszedł. Plecy miał wyprostowane, siwe włosy powiewały zza ramion, a nogi stąpały równo i pewnie.

— Chciałbym, żebyś ty podźwigał sobie kamienie — rzekł szewc, ale gajowy już nie odpowiadał. Oparł się czołem o pień śliwy i płakał. Łzy jego ściekały po drzewie, które od tego zalśniło.

— Puśćcie go, tatku! — zawołała Maryjka, bo w tym momencie całkiem już blisko mignęła błyskawica.

Gajowy obrócił do szewca zapłakaną twarz.

— Czego chcesz jeszcze ode mnie?

— Wypuść te dusze, które zdążyłeś zagarnąć — rzekł szewc pojednawczo.

— Tego nie mogę — odparł gajowy — nie mam pokwitowań.

— Wypuść, jak ich sobie przypominasz — rzekł szewc i w tym momencie kilka kropel głucho zabębniło o ziemię.

Do sadu ich wchodzili ludzie. Kobiety, mężczyźni i dzieci. Chłopcy i dziewczęta. Wojskowi i cywile. Panowie i ubodzy. Szli i szli, i zdawało się, że nie ma im końca. Wówczas całkiem zdumiał się szewc. Stał w swoim sadzie i patrzył jak zaczarowany. Żona jego i dzieci stali również i patrzyli. Bo pośród tych, którzy wchodzili, prawie wszyscy byli znajomi. Ludzie

z ich ulicy i w ogóle z miasteczka. A na ostatek wszedł ojciec dobrodziej.

— Ale wy, ojcze — zawołał szewc — jakeście tutaj trafili?!

— Tak jak wszyscy — opuścił głowę dobrodziej.

— Macie wszak wodę święconą?

— Tak jak wszyscy — jeszcze niżej schylił głowę dobrodziej.

Wówczas szewc podszedł do śliwy i oderwał gajowego. Zaszumiało i zadudniło, huknął piorun, ale już na pustym miejscu, zajęła się płomieniem śliwa, a gajowy pobiegł pustą ścieżką. Biegł i nie oglądał się za siebie, za nim cięły przestwór błyskawice niczym rozjuszone smoki, noc uderzyła nagle ulewą: ludzie stali w sadzie szewca i wznosili twarze — deszcz je obmywał, a może to ludzie płakali.

Szewc płakał również. Nigdy w życiu nie płakał tak gorzko, piorun znów przyniósł mu jesień i tu, pod płonącą śliwą, wśród tych wszystkich ludzi, obok swojej żony i dzieci, nagle mimo wszystko poczuł żal, że tak męczył gajowego. „Kto wie — myślał przedzierając się pomiędzy ludźmi, by jakoś wydostać się z tego sadu — kto wie, może ten gajowy też nie był winien?" Patrzył, jak gwałtownie tamten ucieka, a za nim wciąż jeszcze biegły błyskawice.

Szedł przez sad i mamrotał. Wreszcie jemu samemu zachciało się pobiec za tym gajowym, tą pustą uliczką, ale ktoś go ujął za rękę. Odwrócił się — była to Maryjka.

— Kto go wie — wyszeptał — może i on nie winien, za to winni jesteśmy my wszyscy i ja także?

Zabrakło mu sił na ostatek i osunął się w trawę, na te liście ze śliwy, na ziemię, co pachniała jesienią i wzywała go.

— Idę — rzekł ocierając łzy. — Bo jednak czas na mnie!

Przy nim stała Maryjka i płakała. Nie widział już tego, bo patrzył tam, w górę, gdzie tłoczyły się czarne chmury, i usiłował spośród nich wyłowić białego jak mleko jelenia, który szedł po jego duszę.

SAMSON

Pachniało gliną, okno przecedzało niepewne światło, piec wyglądał szaro, on zaś rozglądał się dookoła i dziwił się, że wcześniej tego nie zauważył. Zazwyczaj zrywał się przed świtem i wychodził na swoje poletko. Żyły napinały mu się na karku, długie włosy rozwiewały się za plecami, nogi wpierały się w grunt jak dwa słupy, w oczach zapalał się płomień — i trudził się dopóty, aż ziemia stawała się pulchna. Później siał i zbierał plony. Mełł na żarnach i sam miesił ciasto. Sam gotował sobie polewkę, niekiedy chadzał też do lasu zapolować na zwierzynę. Wówczas przenikał go do głębi radosny zapał.

Czuł ziele żyjące dookoła. Żółto jarzyły się skąpane w słońcu polany i on sam płonął w tej żółtości. Wokół niego wznosiły się pnie sosen i wpatrywał się w ich korony niknące w niebie. Oddychały trawy, pięły się paprocie, szumiały sosny i zdawało mu się, że sam jest sosną. Wówczas dla igraszki wpierał się dłońmi w drzewo. Kołysała się nad nim korona i lubił to doznanie: korona szeleści, a drzewem jest on sam. Popychał mocniej i drzewo zaczynało się giąć. I oto przed nim wierzgał wesoły spłachetek nieba. Uwalniał drzewo, korona z szumem przesłaniała ów spłachetek, a Samson się uśmiechał, albowiem z głową zatapiało go słońce, któremu zawsze się dziwił: stawało mu w oczach wielkie, rozemdlone, jak gdyby się kołysało. Była to twarz kobiety, znał ją nawet: Motria. A może był to jasnozłoty rumak, co biegnie przez złotą polanę, by go powitać? Ale wiedział, że to Motria, dziewczyna z sąsiedniej wsi, do której wydeptuje steczkę już od kilku miesięcy. Wpatrywała się weń wilgotnymi oczyma i wiedział, że to bardzo ładna dziewczyna, bo nie na próżno dano jej słoneczne ciało. Topniała w nim kra i uśmiechał się do Motrii. Odpowiadała mu podobnym uśmiechem — czy ze strachu, czy też sama tego chciała: taka moc biła od niego, że się kuliła i malała uszczęśliwiona. Gdy zaś wracał do siebie i widzia-

ła, jak wiją się za nim włosy, miała ochotę płakać z rozpaczy i śmiać się z dumy...

On zasię oddychał bezmiarem pola, po którym szedł, i w głębi jego istoty dojrzewało coś boleśnie tkliwego. W żółtym świetle widział świat cały, w owej bolejącej dobroci. Jaszczurki szuściły w bruzdach, stawały się wielkie i dziwaczne, aż trudno mu było rozróżnić, czy to jaszczurki, czy lisy? Bo i ludzie, których spotykał, też stawali się dziwni i też trudno ich było rozpoznać. Wówczas przejmował go smutek. Cieniutki jak pajęczyna — bzykał i bzykał, osnuwając duszę, która stawała się jego dziuplą: szeleści korona wysokiego drzewa, złoty pień kąpie się w upale, kapie złota żywica; dzień wstaje niczym koszula wzdęta na wietrze, biały i czysty, dzwonią skowronki, jak gdyby miały u dziobków modre dzwoneczki, i leciuteńko pachnie trawa.

Widział wozy: konia i człowieka — i nie rozróżniał, gdzie koń, a gdzie człowiek; psa widział — i patrzyło nań ludzkie oblicze. Widział i ptaka, co miał kibić dziewczęcą, a ciało dziewczyńskie zdało się jak wąż albo też wijące się ziele. Bzykał ów smutek, usiłował przeto myśleć o swoim poletku. Ale trudno jest myśleć o pracy: za nim biegł złoty rumak i spoglądały z nieba wielkie wilgne źrenice. Z powodu tego smutku znów szedł do Motrii. Naprzeciw mu biegł złoty rumak, biegła polana w lesie i jak junacy wysuwały się z szeregu złote pnie sosen.

Pan setnik przysłany został do Nowego Orła niedawno. Z miejsca jął wszystko porządkować na swój ład i gdy wychodził na ganek kancelarii, zawsze miał minę sytego człowieka. Siadał na stołku i godzinami spoglądał na plac przez przymrużone powieki. Uprzejmie pozdrawiali go przechodzący ludzie, on zaś odpowiadał im skinieniem głowy. W takich chwilach pan setnik czuł się mocny i obdarzony pełnią władzy. Przepełniony był lekką pogardą dla wszystkich, którzy tak uprzejmie go pozdrawiali, ale nikt tego nie dostrzegał.

Niekiedy wychodził pisarz i snuli leniwą pogwarkę. Gdy dzień był pogodny, pan setnik bywał w pełni ukontentowany, bo wówczas można było posiedzieć na ganku z pół dnia albo i więcej niekiedy też zdrzemnąć się z wysuniętą dolną wargą.

Jednego z takich dni ujrzał Iwana. Z początku zląkł się nieco, bo na placu pokazał się wielkolud. Szedł raźnie i pewnym krokiem, długaśne włosy rozwiewały się za nim jak końska grzywa, twarz miał wysuniętą do przodu, zaś oczy nawet nie patrzyły na nic. Przeszedł mimo kancelarii i pana setnika, jak gdyby nie istniały te dwie powagi, i złość gwałtowna zatargała panem

setnikiem: poczuł, że w chwili, gdy przechodził ów człowiek, stał się zgoła niczym.

Pan setnik długo siedział po tym wydarzeniu i przygryzał koniuszek rzadkiego wąsa. Pisarz, któremu opowiedział, co zobaczył przed chwilą, prychnął, a kiedy setnik jął wywiadywać się bardziej natarczywie, odparł z niechęcią:

— To nasz przygłupek, wasza miłość! On prawie z nikim nie rozmawia ani się nie wita.

— Jakże to? — aż podskoczył pan setnik. — Każdy człowiek powinien się z kimś witać i z kimś rozmawiać. Skoro jest obłąkany, to trzeba go oddać do monasteru, lecz jeśli normalny?... Czy spełnia wymagane powinności?

Pisarz nic nie odpowiedział. Pan setnik żądał jasnej odpowiedzi. Tedy pisarz splunął, wyjąwszy z ust glinianą fajeczkę i patrząc w ziemię mruknął:

— Lepiej go nie ruszać. Siłę ma jak wół...

— Wół jest silniejszy od człowieka — z namysłem rzekł pan setnik. — I koń jest silniejszy od człowieka. Jednakże człowiek zaprzęga i konia, i wołu...

— Toć on nie jest koniem ani wołem — mruknął pisarz — wszyscy przywykli doń i nikt na niego nie zwraca uwagi. Szkody nie wyrządza...

— Skoro człowiek mieszka wraz z innymi — rzekł szorstko pan setnik — to musi się z tym liczyć...

Gdy ogarniał go smutek, pozostawiał chatę i wychodził na drogę prowadzącą do siedziby Motrii. Miał parę mil do przebycia, ale to go nie odstraszało. Zresztą, nie bał się niczego, a gdy wyruszał w drogę i znajdował się na niej sam jeden, czuł uniesienie. Jasne światło opromieniało mu duszę, niebo patrzyło nań, jakby rzeczywiście kryło w sobie mnóstwo oczu. Chmury były żywe, pasły się i piły bielejącą wodę nieba, ożywały trawy i zboża, zaś pośród tego wszystkiego słyszał uspokajający szept. Ciągnęło się ku niemu wszystko, jak gdyby ożywając: ożywały nawet kamyki napotykane po drodze. Widział, jak kołacą w ich ciemnych ciałach ledwie widoczne serca i jak piją one kurz przydrożny. Gdy zaś smutek bez reszty ogarniał mu serce, ozierał się za siebie, jak gdyby pędziły za nim bezcielesne stwory. Nabrzmiewały mu na rękach muskuły i gdy ktokolwiek ujrzał go w takim momencie, słupiał — bowiem wiało odeń taką potęgą, tak rozwichrzała mu się czupryna, że przechodzień mimo woli krył się w rowie lub zbożu. On zaś kroczył stawiając na dro-

dze nogi ciężkie jak kolumny, rozdymały mu się nozdrza, oczy gorzały płomieniem, a za nim ciągnął się wicher. Szedł tak, aż dane mu było dosięgnąć celu, cel bowiem miał jeden — znalezienie domu tej, która niegdyś obdarzyła go przychylnym spojrzeniem.

Gdy przychodził do niej, wszystko się przeinaczało. Ona, jak gdyby odurzona, lękała się go i lgnęła doń niepowstrzymanie. Trzepotała mu w rękach niczym ptaszyna i jak tej ptaszynie kręciło się jej w głowie. Ale w tym lęku kryło się również pragnienie — pragnęła bólu i siły: od niego zaś płynęły takie prądy, które czyniły ją radośnie bezwolną. Oczy płakały, wymawiała się, ale szła doń sama. Ponadto zazdrościły jej dziewczęta, chociaż i miały jej za złe, że ten przedziwny osiłek przychodził jednak do niej, i że to ona go urzekła...

Szedł drogą polną, utytłany w kurzu, pachniało mu już ciało Motrii, bo dziewczęta mają w sobie coś i z tego ziela, i ze zwierząt, i ze słońca. To wszystko napełnia dzbany ich dusz, trudno tam coś odgadnąć, bo i licho wie co miesza się do tego; widział, jak wilki włażą grzać się w tych dzbanach. Przychodzą tam kury i lisy, jaszczurki i węże, ryby i raki, wydry i krowy. Jako że jest tam piołun, aksamitka i krwawnik. Tatarak, babka wodna i ślazówka. Są tam i drzewa: wierzba i kalina, osika i grab. U Motrii zasię koń, jako że zerka nań nieufnym okiem. Mieszka tam i słońce, a może to ino iemu widzi się to słońce? Szedł, bo iść musiał: własna chata zrobiła się nieprzytulna i obca, a w sercu rósł smętek, co wszystko zjada.

Pan setnik znów ujrzał owego dziwaka. Podobnie jak za pierwszym razem, tamten minął go nawet nie podnosząc oczu. Setnik siedział na stołku jak piorunem rażony, a kiedy kmieć znikł mu z oczu, jeszcze długo kipiał z oburzenia. Im dłużej, tym bardziej irytował setnika ów chłopina — nie sposób już było patrzeć nań spokojnie. Owo niepojęte zarozumialstwo, ów krok pełen dostojeństwa — tchnęło odeń czymś takim, że panu setnikowi kurcz ściskał gardło i mrówki chodziły po plecach. Jako że był on diablo zawzięty, pomału w głowie zaczęła mu się snuć cieniuśka niteczka. Zrazu było to rozmarzenie na werandzie po dobrym obiedzie, gdy można było zmrużyć oczy i pokołysać się w błogich falach; później olśnienie, a teraz już myśl uporczywa.

Skoro tylko przeszedł drogę ów kmieć z rozwianymi szeroko kudłami, setnik cichutko wymknął się z werandy i ruszył uliczką w stronę siedziby wielkoluda. Minął ostatnie domostwa miasteczka i ruszył zarosłą ścieżką. Obejrzał się — pusto było dokoła. Z trudem uchylił sążnistą furtę, choć nie była zamknięta, i znalazł się na podwórku Iwana. Było tu czysto i schludnie,

podwórko zamiecione, w kątku wóz ze szleją na ramiona, w komórce pług i brony. Ale nie dreptała tu kurka, nie spacerował kot, psa też nie było.

Pan setnik był zaskoczony. Panowała tu taka cisza, że robiło mu się nieswojo, chociaż nie należał do bojaźliwych. Raczył więc wyjrzeć przez furtkę, czy nie powraca ów kmiotek, a gdy się upewnił, że dookoła trwa spokój, ostrożnie przekroczył próg. W chacie było jeszcze schludniej: rzetelnie obmazana polepa, piec pomalowany w przedziwne kwiaty i zwierzaki, stół zasłany obrusem, a na nim chleb i grudka soli. Jednakże nie było tu obrazów świętych i pan setnik zwrócił na to uwagę. Podszedł do wysokiej malowanej skrzyni i chciał unieść wieko: trzymało się mocno. Zajrzał do komory, zapasów się nie dopatrzył. Znać było w chacie ubóstwo. Pogwizdując, wyszedł na podwórze, a gdy zamknął za sobą furtę i już będąc na ścieżce obejrzał się za siebie, minę miał lekceważącą. Splunął i podreptał w stronę swojej werandy.

Iwan szedł traktem i czuł dziwną tęsknotę. Obecnie, gdy dookoła pachniało ziele, gdy wyciągały się ku niemu z poboczy dzikie grusze, gdy zamierała za nim przebyta droga, ogarniało go lekkie podniecenie. Dlatego ucieszył się niemal, gdy z wysokiej trawy naprzeciw mu wyszedł lew. Lew był ogromny i płowy. Przebiegały po nim łagodne złote smugi i wydawał się zgoła niegroźny, chociaż porykiwał. Iwan zaś poczuł przypływ goryczy i wziął się ze lwem za bary. Czuł jego wysilony oddech, sam też ciężko dyszał, obaj dusili się nawzajem w uścisku, po czym jęli tarzać się po trawie. Lew był młody i krzepki. Iwan zdał sobie sprawę, że niełatwo będzie się z nim uporać, że musi zebrać wszystką siłę, bo lew już brał górę nad nim. Dyszał gorącem, jego paszcza z wolna traciła wyraz dobroduszności, ryczał zajadle i już wychylały się jego groźne kły. Wtedy to zakołysała się we wnętrzu Iwana ciężka fala, wytężył się co siły i zrzucił z siebie bestię. Po czym zwalił się na nią. W sercu piętrzyła mu się i rosła zajadłość. Zemdliło go: lew wyrwał się spod niego i wyskoczył. Wtedy znów się zwarli i jęli targać za bary. Długo się szamotali, natężali się i sapali. Nad nimi jarzyło się spokojne i szczodre słońce, wiatr kołysał trawę, nad głową dzwoniły skowronki — ciepło było i pogodnie. Pachniała słońcem lwia skóra, podobnie i on pachniał słońcem. A ponadto trawą, która zielono krążyła im przed oczyma, kiedy się tak mocowali w zapasach. Dookoła rósł piołun — lew i wielkolud byli ogarnięci tym piołunem i na wskroś nim przesiąkli. Tak się wodzili i wodzili, aż gorycz przemogła Iwana i zdusił lwa. Tamten od razu

oklapł, upadł na drogę niczym złoty wór i odrzucił w tył złotą głowę. I zdało się wielkoludowi, że nad nimi zabrzęczały złote pszczoły. Jednakże nie oglądał się na lwa. Poszedł nie patrząc za siebie, pozostawił na drodze lwa i swoją pustkę, a jego wielki rosochaty cień biegł i biegł za nim podskakując, jak gdyby nie mógł go dopędzić.

Zaskrzypiały drzwi w kancelarii i pan setnik rozpoznał pisarza. Zastukało krzesiwko, pyknęła hubka, pan pisarz zapalał swoją gliniana fajeczkę. Kłąb dymu popłynął nad głową pana setnika, który się skrzywił, jako że nie znosił tego zielska. Wszczęli swoją codzienną pogawędkę, leniwie przerzucając się słowami i odpowiadając na ukłony przechodniów. Było cicho i przytulnie, z dala gospodyni nawoływała swoje kury, gdzieś tam gruchała turkawka, stukał w drzewo dzięcioł i niebawem zgodzili się, że warto by pójść posiedzieć w szynku. Zeszli z werandy i podreptali przez plac — przodem setnik, a za nim, niczym pękaty worek, pisarz. Ludzie kłaniali się uprzejmie, oni zaś dostojnie odpowiadali, a gdy wstąpili do szynku, równie dostojnie przywitali siedzącą tam gromadę.

— Ten kmieć nie wychodzi mi z głowy — rzekł pan setnik i pisarz, nalewając sobie swoją małą czareczkę, prychnął.

— Że też masz waszmość kim się zajmować — wymamrotał obojętnie. — Zostawilibyście go w spokoju!...

— Jego łaskawość pan hetman — wygłosił pan setnik falsetem — przysłał mnie nie po to, bym pobłażał bezeceństwom, jakie się dzieją tu w okolicy! Pan hetman z dawna jest niekontent z sotni orłowskich, a ja bezeceństw u siebie tolerować nie myślę!

Pisarz popatrzył na setnika zza ciężkich worków, w których kryły się jego oczy, i nic nie odpowiedział. Pan setnik jednak rozsierdził się jeszcze mocniej. Żywił już bowiem urazę i do pisarza. „Trzeba go przegonić do wszystkich diabłów!" — pomyślał rozeźlony i łyknął taki haust piwa, aż się rozkaszlał.

— Czy ten człek chodzi do cerkwi? — zapytał z przekąsem. — Czy chodzi kiedyś z podwodą, czy pełni służbę kozacką, jeżeli to Kozak! A skoro to, mości pisarzu, nie Kozak, to u kogo odrabia powinność?

— Ee, waszmość znowu swoje — mruknął pan pisarz. — Nie widzi waszmość, że on niespełna rozumu?

— Nie widzę! — wyszeptał setnik złowieszczo. — Bom odwiedził jego zagrodę. Choć nie licuje to z moim urzędem, aleć

przysłał mnie jego wielmożność ład tutaj zaprowadzać. Czy bywał pan pisarz u niego w zagrodzie?

Pisarz wydawał się zaciekawiony. Oczy mu rozbłysły i przysunął się bliżej do setnika.

— Wszak u niego nikt ponoć nogą nie stąpił — rzekł. — I cóż waszmość tam zauważył?

— Ład! — odparł krótko setnik. — U przygłupka nie bywa tak wyszorowane i posprzątane. U przygłupka nie będzie tak uporządkowany inwentarz, proszę waści!

— Ha, ha, ha! — roześmiał się pan pisarz i brzuch jął mu podskakiwać, aż stół się zakołysał. — A może to jego kochanica tak tam obrządza, ha, ha!

— Kochanica? — zdumiał się pan setnik. — Miałżeby on jakąś kochanicę?

— I owszem! — śmiał się pan pisarz. — We wsi sąsiedniej. I nie ma tu się czemu dziwić, proszę waszmości!

Setnik już nie chciał rozmawiać. Pił piwo, a w głowie znów mu się zaroiło i zamigotało. Myśl za myślą, jedna ścigała drugą, druga wskakiwała na jej miejsce, jeszcze inna ją wysforowała; pan setnik czuł rozeźlenie, co dawno już nie znajdowało ujścia. „Pod sąd — pomyślał — przydybać go i pozwać o cudzołóstwo."

— Ale czy ta kochanica ma męża?

— Panna — ziewnął pan pisarz nalewając sobie drugą czareczkę. — Tutaj, panie setniku, nic się nie ugryzie!

— Toć ja nie gryzę! — pan setnik jął się żołądkować. — Pytam waści i waść z uszanowaniem ma mi odpowiedzieć.

— Toć odpowiadam — mruknął obojętnie pisarz i wychylił czarkę...

Taki kmiotek, kołowało w głowie pana setnika, a schował się jak w skorupie orzecha. Ale musowo go stamtąd wyłupać. Musowo, bo pana setnika już ssie robaczek. Ot bieda, że w materiach wiary nie dano mu głosu. Boć i ten pop tutejszy to jakiś ancychryst. Z nim też panu setnikowi nie powiodło się od pierwszego razu.

— I gorzałki on też nie pije? — znów spytał setnik z nadzieją w głosie. — Toć to niesłychane, by ktoś nie pił gorzałki!

— Ano nie pije — odparł obojętnie pan pisarz. — Chyba że pan go poczęstuje, wasza łaskawość...

Była w tym jawna kpina, ale setnik jej nie dostrzegł. Raptem go oświeciło. Myśl ta wypowiedziana była po omacku, brakło jej ostatecznej rezolucji, jednakże pana setnika oświeciło. Czuł

całym sercem, że za tymi słowami pisarza kryła się głębsza treść. Nie nagliło go jednak, chciał to przemyśleć bardziej dokumentnie. Żeby wszystkie nitki już się zawiązały i nigdzie nie było dziury. Na razie można spokojnie sączyć piwo, a dalej to się wyjaśni.

Przestał więc wypytywać pisarza, jak gdyby na tym poprzestając. Łyknął piwa i potrzymał je w ustach. Przecedził przez zęby i połknął z ukontentowaniem. Piwo rzeczywiście było dobre, a to już starcza, by docenić zawarte w nim rozkosze.

Iwan powracał od Motrii nasycony. Dziewczyna przyjęła go jak zazwyczaj i poczuł ten jej nieporównany zapach, który tak go wabił. Bo przy nim był dobry koń, który dawał sobą powodować, było i słońce, które czuł niczym kobietę, i kobieta, którą słyszał jak rosnącą trawę. Zapomniał zgoła o swojej tęsknocie i goryczy. Zapomniał nawet o lwie, z którym tak długo pasował się po drodze, i o gąszczach piołunu, jakie tam rosły. Szedł, kędziory rozwiewały się za nim jak końska grzywa i rad był z tego — czuł się tak, jakby koń szedł z nim razem.

Słońce stało się palące i grzało goręcej, wracał do domu, by znów zakrzątnąć się przy robocie. Już go ciągnęła i chciał się jej oddać jak umiał — całym jestestwem. Nadchodziły żniwa — miał zamiar zżąć swoje poletko w przeciągu dnia i nocy. A po zakończeniu młocki nawieźć drew na zimę. Później jeszcze znajdzie sobie ochry i przyozdobi chatę, po czym ziół nazbiera, żeby w chacie mile pachniało i by nie narzekał na niego domowik. Ten to nie lubił nieładu w chacie, wpijał mu w serce pazurki, i stąd opadał go smutek.

Szedł i szedł coraz szybciej, a gdy dotarł tam, gdzie mocował się z lwem, przystanął. Lew leżał na drodze rozłożywszy żółtogorące cielsko i z jego skóry promieniało światło. W przystępie podziwu Iwan podszedł do lwa całkiem blisko. Z głowy lwiej wylatywały pszczoły, a gdy Iwan się schylił, zapachniało mu miodem. Pszczoły zabrzęczały nad nim i wyjął z lwiej głowy pachnący plaster. Jadł miód i robiło mu się coraz słodziej. Miód pachniał wszystkimi tymi ziołami, rosnącymi dookoła, czuć w nim było również słońce, rosnące na niebie. Pszczoły brzęczały i nie tykały go, on zaś jadł i jadł wonny miód, cudowny i słodki sok ziemi — serce mu biło radośnie. Wziął jeszcze jeden plaster i znów poczuł trawę i słońce. A gdy ruszył dalej, w sercu nastała słoneczna pogoda, cichość i równowaga. Poczuł całą urodę świata.

Step dookoła obrósł tymiankiem roztaczającym woń czarodziejską, słońce też wyścielone było tymiankiem, a na niebie nie by-

ło widać ani jednej chmurki. Poczuł rozległy, nieogarniony świat i jasny dzień, co na niego spływał, lekko mu było oddychać, przed nim słała się droga swobodna i szeroka; czysto brzęczały pszczoły, co już na nowo poczęły znosić miód do lwiej głowy. Wokół zaś wszystko tchnęło przepysznym spokojem, ciepłem i rozległością. Zrobiło mu się lekko. Żył ową chwilą i był łagodny jak dziecię. Ręce go już swędziały do wysiłku i myślał o nim jak o czynieniu cudów.

Obok zagrody jednak ujrzał setnika, który stał z założonymi za plecy rękoma i postukiwał o ziemię czubkiem buta. Spojrzał nań i chmurka omgliła mu serce — tchórz, gryzoń spozierał na wielkoluda. Lecz Iwan był tego dnia nastrojony pogodnie, stał więc i czekał, co mu powie ten gość nieproszony. Setnik uśmiechnął się przyjaźnie i wyciągnął rękę. Zaskoczyło to Iwana, który się zawahał, wciąż jeszcze bacznie wpatrując się w to skojarzenie człowieka i tchórza.

— No to co? — ozwał się setnik przyjacielsko. — Witam pięknie!

Iwan był dziś zbyt spokojny, by nie zwrócić uwagi na ów uśmiech i ów głos przyjazny. Wyciągnął więc rękę i setnik poczuł nagle, że mało brak, a dłoń jego zostanie zmiażdżona. Wytrwał jednakże i równie spokojnie i łaskawie wypowiedział:

— To może zaprosisz do zagrody?

Iwanowi znów chmurka przyćmiła serce i popatrzył na przybysza już nie tak przychylnie.

— Czego panu potrza? — otwarł usta, ale setnik uśmiechał się doń nadal życzliwie i wspaniałomyślnie.

— Przyszedłem porozmawiać z tobą — rzekł. — Jestem tu w Orle nowym setnikiem i chciałbym z tobą zamienić parę słów...

Iwan milczał, zerknął jeno spode łba. To mu się jeszcze nie zdarzyło. Nie przywykł, by mówiono doń tak uprzejmie i tak uprzejmie zapraszano do rozmowy. Ale dziś już zapewne dzień taki, uśmiechnął się więc nieco, rozchylając wielkie usta.

— Pan powie, z czym tu przyszedł — mruknął.

— Ee, tak się nie godzi — szybko i przymilnie zatrajkotał setnik. — Tak gości się nie przyjmuje! Gości trzeba ugościć, na to są gośćmi. Ale skoro nie chcesz, he, he, to już twoja sprawa! Przyszedłem tu jako setnik i chcę być w zgodzie ze wszystkimi. Jeśli już nie chcesz he, he, mnie zaprosić, to ja cię zapraszam.

Pójdziemy do szynku, he, he posiedzimy, pogawędzimy, wychylimy czarkę jedną, drugą, jak to u dobrych ludzi w zwyczaju...

Popatrzył na Iwana wyczekująco, a ten znów zobaczył tchórza. Ale przypomniała mu się droga tutaj i ten miód, który dał mu tyle słodkiej radości!

Szli drogą i zewsząd się na nich gapiono, bo widowisko rzeczywiście było paradne: przodem kroczył niepozorny setnik, a za nim, niczym uwiązany na postronku, powolny i dobroduszny Iwan. A że kroczył nie tak, jak zazwyczaj, nie wichrzyły się już za nim włosy, nie był taki niepokonany i nieprzystępny. Po prostu szedł zwalisty drągal i uśmiechał się głupkowato. Ludzie zachodzili w głowę, co to takiego, a poniektóry przyłączył się do tej procesji.

Iwan tylko rozglądał się na boki: wszyscy uśmiechali się jak gdyby życzliwie, wszyscy byli jak gdyby dobrzy, choć kto wie, czy się uśmiechają, czy drwią? Poczuł chłód w sercu, w spojrzeniu zabłysła nabyta czujność, jednakże miód, którego dziś zakosztował, był w nim nadal obecny, przeto posłusznie, jak wół, dreptał za setnikiem. Ożywiło to ludzką ciekawość, toteż do szynku napchało się tyle luda, że jabłko nie miało gdzie upaść.

Setnik już się rządził. Powypychał łokciem zbytecznych, przywołał szynkarkę — młoda i wiercicka, przypominała Iwanowi Motrię. Toteż udobruchał się jeszcze bardziej, a gdy setnik wetknął mu w dłoń potężny kielich, znów uśmiechnął się głupkowato.

— Wypij! — zawołał setnik z radosnym uniesieniem.

— Wypij! — zakrzyczeli od stołów ludzie, którym zrobiło się równie wesoło, bo czuli już jakąś hecę.

Iwan popatrzył na kielich, uderzył mu w nos słodki opar miodu, znowu przypomniał mu się lew, żółty i promienny, i brzęczenie pszczół, i głośny śpiew skowronków. Pomyślał, że walka ze lwem tym się właśnie zakończyła: wybrał mu z głowy miód. A może ów lew zjawi się i tutaj, i wyjdzie mu naprzeciw?

Rozprostowały się więc Iwanowe bary, stał się taki mocarny i młody, aż wszyscy w szynku przycichli na chwilę i napięli się w oczekiwaniu. Setnik poderwał się z miejsca, podbiegł do Iwana i trącił się kielichem:

— Pij!

Wszyscy się ożywili, jęli mówić, trącać się czarkami i pić: Iwan słuchał tego wesołego zgiełku z dobroduszną pokorą, po czym ostrożnie podniósł kielich do ust i po raz pierwszy w życiu przełknął ogniem palącą strugę. Wydało mu się, że tuż obok

buchnęło ognisko, bo w głowie i w całym ciele zrobiło mu się ciepło i przyjemnie. Popatrzył dookoła, a towarzystwo huknęło: „Zgoda!" On sam ryknął owe „Zgoda!" i ujrzał, że w ręku znów ma pełny kielich. Wypił już bez namysłu i ujrzał zielone żmijki, co przypełzły doń ze wszystkich zakątków. Po czym zdał sobie sprawę, że to nie żmijki, lecz trawy i zioła suną w jego kierunku. I zaczął zgadywać, co to za trawy i zioła.

Przypełzały doń chmiel i kanianka, ruszył z wypiętą piersią zwierzobój-dziurawiec, a za nim jako noc głucha — biała jasnota. Dalej zamajaczył oman i starodąb, jeszcze dalej przyplątał się kozłek, więc spojrzał nań podejrzliwie. Ale jęły się uśmiechać ślazy, zakołysały główkami rumianki; chciał już wstać i pójść sobie, gdy spostrzegł nostrzyk i jął wdychać jego słodycze. Wówczas w ręku znów znalazł się nalany kielich, ktoś zachichotał, ktoś zakrzyczał, on zaś przechylił i wypił. Przysunęły się doń jakieś twarze, dziwne i nieznajome, bo wyczyniały grymasy, trącały rozdętymi jak kłody paluchami, spluwały i rozdymały nozdrza. Jemu jednak zapachniała mięta i wybaczył te krzyki i plucie, a w głowie z wola jęły się toczyć obręcze. Jedna, druga, trzecia, splatały się między sobą i wirowały jak koła nie mogące się roztworzyć.

Pomyślał: „Czas iść do domu!" Zdało mu się jednak, że słyszy chichot setnika, ponadto go popchnięto; dookoła kłębiły się dziwne bestie, bardzo dużo bestyj o ludzkich ciałach i zwierzęcych głowach. Wszystkie one miauczały, wrzeszczały i hałłakowały, wszyscy oni jakby powariowali — Iwana już solidnie stuknięto pod żebra. Padło jeszcze kilka ciosów i nagle się rozjuszył. Skoczył na równe nogi i tak komuś przyłożył, że zaświeciła przed nim czerwona mgiełka.

— Zostawcie go — posłyszał władczy głos setnika. — Niech jeszcze wypije!

Wetknięto mu do rąk jeszcze kubek — wypił go łapczywie. Wówczas na mózg zwaliło mu się kilka głazów i już całkiem przestał zdawać sobie sprawę, gdzie się znajduje i co się z nim wyprawia.

Setnika poniosło. Długo żył w oczekiwaniu tej chwili i oto nadeszła. Mały robaczek nie dawał mu spokoju, aż wreszcie wpadł na właściwy pomysł. I przyprowadził tutaj tego kmiotka wywołując niemałe zbiegowisko. Ale to już do nich należy, pomyślał sobie, byleby spoić ich i poszczuć. Pan setnik postanowił nawet potrząsnąć sakiewką — ludzie to lubią, kto nie ma ochoty wypić sobie za darmo? Sam pił również, wówczas to jął wy-

krzykiwać jakieś głupstwa mogące rozgrzać hulaków. A hulacy poddawali się jego zachętom, robili się raźni i niefrasobliwi. Iwan pił posłusznie i chętnie, pan setnik z ukontentowaniem śledził, jak mętnieją mu oczy, jak tępieją i stają się nieprzytomne. Dolewał wciąż na nowo, szynkarka miotała się jak w ukropie, a ludzie już w oczach purpurowieli, już zaczynały się pijackie pogaduszki, zwady i krzyki. Tej chwili nie wolno było prześlepić, przeto z kubkiem w ręku obchodził wszystkich. Mrugał, szeptał, kiwał na Iwana, podbechtywał. Wszyscy już patrzyli na wielkoluda krwią nabiegłymi oczyma, nie czas było jeszcze, ale już zaczynali się rozjuszać. Już podchodzili doń i nawet szturchali, ale tak, by nie zauważył sprawcy. Wywoływało to kolejną falę dobrodusznego śmiechu.

Setnik znów wetknął Iwanowi kielich, a gdy ten wypił, wszyscy zakrzyczeli „huzia" i zachichotali. Podchodzili doń, stroili miny i pluli. Sięgali mu w zanadrze, a jeden oczajdusza nalał mu piwa za kołnierz. Powietrze zatrzęsło się od rechotu, a setnik stojąc w kąciku parskał z ukontentowaniem.

Iwan siedział przy stole i jak gdyby nie widział tego wszystkiego. Oczy mu otępiały, włosy opadały na ramiona zatłuszczonym wachlarzem i uśmiechał się głupkowato.

Setnikowi jeszcze bardziej zakotłowało się w piersi, szczególnie z powodu tych włosów.

— Hej, ty! — zawołał do jakiegoś znajomego osiłka. — Ano grzmotnij go!

Parobczak podszedł do Iwana i uderzył. Na to wielkolud podniósł się i zrobił się taki groźny, że na mgnienie ucichł hałas. Twarz mu zapłonęła i parobczak wywinął kozła. Krew buchnęła z nosa parobka zalewając mu usta i koszulę.

— Aha, toś ty taki! — podniosła się wrzawa dokoła. — Bić go!

— Zostawcie go! — zawołał setnik. — Zostawcie go! Niech jeszcze wypije!

Skoczył do Iwana i wetknął mu kielich do ręki. Ten uspokoił się od razu i jednym haustem wypił trunek do dna. Usiadł i potrząsnął głową.

Po czym wstał i zatoczył się. Chciał iść, ale pochyliło go do ściany.

— Ha, ha, ha! — zewsząd rozległy się śmiechy. — Bić go!

— Niech wyjdzie na dwór! — zawołał setnik. — Na dworze będzie poręczniej!

Iwan rzeczywiście zmierzał na dwór. Wszyscy stłoczyli się za jego plecami i setnik ujrzał, jak zajadle połyskują wszystkim

oczy. Parobczak otarł już krew, rzucił się naprzód i gdy Iwan stał na ganku, kopnął go.

Wielkolud zachwiał się i zwalił z ganku. Rzucono się nań jak na zwierza i jęto go szturchać rękoma i nogami. Kilku ludzi wyłamywało żerdzie i drągi i na rozpostarte ciało Iwana posypał się grad ciosów.

Wówczas setnik oszalał. Zawołał unosząc się na czubkach palców:

— Kudły! Obetnijcie mu kudły!

Zalewała go wściekłość, cały był niczym kłębek wychluśniętej złości, miotał się, nawoływał, ale sam nie bił.

Ludzie już rozjuszyli się i bez tego. Cięli nożami kosmyki włosów i wyrywali z głowy wraz ze skórą.

Iwan ciężko zastękał i poruszył się. Osypali się zeń jak mrowie, on zaś z rozkrwawioną i posiniałą twarzą jeno wodził groźnie oczyma.

— Oczy! — wrzasnął setnik. — Wykłuć mu oczy!

Człowiek z nożem rzucił się do Iwana i nad mieściną rozległ się ryk. Iwan znów się podźwignął, choć wydmikufle opadli go jak psy gończe niedźwiedzia, i stanął na równe nogi. Z oczu ciekła mu krew po twarzy, on zaś ryczał. Ryczał jak ranny zwierz i bezradnie zamachał rękoma.

Ludzie już poczęli rozbiegać się po placu. Uciekali, każdy przed siebie, uciekał i setnik, aż na placu nie pozostało żywej duszy, jeno pisarz, co siedział na ganku kancelarii i spokojniutko pykał ze swojej glinianej fajeczki.

Z początku olbrzym biegł. Chmiel jak gdyby wyparował mu z ciała, natykał się na parkany, obijał o drzewa, ale biegł. Zgasło nad nim słońce, noc czarna ogarnęła go ze wszech stron, czarne chmury zniżały się nad ziemią, czarny ból przeszywał mu głowę, wyrastały czarne kwiaty i cuchnęły krwią. Biegł, choć w istocie ledwie przestępował z nogi na nogę, a kiedy legł w kurzu, wydawało mu się, że biegnie wciąż jeszcze. Nad nim otwierały się nieogarnionymi czarnymi trzęsawiskami niebiosa, on zaś wczołgiwał się w jakąś nie kończącą się i beznadziejną otchłań, gdzie zimnem tchnął kamień, gdzie gubiło się wszystko co żywe, jasne i czyste. Pływał w olbrzymiej sadzawce, w której też nie było światła ani barw — twarz miał zasypaną popiołem, a w tym popiele czuł rdzawy ból, zżerający mu twarz. Całe ciało drętwiało, lecz on biegł, bo nie miał już siły się zatrzymać. Nie było już i ciepła, musiał biec — było to jedyne, co wiedział i pojmował. Naprawdę to się czołgał, tak jak gdyby grążył się

w nieokreśloną pustkę, w nie zaznawany dotąd ból, nie mający początku ni końca. Ostro natykał się na bodziaki, osty i łopiany, ostro dawał się czuć kurz na drodze, on zaś czołgał się czy biegł, gramolił czy mknął, szedł czy też kąpał się w szarym popiele. W sadzawce bez dna, początku i granic, bo znów go bolało, znów dopiekało mu i gnębiło; dusza jego też była niczym bajoro, jak gdyby nie pozostało w niej nic prócz tego bólu. Ciało jego się kołysało, wieszano je, przywiązywano do chmury, co bez reszty zwaliła się na drogę i na jego mózg. Bo i mózg stawał się chmurą, wszystek spopielały i spróchniały; z wnętrza wydzierały się mdłości, on zaś skołowany do szczętu roztargawszy wszystkie więzi, co jeszcze utrzymywały go przy ziemi, potoczył się niby chwast-czarnusznik, obijając się o grody i doganiając samego siebie. Później zemdliło go, wyrzygał się wprost na czarną ziemię, po której toczył się jak ten czarnusznik, wprost do bajora, którego i tak przebrnąć nie był w stanie; wszystko buchnęło tak jaskrawie, że się zatrzymał. Zatrzymał się, wślepił w to płomienisko, po czym zwalił się na trawę tracąc resztki przytomności i ostatnie błyski dnia dzisiejszego.

Ocknął się z zimna. Wydało mu się, że ktoś omywa mu głowę. Było to przyjemne i nieprzyjemne zarazem, poruszył się więc i zajęczał. Później chciał rozewrzeć powieki, ale tępy ból przypomniał mu wszystko i po raz pierwszy w życiu doznał rozpaczy. Nie wiedział, gdzie się znalazł, ani co począć i dokąd ma iść. Głowę zasnuł mu mrok głęboki — poczuł to rzeczywiście dopiero teraz; chciał podnieść rękę do oczu, gdy zetknął się z czyjąś ręką. Aż drgnął i zapytał ochryple, kto to. Odpowiedział mu głos dziecięcy, pomyślał nawet, że gdzieś już słyszał ów głos i że brzmi on nader przyjaźnie.

— To ty, Motriu? — zapytał.

Ale był to jakiś sierota, który uciekł ze szkoły. Widział wszystko, co się działo, i chce mu dopomóc. Chłopiątko zapewne płakało, bo pociągało nosem.

— Czemu płaczesz, mały? — zapytał, jak tylko mógł najłagodniej.

— Bo strach ma ciebie patrzeć, wujaszku — już naprawdę zapłakał chłopiec. — Jak była noc, to jeszcze pół biedy, ale teraz...

— To teraz nie noc? — zapytał z utajoną trwogą w głosie.

— Ranek już — rzekł chłopiec. — Całą noc siedzę tu przy was. Wciąż sięgacie do oczu...

Zapytał, jak jest z jego oczyma. Zresztą, nie miał tu o co py-

tać, spytał jednak i wytężył się, by dowiedzieć się prawdy. Ale chłopię milczało.

— No, czemu nic nie mówisz? — zapytał z desperacją i chłopaczek się rozszlochał. — Dobra — wymamrotał. — Czy wiesz, gdzie mieszkam?

Chłopię wiedziało, spróbował więc usiąść. Ciało miał obolałe, trudno mu było nawet palcem kiwnąć, ale przemógł się i podźwignął.

— Tak to — mruknął. — Pójdziemy teraz do domu.

Zemdliło go, poczuł, jak go wszystko pali we wnętrzu i znów omal nie zwymiotował. Czoło miał mokre, zapewne chłopię zmoczyło je wodą. Złapał się za włosy i namacał coś dziwnego. Włosów prawie nie miał, jedynie kępki, o które aż pokłuł ręce.

— Nie dotykaj, wujaszku — rzekło chłopię. — Tam też masz poranione.

Siedział, ciężki i bezsilny, w brzasku świeciły jego okrwawione białka, a potłuczona twarz była cała w sińcach.

— Nie płacz no — rzekł łagodnie. — Daleko żeśmy od domu?

— Przez pole na przełaj — odpowiedziało chłopię płacząc.

— Ja tam nie trafię — wymruczał ochryple — a jak nie przestaniesz płakać, to nie będziesz miał sił mnie zaprowadzić.

— Boję się — odparł chłopiec.

I znów poczuł ból tam, gdzie niegdyś miał oczy.

— Zawiąż mi — poprosił i oderwał pasmo koszuli. Ręce mu drżały i z wysiłku, z jakim darł koszulę, pot wystąpił mu na czoło.

Chłopię przewiązywało mu oczy, on zaś wyczuwał małe i drżące palce na karku. Na ciemię upadło mu kilka łez palących.

— Muszę teraz wstać — powiedział. — Kija się tu nie znajdzie w pobliżu?

— Nie widzę — odparł chłopiec — ale mogę poszukać.

Raptem strach go przejął, że zostanie tutaj sam.

— Nie trzeba — rzekł ochryple. — Pomożesz mi dojść do domu.

Chciał wstać, poczuł, jak podchwyciły go w pasie małe rączki, z jakim wysiłkiem mu dopomagały, i głęboki szary smętek przeniknął go całego. Dźwignął się na czworakach i spróbował uklęknąć. Udało mu się to i poczuł ciepło na twarzy. Słońce było akurat naprzeciw niego i sączyło nań ciepłe poranne promienie. Znieruchomiał, wtapiając się w to ciepło.

Duch jego rozgorzał, a smętek już rozrastał się w białe kędzierzawe drzewo. Poznał nową moc, co ujawniła się w głębi jego jestestwa, w głębi tego ranka i słońca.

Dźwignął się z trudem, po czym dyszał ciężko, chwiejąc się na wszystkie strony. Chłopię go podpierało i zdał sobie sprawę, że to mu pomaga. Że teraz zdoła nawet pójść przed siebie.

Ale dookoła panowała ciemność i nie wiedział, gdzie postawić stopę. Jak gdyby zawisł w powietrzu i lękał się utracić równowagę. Bo gdy ją utraci, może już nigdy nie wstać.

— Poszukasz jednak kija — rzekł. — Bo inaczej nie poradzę.

Posłyszał, jak chłopię oderwało się od niego i jak prędko zaklaskały po drodze bose pięty.

— Co to za droga? — zapytał, ale nie był w stanie odgadnąć. I sił też nie miał. Siedział i słuchał, jak dzwonią na wiśni skowronki. Było to ciepłe melodyjne dzwonienie równie miłe jak poranne światło słońca. Wietrzyk powiał nań i przywiał zapachy ziół. Nawet rozróżniał, jak co pachnie, i to mu sprawiło jaką taką ulgę. Usiłował przypomnieć sobie dzień wczorajszy i to, co się z nim działo. Jednakże myśli te były zbyt bolesne i wrócił do słuchania skowronków. Siedział tak długo w osłupieniu, jak gdyby przemieniał się w kamień. Ciężki, chory głaz, co żyje jeno tym dzwonieniem i ciepłem poranka. I zapachami ziół.

— Jużem przyniósł! — posłyszał głosik nad sobą. Do rąk wetknięto mu sękatą laskę i powstał opierając się na niej.

— To jak mam iść? — zapytał nieśmiało i jakby z zakłopotaniem.

— A prosto! — wytchnął ciężko zgoniony chłopiec.

Przerzucił kostur do prawej dłoni i dał pierwszy krok. Poczuł duszności i zakręciła się pod nim ziemia. Jednakże zacisnął zęby i poszedł. Słońce grzało ich w plecy — szły dwie dziwaczne postacie — jedna ogromna, zwalista i rozkraczona, a druga mała, podskakująca przy niej jak ptaszek. Kołysały się w ciepłym żółtym blasku, jak gdyby kołysał je ranek, i płynęły przez bezkresne zielone morze.

Od tej pory w okolicach Orła pojawiło się dwoje nowych chodzących po prośbie. Małe obrotne chłopię wodziło ogromnego ślepca z twarzą pokrytą bliznami — był on taki wielki, a chłopię takie małe, że kto ich zobaczył, musiał się roztkliwić. Bowiem od wielkoluda biła taka moc przedziwna, że kazała zapominać o jego kalectwie, a od chłopięcia — sam smętek. Wątłe i delikatne jak dziewczynka, o chudej, wymizerowanej buźce, podbiegało do jakiegoś obejścia pozostawiając swojego olbrzyma na ulicy, i zaczynało wyśpiewywać, tańczyć i zawodzić żałośnie. Ludzie wychodzili z domów, by posłuchać malca i popatrzeć na osobliwego ślepca stojącego bezradnie na środku drogi i posłusznie czekającego, aż chłopię dopełni swego obrzędu. A ono wyśpiewywało

i ludzie wsłuchani we wdzięczny głosik ocierali łzy, co same napływały do oczu.

— Trudno żyć na białym świecie — śpiewał malec — już nie tyle, że sierocie, jak tej biednej głowinie, nie ma smutku z kim podzielić, nie ma dłoni bliźniej, ino muszę bez ustanku tułać się w obczyźnie. Chodzę, błądzę dolinami i nie znajdę między wami ojca ani brata...

Śpiewał tak wysokim i jasnym głosikiem, tak czysto i pięknie jaśniała twarzyczka, że ludziska nie skąpili jałmużny.

Ode wsi skręcali na pole i szli dotąd, aż chłopię się zmęczyło. Wówczas Iwan brał małego na ręce i szli znowu — mały podpowiadał, gdzie kałuża, a gdzie dół, dokąd skręcać i gdzie iść zachowując ostrożność — i w tym ich wędrowaniu było coś takiego, że zapominali o swojej żebraczej doli.

Wybierali zaciszne miejsce i siadali, by rozpalić ognisko. Jedli, co Bóg dał, po czym szli znowu. Na noc zatrzymywali się w jakimś chutorze albo pod gołym niebem; wówczas Iwan opowiadał bajki małemu, który skulony pod ręką swojego wielkoluda słuchał z takim zaciekawieniem, że wielka, szorstka dłoń ślepca kładła mu się na głowę i poczynała delikatnie głaskać.

I tak zasypiał. Czuł wtedy Iwan, że robi mu się błogo w sercu. Bo przez resztę czasu żył w ciągłym napięciu. Widział zwierzęta, co parły nań i targały rozcapierzonymi łapami — myślał o tym tak wiele, że jął zapominać prawdziwe twarze, znane ongiś, i budziła się w nim zajadłość. Wracało poczucie krzywdy, wzmagał się ból — w takich chwilach rozmotywał i obmacywał głowę: zarastała z wolna, ale pewnie. Do Nowego Orła nie wstępowali odtąd i starał się nie wracać tam myślami. Podobnie jak nie myślał o swojej chacie i o Motrii. Niekiedy jeno przepalał się w nim smutek, przychodziły doń wesołe, zalane słońcem pola i złoty lew, z którym się mocował. Wówczas pojawiał się na jego wargach uśmiech, skrytość znikała z twarzy i chłopiec, widząc to, cieszył się. W takie dni śpiewał weselsze pieśni, weselej przytupywał i pozwalał sobie na dłuższe wiersze, których z lubością słuchał sam Iwan, a ludziska się śmiali, aż brali się pod boki. Po czym wyruszali znowu i znów Iwan brał na ręce swojego przewodnika, który objąwszy go za szyję szczupłą rączyną, rozważnie wskazywał drogę.

Nastała jednak owa jesień, gdy Iwan obudził się pewnego ranka i długo wsłuchiwał się w dotkliwy ból, co nagle się w nim odezwał.

— Jaką mamy teraz porę? — zapytał i chłopię, wyłaniając

się ze stogu siana, w którym nocowali, odrzekło, że już ranek.

— Mnie nie o to chodzi — Iwan usiadł na sianie i poszukał twarzą słońca na niebie. Ale słońca nie było i zrozumiał, że ma się na deszcz. Jeszcze baczniej wyciągnął głowę ku niebu:

— Pytam, czy to już jesień, czy jeszcze lato?

— Wrzesień — odparł chłopiec.

Pojął wówczas, co go niepokoi. Wionęło nań butwieniem lekkich liści, chłodnym podmuchem i trupim zapachem pustego pola.

— Nie zimno ci? — zapytał, ale chłopiec nie odpowiedział. — Tak, na pewno ci zimno! — potwierdził. — Może wrócisz do szkoły?

— Nie wypędzaj mnie, wujku — rzekło chłopię żałośnie. — Ja nie chcę wracać do szkoły.

— Masz ci los! — rzekł Iwan posępnie. — A ja nie mogę chodzić po prośbie.

— To ja będę prosić — rzekł chłopiec równie żałośnie. — Wujek będzie stać na ulicy, a ja będę prosić.

— Czy jest tu gdzie blisko las? — zapytał.

— Blisko — tchnęło doń chłopię.

— Pójdziemy do lasu.

Wstał, otrząsnął na sobie świtkę i chłopiec nagle go się przestraszył. Jako że zatętniła w nim moc nieznana dotąd.

— Co chcesz zrobić, wujku? — zapytał, ale Iwan już ruszył naprzód. — To nie tędy — zawołało chłopię, wciąż jeszcze siedząc na sianie — trzeba w prawą stronę!

Skręcił w prawo, a chłopię pobiegło za nim. Uchwycił się troczka, co go Iwan miał u pasa, i poprowadził go.

Powiał na nich mroczny las, zleżałe listowie, ziąb jesiennego poranka, przywiędłe gdzieniegdzie zielsko. Zaszumiał wiatr i chłopiec jął podskakiwać, chcąc się rozgrzać.

Iwan szedł prędko i pewnym krokiem. Ciągnęło go do siebie skupisko drzew, las wzywał go przedziwnym głosem, i zrozumiał, że to znowu wychodzi na drogę lew. Mógł go już zobaczyć, poczuł jego oddech i ciepło jego sierści. Lew szedł z nim razem, mieli wejść pomiędzy żółte pnie sosen i wielkolud jął wspominać, jaki to jest ten żółty kolor. „Kolor ciepła" — pomyślał sobie i uśmiechnął się do swojego lwa.

Lew był smutny. Dobrze wiedział, że jest on markotny i niewesoły, że mu podobnie gorzko na sercu jak i chłopięciu, bo go ciągnie za trok niczym wołu. Wiedział jednak, że nie może powstrzymać tego marszu ani oszczędzić chłopcu jego rozgoryczenia. Tam, gdzie rozpoczną się drzewa, znów weźmie się ze lwem za bary.

— Widzisz tego lwa? — zapytał i chłopiec zapłakał.
— Nie widzę żadnego lwa — odparł.
— A daleko do lasu?
— Już zaraz.

Zresztą, wiedział to sam, bo nie pachniało już polem. Jedynie żółtymi pniami i płową skórą lwa. Przypomniał sobie nagle o miodzie, który wyjadał ze lwiej głowy, i pomyślał, że już nie będzie kosztować takiego miodu — jesienią może być tylko gorzki miód. Gorzki zapach, gorzkie pnie i gorzki lew.

A ten szedł przed nim, majtał zadem i jak gdyby uciekał. Iwan przyśpieszył kroku — nie chciał, żeby mu uciekł.

Nad nimi już zaszumiały drzewa. Wówczas przystanął.
— Czy opadły już liście? — zapytał i chłopiec na dobre się rozbeczał.
— Tu nie ma liści — powiedział. — Tu są sosny.

Nie czuł jednak sosen, jedynie woń zleżałych liści. Zresztą przypomniał sobie ów żółty kolor — zapach listowia, owych drzew i lwa.

Lew zwrócił do niego głowę. Wciąż jeszcze miał smętną paszczę. Smętną i dobrą, bo sam był smutny i dobry. Ale nie mógł być dobry w tej chwili, bo dookoła zapląsały paszcze zwierzęce. Wszystkie zamiauczały, zacharczały i zahałłakowały. Wszystkie one jak gdyby się wściekły i poczuł tęgiego kuksańca.
— Ostrożnie — rzekł chłopiec. — Tutaj wszędzie są drzewa.

Ujrzał, jak wokół niego zaczynają tańczyć zioła. Przyczołgały się doń chmiel i kanianka, ruszył z wypiętą piersią zwierzobój-dziurawiec, a za nimi murem stanęła głucha pokrzywa — jasnota. Tam za nią — oman i starodąb, a jeszcze dalej przytulił się kozłek. Poznał od razu to cuchnące ziółko — wionęło nań trucizną i pleśnią. Kwaśno zapachniała mięta, aż się wzdrygnął, bo ziele jęło oplątywać mu nogi.

Na skąpanej w słońcu polanie wciąż jeszcze stał lew, przy nim leżała lwica i baraszkowało kilka lwiątek. I zrozumiał, że już się nie wydostanie na tę polanę, bo tyle tu tego zielska i tak je czuć trucizną!

Wtedy zatrząsł głową i włosy opadły mu na ramiona — wyrosły przecie! Wyrosły już do ostatka, chociaż niedawno były jeno kosmyki.
— Popatrz — rzekł — odrosły mi już włosy.

Chłopię płakało.
— No, czemu ty płaczesz, głuptasie?
— Nie chcę tego, chcę chodzić z tobą, wujku, po drogach i zarabiać na chleb.

Popatrzył na lwa tam, na polanie, i uśmiechnął się melancholijnie.

— Będziesz musiał wrócić do szkoły — rzekł. — Wspaniały z ciebie chłopiec, ale nie możesz chodzić na żebry.

Chłopiec płakał, on zaś począł macać dokoła siebie.

— Gdzie tu jest drzewo? — zapytał.

Chłopiec wziął go za rękę i podprowadził do młodej sosny. Obmacał sosnę dłońmi i odstrychnął się.

— A jest tu większe drzewo? — zapytał, a gdy chłopiec zaprowadził go pod większe, ostrożnie obmacał je dłońmi.

— Stań za mną! — rozkazał i raptem wparł się w drzewo. Nad nim zakołysała się czapa i wielkolud przypomniał sobie to uczucie: jak to szeleści czapa i jak to on sam jest drzewem. Spojrzał na polanę, na której wciąż jeszcze stał lew.

Lew spoglądał nań bez drgnienia powiek i posępnie, ale Iwan odwrócił się doń plecami.

— Teraz my tam pójdziemy — rzekł. — Czy są teraz jakieś święta?

— Podwyższenia — szeptem wypowiedziało chłopię.

— To i dobrze — wymówił Iwan. — Dawno już czekam na to Podwyższenie.

Szli długo, chłopiec się zmęczył, wziął go więc na ręce. Małe, wątłe ciałko tuliło się doń i roztkliwiał się czując to ciepło. Szumiały nad nim wierzchołki drzew, choć dawno już wyszli z lasu i za nimi stąpał wciąż ten sam lew. Rozpoznawał jego skradanie się, ale się nie odwracał. Przywoływała go droga, więc się śpieszył. Wzywał go głos nieznajomy, któremu poddał się bez zastrzeżeń, i szedł coraz prędzej. Chłopiec zmęczył się płaczem, objaśniał znużonym głosem drogę, on zaś łagodnie przygarniał go do siebie.

— Tam znowu mnie bić będą — rzekł chłopiec niespodziewanie i on jeszcze tkliwiej przygarnął go do siebie.

Dookoła pachniało trawą i ziołami; gdy wkraczali na puste pola, czuć je było ściernikiem i chabrami. Zgadywał, że ściernisko było ciemne, chabry zaś bladomodre. Nad nimi takie same niebo: chmury jak ściernisko, a niebo chabrowe. Pomyślał, że owa bladomodrość wyraża całą tę jesień, jej wilgny i bezpański zapach. Jej ciepło i nici pajęcze, co lecą i lecą. I owijają włosy niczym kosztowne przędziwo. Włosy znów wiją się za nim jak proporzec, bo kroczy szybko. I siłę ma znów taką jak ongiś.

— Popatrz no — rzekł. — Czy nikt nie idzie za nami?

Za nimi nikt nie szedł, ale wybaczył chłopcu jego ślepo-

tę. Jako że wyraźnie słyszał śpieszne kroki, czuł słodko-gorzki smak i zapach, serce napełniało mu się coraz bardziej smutkiem i znużeniem. Był to smętek niemal podobny do tego, jakiego doznawał, gdy chodził do Motrii. I po raz pierwszy od dłuższego czasu pomyślał o niej. Zapachniało mu rumakiem-dziewczyną, zapachniało ciepłym mlekiem, ukazał się spłoszony uśmiech.

Jednakże był to tylko błysk, zgoła mizerny wśród tej goryczy i smutku. Odwrócił głowę, chociaż chłopię otoczyło mu szyję rękoma, i usiłował spojrzeć od tyłu. Z tyłu była czarna pustać, po której ukradkiem stąpał złotoruny lew. Lew patrzył nań równie niezmąconym wzrokiem i jego dobroduszna paszcza przypominała mu coraz bardziej słoneczną drogę do Motrii.

Nagle zachciało mu się odpędzić lwa, by zawrócił do swojej lwicy i lwiątek, ale nie miał siły, bo chłopię oplotło go rękoma i usypiało. Coś tam mamrotało, więc się przysłuchał.

— Bić mnie tam będą — rzekło.

— Musisz wytrzymać! — wyszeptał starając się nie zbudzić chłopca.

Ale gdy tamten już zasnął na dobre, przystanął. Bo naraz zdał sobie sprawę, że nie wie, dokąd ma iść. Parokrotnie potknął się i o mało nie upadł. Wówczas położył dłoń na twarzy chłopca, który obudził się i roześmiał.

— Zboczyliśmy z drogi — rzekł i idziemy polem.

Rzeczywiście poczuł ściernisko, kłujące w nogi. Za nimi zatrzymał się lew, legł na ściernisku i odpoczywał.

— Czy daleko jeszcze do Nowego Orła? — zapytał, nieufnie wysuwając twarz do przodu.

Owionął go zapach siedzib ludzkich. Zapach dymu i spalonego zielska.

— Jużeśmy prawie doszli — rzekł chłopiec. — To już są miastowe opłotki.

Iwan posłyszał, jak uderzył dzwon w cerkwi. Krągły, soczysty dźwięk jak kula między niebem i ziemią, co długo nie chciał się rozpaść. Jednakże rozpadł się na mnóstwo ech i zamarł. Wówczas pojawił się drugi dźwięk.

— Zaprowadź mnie do cerkwi — rzekł Iwan. — Do tej największej!

Chłopiec popatrzył na niego, twarz Iwana przepełniona była smutkiem.

— A co z moją chatą — zapytał. — Widać ją?

— Widać — szeptem odparło chłopię. — Ale wychodzą z niej jacyś ludzie.

— Jakie mają twarze? — zapytał Iwan z podnieceniem. — Popatrz, jakie mają twarze?

— Nie widzę ich twarzy — rzekł chłopiec. — To jest za daleko.

— Dobra — odetchnął i przysłuchał się, czy idzie za nim lew. Lew stąpał dalej. Iwan znów wciągnął nosem zapach siedzib ludzkich i dym palonych chwastów.

— Zaprowadź mnie do tej cerkwi! — rozkazał.

Podeszli do ogrodzenia i wielkolud poczuł, że kurz na drodze jest wystygły.

— Czy ludzie idą już do cerkwi? — zapytał.

— Idą!

— No to odpocznijmy.

Usiedli na poboczu i uchwycił zapach krwawnika. Był słodki i znajomy — wszystko tu żyło i oddychało tak jak w domu, wszystko jak gdyby nabrzmiało słońcem. I pojął, że słońce jednak grzeje. Niepewnym gorzkim ciepłem.

Zrobiło się cicho. Całkiem cicho. Gdzieś jeno piał kogut czy poszczekiwały psy.

— Ludzie już poszli? — zapytał Iwan jak gdyby nagle zbudzony.

— Poszli — odparł chłopiec.

— Zaprowadzisz mnie do tej cerkwi — rzekł Iwan.

Wstali i powoli, ze znużeniem, poszli. Lew też się podźwignął i bezgłośnie powlókł się za nimi.

Weszli do cerkwi. Od razu to poczuł: zapach wypalonych świec, oddechy ludzi, mamrotanie popa i śpiew, co gwałtownie spłynął z góry i pokrył wszystko miękką żałością. Iwan jak gdyby chłonął ów śpiew głęboki i spokojny, smętny i czysty. Zapachniało dymkiem kadzidła, pachniało nawet malowanie ze ścian — zapewne cerkiew odnawiano niedawno.

Stał za ludźmi, ale go dostrzeżono. Jak gdyby przeszedł wiatr, nie, to szumiały korony drzew. Drzew, które pną się do góry i giną gdzieś tam w niebiosach. Możliwe, że było tam też listowie.

Nachylił się do chłopca:

— Zaprowadź mnie pod filar!

Chłopiec ujął go za rękę, on zaś obmacał dłońmi szorstki słup. Dopiero teraz poznał, że to rzeczywiście jest sosna. Za nim stał lew, uniósł głowę i wsłuchał się czujnie. Wiedział już, że gorycz bez reszty napełniła mu duszę. Śpiew i głosy ludzi, szept i szelest, oddechy i zapach kadzidła — wszystko niby uniosło się do góry i rozpłynęło tam, pod kopułami. Pod chmurami jak ściernisko i pod chabrowym niebem. Tchnęła nań jesień i spoglą-

dał lew. I znowu wzdrygnął się, wstrząsnęła nim nagle fala śmiechu. Podczołgał się doń chmiel i kanianka. Poszedł z wypiętą piersią krwawnik i posępnie zaszumiała głucha pokrzywa. Tam dalej zaznaczał się oman i starodąb, a za nimi przytulił się kozłek — cuchnące ziółko. Ziółko rozlało swoją truciznę i pleśń. Kwaśno zapachniała mięta i poczuł, że zielsko oplątuje mu nogi. Wówczas przygładził włosy, co bujną grzywą opadały mu na ramiona. Przypomniał sobie smak miodu, którego miał sposobność zakosztować jeszcze tam, na drodze. Ów smak był odległy jak zapach zbutwiałych liści — zjawiło się ciepłe widziadło dziewczyny-rumaka i jej błogi zapach. Ale znów chlusnęła fala chichotu. Zbliżały się doń jakieś twarze. Były dziwaczne, bo stroiły grymasy, pokazywały wzdętymi jak kloce paluchami, spluwały i jazgotały. W głowie zawirowały mu obręcze. Jedna, druga, trzecia — splotły się ze sobą i wirowały jak spirale. Dziwaczne bestie okrążały go zewsząd. Miały ludzkie kadłuby i paszcze zwierzęce. Wszystkie one miauczały, wrzeszczały i hałłakowały. Wszystkie one jak gdyby się wściekły i poczuł, że lada chwila zacznie się bitka. Pochylił się nad chłopcem i ucałował go w czoło.

— Uciekaj teraz! — wyszeptał.

Chłopiec zapłakał, on jednak zrobił się nagle taki srogi, że zawołał co siły:

— Powiedziałem ci, uciekaj!

Chłopiec rzeczywiście się przestraszył, popatrzył nań oczyma pełnymi zgrozy i powoli się wycofał.

Ludzie obrócili się w ich stronę, rozległ się szept, korony drzew, tam pod niebem, zakołysały się i jęły tracić liście. I olbrzym nabrał głęboko w płuca powietrza. Naparł grzbietem na pień i wszystko nagle zawirowało. Rozległ się trzask, zakrzyczeli ludzie, zakrzyczały zwierzęta, skądś z ciemności wynurzył się przerażony tchórz. Też coś zakrzyczał — wszystko zakołowało, wszystko przeobraziło się w kisiel, aż ten krzyk zacichł — cerkiew się zakołysała. Poczuł gorycz, całe fale piołunowej woni runęły nań z góry i spowiły go.

Znowu się napiął, aż krew nabiegła mu do twarzy, aż stężały mu mięśnie i odrętwiało ciało. Fale piołunu przetoczyły się jeszcze gęściej — nie było już nic prócz piołunu i zapamiętania, prócz goryczy i lwa, co śpiesznie szedł mu na spotkanie.

„Tak to — zdążyła zaświtać mu myśl — znów weźmiemy się ze sobą za bary."

Lew skoczył nań i zakotłowali się w tym piołunie, którym zarosła cerkiew, i na nich obydwu z łoskotem zwaliła się ciemna lawina chmur czy też drzew zdruzgotanych.

CZARNA KUMA

Szedł drogą, od stóp do głowy otulony w mgłę, co bynajmniej nie dodawało mu ciepła. Za nim biegł, nieomal rozpływając się w siwym mleku, niewielki psiak, któremu było równie zimno jak jego panu.

— Czy będziemy dzisiaj jeść? — zapytał piesek zdyszany.

— Zawsze ci to jeno na myśli — rzekł Iwan. — A ja mam dziś w głowie co innego.

— Wy, ludzie, wynajdujecie sobie kłopoty — rzekł pies i aż mu dech od mgły zaparło. — Komu potrzebne są te kumy i chrzciny, jak nie ma co na stół postawić?

— Dlatego właśnie ludziom do mnie nie śpieszno — odparł Iwan. — Widziałeś sam, że całą ulicę okolędowałem i wszyscy nosem ino kręcą. Skoroś taki mądry, że i po ludzku gadać potrafisz, poradziłbyś, gdzie tu znaleźć tych kumów. Chcę żyć jako się godzi...

Pies milczał. Przypomniał sobie, że wczoraj opędził głód jeno suchą kromką i kością, którą znalazł włócząc się po ulicy. Pomyślał nadto, że gdyby nad ziemią było słońce, a nie ta przeklęta mgła, to mimo głodu poczułby się raźniej.

— Nie mówisz nic — rzekł Iwan — a dlaczego? Nie masz słowa na moje kłopoty, to i ja go nie znajdę...

Przystanął i popatrzył przed siebie. Ujrzał kłębiastą kulę, w której wnętrzu tlił się mdły płomyk. Płomyk ten nic nie oświetlał, jedynie kwitł jak złoty kwiatek.

— Tośmy są w domu — rzekł Iwan, przechodząc górą przełaz. — A gdybyś mi pomógł znaleźć kuma i kumę, to byś podjadł dziś trochę. — Chrzciny to wielkie święto u ludzi...

Psiak szczeknął. Skargliwie i donośnie, bo z głodu już nawet nie mógł mówić po ludzku. Mężczyzna tymczasem otwarł drzwi, które zaskrzypiały głośno i rdzawo: tam, gdzie tlił się płomyk ze złotą czapką, leżała po połogu jego żona.

— Toś nie sprowadził nikogo? — spytała.

— Nikt nie chce. Chodziłem po ludziach wczoraj i dziś i nikt się nie kwapi...

— Do Stryżów zapukaj — rzekła żona.

Gubiła się całkiem w mroku, bowiem płomyk na stole zgoła nie świecił; Iwan widział jeno, jak oczy jej migocą.

— Nie paliłabyś światła na próżno! — rzekł.

— Kiedy ja się boję bez światła — odparła. — Coś wtedy po kątach piszczy i lamentuje! — znów popatrzyła nań z ciemności i dostrzegł jej łzy. — Pójdź no, mężu, do Stryżów, może choć stamtąd kogoś przyprowadzisz. A nie to może dziada zdybiesz po drodze albo kogo bądź, żeby dziecko nie zostało bez znaku krzyża.

— Zmokłem na wskroś — powiedział. — Rzeka płynie ze mnie!

Spojrzała nań i zobaczyła, że istotnie ocieka wodą, co płynie i ginie we mgle, która zaległa od wczoraj wieczora, i żal się jej zrobiło posyłać go w ową nieogarnioną ciemność. W sercu jej świecił płomyk podobny do tego na stole i płomyk ów zaświecił zgoła niedawno. Iwan wówczas dotknął jej serca i rozniecił je, no i stąd mieli teraz dziecię. Tak kochała to dziecię, że nie mogła siedzieć po ciemku, ale rozrzutnie paliła światło i to, co mówiła mężowi, że się boi, było nieprawdą — chciała patrzeć na syna. Ten zaś, który jej dał owo szczęście, tkwił jak pień we drzwiach, mokry i żałosny, spływała po nim i nikła w ciemności siwa struga, po której płynęły, niczym jasne kulki dmuchawca, ich dni przeżyte razem.

— Bo i prawda — ozwała się. — Czy to nasz grzech, że nic nie mamy? Do Stryżów pójdziesz jutro.

On jednak już przekroczył próg, bo tutaj, w suchej chacie i przy świetle, nabrał siły, łyknął tego światła pełną piersią, i zaraz wyschło mu odzienie na grzbiecie; wiedział już, że po wyjściu na dwór nie zobaczy tej mgły, niebo będzie czyste i rozgwieżdżone, on zaś ruszy ową ścieżką — strugą, którą sam po sobie zostawił.

Żona jego w chacie westchnęła ciężko, ale pod jej bokiem zapłakało i zamarudziło coś wątlutkiego, musiała więc zapomnieć o mężu, który znów przepadł z domu, obnażyła i włożyła do małych usteczek pełną, nabrzmiałą pierś.

Na dworze mgły rzeczywiście nie było, lecz jasna gwiaździsta noc; Iwan stał oddychając pełną piersią i rozglądał się. Psiak wybiegł z budy, zamachał ogonem i przytulił się do nogi gospodarza.

— Zostań tu — rzekł Iwan — a ja jednak wybiorę się do Stryżów. Nim wrócę, to już zaświta.

— Pójdę z tobą — odezwał się psiak. — Bo inaczej z kim będziesz rozmawiał?

Mężczyzna znów uniósł się nad przełazem, a pies go po prostu przeskoczył. I rozpostarła się przed nimi całkowicie srebrna droga, jak gdyby naprawdę płynęła nią rzeka — oprócz gwiazd zaświecił na niebie jeszcze i księżyc. Poszli po tej drodze, jak gdyby popłynęli czółnem, a gdy oglądał się za siebie, to nie widział już ani swej chaty, ani miasteczka, jeno kłębiaste kule, w których przebijały cienie jego sąsiadów oraz tej, co mu już narodziła dziecię. Ujrzał, a może wspomniał jej wielką urodę i posłyszał ów cichy śmiech, jakim się śmiała, gdy była pełna jego pieszczot i pocałunków. Ujrzał i wierzbę skąpaną w księżycowej poświacie, i poczuł zapach rosy, a rosa pachnie jedynie dla tych, którzy pośród niej kochają się szczerze. Z tej to przyczyny przyleciał doń bezszelestnie gacek i upadł mu na rękę, którą wystawił był do księżyca; rozłożył skrzydła i zadygotał.

„Tak się martwię — pomyślał Iwan — a to niby dlaczego?"

— Czego mam się martwić — rzekł sobie — skoro mam u siebie wielką radość, słyszysz, piesku? Powinienem wszak tańczyć i radować się pod tym księżycem i jasnym niebem. Czyż nie tak, piesku?

— Dziwnyś ty, dziwny — zauważył pies. — Ale czemużeś tak mocno zaciągnął sobie pasek?

— To po to, piesku, by mi się lepiej tańcowało. Bowiem syn mi się narodził, słyszysz, piesku, syn!

— Nie wiem, z czego tu się cieszyć! — twierdził pies, a mówił tak dlatego, że za dużo mgły się nałykał i mgła owa jeszcze siedziała mu we wnętrzu niczym szary wojłok. Sam też był szary, jak gdyby z szarego filcu skrojony, jedynie ślepia błyszczały mu jak srebrne.

Spojrzał tedy Iwan na złote oko pośrodku nieba i na te tysiące czy też Bóg wie ile innych oczek; wydało mu się, że lada chwila pogasną — ich ciche bladomodre światło rozlewało się dokoła. I rozlewało się tak gwałtownie, jak gdyby gdzieś pękła tama i polało się ono na ziemię jak woda; aż zadygotało niebo nad ich głowami i ukryło w popłochu gwiazdy, a może jeno zmrużyło je w obawie? I księżyc też gdzieś się podział, choć na niebie nie było ani chmurki, jak gdyby na świecie były takie czarty, co kradną z nieba owe księżyce. Naprawdę to śrežoga poranna połyka je jak dziecko skibkę dobrego chleba, kruszyny zaś rozrzuca po niebie; i nigdy, jak opowiedział mu o tej przedramnej godzinie piesek, nie zdarza się coś takiego, by

na niebie dwa razy wschodził ten sam księżyc. Wieczorem wzejdzie całkowicie nowy, a zjedzono ich już na tym świecie tyle, ile jest gwiazd na niebie, jako że gwiazdy są to okruchy i ogryzki tamtych księżyców.

— Uważasz — rzekł Iwan krzesząc ognia do fajki. — Nazwałeś mnie dziwnym, a naprawdę to ty jesteś dziwniejszy. Takie zabawne bajki opowiadasz...

— Bom głodny — rzekł pies łykając ślinkę. — I sam bym z ochotą zjadł taką pajdę dobrego chleba...

Wówczas to zoczyli tę kobietę. Szła nie do nich, lecz od nich, zapewne skręciła tu z bocznej dróżki. Ubrana była na czarno i z początku Iwan pomyślał, że to noc wychodzi z ziemi. Jej długa i czarna suknia słała się do ziemi i omiatała kurz, bowiem szła ta kobieta nader wolno i uroczyście.

— Jakaś pani idzie — powiedział pies. — Lepiej jej nie zaczepiać.

— Pierwsza nam się trafiła po drodze — zaoponował Iwan. — A czy znasz ty nasz zwyczaj?...

— Nie znam waszych zwyczajów — odparł pies — ale tę kobietę obszedłbym o dziesięć dróg dalej.

— Tu jest tylko jedna droga — rzekł Iwan. — A zwyczaj każe, by zaprosić w kumy pierwszą napotkaną osobę.

Na to pies znów zapomniał ludzkiego języka i szczeknął donośnie i smutnie, podkulił ogon i sierść mu się zjeżyła; zawarczał ukazując kły i jął się cofać. Iwan zaś nie czuł lęku, ale raczej nieokreślony smutek, bowiem ta postać w czerni przypominała mu noc, którą przeżyli, a było w niej zbyt wiele smutku. Odetchnął pełną piersią i nabrał sił, by okrzyknąć tę kobietę, co szła nie do niego, lecz od niego; gdy zaś odwróciła się gwałtownie, Iwan ujrzał, że oczy ma wielkie i ciemne, płeć białą i pańską, usta zaś czerwone, niby podmalowane barwiczką.

— Dokąd idziesz, człowiecze? — spytała, i choć była daleko od niego, posłyszał ją dobrze.

— Dobry Bóg dał mi potomka, pani dobrodziejko — rzekł zdejmując czapkę — i już drugi dzień jak dziecko nie ochrzczone, nikt się w kumy nie śpieszy...

Pies już gnał drogą, dokąd oczy poniosą, pędził go stąd strach nie z tej ziemi. Jednakże Iwan nie bał się w dalszym ciągu, choć nigdy w swoim życiu nie spotykał takich białogłów.

— Wróć — rzekła wpółobrócona do niego. — Sama ci będę kumą...

— A kum? — zapytał czując już nieco strachu.

— Znajdziemy go po drodze — rzekła kobieta i prędko poszła w jego stronę.

Zobaczył wówczas, że światło wokół niego jeszcze jest bardzo rzadkie, że świt napędzając na ziemię pierwsze fale brzasku jak gdyby zastygł — stał więc i wyczekiwał na swoją kumę, ową panią czarną jak noc. Jednakże nie była to noc, a nawet i nie pani, bo gdy podeszła bliżej, ujrzał niemłodą wieśniaczkę w ciemnej opończy, a spod chustki wyzierało pasemko siwizny.

— Wziąłem cię za panią, cioteczko — rzekł Iwan. — Tak dziwnie mi się z dala przywidziało...

— Co ci się przywidziało, zapomnij! — rzekła surowo kobieta i zdumiał się mimo woli: oczy miała właśnie takie ogromne i nie z tego świata, jak mu się przywidziało...

Poszli traktem, opowiadał jej półgłosem o swojej niedoli, ona zaś milczała. Opowiadał o swoich daremnych poszukiwaniach i o małżonce; ucieszył się, że mimo wszystko naraił sobie kumę, choć i nie całkiem zwyczajną; przeto z uśmiechem opowiedział jej o swoim niezwykłym piesku, z którym wędrował przez te dni. Piesek ów był przybłędą, ale mówił ludzkim głosem i takie cudne bajki opowiadał. O tym na przykład, że wyszedł z miasta, co skryło się pod jeziorem — aż zabawne było słuchanie tego wszystkiego.

— A skoro cię zobaczył — rzekł Iwan — coś takiego dziwnego się z nim przydarzyło!...

I opowiedział o dziwach, które się jego psu przydarzyły.

— Zapomnij o nim! — rzekła kobieta i zakaszlała ochryple w nastawioną dłoń.

Spostrzegli wtedy, że naprzeciw im idzie kołysząc się z boku na bok jakiś mały człowieczek. Czapki na głowie dawno już nie miał, czupryna mu się rozwichrzyła, a świtkę wlókł w kurzu. Zdawało się, że człowieczek ten śpiewa, bo co sił otwierał pyszczek, ale zamiast śpiewu wydobywało się zeń coś na kształt ptasiego ćwierkania. Raz po raz przytupywał bosą nogą, a wtedy unosił się nie przygnieciony rosą kurz, jako że rosy dzisiaj nie było! Ów kurz z owym człowieczkiem jak gdyby zbijali się w kłębek, niekiedy człowieczek wydostawał się z tego kłębka, wówczas znosiło go na pobocze. Tkwił tam, ale nie upadał, po czym wracał na drogę i znów otwierał usta jak mógł — rozbrzmiewało w nich coś podobnego do śpiewu skowronka.

— Masz tutaj kuma — rzekła kobieta i Iwan obrócił się ku

niej, by popatrzeć, czy czasem nie żartuje. Nie kpiła jednak, uśmiechnęła się jeno, takiego uśmiechu wszakże nie chciałby zozobaczyć na ustach swej żony — zapachniało mu piołunem i pomyślał, że piołun pachnie człowiekowi bynajmniej nie wtedy, gdy chce mu się tańczyć.

— No i sprawiamy dziś chrzciny! — rzekł Iwan, gdy powracali z cerkwi i podążali ulicą miasteczka, w którym Iwan znał każdego z osobna i wszyscy go znali. Ów „każdy" podówczas stał przy przełazie, pode drzwiami, przy oknie, albo też wyglądał spoza firanek; „każdy" widział ów dziwny orszak — środkiem ulicy szła wysoka kobieta w czerni, niosła na rękach dziecię, a miała w sobie trzy dziwne cechy: pierwszą tę, że nikt jej dotąd w życiu nie widział; drugą, że była nadmiernie wysoka, a i strój miała jakiś nietutejszy, trzecią — że oczy miała nie z tego świata. Ktokolwiek poczuł je na sobie, czuł zarazem, jak ciarki mu chodzą po skórze, przeto „każdy" czekał, aż minie go ta procesja, a wtedy już będzie można porozmawiać o tym dziwowisku. Zresztą nie tylko o tej kobiecie mieli ochotę pogadać mieszkańcy owej ulicy: obok niej szedł Iwan, jak gdyby nie na niego trafiło nieszczęście i nie po jego sąsiekach hulały bezpańskie przeciągi; szedł i na twarzy miał wypisaną pogardę dla każdego, kto odmówił mu kumostwa, i ów „każdy", do którego się był zwracał, myślał mimochodem, że uczynił to niezbyt oględnie. Mógłby zastąpić przynajmniej owego cherlawego pijaczka, który dreptał za nimi dwojgiem na chudych nóżkach, miał długą i cienką szyję i telepał się z boku na bok. A ponadto jeszcze kilka dziwnych spraw zauważyli Iwanowi sąsiedzi: po pierwsze, że jeszcze nikt w życiu nie widział owego pijaczka; po drugie, że jest mały do niemożliwości; po trzecie, że nawet nie śpiewa, gdy otworzy usta, ale ćwierka jak ptaszek.

Otóż, dopóki szło tych troje, głucho milczała ulica, nawet psy pozaszywały się w swoich budach, bo poczuły coś budzącego grozę; kobiety pozwalały sobie porozumiewać się jedynie spojrzeniami i wyrażały w ten sposób nieme zdziwienie — coś majestatycznego i nieziemskiego dawało się odczuć w dłoniach czarnej kobiety, jakoś i opończa osłaniała jej postać nader zagadkowo...

— Zamiast mnie, wyście przecie zapłacili — mówił tymczasem Iwan — i tak mi wstyd, tak już nijako! Bądź co bądź jam gospodarz, dziadujący wprawdzie, ale nie chciałbym brać od was bez krępacji. Ino czy ja zdołam zwrócić wam ten dług?

— Zwrócisz — rzekła kobieta uśmiechając się samymi ustami.

— I jeszcze jedna zgryzota mnie trapi — rzekł Iwan. — Idzie-

my wyprawiać chrzciny, a u mnie w chacie jeno garsteczka jagieł.

— Obejdziemy się i jagłą — odparła kobieta.

Wchodzili już do chaty, jako pierwsza czarna kuma z dziecięciem, drugi — człowieczek, dla którego próg okazał się za wysoki, aż gospodarz musiał przesadzać go, pijaniusieńkiego.

— A co — szepnął człowieczek — możeś rozpoznał mnie tymczasem?

— A gdzieżem to miał cię poznać? — rzekł Iwan przechodząc przez próg.

W głębi chaty już dwornie rozmawiała Iwanycha z kumą, człowieczek zaś raptownie zapuścił rękę w głęboką kieszeń portek i wyciągnął stamtąd sporą butelczynę.

— Naści! — rzekł krótko i roześmiał się, a raczej zaćwierkał jak ptaszek. — Lepiej byłoby, żebyś mnie poznał, zanim będę taki, jakim mnie wkrótce zobaczysz...

Iwan otwarł usta, by powiedzieć, że człowieczek w czymś mu przypomina tak niespodzianie utraconego pieska, ale w tym momencie zawołała nań gospodyni i poszedł z butelczyną w dłoni i uśmiechem na twarzy.

— Czy widziałaś, żono, że i gorzałkę mamy? Wyprawimy chrzciny jak się patrzy.

Kuma już siedziała na ławce pod ścianą, twarz zaś przy świetle, jakie było w chacie, miała bladą, smętną i wyczerpaną. Zdawało się, że snuje jakąś nieskończoną myśl, podczas gdy człowieczek już wyłaził na wysoki zydel przy stole.

— Cóż my damy gościom do zjedzenia? — spytała znad podłogi gospodyni.

Miała obnażoną pierś, do której już się przypięły małe usteczka i ssały mleko pocmokując.

— Nie troszczcie się — uniosła nagle oczy kuma. — Gorzałkę macie, a jedzenia już wam dostarczę.

Wstała i jęła się rządzić w chałupie, jak gdyby nie pierwszy raz tutaj gościła, ruchy miała pewne i nieśpieszne.

Rozstawiła półmiski i garnczki, rynkę i talerze, i gdy tylko naczynie dotknęło rozścielonego obrusa, pojawiała się w nim strawa i to nie byle jaka: zawiesisty barszcz z mięsem i do niego kasza okraszona słoniną, pieczone kaczki, racuchy. Iwanowi aż oczy zbielały, gdy patrzył na to bogactwo, a człowieczek znowu zaćwierkał.

— Poczekajcie, pani matko! Czy do tego jedzenia obejdziemy się jedną butelką?

Zeskoczył ze swego stołka i znów zapuścił rękę do bezdennej

kieszeni wyciągając z niej i stawiając na stole jeszcze dwie butelki.

— Muszę się urżnąć! — powiedział człowieczek. — Na twoich chrzcinach to mi za grzech nie będzie policzone.

— Masz tu co jeść — rzekła czarna kuma i znów usiadła na ławie opierając się o ścianę. — Jeden tylko warunek stawiam ci na razie: nie zgaduj przed czasem, cośmy za jedni.

Wówczas Iwan spotkał się oczyma ze swoją żoną i zobaczył w jej oczach dwie przejrzyste i prześliczne łzy, przez co przestała wyglądać na taką zmizerowaną i znów stała się podobna do tej jak była wówczas, gdy wybiegała doń ciemną nocą albo gdy spotykała się z nim przy studni.

— Iwanie, Iwanie! — zaniosła się szlochem. — Za co spotkało nas takie szczęście?

— Taka wola Boska! — rzekł Iwan i potrząsnąwszy czubem roześmiał się zgoła podobnie, jak śmiał się dopiero co człowieczek. Podszedł do stołu zapraszając ruchem ręki jak stateczny gospodarz, bowiem wszystko, co dymiło i pachniało u nich na stole, rzeczywiście spadło im z nieba.

Ulica tymczasem szumiała gwarem. Od chaty do chaty biegły najpierw szepty, po czym i głośniejsza mowa zabrzmiała, a jeszcze po jakimś czasie gospodynie przekrzykiwały się, jak gdyby pogubiły się w lesie.

Ataman miejscowy, suchy i wysoki, zgięty w karku, by ująć trochę wzrostu, z wąsami, co przechodziły w kitki i opadały mu do piersi, z oczyma czerwonymi od żyłek i brwiami jak strzechy poszedł do swego domu, przy nim zaś biegł w podskokach jego syn najstarszy, co nie wdał się w ojca wzrostem ani usposobieniem i już lat kilka pętał się wśród niedorostków. Ataman z dostojeństwem kołysał się w cholewach, miał na sobie żupan z kitajki wyszywany w wielkie kwiaty, a na wierzch narzucony wielki kontusz z wylotami u rękawów. Na głowie tkwiła mu barankowa czapka, a w ustach dymiła gliniana fajeczka. Nachylił z lekka głowę i słuchał syna opowiadającego mu o Iwanowych kumach i o samym Iwanie, o tym, że tu z pewnością nieczysty maczał palce, bo skąd by tak od razu Iwan się wzbogacił? Wówczas ataman powiódł wzrokiem i zobaczył przy sobie pod nogami jeszcze jednego syna, na ten raz tak maleńkiego, że go ledwie było widać nad ziemią. Ów syn spod białej kapki włosów zadarł na ojca buźkę przypominającą słoneczko i pocierał brudną bosą nożynę o drugą równie brudną i bosą.

— Jakże się tam oni bawią? — zapytał ataman i chłopiec,

podwinąwszy zgrzebną koszulinę, zerwał się, jakby go ktoś ukłuł. Za chwilkę już przebierał piętami i kędziorkami potrząsał. Stanął tedy ataman i przygładził wąsa z ukontentowaniem.

— Będą z niego ludzie — rzekł sentencjonalnie.

Ale chłopczyk biegł niedługo. Wkrótce już tylko szedł. W ręku jego znalazła się witka i jął nią śmigać po prosiaku. Śmignął i świnię wylegującą się w kałuży na środku drogi, aż kwiknęła spłoszona i wyskoczyła z brudnej wody. Chłopaczek zadarł głowę i olśniło go jasne słońce, które oprószyło go promieniami. I może z powodu tego słońca lub czegoś innego jeszcze stał się raptem niewidzialny, aż osłupiała zdumiona świnia, którą tak niemiłosiernie wypędzono z ciepłej kałuży. Zamrugało powiekami kilka par zdumionych oczu śledzących od niechcenia chłopaczka, sam zaś malec był już za płotem w Iwanowym obejściu i przymierzał się, z której strony będzie mieć łatwiejszy dostęp do okna. Postanowił zajrzeć przez to okno, przez które zagląda słońce, jako że ludzie w chacie spostrzegając go mogliby pomyśleć, że to zgoła nie on zajmuje się podglądaniem, ile samo słońce, był bowiem konopiasty i miał złote włosy. Przylgnął do szybki i z miejsca dostrzegł go w tym oknie człowieczek trzymający w ręku gliniany dzbanek i bez pośpiechu sączący z niego nalewkę. Człowieczkowi zdało się w istocie, że to słońce zagląda do ich mieszkania, złota głowa zaś zadygotała z ciekawości, co się dzieje w owej tajemniczej chacie.

Cóż się tam nie wyprawiało... Na kobzie, aż zgięty nad nią, grał Iwan, a czarna wysoka kobieta tańczyła. W ręku trzymała kubek z napitkiem i minę miała prawie wesołą. Po chwili chłopiec ujrzał jeszcze większe dziwo. Gospodarz domu, do którego zaglądał, zawiesił swoją kobzę na kołku i podał czarnej kumie rękę. Tańcować jęli we dwójkę, podczas gdy wisząca na ścianie kobza nie przestawała grać. Człowieczek z dzbankiem śmiał się, ale nie był to śmiech, ćwierkanie raczej, co słyszał chłopiec nawet przez szybę. Zobaczył ponadto wesołą twarz gospodyni i dziecię śpiące na jej ręku — i nic z tego, co ujrzał, nie zrozumiał, bo był jeszcze mały i całkiem głupiutki. Jedynie trzy rzeczy go zdumiały: kobieta w czerni, która tańczyła tak zawzięcie, nie miała ani cienia uśmiechu na twarzy, przystojnej, ale i lęk budzącej, ubiór zaś miała nietutejszy. Ponadto ujrzał chłopaczek stół zastawiony jedzeniem i choć był atamańskim dzieckiem, takich potraw w życiu swoim nie widywał. Stąd też napłynęła mu do ust ślinka i oderwał się od szyby, zsunął na dół i splunął trafiając śliną w czarnego chrząszcza, co wędrował sobie wśród burzanów. Chłopiec przymrużył oczy w rozmarzeniu i zaczęło go grzać słońce, ale słońca tego było za mało, by nie

miał się zdrzemnąć. A gdy się ocknął, to i słońce już nie zaglądało przez okno, przy którym siedział, ino podeszło pod drugie. Podkradł się więc pod to drugie i zobaczył, że tamci w chacie wciąż jeszcze hulają, że tańczy czarna kuma, wokół niej chodzi zataczając się człowieczek. Iwan znów siedział z kobzą i przygrywał, a żona jego piastowała dziecię — chłopiec zapatrzył się na wielką białą pierś, co świeciła w chacie niczym słońce.

Gdy zaś palce Iwana zmęczyły się grą na kobzie, bo i sama kobza się zmęczyła i jedna struna w niej pękła, nie wytrzymał człowieczek i po pijanemu potoczył się pod stół, gdzie od razu zasnął i zachrapał, jak gdyby to wielki dryblas dawał sobie ducha. Zrobiło się w chacie sennie i cicho, po czym zasnęła też Iwanycha z lubym swym dziecięciem — syci byli wszyscy i kontenci. Iwan siedział przy stole i zasypiał na siedząco — powieki już mu się kleiły, jedynie kuma była rześka, zmęczenie się jej nie imało.

— Zasiedziałam się tu u ciebie — rzekła. — Na wszystko jest swoja pora...

Popatrzyła nań czarnymi oczyma, ale nie podniósł głowy.

— Możecie gościć, jak długo chcecie! — ozwał się wreszcie i popatrzył na nią z wdzięcznością.

— Nie życz sobie mojej gościny — roześmiała się ochryple.

— Wszystko jedno! Tyleś mi dopomogła! Dobra jesteś...

— Moja dobroć ma swoją podszewkę — rzekła kobieta. — A czyś mnie poznał?

— Miałem nie zgadywać — rzekł niby chytrze.

— A jednak poznałeś — uśmiechnęła się. — Poznałeś i nic nie mówisz. Strach cię obleciał?

— A kto by się nie bał? — odpowiedział. — Inom nie wiedział, że wy i dobro sprawiać możecie.

— Nic na świecie nie jest tylko złe albo tylko dobre — rzekła czarna kuma w zamyśleniu. — I kto wie, czy takie wielkie szczęście da ci moja dobroć.

Siedział przed nią i patrzył. W oczach miał dwie bolesne iskierki i nie mogła wytrzymać jego spojrzenia.

— No cóż — rzekła. — Teraz już, kumie, czas na mnie. Wszakże uczynię cię wielkim lekarzem. Nakop sobie jakiegoś ziela, jakiego bądź, byleś jeno miał, a jak przyjdę brać duszę, to będziesz odtąd widział: jak będę w głowach chorego, to kuruj tym zielem. Warz je przy ludziach, zamawiania wypowiadaj, by cię miano za znachora. Mów odtąd, że ten człowiek wyzdrowieje ze swojej niemocy, i stanie się tak, jak mówisz.

Patrzył na nią bacznie i nieco zachłannie. Ona zaś jeno rzuciła nań okiem i na jej ustach zjawił się lekki uśmiech. Z tym uśmiechem ciągnęła dalej swoje pouczenia:

— A jak będę w nogach, to mów: nie ma co go leczyć, bo ten człowiek i tak nie wydobrzeje. I żeby sto dusz było w tym domu — rzekła — nikomu się nie pokażę, jeno tobie!

Na te łowa przymknął oczy, by się uspokoiło jego rozdygotane w piersiach serce i by się opamiętać od nagle doznanej radości. Wsłuchał się w szelest jedwabiu, bo czarna kuma już odeń odchodziła, pozostawiając go samego w tym uśpionym świecie. A gdy już przestępowała próg, otworzył znów oczy i ozwał się do niej półgłosem:

— A pieska mojego — zapytał — już mi wolno poznawać?

Wszystko, co się da, obgadały ludzkie języki, Iwanycha też wstała z posłania. Krzątała się po gospodarstwie i hołubiła dzieciątko. Przybiegały do niej sąsiadki, choć przedtem nawet progu nie chciały przestąpić, i wypytywały się dyplomatycznie, jakich to oni kumów dla syna wytrzasnęli. Ale Iwanycha odpowiadała im coś tak ostro, że w te pędy wybiegały z chaty jak gromem rażone, zapominając o swojej dyplomacji, purpurowiały i przysięgały sobie za żadne skarby nie przekraczać tego progu. Ino najmłodszy synek atamana mógł coś opowiedzieć o tych niezwykłych rodzicach chrzestnych, lecz opowiastki jego zgoła na bajkę zakrawały. Opowiadał, że owa czarna kuma nie miała na twarzy skóry, jeno kości, prawił też, że ten kum-pijanica był to naprawdę pies wystrojony jak człowiek. Ludzie kiwali głowami, boć na to jest małe, by opowiadać bajki, sam zasię ataman marszczył krzaczaste brwi i wygłaszał aż nazbyt zawiłą mądrość:

— Może zmyśla, a może i prawdę mówi! Ino aby z tego jakie licho nie wynikło!

Uniósł twarz do góry i nagle posypał się nań drobny deszczyk. Ów deszcz siąpił później przez cały tydzień. Drobny i dokuczliwy, dziobał dachy, kałuże i obejścia, ziemia od niego zrobiła się porowata, a strzechy, choćby nie wiedzieć jak grube, przepuszczały wilgoć, jako że drobne kropelki przenikały pomiędzy słomą jak robaczki. Powiadano, że ten deszcz porobił cedzaki z garnków, które jak zwykle wnieść zapomniała zawczasu do domu jedna z gospodyń; tenże deszcz niczym rój pszczeli opadł miejscowego atamana, gdy jechał do kancelarii setnika. Jechał tedy puściuteńką drogą i wydało mu się że tysiące palących much krążą wokół niego. Koń stanął i stał, niczym słomiany wołek, aż ata-

man zerwał czapkę z pijanej głowy i zamachał nią, podczas gdy z ust popłynęła mu ni to pieśń, ni to modlitwa. Deszcz tymczasem dziobał go i dziobał w łysinę, jak gdyby jakiś ptak siadł mu na ciemieniu i uwziął się dodziobać do mózgu. Ocknął się tedy ataman i znów naciągnął czapkę na głowę, gwizdnął na konia, ale koń zachwiał się jeno i nie mógł ruszyć z miejsca. Zlazł ataman z wozu i zobaczył, że całkiem ugrzązł w kałuży.

Wówczas zapiekło go ciemię i poczuł zgagę w ustach, porzucił więc konia i wóz i ruszył przydróżkiem wedle drogi do miasteczka, w którym mieszkał i był za atamana. Koń zaś i wóz ze szczętem przepadli pod tym deszczem: koń był podziurawiony, jak gdyby kto poprzestrzeliwał go śrutem, a wóz — jakby go korniki stoczyły. Paroch miejscowej cerkwi pod wezwaniem świętej Paraskewy deszcz ów opisał na czystym arkuszu *Prologu* i we wzmiance tej było o wszystkim po trosze: o garnczkach, co przemieniły się w cedzaki, i o samym panu atamanie. Do popa przyszli wtenczas ludzie przynosząc jajka, kurę i złożywszy się po groszu, sługa boży przemógł więc lęk przed deszczem i jął błagać niebo, by się ulitowało nad ludzkimi grzechami. „Bóg mnie wysłuchał — zapisał na czystym arkuszu *Prologu* ojciec dobrodziej — i zesłał na nas tę łaskę, że ów deszcz tnący ustał nareszcie."

Po tym deszczu ludzie musieli bielić chaty na nowo, bo z białych zrobiły się pstre, co stało się ku wielkiemu powszechnemu zdziwieniu, chaty bowiem zwykło się bielić przed Wielkanocą. Kto miał dach z gontów, kryć musiał chatę na nowo, bo listwy podziurawiło, słomiane zaś strzechy oparły się temu zajadłemu deszczowi. Sam zasię miejski ataman, chociaż się dowlókł do domu, legł ciężką złożony niemocą, paliło go w ciemię, gorączka go trzęsła i dech mu zapierało.

Przychodził jeden z drugim znachor, naszeptywał i poił atamana ziołami, ale ani szeptania, ani zioła nie sprawiały ulgi.

— Poślijcie po Ilka Borziaka — wyszeptał ataman, twarz miał okrytą potem, a wargi suche i zbielałe.

Do Ilka Borziaka pojechał najstarszy syn atamana.

— Wszystkich leczę — rzekł Ilko — jeno twojego taty nie będę. A wiesz, dlaczego?

Atamańczuk opuścił głowę.

— Za tę pasiekę, dziadku, co ją wam tatko odebrali...

— Ano za pasiekę — rzekł Ilko i wypuścił z fajki niebieską chmurkę. I przez tę chmurkę ujrzał syn atamański kamienną, niewzruszoną twarz znachora, westchnął i wskoczył na konia.

— A jak tatko zwróci wam tę pasiekę? — zapytał nieśmiało.

Ilko potrząsnął głową przecząco.

— To tatko ma umrzeć? — zapytał przez łzy podrostek.

— A to go Bóg karze! — odparł nie wypuszczając z zębów fajeczki Ilko Borziak. — Czyż ja mogę, chłopcze, wtrącać się do boskich wyroków?

Świeciło słońce, a ludzie bielili chaty. Wilgotnie szarzały ściany po obu stronach drogi, a między tymi ścianami poruszały się żwawe postacie kobiece. Przekrzykiwały się ze sobą głośno i dowcipkowały. Iwan szedł ulicą w szarej płótnianej siermiędze i takich szatkach. Na głowie miał słomiany kapelusz i szedł tak powoli, że pies towarzyszący gospodarzowi zdążył obwąchać wszystkie ściany. Kobiety pozdrawiały Iwana, on zaś ledwie skinieniem odpowiadał na przywitania: oczy miał zmrużone i chłodne. I w twarzy miał coś takiego, że kobiety powstrzymywały swoje niestrudzone wiechcie i zastygały na miejscu, spoglądając za nim. On zaś nabierał na buty kurzu, słońce bowiem grzało tak po tym deszczu, że obsuszyło wszystko błoto i rozsypało je w proch. Powypijało nawet wszystkie kałuże, toteż świnie, nie znajdując ochłody, zapomniały zgoła o swoich ulicznych kotłowiskach. Zbierały się teraz na łęgu nadrzecznym i odprawiały tam swoje wiece, bo tylko tam jeszcze było wilgotno.

Iwan przystanął. Przed nim był dom atamana i tylko tego domu nie bielono. Był obdziobany i pstry, a na płocie niczym wróbelek siedział chłopiec, którego twarz aż nadto przypominała słoneczko, tyle że to słoneczko było markotne, opierało się na zaciśniętej piąstce i nad czymś medytowało. Niebieskie oczy były niemal przymknięte, a na policzkach świeciło kilka nie obeschłych kropelek.

— Czemuż to nie bielicie domu? — zapytał Iwan, a psiak uniósł głowę i raźnie zaszczekał na chłopca-słoneczko.

— Co tu bielić, kiedy tatko umierają — rzekł malec.

— Na cóż to umiera?

— Ten niedobry deszcz go podziobał. Tam i konisko nasze przepadło, i wóz...

— A prosiliście do niego znachorów?

— Ano! — pociągnął chłopiec nosem. — Ale co tam mu pomogą? Może wy byście mu pomogli, wujaszku?

— Uważasz, że lepszy będę od znachorów?

— To się wie, że lepszy — rzekł chłopiec. — Zaglądałem do waszej chaty, jakeście chrzcili dziecię...

— I cóżeś tam zobaczył? — nachmurzył się Iwan.

— Ano to, żeście wielki czarownik.

I zaświeciło doń dwoje takich modrych oczu, że Iwan raptem poczuł, jak w sercu mu coś drgnęło i złagodniało.

Przełożył nogę przez przełaz, a psina przeskoczyła. Zaszczekała wtedy ciężkimi łańcuchami aż trójka tęgich brytanów, jednak nie zaszczekały, lecz przystanęły zdumione i ślepia im zaświeciły.

— Widzicie, wujku — rzekł chłopiec — nawet one na was nie szczekają.

Iwan, nim miał przekroczyć próg, jeszcze się zatrzymał. Bolesna, żelazna ręka ścisnęła mu serce, obrócił się więc gwałtownie, by zobaczyć tę szarą ulicę, którą dopiero co przechodził. Po czym stał się jeden z cudów, jakie dają się ujrzeć jedynie przed Wielkanocą: ulica zalśniła doń sinobiałymi ścianami. Słońce padało na nie i jaśniały tak mocno, aż musiał zmrużyć oczy. Na końcu ulicy ujrzał też swoją zagrodę, przy której stała jego żona, ubrana biało i czerwono. Na ręku trzymała dziecię, ale ściany ich domu pałały bodajże najjaskrawiej. Pomyślał o tym, że na śniadanie jedli we dwójkę z żoną nie omaszczoną kaszę, i zapragnął nagle jej i dziecięciu przychylić do ziemi jasnomodrego nieba. Zapragnął bodaj trochę tego złota, co tak błyska w górze — byłoby go dosyć na to, by żona pod biało rozświetloną ścianą rozjaśniła i swoją zmartwioną twarz. Tak pragnął, by roześmiała się radośnie, wówczas powróci do nich junackie szczęście, on zaś zapragnie znowu miłości i dziatek. Stał na ganku, a chłopiec targał go i targał za portki, marudził już i prosił, by nie marnował czasu, jeno pośpieszył do jego tatka, który nie ma już czym oddychać, choć leży w przestronnym, wspaniałym domu, pełnym dostatków.

Wszedł do paradnej izby, okna były przyciemnione oponami, stąd też panował w niej półmrok. Wzdłuż ścian niczym cienie siedzieli krewniacy atamana, zafrasowani i bladzi, a gdy mówili, to szeleścili jak drzewa na wietrze. Pośrodku stało wielkie łoże, na którym ciężko dyszał ataman, a w jego głowach na taburecie ciemniała zakwefiona kobieta. Zwróciła ku niemu bladą, nieżywą twarz i popatrzyła wielkimi czarnymi oczyma.

— Dobry dzień waszemu domowi! — rzekł Iwan.

— Bywaj zdrów, kumie — odezwała się ta ciemna, co siedziała u wezgłowia atamana. — Chcesz go wyratować?

— Nie wiem — rzekł Iwan. — On ojcu mojemu wyrządził wielką krzywdę. Młyn mu zabrał przemocą, a samego tak pobił, że go na tamten świat wyprawił.

— Wiem o tym — rzekła czarna kuma. — Sama przy tym byłam. Po co żeś tu przyszedł?

Jak gdyby się zbudził. Stała przed nim atamanycha w czerni i ona to wypytywała go o wszystko.

— Poproszono mnie — rzekł.

— Któż cię poprosił?

— Ja, mateczko — rzekło skądeś od podłogi małe słoneczko. — Oni tatka wyleczą.

— To już i ty jesteś za znachora?

On jednak wszedł stanowczo do paradnej izby i skinął ręką na siedzących pod ścianami, ukazując im drzwi. Jęły wstawać cienie i jeden po drugim popłynęły ku drzwiom, została jedynie ta, co w żałobie siedziała u wezgłowia atamana, chłopiec i pies, bowiem i ten wskoczył tu niepostrzeżenie.

— Powiedz, niech mama światło roznieci! — rzekł do chłopca.

— Masz wolę go uratować? — podniosła głowę czarna kuma.

— Chcę, żeby mi zwrócił młyn — rzekł Iwan twardo.

— Młyn ci zwróci — mówiła czarna kuma. — Ale o jednym zapomniałam ci powiedzieć. Niewesoły będzie twój fach lekarski.

— A czy mienie odzyskam z powrotem?

— Jeszcze ci go przybędzie. Ale nie tylko będziesz nabywał. To, co utracisz, będzie dla mnie zapłatą.

— To ja coś utracę?

— Nie tak znów wiele. Coś, czego w garść chwycić nie zdołasz!

Roześmiał się, bo powiedziała coś zgoła nie do pojęcia.

Pies podszedł do czarnej kumy i zaskomlał:

— Uczyń mnie człowiekiem!

— Za dobry jesteś dla świata — rzekła z irytacją czarna kuma. — Po co ci to?

— Ostrzec go chcę — rzekł psiak. — Chcę go uprzedzić, że i ja kiedyś przystałem na coś podobnego!

Iwan pochylił się nad łożem. Ataman ocknął się i otworzył oczy.

— Czego chcesz ode mnie? — zapytał z wysiłkiem.

— Mogę waści uratować — rzekł Iwan. — Znam na to sposób.

— Co chcesz za to?

— Młyn ojcowski.

— Ja ci ten młyn zwrócę.

Iwan spoglądał bacznie na atamana, aż ten się poruszył.

— Czego jeszcze?

— Mam jeszcze pytanie — rzekł Iwan ochryple. — Tyleście

zła na tym świecie wyrządzili. I teraz, gdy śmierć w oczy zagląda, nie macie w duszy zamętu?

Oczy atamana zrobiły się okrągłe i zadrżały. Nic jednak nie powiedział, oblizał jeno spierzchnięte wargi.

— Jego duszy nic nie zamąci — rzekła spokojnie czarna kuma. — Już przyjrzałam się jej niezgorzej. Uważa, że nie wyrządził nic złego!

Iwan obrócił się do kumy, aż zachrzęściły mu kręgi w szyi.

— Czemu się dziwisz? — rzekła. — Pan ataman uważał, że to, co robi, jest dobre. Popatrz, jaki ma przestronny i jasny dom, ile ma dobytku, jak wspaniale ubrana jest jego żona i jaki bogaty strój on sam nosi.

— To jest na ludzkich łzach pobudowane — zauważył pies.

— Cały świat na łzach stoi — uśmiechnęła się do Iwana kuma. — Kto chce sobie dobra przysporzyć, ten musi wyrządzać zło. Kto zaś chce ode zła uciec, ten ubożeje i takim jak ty staje się niezgułą. Wybieraj więc: albo poprosisz go o jeszcze jeden młyn, albo stąd odejdź...

Wówczas pies zaskowyczał żałośnie i skoczył łapkami na kolana czarnej kumy.

— Pozwolisz mi go ostrzec? — pisnął błagalnie.

— Duszę się — wykrztusił ataman. — Lecz mnie, na Boga! Oddam ci jeszcze jeden młyn.

Iwan zamarł na chwilę, jak gdyby się namyślał czy wahał. W istocie popatrzył w na poły zasłonięte płachtą okno, w jasną i świecącą szparę. Ujrzał tam swój dom i żonę, z którą jadł dziś na śniadanie nie omaszczoną kaszę. Zobaczył przy niej jeszcze jakieś dzieci: było ich nie dwoje i nie troje. Zauważył, że twarz żony szara jest ze znużenia i z ciężkiej pracy, choć niedawno jeszcze była młoda i piękna. Zacisnął usta, uniósł głowę i oczy zapłonęły mu zimnym oschłym blaskiem. Odtąd zaczął się zmieniać i strój na nim: zgrzebne płótno przeobrażało się w jedwab i atłas, ze świtki zrobił się żupan, a na nim — przepyszny kontusz. Szare od kurzu buty zalśniły nowością, a w ręce miął czapkę z kosztownych karakułów. Twarz jego nabrała dostojeństwa, poruszył długimi wąsami sięgającymi do piersi i rzekł do chłopca, co stanął w progu z wiadomością, że ogień już rozpalono.

— Nastawcie wodę. Będziemy warzyć zioła dla twego tatka!

GŁOS TRAWY

Posłyszała głos trawy, bo to nie świerszcz śpiewał pod nogami. Nie był to głos ani ptaka, ani zwierza, ani człowieka, ani owada — tak mówić mogła jedynie trawa. Płynął ten głos przytłumiony jak szept, ale go zrozumiała. Jednakże nie tak, jak rozumie się ludzką mowę czy zewy zwierzęce — było to w innym wymiarze i nie była w stanie opowiedzieć — w jakim. Nie zdołałaby przełożyć tej gwary na język ludzki, bo było to zbędne. Nie tyle rozumiała, co odczuwała ów głos, jako że nie da się on odbierać inaczej. Siedziała na przyzbie i widziała przed sobą płot z przełazem, zza którego wyzierał skrawęk drogi z kałużami i trzema kaczkami na niej. Nieco dalej widniał wygon zielony i pastuszkowie na nim palili ognisko, choć nie było chłodno i na świecie był jasny dzień. Czerwony płomień mienił się i buchał, a wysoko nad nim unosiła się siwa chmura dymu. „Taki mały płomień i tyli dym" — pomyślała sobie i zdawało się jej, że w tej chmurze coś pływa i kąpie się. Widziała młode ciało, nagie i połyskujące, które z lubością pluskało się w tym dymie, i w kąpiącej się poznała Warkę Moroziwnę, tę właśnie, co się jej przyśniła tej nocy.

— Czego ode mnie chcesz, Warko? — spytała głośno, ale Warka w chmurze dymu, co się wywijał z niewielkiego płomienia, roześmiała się jeno.

— Toć jasne — rzekła stara i spuściła oczy. — Śmiejesz się ze mnie, bo gdzież mi do ciebie?...

Znów spozierała sobie pod nogi i widziała trawę. Słyszała ten cichy głos i coś tak dziwnie i smętnie w nim pobrzmiewało. Coś jak zielony płacz i skarga jakaś, a może pieśń. „Pieśń raczej — pomyślała — ino śpiewa ją ktoś niezbyt wesoły." Ów ktoś niezbyt wesoły jak gdyby podszedł do niej i stanął w pobliżu. Nie

miał wprawdzie ciała, ale był. Słyszała, jak oddycha, i wiedziała, że patrzy na nią. Patrzy, jak gdyby czekał, aż coś odpowie.

— Tyżeś to przy mnie, Warko? — spytała, ale nie była to Warka. Mimo wszystko był to głos trawy...

Do chłopaków na wygonie pędził jakiś jeździec i koń pod nim raźnie tłukł ziemię kopytami. Jeździec zatrzymał się w pędzie i krzyknął coś do chłopaków. Obrócił się i pokazał palcem, a stara na ganku zobaczyła, że chmura z dymu zasłoniła pół nieba. Nie kąpała się już w niej leciusieńka Warka, lecz na dudniącym wozie jechał ktoś gniewny i porywczy. Wiał wiatr, jednakże nie od chmury, lecz ku niej, stara więc zachowała spokój.

— Czy ci deszczu potrza? — zapytała nie zwracając nawet głowy w stronę, w której stał i patrzył na nią ten Ktoś. — Ano, ano — skinęła głową. — Ziemia opiła się już do syta. Ziarno już wzeszło i dobrze rośnie. A trawa rośnie jeszcze bujniej, nieprawdaż?

Słuchała, co powie jej trawa. Odpowiedziała jej to, czego się po niej spodziewała. Wówczas stara przymknęła oczy i uśmiechnęła się, twarz miała taką dobrą i pogodną, że słońce wyjrzało zza chmury i ogarnęło całą okolicę. Wtedy to ujrzała stara zagniewaną twarz Warki i roześmiała się z cicha.

— Krew cię ponosi, Warko! Jej głosu jedynie słuchasz. A ja nie, Warko, o tyle już jestem mądrzejsza! Ale ja mam swoje lata, Warko. I słucham, Warko, głosu trawy, a nie krwi...

Jednakże gdy tak stara czarownica siedziała z przymkniętymi powiekami, stało się coś, czego się nie spodziewała. Nie dosłyszała też tego uchem ani nie ujrzała na oczy. Był to bodajże zapach, którego dawniej przy sobie nie miała, a może było to jeno tchnienie wietrzyka. Mimo woli najeżyła się i oczy jej nabrały zimnego blasku. Tuż przed nią dostawał się przełazem chłopak chudy jak żerdź, a białe płócienne odzienie huśtało się na nim. Twarz miał jakby mlekiem obmytą — znać, że młodziak! Nogi miał czarne i podrapane, a w ręku ściskał mizerne zawiniątko.

— Co cię tu sprowadza? — krzyknęła stara piskliwym głosem.

Chłopiec przystanął i popatrzył na nią nieco zdziwiony, a może też i wystraszony. Tak mierzyli się wzrokiem i było w tym coś takiego, że stara przestała się zżymać, on zaś lękać, co więcej, oczy jej się zwęziły i błysnęło w nich coś serdecznego.

— No toś przyszedł — rzekła udobruchana. — Ale ja cię nie wzywałam.

— A czyście musieli mnie wzywać? — zapytał chłopiec i podszedł bliżej.

— Ano chyba — roześmiała się cicho i zapragnęła popatrzeć gdzieś w bok od niego, żeby dać oczom wytchnienie. Stał jednak zbyt blisko i zasłaniał jej cały świat, więc stara się nachmurzyła.

— Powiedzcie, wyście ta, co ją nazywają Żabunychą? — zapytał chłopiec z powagą.

— Tak mnie nie nazywają, ale przezywają — odparła. — Naprawdę to nazywam się inaczej...

— Ja wiem, Iwanycha Hałajdycha — potwierdził chłopiec.

— Usiądź sobie — poprosiła, bo chciała, by wreszcie zeszedł jej z oczu.

Siadł koło niej na przyzbie i wyglądali jak babka z wnukiem na pogwarce. Znów zobaczyła przestworze: chmury na niebie nie było już ani śladu, podobnie nie było na łące ani pastuszków, ani ich dobytku, jedynie gdzieś daleko cwałował jeździec przytulony do końskiego karku. Wydawało się jej, że zwrócił ku niej twarz białą jak ściana i roześmiał się ukazując wyszczerzone zęby. Za chwilę szara kurzawa przysłoniła jeźdźca i znikł z oczu, jakby się zapadł pod ziemię.

Chłopiec siedział przy starej w milczeniu.

— Zdrożonyś pewnie, że tak ciężko dyszysz? — spytała Żabunycha.

— Ano — odparł spokojnie. — Cały tydzień tu szedłem. Sam jestem z Kałyniwki...

— Długo szedłeś, jeśli to z Kałyniwki.

— A ja wszystkie wsie obchodziłem. Musiałem się dopytać.

— O cóż się wypytywałeś?

— Sami wiecie chyba. Czekaliście wszak na mnie...

— A bom to na ciebie czekała? — zawołała Iwanycha Hałajdycha.

— I jak jeszcze! — rzekł chłopiec. — Obudziłem się jednego razu i podszedł do mnie kogut. Idź, powiada, bo czas już na ciebie. Ona cię wzywa...

— Kogut to święty ptak — przyznała. — Naprawdę do ciebie podchodził?

— A cóż by mnie sprowadzało do was? — nieco chełpliwie spytał chłopiec.

Iwanycha rzuciła nań okiem i przypatrywała mu się ze spokojem. Twarz miał prawie nie ogorzałą, świeciła jeno matowo. Małe bystre oczka wydawały się okrągłe, a na wargach igrał lekki uśmiech.

— A czarny kot do cię nie przychodził? — spytała Żabunycha.

— Czarnego kota tom nie widział — odparł bez pośpiechu. —

Ani biały chart nie przybiegł, ino kogut. Czerwony był jak ogień...

„Jak to ognisko na wygonie" — pomyślała stara i poszukała oczyma miejsca, w którym dopiero co buchało ognisko. Ale nic tam nie było, nawet śladu po nim. Zdumiała się i może dlatego zachrzęściła wokół niej trawa. Listowie zachrzęściło i nastroszyło się jak z drewna, a koniuszek lipy rosnącej przy drodze dotknął prawie jej stóp. Popatrzyła na ów cień kościsty, ciągnący się ku niej, i aż się odsunęła. Chłopiec przy niej siedział bez ruchu, jedynie na twarzy błąkał mu się wciąż ten sam zagadkowy uśmiech. Iwanycha zapragnęła znów pozostać sama, by móc spokojnie wsłuchiwać się w mowę roślin, nieba i ziemi — coś tam z pewnością miała odczuć czy usłyszeć. Ten smarkacz z zarozumiałym uśmiechem widać jej w tym przeszkadzał — była przy nim głucha i ślepa. Nie mogła go jednak odpędzić od siebie, bo siedział spokojnie, a rozmowa ich dopiero się zaczęła. Postanowiła więc uciec od niego w inny sposób, oczy jej ukryły się za torebkami powiek, a nogi podkuliła tak, że nawet palce nie wyzierały spod spódnic. Odeszła od świata całkiem, jak gdyby zasnęła: była okrągła jak kłębek, a może był to kłębek.

— Ja, babko, przyszedłem do was nie po próżnicy — rzekł chłopiec głośno. — Słyszycie mnie? — Przyśnił mi się sen przed kilkoma dniami, nim wyruszyłem do was. W owym śnie przyszliście do mnie tacy sami jak teraz siedzicie i rzekliście: przyjdź, to cię nauczę. A jeszczeście pytali, jaki mam znak rodzimy na lewej ręce. Pokazałem wam ten znak. Toście rzekli, że właśnie ja jestem wam potrzebny na ucznia. Ja nie uwierzyłem w ten sen. Ale jak mi kogut o tym powiedział, tom się już nie ociągał.

— A Warki Moroziwny nie znasz przypadkiem? — zapytała jakby nagle zbudzona Hałajdycha. — Nic żeś nie słyszał o takiej?

— Nic nie wiem o żadnej Warce Moroziwnie — odparł chłopiec ze spokojem. — Choć nie, coś tam mi ludzie o niej gadali. Że niby są dwie słynne czarownice na cały nasz zakątek: jedna to wy, a druga to ponoć ta Warka. Ale we śnie to wyście do mnie przyszli, nie ona.

— Czegóż ty chcesz ode mnie? — spytała nieco ozięble.

— To wasza sprawa wiedzieć, czego ja chcę. Na tydzień przed tym, jakem do was się wyprawił, to nic mi się nie chciało.

— Skoro tak, to posiedź przy mnie bez gadania — rzekła trochę zniecierpliwiona. — Ino żebyś ani palcem nie kiwnął...

— A po co niby?

— Chcę się namyślić — wypowiedziała z zastanowieniem. — A może i przypomnieć sobie coś.

Znów stała się niby ten kłębek nici i twarz miała taką znieruchomiałą, że nie ośmielił się dłużej jej nagabywać, siedział jeno i patrzył na widok, jaki się stąd rozpościerał. Widział szmat drogi, nieco dalej jaśniał zielony wygon, na którym pastuszkowie palili ognisko, choć nie było zimno i słońce jasno świeciło. Rozpędzali się i przeskakiwali przez ogień, i zapewne mieli z tego sporo uciechy, bo chłopiec zapatrzył się na nich i nawet przestał myśleć o starej, przy której siedział. Rzeczywiście była w tej chwili dlań jak nieżywa, bo nie przebywała teraz we własnym ciele, lecz mozolnie pięła się wąską i śliską drożyną prowadzącą w minione dni. Drożyna ta wznosiła się nad ziemią jak wstążka i pociągała w modry zmierzch, co nie miał końca. Ostrożnie stąpała po niej bosymi nogami, a naokół przepływały przeobrażone i zniekształcone nieco twarze i przedmioty: widziała wszystkich spotkanych w owym dniu i wszystkie rzeczy, których dotknęła ręką lub spojrzeniem. Żyły tu rośliny i stworzenia, rosły też drzewa, na których liśćmi były wszystkie wypowiedziane w tym dniu słowa. Czytała je jak pismo, choć była niepiśmienna — w tej wędrówce w dzień wczorajszy życiowe sprawności nie zdawały się na nic. Wertowała też wszystkie słowa, czasy, wszystkie dni i noce, przeglądała je jak księgę, ale księga ta nie miała stronic, jeno sceny. Scen tych było aż za wiele, przeto odgarniała je jak przebieraną kaszę, pozostawiając jedynie to, co działo się w nocy. Ciemność dokoła zgęstniała jeszcze bardziej, ścieżka, po której szła, stała się jeszcze węższa i stara nie tyle szła, co leciała, bo co nocy latała tak nad borem i jarem, i tam, jeszcze wyżej; wpatrywała się w smętną, okrągłą tarczę miesiąca, przez co gorzko paliło ją w ustach, podobnie jak wówczas, gdy chwytała ostry i palący promień, jaki zwieszała w dół każda gwiazda, i przyciągała ją; ależ nie to, dawno już nie miała z tym nic do czynienia — ani z gwiazdami, ani z deszczem. Ostatnimi czasy myślała coraz częściej o ziemi. Tak, jej wszystkie noce ciągnące się od dzisiejszej aż tam, dokąd już nie miała sił się dogrzebać, pełne były tego jedynie — słuchania. Nasłuchiwała ziemi i słyszała głos trawy. Wiedziała, że jak nie ma dwóch ludzi z jednakowym głosem, podobnie nie ma dwóch roślin jednakowych. Każda mówiła po swojemu i o swoich sprawach. Ile języków ludzkich istnieje na świecie, tyle też ich mają rośliny. Zioło mówi inaczej niż trawa, a drzewa jeszcze inaczej. Drzewa nie pojmują trawy, za to krzaki ją rozumieją. Krzaki rozumieją łodygi, te z kolei trawę. Zebrane w gromadę mogą rozmówić się ze sobą, ale nie każde z każdym. Podobnie też kochają i nienawidzą się nawzajem, jedne mogą rosnąć obok siebie, a inne giną. Podobnie walczą też o ziemię, przez co na jednym

miejscu jedne zwyciężają, inne zaś na drugim. Gdy zaś rośliny są pomieszane, to znaczy, że w tym miejscu toczy się bitwa: która dzierży pole, druga zaś przepada. „Czyż mogłam — głowiła się stara — mając tyle zajęcia, zabłądzić jeszcze do czyichś snów? Powiedz mi, zioło, czyż może człowiek czynić jakąś sprawę i nie wiedzieć o tym, że ją czyni?"

Przysłuchała się, lecz nikt jej nie odpowiedział. Zresztą było to do pojęcia: kto by jej miał odpowiedzieć, skoro tuż obok siedzi ten chłopiec. W samotności jedynie może się dziać coś tajemnego.

Chciała już otworzyć usta i rzec, że bynajmniej nie nawiedzała snów chłopca, gdy nagle z ciemności, w której się błąkała, z tego nagromadzenia twarzy, przedmiotów, stworzeń i roślin, co wyolbrzymione pływały dokoła niej, dotarł do niej jeszcze jeden głos. Z początku cichy jak drgnienie zmartwiałych ust, jednakże go dosłyszała. Usłyszała i napięła się czujnie. Głos ów powiedział jej coś niespodziewanego, zapomnianego od dawna; chociaż nie, nie zapomniała o nim, jak nie zapomina o niczym, co żyje. To coś zawsze tkwiło w niej skrycie uśpione i oto nagle się obudziło: w myśli poczęła liczyć swoje lata. A że było ich więcej niż liczb, jakie znała, zaniechała więc tego liczenia. „Miał być jakiś znak na owo przyjście" — pomiarkowała i pomyślała sobie, czy samo przyjście nie jest znakiem? „Ehe — wypowiedziała niemal na głos — to właśnie jest ów znak!"

— Ile masz lat, chłopcze? — zapytała.

— Trzynaście — odparł.

— Wyglądasz na całe szesnaście.

— A bom wyrósł. I mój ojciec był wysoki, i dziad. Za to kości mamy delikatne. Popatrzcie no!

Wyciągnął rękę — długą i chudą, ale Żabunycha nie oglądała się na nią, jeno na wygon, na którym znów płonęło ognisko i pasło się bydełko.

— Tożeście mnie wzywali czy nie? — zapytał chłopiec powstając.

Stara milczała. W kąciku jej oka ukazała się nagle łza.

— Dziwniście, babko! — rzekł chłopiec. — A bo jak nie, to sobie pójdę...

Stał przed nią z zawiniątkiem w dłoni i nagle pociągnął nosem, jak to robią dzieci.

— Zaczekaj — rzekła stara ochrypłym głosem. — Czemu mnie popędzasz? Wiesz sam, że nie przyszedłeś ot, tak sobie...

— To się wie, że na naukę — krótko i nieco szorstko odparł chłopiec.

— A czy wiesz, co stanie się ze mną, gdy cię wszystkiego nauczę?

Zwrócił do niej oczy pytająco i popatrzył. Nie była w stanie wytrzymać tego spojrzenia. Patrzyła na trawę pod nogami, ale była to nieżywa trawa. I nie słyszała od niej żadnego głosu — od tego ziela, co jest jeno po to, by je deptać.

Chata tuliła się do wzgórza, na którym z dołu do góry kwitły bzy. Grona kwiatów kędzierzawiły się w zielonej gęstwie, wieczorem na tych bzach wpadały w szaleństwo słowiki, kląskały, płakały i dzwoniły, jakby klepały kosy. Wieczorami w tych bzach tętniło tajemne życie: ktoś szeptał, śmiał się i szeleścił. Ktoś dyszał urywanie, a ktoś inny pojękiwał cicho, jak gdyby udawał słowika. Dawniej stara słuchała tych dźwięków z niemałą uciechą — pewna była, że to ona zaludnia czarodziejstwem owo wzgórze. Dziś słyszała jedynie słowiki, rzuciła więc okiem na chłopca, którego twarz tężała w półmroku.

— Czy lubisz słuchać słowików? — zapytała.

— A bo mi ich potrza, tych słowików? — odparł chłopiec z powagą.

— Jak nie potrza, to i czarowania uczyć się nie trzeba — mówiła Żabunycha i aż się wyciągnęła cała w kierunku, gdzie postukiwały, świstały i kląskały najznakomitsze z ptaków.

— Nie gniewaj się, babciu — błysnął ku niej spojrzeniem chłopiec. — Jak potrza, to niech tak będzie!

Ją wszakże ogarniało uczucie, do którego on nie miał dostępu. Tak powtarzało się co wieczora i tak powtórzyło się dziś na nowo. Bzy jak gdyby falami spływały w dół i zalewały całą dolinę fiołkowym zmierzchem, co był nie tylko w powietrzu, ale i we wnętrzu wszystkiego, co żyje — pełne go było serce i dusza. Oczy Iwanychy przygasły, bo nie miała już na co patrzeć — znów nieruchomiała przed oczyma chłopca. Miał ochotę trącić ją i obudzić, bo już i jego samego jął przenikać ten wieczór — coś dziwnego i cudownego zakołysało mu się w piersi, aż westchnął z osobliwym chlipnięciem.

— Nie myśl, że już cię wzięłam na naukę — rzekła Iwanycha. — Nie do każdego ona trafia, bo nie każdy się do tego urodził.

— Ja się urodziłem do tego, babko Żabunycho — rzekł chłopiec przysuwając się bliżej.

— Tak ci się zdaje — rzekła stara ledwie poruszając językiem — a o słowikach źleś się wyraził. Ziemia, mój synu, to kłębek spleciony z sieci. Nie ma w nim nic daremnego i zbytecznego, jeno nie każdemu dane jest to zrozumieć.

— Skoro tak, to mnie wypróbujcie — rzekł chłopiec i poczuł, że wargi ma już całkiem suche.

Stara siedziała wśród zmierzchu i zdawało się, że nie oddycha. Ciemna i nieruchoma, z głową nakrytą czarną chustą, z rękoma schowanymi w szarej świtce — jej ciemne oblicze rozpuszczało się w mroku i jedynie oczy mrugały nieznacznie. Badała to, co rozlewało się w niej całej, sprawdzała, czy było to ciepłe, czy zimne. Przeniknął ją żal palący, a w tejże godzinie gdzieś zgoła blisko wybuchł śpiew słowika, coś poruszyło się w bzach i westchnęło.

— Na cóż ci się zda owo czarownictwo? — spytała teraz. — Czy chcesz być możniejszy od innych i osiągnąć bogactwo?

Chłopiec już wsłuchał się w śpiew słowików. Bez pachniał i cichy zmierzch sączył się w piersi chłopca.

— Nie o tym myślałem — rzekł. — Usłyszałem głos i poszedłem.

— Toś ty dobrze odpowiedział — odezwała się po chwili milczenia. — Powiedz mi jeszcze... czy na dobre, czy na złe uzyskuje się czarownictwo?

Chłopiec się wzdrygnął. Zdawało mu się, że trawa poruszyła mu się pod nogami. Ale to jedynie rosa upadła, bo gdy jej dotknął palcami, poczuł, że są całkiem mokre.

— A wyście je mieli na dobre czy na złe? — zapytał i pytanie to rozległo się głośno.

— Tylko na dobre — rzekła Iwanycha. — Ale nie zawsze człowiek umie dotrzymać obietnicy. Żyłam więc tak jak wszyscy na świecie: i dobro, i zło wyrządzałam...

Znowu siedzieli czas jakiś bez ruchu. Więź między nimi była wątła, ale już się coś zadzierzgnęło. Jedna czy dwie nici złączyły ich i przypłynęła do nich jedna moc i jednakowe usposobienie. Był to też ów zmierzch, co napełniał ich jak puste dzbanki. Chłopiec jednakże żył również w innym świecie.

— To samo opowiadali mi ludzie — rzekł. — Złości w was nie ma, mówili, ale popsuć możecie... Możecie jednego wspomóc, a drugiemu odebrać. Powiadali, że i choroby jednym zabieracie, a na drugich nasyłacie...

— A toć! — rzekła krótko. — Bo nie ma na świecie czegoś jednego. Wszystko się dzieli na poły...

— O tym to i ja myślałem — rzekł chłopiec i uśmiechnął się z lekka. — Ja, babciu, do żadnej roboty się nie nadam. Ani za pługiem chodzić, ani z szablą na koniu cwałować. Uczyłem się u diaka, ale i ta nauka diakowska nie szła mi do głowy. Z rówieśnikami też się nie bawiłem — nie ciągnęło mnie to. Siądę tak sobie i myślę, i dziwne myśli wtedy przychodzą.

— O czymże tak myślisz?

— O wszystkim. O ziołach i o ziemi, a bo ja wiem? Czasem

o niebie myślę i o tym, co się tam dzieje. Ale nikt nie wie, co się tam dzieje! Ciemny ja jeszcze jestem, babko!

— Ano ciemny — rzekła i znów się zafrasowała, czujnie wsłuchując się w ciszę roztarganą słowiczym dzwonieniem. On też zmarkotniał i już całkiem się oddzielili w cieniu pod tymi bzami.

— Czarownik nie ma prawa myśleć o niczym złym — rzekła nagle — bo wtedy nie wyżyje między ludźmi. To niełatwa sprawa, chłopcze, być tak ciągle przed ludzkimi oczyma! Każdy może rzucić w ciebie kamieniem i każdy może przekląć. Zło czarownik wyrządza mimo swojej woli: gdy jednego obdarza, drugiego musi krzywdzić. Ponadto musi się bronić przed zawiścią ludzką, a skoro tak, to ludzie muszą się go lękać. Bez tego lęku zatratują cię po pierwszym dotkliwym gradzie czy chorobie. Przypiszą ci wszystkie nieszczęścia, jakie Pan Bóg ludziom za karę posyła. Grzesznik siebie nie osądza, chłopcze, jeno święty. Świętym zaś być, to świat ten porzucić, a porzuciwszy go, nie żyje człowiek. Czarownik nie może gniewać się czy nienawidzić, on musi jeno kochać. Ale miłość na świecie nie tylko miłość rodzi, lecz i wszystkie niedole. Dlatego czarownik przez całe życie jest sam jak palec i nie ma ratunku przed samotnością. Ratuje świat, ale świat nie idzie mu z wyręką.

Ta mowa wylała się z niej niepohamowanym, gwałtownym potokiem i urwała się równie raptownie, jak się rozpoczęła. Dokoła zapanowała cisza, słowiki już nie śpiewały, zdawało się, że bez już nie pachnie, bowiem już ciemna noc zaległa ziemię. Jedynie trawa westchnęła pod ich nogami i tchnienie to uszło w głąb ciemności.

— Pomyśl trzy dni i trzy noce nad tym, co ci powiedziałam — mówiła Żabunycha dudniącym, blaszanym głosem. — Wtedy to przyjdziesz i powiesz mi, czyś się nie rozmyślił. Wolałabym — zwróciła się w stronę chłopca — żebyś się jednak rozmyślił!...

Nie mogła spać, bo zbyt była wstrząśnięta. Podeszła więc do ławy, na której spał chłopiec, i pokropiła go płynem z garnuszka. I Chłopiec zamarł na tę noc w bezruchu, nie mógł jej przeszkodzić, a gdy to się stało, jęła narzekać i lamentować. Rwała na sobie odzienie i tłukła się o polepę, płakała i łzy parzyły jej twarz, roztargała włosy i raz po raz wpijała w nie kościste palce.

— Ty Boże, albo ty diable, który z was zesłał na mnie to przekleństwo! Który z was posłał mi to licho, żebym zatraciła swoje życie! Dlaczego tak wcześnie przyprowadziliście mi tego zwiastuna, czemuście zabrali mi młodość i urodę?! Dlaczego, zamiast dzieci hołubić, pokochałam ziele, dlaczego zamiast mężowi muszę

oddawać się ciemnej nocy? Nie lękam się sądu Bożego, bo nie zło zasiewałam na ziemi, ino dopomagałam ludziom. Ludzki sąd może mnie potępić, ale przed Bożym zdołam stanąć...

Chrypiała tymi słowy, aż wypowiedziała je do ostatka. Wtedy wyszła na ganek i stanęła oko w oko z księżycem. Stała tak długo i słuchała. Znów zaśpiewały słowiki, sączyła się w nią poświata miesiąca, poczuła więc, że staje się lekka i przejrzysta, że nogi jej odrywają się od ganku i wnet się uniesie w niebo usiane gwiazdami.

Ciało jej nadal stało na ganku, tamto zaś przejrzyste, co się w niej narodziło, oddzieliło się i rzeczywiście uleciało. Pełną piersią chłonęła chłodne i wilgotne powietrze, i czuła ów zachwyt, jakiego doznawała zwykle przy lataniu. Gwiazdy nad jej głową zrobiły się wielkie jak złote arbuzy i Żabunycha raz po raz ich dotykała. Wówczas dzwoniły, a od czubków jej palców biegły małe snopki iskier. Zakręciła się w powietrzu i zatańczyła, zawirowała jak wicher. Padła na płask na ziemię i złapała mocnymi palcami czarnego jak sama noc kota. Uniosła go na niebo, gdzie są gwiazdy i księżyc, by pozostawić go tam na wieki.

— Zgadłam, Warko Moroziwno, że chcesz się ze mną pomocować? — rzekła.

Leciały obok siebie przez jasny świetlisty eter.

— Skądże by coś takiego miało być między nami? — spytała Warka. — Starzyście, a ja jestem młoda...

— Stara jestem, ale jeszcze zmogę dziesiątek takich jak ty — rzekła Żabunycha.

— No to mocujcie się na zdrowie — roześmiała się Warka beztrosko. — Czyż ja wam bronię?

Wypłynęła jej z rąk niczym światło i stara zacisnęła pięści bezradnie. Ta jej bezsiła zrodziła następną, co dała znać o sobie jako dotkliwy ból w piersi. Szare kocię wśliznęło się jej do serca i zwinęło w kłębek. Znów ujrzała przed sobą roześmiane oblicze Warki.

— Zapomnieliście chyba gry, jaką uprawiamy my, czarownice — rzekła młoda. — Gdy którejś z nas się nudzi, zaczynamy się bawić. Alboż tego nie chcecie?

Żabunycha milczała. To coś przejrzystego w niej, co się oddzieliło i stało się niczym miesięczna poświata, znów powróciło do ciała stojącego na ganku. Ciało od tego ożyło, oczy zaś zapłakały bezgłośnie. Po czym znów Iwanycha Hałajdycha usłyszała głos trawy i to nie świerszcz śpiewał pod jej nogami. Posłyszała i zrozumiała go — działo się to w innym wymiarze i nie była w stanie opowiedzieć, w jakim. Myśl jej znów wyruszyła w modrą ciemność, w której rozpostarła się srebrna ścieżka, kro-

czyła nią powoli, bo tym razem sądzone jej było iść bardzo daleko. Toteż przez całą resztę drogi szła i szła — miała sięgnąć w głąb własnej młodości, gdy była jeszcze taka jak ów chłopiec i podobnie jak on przyszła na naukę do wiedzącej wszystko Makryny. Cóż jej wówczas powiedziała Makryna? Wyławiała jej słowa z modrej ciemności i czytała je, chociaż nie znała pisma. Usta jej szeptały, ledwie rozchylone — starała się powiązać słowa ze sobą.

— Gdy przyjdzie zwiastun — rzekła Makryna — nie opieraj się. Bądź mu posłuszna i za to odpuszczony ci będzie któryś z mimowolnych grzechów...

Śpiewały słowiki i pachniały bzy. Ziemia pachniała, a w piersi starej wstępował spokój. Chciała sobie wyobrazić roześmianą twarz Warki, ale nie zdołała. Nie mogła wykrzesać w sercu zawziętości wobec rywalki, co by podnieciło starą czarownicę do walki i działania. Była uspokojona, ale walczyć odtąd nie mogła. „Przyszli nieomal w jednym czasie, Warka i ten chłopiec — pomyślała wchodząc do chaty. — Które z nich jest tym zwiastunem?"

Siadła przy ławie skąpanej w świetle miesiąca, na której spał chłopiec. Twarz miał kredowobiałą — nie oddychał. Długo patrzyła na ową twarz i żal ogarniał jej serce. Zdawało się jej, że to własny jej syn śpi przed nią, przeto troskliwie zaciągnęła na oknie zazdrostkę. Kredowa twarz poszarzała, ona zaś pochyliwszy się ucałowała zimne, niemal lodowate czoło. Łza niewielka stoczyła się jej z powieki i upadła na to czoło. Chłopiec poruszył się i obrócił na bok. Zamamlał we śnie ustami i cicho zajęczał — widać przyśniło mu się coś niedobrego.

Iwanycha Hałajdycha wróciła po trzech dniach do domu. Przestąpiła przełaz i od razu ujrzała chłopca spokojnie siedzącego na przyzbie.

— Jeszcześ tutaj? — zapytała zobojętniałym głosem. — Nie umarłeś z głodu?

— Przeciem już był na waszym wikcie — odparł chłopiec.

— No to i dobrze — rzekła siadając przy nim. — Nie rozmyśliłeś się?

— Co miałem się namyślać? — odparł chłopiec. — Jak mnie już powołano do tej pracy, to gdzie się podzieję?

— A może to głos, co zwodzi?

— Taki, co zwodzi, to ja poznam — stwierdził chłopiec.

— Patrzcie go! — odezwała się raczej niechętnie. — Będziesz się musiał wspiąć na trzy szczeble: by nie biedować, mieć osłonę przed światem i móc rozpoznawać choroby.

— Gotów jestem — rzekł stanowczo.

— Tyś gotów — rzekła niepewnie — a mnie jakieś zwątpienie ogarnia...

I ujrzała owo Zwątpienie niczym żywą istotę. Dziwne i niesamowite było to zjawisko. Cienkie jak wysoko wybujała w stepie ostnica, a główkę miało jak kwiatek. Wielkie żółte oczy wyzierały z tej główki, usta zaś krzywiły się ni to do śmiechu, ni to do płaczu. Rączki miało cienkie — niczym promienie, a może i ostrzejsze: gdy dotykało nimi piersi człowieka, przeszywało je niczym igłą. Usta poruszały mu się bezgłośnie, było bowiem całkiem bez języka. Znało jedynie mowę rąk i palców, lecz gdy dotknęło człowieka, stawał się chory i słaby. I niczym kręgi na rzece od rzuconego kamienia, podobnie rozbiegały się myśli w ludzkiej głowie. Zresztą, całe trzy dni, jakie przebłądziła stara po lesie, nie dawały jej spokoju te myśli — owo Zwątpienie snuło się za nią niczym kot, i otwierało pyszczek, jak gdyby chciało przed czymś ostrzec. Niekiedy wskakiwało jej na ramiona i zagłębiało szpony w ciało. Po czym padało na ziemię jak martwe. Znowu stawało się łodygą, a głowę miało niczym żółty kwiat i przeszywało pierś Iwanychy palcem-promieniem. „Hej, hej — myślała sobie — takie niespokojne jest moje serce, dlaczegóż to? Czyżbym bała się śmierci?"

— Ta Warka nie daje mi spokoju — rzekła, bo myślała na głos. — Jęła się zmagać ze mną, a teraz bym tego nie chciała. Wiem, że musi być gdzieś niedaleko, ale gdzie, w głowę zachodzę. Już i kabałę stawiałam, i wróżyłam sobie na sicie — wszystko to milczy jak zaklęte. Gdybym wiedziała, że jest w tej lebiodzie, to bym ją wyrwała, a jeśli w trzasce, spaliłabym. Ale ona jest jak powietrze — Żabunycha wyciągnęła dłoń i zacisnęła palce. Po czym rozłożyła dłoń i popatrzyła na nią.

— Nie znam się na tym — rzekł chłopiec. — Ale to zwątpienie, co was ogarnia, czyż to nie ona sama?

— Hę? — zawołała zdumiona Iwanycha i obróciła się do chłopca. — Ty też je widzisz?

— Ja go nie widzę, bom jeszcze nie nauczony — odparł. — Ale może to ona, powiadam?...

— Zaczekaj, ja cię nauczę — rzekła Żabunycha i wyciągnęła rękę. — Zrób i ty tak.

Wyciągnął dłoń.

— Spójrz na napięstek: Opuść palce. Teraz znów odwróć dłonią do góry. Rozluźnij palce. Popatrz przez nie. Co widzisz?

— Coś cienkiego jak trawa — rzekł chłopiec. — Głowa jak kwiat, oczy wielkie i żółte. Ręce jak promienie. Oj, zbliża się do mnie!...

— Już zaczynasz widzieć — radośnie stwierdziła Iwanycha. — Wszystkie je tak można zobaczyć, trzeba ino wiedzieć, jak obracać palcami. Smutek i Radość, Niedolę i Szczęście, Złydnie i Dobrobyt — wszystkie one żyją. Człowiek zwyczajny ich nie zobaczy, bo to mu niepotrzebne. Wyciągnij rękę przed siebie.

Wysunął.

— Odwróć. Zegnij palce — mały i serdeczny. Co widzisz?

Ujrzał złote jabłko, które stoczyło mu się do ręki. I zapłonęło mu na dłoni ognisko, ale zgoła go nie parzyło, grzało jedynie. Jabłko śmiało się, przewędrowało — ciepło spłynęło mu poprzez rękę do serca, co też poczęło stawać się ognistym jabłkiem. Dziwna radość, lekkość, wesołość, nawet zapamiętanie ogarnęły chłopca. Zerwał się z przyzby i uderzył bosymi piętami o trawę, zatańczył, zaśmigał, przerzucając jabłko z ręki do ręki, jak gdyby było zarzewiem. Iwanycha oparła się o ścianę i chichotała ukazując spróchniałe zęby.

— Dosyć, dosyć, bo pęknę ze śmiechu! — rzekła i machnęła ręką.

Na te słowa chłopiec przystanął i poszedł do niej jaśniejąc uśmiechem.

— Cóż to było? — spytał zadyszany.

— Sam odgadnij — rzekła Hałajdycha. — Przecieżeś nie płakał, ino tańczył. A może chciałbyś też zapłakać?

— Chcę wszystkiego — rzekł chłopiec. — Wszystkiego, na czym się znacie i potraficie.

— Od razu już wszystkiego — uśmiechnęła się stara. — Przecie to błahostka, co ci teraz pokazuję. Ale i to musisz wiedzieć. Boć i one są żywe: Gniew i Zawziętość, Cnota i Występek. Wszystko w powietrzu żyje i przepływa jak woda. Spróbuj uczynić, by ta woda stężała, i zobaczysz, co wywołałeś.

— A czy toto się nie złości, jak je wywołać?

— Jeszcze jak! — rzekła Żabunycha. — Więc nie wywołuj za często i bez powodu, żebyś nie popadł z nim w nieprzyjaźń.

— A jak popadnę, to co?

Stara popatrzyła nań mrużąc oczy, co były takie ostre i baczne, aż zadrżał.

— Staniesz się upiorem — rzekła.

Wzdrygnął się, bo powiało nań chłodem, choć dzień dokoła był ciepły i słoneczny. W oddali, gdzie roztaczała się wieś, szły dymy z kominów i stały pionowo niczym powietrzne drabiny. Na niebie nie było ani chmurki — nad rzeczką polatywał po-

woli bocian. Usiadł wprost na wodę i złożył skrzydła. Na wygonie pasło się bydło, pastuszkowie zebrali się w gromadkę i grali w kamyki. Żółty piach wyścielał koryto rzeczki i zalegał oba jej brzegi. Jechał wóz drogą i woźnica na nim zajrzał przez płot. Zobaczył starą i chłopca siedzących obok siebie na przyzbie. Żabunycha opowiadała coś jak bajkę, a chłopiec aż otwarł usta, taki był nią pochłonięty. „Dzień dobry!" — zawołał do nich woźnica i stara odkrzyknęła mu wysokim głosem. Kurzawa spod kół wychynęła zza płotu i przemieniła się w siwą chmurę.

— Wyciągnij rękę — rzekła stara. — Obróć. Zegnij palec wskazujący.

Chłopiec ujrzał szarego, grubego mężczyznę, który szedł za wozem. — Był przywiązany powrózkiem i obracał na wszystkie strony szarą, zgnębioną twarz z wielkimi oczyma. Płakał i łzy żłobiły mu rowki w twarzy. Ciało miał nie okryte ubraniem, ale jak gdyby z drewna.

— Co to? — cicho zapytał chłopiec opuszczając rękę.

— To bieda tego człowieka. Każdy z nas prowadzi za sobą na powrózku swoją własną biedę.

— To powiedzmy mu o tym.

— A czyż on cię prosił? — zapytała stara opryskliwie. — Nigdy nie rób tego, o co cię nie proszą. Nie wszyscy lubią, żeby im ich biedę pokazywano.

— A czy nie możecie przepędzić tej biedy?

Ale starej już jak gdyby to nie obchodziło. Gdzieś zabłąkała się w owym słonecznym dniu i nie wiedziała, jak wyjść z tego labiryntu. Ścieżki jak liny oplątywały jej drogę i nie dawały się w mig rozplątać. Z oczu jej wyrywała się niema tęsknota i parowała w tym modrym, słonecznym powietrzu. Dlatego to na niebie ukazała się pierwsza chmura, taka niepewna i delikatna, jak gdyby ktoś rozlał w niebie kubek mleka. Chmura ta zrodziła z siebie białego ptaka, co zleciał ku ziemi niczym rzucony kamień, ale znikł nagle, bo stara poruszyła się i wstała. Była stanowcza, a może i zagniewana, i już nie miała ochoty rozmawiać z chłopcem. Ten zląkł się nieco, czy nie uraził jej czymś niestosownym. On też się podniósł i stali naprzeciw siebie napięci i czujni.

— Pytasz mnie o to? — rzekła ochryple. — Nie pozwoliłam ci, byś mnie pytał.

Chłopiec stropił się do reszty. Odwrócił się i poszedł w stronę przełazu. Po drodze stanął i znów wyciągnął rękę przed siebie. Wóz był już daleko. Daleko była też ta chmura kurzu, ciągnąca się za nim — wyjrzał z niej ku niemu ów nagi, drewniany i siwy człeczyna i ukazał mu okrągłą, zapłakaną twarz.

— Jest prawo, którego nie możemy przekroczyć — rzekła od progu stara i choć mówiła półgłosem, każde jej słowo dochodziło do chłopca. — Nam, czarownikom, wolno dużo widzieć, ale mało czynić. Nie w naszej mocy jest odmienianie świata.

— To dlaczego musimy widzieć? — zapytał chłopiec.

— Żeby ludziom dawać pociechę — rzekła dumnie stara. — Człowiekowi pocieszonemu łatwiej jest żyć na świecie, mój chłopcze!

Chłopiec znów wrócił na podwórze i usiadł na przyzbie. Przy nim siadła znużona Żabunycha i tak umilkła, że nawet jakby przestała oddychać. I w tym momencie do serca chłopaka wniknęło pierwsze objawienie. Ów ptak, co go zrodziła chmura podobna do wychluśniętego dzbanka mleka, nie opadł jeszcze na ziemię, leciał jeno i leciał, a celem jego lotu okazało się chłopięce serce, otwarło się bowiem zdziwione i napełniło słonecznym rankiem. Było w tym jego zachwycenie, a zarazem lęk przed własną bezsiłą i nieporadnością; oczy miał w tej chwili pełne złotych promieni i modrego nieba — w nie właśnie wlecieć miał biały ptak, by w nim zamieszkać; jako że ów ptak mlecznej barwy jest czymś płynnym i miękkim niby woda, a może jeszcze miększym i płynniejszym — jak samo czucie. Zarazem rodził się w nim smutek bezzasadny i niewytłumaczony, bowiem takie jest odwieczne prawo życia, które pojął sercem i oczyma — iż jakikolwiek zysk na tym świecie jest zarazem utratą i że nigdy, dopóki świat światem, a słońce słońcem — nie będzie inaczej. Utrata owa była zarazem światem i ptakiem, objawieniem i przypływem żalu, jego cieniem, bo na to jest słońce, by oświetlało cień i rysowało jego odbicie; na to jest słońce, by ukazywało w świecie podobieństwa, które dostrzec potrafi jego złote oko.

— Wszystko na świecie jest rozdzielone na dwoje — rzekła z namaszczeniem stara. — Zrozum to i nie dziw się.

On jednak czekał wciąż jeszcze, bowiem ów ptak leciał i leciał, i znów widzieli go oboje, choć dla zwyczajnego oka wydawał się pospolitym migotaniem; zresztą i z ptakiem stało się to, co zapowiadała stara: rozłamał się na dwa — białego i ciemnego; jasny uderzył w oczy chłopca, a ciemny w jej oczy. Krzyknęła wysokim głosem i wyciągnęła ręce przed siebie, a chłopiec wpatrzył się w nie ze zdziwieniem, bo obie były uschłe i pokurczone.

— Możesz się cieszyć — rzekła Żabunycha i twarz jej wykrzywiła się z bólu. — Tyle mnie kosztowała pierwsza tajemnica...

Ale chłopiec nie miał kiedy przejmować się dolegliwościami sta-

rej, świat przed nim zrobił się perłowy. Barwy zagrały i zaśpiewały, trawa przemieniała się w wodę, a ta jednoczyła się z powietrzem. I napełniało się ono ową zieloną wodą i tymi barwami — owo coś zaśpiewało przepięknie, jak gdyby zwiastując nowy ranek, tak że nastał poranek w poranku. Odtąd przez płot jęło się gramolić dwoje przedziwnych bliźniąt. Ciała ich były zrośnięte, lecz ręce, nogi i głowy miały oddzielne. Wspinały się, przebierając niezdarnie nogami, a w rękach trzymały węża i kwiat. Na głowach upięte miały wieńce, usta ich zaś jednocześnie otwierały się i zamykały — bliźniacy śpiewali.

— A ci dwaj, co to za jedni? — zawołał chłopiec ze strachem.

Żabunycha przyciskała do piersi pokurczone dłonie i płakała. Jednakże łzy nie ciekły jej z oczu, co były suche i bolesne, i płonął w nich ogień czarny jak noc.

Ból nie dawał jej spać, podeszła więc do ławy, na której skulił się w kłębek chłopiec, i opryskała go płynem nabranym ustami z garnuszka. Chłopiec znieruchomiał na drugą noc i nie mógł jej przeszkadzać. Ona zaś zakwiliła żałośnie i zapłakała, bo nie była w stanie wytrzymać owego nieludzkiego bólu w rękach. Ale i to jej nie pomogło, pokuśtykała więc do pieca i rozdmuchała żar, co tlił się w nim jeszcze: podrzuciła słomy i zagotowała wodę. Po czym nakładła do garnka ziół, wyrywając je z pęczka zębami, i czekała, aż napar wystygnie. Ból stał się nieznośny, padła więc na ziemię, krzyczała i przytulała pokurczone ręce do ziemi.

— Ziemio, ziemio! — jęczała. — Jak zabierasz wszystko na świecie, zabierz ten ból i ulżyj memu sercu!

W krąg szybki wtoczył się miesiąc, a może to szybka stała się takim miesiącem, obolałym jak jej ręce, i Żabunycha zawyła do tego miesiąca-szybki jak głodna i chora wilczyca. Ale i to nie pomogło, pokuśtykała więc do pieca i jęła moczyć ręce w odwarze.

— Boże! — powiedziała. — Daj moim rękom siłę na noc jeszcze jedną, boć mam go nauczyć zdejmować gwiazdy!

Ziele sprawiło jej ulgę i stara poczuła, że ręce znowu jej służą, bo napełniły się sokiem jak drzewo na wiosnę. Już poruszyła palcami, choć rozległo się to echem po całym ciele. Rozprostowywała je mozolnie, aż zachrzęściły i zatrzeszczały jej kości, pot oblewał ją od stóp do głowy, jednakże już poruszała garścią i palcami — blady uśmiech wykwitł jej na ustach. Wyjęła ręce z naparu, otarła ręcznikiem i spojrzała na szybkę-miesiąc jako że był jej potrzebny.

Wyszła na ganek i stanęła oko w oko z żółtym księciem.

Stała tak długo i słuchała. Słowiki nie śpiewały tej nocy, za to bzy pachniały ponad ludzką wytrzymałość. Światło miesięczne sączyło się jej w serce, poczuła się więc lekka i przejrzysta. Nogi jej odrywały się od ganku, już-już miała się zerwać i ulecieć w powietrze.

I ciało zostało na ganku, owo zaś przejrzyste, co się narodziło, oddzieliło się od niej i naprawdę uleciało. Zakręciła się jak wicher, zawirowała i nagle padła plackiem na ziemię chwytając psa białego jak śmietana. Uniosła go w niebo, gdzie przebywają i gwiazdy i księżyc, by pozostawić go tam na wieki.

— Chcę się dogadać z tobą, Warko Moroziwno — rzekła. — Rzuciłaś mi wyzwanie i przyjęłam je. Ale nie mam już siły zmagać się z tobą, Warko, proszę cię, zostaw mnie w spokoju...

Leciały obok siebie przez świetlisty eter.

— Czemuż to tak nagle dajesz za wygraną? — roześmiała się Warka. — Przecie takie są te nasze wiedźmowskie uciechy...

— Daj pokój, Warko — mitygowała stara. — Ani mi w głowie teraz uciechy. Każdej z nas bowiem zapowiedziano, wiesz o tym, że jak mamy umrzeć, to przychodzi do nas zwiastun.

— Jeszcze za wcześnie o tym wspominać — odparła Warka.

— Tobie za wcześnie, a mnie już czas. Ten zwiastun w postaci chłopca-wieszczka przychodzi i nie da rady go odpędzić.

— Ale go przepędź!

— Grzech to dla nas ogromny. Musimy wyuczyć tego chłopca mądrości naszej, a potem umrzeć.

— Czy to my mamy mówić o grzechach? — odparła gniewnie Warka. — Już samo to, że istniejemy, jest grzechem, bo wszyscy nas przeklinają i nienawidzą.

— Przeklina nas ten, co nam zazdrości i nie zna naszego przeznaczenia. Ale ty musisz o nim wiedzieć. Przecie nie zło siejemy, lecz dobro. Strzeżemy ludzi od chorób i od mocy nieczystej, co ich serca zatruwa. Nie gubimy ludzi, lecz ich ratujemy. Toteż musimy przekazać swoją mądrość innemu i to jest nasze ostateczne prawo.

— Czegóż to chcesz ode mnie? — spytała Warka.

— Żebyś mnie odstąpiła. Żeby czart nie zakradł się nam do serca. Byśmy nie przezbywały się w czasie, gdy przekazuję swoją wiedzę.

— A ja ci nie wadzę — rzekła Warka.

— Nie kłam, Warko — ostro ozwała się stara. — Czuję cię. Gdzieś stale kryjesz się koło mnie. Nie mam już sił, by cię przychwycić, ale plączesz się przy mnie bez ustanku.

— A czy stąd wynika jaka szkoda dla ciebie?

— Wdzierasz się w tajemnicę, co jest tylko dla dwojga przeznaczona. Boję się tego, Warko, bo jak wtrąca się ktoś trzeci, to ani chybi jest to czart.

— Ale żeś powiedziała — czart! Toć to zabobon ciemnoty, babko! Który to już rok jestem czarownicą, a jeszczem go ani razu nie widziała.

— Czart — to nasze niedobre zamysły — rzekła stara.

— Nic złego przeciw tobie nie zamyśliłam! — odparła gwałtownie Warka, a gdy Żabunycha chciała uchwycić ją ręką, umknęła znów niczym poświata. I zadzwonił gdzieś nad Iwanychą Hałajdychą czy koło niej dźwięczny śmiech młodzieńczy, i od tego śmiechu jęła stawać się coraz cięższa. To coś przejrzystego w niej, co oddzielało się i było niczym promień, powróciło do ciała stojącego na ganku. Nie ożywiła się od tego, jedynie oczy zapłakały bezgłośnie. Znów posłyszała w ciemności głos trawy i to nie świerszcz śpiewał pod jej nogami. Zginała i rozginała palce rąk, które bez tego byłyby skostniały, i wyczekiwała, aż oczy jej się wypłaczą i nastanie godzina, której czekała już niecierpliwie.

— Wstawaj, chłopcze — rzekła Iwanycha Hałajdycha opryskując go wodą z garnuszka. — Dziś już się dość wyspałeś.

— Co, już ranek? — zerwał się chłopiec spłoszony.

— Gdzie tam ranek! Twoja nocna nauka się zaczyna.

Usiadł na ławie i podrapał się w głowę.

— W głowie mi się kręci — rzekł. — Może byśmy odłożyli do jutra?

Ziewnął nie zakrywając ust i ledwie je zamknął, poczuł, jak twarde palce złapały go za ucho i ściągnęły z ławy.

— Nie ja cię tu przyzywałam — rzekła stara żelaznym głosem — sam żeś przyszedł. Skoro zaś przyszedłeś, zapomnij o wszystkim, co było. O tym, co rozkoszne i przyjemne: zapomnij, że noc jest do spania, bo właśnie nocą odprawia się wszystkie tajemne obrzędy. Nie do siebie już zacząłeś należeć, chłopcze, jeno do świata!

— Puść mnie, babciu, boli!

— Gorzej cię boleć będzie! — jazgotała mu nad głową stara. — Gdy ludziom oddasz serce, a oni rzucać w ciebie poczną zgniłymi słowami, gdy będziesz za nich cierpiał, a oni w twarz ci pluć będą. I przez noce bezsenne, i z tego, że głowa pękać ci będzie od myśli. I z tego, że przez całe życie będziesz musiał się powściągać; siłę mieć będziesz nadludzką, ale nie będziesz

mógł się nią posłużyć, by siebie samego ratować, wzbogacić się, zaś innych zubożyć. Przeklęty będziesz!

— Ucho mi oderwiecie! — zaskomlał chłopiec i łzy popłynęły mu po twarzy.

— Oderwę bodaj — skrzypiała stara. — Oderwę i przyszyję, to też jest w mojej mocy! Ale wiedz, że gdy raz wstąpisz na naszą drogę, to nie oczekuj niebieskich migdałów!...

Wreszcie puściła ucho, a chłopiec upadł na kolana, rozcierał sobie ucho i szlochał.

— Wylej z oczu wszystkie łzy — rzekła stara zawisając nad nim jak siekiera. — Tego, co ujrzysz teraz, nie mogą widzieć oczy mokre, jeno wypłakane. A nie, to masz jeszcze czas wyrzec się i uciec ode mnie.

— Nie mogę uciec od was — rzekł chłopiec. — Wiecie przecież, że mnie posłano...

— Skoro posłano, to cierp!...

Przystanęła pod oknem, wysoka, naprężona, i zdawało się, że bynajmniej nie stara. Patrzyła przez szybę na niebo i widziała gwiazdy.

Opuszczały na ziemię niewidzialne nici niczym długie i cienkie nogi i niesłyszalnie stąpały nimi po rosie.

— Teraz będziemy ściągać gwiazdę z nieba — rzekła. — Podejdź bliżej i wybierz, którą zechcesz.

Chłopiec już nie płakał. Stał tuż przy niej i przyglądał się. Z wolna przejmował się owym dostojeństwem, którym aż tchnęła stara, i niebo nagle jęło zbliżać się ku niemu. Gwiazdy ogromniały coraz bardziej i ujrzał nici, co je osnuwały.

— Każda gwiazda to złoty kłębek — wyszeptała przy nim Żabunycha — i łatwo go rozplątać. Wybieraj!

Spostrzegł, że owe gwiazdy są różnobarwne. Żółte, modre, błękitne, czerwone, różowe — pływały w ciemnomodrej zawiesinie. Dłoń jego wyciągnęła się bezwiednie, przeniknęła szybę niczym promień światła i nieomal dosięgła jednej z nich — żółtej.

— Żółtą wybrałeś! — roześmiała się stara. — Żółtej nam właśnie potrza. Żółta to pieniądze, chłopcze. Ani one twoje, ani niczyje, jeno ludzkie. My ludziom oddajemy swoją moc, a w zamian za to żyjemy. Czekaj, zaraz ją weźmiemy.

Ciała ich z wolna tężały pod oknem, napełniały się bowiem światłem owej gwiazdy, którą widziały ich oczy. Właśnie owo coś przejrzystego i subtelnego przywołało ich nagle na niebo. Przeszli jak światło przez szybę i jak światło popłynęli w nieogarnioną przestrzeń. Nic nie słyszeli, bo też nie było dziś dźwięków. Nie było ani ciepła, ani zimna, same jeno barwy. Oprócz widzianych wcześniej pływały dookoła nich jak ryby jeszcze zie-

lone, pomarańczowe, błękitne i nawet czarne ciała. Skrzyły się i mieniły, układały w tęcze i rozpadały raptownie, jak gdyby z przestrachu. Drżało wówczas niebo i mocniej wiązały się na nim węzły gwiazd.

— Widzisz — rzekła stara czarownica — każda gwiazda to węzeł na niebie. Nie można wyrywać go siłą, by nie uszkodzić sieci niebieskiej. Gwiazdę trzeba wyjmować powoli i delikatnie, a potem zapleść to miejsce związując rozerwane końce.

Całe niebo rzeczywiście było wyhaftowane świetlnymi nićmi: każda lśniła swoim kolorem, było ich tyle, że darmo by się w nich rozeznawać. Stara już obmacywała złote ciało gwiazdy — szukała czegoś. Rozległ się cichy brzęk, jak gdyby pękła struna, ale to jeno promień się rozerwał. Stara złapała go jak nitkę i związała z innym. Wówczas znowu rozległ się brzęk i znów związywała rozerwany wątek. W ręku jej świeciło wielkie roziskrzone jabłko; wyskakiwały zeń tysiące promieni, jak gdyby poutykane było mnóstwem złotych igieł. Nitki świetlne opuszczały się w dół i stara uchwyciła się jednej.

— To jest ta twoja gwiazda — rzekła. — Będzie ci dawać chleb.

Wsunęła nitkę w garść chłopca, który ją mocno ścisnął.

Stali pod oknem i każde z nich ściskało złotą nitkę.

— Teraz ciągnij! — zakomenderowała Iwanycha. — Sam ściągaj, bo mnie znów kurcz chwyta!

Ostatnie słowa wykrzyczała nieomal, bo zajęczała i zaszlochała zarazem. Chłopiec zaś przygryzł z zapamiętania dolną wargę i pomału ściągał z nieba złote jabłko.

— Ostrożniej! — wystękała Żabunycha. — Nie zerwij nici!

Jednakże chłopiec sam już uchwycił właściwy rytm. Przebierał złote tkanie i z wolna ściągał z nieba złoty latawiec. Było to kubek w kubek jak w dzieciństwie, gdy z chłopakami zarzucali w niebo latawca, i tego nie musiał się uczyć. Złote jabłko drżało na niebie opuszczając się coraz to niżej, a że było ze światła, z łatwością przeszło przez szkło i upadło na środek chaty. Teraz oświetliło się wszystko w jej wnętrzu i jak gdyby po raz pierwszy przy tym świetle chłopiec ujrzał starą czarownicę, jej twarz zeszpeconą bólem, wielkie zatroskane oczy i prawie czarną, gęsto pociętą zmarszczkami skórę. Bezzębne usta miała otwarte, nos drżał — wyciągała w jego stronę nie rękę, lecz uschły badyl, i musiał się skupić, by zrozumieć słowa, jakie doń wykrzykiwała:

— Do garnka ją włóż, bo się cała rozświeci!...

Chłopiec podskoczył do pieca i złapał największy sagan. Chwycił gwiazdę gołymi rękoma i zasyczał, bo była jak kawał rozpalonego żelaza. Wrzucił do saganka, a dłonie w mig pokryły się

pęcherzami. Zdołał jeszcze opuścić na sagan pokrywkę, po czym światło zgasło i znów znaleźli się w ciemności, na jakiś czas oślepieni.

— Wsadź ręce do odwaru, co stoi na piecu! — monotonnie i ze znużeniem wypowiedziała stara.

Chłopiec zanurzył dłonie i ból z wolna jął ustępować.

— No to co? — tym samym tonem spytała Żabunycha. — Wesołe było polowanie?

— A co z tym zrobimy? — zapytał chłopiec.

Twarz miał pokrytą wielkimi kroplami potu, ale nie mógł jej obetrzeć, bo ręce miał zanurzone.

— Kiedyś się dowiesz! Mnie tu ręce całkiem uschły i z nogami coś się dziwnego wyprawia.

— To się wykurujcie — beztrosko poradził chłopiec.

Stara roześmiała się, a może wyszlochała:

— Czyś zapomniał, co ci mówiłem? Samych siebie nie leczymy, mój chłopcze!

— Przecie z rękoma wam sfolgowało!

— Tom na jedną noc wyprosiła — mówiła ledwie poruszając wargami stara. — Ty też nie pozbędziesz się tych oparzelizn bez reszty. Będziesz je mieć do ostatka...

— Już mnie nie boli!

— Zaboli cię później... Teraz już ty mi będziesz gotował jedzenie — rzekła. — Od jutra będziesz gotować mnie i sobie.

— To będę gotował! — odkrzyknął chłopiec. — W domu sam sobie warzyłem strawę.

— Jedno mnie niepokoi — rzekła stara. — Czuję gdzieś Warkę... Sam już, chłopcze, jesteś widzący, to może byś jej poszukał?

— A jak jej szukać?

— Tak jak wczoraj cię pouczałam. Wyciągnij rękę, obróć dłonią do góry i złóż palce najmniejszy ze środkowym. Rozejrzyj się po kątach...

— Ciągle ta Warka i Warka! — rzekł chłopiec niekontent. — Przecie goję sobie ręce.

— Więcej już nie zagoisz!

Wyjął dłonie — już nie bolały.

— To jak powiadacie? — spytał. — Najmniejszy i środkowy?

— Aha! Wyżeń ją, przegnaj, na miłość boską! — wyjęczała Żabunycha. — Nie mam od niej spokoju...

Stanął i zrobił, jak pouczyła go stara. W jednym kącie ujrzał starego i siwego domowika, który spał sobie jak pies zwinięty w kłębek. Posapywał nosem i pojękiwał, jak gdyby coś go trapiło we śnie.

— Jego nie ruszaj! — rzekła Iwanycha. — Ten niech śpi sobie. Widzisz, że i jemu coś złego się przyśniło.

W drugim kącie stała kobieta z wielkimi i dobrymi oczyma. Trzymała dziecię na ręku i była smutna.

— Tej się pokłoń! — rzekła Hałajdycha. — Pomódl się za mnie. Żebym nie zaznała na tamtym świecie większej udręki, niż zasłużyłam.

Chłopiec ukląkł i pomodlił się.

— Niechaj ta stara nie zazna większej udręki, niż zasłużyła — poprosił.

Kobieta z dziecięciem na ręku skinęła twierdząco.

Dziecię spało, ale na jego głos się obudziło. Wyciągnęło delikatne rączyny, wysuwając je spod chusty, i wyprostowało się. Po czym spojrzało na chłopca wielkimi, czarnymi jak i u matki oczyma.

— Wybacz im — rzekła kobieta. — Bawią się jak dzieci, ale zła nie wyrządzają...

Dziecię patrzyło na nich bez słowa.

— Popatrz no w trzecią stronę — poprosiła Żabunycha.

W tamtym kątku stał kawaler z wymizerowaną twarzą.

— To chłopiec, com go w panieństwie kochała — wyszemrała stara. — Umarł i nie zdążyłam z nim wziąć ślubu.

— Czemu przez cały czas mnie wołasz? — spytał młodzian z cierpieniem w głosie. — Czemu niepokoisz?

— Chcę cię zapytać — odparła stara. — Ty z dołu tam widzisz wszystko. Czy dostanę się po śmierci tam, gdzie ty przebywasz?

— Dostaniesz się — rzekł młodzian. — A może i nie...

— Czy wolno mi tam będzie wziąć z tobą ślub, kochany? — spytała Iwanycha i chłopiec zdziwił się, jaki jej głos stał się miły i tkliwy.

— Pozwolą — rzekł młodzian. — A może i nie...

— Dlaczego nic nie mówisz na pewno? — krzyknęła stara.

— Zmęczony jestem — rzekł młodzian. — Uwolnij mnie i już nie przywołuj.

— Uwolnię cię, gdy nadejdzie moja chwila ostatnia. Przecie mi serce zabrałeś, chłopcze, i nie oddałeś.

— Oddam ci twoje serce — rzekł z udręką młodzieniec.

Wyciągnął ręce przed siebie, a na jego dłoniach leżało gorące, parujące i krwawe serce.

— Niedługo już mamy czekać, luby — rzekła czule Żabunycha. — Jeden dzień aby wytrzymaj.

— Abý jeden dzień — mówił znużony młodzieniec. — Nie wytrzymam dłużej.

— Wtedy ślub weźmiemy — rzekła stara. — Oj będą grać grajkowie na naszym weselu!

— Będą grali! — odkrzyknął głucho młodzian.

— I wszyscy drużbowie z nami będą. I ojcowie nasi. Takiego wesela nie widziano jeszcze jak świat światem. Chcesz tego?

— Wszyscy z nami będą — rzekł młodzian i jął się rozwiewać jak dym.

Żabunycha szlochała. Tłukła o polepę głową białą od mnóstwa rozpuszczonych włosów i cała się trzęsła. Chłopiec patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma i czekał.

— Na co czekasz? — zawołała stara. — W czwartą stronę popatrz!

Skierował spojrzenie do czwartego kąta, ale tam nic się nie ukazało. Kąt był ciemny i osnuty pajęczyną. I wisiała w tej pajęczynie jedna tylko zasuszona mucha.

— Czyżby jej nie było? — zdumiała się Iwanycha.

— Ano nie ma — odparł chłopiec.

— Boję się — aż wzdrygnęła się stara. — Dobrze wiem, że jest gdzieś blisko, lecz ani rusz nie mogę jej rozpoznać.

— Czemuż się jej tak lękacie? — spytał z drżeniem w głosie chłopiec. — Czy jest taka zła dla was?

Ale stara nic nie mówiła. Może zasnęła, a może i umarła na jakąś godzinę — była nieruchoma i skamieniała. Chłopiec usiadł na ławie i jął czekać. Kiwał się, zasypiał na siedząco, ale stara się nie odzywała. Wówczas zasnął tak jak siedział, był bowiem nader zmorzony i zbyt ciężko noc kładła mu się na powieki.

— Ty śpisz, hultaju! — posłyszał ostry głos Hałajdychy. — Nie taka to noc, żeby ją przesypiać!

Chłopiec zerwał się przestraszony, zdawało mu się, że bezlitosne palce starej już dosięgają jego ucha.

— Boście umilkli — rzekł wylękniony.

— Umilkłam, bom sobie myślała. Ale niczego się nie domyśliłam. Mija już noc, a jeszcześmy nie dokonali tego, co najważniejsze.

Stała tuż przy nim i dyszała ochryple.

— Rąk ja już, chłopcze, nie mam. Ale dopóki nogi mi jeszcze służą jako tako, nauczę cię, jak zarabiać pieniądze.

Snuła się po chacie jak mara, a gdy zasłaniała okno, światło przeświecało przez nią.

— Nie wyżyjesz z tego, co ci ludzie dadzą — rzekła cicho. — Mozolny to i gorzki chleb. Ale ludzie powinni myśleć, że tylko z tego żyjemy. Gdyby ktoś z nas się wzbogacił i jął się pła-

wić w zbytku, nie minęłoby go nieszczęście: zazdrość ludzka, chłopcze, nie zna granic. Nie dożyjesz starości wzbogaciwszy się na czarach. Trafi się nieurodzaj czy zaraza, żywcem zakopią cię do jamy, jeszcze kołkiem osinowym przebodą. Przeto ci mówię: pozostań w biedzie!

Stanęła przy oknie i zapatrzyła się.

— Podejdź tu! — rzekła.

Chłopiec podszedł.

— Będziesz pożyczać u ludzi. Ale ino troszkę! I tylko u tych, którzy nie są w stanie przeliczyć swoich pieniędzy. Daj no tu garnczek z gwiazdą.

Skoczył po garnczek.

— Uchyl pokrywkę i poślij promień do tamtej chaty.

Ostry złoty grot zawisł pomiędzy ich domem i tym, na który patrzyli — ujrzeli wszystko, co tam było w środku. Stara babka spała na piecu, a na podłodze wąsaty chłop z żoną. Po ławkach porozkładały się dzieci.

Pod oknem stała wielka skrzynia, którą też przeniknął promień. Na samym jej dnie był dzbanek: zalśniło w nim i zabłyszczało.

— Srebro? — zawołał chłopiec.

— Ano! Weź jedną monetę, nie więcej — rozkazała.

— Ale jak ją wziąć?

— Tak jak bierzesz wszystko inne — roześmiała się stara. — Ino szybciej, bo zaraz świtać zacznie.

Wyciągnął rękę i rzeczywiście dotknął garnka. Złapał monetę i wtem posłyszał, jak coś koło niego upadło.

— Nogi moje, nogi! — krzyknęła stara.

— Co wam się stało w nogi? — rzucił się do niej chłopiec.

— To co i z rękoma. Usychają mi, jej, jak usychają!

— To może zwrócę tę monetę? — wyjąkał przerażony.

— Nic już nie zwrócisz! — zazgrzytała zębami Iwanycha Hałajdycha. — Wszystko, co się stało, stało się już na zawsze. Ale znaj miarę! Jeżeli weźmiesz kiedyś dwie monety, to zginiesz! Przysięgnij na wszystko w świecie, że nigdy tego nie popełnisz!

— Przysięgam! — zawołał chłopiec. — Niech wszystko, co święte, zada mi śmierć na wieki, jeśli to popełnię!

Na te słowa coś drgnęło tam, gdzie znajdował się wschód, jak gdyby przerwała się jakaś tama, i wszystko z wolna jęło napełniać się światłem. Stara leżała wyciągnięta na polepie i twarz jej całkiem poczerniała. Oddychała z wysiłkiem, a na ustach jej występowały pęcherze piany. Wówczas chłopiec się przeraził. Światło rozchodziło się coraz szybciej i nieubłaganiej, zatapiało

ziemię, sączyło się do chaty, rzucił się więc na kolana, targając starą.

— Nie umierajcie, babko! — zawołał niemal kobiecym głosem. — Na Boga, błagam cię i zaklinam! Boję się!

Babka wywróciła oczy i z piersi jej wydobył się jęk.

— Błagam cię, babciu! Ja już nic nie chcę! Już nie chcę być czarownikiem, bo nie chcę twej śmierci. Zapomnę wszystko, czego mnie nauczyłaś, i nikomu tego nie wyjawię. Słyszysz, babciu, boję się!

Niebo napełniało się światłem i gasiło gwiazdy. Przytłumiło nie dopalony księżyc i modro kołysało się nad całym światem.

— Co mam począć, co począć?! — Chłopiec jął się miotać po chacie. — Babciu, błagam cię, oprzytomniej!

Odpowiedzią był cichy, zgrzytliwy śmiech. Przystanął w rozpędzie i gwałtownie zwrócił się w stronę Żabunychy. Wciąż jeszcze miała wywrócone źrenice, świeciła białkami oczu, a z rozwartych ciemnych ust wydzierały się spazmatyczne wybuchy śmiechu.

— Późno się zląkłeś, chłopcze — powiedziała. — Miałeś czas się wymówić, gdy jeszcze byłam zdrowa. Teraz wiesz już zbyt wiele. Ty wiesz, a ja już nie!

— Dręczysz mnie, babciu! — rzekł zimno chłopiec.

— Nawzajem się dręczymy. Wszyscy czarownicy tak umierają. Przekazują swoją wiedzę, sami zaś się jej pozbywają. Gdy już wszystko przekażą, wtedy spada z nich klątwa.

— To chcesz, bym wziął twoją klątwę na siebie?

— Już ją wziąłeś — z jej otwartych ust jęły się wydzierać szlochania. — Tak to się dzieje z nami, czarownikami! Nie lękaj się więc i bierz swoją wiedzę do ostatka.

Chłopiec usiadł na ławie i wsparł się rękoma o kolana.

— Cóż mam teraz robić? — zapytał.

— Spać będziemy oboje. Połóż mnie na polepie. Nie bój się, jestem już lekka jak patyczek...

Podszedł i bez trudu wziął starą na ręce. Miał ochotę zamachnąć się i cisnąć nią o polepę. Jednakże patrzyły nań dziwnie przenikliwe oczy. Położył starą i odwrócił się.

— Jeszcze nie wiesz tego, co najważniejsze, bez czego nikt z nas nie przeżyje — rzekła Żabunycha i westchnęła, jakby przypomniała sobie coś bolesnego.

— Coś jeszcze? — odwrócił się ku niej chłopiec.

Ale ona już spała. Oddychała równo unosząc wyschłe piersi i światło, co w tej chwili ogarnęło ją z okna, uczyniło jej twarz całkowicie siną. Leżała sina i spokojna, aż nagle żal go przejął. Wyciągnął rękę przed siebie, odwrócił dłonią do góry i ścisnął

palec wskazujący. Wówczas z okna poprzez parapet zeskoczył doń białoczuby chłopak o oczach modrych jak niebo. Spojrzenia ich się zetknęły i poczuł, że traci coś na tym świecie. Coś cennego i niewidzialnego. Coś takiego, czego się wcześniej nie domyślał, ale miał to zawsze. Chłopiec o niebieskich oczach wyciągnął doń rękę z rozpostartą dłonią. On zaś nie miał ochoty oddać tego skarbu — pragnął zatrzymać go jeszcze trochę przy sercu. Bodaj na chwilę, mgnienie, ale biała ręka już zacisnęła przed nim palce, ukrywszy to, o czym myślał. Chłopiec o niebieskich oczach roześmiał się i znów przeszedł przez parapet okna.

— Oddaj! — zawołał młody czarownik. — Oddaj, słyszysz?

Echo odpowiedziało mu tak, jak gdyby stał w głębokiej kamiennej kotlinie, samiuteńki jak palec.

Ranek migotał miriadami iskier, każda bowiem trawka i łodyżka otrzymała swoją czarodziejską kroplę i ssała ją z lubością niczym cukierek. Zapach bzów spływał falami ze wzgórza i otulił małą chatynkę, na której przyzbie samotnie zastygł chłopiec. Ode wsi pastuszkowie gnali bydełko na wygon i w ciągu nocy kurz zwilgotniał na tyle, że już się nie kłębił. Rzeczka też trwała nieruchomo, owinięta gęstym oparem, jakby pomiędzy wiklinami czołgał się ogromny kosmaty połoz z połyskującym grzbietem. Chłopiec patrzył na świat przymrużonymi oczyma, wdychał wilgotny zapach bzu i mimo woli czuł, że tak właśnie patrzyła co rano na te widoki jego stara mistrzyni.

Wzdrygnął się słysząc kroki.

— Ty też do Żabunychy? — spytał mężczyzna unosząc nogę nad przełazem. — Coś mi się zdajesz nieznajomy. Dobrego ranka ci życzę!

— Dobrego ranka! — odparł chłopiec, jakby to echo odpowiedziało. — Nietutejszy jestem...

— A gdzie stara?

— Słabuje. Z łóżka nawet się nie dźwiga...

Tamten zagwizdał i przysiadł przy nim.

— A ty też przyszedłeś po pomoc, czyś jej krewniak?

— Krewniak — odparł chłopiec. — Chcieliście czegoś?

— Czego tam chcieć, skoro choruje. A ja myślałem, że takiej diablicy to licho się nie ima...

— Czemuż to — diablicy? — aż przeraził się chłopiec.

— A bo nie? — Gdzieżby człowiek zwyczajny znał te gusła? Diabli im szepcą na ucho. Albo weź, na ten przykład, ziele! Dla mnie to wszystko jednakie: zielsko i tyle. A ona nie: jedno na to, drugie na tamto.

Mężczyzna mówił to z hamowaną złością, a swoją przemowę przypieczętował splunięciem.

— Aleście przyszli do niej, jak przypiliło.

— A bo przypiliło. A może ona tak ino udaje? — mrugnął znacząco mężczyzna. — Matka moja aż na ścianę się drapie, tak ją boli!

— Nie udaje — odparł chłopiec. — Ręce i nogi jej pokrzywiło.

Mężczyzna znów gwizdnął przeciągle i zerknął na chłopca.

— Tak to! To już pewnie Bóg pokarał! Kiedy Bóg skarze, diabeł nie obroni!... Cóż mam począć z moim nieszczęściem, nie poradzisz?

— Pójdźcie do Warki Moroziwny.

— Warka tego nie zna, co Żabunycha. Warka sama siebie wiedźmą robi, a ta prawdziwa! A tyś sam nie z jej nasienia?

— Moja matka jest jej siostrą cioteczną.

— Toć ja nie o tym — rzekł mężczyzna. — Rozsądnie gadasz, choć niedorosły. Możeś ty też wiedzący?

— Nie — rzekł chłopiec. — Przyszedłem odwiedzić ciotkę.

— Szkoda — znów splunął mężczyzna. — A może zajdę i zapytam?

Chłopiec nic nie odpowiedział, a mężczyzna ujął skobel.

— Ręce, nogi, powiadasz, odjęło? — powtórzył pytanie.

Chłopiec przytaknął.

— No to niech ją frybra trzęsie! — machnął ręką mężczyzna i ruszył w stronę przełazu. — A ty czemu stąd nie uciekasz? — odwrócił się od przełazu. — Uciekaj, bo jeszcze na ciebie wiedźmostwo się przerzuci!

Ale chłopiec znów nic nie odpowiedział. Patrzył na mężczyznę mrużąc oczy, aż ten wzruszył ramionami, rozejrzał się i zniknął równie prędko, jak się pojawił. Wówczas chłopiec usłyszał, że stara go woła. Schrypłym, wątłym głosem, w którym była prośba i łzy. Podniósł się, aż chrupnęły mu kości w kolanach, i szarpnąwszy drzwi stanął na progu.

— Jesteś tutaj? — spytała stara łagodnie. — A ja już się bałam, żeś uciekł.

— Nie mam dokąd — rzekł chłopiec.

— Kto to hałasował?

— Przychodził jakiś chłop. Chciał od was pomocy.

— Teraz to ja sama potrzebuję pomocy — rzekła Żabunycha. — Idź do komórki i przynieś chrustu, trzeba napalić w piecu.

— Zimno wam?

— Zimno? — stara się roześmiała. — Jasna rzecz, że zimno. Ale ogień potrzebny mi jest nie dla ciepła. Zioła zaparzysz, że-

by bodaj trochę nogi rozruszać. Już wyprosiłam u nich na ten dzień.

— Jak to — „u nich"? — zapytał chłopiec.

— A bo ja wiem, kto mną zawiaduje? — rzekła Iwanycha Hałajdycha. — Jak mi czego potrza, to proszę obu: i Boga, i diaska. Któryś tam z nich mi dopomaga...

Siedziała na ławie, na której ją posadził, i moczyła nogi w odwarze. Pojękiwała przy tym, a niekiedy wydzierał się z niej krzyk, widocznie bolało ją nie na żarty. Chłopiec tymczasem zaparzał drugi garnek ziół, a później grzał tamto, co wystygło w cebrzyku. Jednocześnie zakrzątnął się i wokół kaszy, co błogo bulgotała, dochodząc pod pokrywką.

— Musimy opuścić ten dom — rzekła Żabunycha — bo skoro ten człek się dowiedział o mojej chorobie, to rychło cała wieś tu będzie. Jakoś mi tu nieswojo: wciąż mi się kręci pod nosem ta zatracona Warka. A my, chłopcze, zaczniemy teraz najważniejszą naukę: będziesz się rozeznawać w ziołach.

— Dokądże pójdziemy, jakeście tacy słabi?

— Jak zdołam iść sama, to pójdę — mówiła Żabunycha. — A jak nie, to zapakujesz mnie do worka i poniesiesz. Jeno się pośpiesz. Lekka jestem, sam się przekonasz, a po drodze będę jeszcze lżejsza. Uciekniemy do lasu.

— A jak o mnie chodzi, to możemy i do lasu! — rzekł chłopiec nakładając kaszę do miski.

— Nie nakładaj mi — uprzedziła stara. — Dla mnie, chłopcze, ziemska strawa już na nic. I lżejsza dla ciebie będę nie najedzona. Garnek też weź ze sobą i miarkę hreczki, żebyś nie umarł tam z głodu.

— Zjeść jeszcze zdążę?

— Zdążysz. Ten chłop to Wasyl Korohoda — właśnie swej żonie o mojej chorobie opowiada. Później żona jego pobiegnie do wsi...

— Jakżeście się dowiedzieli? — spytał chłopiec pałaszując kaszę.

— Uszy mam dobre — rzekła stara i roześmiała się. — Ten, co słyszy, jak trawa rośnie, tego by nie potrafił?

— Wiadomo! — przytwierdził chłopiec i czas jakiś milczał jedząc. Wreszcie odezwał się z powagą: — Wiecie, babciu, co powiem. Teraz nóg sobie nie trudźcie. Doniosę was do lasu, a tam więcej będzie do chodzenia.

— Masz głowę na karku! — rzekła Żabunycha. — Weź no worek z kąta.

Wrzucił do worka miarkę hreczki, dał babce garnek i wsadził ją w miech. Zarzucił go sobie na plecy i prawie nie poczuł wagi. Wybiegł na podwórko i rozejrzał się. Ujrzał wygon, na którym dziś też płonęło ognisko — pastuszkowie warzyli coś w kociołku. Drogą przez wieś śpieszyła przed siebie młódka, możliwe, że była to Korohodycha, roznosząca między ludźmi nowinę o chorobie starej czarownicy.

— Drogą nie chodź! — wyszeptała za plecami stara. — Opłotkami pobiegnij, pod górą jest steczka.

Skręcił za domem i ruszył opłotkami. W tym momencie z bzów buchnęła pieśń słowiczej gromadki i chłopiec aż przystanął z wrażenia.

— Nie ociągaj się! — popędziła go stara. — Nie mamy czasu.

Ruszył steczką pod górę. I im bardziej biegł, tym lżejsze czuł nogi pod sobą. Już nie dotykał ścieżki — leciał i jeno raz po raz odbijał się od ziemi. Dziwna radość go ogarnęła: co to się z nim dzieje owego ranka? Sam też tracił ciężar, podobnie jak traciła go stara, i mógłby wzlecieć nawet ponad drzewami. Jednakże wówczas dostrzegliby go z pewnością i pastuszkowie z wygonu, i ludzie ze wsi. Toteż miarkował bieg i mknął tuż nad ziemią. Zdał sobie sprawę, że nie tylko w bzach śpiewają słowiki, ale że jest takich śpiewaków tysiące. Kryją się w gałęziach i w trawie, są też w powietrzu, a wszystkie mają złote gardziołka. Wszystkie obudziły się równocześnie i radośnie świętują ten ranek. Wydało mu się, że i koń biegnie obok niego: biały, raźny i zawadiacki. Obejrzał się, ale nic nie zobaczył, bowiem tym koniem był teraz on sam. Nie czuł z tego powodu żadnej przykrości, bo nie czuje przykrości koń cwałujący przez świat skąpany w rosie i w słońcu. Nigdy nie doznaje żalu kopyto, że rozbija trawę i kwiaty, bowiem i w tym kryje się jakaś tajemnica. I pomknął jeszcze szybciej, bo właśnie takiego ruchu spragnione było jego serce — dziś młode i głośno bijące. Owa muzyka napełniła go po brzegi i rozlewała się dookoła — posłyszał ją w drzewach, trawie i w niebie!

— Śpiesz się, śpiesz, chłopcze! — szeptała stara za jego plecami. — Śpiesz się, bo nie mam już czym oddychać!

Już zgoła nie dotykał ziemi. Nie wiedział, skąd bierze się ten zajadły tupot, który słyszał, leciał bowiem wyciągnięty jak strzała i nie czuł nadmiaru w swoim pędzie. Przed nim gwałtownie wyrastało ciemnozielone morze i mknął właśnie ku niemu, bo wiedział, że są tam wysokie rozkołysane fale, że musi pogrążyć się właśnie w nich i skryć się pod ich osłoną. Po czym nabierze w siebie nowej mocy, bo na ostatek mieć będzie ratunek od tego, co pędzi za nimi, niemiłosiernie łomocąc kopytami. Zielone

morze już tchnęło na nich, rozwierając bezkresną gardziel — jest tam otchłań, w którą wpaść muszą, ale to wesoła otchłań. Trwa w niej zielona cisza i tam właśnie ma przemówić doń trawa i wszystkie zioło. Mknął na przełaj poprzez kwiaty i łąki, przez zapadliska i wzgórza. Przeleciał rzeczkę z wiklinami i dopiero wtedy dotknął ziemi. Wydało mu się, że coś zakręciło nim niemiłosiernie i cisnęło go raptem w zielone morze, które z lubością ich połknęło, dawno bowiem już było głodne i dawno ich oczekiwało.

— Zuch! — rzekła stara wyswobadzając się z worka. — Teraz już nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Chłopiec leżał na polanie leśnej i piersi chodziły mu jak miechy. Dookoła pieszczotliwie brzęczały pszczoły i panowała taka cisza, aż dzwoniło mu w uszach. Naprzeciw niego upojnie jarzyło się jasnoniebieskie niebo i jeno samotny skowronek wisiał w nim sypiąc w dół ciepłe srebro śpiewu.

— Wstawaj! — rzekła łagodnie Żabunycha. — Nie czas się wylegiwać. Uzbieraj chrustu i narządź ognisko...

Obchodziła polanę ledwie powłócząc nogami, w ręce miała kostur i wpierała się weń ciężko. Niekiedy przystawała, pochylała się ze stękaniem i zrywała trawkę, kwiat czy łodygę. Składała je w pęczek i chłopiec usiadłszy spozierał na nią w milczeniu.

— Nie słyszałeś, co ci powiedziałam? — obróciła się doń stara. — Nie ma czasu!...

Głos miała gniewny i zastukała kosturem, ale przyglądał się jej z takim zdumieniem, jak gdyby ujrzał ją po raz pierwszy. Już nie wydała mu się stara, koścista i oszpecona, nie miała wykoślawionych rąk i opuchłych nóg ani czarnej twarzy, jeno coś takiego, co zapamiętał u swojej matki.

Wówczas jak gdyby rozsunęła się przed nim niewidzialna zasłona. Ujrzał podwórze zarośnięte trawą i puchatymi jaskrami. Wiał mocny wiatr i zrywał nasionka dmuchawców zaścielając nimi podwórze. I w owym dymie czy ciepłej śnieżycy zjawiła się nagle uśmiechnięta kobieta. Okręciła się parokrotnie po podwórzu, po czym jęła zrywać okrągłe łebki dmuchawców. Dmuchała, jakby dopomagała wiatrowi, aż przybyło puchu na podwórzu. Maleństwo w długiej białej koszuli i w gęstwie złotych włosów przystanęło na progu chaty i podziwiając, jak bawi się rodzicielka, śmiało się. Samo też pobiegło na soczystą murawę i jęło łapać puch rączkami. Oboje ich okrył ciepły kołowrót, mnóstwo latających piórek — nasypało się im tego dobra we włosy — matka w oczach jego siwiała. Przypatrywał się jej ze

zdumieniem i radością, przeczuwał bowiem cud. Cud w tym mianowicie, że owa roześmiana, szczęśliwa i bliska kobieta nie ma jednak wspólnej twarzy z Iwanychą Hałajdychą. Nie z tą, którą poznał w ciągu kilku ostatnich dni, lecz i z tą, którą ujrzał nowymi oczyma: tamtą bowiem znał tyle czasu i tyle czasu tęsknił za nią! Zdał sobie sprawę, że przez całe życie, odkąd jego matka odeszła do królestwa cieni, oczekiwał takiego spotkania — aż wreszcie miało się odbyć. Dlatego też siedział taki urzeczony i taki zdumiony, i z niemą wiarą wpatrywał się w swoją mistrzynię i przewodniczkę.

— Powiedzcie, babciu — zapytał cicho — czy nie znałem was wcześniej?

— Kiedyż to wcześniej? — mruknęła ze zdziwieniem.

— A bo ja wiem? Wcześniej kiedyś. Tak dawno, że już nie pamiętam.

— Ano — odparła stara — przejmujesz moją wiedzę i mnie samą zabierasz do swojej duszy...

— Jakże to? — zdumiał się znowu.

— A czyś nie zauważył — rzekła z gniewem — że z każdą tajemnicą, jaką ci powierzam, ubywa mnie, za to ciebie przybywa? Czyż nie czujesz w sobie mojej mocy?

— Czuję, babko, ale czy to tak jest dobrze?

— Dobrze, niedobrze — nie my tym zawiadujemy! — nieomal krzyknęła stara. — Ani ja, ani ty nie zejdziemy już z tej ścieżki! Przejdę w ciebie i nie umrę! Będę w twojej głowie i w sercu.

— Babciu! — zawołał zrywając się chłopiec. — A czyż tak nie wstępuje w nas diabeł?

— Głupio ci się przywidziało — wymamrotała stara wybierając jeszcze jedną łodyżkę. — Diabeł jest tam, gdzie ludziom zło się wyrządza. A my ludzi wydobywamy z nieszczęścia. Nie paplaj, ino zbieraj chrust.

— A dlaczego ludzie mają was za diablicę?

— Bo głupi są ci ludzie! — spokojnie odpowiedziała stara. — Głupi, a jeszcze bardziej zawistni. Ślepi, ale jeszcze bardziej niewdzięczni.

— Służycie ludziom, których przeklinacie?

— Ano! — odrzekła Iwanycha ocierając rękawem pot z czoła. — To nas strzeże od pychy. Czasem możesz dać sobie folgę: klnij świat i ludzi, ale nie dopuszczaj do serca nienawiści.

Stała tak pośród ziół i trawy, w zielonym morzu i pianie kwiatów, wyższa i smuklejsza niż zwykle, wyprostowała ramiona — i z oczu jej wychynął taki smętek, że go nie mógł znieść chłopiec, bo coś nieznanego i wielkiego poruszyło mu się w sercu,

coś jak owo szczęście, które czuł podczas biegu, będąc tym raźnym białym koniem.

— Babciu — zapytał uroczyście — czy to jest ta wasza największa tajemnica?

— Największa tajemnica jest tu, w moim ręku — rzekła wyciągając doń to, co zebrała w garści. — To głos trawy i chcę, byś wsłuchał się weń do głębi.

Siedzieli przy ognisku, na którym parzyło się w garnczku ziele, i milczeli. Brzęczały wokół nich pszczoły zbierające miód z kwiatów, bo na tej polanie dziś nagromadziło się go niemało. Otoczyły ich dęby i szeleściły cicho, jak gdyby przypominając o czymś wielkim i ważnym. Stara przymknęła oczy i jej ciemna twarz wyglądała jak wyrzeźbiona w korzeniu: szła w owej chwili migotliwą ścieżką prowadzącą ją w przeszłość. Pięła się oparta na lasce i rozglądała się wokół. Widziała siebie jako dziewczynę, a przy sobie młodzieńca idącego z nią razem — na głowie miała weselny wianek. Kroczyli jako para naprzeciw gwiazdom rozdmuchanym jak pęcherze, a wokół nich z zapałem śpiewały druchny. Młodzian trzymał ją pod rękę, ona zaś wpatrywała się weń zakochanymi oczyma. „Jeszcze trochę — rzekła doń — i już na zawsze będę przy tobie. Dlatego to zostałam czarownicą, byś mnie nie zapomniał, a ja ciebie. Żebyś na mnie czekał, bo ja cię jednak nie zapomniałam." „Tak bardzo mnie kochałaś?" — spytał uśmiechając się czule. „Ano — odparła — bo czymże jesteśmy na tym świecie bez miłości?"

Chłopiec mieszał w garnku miksturę, co dziwnie i cudownie pachniała. Wydawało mu się, że dęby zewsząd podeszły bliżej i wdychają w siebie ten aromat. Przestał dzwonić skowronek na niebie i zmilkły pszczoły. Byli sami w tym lesie.

— Nie! — zakrzyczała raptem stara. — Nie daje nam spokoju ta piekielnica Warka!

Chłopiec się wzdrygnął. Spojrzał wystraszony — patrzyły nań baczne oczy.

— Boję się tej łotrowskiej duszy — rzekła Iwanycha Hałajdycha — boję się, że wniwecz obróci moją naukę...

— Czyż coś takiego można zniweczyć? — zapytał chłopiec.

— Jeszcze jak! Dwa rodzaje czarownic bywają na świecie: dobroczynne i złośliwe.

— A czyż ta Warka jest złośliwa?

Żabunycha popatrzyła nań przygaszonym wzrokiem.

— Tego nie wiem. I już nigdy się tego nie dowiem. Zdamy to na wolę bożą.

— Zdamy! — odparł chłopiec.

— Wypijemy zaraz te zioła — rzekła stara. — Oboje równocześnie.

— Skoro tak, to jestem gotów — rzekł chłopiec i zdjął garnczek z ognia.

— Teraz obejdź polanę i rozejrzyj się jako ten widzący. Jeśli nas kto podpatrzy, pomrzemy oboje!

Chłopiec wstał posłusznie i bez pośpiechu zaczął obchodzić polanę. Niekiedy przystawał i wystawiał rękę. Patrzył, ale widział jeno drzewa i trawę. Nie było wokół nich żywej duszy: świadczyła mu o tym dziwna, z lekka niepokojąca cisza. Ucichł i wiatr, wszystko zaczaiło się w milczeniu. Zastygło w odrętwieniu, szykowało się bowiem na wielkie misterium. Listowie poopuszczało się jak nieżywe, jak gdyby zmierzch opadł na ziemię, i posnęły zioła. Zamarły wszystkie muszki i chrząszcze, a może nawet uszły precz z tego miejsca. Gasł do reszty ogień pośrodku polany, przy którym tkwiła skurczona stara Żabunycha. Chłopiec szedł i szedł. Przystawał i rozglądał się. Aż oczy go rozbolały, tak się rozglądał! Jednakże nie dostrzegł nic i nie usłyszał. Jak gdyby ktoś założył mu woskiem uszy i zakleił oczy. Jedynie zioła, trawa i drzewa żyły dokoła nich. Ścisnęło mu się serce w napięciu, jak gdyby ktoś ujął je w garść. W mózgu zabrzmiało, jakby w głowie miał napięte struny. Szedł i szedł w koło. Wkrótce miał je zamknąć, ale się nie śpieszył. W trawie pozostawiał za sobą ślady i widział je. Opasywały polanę, jakby ją okuł solidną obręczą.

— Czyś widział kogo? — spytała stara, gdy podszedł do niej.

— Nikogusieńko — rzekł chłopiec i twarz miał równie spokojną jak wszystko, co było dokoła.

— Ty wypij pierwszy — rzekła Żabunycha. — Dokładnie połowę... Ale zaczekaj — powstrzymała go. — Jeszcze jednego ci nie powiedziałam.

Popatrzyła nań przez przymknięte powieki, ale go nie widziała. Nie musiała już widzieć nikogo, jęła więc mówić tak jakby mówiła sama do siebie:

— Nie myśl, że ty to jesteś ty i nic więcej! Jesteś na tym świecie kropelką rzuconą oddzielnie. Cząsteczką jednej wielkiej duszy. Jesteś cząstką tego wszystkiego, co żyje na świecie: i ta trawa, którą tratujesz i kosisz, i ten chrząszcz błyszczący z zielonymi skrzydłami.

Usta jej ledwie się poruszały, mówiła bowiem rzeczy niezwykłe i potrzebowała niezwykłych słów. Całe jestestwo jej się napinało od tego, i nie tyle wymawiała, co wykrztuszała z siebie słowa:

— Czyniąc komuś zło, wyrządzasz je sobie samemu, podobnie

dzieje się i z dobrem. Zabijając kogoś czy łamiąc — w samym sobie zabiłeś coś i zrujnowałeś. Strzeż się tego, bowiem od ciebie żąda się więcej niż od innych.

Umilkła i znów patrzyła. Znów nie widziała nikogo przed sobą, tliła w niej jedynie mała iskierka życia.

— O mnie zaś, chłopcze, niech cię serce nie boli. Z tamtego świata mnie nie przywołuj i nie pytaj o radę. Sam bądź dla siebie!...

Łapała oddech, bo trudno jej było wymawiać słowa.

— Wiele będziesz mocen zdziałać i za to będziesz przeklęty — rzekła samym szeptem. — Za miłość przyjmować będziesz urąganie, ale pozostań zawsze mądry i pobłażliwy! Słyszysz?

— Słyszę — rzekł równie cicho chłopiec. — A jeśli zechcę, babciu, porzucić to wszystko? Jeśli zechcę żyć jak wszyscy inni ludzie?

Potrząsnęła ze smutkiem głową i jeszcze smutniej popatrzyła na niego.

— Pij! Już na nas czas przyszedł. Wypij dokładnie połowę!

Przytknął garnek do ust i wypił tyle, ile kazała.

— To wypiłeś za siebie — rzekła. — Teraz wypij jeszcze połowę!

Znów przytknął garnek i znów się napił.

— Teraz to mnie wypiłeś — wymówiła jeszcze ciszej. — Daj mi ostatek...

Piła chciwie, zachłystując się, jak gdyby się śpieszyła. Czuła, że ogień płynie w jej żyłach. Czerwony, a niekiedy zielony. Czerwone i zielone fale okryły ją i ugasiły wzrok. Ciało jęło się kurczyć, żyły wyciągały się czy skracały, coś w nich rosło, a coś znikało. Coś płakało, a coś się rodziło. Nogi jej wchodziły w ziemię i pogrążyła się w niej po kolana. Rozrastała się tam, w ziemi, rozdzielała się na setki cienkich i długich korzeni. Ciągnęła się coraz głębiej i głębiej. Kibić jej szczuplała i tężała, twardniała i pokrywała się korą. Ręce jej rozszczepiły się i rozrosły w powietrzu. Głowa pękła raptownie wybuchając ogniem i też się rozpostarła w przestrzeni cienkimi jak nitki gałązkami. Owe wici okrywały się zielonym płomieniem, osłaniając ją i ogarniając. Płonęła tym ogniem i już nie była w stanie nic myśleć. Mogła jedynie słuchać ziemi i wiatru. Zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale nie był to już szept, jeno szelest. Wówczas roześmiał się płomień w ognisku. Wyskoczył raptem ze swego łożyska i strzelił wysoko. Po czym upadł na ziemię i rozszedł się dymem. Dym przysłonił całą polanę i chłopiec krzyknął z przerażenia. Zerwał się na równe nogi i bez pa-

mięci rzucił się między drzewa, co gniewnie i posępnie zaszumiały. Pozostawiał ów martwy ogień i ów krzew, co nagle wyrósł pośrodku polany. Biegł i ziemia dudniła mu pod nogami. Kaszlał, wyrzucając z siebie popielaty dym i strach swój — nogi pod nim mdlały. Brakło mu powietrza, otwarł więc usta i dyszał jak zgoniony pies. Darł nogami paproć i jeżyny, raz po raz obijał się o pień, co niespodzianie wyrastał na drodze, i pojękiwał cicho. Zgubił czapkę, spod której nagle wysypały się bujne złote włosy. Czepiały się gałęzi i pozostawały na nich. Ręka uchwyciła piersi i rozdarła koszulę, by lżej było oddychać. I wypadły z tej koszuli wielkie, białe piersi dziewczyńskie...

Dziewczyna nie mogła się zatrzymać. Niewiadoma siła gnała ją i gnała poprzez las. Smagała po białych ramionach — łzy zalewały jej twarz. Twarz od tych łez marszczyła się i ciemniała. Chciała wreszcie wydostać się z tego strasznego lasu, uciec przed swoją wielką porażką. Padła na trawę i zaszlochała po dziewczyńsku, żałośnie i bezradnie. Naraz ucichła, podniosła głowę i przysłuchała się.

— Poznałam cię, Warko Moroziwno — posłyszała cichy głos. — Dawno cię już poznałam...

— To ja nie ze złości, babciu — wyszeptała Warka. — Myślałam, że tak sobie poswawolę, bo czyż nie robi się tak między nami?

— Ja i dla ciebie zła nie chciałam — rzekł głos.

— Gdzie jesteś, babciu? — zawołała z rozpaczą.

— W tobie Warko. Przecieżeś mnie wypiła... I nie miej mi za złe. Odtąd razem żyć będziemy. Wszystko, co wiedziałam, teraz ty wiedzieć będziesz i zapłaciłaś mi za to sowicie. Póki życia twego, nie zapomnisz mnie, podobnie jak i ja nie zapomniałam swojej mistrzyni. Umrę w tobie, kiedy ty żyć przestaniesz, ale nauki mojej nie zatrać, Warko!...

Wytężyła słuch z nadzieją, że posłyszy jeszcze jakieś słowa, ale ich nie było. Głęboka cisza ogarnęła ją zewsząd i nie było słychać żadnego szmeru ani szelestu. Ani śpiewu ptaków, ani brzęczenia owadów. Siedziała tak na trawie i nagle ujrzała swoje bose nogi. Były czarne i popękane. Spojrzała przerażona na ręce — suche i pokryte starczą łuską. Krzyknęła przenikliwie i pojęła prawdę. Powiodła palcami po twarzy i natrafiła na pomarszczoną skórę staruszki. Uchwyciła promień włosów — były siwe i rzadkie. Rozchełstała koszulę — zamiast bujnych piersi ujrzała suche i obwisłe.

Znów rzuciła się do ucieczki. Myślała, że biegnie, jednakże ledwie kuśtykała. W ręku trzymała laskę, którą sobie dopomaga-

ła. Łzy wciąż jeszcze ciekły jej po policzkach żłobiąc w nich nowe bruzdy. Poczuła wreszcie, że łzy jej wyschły. Powoli do jej piersi nawiewała się leśna cisza i Warka zapomniała raptem o wszystkim, co się tu stało.

Wracała do domu, choć dom ten trzeba było jeszcze odnaleźć. Możliwe, że przyjdzie do chaty pod wzgórzem zarosłym bzami, a może i do tamtej, w której dawniej mieszkała. Stanęła i przysłuchała się. Posłyszała głos trawy i to nie świerszcz śpiewał jej pod nogami. Nie był to głos zwierzęcia, ptaka, owada czy człowieka — tak mówić mogła jedynie trawa. Był ów głos stłumiony niczym szept, jednakże go zrozumiała. Nie tak jak mowę ludzką czy zew zwierząt — było to w innym wymiarze i nie była w stanie opowiedzieć, w jakim. Nie zdołałaby przełożyć owej gwary na mowę człowieka, bo i było to zbędne. Nie tyle rozumiała, co odczuwała ten głos, jako że nie da się on odbierać inaczej. Widziała przed sobą ścieżkę i dreptała nią powoli. Wiedziała, że wyprowadzi ją do wsi rodzinnej, gdzie sądzone będzie jej mieszkać.

Szła po zielonym wygonie, na którym chłopcy palili ognisko i gdzie pasło się bydełko. Chłopcy sprzeczali się o coś i zaczekała, aż zwrócą na nią uwagę.

— Dzień dobry, dzieci — rzekła cicho. — Co to za wieś, do której mnie tu sprowadza?

— Marianiwka — odparł jej chłopaczek z czarną czupryną i śmiało na nią popatrzył. — A wam kogo potrza, babko?

— A czyjaż to chata na skraju?

— Korohody — ozwał się chłopiec. — A ja jestem syn jego.

— Nie Wasyla przypadkiem? — spytała podniecona.

— Jakiego tam Wasyla? — zaśmiał się chłopak. — Wasyl już dawno jak umarł.

— Umarł? — krzyknęła Warka. — Ale to chyba nie twój ojciec?

— Mój ojciec? — roześmiał się mały. — Pomyliło się wam, babciu. To mój dziadek był Wasyl!...

Stała i rozglądała się długo. Raptem ujrzała wzgórek obrośnięty bzami i wolnym krokiem ruszyła w tamtą stronę. Szła i patrzyła nie odrywając oczu, jak gdyby chciała rozpłomienić na niej tysiące i tysiące bujnych, pachnących kiści. Chciała tego i czuła, że jest to w zasięgu jej mocy. Szła więc i szła. I nagle tam, na wzgórku, jak gdyby wiatr powiał. Zadrżało powietrze i zakołysało się — cała górka zakwitła nagle i równocześnie. Mnóstwo jędrnych kiści wybuchło kwieciem i wszystko jak

gdyby spowił jasnomodry zmierzch. Cichą radość poczuła Warka, tryumf i szczęście. Wciąż jeszcze zatrzymywała się wzrokiem tam, na morzu bzów, choć spodziewała się jeszcze następnego cudu. W tym momencie zawrzasły opętańczo słowiki. Zakląskały, zaświstały, zakołatały w srebrne i złote dzwoneczki — był to skutek pierwszego cudu. Zresztą poczuła je oba jako coś jednego — jak wiosnę, co chce żyć i przynosić plony.

Warka zadyszała się i musiała przystanąć. Serce zadrżało jej w piersiach, zabolało leciutko i wytrzymała ten ból. Wtedy dopiero nadeszło to, czego oczekiwała Iwanycha Hałajdycha. Warka pokochała ten wzgórek i te miriady kwiatów. Pokochała śpiew, co spazmami stamtąd wybiegał, pokochała ścieżkę prowadzącą do na poły zrujnowanej chatynki i samą chatynkę. Obróciła się gwałtownie w kierunku wsi i ujrzała trzecie cudo. Wieś osłonięta była mrokiem, jak gdyby fale bzu stoczyły się i tutaj osłaniając czarodziejskim welonem domy i ulice. Pokochała więc te chaty i ulice, i ludzi, co wyszli razem na dwór, by odetchnąć urokiem wieczoru. Dlatego też ustał ból w piersiach Warki, choć twarz jej pozostała smutna i skupiona. Wyprostowała się, stała się wyższa i chudsza. Poczuła, że nogi jej stoją na trawie, co znów przemawia do niej. Wysłuchała zatem cichego i tajemnego głosu, bowiem do niej był zwrócony.

Posłyszała skrzypnięcie drzwi za plecami — obróciła się gwałtownie w tamtą stronę. W drzwiach chaty, do której zmierzała, jako przejrzysty cień ukazała się koścista, przygarbiona postać, co przyłożyła dłoń do czoła i popatrzyła w jej kierunku.

Warka sama nie zdała sobie sprawy, jak poszła. Szła śpiesząc do chaty pod bzowym pagórkiem i radośnie uśmiechała się na spotkanie tej, co jak dwie krople wody podobna była do niej i pilnie jej wyglądała.

1966—1980

SPIS RZECZY

Część pierwsza

DOM NA WZGÓRZU

Rozdział pierwszy: Spokój 7
Rozdział drugi: Niebieska droga 43
Rozdział trzeci: Dom na wzgórzu 65
Rozdział czwarty: Woda z końskiego kopyta 100
Rozdział piąty: Zapach sierpniowego słońca 130
Rozdział szósty: Ptak przelotny 172

Część druga

GŁOS TRAWY

Droga 217
Panna setnikówna 229
Dżuma 245
Wiedźma 255
Pokuśnik 267
Krew na śniegu 280
Szewc 294
Samson 310
Czarna kuma 333
Głos trawy 349

PRINTED IN POLAND
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1989 r.
Wydanie pierwsze.
Nakład 19700+300 egz. Ark. wyd. 24,4 Ark. druk. 24,25.
Papier druk. sat. kl III, 71 g, 61×86 cm.
Oddano do składania 28 stycznia 1988 r.
Podpisano do druku w marcu 1989 r.
Druk ukończono w kwietniu 1989 r.
Zielonogórskie Zakłady Graficzne w Zielonej Górze
Nr zam. 253/88; U-71
Cena zł 1400,—

KIK • KLUB INTERESUJĄCEJ KSIĄŻKI zł 1400,—
TYTUŁY ROKU 1989

Margaret Atwood PANI WYROCZNIA
James Baldwin POKÓJ GIOVANNIEGO
Simone de Beauvoir KOBIETA ZAWIEDZIONA
Aleksander Bek NOMINACJA
Pierre Boulle MOST NA RZECE KWAI
Augustin Buzura AMBICJE
I. Grekowa WIRY
Joseph Heller PARAGRAF 22
Siergiej Jesin IMITATOR
Ken Kesey LOT NAD KUKUŁCZYM GNIAZDEM
Jürgen Lehmann FOTOGRAFIE ŚLUBNE
Wil Lipatow NIE WYGRA SIĘ Z MIŁOŚCIĄ
Nadżib Mahfuz OPOWIEŚCI STAREGO KAIRU
Juan Marse WRÓCĘ PEWNEGO DNIA
Jan Otčenášek POKUSA
Jerzy Pietrkiewicz (Peterkiewicz) ODOSOBNIENIE
Radij Pogodin DRZWI
Yann Queffélec BARBARZYŃSKIE ZAŚLUBINY
Bogomił Rajnow TYLKO DLA MĘŻCZYZN
Erich Maria Remarque CIENIE W RAJU
Wałerij Szewczuk DOM NA WZGÓRZU
Aleksander Tomow ELEGIA DLA PTAKÓW
Kurt Vonnegut jr. RZEŹNIA NUMER PIĘĆ
Jan Wolkers POWRÓT DO OEGSTGEEST

Wałerij Szewczuk — pisarz ukraiński — urodził się w roku 1939 w Żytomierzu. Ukończył studia historyczno-filozoficzne na Uniwersytecie Kijowskim. Zajmował się dziennikarstwem, muzykologią, krytyką literacką, tłumaczył poezje K. I. Gałczyńskiego. Jest autorem dwu zbiorów opowiadań: «Sered tyżnia» (1967) i «Weczir swiatoj oseni» (1969) oraz powieści «Na poli smyrennomu» (1985), «Tri łystki za wiknom» (1986) i «Kaminna łuna» (1987). W Polsce ukazał się przekład jego książki «Nabrzeżna 12» (1968).
«Dom na wzgórzu» to powieść o miłości, rozgrywająca się w dwu płaszczyznach — realnej i fantastycznej. Jest to niepowtarzalny splot realizmu i fantastyki, folkloru i demonologii. Szewczuk łączy tradycje folklorystyczne z nowatorskimi rozwiązaniami formalnymi w konstruowaniu losów bohaterów. Oryginalna fabuła przedstawia ich dzieje w sposób poetycki i malarski na tle bujnej przyrody ukraińskiej, w świecie baśni i czarów.